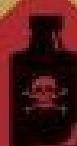


„Ta książka całkowicie mnie oszłomiła. Unikalna!”

SOPHIE HANNAH

SIEDEM
ŚMIERCI
EVELYN
HARDCASTLE

STUART TURTON





STUART TURTON

SIEDEM
ŚMIERCI
EVELYN
HARDCASTLE

Z angielskiego przełożył
ŁUKASZ PRASKI

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
THE SEVEN DEATHS OF EVELYN HARDCASTLE

Copyright © Stuart Turton 2018

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019
Polish translation copyright © Łukasz Praski 2019

Redakcja:
Marta Grał

Ilustracje na okładce:
iStockphoto/Shutterstock

Projekt graficzny okładki:
David Mann

Opracowanie graficzne okładki polskiej:
Kasia Mieszka

ISBN 978-83-8125-532-5

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[O książce](#)

[O Autorze](#)

[Dedykacja](#)

[Zaproszenie](#)

[1 Dzień pierwszy](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9 Dzień drugi](#)

[10 Dzień trzeci](#)

[11 Dzień czwarty](#)

[12](#)

[13 Dzień drugi \(ciąg dalszy\)](#)

[14 Dzień czwarty \(ciąg dalszy\)](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21 Dzień drugi \(ciąg dalszy\)](#)

[22 Dzień piąty](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27 Dzień drugi \(ciąg dalszy\)](#)

[28 Dzień piąty \(ciąg dalszy\)](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32 Dzień szósty](#)

[33 Dzień drugi \(ciąg dalszy\)](#)

[34 Dzień szósty \(ciąg dalszy\)](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39 Dzień drugi \(ciąg dalszy\)](#)

[40 Dzień szósty \(ciąg dalszy\)](#)

[41](#)

[42 Dzień drugi \(ciąg dalszy\)](#)

[43 Dzień siódmy](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52 Dzień trzeci \(ciąg dalszy\)](#)

[53 Dzień ósmy](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57 Dzień drugi \(ciąg dalszy\)](#)

[58 Dzień ósmy \(ciąg dalszy\)](#)

[59](#)

[60](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

Na dzisiejszym balu ktoś zostanie zamordowany. Nie będzie to wyglądało na zabójstwo, więc sprawcy nie złapią. Jeśli naprawi pan tę niesprawiedliwość, pokażę panu wyjście.

Korytarze posiadłości Blackheath kryją mordercę. Jego ofiarą codziennie wraz z wybiciem jedenastej wieczorem pada Evelyn Hardcastle – piękna córka gospodarzy. Evelyn będzie umierać w nieskończoność – chyba że ktoś odkryje, kim jest jej zabójca.

Wśród gości zaproszonych do Blackheath jest kilku ludzi, którzy próbują to zrobić. Nie mają równych szans ani równych możliwości. Stale przeżywają ten sam dzień, usiłując rozwiązać zagadkę, lecz każdy wieczór nieubłaganie przeszywa dźwięk wystrzału z rewolweru...

Jeśli Aiden Bishop nie zwycięży w wyścigu o odkrycie tożsamości mordercy, nigdy nie opuści posiadłości. Ma osiem szans: każdego ranka przez osiem dni obudzi się w ciele innego gościa... Jeśli nie uda mu się znaleźć zabójcy, cały cykl zacznie się od początku. I znów będzie musiał odkrywać, kim są jego przeciwnicy i który z nich pod eleganckim ubraniem skrywa śmiertelnie ostry nóż...

STUART TURTON

Dziennikarz piszący głównie o podróżach. Pracował jako wolny strzelec w Szanghaju i Dubaju. **Siedem śmierci Evelyn Hardcastle** jest jego debiutancką powieścią. Po jej wydaniu napisał opowiadania, które doceniono w kilku konkursach literackich. Mieszka z żoną w zachodnim Londynie. Jeśli właśnie nie marszczy czoła, latając dziury w jakiejś nowej fabule, zapewne wspina się, nurkuje, świetnie się bawi lub zaginął w głuszy na jakimś odległym lądzie. Niewątpliwie co najmniej trzy z tych rzeczy robi dokładnie w tym samym czasie.

Moim rodzicom, którzy dali mi wszystko, nie prosząc w zamian o nic. Siostrze, pierwszemu i najbardziej zagorzałemu spośród moich czytelników, wliczając w to trzmielę.

I żonie, bo to dzięki jej miłości, słowom otuchy i radom, żebym od czasu do czasu unosił wzrok znad klawiatury, ta książka to coś znacznie więcej, niż mogłem przypuszczać.

Serdecznie zapraszamy do Blackheath House na
BAL MASKOWY



Gospodarze, rodzina Hardcastle
Lord Peter Hardcastle & lady Helena Hardcastle
&
ich syn Michael Hardcastle
oraz córka Evelyn Hardcastle



– Znakomici goście –

Edward Dance, Christopher Pettigrew & Philip Sutcliffe,
adwokaci rodziny
Grace Davies & jej brat, Donald Davies, osoby z towarzystwa
Komandor porucznik Clifford Herrington, oficer marynarki (w st.
spoczynku)
Millicent Derby & jej syn, Jonathan Derby, osoby z towarzystwa
Daniel Coleridge, zawodowy gracz
Lord Cecil Ravencourt, bankier
Jim Rashton, funkcjonariusz policji
Doktor Richard (Dickie) Acker
Doktor Sebastian Bell
Ted Stanwin

– Służba domowa –

Roger Collins, kamerdyner
Pani Drudge, kucharka
Lucy Harper, główna pokojówka
Alf Miller, masztalerz
Gregory Gold, artysta rezydent
Charles Cunningham, pokojowy lorda Ravencourta

Madeline Aubert, pokojówka Evelyn Hardcastle



*Uprzejmie prosimy wszystkich gości, aby powstrzymali się od rozmów na temat **Thomasa Hardcastle'a** i **Charliego Carvera**, gdyż rodzina nadal jest pogrążona w smutku z powodu tragicznych wydarzeń z ich udziałem*

1

Dzień pierwszy

Między kolejnymi krokami zapominam wszystko.

– Anno! – krzyczę i zaskoczony zamykam usta.

W głowie mam pustkę. Nie wiem, kim jest Anna ani po co ją wołam. Nie wiem nawet, jak się tu znalazłem. Stoję w lesie, osłaniając oczy przed drobnym deszczem. Serce mi łomocze, nogi dygoczą i cuchną potem. Pewnie biegłem, ale nie pamiętam dlaczego.

– Jak to... – urywam na widok własnych dłoni. Są kościste, brzydkie. Dłonie kogoś obcego. W ogóle ich nie poznaję.

Czując pierwszy przypływ paniki, staram się wygrzebać z pamięci coś o sobie: nazwisko krewnego, adres, wiek, cokolwiek, ale nic mi się nie przypomina. Nie mam choćby imienia. Nawet wspomnienie sprzed kilku sekund znika bez śladu.

Czuję ucisk w gardle, mój oddech staje się szybszy i głośniejszy. Las zaczyna mi wirować w oczach, poznaczony czarnymi kropkami.

Spokojnie.

– Nie mogę oddychać – udaje mi się wykrztusić. Krew huczy mi w uszach i osuwam się na ziemię, wbijając w nią palce.

Możesz oddychać, musisz się tylko uspokoić.

Beznamiętny, autorytatywny ton tego wewnętrznego głosu przynosi ulgę.

Zamknij oczy, posłuchaj lasu. Weź się w garść.

Posłusznie zaciskam powieki, słyszę jednak tylko swoje paniczne rżenie. Przez długą chwilę zagłusza wszystkie inne dźwięki, ale powoli, bardzo powoli udaje mi się wydrążyć dziurę w otaczającym mnie murze przerażenia i wpuścić przez nią inne odgłosy. Szmer kropli deszczu spadających na liście, szelest kołyszących się gałęzi. Gdzieś po prawej płynie strumyk, z drzew z trzepotem skrzydeł podrywają się do lotu wrony. Coś

pomyka w zaroślach, słycać miękki tupot króliczych łapek, blisko, na wyciągnięcie ręki. Cierpliwie, jedno po drugim, łączę ze sobą te nowe wspomnienia, by w końcu zbierać pięć minut przeszłości, których mogę się uchwycić. Wystarczy, by powstrzymać panikę, przynajmniej na razie.

Niezgrabnie dźwigam się na nogi i zdumiewa mnie mój wzrost; dziwię się, z jakiej wysokości spoglądam na ziemię. Lekko się chwieję, otrzepuję spodnie z mokrych liści i po raz pierwszy uświadamiam sobie, że jestem w smokingu i koszuli poplamionej błotem i czerwonym winem. Musiałem być na jakimś przyjęciu. Mam puste kieszenie i jestem bez płaszcza, nie mogłem więc wywędrować za daleko. Poczajęca myśl.

Światło wskazuje na to, że jest ranek, czyli prawdopodobnie błąkałem się tu przez całą noc. Nikt się tak nie stroi, żeby spędzić wieczór samotnie, a to oznacza, że ktoś musiał zauważyć moje zniknięcie. Za tymi drzewami na pewno jest jakiś dom, gdzie chyba już wszczęto alarm i ruszają na poszukiwania. Prześlizguję się wzrokiem po gęstwinie, jak gdybym się spodziewał, że spomiędzy liści wyłonią się moi przyjaciele, poklepią mnie po ramieniu i syjąc delikatnymi żarcikami, odprowadzą do domu; ale marzenia nie pokażą mi drogi wyjścia z lasu, a nie mogę włóczyć się po nim, licząc na ratunek. Drzę i szczękam zębami. Muszę się ruszyć, choćby po to, żeby się ogrzać. Widzę tylko drzewa. Nie mam pojęcia, czy idę w stronę, z której nadejdzie pomoc, czy w przeciwną, i zapuszczam się jeszcze dalej w las.

Nie wiedząc, co począć, wracam do ostatniej sprawy zaprzętającej uwagę człowieka, którym byłem.

– Anno!

Kimkolwiek jest ta kobieta, nie ulega wątpliwości, że to z jej powodu znalazłem się w lesie, ale nie potrafię jej sobie wyobrazić. Może jest moją żoną albo córką? Nie wydaje mi się, mimo to wyczuwam w tym imieniu jakąś siłę przyciągania. Jak gdyby próbowało zaprowadzić dokądś moje myśli.

– Anno! – wołam bardziej z rozpaczą niż z nadzieją.

– Na pomoc! – odpowiada mi krzyk kobiety.

Szukam głosu, obracając się w koło, aż kręci mi się w głowie, w końcu między drzewami w oddali dostrzegam sylwetkę kobiety w czarnej sukni, która biegnie co sił w nogach. Po kilku sekundach widzę przedzierającego się przez gęstwinę jej prześladowcę.

– Halo, stać! – wołam, ale mój głos jest znużony i słaby; ginie stratowany ich nogami.

Szok mnie paraliżuje i zanim udaje mi się ruszyć w pogoń, niemal tracę tych dwoje z oczu. Gnam z szybkością, o jaką nie podejrzewałem obolałego ciała. Mimo niezwykłego pośpiechu cały czas mnie wyprzedzają.

Pot ścieka mi z czoła, nogi, które już były słabe, stają się coraz cięższe, aż wreszcie odmawiają posłuszeństwa i jak długi padam w błoto. Gramolę się przez liście i podnoszę w tej samej chwili, gdy rozlega się przerażony krzyk kobiety. Wypełnia las i nagle milknie, przerwany strzałem z broni.

– Anno! – krzyczę z rozpaczą. – Anno!

Odpowiadają mi cisza i zamierające echo huku wystrzału.

Trzydzieści sekund. Tyle właśnie się wahałem, gdy ją zauważyłem, i tyle drogi dzieliło mnie od niej, kiedy została zamordowana. Pół minuty niezdecydowania, trzydzieści sekund, które wystarczyły, by ją stracić.

U moich stóp leży spora gałąź. Podnoszę ją i na próbę biorę zamach, dodając sobie otuchy jej ciężarem i dotykiem szorstkiej kory. Na niewiele mi się zda przeciwko człowiekowi uzbrojonemu w pistolet, ale lepsze to niż chodzenie po lesie z pustymi rękami. Ciągłe dyszę, ciągle drzę po wyczerpującym biegu, ale wyrzuty sumienia pchają mnie w stronę, z której dobiegł krzyk Anny. Uważając, żeby nie robić za dużo hałasu, odsuwam wiszące nisko gałęzie i szukam tego, czego tak naprawdę nie chcę zobaczyć.

Z lewej dobiega trzask suchych gałązek.

Wstrzymuję oddech i nasłuchuję.

Znowu ten dźwięk – liście i gałęzie chrzęszczą pod stopami kogoś, kto podchodzi do mnie z tyłu.

Krew ścina mi się w żyłach i kamienieję. Boję się obejrzeć przez ramię.

Chrzęst jest coraz bliżej, tuż za plecami słyszę płytki oddech. Miękną mi nogi, gałąź wypada z rąk.

Zmówiłbym modlitwę, nie pamiętam jednak słów.

Moją szyję oblewa ciepło oddechu. Czuję zapach alkoholu i papierosów, woń niemytego ciała.

– Na wschód – chrypi mężczyzna, wsuwając mi do kieszeni coś ciężkiego.

Oddala się, jego kroki cichną w głębi lasu, a ja opadam na ziemię i przyciskam do niej czoło, wdychając zapach mokrych liści i zgnilizny. Po policzkach płyną mi łzy.

Żałosne uczucie ulgi, nędzne tchórzostwo. Nie umiałem nawet spojrzeć prześladowcy w oczy. Co ze mnie za mężczyzna?

Mija kilka minut, zanim strach słabnie na tyle, że mogę ruszyć dalej, ale nawet wtedy muszę się oprzeć o pobliskie drzewo, by odpocząć. W kieszeni kołysze się prezent od mordercy, więc mimo obaw, co tam znajdę, zanurzam w niej dłoń i wyjmuję srebrny kompas.

– O! – mówię zdziwiony.

Szkło jest pęknięte, metal porysowany, a na spodzie widzę wygrawerowane inicjały SB. Nie wiem, co oznaczają, lecz polecenie zabójcy było jasne. Mam z niego skorzystać, żeby iść na wschód.

Z poczuciem winy patrzę na las. Ciało Anny jest pewnie niedaleko, boję się jednak reakcji mordercy, gdybym je odnalazł. Może żyję właśnie dlatego, że nie podszedłem bliżej. Naprawdę chcę sprawdzić granice jego litości?

Przy założeniu, że to rzeczywiście litość.

Bardzo długo wpatruję się w drgającą igłę kompasu. Niewielu rzeczy jestem już pewien, wiem jednak, że mordercy nie okazują litości. Bez względu na zamiary tego człowieka nie mogę wierzyć w jego rady i nie mogę ich słuchać, ale jeżeli tego nie zrobię... Jeszcze raz rozglądam się po lesie. W każdą stronę wygląda tak samo, bezkresna ściana drzew pod nieprzyjaznym niebem.

Jak bardzo trzeba się zagubić, żeby pozwolić diabłu wskazać sobie drogę do domu?

Uznałem, że właśnie tak, jak ja się zagubiłem.

Odsuwam się od drzewa i kładę kompas na otwartej dłoni. Tęsknie wskazuje północ, więc kieruję się na wschód, na przekór podmuchom zimnego wiatru, który wieje mi w twarz, na przekór całemu światu.

Nadzieja mnie opuściła.

Jestem w czyścucu i nie wiem nic o grzechach, które mnie tu przywiodły.

2

Gdy kierując się wskazaniem kompasu, idę przez las, wiatr wyje, a deszcz, który tymczasem przybrał na sile, siecze przez gałęzie drzew z taką siłą, że krople odbijają się od ziemi do wysokości kostek.

W mroku miga mi jakaś barwna plama, więc ruszam w jej stronę. Widzę czerwoną chustkę przybitą gwoździem do drzewa – pewnie pozostałość po jakiejś zapomnianej dziecięcej zabawie. Szukam następnej i odnajduję ją parę metrów dalej, potem kolejną i jeszcze jedną. Zmierzając chwiejnym krokiem od jednej do drugiej, w końcu docieram na skraj ciemnego lasu, gdzie zza drzew ukazuje się rozłożysta rezydencja w stylu georgiańskim ze spowitą bluszczem ceglana fasadą. Dom wygląda na opuszczony. Długi, wysypany żwirem podjazd prowadzący do drzwi wejściowych zarastają chwasty, prostokątnym trawnikom po obu stronach pozwolono zmienić się w grzędawisko, a kwiatom zwiędnąć.

Spoglądam w ciemne okna w poszukiwaniu oznak życia i wreszcie dostrzegam nagle światło na pierwszym piętrze. Powinienem poczuć ulgę, mimo to ciągle się waham. Mam wrażenie, jakbym natknął się na pogrążone we śnie stworzenie, a to niepewne światełko jest bijącym sercem nieruchomej i groźnej bestii. Po co morderca dawałby mi kompas, jeśli nie po to, by zaprowadzić mnie w paszczę jeszcze większego zła?

Myśl o Annie zmusza mnie do zrobienia pierwszego kroku. Straciła życie z powodu trzydziestu sekund mojego niezdecydowania, a teraz znowu jestem w rozterce. Opanowuję nerwy, ocieram z oczu krople deszczu i przecinam trawnik, by wejść po kruszącym się schodkach. Tłukę w drewno drzwi z dziecinna wściekłością, trwoniąc na to resztki sił. W lesie zdarzyło się coś strasznego i sprawcy można jeszcze wymierzyć karę, jeżeli tylko uda mi się obudzić mieszkańców domu.

Niestety, to mi się nie udaje.

Chociaż słabnę od walenia w drzwi, nikt ich nie otwiera.

Oślaniając dłońmi oczy, przyciskam nos do wysokich okien po obu stronach, ale witrażowe szybki są lepkie od brudu i widać przez nie tylko niewyraźne żółtawe plamy. Uderzam w nie otwartą dłonią, po czym odsuwam się od frontu, by znaleźć inne wejście. Wtedy dostrzegam sznur dzwonnka, właściwie zardzewiały łańcuszek wplątany w bluszcz. Wydobywam go z pnącza i zaczynam szarpać, aż wreszcie za oknami coś się porusza.

Drzwi otwiera mi zaspany jegomość o tak niezwykłym wyglądzie, że przez chwilę po prostu stoimy i gapimy się na siebie. Jest niski, zgięty i pomarszczony od ognia, który oszpecił mu połowę twarzy. Zdecydowanie za duża piżama wisi na chuderławej sylwetce jak na wieszaku, zgarbione ramiona okrywa znoszony brązowy szlafrok. Prawie nie przypomina człowieka, raczej zagubiony w meandrach ewolucji relikw jakiegoś dawniejszego gatunku.

– Och, dzięki Bogu, potrzebuję pana pomocy – mówię, kiedy dochodzę do siebie.

Patrzy na mnie z szeroko otwartymi ustami.

– Ma pan telefon? – próbuję dalej. – Musimy zawiadomić władze.

Cisza.

– Człowieku, nie stój jak kolek! – krzyczę i potrząsam nim, po czym odtrącam go na bok i wpadam do holu. Kiedy rozglądam się po pomieszczeniu, szczęka mi opada. Każda powierzchnia lśni, w szachownicy marmurowej posadzki odbija się kryształowy żyrandol z dziesiątkami świeczek. Na ścianach wiszą lustra w ramach, po szerokich schodach ze zdobioną balustradą, które prowadzą na galerię, spływa wąski czerwony dywan jak struga krwi ubitego zwierzęcia.

W głębi domu trzaskają drzwi i pojawia się kilka osób ze służby z naręczami różowych i fioletowych kwiatów, których zapach tłumi woń gorącego wosku. Na widok zdyszanej zmory przy wejściu rozmowy milkną. Jedno po drugim spoglądają w moją stronę i wstrzymują oddech. Po chwili jedynym dźwiękiem w holu jest odgłos kropli wody spadających na czyściutką posadzkę.

Kap.

Kap.

Kap.

– Sebastian?

Po schodach, skacząc po dwa stopnie, zbiega przystojny blondyn w swetrze do gry w krykieta i lnianych spodniach. Z wyglądu ma ponad pięćdziesiąt lat, lecz nie mam przed sobą zmęczonego wiekiem człowieka – raczej nieco wymiętego dekadenta. Z rękami w kieszeniach rusza prosto w moim kierunku przez grupkę milczących służących, którzy usuwają mu się z drogi. Wątpię, czy w ogóle ich zauważa, bo całą uwagę skupia na mnie.

– Mój drogi, cóż ci się stało? – pyta, spoglądając na mnie z troską.

– Trzeba sprowadzić policję – mówię i chwytam go za przedramię. – Anna została zamordowana.

Podnosi się szmer przejętych szeptów.

Blondyn unosi brwi i obrzuca przelotnym spojrzeniem służbę, która podeszła o krok bliżej.

– Anna? – powtarza przyciszonym głosem.

– Tak. Ktoś ją gonił.

– Kto?

– Jakaś postać w czerni, musimy wezwać policję!

– Niebawem, niebawem, najpierw chodźmy do twojego pokoju – uspokaja mnie i prowadzi w stronę schodów.

Nie wiem, czy to panujące w domu ciepło, czy ulga na widok przyjaznej twarzy, ale nagle ogarnia mnie słabość i muszę się przytrzymać poręczy, żeby nie potknąć się o stopnie.

Na górze wita nas szafkowy zegar z zardzewiałym werkiem i wahadłem pokrytym kurzem odmierzonych sekund. Jest później, niż sądziłem, prawie wpół do jedenastej.

Korytarze po obu stronach prowadzą do przeciwległych skrzydeł domu, ale ten do wschodniego skrzydła zasłania aksamitna kotara, prowizorycznie przybita do sufitu, z przypiętą do materiału małą tabliczką, która informuje, że w tej części domu trwa „remont”.

Chcę zrzucić z siebie ciężar okropnych przeżyć poranka i jeszcze raz próbuję mówić o Annie, ale mój samarytanin ucisza mnie konspiracyjnym ruchem głowy.

– Ta przeklęta służba w pół minuty rozniesie twoje słowa po całym domu – wyjaśnia, zniżając głos tak bardzo, że niemal ściele się na podłodze. – Lepiej będzie, jeśli porozmawiamy na osobności.

Jest może metr ode mnie, ale z trudem udaje mi się iść w linii prostej, a co dopiero dotrzymać mu kroku.

– Mój drogi, wyglądasz strasznie – mówi, zauważywszy, że zostaję z tyłu.

Podtrzymuje mnie pod ramię i kładzie mi dłoń na plecach, lekko naciskając palcami kręgosłup. W tym prostym gościu wyczuwam pośpiech, z którym prowadzi mnie ciemnym korytarzem z sypialniami po obu stronach, gdzie pokojówki ścierają kurz. Ściany chyba niedawno odmalowano, bo od oparów farby oczy zachodzą mi łzami, a dalej pojawiają się kolejne dowody pospiesznego odnawiania wnętrza. Podłogę przykrywają różnobarwne dywaniki, które mają stłumić skrzypienie desek. Fotele ustawiono w taki sposób, aby zasłaniały pęknięcia na ścianach, a obrazy i porcelanowe wazony mają odciągnąć uwagę od sypiących się gzymsów. Próby zamaskowania takich uszkodzeń wydają się daremne. Udekorowano ruinę.

– A oto i twoja sypialnia, prawda? – odzywa się mój towarzysz, otwierając drzwi prawie na końcu korytarza.

Na twarzy czuję uderzenie zimnego powietrza, które odrobinę mnie ożywia, ale mój opiekun natychmiast idzie zasunąć okno. Wchodzę za nim do ładnego pokoju, gdzie pośrodku stoi łoże z istic królewskim, choć nieco obwisłym baldachimem i wytartymi, haftowanymi w ptaki zasłonami, które rozchodzą się, a raczej rozfruwają w szwach. Po lewej część pomieszczenia jest oddzielona składanym parawanem; przez szczeliny między jego skrzydłami dostrzegam metalową wannę. Reszta umeblowania prezentuje się skromnie – stolik nocny i duża szafa pod oknem, jedno i drugie odrapane i wyblakłe. Chyba jedynym osobistym przedmiotem jest leżąca na stoliku Biblia ze sfatygowaną okładką i pozaginаныmi rogami.

Podczas gdy mój samarytanin mocuje się z opornym oknem, podchodzę i staję obok niego; widok na moment sprawia, że zapominam o wszystkim innym. Otacza nas gęsty las, którego zielonego okapu nie przerywa żadna droga ani wioska. Bez kompasu, bez uprzejmości mordercy, nigdy nie odnalazłbym tego domu, mimo to nie mogę się pozbyć wrażenia, że zostałem zwabiony w pułapkę. Bo czy zabiłby Annę, a mnie oszczędził, gdyby nie krył się za tym jakiś większy plan? Czego ten drań ode mnie chce, czego nie mógł uzyskać w lesie?

Mój towarzysz w końcu zatrzaskuje okno i wskazuje fotel przy przygaszonym kominku, a potem, podając mi czysty biały ręcznik z szafy,

przysiada na skraju łóżka i zakłada nogę na nogę.

– Zaczynaj od początku, stary – proponuje.

– Nie ma czasu – mówię i zaciskam palce na poręczy fotela. – Później odpowiem na wszystkie pytania, ale najpierw trzeba wezwać policję i przeszukać ten las! Grasuje tam szaleniec.

Prześlizguje się wzrokiem po mnie, jak gdyby rozwiązanie zagadki kryło się w fałdach mojego brudnego ubrania.

– Niestety, nie możemy nikogo wezwać, nie ma tu telefonu – wyjaśnia, pocierając szyję. – Można jednak przeszukać las i wysłać służącego do wioski, gdybyśmy coś znaleźli. Ile potrzebujesz czasu, żeby się przebrać? Będziesz musiał nam pokazać, gdzie to się stało.

– No... – bąkam, wykręcając ręcznik – trudno mi powiedzieć, byłem zdezorientowany.

– W takim razie skupmy się na opisie – odpowiada i podciąga nogawkę, odsłaniając szarą skarpetę. – Jak wyglądał morderca?

– Nie widziałem jego twarzy, miał na sobie gruby czarny płaszcz.

– A ta Anna?

– Też była ubrana na czarno – mówię i czuję, jak gorąco oblewa mi policzki, bo uświadamiam sobie, że na tym kończy się mój zasób informacji. – Właściwie... znam tylko jej imię.

– Przepraszam, Sebastianie, przypuszczałem, że to twoja znajoma.

– N... nie – jąkam. – To znaczy... być może. Nie jestem pewien.

Mój opiekun opuszcza rękę i pochyla się ze zmieszonym uśmiechem.

– Chyba czegoś nie rozumiem. Jak możesz znać jej imię, ale nie być pewnym...

– Bo straciłem pamięć, do cholery! – przerywam mu i to wyznanie pada między nami z hukiem jak kamień. – Nie pamiętam, jak sam się nazywam, a co dopiero moi znajomi.

Jego oczy zasnuwa cień powątpiewania. Trudno mu się dziwić; nawet w moich uszach brzmi to niedorzecznie.

– Moja pamięć nie potrafi skojarzyć niczego z tym, co widziałem – ciągnę uparcie, czepiając się strzępów własnej wiarygodności. – Zobaczyłem kobietę, którą ktoś gonił, potem usłyszałem jej krzyk, który został uciszony strzałem z pistoletu. Musimy przeszukać las!

– Ach, tak. – Waha się, strzepując jakiś pyłek z nogawki. Jego następne słowa to starannie przemyślana oferta, którą przedstawia mi z wielką

uwagą i ostrożnością:

– A czy nie jest prawdopodobne, że widziałeś dwoje kochanków? Może po prostu bawili się w lesie? A ten dźwięk mógł być trzaskiem łamanej gałęzi... albo wystrzałem z pistoletu startowego.

– Nie, nie, ona wzywała pomocy, bała się – zaprzeczam gwałtownie i podrywam się z fotela; ręcznik spada na podłogę.

– Oczywiście, oczywiście – uspokaja mnie blondyn, przyglądając się, jak chodzę po pokoju. – Naprawdę ci wierzę, mój drogi, ale policja jest w takich sprawach szalenie precyzyjna i uwielbia robić głupców z wyżej postawionych ludzi.

Patrzę na niego bezradnie i tonę w morzu banałów.

– Jej morderca dał mi to. – Przypominam sobie o kompasie i błyskawicznie wyjmuję go z kieszeni. Jest zabłocony, więc muszę go przetrzeć rękawem. – Z tyłu są litery. – Wskazuję je drżącym palcem.

Metodycznie ogląda kompas z każdej strony spod przymrużonych powiek.

– SB – odczytuje powoli i unosi wzrok.

– Tak!

– Sebastian Bell. – Przez chwilę stara się ocenić, do jakiego stopnia jestem dezorientowany. – Tak się nazywasz, Sebastianie. To twoje inicjały. I twój kompas.

Otwieram i zamykam usta, lecz nie wydają żadnego dźwięku.

– Musiałem go zgubić – odzywam się w końcu. – Pewnie morderca go znalazł.

– Być może – przytakuje.

Obezwładnia mnie jego życzliwość. Uważa mnie za kogoś niespełna rozumu, pijanego głupca, który spędził noc w lesie, a po powrocie bredzi. Mimo to, zamiast wpaść w gniew, lituje się nade mną. Właśnie to jest najgorsze. Gniew to coś konkretnego, ma swoją wagę. Można się na niego rzucić z pięściami. A litość jest jak mgła, w której łatwo się zgubić.

Z powrotem siadam w fotelu, ukrywam twarz w dłoniach. W lesie grasuje morderca, a ja nie potrafię przekonać tego człowieka, że grozi nam niebezpieczeństwo.

Morderca, który pokazał ci drogę do domu?

– Wiem, co widziałem – mówię.

Nie wiesz nawet, kim jesteś.

– Na pewno – odpowiada mój towarzysz, opacznie rozumiejąc sens mojego protestu.

Patrzę w przestrzeń i myślę tylko o kobiecie o imieniu Anna, która leży w lesie martwa.

– Wiesz co, odpocznij tu – radzi mi, wstając. – Spytam w domu, sprawdzę, czy kogoś nie brakuje. Może dzięki temu coś się wyjaśni.

Mówi pojednawczym, ale rzeczowym tonem. Choć jest dla mnie miły, nie mogę liczyć na to, że cokolwiek zdoła; zbyt duże ma wątpliwości co do moich słów. Gdy tylko zamkną się za nim drzwi, bez przekonania rzuci służbie parę pytań, a tymczasem Anna dalej będzie leżała opuszczona.

– Widziałem, jak zamordowano kobietę – mówię, dźwigając się z trudem na nogi. – Kobietę, której powinienem pomóc, i jeżeli będę musiał przeszukać cały las kawałek po kawałku, żeby to udowodnić, jestem gotowy to zrobić.

Przez sekundę patrzy mi w oczy i wobec mojej niezachwianej pewności jego sceptycyzm słabnie.

– Od czego zaczniesz? – pyta. – Ten las ma tysiące akrów i chociaż nie wątpię w twoje dobre intencje, ledwie wszedłeś po schodach. Nie wiem, kim jest ta Anna, ale już nie żyje, a jej morderca uciekł. Daj mi godzinę, żebym zebrał grupę poszukiwawczą i wypytał ludzi. Ktoś w tym domu musi wiedzieć, kim ona jest i dokąd poszła. Znajdziemy ją, obiecuję, ale trzeba to zrobić we właściwy sposób.

Ściska mnie za ramię.

– Zrobisz to dla mnie? Proszę o jedną godzinę.

Mam sprzeciw na końcu języka, ale on ma rację. Muszę odpocząć, odzyskać siły i mimo że z powodu śmierci Anny dręczą mnie wyrzuty sumienia, nie chcę samotnie tropić w lesie zabójcy. Przecież ledwie się stamtąd dowlokłem.

Poddaję się potulnym skinieniem głowy.

– Dziękuję, Sebastianie – mówi. – Kąpiel jest gotowa. Powinieneś się umyć. Poślę po lekarza i poproszę pokojowego, żeby przyniósł ci jakieś ubranie. Odpocznij trochę, spotkamy się na lunchu w salonie.

Zanim wyjdzie, powinienem zapytać, gdzie to jest, mam taki zamiar, ale niecierpliwie się; chcę, by wreszcie poszedł wypytać służbę, żebyśmy mogli zacząć poszukiwania. Tylko jedna rzecz wydaje mi się ważna i kiedy znajduję odpowiednie słowa, blondyn stoi już w otwartych drzwiach.

– Czy mam w tym domu jakąś rodzinę? – pytam. – Kogoś, kto się o mnie martwi?

Spogląda na mnie przez ramię z mieszaniną nieufności i współczucia.

– Jesteś kawalerem, stary. Nie masz żadnej rodziny oprócz jakiejś zbzikowanej ciotki, która trzyma łąkę na twoim majątku. Oczywiście masz przyjaciół, między innymi mnie, ale o tej Annie nigdy mi nie wspominałeś. Prawdę mówiąc, aż do dzisiaj nigdy nie słyszałem, żebyś w ogóle wymawiał to imię.

Zakłopotany odwraca się plecami i znika w zimnym korytarzu, zostawiając mnie z moim rozczarowaniem i wąłym ogniem w kominku, który migocze niepewnie, kiedy za mężczyzną zamykają się drzwi.

3

Zanim jeszcze ustał podmuch powietrza z korytarza, zrywam się z fotela i otwieram szuflady w szafce nocnej, szukając w swoich rzeczach jakiegoś śladu Anny, który mógłby udowodnić, że ta kobieta nie jest tylko wytworem skołatanego umysłu. Niestety, sypialnia okazuje się wyjątkowo skryta. Oprócz portfela, w którym tkwi kilka funtów, jedynym przedmiotem osobistym jest zaproszenie ze złotymi tłoczeniami, w którym na pierwszej stronie umieszczono listę gości, a na odwrocie wiadomość zanotowaną eleganckim charakterem pisma.

Lord i lady Hardcastle mają zaszczyt zaprosić Pana na bal maskowy z okazji powrotu ich córki Evelyn z Paryża. Przyjęcie odbędzie się w Blackheath House w drugi weekend września. Ze względu na położenie rezydencji na ustroniu wszystkim gościom zostanie zapewniony transport z pobliskiej wsi Abberly.

Zaproszenie jest adresowane do doktora Sebastiana Bella – dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że to moje imię i nazwisko. Wspominał mi o tym mój opiekun, ale kiedy widzę je czarno na białym, wraz ze swoją profesją, ogarnia mnie daleko większy niepokój. W ogóle nie czuję się Sebastianem, a tym bardziej lekarzem.

Po mojej twarzy przemyka drwiący uśmiech.

Ciekawe, ilu moich pacjentów pozostanie mi wiernych, gdy podejść do nich z nałożonym odwrotnie stetoskopem.

Wrzucam zaproszenie z powrotem do szuflady, kieruję uwagę na leżącą na stoliku Biblię i przeglądam mocno sfatygowane stronicy. Niektóre akapity są zaznaczone, przypadkowe słowa zakreślone na czerwono, choć za nic w świecie nie potrafię zrozumieć ich znaczenia. Liczyłem na to, że znajdę

jakąś dedykację albo ukryty wewnątrz list, ale z Biblii nie mogę zaczerpnąć wiedzy. Ściskam ją w obu dłoniach i niezdarnie próbuję się modlić w nadziei, że pomoże to rozbudzić we mnie wiarę, jeżeli kiedyś ją miałem, lecz wszystkie te zabiegi wydają mi się absurdalne. Religia opuściła mnie jak cała reszta.

Następnie zabieram się do przeszukania szafy i choć kieszenie moich ubrań są puste, to pod stertą pledów odkrywam kufer podróżny. Piękna, stara rzecz, ze zmatowiałymi żelaznymi okuciami obejmującymi wysłużoną skórę i z solidną kłamrą, która chroni zawartość przed wzrokiem wścibskich. Na przywieszonej kartce jest londyński adres – przypuszczam, że mój – ale nie przywołuje żadnych wspomnień.

Zdejmuję marynarkę, dźwigam kufer i stawiam na gołych deskach podłogi, przy każdym ruchu podzwaniając jego zawartością. Kiedy naciskam przycisk zwalniający kłamrę, z moich ust wyrywa się pomruk podniecenia, który przeradza się w jęk, bo okazuje się, że ta przekłeta skrzynia jest zamknięta na klucz. Szarpnię wieko raz i drugi, ale nie ustępuje. Jeszcze raz przetrząsam otwarte szuflady i szafę, kładę się nawet na brzuchu, żeby zajrzeć pod łóżko, lecz znajduję tam tylko kurz i kulki trucizny na szczury.

Nigdzie nie mogę znaleźć kluczyka.

Jedynym dotąd nieprzeszukanym miejscem jest część pokoju, w której stoi wanna, wpadam więc jak opętany za parawan i omal nie wyskakuję ze skóry na widok jakiegoś stwora o szalonym wzroku, który czai się po drugiej stronie.

To lustro.

Stwór o szalonym wzroku wygląda na tak samo stropionego tym odkryciem jak ja.

Niepewnym krokiem podchodzę do lustra i oglądam się po raz pierwszy, czując coraz większe rozczarowanie. Dopiero teraz, kiedy przypatruję się temu dygoczącemu, przerażonemu osobnikowi, uświadamiam sobie, że miałem wobec siebie pewne nadzieje. Że będę wyższy, niższy, szczuplejszy, grubszy... nie wiem... ale że nie będę tak nijaki jak ta postać w tafli szkła. Ciemne włosy, ciemne oczy, prawie niewidoczny podbródek i twarz, jaką trudno wyłowić z tłumu; zwykły materiał, którym Bóg wypełnia ubytki w ludzkości.

Szybko nudzi mnie własne odbicie, wracam więc do poszukiwań kluczyka do kufra, nie ma tu jednak nic prócz przyborów toaletowych

i dzbanka wody. Kimkolwiek byłem, wygląda na to, że przed zniknięciem wszystko po sobie starannie posprzątałem. Z rozpaczy chce mi się wyć, gdy nagle rozlega się pukanie do drzwi. Pięć energicznych uderzeń jednoznacznie wyraża osobowość przybysza.

– Sebastianie, jesteś tam? – odzywa się szorstki głos. – Nazywam się Richard Acker, jestem lekarzem. Proszono mnie, żebym do ciebie zajrzał.

Otwieram drzwi i widzę sumiaste siwe wąsy. Niezwykły jest widok ich podkreślonych końców odstających od twarzy, z którą teoretycznie powinny być połączone. Sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna za ich zasłoną jest całkiem łysy, ma perkaty nos i przekrwione oczy. Czuć od niego brandy, ale ten zapach sprawia pogodne wrażenie, jak gdyby doktor każdą kroplę wypił z uśmiechem.

– Boże, wyglądasz strasznie – oznajmia. – I to jest fachowa opinia.

Wykorzystując moją dezorientację, mija mnie, rzuca czarną torbę lekarską na łóżko, uważnie rozgląda się po sypialni i skupia uwagę na kufrze.

– Też kiedyś taki miałem. – Z czułością gładzi wieko. – Lavolaille, zgadza się? Towarzyszył mi w podróży na Daleki Wschód i z powrotem, kiedy byłem w wojsku. Powiada się, żeby nie ufać Francuzom, ale nie potrafię się obyć bez ich kufrów.

Kopie go lekko i krzywi się, ponieważ stopa odbija się od nieustępliwej skóry.

– Chyba trzymasz tam cegły – mówi, spoglądając na mnie wyczekująco, jakby na coś takiego można było sensownie odpowiedzieć.

– Jest... zamknięty – bąkam.

– I nie możesz znaleźć kluczyka, hm?

– No... nie, doktorze Acker, właściwie...

– Mów mi Dickie – proponuje. – Wszyscy tak mnie nazywają. – Podchodzi do okna, by wyrzucić na zewnątrz. – Prawdę powiedziawszy, nigdy nie przepadałem za tym imieniem, ale chyba przyłgnęło. Daniel mówi, że spotkało cię jakieś nieszczęście.

– Daniel? – powtarzam, usiłując nie stracić wątku, który mi umyka.

– Coleridge. Ten, który cię rano znalazł.

– Ach, tak.

Na widok mojego zmieszania doktor Dickie rozpromienia się w uśmiechu.

– Utrata pamięci, tak? Nie ma się czym martwić, widziałem parę takich przypadków na wojnie. Wystarczyło kilka dni i wszystko wracało, bez względu na to, czy pacjent tego chciał, czy nie.

Wskazuje w stronę kufra i zmusza mnie, abym na nim usiadł. Przechylając mi do przodu głowę, ogląda moją czaszkę z delikatnością rzeźnika i chichocze, kiedy się krzywię.

– Tak jest, masz tu niezłego siniaka. – Zastanawia się przez chwilę. – Pewnie w nocy uderzyłeś w coś głową. I przypuszczam, że wtedy wszystko się z niej wysypało, by tak rzec. Jakies inne objawy, ból głowy, nudności...?

– Słyszę głos – odpowiadam, nieco zażenowany tym wyznaniem.

– Głos?

– W głowie. Myślę, że to mój głos, tylko że... jest taki pewny wielu rzeczy.

– Rozumiem – rzuca w zamyśleniu. – A co mówi ten... głos?

– Daje mi rady, czasem komentuje to, co robię.

Dickie zaczyna spacerować za moimi plecami, skubiąc wąs.

– Czy te rady są... jak by to powiedzieć... uczciwe i przyzwoite? Nie sugerują żadnej przemocy, perwersji?

– Absolutnie nie – odburkuję zirytowany takim wścibstwem.

– A teraz go słyszysz?

– Nie.

– Trauma – orzeka nagle i unosi palec. – Nic innego, to zresztą często spotykane. Ktoś uderza się w głowę i zaczynają się z nim dziać przeróżne dziwne rzeczy. Widzi zapachy, czuje smak dźwięków, słyszy głosy. Zwykle trwa to dzień czy dwa, najwyżej miesiąc.

– Miesiąc! – Obracam się na kufrze, żeby spojrzeć na Dickiego. – Jak mam sobie dać radę w tym stanie przez miesiąc? Może powinienem pójść do szpitala?

– Boże drogi, nie, szpitale to straszne miejsca – oświadczają ze zgrozą. – Choroba i śmierć zamiecione do kątów, w łóżkach pacjenci skręcający się z bólu. Posłuchaj mojej rady: idź na spacer, poszperaj w swoich rzeczach, porozmawiaj ze znajomymi. Widziałem, jak wczoraj przy kolacji osuszyliście butelkę z Michaelem Hardcastle'em... ściślej mówiąc, parę butelek. Powinien ci pomóc i wierz mi, kiedy wróci pamięć, przestaniesz słyszeć ten głos.

Cmoka z dezaprobatą.

– Bardziej martwi mnie ta ręka.

Przerywa nam pukanie do drzwi. Zanim udaje mi się zaprotestować, Dickie otwiera. To pokojowy Daniela, który zgodnie z jego obietnicą przynosi wyprasowane ubranie. Wyczuwając moje niezdecydowanie, Dickie bierze garderobę, odprawia służącego i kładzie rzeczy na łóżku.

– Na czym to stanęliśmy? – pyta. – Ach, tak, ręka.

Podążam wzrokiem za jego spojrzeniem i widzę krwawe wzory na rękawie swojej koszuli. Bez ceregieli podciąga mi rękaw, odsłaniając paskudne cięcia i poszarpane ciało. Rany zdążyły się już pokryć strupami, ale musiały się otworzyć na skutek moich niedawnych wysiłków.

Zagina moje zeszywniałe palce jeden po drugim, po czym wyjmuję z torby brązową buteleczkę i bandaże, oczyszcza rany i przemywa jodyną.

– To rany od noża, Sebastianie – wyjaśnia zatroskanym tonem, w którym nie ma już śladu pogodnego nastroju. – I to świeże. Wygląda na to, że uniosłeś rękę, żeby się osłonić, w taki sposób. – Pokazuje mi za pomocą kropplomierza wyjętego z torby lekarskiej, którym zawzięcie tnie swoje uniesione przed twarz przedramię. Odegrana przez niego scenka wystarcza, abym dostał gęziej skórki. – Przypominasz sobie coś z tego wieczoru? – pyta, bandażując mi rękę tak ciasno, że syczę z bólu. – Cokolwiek?

Skupiam myśli na wyrwanych z życia godzinach. Kiedy się ocknąłem, przypuszczałem, że przepadły na zawsze, teraz jednak mam wrażenie, że byłem w błędzie. Wspomnienia są niemal w zasięgu ręki. Mają swój ciężar i kształt, jak przykryte zasłonami meble w ciemnym pokoju. Po prostu źle ustawiłem światło i nie potrafię ich zobaczyć.

Z ciężkim westchnieniem kręcę głową.

– Nic nie wraca – mówię. – Ale dzisiaj rano widziałem...

– ...jak zamordowano kobietę – kończy za mnie lekarz. – Tak, Daniel mi mówił.

W każdym jego słowie brzmi nuta powątpiewania, mimo to zawiązuje bandaż, nie szczędząc sobie komentarzy.

– Tak czy inaczej, musisz natychmiast powiadomić policję – radzi. – Ten, kto to zrobił, próbował ci wyrzucić poważną krzywdę.

Bierze swoją torbę z łóżka i niezgrabnie ściska mi dłoń.

– Strategiczny odwrót, mój chłopcze, to najlepsze posunięcie w tej sytuacji – oświadcza. – Porozmawiaj z masztalerzem, powinien ci zorganizować transport do wsi, a stamtąd będziesz już mógł zaalarmować policję. Tymczasem lepiej miej się na baczności. Ten weekend spędza

w Blackheath dwadzieścia osób, a na dzisiejszy bal zjedzie jeszcze trzydzieści. Większość z nich byłaby do tego zdolna, więc jeśli kogoś z nich obraziłeś... – kręci głową – lepiej bądź ostrożny, dobrze ci radzę.

Wychodzi, a ja łapię leżący na komodzie klucz i gdy drżącą ręką w końcu udaje mi się trafić do dziurki, zamykam drzwi.

Jeszcze godzinę temu sądziłem, że jestem dla zabójcy tylko igraszką, że się ze mną drażni, ale nie zamierza mi zrobić nic poważnego. W otoczeniu ludzi poczułem się na tyle bezpiecznie, by domagać się podjęcia próby odnalezienia ciała Anny i rozpoczęcia pościgu za mordercą. Sytuacja się zmieniła. Ktoś już próbował pozbawić mnie życia, nie zamierzam więc pozwolić, by to się powtórzyło. Umarli nie są wierzycielami żywych i swój dług wobec Anny będę musiał spłacić z oddali. Kiedy spotkam się w salonie ze swoim opiekunem, posłucham rady Dickiego i postaram się o transport do wsi.

Pora wracać do domu.

Woda przelewa się przez krawędzie wanny, a ja pospiesznie pozbywam się drugiej skóry z błota i liści. Oglądam wyszorowane różowe ciało, szukając znamion czy blizn, które mogłyby poruszyć jakieś wspomnienie. Za dwadzieścia minut mam być na dole, a wiem o Annie tyle samo co w chwili, gdy chwiejnym krokiem podszedłem do drzwi Blackheath. Zderzenie z murem własnej niepamięci było już dostatecznie frustrujące, kiedy sądziłem, że pomogę w poszukiwaniach, teraz jednak moja niewiedza może udaremnić całe przedsięwzięcie.

Kiedy kończę kąpiel, woda w wannie jest czarna jak moje myśli. Wycieram się przygnębiony i przeglądam wyprasowane ubranie, które przyniósł pokojowy. Odnoszę wrażenie, że wybrał dość oficjalne i konserwatywne rzeczy, ale przyglądając się alternatywnym strojom w szafie, natychmiast pojmuję jego dylemat. Garderoba Bella – naprawdę nie potrafię się jeszcze z nim utożsamiać – składa się z kilku identycznych garniturów, dwóch smokingów, odzieży myśliwskiej, kilkunastu koszul i kilku kamizelek. Wszystko w odcieniach szarości i czerni – nijaki uniform życia, które jak dotąd wygląda na wyjątkowo anonimowe. Sama myśl, że ten człowiek mógł obudzić w kimś chęć mordy, staje się najbardziej groteskowym elementem tego poranka.

Ubieram się pospiesznie, ale nerwy mam tak zszargane, że muszę wziąć głęboki oddech i surowym słowem upomnieć własne ciało, aby skłonić je do podejścia do drzwi.

Instynkt podpowiada mi, żebym włożył coś do kieszeni, wyciągam więc w stronę komody rękę, lecz ta bezradnie zawisa w powietrzu. Próbuję wziąć przedmioty, których tam nie ma i których nie pamiętam. To zapewne jedna z rutynowych czynności Bella, cień mojego dawnego życia, które wciąż mnie prześladowuje. Chęć jest tak przemożna, że czuję się strasznie z pustymi

rękami. Niestety, jedyną rzeczą, którą zdołałem przynieść z lasu, był ten przeklęty kompas, ale nigdzie go nie widzę. Pewnie zabrał go mój opiekun – człowiek, którego doktor Dickie nazwał Danielem Coleridge'em.

Gdy wychodzę na korytarz, mrozi mnie niepokój.

Mam w pamięci tylko jeden poranek, ale nawet nad tymi wspomnieniami nie potrafię zapanować.

Ktoś ze służby wskazuje mi drogę do salonu znajdującego się po drugiej stronie jadalni, kilka pokoi od marmurowego holu, do którego wkroczyłem rano. To nieprzyjemne pomieszczenie; ciemne drewno i szkarłatne zasłony przywodzą na myśl olbrzymią trumnę. Z kominka unosi się gęsty dym. Zebrało się tu kilkanaście osób i choć stół jest zastawiony półmiskami wędlin i zimnych mięs, większość gości siedzi na skórzanych fotelach albo stoi przy oknach witrażowych i spogląda smętnie na okropną pogodę, a służąca z plamami dżemu na fartuchu dyskretnie przemyka między nimi, zbierając brudne naczynia i puste szkło na ogromną srebrną tacę, którą z trudem dźwiga. Przy fortepianie w rogu usadowił się pulchny jegomość w zielonym tweedowym stroju myśliwskim i gra jakąś wulgarną melodię, która razi uszy głównie z powodu nieudolności wykonania. Nikt nie zwraca na niego większej uwagi, mimo że on ze wszystkich sił stara się to zmienić.

Dochodzi południe, ale nigdzie nie widzę Daniela, zajmuję się więc oglądaniem przeróżnych karafek w barkach, choć nie mam pojęcia, jakie są w nich trunki ani które lubię. W końcu nalewam sobie coś brązowego i licząc na jakiś przebłysk, odwracam się do pozostałych gości. Jeśli ktoś z nich jest odpowiedzialny za rany na moim ramieniu, powinienem od razu dostrzec jego irytację, gdy ujrzy mnie całego i zdrowego. Gdyby się ujawnił, mój krnąbrny umysł chyba nie zataiłby przede mną jego tożsamości, prawda? Oczywiście pod warunkiem, że potrafiłbym znaleźć sposób na rozróżnienie tych ludzi. Prawie każdy mężczyzna to hałaśliwy rumiany gbur w tweedowym stroju myśliwskim, natomiast kobiety są skromnie ubrane w spódnice, lniane bluzki i kardigany. W przeciwieństwie do rozkrzyczanych mężów poruszają się bezszelestnie, mówią przyciszonymi głosami i zerkają na mnie kątem oka. Wydaje mi się, że wszyscy obserwują mnie ukradkiem jak okaz rzadkiego ptaka. Okropnie nieprzyjemne uczucie, chociaż pewnie nie powinienem się dziwić ich reakcjom. Daniel nie mógł zasięgnąć języka wśród gości i domowników, nie zdradzając mojego stanu. Czy mi się to podoba, czy nie, stałem się dla nich atrakcją.

Sącząc drinka, próbuję zająć uwagę podsłuchiwaniami rozmów w salonie, ale czuję się przy tym tak, jak gdybym wsadził głowę w krzew róż. Połowa gości utyskuje, druga połowa wysłuchuje utyskiwań. Nie podoba im się zakwaterowanie, jakość potraw, opieszłość służby, odizolowanie domu oraz to, że mogli dojechać tylko do wioski, a stamtąd ich odebrano (choć Bóg jeden wie, jak by znaleźli to miejsce). Głównie jednak złością się dlatego, że nie zostali przywitani przez lady Hardcastle, która jeszcze się nie pojawiła, mimo że wielu z nich przybyło do Blackheath poprzedniego wieczoru – najwyraźniej odebrali to jako osobistą zniewagę.

– Przepraszam, Ted – mówi służąca, próbując się precyzyjnie przycisnąć obok pięćdziesięciokilkuletniego mężczyzny o szerokim torsie, ogorzałych policzkach i przerzedzonych rudych włosach. Zielony tweed opina sporą, niemal już otyłą sylwetkę, a twarz rozświetlają błękitne oczy.

– Ted? – rzuca mężczyzna ze złością, po czym łapie ją za nadgarstek i ściska tak mocno, że dziewczyna krzywi się z bólu. – Jak ci się wydaje, do kogo mówisz, Lucy? Dla ciebie jestem pan Stanwin i nie gniję już ze szcurami na dole.

Wstrząśnięta kiwa głową, spoglądając po twarzach obecnych w poszukiwaniu pomocy. Nikt się nie rusza; nawet fortepian zapomina języka w pudle. Uświadamiam sobie, że wszyscy panicznie boją się tego człowieka. Wstyd mi, ale czuję się przez to lepiej. Stoję jak wryty i spod spuszczonej powieki obserwuję starcie, modląc się w duchu, aby jego prostacki atak nie skierował się przeciwko mnie.

– Puść ją, Ted – mówi od drzwi Daniel Coleridge.

W jego ostrym i stanowczym głosie brzmi złowroga nuta.

Stanwin sapie przez nos i zwięzonymi oczami spogląda na Daniela. Trudno spodziewać się równej walki. Stanwin jest krępy, krzepki i pluje jadem. Mimo to na widok pozy Daniela, który stoi z rękami w kieszeniach i przechyloną głową, wyraźnie się waha. Być może obawia się, aby nie potrafił go pociąg, na który wydaje się czekać Daniel.

Jakiś zegar zbiera się na odwagę i tyka.

Z gniewnym pomrukiem Stanwin puszcza służącą i wychodzi, po drodze prawie ocierając się o Daniela i mamrocząc coś, co trudno mi usłyszeć.

Salon oddycha z ulgą, fortepian wraca do przerwanej melodii, bohaterski zegar dalej odmierza czas, jak gdyby nic się nie stało.

Wzrok Daniela przesuwają się badawczo po każdym z nas po kolei.

Nie mogę znieść tego taksującego spojrzenia i patrzę na własne odbicie w oknie. Widzę na twarzy wyraz niesmaku, odrazy do niezliczonych wad mojego charakteru. Najpierw morderstwo w lesie, a teraz to. Na ile niesprawiedliwości jeszcze pozwolę, zanim wreszcie zdobędę się na odwagę, aby przejść do działania?

Daniel zbliża się do mnie jak widmo na szybie.

– Bell – mówi cicho, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Poświęcisz mi chwilę?

Idę za nim do pokoju obok, zgarbiony pod ciężarem wstydu, i czuję na plecach wzrok wszystkich obecnych. Pomieszczenie sprawia jeszcze bardziej ponure wrażenie: okna przysłania nieprzystrzyżony bluszcz, a odrobinę światła przedzierającego się do środka pochłaniają ciemne obrazy olejne. Biurko, które ustawiono z widokiem na trawnik, wygląda na niedawno opuszczone, bo z wiecznego pióra kapie atrament i wsiąka w oderwany kawałek bibuły, a obok leży nóż do papieru. Można sobie tylko wyobrazić, jakie listy powstają w tak przytłaczającej atmosferze.

W przeciwległym rogu, obok drugich drzwi gabinetu, stoi młody człowiek w zielonym tweedowym ubraniu i zaintrygowany zagląda w głośnik gramofonu, najprawdopodobniej zastanawiając się, dlaczego wirująca płyta nie wypełnia pokoju dźwiękiem.

– Po jednym semestrze w Cambridge już uważa się za drugiego Isambarda Kingdoma Brunela – mówi Daniel, na co młodzieniec unosi wzrok znad frapującej zagadki. Ma najwyżej dwadzieścia cztery lata, ciemne włosy i szeroką, płaską twarz, która wygląda, jakby przycisnął ją do tafli szkła. Na mój widok rozjaśnia się w dziecięcym uśmiechu i w mężczyźnie na chwilę ukazuje się chłopiec.

– Belly, ty idioto, jesteś! – wita mnie, ściskając mi dłoń i równocześnie klepiąc mnie po plecach.

Czuję się jak schwytany w imadło serdeczności.

Wyczekująco patrzy mi w twarz i mruży zielone oczy, widząc, że go nie poznaję.

– Rzeczywiście nic nie pamiętasz – stwierdza i zerka na Daniela. – Szczęściarz z ciebie! Chodźmy do baru, żebym mógł cię zapoznać z kacem.

– W Blackheath wieści szybko się rozchodzą – zauważam.

– Nuda to podatny grunt. Michael Hardcastle – przedstawia się. – Jesteśmy starymi przyjaciółmi, ale chyba stosowniej będzie powiedzieć, że znamy się od niedawna.

W tym stwierdzeniu nie ma cienia rozczarowania. Michael Hardcastle wydaje się wręcz rozbawiony. Już nasze pierwsze spotkanie pokazuje, że tego człowieka bawi większość rzeczy.

– Wczoraj na kolacji Michael siedział obok ciebie – wyjaśnia Daniel, który podjął przerwane przez Hardcastle'a oględziny gramofonu. – Chociaż wydaje mi się, że właśnie to mógł być powód, dla którego wyszedłeś i walnąłeś się w głowę.

– Nie protestuj, Belly, mamy nadzieję, że pewnego dnia uda mu się przypadkiem powiedzieć coś zabawnego – mówi Michael.

Milczą w oczekiwaniu na moją replikę, a jej brak wybija rozmowę z rytmu. Po raz pierwszy, odkąd ocknąłem się rano, ogarnia mnie tęsknota za moim dawnym życiem. Chciałbym znać tych ludzi. Brakuje mi serdecznej zażyłości z nimi. Twarze towarzyszy odzwierciedlają mój smutek, a niezręczna cisza oddziela mnie od nich głęboką przepaścią. W nadziei że odzyskam przynajmniej część zaufania, jakie musiało nas kiedyś łączyć, podwijam rękaw i pokazuję im bandaż, przez który zaczyna się już przesączać krew.

– Szkoda, że po prostu nie walnąłem się w głowę – mówię. – Doktor Dickie podejrzewa, że ktoś mnie wczoraj zaatakował.

– Drogi mój przyjacielu! – Daniel tłumi okrzyk.

– To przez ten przeklęty liścik, prawda? – pyta Michael, przyglądając się moim obrażeniom.

– O czym ty mówisz, Hardcastle? – Daniel unosi brwi. – Czy to znaczy, że wiesz coś na ten temat? Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej?

– Niewiele mam do powiedzenia – bąka z zakłopotaniem Michael, wbijając czubek buta w puszysty dywan. – Przy piątej butelce wina służąca przyniosła nam do stołu list. Zanim się zorientowałem, Belly przeprosił, wstał i próbował sobie przypomnieć, jak działają drzwi. – Zerka na mnie ze skruszoną miną. – Chciałem pójść z tobą, ale uparłem się, że musisz iść sam. Przypuszczałem, że masz spotkanie z jakąś kobietą, więc nie naciskałem. Wtedy widziałem cię ostatni raz, aż do tej chwili.

– Co było w tej wiadomości? – pytam.

– Nie mam bladego pojęcia, stary, nie widziałem jej.

– Pamiętasz służącą, która przyniosła list, albo czy Bell wspominał o jakiejś Annie? – wtrąca się Daniel.

Michael wzrusza ramionami, a na jego twarzy maluje się wyraz absolutnego skupienia na wspomnieniu tamtej chwili.

– O Annie? Niestety, nic mi to nie mówi. Natomiast służąca... – Nadyma policzki i wolno wypuszcza powietrze. – Czarna sukienka, biały fartuch. Do kroćset, Coleridge, bądźże rozsądny. Jest ich kilkadziesiąt, jak człowiek może spamiętać ich twarze?

Posyła nam obu bezradne spojrzenie, które Daniel zbywa zde gustowanym ruchem głowy.

– Nie martw się, stary, rozwiążemy tę zagadkę – zapewnia mnie, ściskając moje ramię. – Mam nawet pomysł, jak to zrobić.

Wskazuje na zawieszoną na ścianie mapę posiadłości oprawioną w ramy. To rysunek architektoniczny, poźółkły na brzegach i ze śladami wilgoci, ale całkiem ładnie przedstawia dom i teren wokół niego. Okazuje się, że Blackheath to wielki majątek z rodzinnym cmentarzem w zachodniej i stajnią we wschodniej części. Kręta ścieżka biegnie stąd nad jezioro, gdzie przy brzegu stoi hangar dla łodzi, a podjazd jest solidną drogą prowadzącą prosto w stronę wsi. Resztę terenu zajmuje las. Jak wskazuje widok za oknami na górze, jesteśmy otoczeni drzewami.

Na skórze czuję krople zimnego potu.

Miałem zniknąć w tym gąszczu, tak jak dziś rano Anna. Szukam własnego grobu.

Daniel zerka na mnie, wyczuwając mój niepokój.

– Samotne miejsce, prawda? – odzywa się półgłosem, wyjmując papierosa ze srebrnej papierošnicy, wkłada do ust, po czym przetrząsa kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki.

– Ojciec wywiózł nas tu, kiedy jego kariera polityczna się załamała – objaśnia Michael i zapala Danielowi papierosa; sam też się częstuje. – Staruszek wyobrażał sobie, że będzie ziemianinem. Oczywiście nie całkiem wyszło tak, jak się spodziewał.

Pytająco unoszę brew.

– Mój brat został zamordowany przez Charliego Carvera, jednego z naszych ogrodników – informuje mnie Michael z takim spokojem, jak gdyby podawał wyniki wyścigów.

Zdjęty zgrozą, że mogłem zapomnieć o tak strasznym wydarzeniu, jąkam słowa przeprosin.

– Przy... przykro mi, to musiało być...

– Okropnie dawno temu – przerywa mi Michael z nutą zniecierpliwienia w głosie. – Ściślej mówiąc, dziewiętnaście lat temu. Kiedy to się stało, miałem ledwie pięć lat i naprawdę prawie nic z tego nie pamiętam.

– W odróżnieniu od prasy brukowej – dodaje Daniel. – Carver z kolegą upili się jak bele i dopadli Thomasa niedaleko jeziora. Trochę go podtopili, a potem dobili nożem. Miał siedem lat. Przybiegł Ted Stanwin i spłoszył ich strzelbą, ale Thomas już nie żył.

– Stanwin? – Staram się, aby głos nie zdradzał mojego szoku. – Ten gbur z salonu?

– Nie mówiłbym tego zbyt głośno – radzi Daniel.

– Moi rodzice mają bardzo dobre zdanie o starym Stanwinie – wtrąca Michael. – Gdy próbował ratować Thomasa, był tylko prostym gajowym, ale ojciec w dowód wdzięczności podarował mu jedną z naszych afrykańskich plantacji i drań zbił majątek.

– Co się stało z mordercami? – pytam.

– Carvera powiesili. – Daniel strąca popiół na dywan. – Policja znalazła u niego nóż ukryty pod podłogą, a razem z nim kilkanaście butelek kradzionej brandy. Tego drugiego nie złapali. Stanwin utrzymuje, że trafił go ze strzelby, ale do miejscowego szpitala nie zgłosił się żaden ranny, a Carver nie chciał wydać współnika. W tamten weekend lord i lady Hardcastle wydawali przyjęcie, więc mógł to być ktoś z gości, ale rodzina stanowczo twierdziła, że żaden z nich nie znał Carvera.

– Same dziwne rzeczy – mówi Michael bezbarwnym tonem z miną ponurą jak chmury kłębiące się za oknami.

– Czyli współnik ciągle jest na wolności? – Po plecach przebiega mi dreszcz. Morderstwo dziewiętnaście lat temu i morderstwo dzisiaj rano. To na pewno nie może być zbieg okoliczności.

– Można by pomyśleć: od czego jest policja, prawda? – zauważa Daniel i milknie.

Zatrzymuję wzrok na Michaelu, który zagląda do salonu. Pokój zaczyna pustoszeć, ponieważ goście z wolna przechodzą do holu, a razem z nimi przenoszą się ich rozmowy. Nawet stąd słyszę rój brzęczących głosów, które zgryźliwie krytykują wszystko, od opłakanego stanu domu po pijaństwo lorda Hardcastle'a i wyniosłość Evelyn Hardcastle. Biedny Michael, nie wyobrażam sobie, co czuje, słysząc tak jawne szyderstwa ze swojej rodziny, i to w jej własnym domu.

– Słuchaj, nie przyszliśmy tu zanudzać cię zamierzchłą historią – przerywa ciszę Daniel. – Pytałem o Annę. I niestety, nie mam dobrych wiadomości.

– Nikt jej nie zna?

– Ani wśród gości, ani wśród służby nie ma nikogo o tym imieniu – przytakuje Michael. – A co ważniejsze, w Blackheath nikogo nie brakuje.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, lecz Michael powstrzymuje mnie ruchem ręki.

– Nigdy nie pozwalasz mi dokończyć, Belly. Nie mogę zorganizować grupy do poszukiwań, ale za dziesięć minut chłopaki wychodzą na polowanie. Jeżeli potrafisz mniej więcej wskazać miejsce, w którym się dzisiaj rano ocknąłeś, postaram się, żebyśmy kierowali się w tamtą stronę i mieli oczy otwarte. Idziemy w piętnastu, więc całkiem możliwe, że coś zauważymy.

Wzbiera we mnie fala wdzięczności.

– Dziękuję, Michaelu.

Uśmiecha się do mnie zza obłoku dymu z papierosa.

– Odkąd cię znam, Belly, nigdy nie miałeś skłonności do przesady i nie posądzam cię o nią teraz.

Wpatruję się w mapę, pragnąc jak najlepiej wykonać zadanie, ale nie mam pojęcia, gdzie widziałem Annę. Morderca kazał mi się kierować na wschód i wyłoniłem się z lasu przed wejściem do Blackheath, mogę się jednak tylko domyślać, jak długo szedłem i skąd wyruszyłem. Nabieram powietrza do płuc i zawierając się opatrności, kładę palec na szybie, a Daniel i Michael zaglądają mi przez ramię.

Michael kiwa głową i pociera podbródek.

– Powiem chłopakom. – Obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem. – Lepiej idź się przebrać. Zaraz wychodzimy.

– Nie idę – mówię zduszonym ze wstydu głosem. – Muszę... Po prostu nie mogę...

Michael z zakłopotaniem przestępuje z nogi na nogę.

– Dajże spokój...

– Rusz głową, Michael – wtrąca Daniel i kładzie mi dłoń na ramieniu. – Popatrz, co go spotkało. Biedny Bell ledwie wydostał się z lasu. Dlaczego miałby chcieć tam wracać? – Jego ton łagodnieje, gdy zwraca się do mnie: – Nie martw się, Bell, znajdziemy tę zaginioną dziewczynę i człowieka, który

ją zamordował. Zajmiemy się tym, a ty najlepiej trzymaj się od tej sprawy jak najdalej.

Stoję przy oknie, na wpół schowany za aksamitną zasłoną. Na podjeździe Michael kręci się wśród pozostałych mężczyzn. Wszyscy dźwigają na sobie grube kurtki, opierają strzelby o ręce zgięte w łokciach, śmieją się i gawędzą w białych oparach swoich oddechów. Wypuszczeni z domu, by zabawić się w rzeź, wyglądają niemal jak ludzkie istoty.

Słowa Daniela podniosły mnie na duchu, nie mogą mnie jednak rozgrzeszyć. Powinienem tam być i razem z nimi szukać kobiety, którą zawiodłem. A ja uciekam. Jedyna rzecz, którą mogę zrobić, to znieść wstyd, jaki mnie pali, gdy patrzę na innych wybierających się na poszukiwania beze mnie.

Pod oknem przebiegają psy, szarpiąc smycze ledwie utrzymywane przez przewodników. Obie hałaśliwe gromady łączą się i ruszają przez trawnik w stronę lasu, dokładnie w kierunku, który wskazałem Danielowi, choć wśród myśliwych nie dostrzegam mojego przyjaciela. Zapewne dołączy do nich później.

Czekam, aż ostatni zniknie wśród drzew, po czym wracam do mapy na ścianie. Jeżeli wiernie przedstawia plan posiadłości, to stajnie są blisko domu. Właśnie tam powinienem znaleźć masztalerza. Postara się o powóz do wsi, a stamtąd pociągiem pojedę do domu.

Odwracam się w stronę salonu, ale drzwi tarasuje mi olbrzymia czarna wrona.

Serce podchodzi mi do gardła; odskakuję prosto na komodę i ustawione na niej rodzinne fotografie oraz bibeloty ze stukotem spadają na podłogę.

– Nie ma się czego bać – oznajmia stwór, wysuwając się o pół kroku z cienia.

To wcale nie jest ptak, lecz mężczyzna ubrany jak średniowieczny medyk z czasów epidemii dżumy – zamiast piór okrywa go czarny płaszcz,

w świetle stojącej niedaleko lampy lśni dziób porcelanowej maski. Prawdopodobnie to kostium na dzisiejszy bal, pytanie tylko, dlaczego ten człowiek w środku dnia włożył tak ponury strój.

– Przestraszył mnie pan – mówię. Łapię się za serce i śmieję zażenowany, próbując ochłoniąć.

Przechyla na bok głowę i przygląda mi się z uwagą jak zabłąkanemu zwierzęciu, które nagle znalazło się w pokoju na dywanie.

– Co pan ze sobą przyniósł? – pyta.

– Słucham?

– Ocknął się pan z jakimś słowem na ustach, co to było?

– Czy my się znamy? – Zaglądam przez drzwi do salonu w nadziei, że zobaczę któregoś z gości. Niestety, jesteśmy sami i z rosnącym niepokojem uświadamiam sobie, że pewnie o to mu właśnie chodziło.

– Ja pana znam – oświadcza przybysz. – Na razie tyle wystarczy. Proszę mi powiedzieć, co to było za słowo.

– Może zdejmie pan maskę, żebyśmy mogli porozmawiać twarzą w twarz – proponuję.

– Maską najmniej powinien się pan przejmować, doktorze Bell – replikuje. – Niech pan odpowie na pytanie.

Mimo że nie padła żadna groźba, porcelanowy dziób tłumi jego głos, przez co każdemu zdaniu towarzyszy niski zwierzęcy pomruk.

– Anna – przyznaję, zaciskając dłoń na udzie, aby opanować dygot nogi.

Wzdycha.

– Szkoda.

– Wie pan, kto to jest? – pytam z nadzieją. – Nikt inny w domu o niej nie słyszał.

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. – Zbywa moje pytanie machnięciem dłoni w rękawicze. Sięga do płaszcza, wyjmując złoty zegarek kieszonkowy i sprawdzivszy godzinę, cmoka z niezadowoleniem. – Niebawem będziemy musieli coś zrobić, ale jeszcze nie dzisiaj i nie dopóki pan jest w tym stanie. Wkrótce znowu porozmawiamy, gdy wszystko stanie się trochę bardziej zrozumiałe. Tymczasem radzę, żeby zaznajomił się pan z Blackheath oraz z resztą gości. Niech pan korzysta, dopóki można, doktorze, niedługo znajdzie pana Lokaj.

– Lokaj? – To słowo uruchamia dzwonek alarmowy gdzieś w głębi mojej duszy. – Czy to on jest zabójcą Anny i zranił mnie w rękę?

– Bardzo w to wątpię – oświadcza Doktor Dżuma. – Lokaj nie poprzestałby na ręce.

Za moimi plecami rozlega się potężny łoskot i błyskawicznie odwracam się w kierunku hałasu. Na szybie widzę niewielką plamę rozbryzniętej krwi, a w chwastach i zwiędłych kwiatach na dole leży umierający ptak, wstrząsany ostatnimi konwulsjami. Biedne stworzenie musiało się zderzyć z szybą. Zaskakuje mnie żal, który mnie nagle ogarnia; oczy zachodzą mi łzami litości nad straconym życiem. Postanawiam pogrzebać ptaka i odwracam się do swojego zagadkowego towarzysza, aby go przeprosić, lecz ten zdążył już wyjść.

Patrzę na swoje dłonie. Są tak mocno zaciśnięte, że paznokcie wpijają się w ciało.

– Lokaj – powtarzam głośno.

Słowo nic nie znaczy, nie sposób jednak pomylić z niczym uczucia, jakie we mnie wzbudza. Z niewiadomego powodu ta osoba wywołuje we mnie przerażenie.

Strach każe mi podejść do biurka i noża do listów, który zobaczyłem wcześniej. Nóż jest mały, ale na tyle ostry, że zacynam się do krwi w opuszkę kciuka. Ssąc ranę, wsuwam do kieszeni tę broń. Marna, ale dzięki niej nie muszę barykadować się w pokoju.

Nabrawszy w ten sposób odrobiny pewności siebie, ruszam do swojej sypialni. Teraz, gdy nie rozpraszają mnie goście i mogę spokojnie obejrzeć wystrój, widzę, że Blackheath to rzeczywiście smętne domostwo. Jeśli nie liczyć okazałego holu, reszta wewnątrz, które mijam po drodze, to zatęchłe pokoje, przesiąknięte wonią wilgoci i zgnilizny. W kątach piętrzą się kulki trucizny na szczury, wszystkie powierzchnie, których nie może dosięgnąć krótka ręka pokojówki, przykrywa kurz. Dywany są wytarte, meble zarysowane, na serwantkach za brudnymi szybami stoją zmatowiałe srebra stołowe. Choć goście sprawiali na mnie przykre wrażenie, teraz brakuje mi szumu ich rozmów. To oni są energią domu; wypełniają przestrzeń, w której bez nich zalega grobowa cisza. Blackheath żyje tylko dzięki obecnym w rezydencji ludziom. Gdyby nie oni, byłoby przygnębiającą ruiną czekającą na litościwą decyzję o ostatecznym zburzeniu.

Zabieram z pokoju płaszcz i parasol, po czym wychodzę na zewnątrz, gdzie deszcz siecze ziemię, a powietrze wypełnia woń zgniłych liści. Nie jestem pewien, o które okno rozbił się ptak, idę więc wzdłuż muru i w końcu

znajduję jego truchło. Nożykiem do papieru kopię płytki grób i grzebię ptaka, choć przemakają mi przy tym rękawiczki.

Dygocząc już z zimna, zastanawiam się, którędy iść. Brukowana droga do stajni ciągnie się wzdłuż drugiego krańca trawnika. Mógłbym pójść na przełaj przez trawę, lecz moje buty nie wydają się odpowiednie do tego rodzaju przeprawy. Wybieram bezpieczniejsze wyjście, skręcam na żwirowy podjazd i docieram do drogi, która ukazuje się po mojej lewej ręce. Jak mogłem się spodziewać, jest w okropnym stanie. Korzenie drzew wypchnęły kamienie, nieprzycięte, nisko wiszące gałęzie przypominają palce złodziejaszka. Nadal zdenerwowany spotkaniem z dziwnym człowiekiem w kostiumie medyka z czasów epidemii dżumy, zaciskam w dłoni nóż do papieru i powoli stawiam kroki, żeby nie stracić równowagi; boję się, że gdybym upadł, coś wyskoczyłoby z lasu i zaatakowało mnie. Nie jestem pewien, jaki cel przyświecał tej zagadkowej postaci, że wybrała takie przebranie, nie umiem jednak zlekceważyć jej przestróg.

Ktoś zamordował Annę i dał mi kompas. Wątpię, czy w nocy zaatakowała mnie ta sama osoba, która uratowała mnie rano, i jest jeszcze Lokaj, któremu będę musiał stawić czoło. Kim byłem, że mam aż tylu wrogów?

Na końcu drogi stoi łukowa brama z czerwonej cegły zwieńczona rozbitym zegarem, a za nią otwiera się dziedziniec między stajniami i budynkami gospodarczymi. Żłoby są po brzegi pełne owsa, wozy stoją w równym szeregu, przykryte zielonymi płachtami chroniącymi je przed deszczem.

Brakuje tylko koni.

Wszystkie stajnie są puste.

– Halo?! – wołam niepewnie. Mój głos rozlega się echem po dziedzińcu, ale nie wywołuje żadnej reakcji.

Z komina niewielkiego domku unosi się smuga dymu i kiedy się przekonuję, że drzwi są otwarte, po powitalnym okrzyku wchodzę do środka. Nikogo nie ma – dziwne, bo pali się w kominku, a na stole widzę owsiankę z grzanką. Zdejmuję rękawiczki i wieszam nad ogniem na pręcie na kociołek, aby oszczędzić sobie nieprzyjemnej wilgoci w drodze powrotnej.

Muskając jedzenie opuszką palca, odkrywam, że jest letnie, czyli ktoś musiał zostawić je niedawno. Obok leżą rzucone siodło i skórzana łąta, co oznacza, że lokator domku przerwał naprawę. Mogę się tylko domyślać, że

wybiegł nagle w jakiejś pilnej sprawie, i przez chwilę zastanawiam się, czy czekać na jego powrót. To całkiem przyjemne schronienie, mimo że w powietrzu unosi się gęsty zapach palonego węgla i dość ostra woń pasty do polerowania i końskiego włosia. Bardziej niepokoi mnie położenie domku w ustronnym miejscu. Dopóki się nie dowiem, kto na mnie napadł w nocy, wszystkich w Blackheath, łącznie z masztalerzem, powinienem traktować z rezerwą. Nie zamierzam spotykać się z nim sam na sam, jeśli to nie będzie konieczne.

Na gwoździu przy drzwiach wisi grafik pracy, a obok przywiązany do sznurka ołówki. Zdejmuję kartkę i odwracam, żeby napisać prośbę o transport do wioski, ale tam już jest jakaś wiadomość.

Nie wyjeżdżaj z Blackheath, od Ciebie zależy nie tylko Twoje życie, ale też życie innych ludzi. Spotkajmy się przy mauzoleum na cmentarzu o 10.20 wieczorem, wszystko wyjaśnię. Aha, i nie zapomnij o rękawiczkach, właśnie się palą.

*Pozdrowienia
Anna*

Nozdrza wypełnia mi zapach dymu i kiedy obracam się w stronę kominka, widzę, że istotnie tlą się moje rękawiczki. Błyskawicznie zrywam je znad ognia i zdeptuję żar. Z walącym sercem rozglądam się szeroko otwartymi oczami po domku, szukając wskazówki, jak dokonano tej sztuczki.

Może spytasz Annę, kiedy spotkacie się wieczorem?

– Nie, bo widziałem, jak umiera – rzucam ze złością w stronę pustego pomieszczenia i uświadamiam sobie, że zachowuję się jak błazen.

Odzyskawszy panowanie nad sobą, czytam wiadomość jeszcze raz, mimo to wcale nie jestem bliższy prawdy. Jeżeli Anna przeżyła, musiałaby nie mieć litości, żeby tak mnie zwodzić. Bardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz, że gdy dzisiaj rano w domu rozeszła się wieść o moim nieszczęśliwym wypadku, ktoś postanowił spłatać mi figła. Bo jeśli jest inaczej, to dlaczego wybrał tak złowrogie miejsce i porę na spotkanie?

Czy ten ktoś jest wróżbitą?

– Jest fatalna pogoda, każdy mógłby przewidzieć, że po przyjeździe będę suszyć rękawiczki.

Domek posłusznie wysłuchuje moich słów, lecz nawet mnie to rozumowanie wydaje się rozpaczliwe. Równie rozpaczliwe jest pragnienie, by nie wierzyć w ten list. Przez swój ułomny charakter najchętniej porzuciłbym wszelką nadzieję, że Anna żyje, aby uciec stąd z czystym sumieniem.

Zgnębiony, wkładam przypalone rękawiczki. Muszę pomyśleć, a chodzenie chyba temu sprzyja.

Okrążając stajnie, trafiam na zarośnięty padok, gdzie trawa sięga pasa, a przegniłe ogrodzenie prawie zupełnie się zawaliło. Na przeciwległym końcu dostrzegam dwie osoby skulone pod jednym parasolem. Pewnie idą ścieżką, której nie widzę, bo maszerują swobodnie, trzymając się pod rękę. Bóg jeden wie, jakim cudem mnie zauważyły, ale jedna z nich pozdrawia mnie uniesieniem ręki. Odwzajemniam gest na znak odległej więzi, która nas łączy przez tę krótką chwilę, a potem para znika w mrocznej gęstwinie lasu.

Opuszczam dłoń i podejmuję decyzję.

Mówiłem sobie, że nieżyjąca kobieta nie może mnie do niczego zmuszać, dlatego wolno mi opuścić Blackheath. Był to tchórzliwy powód, ale przynajmniej brzmiał szczerze.

Jeśli Anna żyje, sprawa przedstawia się już inaczej.

Zawiodłem ją rano i od tego czasu myślę tylko o tym. Skoro dostaję drugą szansę, nie wolno mi się odwrócić. Grozi jej niebezpieczeństwo, mogę pomóc, więc muszę to zrobić. Jeżeli to za mało, aby zatrzymać mnie w Blackheath, to nie zasługuję na życie, które tak bardzo boję się stracić. Niech się dzieje, co chce, ale muszę być na cmentarzu dwadzieścia po dziesiątej.

– Ktoś chce mojej śmierci.

Dziwnie się czuję, wypowiadając to głośno, jak gdybym prowokował los, ale jeśli mam dożyć wieczoru, muszę zdławić w sobie lęk. Nie chcę już dłużej kulić się ze strachu w sypialni. Zwłaszcza że tyle pytań domaga się odpowiedzi.

Wracam do domu, wypatrując wśród drzew wszelkich oznak zagrożenia, i bezustannie rozmyślam o wydarzeniach dzisiejszego poranka. Ciągle się zastanawiam nad ranami na mojej ręce, nad człowiekiem w kostiumie medyka z czasów dżumy, nad Lokajem i tajemniczą Anną, która, jak się okazało, jest cała i zdrowa, a nawet zostawia mi enigmatyczne wiadomości.

Jak udało się jej ocaleć w lesie?

Podejrzewam, że mogła napisać wiadomość wcześniej, zanim dziś rano została zaatakowana, ale skąd mogła wiedzieć, że znajdę się w tym domku i będę suszyć rękawiczki nad paleniskiem? Nikomu nie zdradziłem swoich planów. Czyżbym powiedział o nich na głos? A może mnie śledziła?

Kręcąc głową, postanawiam nie dać się wciągnąć w ten gąszcz znaków zapytania.

Wybiegam za daleko naprzód, podczas gdy powinienem popatrzeć wstecz. Michael mówił, że wczoraj wieczorem służąca przyniosła mi do stołu list i wtedy widział mnie ostatni raz.

Od tego wszystko się zaczęło.

Musisz odnaleźć służącą, która przyniosła list.

Ledwie staję na progu Blackheath, a jakieś głosy zwabiają mnie do salonu, w którym nie ma nikogo oprócz dwóch młodych pokojówek zbierających na wielkie tace pozostałości po lunchu. Pracują ramię w ramię i plotkują przyciszonymi głosami, nie zdając sobie sprawy z mojej obecności.

– ...Henrietta powiedziała, że się wściekła – mówi dziewczyna, której spod białego czepka wymykają się ciemne loki.

– Beth, nie powinno się tak mówić o lady Helenie – strofuje ją starsza. – Zawsze była dla nas dobra i uczciwie nas traktowała, prawda?

Beth zastanawia się nad znaczeniem tego faktu w porównaniu z wagą plotki.

– Henrietta powiedziała, że wpadła w szal – kontynuuje. – Krzyczała na lorda Petera. Mówiła, że to wszystko pewnie dlatego, że wrócili do Blackheath po tym, co się stało z paniczem Thomasem. Że z człowiekiem dzieją się przez to dziwne rzeczy.

– Henrietta wygaduje różne głupstwa, nie warto ich nawet pamiętać. Przecież nieraz słyszymy, jak się kłóca, prawda? Poza tym, gdyby chodziło o coś ważnego, lady Helena powiedziałaby o tym pani Drudge. Zawsze jej mówi.

– Pani Drudge nie może jej nigdzie znaleźć – oświadcza triumfalnie Beth, przedstawiając niezbity i ostateczny dowód przeciwko lady Helenie. – Nie widziała jej od rana, ale...

Moje wejście sprawia, że słowa zamierają jej na ustach. Zaskoczone kobiety próbują dygnąć, lecz zamiast ukłonu wykonują bezładne ruchy i oblewają się rumieńcem. Zbywam to zmieszanie machnięciem ręki i pytam o służące, które podawały wczoraj do kolacji, odpowiadają mi jednak bezradne spojrzenia i niewyraźne słowa przeprosin. Już chcę dać sobie spokój, gdy Beth zdobywa się na odwagę i informuje mnie, że Evelyn Hardcastle właśnie przyjmuje panie na werandzie z tyłu domu i na pewno wie więcej na ten temat.

Po krótkiej wymianie zdań jedna z nich prowadzi mnie do sąsiadującego z salonem gabinetu, gdzie rozmawiałem z Danielem i Michaelem. Za nim znajduje się biblioteka, przez którą przechodzimy szybkim krokiem i po chwili wkraczamy do ciemnego korytarza. W mroku coś się porusza – spod małego stolika pod telefon czmycha czarny kot, zamiatając ogonem drewnianą podłogę. Bezgłośnie przemierza korytarz i wślizguje się za lekko uchylone drzwi na przeciwległym końcu. Przez szparę sączy się ciepłe pomarańczowe światło; z pomieszczenia dobiegają głosy i muzyka.

– Właśnie tam jest panienska Evelyn, proszę pana – mówi pokojówka.

Ton jej głosu wskazuje, że nie ma zbyt wysokiego mniemania ani o tym pomieszczeniu, ani o Evelyn Hardcastle.

Ignorując pogardę służącej, otwieram drzwi i uderza mnie fala gorąca. Powietrze w tym pomieszczeniu – przeszklonej werandzie – jest ciężkie od słodkiego zapachu perfum, a jego bezruch zakłócają jedynie trzeszczące dźwięki muzyki, które płyną sennie i rozbijają się o ściany. Wielkie okna witrażowe wychodzą na ogród z tyłu domu; widać szare chmury gromadzące się za kopułą dachu. Wokół kominka ustawiono fotele i szezlongi, na których jak zwiędłe orchidee spoczywają młode kobiety, palące papierosy i ściskające w dłoniach drinki. W pomieszczeniu zamiast nastroju radosnej zabawy panuje raczej atmosfera tłumionego niepokoju. Chyba jedynym przejawem życia jest wiszący na drugim końcu salonu portret olejny starszej kobiety, która czarnymi jak węgiel oczami spogląda koso na obecne tu damy z miną, z której niedwuznacznie wynika, że to zgromadzenie budzi w niej niesmak.

– Moja babcia, Heather Hardcastle – odzywa się kobiecy głos za moimi plecami. – Portret nie przedstawia jej w zbyt korzystny sposób, ale z tego, co mówią, na nikim nie wywierała korzystnego wrażenia.

Odwracam się w stronę głosu i czerwienieję, ponieważ kilkanaście twarzy otrząsa się z nudy, aby mi się przyjrzeć. Moje nazwisko krąży po pokoju, przekazywane z ust do ust, i wywołuje gwar podekscytowania, przypominający brzęczenie roju pszczoł.

Przy stoliku do szachów siedzi kobieta – Evelyn Hardcastle, jak nietrudno się domyślić – oraz starszy, wyjątkowo otyły mężczyzna w garniturze za małym o jeden numer. Evelyn nie ma jeszcze trzydziestu lat, jej szczupła, kanciasta sylwetka i wysokie kości policzkowe, podkreślone przez związane z tyłu jasne włosy, przywodzą na myśl figurkę wyciętą ze szkła. Jest w modnej zielonej sukni z paskiem, której ostre, wyraziste linie pasują do jej surowej miny.

Otyły jegomość ma najwyżej sześćdziesiąt pięć lat i mogę sobie tylko wyobrazić, jak nieprawdopodobnych wyczynów gimnastycznych musiał dokonać, aby umieścić swoje potężne cielsko przy stoliku. Krzesło także jest dla niego za małe i zbyt sztywne. Mężczyzna musi cierpieć na nim męczarnie; ma na czole lśniące krople potu, a w dłoni ściska przemoczoną chustkę, świadczącą o tym, że cierpi tak już od dłuższego czasu. Patrzy na mnie dziwnie z mieszaniną zaciekawienia i wdzięczności w oczach.

– Najmocniej przepraszam – mówię. – Chciałem...

Evelyn przesuwa pion, nie unosząc głowy znad szachownicy. Jej otyły towarzysz wraca spojrzeniem na pole gry i rozpląszcza pulchny palec na swoim skoczku.

Na widok jego błędu wydaje jęk, który mnie samego zaskakuje.

– Zna się pan na szachach? – pyta Evelyn, nie odrywając wzroku od szachownicy.

– Wygląda na to, że tak – przyznaję.

– Może więc zagra pan po lordzie Ravencourt?

Nieświadomy mojego ostrzeżenia skoczek dostaje się w sidła Evelyn i pada ofiarą przyczajonej wieży. W grę Ravencourta wkrada się panika, a Evelyn szturmuje go swoimi figurami i zmusza do pośpiechu, podczas gdy sytuacja nakazywałaby cierpliwość. Partia kończy się po czterech ruchach.

– Dziękuję za chwilę rozrywki, lordzie Ravencourt – mówi Evelyn, kiedy jej przeciwnik przewraca króla. – Wydaje mi się, że miał pan jakąś sprawę do załatwienia.

Odprawiony w tak szorstki sposób Ravencourt składa niezgrabny ukłon, po czym wyplątuje się zza stolika i kuśtykając, opuszcza pokój, po drodze zegnając mnie niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy.

Evelyn z niesmakiem odprowadza go wzrokiem do drzwi, ale jej niechęć znika w mgnieniu oka, gdy wskazuje mi miejsce naprzeciw siebie.

– Proszę.

– Niestety, nie mogę – mówię. – Szukam służącej, która wczoraj przy kolacji przyniosła mi list, ale nic więcej o niej nie wiem. Miałem nadzieję, że pani mi pomoże.

– Tu mógłby pomóc nasz kamerdyner – odpowiada, odtwarzając szeregi rozsypanej armii. Wszystkie figury i piony zajmują stanowisko dokładnie pośrodku pola, zwrócone w stronę nieprzyjaciela. Na tej szachownicy nie ma miejsca dla tchórzy. – Pan Collins zna każdy krok każdego członka służby w tym domu, a przynajmniej utwierdza wszystkich w takim przeświadczeniu – dodaje. – Niestety, dziś rano został napadnięty. Doktor Dickie kazał go przenieść do stróżówki, żeby mógł odpocząć w spokojniejszych warunkach. Sama chciałam do niego zajrzeć, mogłabym więc pana zaprowadzić.

Przez chwilę się waham, oceniając zagrożenie. Można by przypuszczać, że gdyby Evelyn Hardcastle chciała zrobić mi coś złego, nie informowałaby o naszym zamiarze wspólnego wyjścia aż tylu świadków.

– Będzie mi bardzo miło. – Reakcją na moją odpowiedź jest przelotny uśmiech.

Evelyn wstaje, nie zauważając albo udając, że nie zauważa, zaciekawionych spojrzeń. Do parku prowadzą oszklone drzwi w salonie, ale zamiast z nich skorzystać, wychodzimy przez hol, by najpierw zabrać ze swoich pokoi płaszcze i nakrycia głowy. Evelyn kończy się ubierać, kiedy wychodzimy z Blackheath w zimne i wietrzne popołudnie.

– Wolno spytać, co się stało z panem Collinsem? – Zastanawiam się, czy napaść na niego mogła mieć jakiś związek z nocnym atakiem na mnie.

– Podobno rzucił się na niego jeden z naszych gości, niejaki Gregory Gold, artysta – wyjaśnia, zawiązując ciepły szalik. – Z tego, co mówią, atak nie był niczym sprowokowany i zanim ktoś zdążył przyjść z pomocą, Gold zdołał go dość dotkliwie pobić. Powinnam pana uprzedzić, doktorze, że pan Collins dostał silną dawkę środków uspokajających, więc nie wiem, czy będzie mógł udzielić panu odpowiedzi.

Idziemy żwirowym podjazdem, który prowadzi do wioski, a mnie znowu zdumiewa moja sytuacja. Kilka dni temu musiałem przybyć do Blackheath tą samą drogą, pełen radosnego oczekiwania, a może zirytowany faktem, że dom jest tak daleko i na takim odludziu. Czy zdawałem sobie wówczas sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa, czy uświadomiłem je sobie dopiero później? Straciłem lwią część samego siebie, wspomnienia zostały po prostu zdmuchnięte jak opadłe liście, a mimo to jestem, choć odmieniony. Ciekawe, czy Sebastian Bell spojrzełby przychylnym okiem na człowieka, jakim się stałem. Czy w ogóle umielibyśmy znaleźć wspólny język?

Evelyn bez słowa bierze mnie pod ramię. Jej twarz rozjaśnia serdeczny uśmiech, jakby rozpałił ją jakiś wewnętrzny ogień, który ożywia oczy i dodaje im blasku, a tamtą nieprzeniknioną kobietę przepędza na cztery wiatry.

– Jak dobrze wyjść z tego domu! – woła, wystawiając twarz na deszcz. – Bogu dzięki, że pojawił się pan we właściwym momencie, doktorze. Naprawdę jeszcze chwila, a znalazłby mnie pan z głową w kominku.

– W takim razie szczęśliwie się stało, że wszedłem. – Jestem nieco zaskoczony tą raptowną zmianą jej nastroju.

Wyczuwa moje zdziwienie i cicho się śmieje.

– Proszę nie zwracać na mnie uwagi – mówi. – Nie cierpię poznawać ludzi, więc kiedy ktoś przypadnie mi do gustu, natychmiast zakładam, że

zaprzyjaźnię się z tą osobą. Na dłuższą metę to ogromna oszczędność czasu.

– Rzeczywiście ma to swój urok – odpowiadam. – Mogę spytać, czym sobie zasłużyłem na tak korzystną opinię?

– Tylko pod warunkiem, że pozwoli mi pan odpowiedzieć szczerze.

– A teraz nie jest pani szczerą?

– Staralam się być uprzejma, ale ma pan rację, chyba nigdy nie opowiadałam się po słusznej stronie – wyznaje z udawanym żalem. – Otóż... szczerze mówiąc, podoba mi się pańska zaduma, doktorze. Sprawia pan wrażenie człowieka, który zdecydowanie wolałby być gdzie indziej, a to uczucie jest szalenie bliskie mojemu sercu.

– Czy mam przez to rozumieć, że nie cieszy się pani z powrotu do domu?

– Och, to od bardzo dawna nie jest mój dom – oznajmia, przeskakując przez szeroką kałużę. – Przez ostatnie dziewiętnaście lat, od śmierci brata, mieszkałam w Paryżu.

– Te kobiety, które widziałem na werandzie, nie są pani przyjaciółkami?

– Przyjechały dziś rano i prawdę mówiąc, nie rozpoznałam ani jednej. Dziewczynki, które znałam, zrzuciły skórę i wpełzły do towarzystwa. Czuję się tu tak samo obco jak pan.

– Ale przynajmniej sama sobie nie jest pani obca, panno Hardcastle – zauważam. – To chyba powinno panią pocieszyć?

– Wręcz przeciwnie. – Spogląda na mnie. – Przypuszczam, że byłoby wspaniale uciec na jakiś czas od samej siebie. Zazdrozczę panu.

– Zazdrości mi pani?

– Czemu nie? – Ociera z twarzy krople deszczu. – Pana dusza jest niezapisaną kartą, doktorze. Niczego pan nie żałuje, nie ma przykrych wspomnień, jest pan wolny od kłamstw, które sobie powtarzamy, żeby móc co dzień rano spojrzeć w lustro. Jest pan... – przygryza wargę, szukając odpowiedniego określenia – uczciwy.

– Można też użyć słowa „bezbronny” – dodaję.

– Mam przez to rozumieć, że pan także nie cieszy się z powrotu do domu?

Mówi to z odrobiną krzywym uśmiechem i choć lekki grymas jej ust można by odczytać jako wyraz potępienia, sprawia wrażenie konspiracyjnego.

– Miałem nadzieję, że będę innym człowiekiem – wyznaję cicho, zdziwiony własną otwartością. Ta kobieta ma w sobie coś, co sprawia, że czuję się przy niej swobodnie, chociaż za nic nie wiem, co to jest.

– Jak to?

– Jestem tchórzem, panno Hardcastle... – Wzdycham. – Czterdzieści lat wspomnień zniknęło i oto co znalazłem pod spodem. Tylko tyle mi zostało.

– Proszę mi mówić Evie, w ten sposób będę mogła nazywać cię Sebastianem i poradzić ci, żebyś nie przejmował się swoimi wadami. Ma je każdy z nas i gdybym jeszcze raz przyszła na świat, może też byłabym ostrożniejsza – mówi, ściskając moje ramię.

– Jesteś bardzo miła, ale to coś głębszego, instynktownego.

– Jeśli nawet, to co z tego? Można być kimś gorszym. Przynajmniej nie jesteś podły ani okrutny. A teraz masz okazję wybierać, prawda? Zamiast budować sobie osobowość po omacku jak my wszyscy i obudzić się pewnego dnia, nie mając pojęcia, w jaki sposób stałeś się akurat takim człowiekiem, możesz przyjrzeć się światu, ludziom wokół i wybrać cechy, jakich sobie życzysz. Powiesz: „Wezmę sobie uczciwość tego mężczyzny, optymizm tej kobiety”, jakbyś się wybrał po garnitur na Savile Row.

– Mówisz o mojej sytuacji, jak gdyby to było błogosławieństwo. – Czuję, że nastrój wyraźnie mi się poprawia.

– A jak inaczej nazwałbyś drugą szansę? – pyta. – Nie podoba ci się człowiek, którym byłeś? Doskonale, bądź kimś innym. Już nic ci w tym nie przeszkodzi. Jak powiedziałam, zazdroszczę ci. My wszyscy musimy żyć z brzemieniem własnych błędów.

Nie mam na to odpowiedzi, choć na razie nie muszę jej udzielać. Dotarliśmy do dwóch gigantycznych słupów ogrodzeniowych, zwieńczonych splekanymi figurami aniołów, które bezgłośnie dmą w rogi. Stróżówka stoi w głębi, na lewo od nas, schowana wśród drzew; przez gęste liście przebłyskuje czerwień dachówek. Ścieżka prowadzi do splecniących ze starości i pokrytych rysami drzwi, z których płatami odchodzi zielona farba. Evelyn nawet się przy nich nie zatrzymuje, tylko ciągnie mnie za rękę w stronę tyłu domu, przeciskając się przez rozrośnięte gałęzie, które dotykają kruszącego się ceglanego muru budynku.

Tylne drzwi nie są zamknięte na klucz i otworzywszy je, Evelyn wpuszcza mnie do zawilgoconej kuchni, gdzie blaty pokrywa warstwa kurzu, a na płycie stoją miedziane rondle. Tuż za progiem przystaje i pilnie nastawia uszu.

– Evelyn? – odzywam się.

Dając mi znak, żebym był cicho, robi krok w głąb korytarza. Zaniepokojony jej nagłą ostrożnością, sztywnieję, lecz po chwili jej śmiech rozładowuje napięcie.

– Przepraszam, Sebastianie, nasłuchiwałam, czy jest tu mój ojciec.

– Twój ojciec?

– Nocuje tu – wyjaśnia. – Miał iść na polowanie, ale nie chciałam ryzykować, że go tu spotkam, gdyby się spóźnił. Nie przepadamy za sobą, niestety.

Zanim udaje mi się zadać jakiegokolwiek pytanie, wskazuje mi wyłożony płytkami korytarz i wąskie schody. Wchodzimy po drewnianych stopniach, które skrzypią pod naszym ciężarem. Posłusznie wspinam się za nią, co kilka kroków oglądając się ukradkiem za siebie. Stróżówka jest wąska i krzywa, drzwi są osadzone w ścianach pod różnymi kątami jak nierówne zęby. Świszczący przez szpary w oknach wiatr niesie zapach deszczu, cały budynek zdaje się dygotać w posadach. Mam wrażenie, że wszystko w tym domu sprzysięgło się, aby rozstroić mi nerwy.

– Dlaczego przeniesiono kamerdynera aż tu, tak daleko od domu? – zwracam się do Evelyn, która nie może się zdecydować, które drzwi wybrać. – Przecież na pewno jest jakieś wygodniejsze miejsce.

– Wszystkie pokoje w głównym budynku są zajęte, a doktor Dickie zalecił mi ciszę, spokój i porządny ogień w kominku. Może trudno w to uwierzyć, ale to chyba najlepsze miejsce dla niego. Chodź, sprawdzimy tu. – Delikatnie puka do drzwi po lewej i nie doczekawszy się odpowiedzi, otwiera je.

Widzę wysokiego człowieka w przybrudzonej węglem koszuli, przywiązanego za nadgarstki do haka na suficie, tak że ledwie dotyka stopami podłogi. Jest nieprzytomny, głowa o ciemnych, kędzierzawych włosach opada mu na piersi, na twarzy ma ślady krwi.

– Nie, pewnie jest po drugiej stronie korytarza – stwierdza Evelyn bezbarwnym, obojętnym tonem.

– Co, u diabła? – W popłochu cofam się o krok. – Kim jest ten człowiek?

– To Gregory Gold, ten, który zaatakował naszego kamerdynera – mówi Evelyn, patrząc na niego jak na motyla przypiętego szpilką do korkowej tablicy. – Kamerdyner był w czasie wojny ordynansem mojego ojca. Wygląda na to, że ojciec odebrał tę napaść osobiście.

– Osobiście? Evie, on go powiesił jak świnie!

– Ojciec nigdy nie był subtelny ani szczególnie rozgarnięty. – Wzrusza ramionami. – Przypuszczam, że jedno idzie w parze z drugim.

Po raz pierwszy, odkąd się ocknąłem, burzy się we mnie krew. Bez względu na winy tego człowieka nie można mu wymierzać sprawiedliwości w zamkniętym pokoju za pomocą sznura.

– Nie możemy go tak zostawić – protestuję. – To nieludzkie.

– Nieludzkie było to, co zrobił – odpowiada spokojnie Evelyn, a mnie pierwszy raz uderza jej chłód. – Matka zleciła mu tylko doprowadzenie do porządku paru rodzinnych portretów, nic więcej. Nawet nie znał kamerdynera, a mimo to dzisiaj rano rzucił się na niego z pogrzebaczem i mało brakowało, a zatłukłby go na śmierć. Uwierz mi, Sebastianie, zasłużył sobie na coś gorszego niż to, co go spotkało.

– Co się z nim stanie? – pytam.

– Przyjedzie konstabl ze wsi. – Wyprowadza mnie z pokoiku i zamyka za nami drzwi. Natychmiast poprawia się jej nastrój. – Ojciec chce wcześniej dać Goldowi do zrozumienia, że jest niezadowolony, to wszystko. Hm, to na pewno tutaj.

Otwiera drzwi po drugiej stronie korytarza i wchodzimy do niewielkiego pokoju z bielonymi ścianami i jednym oknem pokrytym warstwą brudu. W odróżnieniu od reszty domu nie ma tu przeciągu, w kominku pali się porządny ogień, obok piętrzy się spory zapas drewna. W rogu stoi żelazne łóżko, na którym rysuje się przykryta szarym kocem nieforemna sylwetka kamerdynera. Poznaję tego człowieka. To ten ze śladami oparzeń, który rano wpuścił mnie do domu.

Evelyn miała rację – został potraktowany okrutnie. Ma okropnie posiniaczoną i pokaleczoną twarz; na poduszce są zaschnięte plamy krwi. Gdyby nie mamrotał przez sen, najwyraźniej dręczony przez koszmary, mógłbym go wziąć za trupa.

Obok na drewnianym krześle siedzi służąca z grubą książką na kolanach. Ma najwyżej dwadzieścia trzy lata, jest drobniutka jak okruszek, a spod jej czepka wysuwają się kosmyki jasnych włosów. Kiedy wchodzimy, unosi głowę, zatrząskuje księgę i gdy widzi, kto stoi w progu, zrywa się na równe nogi, pospiesznie wygładzając biały fartuszek.

– Panno Evelyn – jąka się, patrząc w podłogę. – Nie wiedziałam, że przyjdzie panienka w odwiedzinie.

– Mój przyjaciel chciał się zobaczyć z panem Collinsem – wyjaśnia Evelyn.

Brązowe oczy służącej na moment kierują się w moją stronę, po czym błyskawicznie wbijają się z powrotem w podłogę.

– Przykro mi, panienko, od rana się nie poruszył – mówi dziewczyna. – Doktor dał mu tabletki, żeby lepiej spał.

– I nie można go obudzić?

– Nie próbowałam, panienko, ale wchodząc po schodach, narobili państwo straszego hałasu, a on nawet nie mrugnął okiem. Nie wiem, co musiałoby się stać, żeby się ocknął, jeżeli to nie wystarczyło. Śpi jak zabity, ot co.

Służąca znowu zerka na mnie, ale tym razem zatrzymuje wzrok trochę dłużej, co może świadczyć o tym, że mnie zna, a potem wraca do wpatrywania się w podłogę.

– Przepraszam, czy my się znamy? – pytam.

– Nie, proszę pana, nie bardzo, tylko... wczoraj wieczorem podawałam panu kolację.

– Przyniosłaś mi list? – dopytuję się niecierpliwie.

– To nie ja, proszę pana, to Madeline.

– Madeline?

– Moja pokojówka – wtrąca Evelyn. – W domu brakowało służby, więc wysłałam ją do pomocy w kuchni. Tak się szczęśliwie składa – zerka na zegarek – że poszła z poczęstunkiem do myśliwych, ale wróci około trzeciej. Będziemy mogli ją razem wypytać.

Spoglądam na służącą.

– Wiesz coś więcej o tym liście? Wiesz może, co w nim było?

Dziewczyna kręci głową i załamuje ręce. Biedactwo wygląda, jakby znalazła się w opałach, więc lituję się, dziękuję jej i wychodzę.

Idziemy drogą prowadzącą do wsi w stronę drzew, które zbliżają się z każdym naszym krokiem. Wygląda ona nie całkiem tak, jak się spodziewałem. Mapa w gabinecie sugerowała, że włożono ogromny trud, by wyrąbać w lesie istny bulwar. W rzeczywistości to trochę szersza droga gruntowa, zryta wybojami i zasłana opadłymi gałęziami. Las został nie tyle poskromiony, ile nakłoniony do negocjacji, w wyniku których Hardcastle'owie uzyskali od sąsiada tylko jedno znikome ustępstwo.

Nie wiem, dokąd zmierzamy, lecz Evelyn sądzi, że zatrzymamy Madeline w drodze powrotnej z polowania. W duchu podejrzewam, że po prostu szuka wymówki, by przedłużyć nieobecność w domu. Żadne wybiegi nie są jednak konieczne. Przez godzinę, którą spędziłem w towarzystwie Evelyn, po raz pierwszy, odkąd się ocknąłem, nie czuję się resztką człowieka, ale całą, kompletną osobą. Tu, w deszczu i na wietrze, z życzliwą duszą u boku, przeżywam najszcześniejsze chwile tego dnia.

– Jak uważasz, co Madeline może ci powiedzieć? – pyta Evelyn, podnosząc z drogi gałąź i odrzucając w głąb lasu.

– List, który mi wczoraj przyniosła, wywabił mnie do lasu, żeby ktoś mógł mnie napaść.

– Napaść! – woła wstrząśnięta. – Tutaj? Z jakiego powodu?

– Nie wiem, mam jednak nadzieję, że Madeline powie mi, od kogo był ten list. Być może nawet zajrzała do środka.

– W tej kwestii nie ma mowy o żadnym „być może” – oznajmia Evelyn. – Madeline była ze mną w Paryżu. Jest lojalna, potrafi mnie rozbawić, ale jest okropną pokojówką. Prawdopodobnie uważa zaglądnienie do cudzej korespondencji za przywilej wynikający z jej posady.

– Traktujesz to bardzo pobłaźliwie – zauważam.

– Nie mam innego wyjścia, praca u mnie nie jest zbyt dobrze płatna – wyjaśnia. – A kiedy ujawni ci treść listu? Co dalej?

– Przekażę to policji – odpowiadam. – I mam nadzieję, że na tym zakończę całą sprawę.

Przy krzywym drogowskazie skręcamy w lewo i wąskim szlakiem zagłębiaamy się w las; tak długo kluczymy labiryntem krzyżujących się ścieżek, że trudno będzie odnaleźć drogę powrotną.

– Wiesz, dokąd idziesz? – pytam nerwowo, odsuwając nisko wiszącą gałąź, aby nie smagnęła mnie po twarzy. Kiedy ostatnim razem wszedłem do tego lasu, zostawiłem w nim pamięć.

– Kierujemy się tym. – Pociąga przybity do pnia kawałek żółtego materiału. Podobny do czerwonych chustek, które zobaczyłem rano, gdy niespodziewanie odnalazłem Blackheath. To wspomnienie tylko potęguje mój niepokój.

– To znaki – ciągnie Evelyn. – Pomagają gajowym poruszać się po lesie. Nie martw się, nie zwiode cię na manowce.

Ledwie wypowiada te słowa, wychodzimy na niewielką polanę z kamienną studnią pośrodku. Drewniane zadaszenie zdążyło się zawalić, a żelazny kołowrót, którym niegdyś wyciągano wiadro, rdzewieje w błocie, prawie zupełnie przysypany liśćmi opadłymi z drzew. Uradowana Evelyn klaszcze i czułym gestem kładzie dłoń na omszałym kamieniu. Najwyraźniej liczy na to, że nie zauważyłem wsuniętej w szpary karteczki ani tego, że jej palce właśnie ją zasłoniły. Z sympatii do niej milczę, a kiedy spogląda na mnie, pospiesznie odwracam wzrok. Pewnie ma jakiegoś adoratora w domu i wstydę się przyznać, że jestem zazdrosny o tę sekretną korespondencję i osobę, z którą ją prowadzi.

– To tutaj. – Teatralnym ruchem ręki zatacza koło. – Madeline w drodze do domu będzie przechodziła przez tę polanę. Powinna się niedługo pojawić. Miała wrócić przed trzecią, żeby pomóc w przygotowaniu sali balowej.

– Gdzie jesteśmy? – pytam, rozglądając się.

– Przy studni życzeń – odpowiada i nachyla się, by spojrzeć w ciemną czeluść. – Michael i ja przychodziliśmy tu w dzieciństwie. Wrzucaliśmy kamyki, żeby nasze życzenia się spełniły.

– A czego życzyła sobie mała Evelyn Hardcastle?

Marszczy czoło, wyraźnie zakłopotana pytaniem.

– Za żadne skarby nie umiem sobie przypomnieć – oświadcza. – Czego może chcieć dziecko, które ma wszystko?

Więcej niż wszyscy inni.

– Wątpię, czy potrafiłbym odpowiedzieć, nawet gdybym zachował pamięć – mówię z uśmiechem.

Evelyn posyła mi pytające spojrzenie, otrzepując brud z rąk. Widzę, że kipi w niej ciekawość, że cieszy się ze spotkania z czymś nieznanym i nieoczekiwanym w miejscu, gdzie wszystko jest znajome. Z pewnym rozczarowaniem uświadamiam sobie, że jestem tu, ponieważ ją intryguję.

– Zastanawiałeś się, co zrobisz, jeżeli pamięć ci nie wróci? – Łagodzi pytanie, zadając je delikatnym tonem.

Teraz to ja jestem zakłopotany.

Odkąd minął pierwszy wstrząs, starałem się za dużo nie rozmyślać nad swoim stanem. Utrata pamięci nie okazała się zresztą tragedią, co najwyżej wywoływała moją irytację, a jedną z niewielu poważniejszych konsekwencji była niemożność przypomnienia sobie Anny. Zgłębiając życie Sebastiana Bella, odkryłem jak dotąd dwóch przyjaciół, opatrzoną adnotacjami Biblię oraz zamknięty na klucz kufer. To bardzo skromnie jak na czterdzieści lat spędzone na tym świecie. Nie mam żony, która opłakiwałaby utratę wspólnie przeżytych lat, ani dziecka, które martwiłoby się, że ukochany ojciec mógłby nie wrócić. Jeśli spojrzeć z tej perspektywy, Sebastian Bell wydaje się osobą, której śmierć nie byłaby dotkliwą stratą i nie pogrążyłaby nikogo w żałobie.

Gdzieś w głębi lasu trzaska gałąź.

– Lokaj – mówi Evelyn, a mnie natychmiast krew ścina się w żyłach, bo przypominam sobie ostrzeżenie Doktora Dżumy.

– Co powiedziałaś? – Gorączkowo rozglądam się wśród drzew.

– Ten trzask to jakiś lokaj – wyjaśnia. – Zbierają drewno. Wstyd, prawda? Mamy za mało służby, żeby zaopatrzyć się w opał do wszystkich kominków, więc goście muszą wysyłać po drewno własnych lokajów.

– Lokajów? Ilu ich jest?

– Każda rodzina ma jednego, a przyjedzie ich jeszcze więcej. W domu jest już pewnie siedmiu, może ośmiu.

– Ośmiu? – powtarzam zduszonym głosem.

– Mój drogi Sebastianie, dobrze się czujesz? – martwi się Evelyn, zauważywszy mój lęk.

W innych okolicznościach powitałbym taką troskę i czułość z wdzięcznością, ale tu i teraz jej badawcze spojrzenie jest krępujące. Jak mam wyjaśnić, że nieznamy człowiek w kostiumie medyka z czasów zarazy ostrzegł mnie przed Lokajem i że chociaż to słowo nic dla mnie nie znaczy, to ilekroć je słyszę, ogarnia mnie paralizujący strach?

– Przepraszam, Evie. – Z żalem kręcę głową. – Mam ci więcej do powiedzenia, ale nie tu i jeszcze nie teraz.

Trudno mi wytrzymać jej pytający wzrok, więc rozglądam się po polanie. Krzyżują się tu trzy ścieżki prowadzące w głąb lasu, z których jedna biegnie prosto nad wodę.

– Czy to...

– Jezioro – mówi Evelyn, patrząc ponad moim ramieniem. – Tak, właśnie to jezioro. Nad którym Charlie Carver zamordował mojego brata.

Rozdziela nas przenikliwa jak dreszcz cisza.

– Przykro mi, Evie – bąkam wreszcie, zażenowany ubóstwem własnego współczucia.

– Uznasz, że jestem okropna, ale to się zdarzyło tak dawno temu, że wydaje się nierealne – wyznaje. – Nie pamiętam nawet twarzy Thomasa.

– Michael twierdził, że ma podobne odczucia.

– Nic dziwnego. Kiedy to się stało, był pięć lat młodszy ode mnie. – Krzyżuje ręce na piersi i pocierając ramiona, mówi chłodnym, obojętnym tonem: – Tego dnia rano miałam się opiekować Thomasem, ale chciałam pojechać konno, a on wiecznie mnie zameczał, więc zorganizowałam dla dzieci zabawę w szukanie skarbów i go zostawiłam. Gdybym nie była taka samolubna, w ogóle nie znalazłby się nad jeziorem, a Carver nie dostałby go w swoje brudne łapy. Nie wyobrażasz sobie, jak taka myśl dręczy dziecko. Nie mogłam spać, prawie nie jadłam. Nie czułam niczego oprócz gniewu i wyrzutów sumienia. Traktowałam okropnie każdego, kto próbował mnie pocieszać.

– Ale to się zmieniło?

– Dzięki Michaelowi. – Uśmiecha się ze smutkiem. – Byłam dla niego wstrętna, naprawdę okropna, mimo to został przy mnie, bez względu na to, co wygadywałam. Widział, że jestem smutna, chciał, żebym poczuła się lepiej. Nie sądzę, żeby w ogóle zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje... raczej nie. Po prostu był miły, ale to wystarczyło, żebym nie odcięła się zupełnie od wszystkich.

– Dlatego wyjechałaś do Paryża? Żeby od tego uciec?

– To nie była moja decyzja. Rodzice postanowili wysłać mnie tam na kilka miesięcy. – Przygryza wargę. – Nie mogli mi wybaczyć, a gdybym została, sama nie umiałabym sobie wybaczyć. Wiem, że to miała być kara, ale wygnanie chyba okazało się błogosławieństwem.

– A jednak wróciłaś?

– Mówisz, jakby to był mój wybór – zauważa z goryczą, zawiązując szczelniej szalik, by osłonić się przed podmuchem wiatru, który uderza w nas spomiędzy drzew. – Rodzice kazali mi wrócić, zagrozili mi nawet wydziedziczeniem, gdybym odmówiła. Kiedy to nie poskutkowało, zagrozili wydziedziczeniem Michaela. Dlatego przyjechałam.

– Nie rozumiem, czemu wydają przyjęcie na twoją cześć, skoro zachowali się tak podle?

– Przyjęcie? – powtarza, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Mój drogi, ty naprawdę nie masz pojęcia, co tu się dzieje.

– Gdybyś zechciała...

– Jutro mija dziewiętnaście lat od zamordowania mojego brata, Sebastianie. Nie wiem dlaczego, ale rodzice postanowili uczcić tę rocznicę, otwierając zamknięty dotąd dom, w którym to się stało, i zapraszając tych samych ludzi, którzy tu wtedy gościli.

Jej głos drży z gniewu i wyraźnej nuty bólu, który za wszelką cenę chciałbym uśmierzyć. Evelyn odwraca się w stronę jeziora i spogląda na nie lśniącymi niebieskimi oczami.

– Uroczystość żałobną nazwali przyjęciem, a ze mnie zrobili gościa honorowego, co musi oznaczać, że czeka mnie coś strasznego – dodaje. – To nie święto na moją cześć, to kara, którą będzie oglądać pięćdziesiąt osób w swoich najwytworniejszych strojach.

– Twoi rodzice naprawdę są tak mściwi? – pytam wstrząśnięty. Podobnie jak dziś rano, gdy w okno uderzył ptak, ogarnia mnie wielka fala współczucia zmieszanego z poczuciem niesprawiedliwości wobec nieoczekiwanych okrucieństw życia.

– Rano matka przysłała mi wiadomość z prośbą, żebym spotkała się z nią nad jeziorem. Nie przyszła i nie sędzę, by w ogóle miała taki zamiar. Chciała po prostu, żebym stała tam, gdzie to się wydarzyło, i wspominała. Odpowiedziałam na twoje pytanie?

– Evelyn... Brak mi słów...

– Tu nie ma nic do powiedzenia, Sebastianie. Bogactwo zatruwa duszę, a moi rodzice od bardzo dawna są bogaci... tak jak większość gości, którzy będą na przyjęciu – ciągnie Evelyn. – Ich maniery to tylko maska i radzę ci to zapamiętać.

Uśmiecha się na widok mojej zbolącej miny. Bierze mnie za rękę. Ma zimne palce i ciepłe spojrzenie. Widzę u niej ulotną odwagę więźnia, który musi pokonać kilka ostatnich kroków dzielących go od szubienicy.

– Och, nie przejmuj się tak, mój złoty – mówi. – Mam za sobą dość nieprzespanych nocy. Nie ma sensu, żebyś też się tym trapił. Jeśli chcesz, możesz w moim imieniu wypowiedzieć przy studni życzenie, chociaż zrozumieć, jeżeli dasz pierwszeństwo pilniejszym sprawom.

Z kieszeni wysupłuje drobną monetę.

– Proszę. – Podaje mi ją. – Zdaje się, że nasze kamyki niewiele zdziałały.

Moneta pokonuje długą drogę, by wreszcie wylądować na dnie, gdzie zamiast wody jest twardy kamień. Mimo rad Evelyn nie powierzam studni żadnych własnych pragnień, lecz modłę się w duchu, aby wyrwała się z tego domu i żyła szczęśliwie, wolna od intryg rodziców. Zamykam oczy jak dziecko w nadziei, że gdy je otworzę, zostanie przywrócony naturalny ład i wystarczy sama wola, by niemożliwe stało się prawdopodobnym.

– Tak bardzo się zmieniłeś – mówi cicho Evelyn i przez jej twarz przemyka ledwie widoczny cień zażenowania, kiedy sobie uświadamia, co przed chwilą powiedziała.

– Znałeś mnie wcześniej? – pytam zaskoczony. W ogóle nie przyszło mi na myśl, że przed tym spotkaniem coś mogło mnie z nią łączyć.

– Nie powinnam niczego mówić – ucina, odsuwając się ode mnie o kilka kroków.

– Evie, towarzyszysz mi od ponad godziny, co oznacza, że nie mam na świecie bliższej osoby. Proszę, bądź ze mną szczerą. Kim jestem?

Wzrok Evelyn przebiega zygzakiem po mojej twarzy.

– Nie ja powinnam o tym mówić – broni się. – Spotkaliśmy się dwa dni temu, zresztą przelotnie. Większość z tego, co wiem, to plotki i insynuacje.

– Siedzę przy pustym stole, zadowolę się każdym okrucieństwem.

Zaciska usta. Z zakłopotaniem poprawia rękawy. Gdyby miała łopatę, wykopałaby sobie tunel i uciekła. O uczynkach dobrych ludzi nie opowiada się z takimi oporami, dlatego zaczynam się bać, co Evelyn ma do powiedzenia. Mimo to nie mogę stracić takiej szansy.

– Proszę – nie rezygnuję. – Powiedziałaś wcześniej, że mogę wybrać, kim chcę być, nie mogę tego jednak zrobić, nie wiedząc, kim byłem.

Jej upór z wolna przygasa. Evelyn zerka na mnie spod rzęs.

– Jesteś pewien, że chcesz to usłyszeć? Prawda nie zawsze jest dobrodziejstwem.

– Wszystko jedno, muszę wiedzieć, co straciłem.

– Moim zdaniem niewiele. – Wzdycha, ściskając obiema dłońmi moją rękę. – Handlowałeś narkotykami, Sebastianie. Zarabiałeś na życie rozpraszaniem nudy bogatych próżniaków i robiłeś to całkiem nieźle, jeśli sądzić po gabinecie na Harley Street.

– Jestem...

– Handlarzem narkotyków – powtarza. – Zdaje się, że w modzie jest laudanum, choć z tego, co wiem, w twoim magicznym kufrze znajdzie się coś, co zaspokoi każdy gust.

Jestem zdruzgotany. Nie uwierzyłbym, że przeszłość może mnie tak boleśnie zranić, ale wiadomość o moim dawnym zajęciu razi jak grom. Choć miałem wiele wad, w głębi serca czułem dumę z zawodu lekarza. Uprawianie tej profesji nobilituje, stanowi wręcz zaszczyt. Ale nie, Sebastian Bell wypaczył sztukę lekarską i wykorzystał w przewrotny sposób do własnych egoistycznych celów, odrzucając tę odrobinę dobra, jaka mu została.

Evelyn miała rację – prawda nie zawsze jest dobrodziejstwem – nikt jednak nie powinien poznawać samego siebie w ten sposób, jakby w ciemnościach natykał się na opuszczony dom.

– Ja bym się tym nie martwiła. – Przechyliła głowę, by pochwycić moje spojrzenie. – W człowieku, którego mam przed sobą, widzę niewiele z tamtego odrażającego indywiduum.

– Właśnie po to jestem na tym przyjęciu? – pytam słabym głosem. – Żeby sprzedawać swój towar?

Uśmiecha się współczująco.

– Tak przypuszczam.

Ogarnia mnie otępienie, jak gdybym nie nadązał za sobą samym. Znam już przyczynę wszystkich dziwnych spojrzeń, które napotykałem przez cały dzień, szeptów i poruszenia, jakie wywoływałem, wchodząc do pokoju. Myślałem, że ludzie martwią się o moje samopoczucie, im chodziło jednak tylko o to, kiedy znowu otworzę kufer.

Czuję się jak ostatni głupiec.

– Muszę...

Ruszam, nie wiedząc jeszcze, jak skończy się to zdanie; nogi niosą mnie z powrotem przez las, w coraz szybszym tempie. Gdy docieram do drogi, prawie biegnę. Evelyn pędzi za mną, usiłując dotrzymać mi kroku. Próbuje mnie zatrzymać, przypomina, że chciałem się spotkać z Madeline, ale zaślepiiony nienawiścią do człowieka, którym byłem, jestem głuchy na głos rozsądku. Byłem gotów zaakceptować jego przywary, może je nawet zwalczyć, lecz spotkała mnie zdrada. Nawarzył piwa i uciekł, zostawiając mi zgliszczą swojego życia.

Drzwi Blackheath stoją otworem, więc gnam po schodach i wpadam do swojego pokoju tak szybko, że kiedy zdyszany stoję nad kufrem, mam jeszcze w nozdrzach zapach wilgotnej ziemi. Czyżby właśnie to wczoraj wieczorem wywabiło mnie do lasu? Za to przelewałem krew? W takim razie roztrzaskam to na kawałki i zerwę wszystkie związki z człowiekiem, którym byłem.

Kiedy na progu staje Evelyn, przetrząsam sypialnię w poszukiwaniu ciężkiego przedmiotu, aby wyłamać zamek kufra. Wyczuwa mój zamiar, wycofuje się na korytarz i po chwili wraca z popiersiem jakiegoś rzymskiego cesarza.

– Prawdziwy z ciebie skarb – chwalę ją i uderzam rzeźbą w zamek.

Kiedy rano wyciągałem kufer z szafy, był tak ciężki, że aby go udźwignąć, musiałem wyteńczyć wszystkie siły, teraz jednak przy każdym uderzeniu przesuwają się po podłodze. Evelyn znowu przychodzi mi na ratunek, siadając na kufrze, żeby go unieruchomić. Po trzech potężnych ciosach kłama z brzękiem spada na podłogę.

Odrzucam popiersie na łóżko i unoszę ciężkie wieko.

Kufer jest pusty.

W każdym razie prawie pusty.

W ciemnym rogu leży figura szachowa z wyrzeźbionym w podstawie imieniem *Anna*.

– Chyba najwyższy czas, żebyś opowiedział mi resztę swojej historii – mówi Evelyn.

Za oknem mojej sypialni rozpościera się ciemność, której zimny oddech pokrywa szybę szronem. Cichym sykiem odpowiada jej ogień, jedyne źródło światła w pokoju. Zza zamkniętych drzwi dobiega odgłos szybkich kroków na korytarzu i gwar rozmów gości zmierzających na bal. Gdzieś z oddali odzywa się drżący głos skrzypiec.

Wyciągam stopy w stronę ognia i czekam na ciszę. Evelyn prosiła mnie, żebym wziął udział w kolacji i zabawie, ale nie mogę spędzić wieczoru z gośćmi, wiedząc, kim naprawdę jestem i czego ode mnie chcą. Jestem zmęczony tym domem, gierkami tych ludzi. Spotkam się z Anną na cmentarzu dwadzieścia po dziesiątej, a potem każę stajennemu odwiedzić nas do wsi, byle dalej od tego szaleństwa.

Wracam spojrzeniem do figury szachowej, którą znalazłem w kufrze. Unoszę ją do światła w nadziei, że poruszy więcej wspomnień. Jak dotąd milczy, nie ma w niej nic, co pomogłoby odżyć mojej pamięci. To goniec, ręcznie rzeźbiony i chlapnięty białą farbą; daleko mu do kosztownych kompletów szachów z kości słoniowej, które widziałem w tym domu, a mimo to... figura coś dla mnie znaczy. Niezależnie od wspomnień kojarzy się z nią jakieś wrażenie, coś w rodzaju otuchy. Gdy trzymam ją w dłoni, dodaje mi odwagi.

Rozlega się pukanie do drzwi. Podnosząc się z krzesła, zaciskam gońca w palcach. Im bliżej spotkania na cmentarzu, tym większe odczuwam napięcie i ilekroć w kominku trzaska ogień, prawie wyskakuję przez okno.

– Belly, jesteś tu? – pyta Michael Hardcastle.

Puka jeszcze raz. Natarczywie. Uprzejmy łomot tarana.

Stawiam gońca nad kominkiem i otwieram drzwi. Przez korytarz płynie fala ludzi w kostiumach, a Michael ma na sobie jaskrawopomarańczowy garnitur i bawi się paskami ogromnej maski słońca.

– Jesteś. – Marszczy brwi. – Dlaczego jeszcze się nie przebrałeś?

– Nie idę na bal – wyjaśniam. – Ciągle mam... – Ruchem ręki wskazuję na swoją głowę, ale gest okazuje się dla niego niezbyt zrozumiały.

– Słabo ci? – pyta. – Mam wezwać Dickiego? Właśnie go widziałem...

Muszę chwycić Michaela za rękę, żeby nie wybiegł na korytarz w poszukiwaniu lekarza.

– Po prostu nie czuję się na siłach – tłumaczę.

– Na pewno? Będzie pokaz sztucznych ogni, poza tym nie mam wątpliwości, że moi rodzice przez cały dzień szykowali jakąś niespodziankę. Szkoda by było, gdyby...

– Naprawdę wolałbym zostać.

– Skoro jesteś pewien – rzuca strapionym głosem z równie strapioną miną. – Przykro mi, że miałeś taki paskudny dzień, Belly. Mam nadzieję, że jutro będzie lepiej i przynajmniej nie będzie tylu nieporozumień.

– Nieporozumień?

– Mówię o tej zamordowanej dziewczynie. – Uśmiecha się zakłopotany. – Daniel powiedział mi, że to była jedna wielka pomyłka. Czuję się jak skończony idiota, odwołując poszukiwania w połowie akcji. Ale nic złego się nie stało.

Daniel? Skąd mógł wiedzieć, że Anna żyje?

– Bo to była pomyłka, prawda? – upewnia się, widząc moją konsternację.

– Oczywiście – przytakuję z promiennym uśmiechem. – Tak... okropna pomyłka. Przepraszam, że zawracałem ci głowę.

– Nie przejmuj się – pociesza mnie z nutą wahania w głosie. – W ogóle już o tym nie myśl.

Jego wielkoduszność wydaje się wymuszona, jak gdyby naginał się niczym drzewo pod naporem wiatru. Słyszę jego nieufność nie tylko wobec opowieści o zamordowaniu Anny, ale też wobec człowieka, który przed nim stoi. Przecież nie jestem osobą, którą znał, i pewnie zdaje sobie sprawę, że już nie chcę nią być. Dziś rano byłem gotów zrobić niemal wszystko, by zasypać przepaść, która otworzyła się między nami, ale Sebastian Bell był handlarzem narkotyków i tchórzem, gadem. Michael przyjaźnił się z tym człowiekiem, jak więc mógłby zostać moim przyjacielem?

– Chyba lepiej już pójdę. – Odchrząkuje. – Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej, stary.

Stuka zgiętym palcem w futrynę, po czym odwraca się i rusza za resztą gości idących na przyjęcie.

Odprowadzam go wzrokiem, zastanawiając się nad tym, co usłyszałem. Zupełnie zapomniałem o porannej ucieczce Anny przez las, a myśl o rychłym spotkaniu na cmentarzu w znacznym stopniu stłumiła zgrozę tego pierwszego wspomnienia. Mimo to bez wątpienia zdarzyło się coś niezwykle ważnego, nawet jeśli Daniel wmawia wszystkim, że nic się nie stało. Jestem pewien, czego byłem świadkiem, pamiętam wystrzał i strach. Annę goniła postać w czerni – podejrzewam, że był to Lokaj. Jakimś sposobem ocalała, tak jak ja przeżyłem wczorajszą napaść. Czy o tym chce ze mną rozmawiać? O wspólnym wrogu i powodach, dla których człowiek w czerni chce naszej śmierci? Może chodzi mu o narkotyki? Na pewno są cenne. Przypuśćmy, że Anna to moja współniczka i zabrała je z kufra, żeby nie dostały się w jego ręce. To przynajmniej wyjaśniałoby, skąd się tam wzięła figura szachowa. Może to rodzaj wizytówki?

Wyjmuję z szafy płaszcz, po czym owijam szyję długim szalikiem i wkładam ciepłe rękawiczki, a przed wyjściem wsuwam do kieszeni nóż do papieru i gońca. Wita mnie rzeński chłód wieczoru. Gdy moje oczy przyzwyczajają się do ciemności, wciągam do płuc świeże powietrze, w którym czuć jeszcze wilgoć po burzy, i ruszam żwirową ścieżką za dom, w stronę cmentarza.

Mam zeszywniałe ramiona i czuję ucisk w żołądku.

Boję się tego lasu, ale jeszcze bardziej boję się czekającego mnie spotkania.

Kiedy się ocknąłem, chciałem tylko odkryć tajemnicę samego siebie, ale nieszczęśliwe zdarzenie wczorajszego wieczoru wydaje się teraz błogosławieństwem. Dzięki odniesionym obrażeniom mam szansę zacząć wszystko od początku, co się jednak stanie, jeśli spotkanie z Anną wywoła falę dawnych wspomnień? Czy sklecona w ciągu jednego dnia osobowość przetrwa taki potop, czy zostanie zupełnie zmieciona?

Czy ja zostanę zmieciony?

Pytanie omal nie zawraca mnie z drogi, ale nie mogę przecież rozprawić się z osobą, którą byłem, uciekając od zbudowanego przez nią życia. Lepiej śmiało stawić jej czoło, mając pewność, kim pragnę się stać.

Zaciskam więc zęby i ruszam dalej. Maszerując ścieżką przez las, natykam się na domek ogrodnika z ciemnymi oknami. O ścianę budynku

opiera się Evelyn i pali papierosa, postawiwszy u swoich stóp lampę sztormową. Ma na sobie długi beżowy płaszcz i kalosze, które niezbyt pasują do niebieskiej sukni wieczorowej i połyskującego w jej włosach diademu z brylantami. Jest naprawdę piękna, chociaż wydaje się skrępowana własną urodą.

Zauważa, że ją zauważyłem.

– Nie zdążyłam się przebrać po kolacji – usprawiedliwia się, rzucając papierosa.

– Co ty tu robisz, Evie? Powinnaś być na balu.

– Wymknęłam się. Chyba nie przypuszczałeś, że zrezygnuję z takiej atrakcji. – Rozgniąta obcasem niedopałek.

– To niebezpieczne.

– W takim razie niemądrze byłoby iść samemu, a poza tym mam coś na wszelki wypadek.

Z torebki wyjmuję czarny rewolwer.

– Gdzieś ty to znalazła? – Patrzę na broń zszokowany i nie bez wyrzutów sumienia. Świadomość, że Evelyn chwyciła za broń z powodu moich kłopotów, daje poczucie czegoś w rodzaju zdrady. Powinna być teraz w ciepłym zaciszu Blackheath, a nie pchać się w paszczę lwa.

– Należy do mojej matki, lepiej więc spytać, gdzie ona go znalazła.

– Evie, nie możesz...

– Sebastianie, jesteś moim jedynym przyjacielem w tym okropnym miejscu i nie pozwolę, żebyś sam szedł na cmentarz, nie wiedząc, co cię czeka. Ktoś już raz usiłował cię zabić. Nie zamierzam pozwolić na następną próbę.

Wdzięczność ściska mi gardło.

– Dziękuję.

– Nie wygłupiaj się, gdyby mnie tu nie było, zostałabym w domu i wszyscy by się na mnie gapili. – Unosi latarnię. – To ja powinnam ci dziękować. No, idziemy? Jeżeli nie wrócę na przemowy, będzie straszna awantura.

Cmentarz jest spowity przytłaczającym mrokiem; za powyginanym żelaznym ogrodzeniem widać drzewa chylące się nisko nad krzywymi nagrobkami. Mogiły są przykryte stertami gnijących liści, grobowce kruszą się ze starości, a wraz z nimi odchodzą imiona zmarłych.

– Rozmawiałam z Madeline o liście, który dostałeś wczoraj wieczorem – mówi Evelyn, otwierając skrzypiącą furtkę i wchodząc na cmentarz. – Mam nadzieję, że się o to nie gniewasz.

– Oczywiście, że nie. – Rozglądam się nerwowo. – Prawdę mówiąc, wyleciało mi to z głowy. Co powiedziała?

– Tylko tyle, że list dostała od pani Drudge, kucharki. Z nią rozmawiałam oddzielnie i powiedziała mi, że ktoś zostawił go w kuchni, ale nie wie kto. Był za duży ruch.

– Madeline go przeczytała?

– Oczywiście – odpowiada z przekąsem Evelyn. – Przyznała się i nawet nie zarumieniła. Wiadomość była bardzo krótka, nadawca prosił cię, żebyś natychmiast przyszedł tam gdzie zwykle.

– To wszystko? Bez podpisu?

– Niestety. Przykro mi, Sebastianie, liczyłam na to, że będę miała dla ciebie lepsze wiadomości.

Docieramy do mauzoleum na drugim końcu cmentarza, wielkiego bloku marmuru, którego strzegą dwa niszczące anioły. Na jednej z wyciągniętych w zapraszającym geście kamiennych rąk wisi lampa sztormowa i choć nieco rozjaśnia mrok, nie oświetla niczego godnego uwagi. Cmentarz jest pusty.

– Może ta Anna trochę się spóźni – sugeruje Evelyn.

– W takim razie kto zostawił zapaloną latarnię?

Serce tłucze mi się w piersi; czuję, jak wilgotnieją mi nogawki spodni, gdy brnę przez sięgające kostek liście. Sprawdzamy godzinę na zegarku Evelyn, ale nigdzie nie widać Anny. Jest tylko ta przeklęta latarnia; skrzypi, kołysząc się na wietrze, a my przez co najmniej piętnaście minut stoimy pod nią jak posągi, skąpani w jej świetle, i szukamy wzrokiem Anny, którą odnajdujemy wszędzie: w tańczących cieniach, szeleście liści, drgnieniu gałęzi drzew lekko poruszonych przez wiatr. Raz po raz jedno z nas trąca drugie w ramię, aby zwrócić jego uwagę na nieoczekiwany odgłos czy przestraszone zwierzę, które przemyka przez zarośla.

W miarę upływu czasu trudno jest powstrzymać myśli przed błędzeniem po bardziej niebezpiecznych rejonach. Doktor Dickie twierdził, że rany na moich rękach wyglądają tak, jakbym się bronił przed atakiem nożem. A jeżeli Anna nie jest sojusznikiem, tylko wrogiem? I może dlatego jej imię utkwilo mi w pamięci? Równie dobrze to ona mogła napisać list, który

dostałem podczas kolacji, a teraz zwabiła mnie tu, by dokończyć dzieło rozpoczęte wczoraj wieczorem.

Od tych myśli w mojej i tak kruchej odwadze powstaje coraz więcej rys i zaczyna je wypełniać strach. Stoję tu tylko dzięki obecności Evelyn, której odwaga nie pozwala mi się ruszyć z miejsca.

– Chyba nie przyjdzie – mówi Evelyn.

– Też mi się tak wydaje. – Swoim przyciszonym tonem maskuję ulgę. – Może powinniśmy wracać.

– Pewnie masz rację. Tak mi przykro, mój złoty.

Drżącą ręką zdejmuję lampę z ramienia anioła i ruszam za Evelyn w kierunku furtki. Po zaledwie kilku krokach Evelyn chwyta mnie za rękę i opuszcza swoją lampę tuż nad ziemię. Światło oblewa liście, ukazując na nich rozbryzgi krwi. Klękam i rozcieram w palcach lepką substancję.

– Tutaj – szepcze Evelyn.

Idąc po czerwonych śladach, dociera do jednego z nagrobków, gdzie coś leży między liśćmi, i zatrzymuje się. Gdy podchodzę i odgarniam je, znajduję kompas, który dziś rano wyprowadził mnie z lasu. Jest zaplamiony krwią i rozbity, a mimo to z niesłabnącym zapalem nadal wskazuje północ.

– To ten kompas, który dostałeś od mordercy? – pyta przytłumionym głosem Evelyn.

– Ten sam. – Ważę go w dłoni. – Rano wziął go ode mnie Daniel Coleridge.

– Wygląda na to, że ktoś mu go odebrał.

Jeżeli Anna zamierzała ostrzec mnie przed niebezpieczeństwem, to najwyraźniej pierwsza padła jego ofiarą, a Daniel Coleridge był w to w jakiś sposób zamieszany.

Evelyn kładzie dłoń na moim ramieniu i czujnie wpatruje się w ciemność za kręgiem światła latarni.

– Chyba najlepiej będzie zabrać cię z Blackheath – odzywa się w końcu. – Wracaj do swojego pokoju, przyślę po ciebie powóz.

– Muszę znaleźć Daniela – protestuję słabo. – I Annę.

– Tu się dzieje coś strasznego – syczy. – Rany na twojej ręce, narkotyki, ta Anna, a teraz kompas. Jak pionki w grze, której zasad żadne z nas nie zna. Musisz wyjechać, Sebastianie, zrób to dla mnie. Niech policja się tym zajmie.

Kiwam głową. Nie mam ochoty walczyć. Jedynym powodem, dla którego postanowiłem zostać, była Anna, a resztki odwagi podpowiadały mi, że spełnienie prośby złożonej w tak zagadkowy sposób to w pewnym sensie

sprawa honoru. Skoro zostałem zwolniony z tego obowiązku, zrywają się nici wiążące mnie z tym miejscem.

Wracamy do Blackheath w milczeniu. Evelyn idzie pierwsza z rewolwerem wymierzonym w ciemność, ja bezszelestnie podążam za nią, niemal jak pies i zanim się spostrzegam, żegnam się z przyjaciółką i otwieram drzwi swojego pokoju.

Nie wszystko wygląda tak, jak przed moim wyjściem.

Na łóżku leży pudełko przewiązane czerwoną wstążką. Zdejmuję ją jednym pociągnięciem i gdy zsuwam wieczko, żołądek podchodzi mi do gardła, wypełniając usta smakiem żółci. W pudełku tkwi martwy królik z wbitym w ciało nożem do krojenia mięsa. Na dnie zebrała się zakrzepła krew, która zlepia sierść zwierzęcia i plami wiadomość przypiętą do jego ucha.

*Od Twojego przyjaciela,
Lokaja.*

Oczy zasnuwa mi czerń.
Sekundę później mdleję.

Dzień drugi

Ze snu podrywa mnie ogłuszające dzwonięcie. Siadam na łóżku i zasłaniam dłońmi uszy. Gdy z grymasem niezadowolenia rozglądam się, szukając źródła hałasu, zdaję sobie sprawę, że w nocy zostałem przeniesiony do innego miejsca. Zamiast przestronnej sypialni z wanną i przyjemnym ogniem w kominku widzę ciasny pokoik o bielonych ścianach, z wąskim żelaznym łóżkiem i małym okienkiem, przez które sączy się przyćmione światło. Pod przeciwległą ścianą stoi komoda, a obok na kołku na drzwiach wisi znoszony brązowy szlafrok.

Spuszczam nogi na podłogę i kiedy dotykam stopami zimnego kamienia, po moich plecach przebiega dreszcz. Mając w pamięci martwego królika, natychmiast zaczynam podejrzewać Lokaja o nową niegodziwą sztuczkę, ale bezustanny hałas nie pozwala mi się skupić.

Wkładam szlafrok, krztusząc się od zapachu taniej wody kolońskiej, po czym wystawiam głowę na korytarz. Widzę spękane płytki na podłodze i białe ściany z wybrzuszeniami od wilgoci. Nie ma tu okien, są tylko lampy, które oblewają wszystko pełgającym i mdłym żółtym światłem. Brzęk brzmi tu jeszcze głośniejszy, więc zatykając uszy, ruszam śladem przeraźliwego dźwięku i docieram do rozchybotanych drewnianych schodów, prowadzących w głąb domu. Na ściennej tablicy wisi kilkadziesiąt sporych blaszanych dzwonek, z których każdy jest zaopatrzony w tabliczkę z nazwą części domu. Dzwonek u drzwi wejściowych dygocze tak gwałtownie, że zaczynam się obawiać o trwałość fundamentów.

Przyciskam dłonie do uszu i patrzę na dzwonek, ale oprócz wyrwania go ze ściany nie przychodzi mi na myśl żaden inny sposób uciszenia hałasu niż otwarcie drzwi. Ściskam paskiem szlafrok i wbiegam po schodach. Po chwili wynurzam się w głębi holu, gdzie jest znacznie ciszej. Widzę spokojnie

sunącą procesję służby, która niesie naręczka kwiatów i innych dekoracji. Mogę się tylko domyślać, że była zbyt zajęta uprzątnięciem pozostałości po wczorajszym przyjęciu, by usłyszeć hałas.

Zirytowany kręcę głową, po czym otwieram drzwi i stoję twarzą w twarz z doktorem Sebastianem Bellem.

Ma szaleństwo w oczach, jest przemoczony do suchej nitki i dygocze z zimna.

– Potrzebuję pana pomocy – rzuca w panice.

Mój świat zawisa w próżni.

– Ma pan telefon? – pyta, wpatrując się we mnie z bezgraniczną rozpaczą.

– Musimy zawiadomić władze.

To niemożliwe.

– Człowieku, nie stój jak kołek! – krzyczy i chwyta mnie za ramiona, a chłód jego dłoni przenika przez tkaninę piżamy.

Nie czekając na odpowiedź, wpycha mnie do holu i rozgląda się w poszukiwaniu pomocy.

Próbuję zrozumieć, co się dzieje.

Widzę siebie.

Widzę siebie z wczoraj.

Ktoś do mnie mówi, szarpiąc mnie za rękaw, ale nie potrafię skupić się na niczym innym prócz oszusta, z którego woda ścieka na posadzkę.

Na szczycie schodów pojawia się Daniel Coleridge.

– Sebastian? – Rusza w dół po stopniach z jedną ręką na poręczu.

Obserwuję go, szukając podstępu, jakiegoś znaku, że to tylko próba scenki, że to żart, ale on zbiega po schodach dokładnie tak samo jak wczoraj, równie lekkim krokiem, równie pewny siebie i otoczony podziwem.

Znowu czuję szarpnięcie za rękaw, a w moim polu widzenia pojawia się pokojówka. Spogląda na mnie z troską i porusza ustami.

– ...panie Collins, nic panu nie jest, panie Collins?

Jej twarz wygląda znajomo, choć nie potrafię sobie przypomnieć, skąd ją znam.

Patrzę ponad jej głową w stronę schodów, którymi Daniel już prowadzi Bella do jego pokoju. Wszystko dzieje się dokładnie tak samo jak wczoraj.

Wyrywam się pokojówce, by podbiec do lustra na ścianie. Ledwie mogę w nie spojrzeć. Mam mocno poparzoną skórę, szorstką i pokrytą cętkami jak

owoc, który za długo leżał na palącym słońcu. Znam tego człowieka. Jakimś sposobem obudziłem się jako kamerdyner.

Z walącym sercem odwracam się do pokojówki.

– Co się ze mną dzieje? – jąkam i chwytam się za gardło, zaskoczony ochrypłym głosem z akcentem z północy, który z siebie wydobywam.

– Słucham, proszę pana?

– Jak to się...

Pytam jednak niewłaściwą osobę. Odpowiedź, oblepiona brudem, człapie na górę do pokoju Daniela.

Unoszę poły szlafroka i pospiesznie ruszam za nimi dwoma, idąc tropem liści i plam brudnej wody. Pokojówka woła za mną. Gdy jestem w połowie drogi, wyprzedza mnie i zatrzymuje, zdecydowanym gestem kładąc mi dłonie na piersi.

– Nie może pan tam wejść, panie Collins – oznajmia. – Jeżeli lady Helena przyłapie pana w samej bieliźnie, będzie piekielna awantura.

Próbuję ją ominąć, ale przesuwają się w bok i znowu zagrażdza mi drogę.

– Daj mi przejść, dziewczyno! – rozkazuję i natychmiast tego żałuję. Nigdy nie mówię tak bezceremonialnym i rozkazującym tonem.

– Znowu ma pan atak, panie Collins, i tyle – kwituje. – Zejdźmy do kuchni, zaparzę herbaty.

Ma poważne niebieskie oczy. Nieśmiało zerka ponad moim ramieniem i gdy oglądam się za siebie, widzę innych służących zgromadzonych u dołu schodów. Przyglądają się nam, trzymając wciąż bukiety kwiatów.

– Atak? – powtarzam i zalewa mnie fala zwątpienia.

– Z powodu pańskich oparzeń, panie Collins – tłumaczy półgłosem. – Czasami mówi pan albo widzi niestworzone rzeczy. Wystarczy filiżanka herbaty, kilka minut i będzie pan jak nowo narodzony.

Jej życzliwość przytłacza mnie swoim ogromem i ciepłem. Przypomina mi wczorajsze prośby Daniela, który przemawiał do mnie tak delikatnie, jakby za mocny nacisk mógł mnie złamać. Daniel przypuszczał, że ma do czynienia z szaleńcem, tak jak ta pokojówka. Zważywszy na to, co się ze mną dzieje – co, jak sądzę, się dzieje – nie mogę mieć pewności, że są w błędzie.

Posyłam jej bezradne spojrzenie, a ona ujmuje mnie za ramię i idziemy z powrotem po schodach, a potem przez grupkę służby, która rozstępuje się przed nami.

– Filizanka herbaty, panie Collins – mówi uspokajającym tonem pokojówka. – Niczego więcej panu nie trzeba.

Prowadzi mnie jak zagubione dziecko, a uścisk jej stwardniałej dłoni jest równie łagodny jak jej głos. Opuszczamy hol i skręcamy na schody dla służby, po czym idziemy ciemnym korytarzem do kuchni.

Na czoło występuje mi pot, z pieców i płyt kuchennych bije ciepło, zawartość garnków bulgocze na otwartym ogniu. Czuję zapach sosu, pieczonych mięs, ciast, cukru i potu. Kłopot polega na tym, że jest za mało pieców i za dużo gości. Musieli zacząć przygotowania do kolacji już teraz, aby wszystko można było podać na czas.

Zdumiewa mnie ta znajomość sytuacji.

Mam rację, jestem tego pewien, ale skąd bym o tym wiedział, gdybym rzeczywiście nie był kamerdynerem?

Służące krzątają się przy śniadaniu, pospiesznie wynosząc srebrne półmiski z jajecznicą i wędzonymi śledziami. Polecenia wykrzykuje im starsza kobieta o rumianej twarzy i szerokich biodrach, która stoi przy piecu w oprószonym mąką fartuchu. Żaden generał w historii nie nosił z taką dumą orderów. Udaje się jej zauważyć nas w rozgardiaszu i jej stalowy wzrok najpierw przygwaźdża pokojówkę, a potem mnie.

Podchodzi do nas, wycierając dłonie w fartuch.

– Na pewno masz coś do roboty, Lucy – mówi z surową miną.

Dziewczyna zastanawia się przez chwilę, czy sprzeciw będzie rozsądnym wyjściem.

– Tak, pani Drudge.

Rozluźnia dłoń, zostawiając na moim ramieniu dotyk pustki. Posyła mi pełen współczucia uśmiech i znika w kuchennym zgiełku.

– Usiądź, Roger – zwraca się do mnie pani Drudge tonem, który ma chyba brzmieć łagodnie. Ma rozciętą wargę, a wokół jej ust zaczyna wykwitać siniak. Ktoś musiał ją uderzyć i kobieta krzywi się przy każdym wypowiedzianym słowie.

Drewniany stół na środku kuchni jest zastawiony półmiskami, na których piętrzą się ozory, pieczone kurczaki i szynki. Ugina się pod ciężarem coraz to nowych zup, duszonych mięs i tac lśniących warzyw, dostawianych przez udręczoną służbę kuchenną, której większość wygląda, jakby sama spędziła godzinę w piekarniku.

Odsuwam krzesło i siadam.

Pani Drudge wyjmuje z pieca blachę bułeczek, po czym kładzie jedną na talerzu i dodaje odrobinę masła. Następnie stawia talerz przede mną i dotyka mojej dłoni. Rękę ma twardą jak wyprawiona skóra.

Przez dłuższą chwilę patrzy na mnie z życzliwością najeżoną kolcami jak oset, po czym odwraca się i wrzaskiem toruje sobie drogę przez tłum.

Ociekająca roztopionym masłem bułeczka jest pyszna. Już po pierwszym kąsie znowu widzę Lucy i wreszcie przypominam sobie, dlaczego wydała mi się znajoma. To pokojówka, która będzie w salonie w czasie lunchu – zostanie zaatakowana przez Teda Stanwina i ocalona przez Daniela Coleridge'a. Jest jeszcze ładniejsza, niż zapamiętałem; ma piegi i wielkie błękitne oczy, spod czepka wysypują się niesforne rude włosy. Próbuje otworzyć słoik dżemu, krzywiąc się z wysiłku.

Miała plamy dżemu na fartuchu.

Wszystko rozgrywa się w zwolnionym tempie: słoik wyslizguje się jej z rąk, upada na podłogę, szkło rozpryskuje się po całej kuchni, dżem chlapie na fartuch.

– Do jasnej cholery, Lucy Harper! – rozlega się czyjś spłoszony krzyk.

Moje krzesło z trzaskiem ląduje na podłodze, a ja wypadam z kuchni na korytarz i pędzę z powrotem na górę. Tak mi się spieszy, że gdy skręcam w korytarz dla gości, zderzam się z muskularnym mężczyzną w przybrudzonej węglem koszuli, o ciemnych kędzierzawych włosach opadających na czoło. Bąkając słowa przeprosin, unoszę wzrok i widzę twarz Gregory'ego Golda, który wpada w furję jak w otchłań bez dna; w jego oczach lśni czysty obłęd. Sinieje, dygocze z wściekłości, a ja ponieważ przypominam sobie, co się teraz stanie, jak wyglądał kamerdyner po starciu z tą bestią.

Usiłuję się cofnąć, ale on długimi palcami łapie mnie za szlafrok.

– Nie trzeba tak...

Wzrok zasnuwa mi mgła, świat zmienia się w kolorową plamę, którą rozdziera błyskawica bólu, gdy uderzam w ścianę i osuwam się na podłogę, czując, że krew sączy mi się z głowy. Nade mną majaczy jego sylwetka z żelaznym pogrzebaczem w dłoni.

– Proszę... – Próbuję odpełznąć byle dalej od niego. – Nie jestem...

Kopniak w bok pozbawia mnie powietrza w płucach.

Wyciągam rękę, usiłując coś powiedzieć, przebłagać go, ale wydaje się, że to tylko bardziej go rozwściecza. Kopie mnie coraz mocniej i szybciej, aż nie

pozostaje mi nic innego, jak zwinąć się w kłębek i pozwolić, by wyładował na mnie gniew.

Ledwie dyszę, ledwie widzę. Płaczę przygnieciony własnym bólem.
Na szczęście tracę przytomność.

10

Dzień trzeci

Jest ciemno, tchnienie bezksiężycowej nocy porusza siatką na oknie. Pościel jest miękka, łóżko wygodne i z baldachimem.

Uśmiecham się, zaciskając palce na brzegu puchowej kołdry.

Po prostu przyśnił mi się jakiś koszmar.

Puls uspokaja się z każdym uderzeniem serca, smak krwi odpływa wraz ze snem. Dopiero po kilku sekundach przypominam sobie, gdzie jestem, a po kilku następnych dostrzegam wysoką ciemną postać stojącą w rogu pokoju.

Dech zamiera mi w piersi.

Przesuwam rękę po pościeli w stronę stolika nocnego, by sięgnąć po zapalki, ale mam wrażenie, jakby uciekały przed moją dłonią.

– Kim pan jest? – pytam ciemności, nie mogąc opanować drżenia głosu.

– Przyjacielem.

Niski i przytłumiony głos należy do mężczyzny.

– Przyjaciele nie czają się w mroku – mówię.

– Nie powiedziałem, że jestem pańskim przyjacielem, panie Davies.

Szukając po omacku, omal nie strącam lampy naftowej ze stolika. Gdy próbuję ją przytrzymać, moje palce odnajdują zapalki ukryte obok jej podstawy.

– Proszę się nie przejmować światłem – odzywa się ciemność. – Niewiele panu z niego przyjdzie.

Drżącą ręką zapalam zapalkę i przytykam do knota. Za szkłem bucha płomień, który rozprasza cienie po kątach i oświetla mojego gościa. To mężczyzna w kostiumie medyka z czasów epidemii dżumy, którego spotkałem wcześniej, a światło ukazuje szczegóły, jakich nie zauważyłem w półmroku gabinetu. Jego płaszcz jest wytarty i postrzępiony, cylinder i porcelanowa maska z ptasim dziobem zasłaniają całą twarz oprócz oczu.

Dłonie w rękawiczkach wspierają się na czarnej lasce, na której połyskuje inkrustowana srebrem inskrypcja, choć litery są zbyt małe, abym mógł je odczytać z tej odległości.

– Jest pan spostrzegawczy, świetnie – zauważa Doktor Dżuma. Z głębi domu dobiega odgłos kroków, a ja zastanawiam się, czy mam wystarczająco bujną wyobraźnię, aby wzbogacić tak nadzwyczajny sen o tak prozaiczne szczegóły.

– Co pan, u diabła, robi w moim pokoju?! – wybucham zaskoczony gwałtownością swojej reakcji.

Maska z dziobem przerywa lustrowanie sypialni i ponownie skupia uwagę na mnie.

– Jest coś do zrobienia – informuje mnie. – Mam zagadkę, którą należy rozwiązać.

– Chyba pomylił mnie pan z kimś innym – odparowuję ze złością. – Jestem lekarzem.

– Był pan lekarzem – prostuje. – Potem kamerdynerem, dzisiaj playboyem, jutro bankierem. Żaden z nich nie jest pańskim prawdziwym obliczem ani pańską prawdziwą osobowością. Tych został pan pozbawiony, kiedy wkroczył pan do Blackheath, i zostaną panu zwrócone dopiero wówczas, gdy opuści pan tę posiadłość.

Sięga do kieszeni, wyjmuje lusterko i rzuca je na łóżko.

– Niech pan sam zobaczy.

Drżąca w moich dłoniach tafla szkła odbija twarz młodego człowieka o niezwykle błękitnych oczach, w których maluje się bardzo niewiele roztropności. Lustro nie pokazuje rysów Sebastiana Bella ani poparzonego kamerdynera.

– Nazywa się Donald Davies – wyjaśnia Doktor Dżuma. – Ma siostrę Grace i najlepszego przyjaciela Jima, nie lubi orzeszków ziemnych. Dziś będzie pan gościł w ciele Daviesa, a jutro obudzi się pan jako ktoś inny. Na tym to polega.

A więc to jednak nie był sen, to wszystko wydarzyło się naprawdę. Dwa razy przeżyłem ten sam dzień w ciałach dwóch różnych osób. Rozmawiałem ze sobą, wymyślałem samemu sobie i oglądałem siebie oczami kogoś innego.

– Tracę zmysły, prawda? – Słyszę, jak łamie mi się głos. Spoglądam na Doktora Dżumę ponad lusterkiem.

– Oczywiście, że nie – zapewnia mnie. – Szaleństwo oznaczałoby ucieczkę, a z Blackheath jest tylko jedna droga ucieczki. Właśnie dlatego tu jestem. Chcę panu coś zaproponować.

– Dlaczego pan mi to robi? – pytam ostrym tonem.

– Pochlebia mi pan, ale to nie ja jestem odpowiedzialny za pańskie położenie... ani za sytuację Blackheath, jeśli o to chodzi.

– W takim razie kto?

– Nikt, kogo miałby pan ochotę albo powinien poznawać – odpowiada, zbywając tę kwestię lekceważącym machnięciem ręki. – Wróćmy do propozycji, o której...

– Muszę z nią porozmawiać – przerywam mu.

– Z kim?

– Z osobą, która mnie tu sprowadziła, która może mnie uwolnić – mówię przez zaciśnięte zęby, usiłując nie stracić panowania nad sobą.

– Tej pierwszej już dawno nie ma, drugą ma pan przed sobą. – Obiema rękami klepie się w pierś. Może to przez jego kostium, ale gest wydaje się nieco teatralny, jakby przećwiczony. Nagle odnoszę wrażenie, że gram rolę w przedstawieniu, które wszyscy oprócz mnie znają na pamięć. – Tylko ja wiem, jak może pan uciec z Blackheath – dodaje.

– Pańska propozycja? – pytam podejrzliwie.

– Otóż to, chociaż właściwszym słowem może być zagadka. – Wyjmuje zegarek kieszonkowy i sprawdza godzinę. – Na dzisiejszym balu ktoś zostanie zamordowany. Nie będzie to wyglądało na zabójstwo, więc sprawcy nie złapią. Jeśli naprawi pan tę niesprawiedliwość, pokażę panu wyjście.

Sztywnieję, zaciskając dłonie na pościeli.

– Skoro jest pan w stanie mnie uwolnić, dlaczego pan tego po prostu nie robi, do diabła?! – złoścuję się. – Po co te gierki?

– Bo wieczność jest nudna – odpowiada. – A może dlatego, że istotna jest sama gra. Domysły pozostawiam panu. Tylko niech pan zbyt długo nie zwleka, panie Davies. Ten dzień powtórzy się osiem razy i będzie go pan oglądał oczami ośmiu różnych osób. Bell był pierwszą, kamerdyner drugą, a trzecią pan Davies. Oznacza to, że zostało do odkrycia jeszcze pięć osób. Na pańskim miejscu działałbym szybko. Kiedy pozna pan odpowiedź, proszę przyjść nad jezioro o jedenastej wieczorem i przynieść dowód. Będę czekał.

– Nie zamierzam brać udziału w tych gierkach dla pańskiej rozrywki – fukam, pochylając się w jego stronę.

– Wobec tego niech pan przegra na złość mnie, ale proszę wiedzieć jedno: jeżeli nie rozwikła pan tej tajemnicy do północy w swoim ostatnim wcieleniu, pozbawimy pana wspomnień, wróci pan do postaci doktora Bella i wszystko zacznie się od początku.

Zerka na zegarek, po czym wsuwa go do kieszeni, cmokając z irytacją.

– Czas nam ucieka. Jeżeli zgodzi się pan współpracować, przy następnym spotkaniu odpowiem na więcej pańskich pytań.

Przez okno wpada podmuch wiatru i gasi lampę, pogrążając nas w ciemnościach. Kiedy znajduję zapalki i ponownie zapalam knot, Doktora Dżumy już nie ma.

Przestraszony i zdezorientowany, wyskakuję z łóżka jak z procy, otwieram drzwi i wychodzę z sypialni. W zimnym korytarzu panuje zupełny mrok. Nie zobaczyłbym swojego gościa, nawet gdyby stał pięć kroków ode mnie.

Zamykam drzwi i podbiegam do szafy, aby chwycić pierwsze z brzegu ubranie. Człowiek, w którego ciele jestem, jest niski i chudy i lubuje się w jaskrawej garderobie. Po chwili mam na sobie krzykliwy strój złożony z fioletowych spodni, pomarańczowej koszuli i żółtej kamizelki. W głębi szafy znajduję płaszcz i szalik, wkładam je i wychodzę. Rano morderstwo, wieczorem kostiumy, zagadkowe listy i poparzeni kamerdynerzy; bez względu na to, co się tu dzieje, nie dam sobą pomiatać jak bezwonną marionetką.

Muszę uciec z tego domu.

Szafkowy zegar u szczytu schodów, którego znużone wskazówki pokazują trzecią siedemnaście nad ranem, strofuje mnie za pośpiech niezadowolonym tykaniem. Wzdragam się przed budzeniem masztalerza o tak nieludzkiej porze, ale jeżeli chcę uciec od tego szaleństwa, nie mam innego wyjścia, skaczę więc po dwa stopnie na niedorzecznie drobnych stopach kolorowego pawia, którym jestem, omal nie tracąc równowagi.

Z Bellem i kamerdynerem było inaczej. Czuję się skrępowany powłokami tego ciała, które zdaje się pękać w szwach pod moim naporem. Poruszam się niezgrabnie jak pijany.

Gdy otwieram drzwi wejściowe, do środka wpada kłęb liści. Na zewnątrz szaleje wichur, w powietrzu wirują strugi deszczu, las kołysze się i skrzypi. Noc jest paskudna, koloru sadzy rzuconej w niebo. Jeśli mam odnaleźć drogę i nie skreślić karku, będę potrzebował więcej światła.

Wracam do środka i skręcam na schody dla służby w głębi holu. Drewno balustrady jest szorstkie, stopnie chyboczą się pod moim ciężarem. Na szczęście z lamp nadal sączy się mdły blask, choć przygaszone płomienie pełgają nerwowo. Korytarz jest dłuższy, niż go zapamiętałem, na bielonych ścianach błyszczą kropelki pary, a z tynku unosi się zapach mokrej ziemi. Wszystko jest wilgotne i przegniłe. Widziałem większość brudnych zakątków Blackheath, ale żaden z nich nie był tak celowo zaniedbany. Dziwne, że w tym domu w ogóle jest jakaś służba, zważywszy na to, jak mało szacunku mają dla niej chlebobdawcy.

W kuchni miotam się przez chwilę między pełnymi półkami, dopóki nie znajduję lampy sztormowej i zapalek. Zapalam ją przy drugiej próbie, po czym pędzę z powrotem po schodach i wybiegam prosto w burzę.

Światło lampy rozrywa ciemność, deszcz siecze mnie po oczach.

Idę podjazdem do brukowanej drogi prowadzącej do stajni, a las wokół mnie faluje. Potykam się o nierówne kamienie i wyteżam wzrok, by dojrzeć domek masztalera, ale lampa świeci za mocno, ukrywając przede mną to, co powinna wydobyć z mroku. Zanim zdążyłem się zorientować, jestem już po drugiej stronie łukowej bramy i ślizgam się na końskim nawozie. Tak jak poprzednio, dziedziniec jest pełen powozów przykrytych plandekami, którymi targa wiatr. Tym razem jednak w stajniach są konie i słychać, jak parszczą przez sen.

Otrząsam buty z nawozu, rzucam się do drzwi domku, który szczęśliwie znalazł się na mojej drodze, i łomoczę kołatką. Po kilku minutach zapala się światło i uchylają się drzwi, zza których ukazuje się zaspana twarz starszego mężczyzny w kalesonach.

– Muszę wyjechać – informuję go.

– O tej godzinie? – pyta z powątpiewaniem, przecierając oczy i zerkając na czarne jak smoła niebo. – Przewieje pana i przemoczy na śmierć.

– To pilne.

Przygląda się pogodzie i wzdycha, po czym gestem zaprasza mnie do środka, szeroko otwierając drzwi. Wkłada spodnie i ospałymi ruchami człowieka, którego z niewiadomego powodu obudzono w środku nocy, przekłada szelki przez ramiona. Zdejmuje kurtkę z wieszaka i powłóczę nogami, wychodzi z domku, dając mi znak, żebym został w środku.

Muszę przyznać, że chętnie przystaję na tę propozycję. Domek bucha ciepłem i przytulnością, nozdrza wypełnia miła woń skóry i mydła. Kusi

mnie, by zerknąć na grafik wiszący przy drzwiach i sprawdzić, czy jest już tam wiadomość od Anny, ale ledwie wyciągam rękę, słyszę potworny rumor i oślepia mnie światło, które wpada przez okno. Wychodzę na deszcz i widzę starego masztalerza w zielonym samochodzie; mężczyzna dygocze i kaszle, jakby nękała go jakaś straszliwa choroba.

– Proszę bardzo. – Wysiada z pojazdu. – Uruchomiłem go dla pana.

– Ale...

Przerażony rzeźącą machiną, nie wiem, co powiedzieć.

– Nie ma powozów? – pytam w końcu.

– A jakże, są, proszę pana, ale w czasie burzy konie się płoszą – wyjaśnia, wkładając rękę pod koszulę, żeby podrapać się pod pachą. – Z całym szacunkiem, nie potrafiłby pan nad nimi zapanować.

– Nad tym nie potrafię zapanować. – Patrzę na straszne mechaniczne monstrum i ze zgrozy głos więźnie mi w gardle. Deszcz z brzękiem odbija się od metalu i tworzy sadzawkę pod przednią szybą.

– To proste jak drut – uspokaja mnie masztalerz. – Wystarczy złapać kierownicę, skierować maszynę tam, dokąd pan chce jechać, a potem wcisnąć pedał. Bardzo szybko pan pojmie.

Jego pewność siebie jak stanowcza ręka każe mi wsiąść do pojazdu. Drzwi zamykają się z cichym trzaskiem.

– Niech pan jedzie tą brukowaną drogą do końca, a potem skręci w lewo w gruntową. – Pokazuje w ciemność. – Ona zaprowadzi pana do wsi. Jest długa i prosta, chociaż uprzedzam, że trochę nierówna. Będzie pan na miejscu za jakieś czterdzieści minut, może godzinę, to zależy, jak ostrożnie będzie pan jechać, ale na pewno pan trafi. Jeżeli można prosić, niech pan zostawi samochód w jakimś widocznym miejscu, a z samego rana wyślę po niego jednego z moich synów.

Po tych słowach znika w domku i zatrząskuje za sobą drzwi.

Chwytam kierownicę i przyglądam się dźwigniom i wskaźnikom, starając się odkryć w przyrządach jakieś pozory logiki. Kiedy niepewnie wciskam pedał, straszliwa machina gwałtownie rusza naprzód. Odrobinę zmniejszam nacisk i udaje mi się wytoczyć samochód pod łukiem bramy na wyboisty bruk i dotrzeć do skrętu w lewo, o którym wspominał masztalerz.

Szybę zalewa deszcz, muszę więc wychylić się przez okno, by zobaczyć, dokąd jadę. Reflektory oświetlają zasłaną liśćmi i opadłymi gałęziami leśną drogę, po której kaskadą spływa woda. Mimo niebezpieczeństwa cały czas

wciskam pedał gazu do deski, a mój niepokój ustępuje miejsca euforii. Po tym wszystkim, co się stało, nareszcie uciekam z Blackheath i każdy kilometr wyboistej drogi oddala mnie od szaleństwa tego domu.

Nadciąga ranek w postaci szarej smugi, która zamiast rozjaśnić niebo, tworzy na nim plamę brudu, choć przynajmniej przynosi kres ulewie. Zgodnie z obietnicą masztalera droga biegnie prosto przez niekończący się las. Gdzieś wśród tych drzew jest teraz mordowana dziewczyna i Bell odzyskuje świadomość, by to zobaczyć. Zabójca daruje mu życie oraz srebrny kompas, który wskaże mu drogę do miejsca, gdzie nie istnieje logika, a on jak głupiec będzie myślał, że jest ocalony. Jak jednak mogą być w lesie i równocześnie w tym samochodzie – między jednym a drugim będąc jeszcze kamerdynerem? Moje dłonie zaciskają się na kierownicy. Jeżeli jako Sebastian Bell mogłem rozmawiać z kamerdynerem, to osoba, którą będę jutro, prawdopodobnie krąży już po Blackheath. Być może nawet ją spotkałem. Nie tylko zresztą moje jutrzejsze wcielenie, ale też to, którym będę dzień później i następnego dnia. Jeśli rzeczywiście tak jest, to kim jestem ja? Czy raczej kim są oni? Fragmentami jednej duszy odpowiedzialnymi wzajemnie za swoje grzechy czy zupełnie innymi osobami, kiepskimi kopiami jakiegoś dawno zapomnianego oryginału?

Gdy z lasu wypełza mgła i gęsto ściela się nad ziemią, wskaźnik poziomu paliwa dochodzi do czerwonej kreski. Po moim wcześniejszym poczuciu triumfu nie ma już śladu. Już dawno powinienem dotrzeć do wsi, lecz w oddali nie widać żadnego dymiącego komina, podobnie jak nie widać wyjścia z lasu.

W końcu samochód szarpie i nieruchomieje, wydając ostatnie zgrzytliwe tchnienie i zatrzymując się dwadzieścia centymetrów od Doktora Dżumy w czarnym płaszczu, ostro odcinającym się od mlecznej mgły, z której się wyłonił. Choć mam zeszywniałe nogi i obolałe plecy, gniew dodaje mi siłę, więc wyskakuję z samochodu.

– Wywietrzały już panu z głowy te głupstwa? – pyta Doktor Dżuma, opierając obie dłonie na lasce. – Mógłby pan tyle zdziałać w tym wcieleniu, a marnuje je pan na tej drodze i niczego nie osiąga. Blackheath pana nie wypuści, a gdy próbuje się pan zerwać z uwięzi, rywale nie próżnują i prowadzą śledztwo.

– Czyli okazuje się, że mam rywali – pry cham z pogardą. – Serwuje mi pan jeden figiel za drugim, prawda? Najpierw mówi mi pan, że zostałem tu

uwięziony, a teraz, że jest konkurencja o prawo do ucieczki.

Podchodzę do niego, zdecydowany użyć siły, aby zszedł mi z drogi.

– Nie rozumie pan jeszcze? – pytam. – Nie obchodzą mnie pańskie zasady, bo nie zamierzam grać według nich. Albo pozwoli mi pan stąd wyjechać, albo pożałuje pan, że zostałem.

Gdy jestem dwa kroki od niego, wymierza we mnie laskę. Choć jej koniec zatrzymuje się parę centymetrów od mojej piersi, wygląda groźniej niż najpotężniejsza armata. Srebrna inskrypcja pulsuje, a z drewna bije łagodny blask, rozpraszając mgłę. Czuję, jak jej żar przenika moje ubranie. Jestem pewien, że gdyby chciał, mógłby tym niewinnie wyglądającym przedmiotem wyrwać w moim ciele dziurę na wylot.

– Donald Davies zawsze jest najbardziej dziecinnym wcieleniem – mruczy z niezadowoleniem, patrząc, jak nerwowo cofam się o krok. – Ma pan jednak za mało czasu, by spełniać jego kaprysy. W tym domu są uwięzione jeszcze dwie osoby, które tak jak pan zajmują ciała gości i służących. Tylko jedno z was może stąd wyjechać, a będzie to osoba, która pierwsza da mi odpowiedź. Czy już pan rozumie? Tą leśną drogą nie zdoła pan uciec, tylko ja mogę pana uwolnić. Ale niech pan ucieka, skoro pan musi. Niech pan biegnie, dopóki starczy panu sił, a ilekroć będzie się pan budził w Blackheath, proszę pamiętać, że nic tu nie jest przypadkowe, nic nie zostało przeoczone. Zostanie pan tutaj, dopóki nie zdecyduję inaczej.

Opuszcza laskę i wyjmuję z kieszeni zegarek.

– Porozmawiamy niebawem, kiedy trochę się pan uspokoi – dodaje, chowając przedmiot z powrotem. – Niech pan odtąd rozsądniej używa swoich wcieleń. Rywale są bardziej przebiegli, niż pan przypuszcza, a zapewniam, że nie będą tak lekkomyślnie trwonić czasu.

Chcę rzucić się na niego z pięściami, ale kiedy mija mi wściekłość, widzę nedorzecznosc tego pomysłu. Jeśli nawet odjąć obszerny kostium, mam przed sobą rosłego mężczyznę, który bez trudu mógłby odeprzeć mój atak. Dlatego omijam Doktora Dzumę, który kieruje się z powrotem do Blackheath, i ruszam w mgłę. Być może ta droga nigdy się nie kończy, być może nie ma żadnej wioski, ale nie spocznę, dopóki sam się o tym nie przekonam.

Nie powrócę z własnej woli do gry prowadzonej przez szaleńca.

Dzień czwarty

Budzę się, słysząc swój chrapliwy oddech, przytłoczony ciężarem monumentalnego brzucha nowego wcielenia. Pamiętam, jak padłem na drodze, wyczerpany wieloma godzinami marszu, wyjąc z rozpacz, bo nie zdołałem dotrzeć do żadnej wioski. Doktor Dżuma mówił prawdę. Z Blackheath nie ma ucieczki.

Stojący przy łóżku zegar podróżny informuje mnie, że jest wpół do jedenastej rano, a kiedy właśnie zamierzam wstać, w drzwiach prowadzących do sąsiedniego pokoju ukazuje się wysoki mężczyzna ze srebrną tacą i stawia ją na komodzie. Wygląda na trzydzieści kilka lat, ma ciemne włosy, jest gładko ogolony, a jego nijaka i niezbyt rzucająca się w oczy powierzchowność może uchodzić za atrakcyjną. Znad okularów zsuniętych na koniec nosa patrzy na zasłony, do których podchodzi. Nie mówiąc ani słowa, rozsuwa je i otwiera okna, ukazując moim oczom widok na ogród i las.

Zafrapowany, przyglądam się mężczyźnie.

Można w nim dostrzec jakąś przedziwną precyzję. Każdy ruch jest szybki i oszczędny, aby żaden wysiłek nie poszedł na marne. Wydaje się, jakby oszczędzał energię przed jakimś czekającym go ogromnym trudem.

Przez mniej więcej minutę stoi w oknie odwrócony do mnie plecami, pozwalając sypialni odetchnąć zimnym powietrzem. Mam wrażenie, że czegoś ode mnie oczekuje, że robi tę pauzę dla mnie, ale za nic nie potrafię się domyślić, co powinienem uczynić. Bez wątpienia wyczuwając moje niezdecydowanie, przerywa obserwację świata, wsuwa mi rękę pod pachy i podciąga mnie do pozycji siedzącej.

Odplącam się za pomoc wstydem.

Jedwabna piżama jest przesiąknięta potem, a zapach unoszący się z mojego ciała jest tak ostry i nieprzyjemny, że wyciska mi łzy z oczu. Nie zważając na moje zażenowanie, usłużny towarzysz bierze tacę z komody, stawia mi ją na kolanach i zdejmuje metalowy klosz. Na półmisku wznosi się góra jajek na bekonie, obok porcja kotletów wieprzowych, dzbanek herbaty i dzbanuszek mleka. Taki posiłek mógłby zniechęcać do jedzenia, ale ja umieram z głodu i rzucam się na to jak zwierzę, podczas gdy wysoki mężczyzna – mój pokojowy, jak się domyślam – znika za parawanem we wschodnie wzory, skąd po chwili dobiega plusk nalewanej wody.

Przerywając jedzenie dla nabrania oddechu, wykorzystuję okazję, by przyjrzeć się otoczeniu. W przeciwieństwie do skromnego wystroju sypialni Bella ten pokój urządzone z niebywałym przepychem. Czerwone aksamitne zasłony w oknach sięgają podłogi, ścieląc się na puszystym niebieskim dywanie. Ściany są ozdobione dziełami sztuki, lakierowane mahoniowe meble wypolerowano na błysk. Osoba, którą jestem, musi się cieszyć ogromnym szacunkiem rodziny Hardcastle'ów.

Gdy pokojowy wraca, ocieram właśnie serwetką tłuszcz z ust i dyszę z wysiłku po jedzeniu. Na pewno budzę w nim obrzydzenie. Sam czuję do siebie obrzydzenie. Czuję się jak świnia przy korycie. Mimo to jego twarz nie zdradza odrobiny emocji, kiedy zabiera tacę i narzuca sobie na szyję moje ramię, aby pomóc mi dźwignąć się z łóżka. Bóg jeden wie, ile razy przechodził przez ten rytuał i jaką pobiera za to pensję, dla mnie jednak ten jeden raz wystarczy. Na wpół prowadzi, na wpół wlecze mnie jak rannego żołnierza za parawan, gdzie czeka przygotowana gorąca kąpiel.

Wtedy zaczyna mnie rozbierać.

Nie mam wątpliwości, że to należy do stałego porządku dnia, ale nie sposób znieść takiego wstydu. Choć to nie moje ciało, czuję się nim upokorzony, przerażają mnie wiszące na biodrach fałdy, nogi ocierające się o siebie przy każdym kroku.

Odpędzam swojego towarzysza, to jednak daremny trud.

– Milordzie, przecież nie może pan... – urywa, ostrożnie dobierając słowa – nie będzie pan umiał sam wejść do wanny ani z niej wyjść.

Mam ochotę wysłać go do diabła, żeby dał mi spokój, ale oczywiście ma rację.

Zaciskam mocno powieki i posłusznie kiwam głową.

Wprawnymi ruchami rozpina górę piżamy i zsuwa spodnie, unosząc mi najpierw jedną, potem drugą nogę, żebym nie zaplątał się w materiał. Po kilku sekundach jestem nagi, a pokojowy na znak szacunku staje w stosownej odległości.

Kiedy otwieram oczy, widzę swoje odbicie w wysokim lustrze ukazującym całą sylwetkę. Wyglądam jak groteskowa karykatura ludzkiego ciała; skóra jest żółtawa i rozdęta, z gąszczu włosów łonowych wystaje zwiotczały penis.

Przepełniony wstrętem i upokorzony tym widokiem, wydaję z siebie ciche łkanie.

Na twarzy pokojowego odbija się zaskoczenie, a potem, za ledwie przez ułamek sekundy, radość. Przebłysk nieskrywanych uczuć znika równie szybko, jak się pojawił.

Podbiega do mnie, aby pomóc mi wejść do wanny.

Dobrze pamiętam euforię, jaka mnie ogarnęła, gdy w cieple Bella zanurzyłem się w gorącej wodzie, teraz jednak nie odczuwam niczego takiego. Moja ogromna masa oznacza, że radość z ciepłej kąpieli mąci nieuchronna perspektywa upokarzającego wyjścia z wanny.

– Będzie pan sobie życzył dziś rano wiadomości, lordzie Ravencourt? – pyta mój towarzysz.

Siedząc sztywno w wannie, kręcę głową w nadziei, że wyjdzie z pokoju.

– Państwo przygotowali na dziś różne zajęcia dla gości: polowanie, spacer po lesie, proszono...

Znowu kręcę głową, wpatrując się w wodę. Ile jeszcze muszę znieść?

– Doskonale, wobec tego tylko spotkania.

– Odwołaj je – mówię cicho. – Odwołaj wszystkie.

– Nawet z lady Hardcastle, milordzie?

Po raz pierwszy spoglądam w jego zielone oczy. Doktor Dżuma twierdził, że aby opuścić ten dom, muszę rozwiązać zagadkę morderstwa, a któż lepiej niż pani domu pomoże mi zbadać jego tajemnice?

– Nie, tego nie odwołuj – odpowiadam. – Przypomnij mi, gdzie mamy się spotkać.

– W pańskim saloniku, milordzie. Chyba że chce pan to zmienić?

– Nie, to odpowiednie miejsce.

– Doskonale, milordzie.

Skoro uzgodniliśmy ostatnią sprawę, wychodzi, pozwalając mi delektować się spokojem, sam na sam z moją niedolą.

Zamykam oczy i opieram głowę o brzeg wanny, próbując ogarnąć rozumem swoją sytuację. Dla niektórych oderwanie duszy od ciała oznaczałoby śmierć, ale w głębi serca wiem, że nie umarłem. Piekło miałoby mniej liczną służbę i lepsze umeblowanie, poza tym pozbawienie człowieka grzechów nie wydaje się najlepszym wyrokiem.

Żyję, choć w stanie, którego nie rozpoznaję. To stan zbliżony do śmierci, tyle że bardziej pokrętny, i nie jestem w nim sam. Doktor Dżuma twierdził, że o prawo do ucieczki z Blackheath rywalizują trzy osoby. Czyżby Lokaj, który podrzucił mi martwego królika, tak jak ja był więźniem tego domu? To by wyjaśniało, dlaczego próbuje mnie zastraszyć. Trudno przecież wygrać wyścig, jeżeli człowiek boi się dotrzeć do mety. Być może szczucie nas na siebie nawzajem jak wygłodniałe psy w ringu jest dla Doktora Dżumy rozrywką.

Może powinieneś mu zaufać.

– No i masz swoją traumę, Dickie – mruczę pod nosem. – Myślałem, że zostałeś z Bellem – zwracam się do głosu.

Kiedy wypowiadam te słowa, wiem, że to kłamstwo. Jestem związany z tym głosem, tak jak jestem związany z Doktorem Dżumą i Lokajem. Instynktownie wyczuwam, że łączy nas ważna przeszłość, choć jej nie pamiętam. Mają swój udział we wszystkim, co mnie spotyka, są kawałkami łamigłówek, którą rozpaczliwie usiłuję ułożyć. Nie mogę mieć pewności, czy są moimi wrogami, czy sprzymierzeńcami, ale bez względu na prawdziwą naturę głosu dotychczas jeszcze nie wprowadził mnie w błąd.

Mimo to pomysł, by zaufać swojemu prześladowcy, wydaje mi się w najlepszym razie naiwny. Myśl, że to wszystko się skończy, jeżeli wyjaśnię zagadkę morderstwa, jest niedorzeczna. Nie wiem, jakie zamiary ma Doktor Dżuma, ale ukazał mi się w masce i pod osłoną nocy. Stara się nie pokazywać twarzy, co oznacza, że zerwanie tej maski może mi przynieść korzyść.

Zerkam na zegar, zastanawiając się nad dalszym działaniem.

Wiem, że po wyjściu myśliwych będzie rozmawiał w gabinecie z Sebastianem Bellem – poprzednim mną, wciąż nie mieści mi się to w głowie! – i wydaje się, że to doskonała okazja, by go zatrzymać. Jeśli chce, żebym wyjaśnił sprawę morderstwa, zrobię to, ale to nie będzie moje jedyne

zadanie na dziś. Skoro mam odzyskać wolność, muszę poznać tożsamość człowieka, który mnie jej pozbawił, a do tego celu będzie mi potrzebna pomoc.

Według słów Doktora Dżumy zmarnowałem już trzy z wyznaczonych mi ośmiu dni w domu, dzień należący do Sebastiana Bella, do kamerdynera i do Donalda Daviesa. Wliczając mnie, pozostało mi jeszcze pięć wcieleń, a jeżeli spotkanie Bella z kamerdynerem może służyć za jakąś wskazówkę, to postacie, w które się wcielę, tak jak ja krążą po Blackheath.

To wojsko czekające w pogotowiu.

Muszę się tylko zorientować, w jakich wcieleniach występują.

Zsiniałem i dygoczę z zimna w dawno wystygłej wodzie. Być może to objaw pychy, ale nie mogę znieść myśli, że pokojowy Ravencourta będzie mnie wyciągał z kąpeli jak nasiąknięty wodą worek kartofli.

Od podjęcia decyzji uwalnia mnie delikatne pukanie do drzwi.

– Lordzie Ravencourt, wszystko w porządku? – Wchodzi do pokoju.

– W jak najlepszym. – Czuję, że drętwieją mi dłonie.

Wysuwa głowę zza parawanu i bada sytuację. Po chwili bez zachęty z mojej strony podchodzi i podwija rękawy, aby wyciągnąć mnie z wody z siłą, jakiej nie zdradza jego szczupła sylwetka.

Tym razem nie protestuję. Chcę zachować resztki dumy na później.

Kiedy pomaga mi wygramolić się z wanny, dostrzegam wystający spod jego koszuli rąbek tatuażu. To fragment zielonej plamy, z niewidocznymi szczegółami. Zauważywszy moje spojrzenie, pospiesznie opuszcza rękaw.

– Szaleństwa młodości, milordzie – wyjaśnia.

Przez dziesięć minut stoję, w milczeniu znosząc upokorzenie, kiedy mnie wyciera i jak dziecko ubiera w garnitur; najpierw jedna noga, potem druga, jedna ręka i druga. Jedwabne ubranie jest pięknie skrojone, ale uwiera mnie i krępuje niczym towarzystwo niechcianych gości. Jest za małe o jeden numer, pasuje raczej do próżności Ravencourta niż jego gabarytów. Na koniec pokojowy czesze mnie, wciera w moje mięsiste oblicze olej kokosowy, po czym wręcza mi lusterko, abym lepiej obejrzał efekty zabiegów. Moje odbicie dobiega sześćdziesiątki, ma podejrzenie czarne włosy i oczy barwy słabej herbaty. Szukam w nich śladów samego siebie, człowieka ukrytego w ciele Ravencourta, jestem jednak niewidoczny. Po raz pierwszy zastanawiam się, kim byłem, zanim ciąg zdarzeń wpędził mnie w tę pułapkę.

Takie rozważania mogłyby się wydawać intrygujące, gdyby mnie tak nie frustrowały.

Podobnie jak w przypadku Bella, dreszcz przebiega mi po plecach, gdy widzę w lustrze Ravencourta. Gdzieś w głębi duszy pamiętam swoją prawdziwą twarz, dlatego zdumiewa mnie widok tego obcego człowieka.

Oddaję lusterko pokojowemu.

– Trzeba iść do biblioteki – informuję go.

– Wiem, gdzie to jest, milordzie – mówi. – Mam przynieść panu jakąś książkę?

– Idę z tobą.

Pokojowy milknie i stropiony marszczy brwi. Kiedy się odzywa, z wahaniem odmierza słowa, jak gdyby ostrożnie stawiał kroki, badając grunt.

– To dość długi spacer, milordzie. Obawiam się, że może się dla pana okazać... męczący.

– Dam sobie radę, poza tym przyda mi się trochę ruchu.

Widzę, że na usta ciśnie mu się mnóstwo kontrargumentów, ale posłusznie bierze moją laskę i aktówkę, po czym wyprowadza mnie na ciemny korytarz, którego ściany oblewa ciepły blask lamp naftowych.

Idziemy wolnym krokiem, a po drodze pokojowy raczy mnie nowinami, moją uwagę zaprzęta jednak ociężałość ciała, które muszę dźwigać. Wydaje się, jakby w nocy jakiś demon przebudował dom, rozciągając pomieszczenia i wypełniając je gęstszym powietrzem. Gdy wkraczam w nieoczekiwaną jasność holu, ze zdziwieniem widzę, jak strome wydają się teraz schody. Pokonanie stopni, po których zbiegałem sprintem jako Donald Davies, dziś rano wymagałoby rynsztunku wspinaczkowego. Nic dziwnego, że lord i lady Hardcastle umieścili Ravencourta na parterze. Aby wciągnąć mnie do pokoju Bella, potrzebna byłaby mocna lina, wielokrążek i dwóch silnych ludzi najętych za dniówkę.

Dzięki częstym przystankom mam przynajmniej okazję przyjrzeć się innym gościom krążącym po domu i natychmiast daje się zauważyć, że nie jest to radosne towarzystwo. Ze wszystkich zakamarków dobiegają przyciszone klótnie, na schodach słychać podniesione głosy, które milkną, przerywane trzaskaniem drzwi. Mężowie i żony prowokują się nawzajem, bieleją palce mocno zaciśnięte na drinkach, twarze czerwienieją w przypiływie ledwie tłumionej wściekłości. Każda rozmowa jeży się

uszczypliwościami, atmosfera jest niebezpiecznie napięta. Może to zdenerwowanie, może mgliste przeczucia, ale nastrój panujący w Blackheath sprzyja tragedii.

Kiedy docieramy do biblioteki, drżą mi nogi, a plecy bolą od wysiłku utrzymywania się w wyprostowanej pozycji. Niestety, cel naszej wyprawy skąpo wynagradza moje cierpienia. Zakurzone regały wzdłuż ścian uginają się pod ciężarem książek, podłogę przykrywa czerwony dywan, który zalatuje stęchlizną. W kominku spoczywają szczątki wygasłego ognia, naprzeciw stoi niewielki pulpit do czytania, a przy nim niewygodne drewniane krzesło.

Mój towarzysz kwituje swoje wrażenia cmoknięciem niezadowolenia.

– Chwileczkę, milordzie, przyniosę z salonu wygodniejsze krzesło – mówi.

Będzie mi potrzebne. Na lewej dłoni, w miejscu, gdzie skóra ocierała się o uchwyt laski, zrobił się pęcherz, nogi mam jak z waty. Koszula przesiąkła potem, przez co swędzi mnie całe ciało. Po przejściu z jednego końca domu na drugi jestem wrakiem i jeśli mam wieczorem dotrzeć nad jezioro przed rywalami, będzie mi potrzebne nowe wcielenie, najlepiej takie, które zdoła pokonać schody.

Pokojowy Ravencourta wraca z fotelem uszakiem i stawia go przede mną. Następnie bierze mnie pod ramię i ostrożnie sadza na zielonym siedzisku.

– Mogę spytać o cel naszej wizyty, milordzie?

– Jeśli będziemy mieli szczęście, spotkamy tu znajomych – wyjaśniam, ocierając twarz chustką. – Masz pod ręką jakąś kartkę?

– Oczywiście.

Z aktówki wydobywa arkusz papieru kancelaryjnego i wieczne pióro, gotów notować to, co podyktuję. Otwieram usta, by go odprawić, ale wystarcza jeden rzut oka na moją spoconą, boleśnie otartą dłoń, żebym porzucił ten zamiar. W tym przypadku duma sromotnie przegrywa z potrzebą czytelności.

Przez chwilę układam słowa w głowie, po czym zaczynam je wypowiadać.

– Logiczne jest przypuszczenie, że wielu z was jest tu dłużej ode mnie, posiada więcej informacji niż ja na temat domu, celu naszego pobytu i naszego prześladowcy, Doktora Dżumy.

Robię pauzę, słuchając skrzypienia pióra.

– Nie odnaleźliście mnie i muszę zakładać, że jest ku temu ważny powód, proszę was jednak o spotkanie w bibliotece w porze lunchu i o pomoc w ujęciu naszego prześladowcy. Jeśli nie możecie spełnić tej prośby, przekażcie mi wszystko, czego się dowiedzieliście, zapisując to na tej kartce. Każdy szczegół, nawet najbardziej błahy, może się okazać użyteczny w przyspieszeniu naszej ucieczki. Powiada się, że co dwie głowy, to nie jedna, ale uważam, że w tym przypadku może wystarczyć nasza jedna wspólna głowa.

Czekam, aż pokojowy skończy czytać, a potem patrzę na jego twarz. Maluje się na niej zdumienie, choć też cień rozbawienia. Ciekawy jegomość, wcale nie taki święty, jaki się wydawał z początku.

– Czy mam to wysłać, milordzie? – pyta.

– Nie ma potrzeby. – Wskazuję na regał. – Wsuń do pierwszego tomu *Encyklopedii Britanniki*, będą wiedzieli, gdzie to znaleźć.

Patrzy na mnie, potem na wiadomość, po czym spełnia moje polecenie i arkusz znika między stronicami. Wygląda to na właściwe miejsce.

– Kiedy możemy się spodziewać odpowiedzi, milordzie?

– Kwestia minut, godzin, nie mam pewności. Będziemy musieli sprawdzać.

– A czym zajmiemy się do tego czasu? – pyta, wycierając dłonie z kurzu poszetką.

– Porozmawiaj ze służącymi, muszę wiedzieć, czy któryś z gości ma w szafie kostium średniowiecznego medyka z czasów dżumy.

– Co takiego, milordzie?

– Porcelanową maskę, czarny płaszcz, tego rodzaju strój – tłumaczę. – A ja tymczasem się zdrzemnę.

– Tutaj, milordzie?

– Owszem.

Patrzy na mnie spod uniesionych brwi, starając się złączyć ze sobą strzępki informacji, którymi go zasypałem.

– Czy mam rozpaść w kominku? – pyta.

– Nie trzeba, będzie mi wystarczająco ciepło.

– Doskonale. – Nie rusza się z miejsca.

Nie wiem, na co jeszcze czeka, ale ponieważ nic nie następuje, pokojowy obrzuca mnie ostatnim spojrzeniem i gubiąc się w domysłach, cicho opuszcza bibliotekę.

Kładę dłonie na brzuchu i zamykam oczy. Ilekroć zasypiam, budzę się w innym ciele i choć poświęcanie wcielenia w ten sposób jest ryzykowne, nie wiem, co jeszcze mógłbym osiągnąć jako Ravencourt. Jeżeli się uda, to kiedy się ocknę, moje inne inkarnacje skontaktują się ze mną za pośrednictwem encyklopedii, a wśród nich będę i ja.

Dzień drugi (ciąg dalszy)

Męczarnia. Krzyczę, czując w ustach smak krwi.

– Wiem, wiem, współczuję – mówi kobiecy głos.

Ukłucie, igła zagłębia się w moją szyję. Ból roztapia się w ciepłe.

Trudno oddychać, nie można się ruszyć. Nie umiem otworzyć oczu. Słyszę turkot kół, stukot kopyt na bruku, czuję czyjąś obecność obok siebie.

– Czy... gdzie... – próbuję wykrztusić.

– Ciii, niech pan nie próbuje mówić. Jest pan z powrotem w ciele kamerdynera – tłumaczy gorączkowym szeptem kobieta, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Gold zaatakował pana piętnaście minut temu i właśnie jedzie pan powozem do stróżówki odpocząć.

– Kim pani... – chrypię.

– Jestem przyjaciółką, ale to na razie nie ma znaczenia. Proszę słuchać. Zdaję sobie sprawę, że nie wie pan, co się dzieje, ale to ważne. W tym wszystkim panują pewne zasady. Nie ma sensu porzucać wcielenia tak, jak pan to zrobił. W każdym z nich dostaje pan cały dzień, czy pan tego chce, czy nie. Od chwili przebudzenia do północy. Rozumie pan.

Zapadam w drzemkę, usiłuję się jednak temu opierać.

– Właśnie dlatego pan tu wrócił – ciągnie kobieta. – Jeżeli jedno z pańskich wcieleń zapadnie w sen przed północą, cofa się pan do postaci kamerdynera i dalej przeżywa ten dzień. Wróci pan, gdy kamerdyner zaśnie. Jeśli wcielenie prześpi północ albo umrze, znajdzie się pan w ciele kogoś nowego.

Słyszę inny głos. Bardziej szorstki. Dobiega z przodu pojazdu.

– Dojeżdżamy do stróżówki.

Dłoń kobiety muska moje czoło.

– Powodzenia.

Jestem zbyt zmęczony, by utrzymać odpływającą świadomość, i osuwam się z powrotem w ciemność.

Dzień czwarty (ciąg dalszy)

Czyjaś dłoń potrząsa moim ramieniem.

Z drgnieniem powiek otwieram oczy i widzę, że jestem z powrotem w bibliotece jako Ravencourt. Ogarnia mnie niewysłowiona ulga. Sądziłem, że nie może mnie spotkać nic gorszego niż uwięzienie w tym cielsku, byłem jednak w błędzie. W ciele kamerdynera czułem się jak worek potłuczonego szkła i wolałbym przeżyć całe życie w postaci Ravencourta niż znowu cierpieć tamte katusze, chociaż wydaje się, że nie mam wyboru. Jeśli kobieta w powozie nie kłamie, powrót do nich jest moim przeznaczeniem.

Przez obłok żółtawego dymu patrzy na mnie Daniel Coleridge. W ustach niedbale trzyma papierosa, w dłoni dzierży drinka. Ma na sobie ten sam podniszczony strój myśliwski co wtedy w gabinecie, gdy rozmawiał z Sebastianem Bellem. Zerkam na zegar; do lunchu zostało dwadzieścia minut. Na pewno przyszedł na spotkanie, o które prosiłem.

Podaje mi drinka i przysiada na krawędzi stolika naprzeciwko mnie, obok niego leży otwarta encyklopedia.

– Wydaje mi się, że mnie szukałeś – mówi Daniel, wydmuchując dym kącikiem ust.

W uszach Ravencourta jego głos brzmi inaczej, jest pozbawiony miękkości, którą zrzucił jak wąż starą skórę. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zaczyna czytać z encyklopedii.

– *Logiczne jest przypuszczenie, że wielu z was jest tu dłużej ode mnie, posiada więcej informacji niż ja na temat domu, celu naszego pobytu i naszego prześladowcy, Doktora Dżumy.* – Zamyka książkę. – Wezwałeś mnie, więc się zgłaszam.

Przyglądam się utkwionym we mnie przenikliwym oczom.

– Jesteś taki jak ja – mówię.

– Jestem tobą, tylko cztery dni później – poprawia mnie i milknie, czekając, aż mój umysł to ogarnie. – Daniel Coleridge jest twoim ostatnim wcieleniem. Nasza dusza, jego ciało, jeżeli można z tego cokolwiek zrozumieć. Niestety też jego umysł – stuka palcem w czoło – co oznacza, że ty i ja myślimy inaczej.

Unosi tom encyklopedii.

– Na przykład to. – Upuszcza księgę na blat. – Coleridge nigdy nie wpadłby na pomysł, żeby napisać do naszych innych wcieleń z prośbą o pomoc. Bardzo sprytny pomysł, bardzo logiczny, bardzo w stylu Ravencourta.

W półmroku jaśnieje żar papierosa, rozświetlając jego wymuszony uśmiech. To nie jest ten sam Daniel co wczoraj. W spojrzeniu ma jakiś chłód, jakąś nieczułość, jak gdyby chciał mnie przewiercić wzrokiem i zajrzeć do środka. Nie wiem, jak to się stało, że będąc Bellem, nie zauważyłem tego. Ted Stanwin, wtedy w salonie, zauważył i ustąpił. Ten opryszek jest inteligentniejszy, niż przypuszczałem.

– Czyli byłeś już mną... w tej postaci... to znaczy Ravencourtem? – pytam.

– I wszystkimi, którzy są po nim. Dość trudne towarzystwo, powinieneś wykorzystać okazję i cieszyć się, że jesteś Ravencourtem.

– Po to przyszedłeś? Żeby mnie ostrzec przed innymi wcieleniami?

Pytanie najwyraźniej go rozbawiło i na jego ustach pojawił się przelotny uśmiech, który odpłynął z kłębem papierosowego dymu.

– Nie, przyszedłem, bo pamiętam, jak siedziałem tu, gdzie ty teraz, i usłyszałem to, co zaraz ci powiem.

– Czyli?

Na drugim końcu stolika znajduje się popielniczka; Daniel sięga po nią i przysuwa ją bliżej.

– Doktor Dżuma kazał ci rozwiązać zagadkę morderstwa, ale nic nie wspomniał o ofierze. To Evelyn Hardcastle, ona zginie na dzisiejszym balu – informuje mnie, strząsając popiół.

– Evelyn? – Usiłuję wyprostować się w fotelu i ochlapuję sobie nogę drinkiem, o którym zapomniałem. Wpadam w panikę, czuję dławiący strach o przyjaciółkę, kobietę, która ze wszystkich sił starała się okazać mi życzliwość, podczas gdy domem rządziło okrucieństwo jej rodziców.

– Musimy ją ostrzec! – oświadczam ostrym tonem.

– W jakim celu? – pyta Daniel, gasząc mój lęk swoim spokojem. – Nie możemy wyjaśnić sprawy zamordowania kogoś, kto żyje, a bez tej odpowiedzi nie możemy uciec.

– Pozwoliłbyś jej umrzeć? – Szokuje mnie jego bezdusność.

– Przeżywałem ten dzień osiem razy i ginęła co wieczór, bez względu na moje działania. – Przesuwa palec po krawędzi stolika. – Wszystko, co zdarzyło się wczoraj, zdarzy się jutro i pojutrze. Zapewniam cię, że w jakikolwiek sposób chciałbyś w tym przeszkodzić, już próbowałeś i na nic to się nie zdało.

– To moja przyjaciółka, Danielu – mówię, dziwiąc się, jak głęboko rani mnie to, co usłyszałem.

– Moja też. – Pochyla się bliżej. – Ale ilekroć próbowałem zmienić dzisiejszy bieg wypadków, w rezultacie stawałem się sprawcą nieszczęścia, któremu chciałem zapobiec. Uwierz mi, próby ocalenia Evelyn to strata czasu. Sprowadziły mnie tu okoliczności, na które nie miałem wpływu, a wkrótce, szybciej, niż przypuszczasz, będziesz siedział na moim miejscu, tłumaczył to tak samo jak ja i żałował, że nie masz już w sobie nadziei Ravencourta. Przyszłość nie jest przestrogą, mój przyjacielu, jest obietnicą, ale my jej nie złamiemy. Na tym polega pułapka, w którą zostaliśmy wciągnięci.

Podnosi się ze stolika, podchodzi do okna i po chwili mocowania się z zardzewiałą klamką otwiera je. Skupia wzrok na jakimś punkcie w oddali, myśląc o zadaniu, które ja zrozumieję za cztery dni. Nie obchodzi go, nie interesują go moje lęki ani nadzieje. Jestem częścią starej historii, której opowiadanie już go znudziło.

– To nie ma sensu – odzywam się w nadziei, że przypomnę mu o zaletach Evelyn, o tym, dlaczego warto ją ratować. – Evelyn jest dobra, uprzejma, dziewiętnaście lat spędziła poza domem, kto chce ją krzywdzić?

Kiedy wypowiadam te słowa, budzi się we mnie podejrzenie. Wczoraj w lesie Evelyn wspomniała, że rodzice nigdy jej nie wybaczyli, że pozwoliła Thomasowi oddalić się od domu bez opieki. Obwiniła się o morderstwo popełnione przez Carvera, a co gorsza, oni też obarczali ją winą za śmierć syna. Byli na nią do tego stopnia źli, że obawiała się, iż przygotowują dla niej jakąś straszną niespodziankę na bal. Czyżby chodziło o to? Naprawdę aż tak nienawidzili córki, żeby ją zamordować? Jeżeli tak, to moje spotkanie z Heleną Hardcastle może się okazać niezwykle przydatne.

– Nie wiem – rzuca Daniel z nutką irytacji w głosie. – W tym domu jest tyle tajemnic, że trudno z nich wybrać prawdziwą. Jeśli chcesz mojej rady, to powinieneś natychmiast zacząć szukać Anny. Może się wydawać, że osiem wcieleń to bardzo dużo, ale to zadanie wymaga dwa razy więcej. Będzie ci potrzebna każda pomoc, jaką uda ci się zdobyć.

– Anna! – Przypominam sobie kobietę w powozie z kamerdynerem. – Myślałem, że to znajoma Bella?

Głęboko zaciąga się papierosem, przyglądając mi się spod przymrużonych powiek. Domyślam się, że analizuje przyszłe zdarzenia, zastanawiając się, ile mi powiedzieć.

– Jest tu uwięziona, tak jak my – wyjawia mi w końcu. – Jest po naszej stronie, tak jak może być każdy w naszej sytuacji. Powinieneś ją szybko odnaleźć, zanim zrobi to Lokaj. On poluje na nas obu.

– Wczoraj wieczorem zostawił martwego królika w moim pokoju... to znaczy, w pokoju Bella.

– To dopiero początek. Zamierza nas zabić, najpierw jednak chce się z nami pobawić.

Krew tężeje mi w żyłach, żołądek ściskają mdłości. Takie miałem podejrzenia, ale co innego usłyszeć o tym jasno i wyraźnie na własne uszy. Zamykam oczy i wolno wypuszczam powietrze z płuc, równocześnie uwalniając się od lęku. To zwyczaj Ravencourta, jego sposób na odzyskanie jasności myśli, choć trudno mi powiedzieć, skąd o tym wiem.

Gdy ponownie otwieram oczy, jestem już spokojny.

– Kto to jest? – Zaskakuje mnie siła własnego głosu.

– Nie mam pojęcia – odpowiada, wydmuchując dym na wiatr. – Nazwałbym go diabłem, gdybym uważał ten dom za coś tak prozaicznego jak piekło. Po kolei bierze nas na cel, żeby pozbyć się konkurencji i bezpiecznie dostarczyć dzisiaj rozwiązanie zagadki Doktorowi Dżumie.

– Ma inne postacie, inne wcielenia, tak jak my?

– To właśnie ciekawa rzecz. Nie przypuszczam, ale wydaje się, że ich nie potrzebuje. Zna twarze każdego z naszych wcieleń i atakuje nas w chwili słabości. Za każdym razem, gdy popełniałem jakiś błąd, tylko na to czekał.

– Jak powstrzymać człowieka, który zna każdy nasz krok jeszcze przed nami?

– Gdybym wiedział, ta rozmowa byłaby niepotrzebna – odburkuje rozdrażniony. – Bądź ostrożny. Krąży po domu jak przeklęty duch i jeśli

przyłapie cię samego... Najlepiej nie daj mu się przyłapać, gdy będziesz sam.

Daniel mówi złowrogim tonem, z ponurą miną. Kimkolwiek jest Lokaj, jego władza nad moim przyszłym ja budzi większą grozę niż wszystkie przestrogi, jakie słyszałem. Nietrudno zrozumieć dlaczego. Doktor Dżuma dał mi osiem dni i osiem wcieleń na rozwiązanie zagadki zamordowania Evelyn. Ponieważ Sebastian Bell przespał północ, już go straciłem.

Czyli pozostaje siedem dni i siedem wcieleń.

Moim drugim i trzecim wcieleniem byli kamerdyner i Donald Davies. Kobieta w powozie nie wspomniała o Daviesie – dziwne przeoczenie – ale przypuszczam, że dotyczą go te same zasady co kamerdynera. Im obu zostało wiele godzin do północy, lecz jeden z nich jest ciężko poturbowany, a drugi zasnął na drodze, wiele kilometrów od Blackheath. Nie ma co na nich liczyć. Tyle pożytku z drugiego i trzeciego dnia.

Jestem już w czwartym dniu, a Ravencourt okazuje się raczej przekleństwem niż błogosławieństwem. Nie wiem, czego się spodziewać po czterech pozostałych wcieleniach – choć Daniel sprawia wrażenie dość rezolutnego – odnoszę jednak wrażenie, że Doktor Dżuma gra ze mną znaczonymi kartami. Jeśli Lokaj rzeczywiście zna każdą z moich słabości i jest gotów je wykorzystać, to niech Bóg ma mnie w swojej opiece, bo jest ich mnóstwo.

– Powiedz mi wszystko, czego się już dowiedziałeś o śmierci Evelyn – proszę Daniela. – Jeżeli będziemy działać razem, możemy wyjaśnić tę tajemnicę, zanim Lokaj znajdzie okazję, żeby zrobić nam coś złego.

– Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że co wieczór ginie punktualnie o jedenastej.

– Na pewno wiesz coś więcej.

– O wiele więcej, ale nie mogę ryzykować i ujawniać ci tych informacji – oznajmia, zerkając na mnie. – Wszystkie moje plany opierają się na tym, co zrobisz. Jeżeli powiem ci coś, co cię powstrzyma przed tymi działaniami, nie mogę mieć pewności, że nie zmienię biegu wypadków. Mógłbyś przypadkiem przeszkodzić w rozstrzygnięciu jakiejś sprawy na moją korzyść albo znaleźć się w innym miejscu, zamiast odwrócić uwagę człowieka, do którego pokoju chcę się zakraść. Jego nieopatrzne słowo mogłoby zrujnować wszystkie moje plany. Ten dzień musi przebiec jak zawsze, dla twojego i mojego dobra. – Pociera czoło i w tym geście objawia się jego potworne zmęczenie. – Przykro mi, Ravencourt, ale ani ja, ani nikt

z pozostałych nie powinien się wtrącać do twojego śledztwa, to dla ciebie najbezpieczniejsze wyjście.

– Doskonale. – Mam nadzieję, że udaje mi się ukryć przed nim rozczarowanie. To oczywiście niemądra myśl. Przecież jest mną. Sam pamięta to rozczarowanie. – Ale fakt, że radzisz mi rozwiązać zagadkę zabójstwa, sugeruje, że ufasz Doktorowi Dżumie – zauważam. – Ustaliłeś jego tożsamość?

– Jeszcze nie. Zaufanie to za duże słowo. Doktor Dżuma ma jakiś plan wobec tego domu, jestem pewien, ale w tej chwili nie widzę innej możliwości działania oprócz spełnienia jego żądań.

– Powiedział ci, dlaczego nas to spotyka?

Przerywa nam poruszenie przy drzwiach. Odwracamy głowy w stronę pokojowego Ravencourta, który zdejmuje właśnie płaszcz i usiłuje wyplątać się ze zwojów długiego fioletowego szalika. Jest nieco zdyszany, ma potargane wiatrem włosy i zaczerwienione od zimna policzki.

– Otrzymałem wiadomość, że pilnie mnie pan potrzebuje, milordzie – melduje, wciąż walcząc z szalikiem.

– To moja sprawka, stary. – Daniel zręcznie wraca do odgrywanej roli. – Masz przed sobą dzień pełen zajęć i pomyślałem, że Cunningham może ci się przydać. Skoro mowa o zajęciach, muszę już iść. Jestem umówiony w południe z Sebastianem Bellem.

– Nie zostawię Evelyn na łasce losu, Danielu – mówię.

– Ja też jej nie zostawiłem. – Wyrzuca niedopałek w trawę na dole i zamyka okno. – Ale los nie okazał się dla niej łaskawy. Powinieneś się na to przygotować.

Robi kilka długich kroków i opuszcza bibliotekę, do której docierają głosy i donośny szcęk sztućców, gdy Daniel otwiera drzwi, aby przez gabinet przejść do salonu. Goście zbierają się już na lunch, co oznacza, że wkrótce Stanwin zagrozi służącej, Lucy Harper, a Sebastian Bell będzie obserwował tę sytuację spod okna, czując się jak marna częśćka mężczyzny. Myśliwi wyruszą na polowanie, Evelyn znajdzie wiadomość przy studni, a na cmentarzu poleje się krew, podczas gdy dwoje przyjaciół będzie czekać na kobietę, która się nie pojawi. Jeśli Daniel ma rację, niewiele mogę zrobić, by zmienić bieg wypadków tego dnia, ale niech mnie diabli, jeżeli będę się temu przyglądał z założonymi rękami. Być może rozwiązanie zagadki Doktora

Dżumy jest dla mnie jedynym wybawieniem, nie zamierzam jednak uciekać z tego domu po trupie Evelyn. Zamierzam ją ocalić, bez względu na cenę.

– Czym mogę służyć, milordzie?

– Podaj mi, proszę, papier, pióro i atrament. Muszę coś napisać.

– Oczywiście. – Pokojowy wydobywa z aktówki wymienione przeze mnie rzeczy.

Mam zbyt niezdarne ręce, by pisać kaligraficznie, ale mimo rozmazanych liter i paskudnych kleksów tu i ówdzie wiadomość jest w miarę czytelna.

Spoglądam na zegar. Za cztery minuty wybije południe. Już prawie czas.

Macham kartką, by osuszyć atrament, po czym równiutko ją składam, wyrównuję zgięcia i podaję Cunninghamowi.

– Weź to. – Kiedy sięga po list, zauważam ślady czarnej ziemi na jego dłoniach. Skóra jest różowa od szorowania, ale brud wbił się w linie papilarne na opuszkach palców. Dostrzegając moje spojrzenie, bierze list i szybko splata ręce za plecami.

– Idź natychmiast do salonu, gdzie podają lunch – instruuję go. – Zostań tam i obserwuj przebieg wypadków, a potem przeczytaj ten list i wróć do mnie.

Na jego twarzy odmalowuje się zdumienie.

– Milordzie?

– Mamy przed sobą bardzo dziwny dzień, Cunningham, potrzebne mi twoje absolutne zaufanie.

Powstrzymuję jego protesty ruchem ręki, po czym daję mu znak, aby pomógł mi się podnieść z fotela.

– Zrób, o co cię proszę. – Ze stęknieniem dźwigam się na nogi. – A potem wróć tutaj i zaczekaj na mnie.

Gdy Cunningham idzie do salonu, biorę laskę i ruszam w kierunku przeszklonej werandy z tyłu domu, licząc na to, że znajdę tam Evelyn. Ze względu na wczesną porę nie jest tu zbyt tłoczno; panie częstują się drinkami przy barze, po czym opadają jak wędnące kwiaty na fotele i szezlongi. Odnosi się wrażenie, że każdy ruch jest dla nich wielkim wysiłkiem, jak gdyby rozkwit młodości był dla nich ciężarem, a jej energia powodowała tylko wyczerpanie. Rozmawiają półgłosem o Evelyn, która siedzi nad figurami rozstawionymi na stoliku do szachów w rogu pomieszczenia, i w jej stronę płynie szmer paskudnego śmiechu. Nie ma przeciwnika i całą uwagę skupia na próbie przechytrzenia samej siebie.

Mimo że kobiety starają się wprowadzić ją w zakłopotanie, w ogóle na to nie zważa.

– Evie, możemy porozmawiać? – pytam, podchodząc do niej chwiejnym krokiem.

Wolno unosi głowę, jak gdyby dopiero po chwili mnie zauważyła. Jej jasne włosy tak jak wczoraj są związane na karku, co nadaje jej twarzy ostry, surowy wyraz. Inaczej niż wczoraj, jej rysy nie łagodnieją.

– Nie, nie sędzę, lordzie Ravencourt. – Wraca spojrzeniem na szachownicę. – Już i tak mam dzisiaj wystarczająco dużo nieprzyjemnych rzeczy do zrobienia.

Stłumiony śmiech ścina mi krew w żyłach i obraca ją w proch. Czuję się, jakbym rozpadał się od środka.

– Proszę, Evie, tylko...

– Panno Hardcastle, lordzie Ravencourt – poprawia mnie z naciskiem. – O człowieku świadczy dobre wychowanie, nie wysokość konta w banku.

Żołądek ściska mi się z upokorzenia. To najgorszy koszmar Ravencourta. Stojąc tu, podczas gdy dziesiątki oczu wpatrują się we mnie, czuję się jak chrześcijanin czekający, aż rzucą w niego pierwsze kamienie.

Kiedy trzęsę się i pocę, Evelyn obrzuca mnie uważnym spojrzeniem spod przymrużonych powiek. W jej oczach pojawia się błysk.

– Wie pan co, proszę o to ze mną zagrać. – Stuka palcami w szachownicę. – Jeżeli pan wygra, porozmawiamy; wygrywam ja, daje mi pan spokój do końca dnia. Co pan na to?

Wiem, że to pułapka, ale w tej sytuacji nie zamierzam dyskutować, ocieram więc pot z czoła i – ku wielkiej uciechu zebranych pań – wciskam się na krzeselko naprzeciw niej. Poczulbym się lepiej, gdyby mnie zmusiła do złożenia głowy pod gilotyną. Moje ciało przelewa się poza krawędzie siedziska, oparcie jest za niskie i drżę z wysiłku, by trzymać się prosto.

Niewzruszona moim cierpieniem Evelyn krzyżuje ręce, opiera łokcie o stół i przesuwa pion. Odpowiadam ruchem wieży, snując w głowie plan gry środkowej. Choć partia jest wyrównana, koncentrację utrudnia mi niewygodna, a moja taktyka okazuje się zbyt marna, by pokonać Evelyn. Mogę jedynie przedłużyć partię, nic więcej. Po półgodzinie kontrataków i poświęceń bierek moja cierpliwość się wyczerpuje.

– Twoje życie jest w niebezpieczeństwie – wyrzucam z siebie.

Palce Evelyn zatrzymują się na pionie, lekkie drżenie jej dłoni wydaje się huczeć jak dzwon. Jej wzrok prześlizguje się po mojej twarzy, potem omiata damy za nami, sprawdzając, czy ktoś to słyszał. W jej oczach błyszczy gorączkowe pragnienie, by wymazać tę chwilę z historii.

Ona już wie.

– Sądziłam, że mamy umowę, lordzie Ravencourt. – Jej rysy znowu tężeją.

– Ależ...

– Wolałby pan, żebym wyszła? – przerywa mi, a jej groźne spojrzenie skutecznie powstrzymuje mnie od dalszych prób nawiązania rozmowy.

Następują kolejne ruchy, lecz jestem tak zdumiony jej reakcją, że niezbyt zważam na strategię. Wydaje się, że Evelyn zdaje sobie sprawę z tego, co się zdarzy dziś wieczorem, mimo to bardziej się boi, że ktoś jeszcze mógłby się o tym dowiedzieć. Za nic w świecie nie pojmuję przyczyn takiego stanu rzeczy, nie mam też wątpliwości, że nie otworzy się przed lordem Ravencourtem. Pogardza tym człowiekiem, co oznacza, że jeśli mam uratować jej życie, muszę albo mieć twarz osoby, która się jej spodoba, albo robić swoje bez jej pomocy. Taki obrót rzeczy doprowadza mnie do szału i kiedy rozpaczliwie szukam innego sposobu, by ją przekonać, w drzwiach staje Sebastian Bell, budząc we mnie przedziwne odczucie. Nie ulega wątpliwości, że ten człowiek jest mną, ale kiedy go obserwuję, jak chyłkiem wkrada się na werandę niczym mysz pod ścianą, trudno mi w to uwierzyć. Jest zgarbiony, nisko pochyla głowę, ręce trzyma sztywno wzdłuż boków. Przed każdym krokiem ukradkiem zerka pod nogi, jak gdyby jego świat był pełen wystających ostrych krawędzi.

– Moja babcia, Heather Hardcastle – mówi Evelyn, widząc, że ogląda obraz na ścianie. – Portret nie przedstawia jej w zbyt korzystny sposób, ale z tego, co mówią, na nikim nie wywierała korzystnego wrażenia.

– Najmocniej przepraszam – bąka Bell. – Chciałem...

Ich rozmowa toczy się dokładnie tak samo jak wczoraj, a jej zainteresowanie tą wątłą istotą wywołuje we mnie ukłucie zazdrości, choć nie jest to dla mnie główny powód zaniepokojenia. Bell jota w jotę odtwarza mój dzień, mimo to wierzy, że kieruje się wolną wolą, tak jak i ja sądziłem. Bardzo prawdopodobne zatem, że również ja ślepo podążam kursem wytyczonym przez Daniela, czyli jestem... echem, wspomnieniem, a może tylko kawałkiem drewna porwanym przez rwący nurt?

Przewróć szachownicę, odmień tę chwilę. Pokaż, że jesteś kimś wyjątkowym.

Wyciągam rękę, ale myśl o reakcji Evelyn, o jej pogardzie, o śmiechu pań zebranych na werandzie jest nieznośna. Paraliżuje mnie wstyd i natychmiast cofam dłoń. Będą jeszcze inne okazje, muszę ich wypatrywać.

Zupełnie zniechęcony i świadomy nieuniknionej porażki, wykonuję byle jak parę posunięć i z niestosownym pośpiechem skazuję swojego króla na pożarcie, po czym z trudem opuszczam werandę, słysząc za sobą cichnący głos Sebastiana Bella.

Zgodnie z poleceniem Cunningham czeka na mnie w bibliotece. Siedzi na brzeżku krzesła i w lekko drżącej dłoni trzyma rozłożony list, który ode mnie dostał. Kiedy wchodzę, wstaje, ale tak bardzo chciałem opuścić werandę, że szedłem za szybko. Słyszę swój chrapliwy oddech – ze świstem wciągam do utrudzonych płuc potężne hausty powietrza.

Nie ryzykuje i nie ofiarowuje mi pomocy.

– Skąd pan wiedział, co się stanie w salonie? – pyta.

Próbuję odpowiedzieć, nie umiem jednak pomieścić w gardle jednocześnie słów i powietrza. Wybieram to drugie i chłonąc je z apetytem, z jakim Ravencourt raczy się wszystkim, zaglądam do gabinetu. Miałem nadzieję, że zastanę tam Doktora Dzumę podczas pogawędki z Bellem, lecz moja daremna próba ostrzeżenia Evelyn trwała dłużej, niż się spodziewałem.

Może nie powinienem się dziwić.

Jak przekonałem się na drodze do wioski, Doktor Dżuma najwyraźniej wie, gdzie i kiedy będę, i pojawia się w starannie wybranym momencie, aby nie wpaść w przygotowaną przeze mnie zasadzkę.

– Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak pan opisał – ciągnie Cunningham, wpatrując się z niedowierzaniem w list. – Ted Stanwin obraził służącą i wtedy wkroczył Daniel Coleridge. Powiedzieli dokładnie to, co pan napisał. Słowo w słowo!

Mógłbym to wytłumaczyć, ale nie wspomniał jeszcze o najbardziej niepokojącej sprawie. Człapię do fotela i sadowię się na nim z olbrzymim wysiłkiem. Moje obolałe nogi są mi za to żałośnie wdzięczne.

– To jakaś sztuczka? – pyta Cunningham.

– W żadnym razie.

– A to... ostatnia linijka, w której pisze pan...

- Tak.
- ...że nie jest pan lordem Ravencourtem.
- Nie jestem Ravencourtem – potwierdzam.
- Nie?
- Nie. Napij się, jesteś trochę blady.

Spełnia moje polecenie, bo widocznie posłuszeństwo jako jedyny element jego osobowości nie skapitulowało. Wraca ze szklaneczką czegoś i siada, nie odrywając ode mnie oczu, pochylony, ze ściśniętymi kolanami.

Opowiadam mu wszystko, od morderstwa w lesie i mojego pierwszego dnia w ciele Bella, przez marsz niekończącą się drogą, aż po niedawną rozmowę z Danielem. Przez jego twarz przemyka cień wątpliwości, ale zanim ta zdąży przerodzić się w nieufność, Cunningham zerka na list. Prawie mu współczuję.

– Chcesz się jeszcze napić? – pytam, ruchem głowy wskazując opróżnioną do połowy szklanę.

– Jeżeli pan nie jest lordem Ravencourtem, to gdzie on jest?

– Nie wiem.

– Żyje?

Ledwie wytrzymuje moje spojrzenie.

– Wolałbyś, żeby nie żył? – pytam.

– Lord Ravencourt był dla mnie dobry – oznajmia z gniewnym grymasem.

To nie jest odpowiedź na pytanie.

Znowu spoglądam na Cunninghama. Spuszczone oczy, brudne dłonie, niewyraźny tatuaż z burzliwej przeszłości. W przebłysku intuicji uświadamiam sobie, że się boi, ale nie tego, co mu opowiedziałem. Boi się tego, co może wiedzieć ktoś, kto już był świadkiem wydarzeń tego dnia. Jestem pewien, że coś ukrywa.

– Potrzebuję twojej pomocy, Cunningham – mówię. – Jest mnóstwo do zrobienia, a dopóki jestem przykuty do Ravencourta, mam za słabe nogi, żeby cokolwiek zrobić.

Wychyla resztę drinka i wstaje. Alkohol ubarwił mu policzki i kiedy pokojowy się odzywa, jego głos ocieka trunkową odwagą.

– Teraz się pożegnaj i podejmę służbę jutro, kiedy lord Ravencourt... – urywa, szukając właściwego słowa – wróci.

Sztywno się kłania i odwraca w stronę drzwi.

– Sądzisz, że przyjmie cię z powrotem, kiedy pozna twój sekret? – pytam zniechęta, ponieważ jak grom z jasnego nieba wpada mi do głowy pewien pomysł. Jeżeli się nie mylę i Cunningham rzeczywiście coś ukrywa, tajemnica może być na tyle wstydliva, aby ją wykorzystać do wywarcia na nim presji.

Zatrzymuje się jak wryty przy moim fotelu i zaciska dłonie w pięści.

– Co pan ma na myśli? – Patrzy prosto przed siebie.

– Zajrzyj pod siedzisko krzesła – mówię, starając się opanować napięcie w głosie. Za moim planem przemawia logika, co wcale jednak nie znaczy, że mi się powiedzie.

Cunningham zerka na krzesło, potem na mnie. Bez słowa robi, co mu każe, i odkrywa niewielką białą kopertę. Kiedy garbi się zrezygnowany i ją otwiera, na moich ustach pojawia się triumfalny uśmiech.

– Skąd pan wiedział? – pyta łamiącym się głosem.

– Nie wiem absolutnie nic, ale kiedy ocknę się w następnym wcieleniu, zamierzam zadać sobie trochę trudu, żeby odkryć twój sekret. Później wrócę do biblioteki i umieszczę informacje w tej kopercie, abyś ją znalazł. Gdyby ta rozmowa potoczyła się nie po mojej myśli, umieszczę kopertę w miejscu, w którym odnajdą ją inni goście.

Prycha z pogardą, jakby wymierzał mi policzek.

– Może nie jest pan Ravencourtem, ale mówi pan tak samo jak on.

Jego uwaga tak mnie zaskakuje, że na chwilę milknę. Dotychczas zakładałem, że moja osobowość – wszystko jedno, jaka jest – przenosi się do każdego nowego wcielenia i wypełnia je jak monety kieszeń. A jeśli się myliłem?

Żadnemu z moich poprzednich wcieleń nie przyszłoby do głowy szantażować Cunninghama, a cóż dopiero posunąć się do wprowadzenia tej groźby w czyn. Myśląc o Sebastianie Bellu, Rogerze Collinsie, Donaldzie Daviesie, a teraz Ravencourcie, w ich zachowaniu nie dostrzegam prawie żadnych podobieństw świadczących o wspólnocie działania. Czy to możliwe, że zamiast kierować ich postępowaniem, ulegam ich woli? Jeśli tak, muszę się mieć na baczności. Być uwięzionym w ciałach tych ludzi to nie to samo co zupełnie podporządkować się ich dążeniom.

Z rozważań wyrывa mnie Cunningham, który wyjętą z kieszeni zapalniczką podpala róg listu.

– Czego pan ode mnie chce? – pyta szorstkim, bezbarwnym tonem, wrzucając płonąca kartkę do kominka.

– Na początek czterech rzeczy. – Wyliczam na grubych palcach. – Po pierwsze, chcę, żebyś znalazł starą studnię niedaleko drogi do wsi. W szparze między kamieniami będzie tam liścik. Przeczytaj go, odłóż na miejsce i wróć, żeby przekazać mi jego treść. Zrób to szybko, tego listu za godzinę już nie będzie. Po drugie, musisz znaleźć ten kostium medyka z czasów dżumy, o którym mówiłem wcześniej. Po trzecie, rozpowiesz w całym Blackheath o Annie, będziesz w każdej rozmowie wymieniał to imię. Masz wszystkim dać do zrozumienia, że lord Ravencourt jej szuka. I na koniec przedstawiś się Sebastianowi Bellowi.

– Sebastianowi Bellowi, temu lekarzowi?

– Właśnie temu.

– Po co?

– Ponieważ pamiętam, że byłem Sebastianem Bellem, ale nie przypominam sobie, że bym cię poznał – wyjaśniam. – Jeżeli to zmienimy, udowodnię sobie, że uda się dzisiaj zmienić coś jeszcze.

– Śmierć Evelyn Hardcastle?

– Otóż to.

Cunningham z głębokim westchnieniem odwraca się do mnie. Wydaje się skurczony, wychudły, jak gdyby nasza rozmowa była pustynią, którą przez tydzień maszerował.

– Jeżeli to wszystko zrobię, czy mogę oczekiwać, że treść tego listu pozostanie między nami? – pyta z miną, która wyraża raczej gorącą nadzieję niż oczekiwanie.

– Pozostanie, masz moje słowo.

Wyciągam do niego spoconą dłoń.

– Wobec tego chyba nie mam wyboru. – Mocno ściska mi rękę z ledwie dostrzegalnym cieniem odrazy na twarzy.

Oddał się w pośpiechu, obawiając się prawdopodobnie, że gdyby dłużej z tym zwlekał, obarczyłbym go kolejnymi zadaniami. Po jego wyjściu zaczynam odnosić wrażenie, że wilgotne powietrze osiada na mnie, przesiąka ubranie i przenika do kości. Dochodzę do wniosku, że biblioteka jest zbyt ponurym miejscem, by tu zostawać, dźwigam się więc z fotela, wspierając się na lasce.

Przechodzę przez gabinet w drodze do saloniku Ravencourta, gdzie sadowię się w oczekiwaniu na spotkanie z Heleną Hardcastle. Jeśli knuje plan zamordowania córki, to Bóg mi świadkiem, zamierzam to z niej wyciągnąć.

W domu panuje spokój; mężczyźni wyszli na polowanie, kobiety raczą się drinkami na przeszklonej werandzie. Zniknęła nawet służba; zajęta przygotowaniami do balu, zaszyła się na dole. Zapadła głucha cisza, zakłócana jedynie przez deszcz, który uporczywie bębni w szyby, domagając się, aby wpuścić go do środka. Bell nie zwrócił na ten odgłos uwagi, ale na Ravencourta, człowieka szczególnie wyczulonego na złośliwość innych, cisza działa ożywczo. Jak przewietrzenie zatęchłego pokoju.

Z zadumy wyrywa mnie odgłos ciężkich kroków, stawianych wolno i miarowo, jakby ktoś celowo chciał zwrócić moją uwagę. Dotarłem już do jadalni, gdzie długiego dębowego stołu strzegą wypchane głowy ubitych dawno temu zwierząt, których sierść już zdążyła wypłowieć i pokryć się grubym nalotem kurzu. Pomieszczenie jest puste, a mimo to mam wrażenie, że kroki rozlegają się wszędzie, naśladując moje utykanie.

Zatrzymuję się i zastygam w bezruchu. Na czoło występują mi kropelki potu.

W odpowiedzi kroki cichną.

Ocieram czoło i rozglądam się nerwowo, żałując, że nie mam pod ręką noża do listów, w który uzbroił się Bell. Zatopiony w niemrawym cieple Ravencourta, czuję się jak człowiek ciągnący za sobą kotwicę. Nie mogę ani uciec, ani się bronić, choć gdybym nawet mógł, walczyłbym z pustką. Jestem tu zupełnie sam.

Po chwili wahania ruszam dalej i znowu słyszę upiorne kroki, które podążają za mną trop w trop. Kiedy raptownie przystaję, przystają razem ze mną, a ze ścian spływa złowrogi chichot. Serce mi wali z przerażenia, dostaję gęsiej skórki. Co sił w chwiejnych nogach gnam w kierunku bezpiecznego miejsca, holu widocznego przez drzwi salonu. Kroki przestały już naśladować mój chód, słyszę taneczny tupot i chichot, który dobiega teraz zewsząd.

Wreszcie dopadam drzwi; nie mogę złapać tchu, pot zalewa mi oczy, poruszam się tak szybko, że grozi mi potknięcie się o własną laskę. Kiedy jestem na progu holu, śmiech nagle się urywa i przechodzi w szept, który mnie żegna:

– Niedługo się spotkamy, króliczku.

Dziesięć minut później, choć szept już dawno ucichł, nie ochłonąłem jeszcze z wywołanego nim strachu. Lękiem nie przejęły mnie same słowa, ale brzmiąca w nich złośliwa radość. Ostrzeżenie było zaliczką na poczet bólu i cierpień, które mnie czekają, i tylko głupiec nie domyśliłby się, że to sprawka Lokaja.

Unoszę dłoń, by sprawdzić, czy bardzo drży, uznawszy jednak, że nieco już doszedłem do siebie, ruszam w kierunku swojego pokoju. Zdążyłem zrobić zaledwie parę kroków, gdy moją uwagę przyciąga łkanie dobiegające z ciemnych drzwi w głębi holu. Przez całą minutę waham się przed wejściem i zaglądam w mrok, obawiając się pułapki. Lokaj chyba nie próbowałby żadnej sztuczki tak szybko ani nie potrafiłby wydobyć z siebie tak żalosnych spazmów smutku, jakie właśnie słyszę?

Współczucie każe mi zrobić niepewny krok naprzód i po chwili znajduję się w wąskiej galerii ozdobionej portretami członków rodu Hardcastle'ów. Na ścianach niszczeję dawne pokolenia; obecnych posiadaczy Blackheath umieszczono najbliżej drzwi. Lady Helena Hardcastle siedzi w królewskiej pozie u boku stojącego męża; oboje mają ciemne włosy i ciemne oczy, oboje wyglądają pięknie i wyniośle. Obok wiszą portrety ich dzieci: Evelyn stoi przy oknie i gładząc palcem brzeg zasłony, wyczekuje czyjegoś przyjazdu, Michael siedzi na krześle z jedną nogą przewieszoną przez poręcz, a na podłodze przed nim leży niedbale rzucona książka. Ma znudzoną minę i zdaje się kipieć energią. W rogu każdego portretu widnieje złożony pędzlem podpis – Gregory'ego Golda, jeśli się nie mylę. Wciąż mam świeżo w pamięci pobicie kamerdynera przez malarza i bezwiednie zaciskam dłoń na lasce, znowu czując w ustach smak krwi. Evelyn mówiła mi, że Golda sprowadzono do Blackheath, aby podretuszował portrety, i teraz rozumiem dlaczego. Być może jest szalony, ale ma talent.

Łkanie dochodzi z rogu pomieszczenia.

W galerii nie ma okien, palą się tylko lampy naftowe i jest tak ciemno, że muszę zmrużyć oczy, by zobaczyć skuloną w półmroku służącą, która płacze w mokrą chusteczkę. Takt nakazywałby podejść w miarę cicho, Ravencourt nie ma jednak predyspozycji do ukradkowych działań. Laska stuka o podłogę, na długo zanim się pojawia, chrapliwy oddech zapowiada moje nadejście. Służąca zauważa mnie i zrywa się na równe nogi; spod jej czepka, który zsuwa się z głowy, wysypują się rude loki.

Rozpoznaję ją natychmiast. To Lucy Harper, dziewczyna, na którą Ted Stanwin natarł podczas lunchu i która pomogła mi dotrzeć do kuchni, gdy ocknąłem się we wcieleniu kamerdynera. Dobrze pamiętam jej życzliwość, ogarnia mnie więc ciepła fala współczucia, podpowiadając słowa.

– Przepraszam, Lucy, nie chciałem cię przestraszyć.

– Nie, proszę pana, ja wcale... nie powinnam... – Rozpaczliwie szuka wyjścia z sytuacji i jeszcze bardziej pograża się w labiryntach etykiety.

– Usłyszałem twój płacz – wyjaśniam, starając się przywołać na twarz serdeczny uśmiech. To trudne zadanie dla człowieka, który ma usta kogoś innego, zwłaszcza gdy trzeba przy tym poruszyć tyle ciała w okolicy warg.

– Och, nie powinien pan... to moja wina. W czasie lunchu popełniłam błąd. – Wyciera łzy.

– Ted Stanwin potraktował cię okropnie – mówię i ze zdziwieniem dostrzegam, że po moich słowach wpada w popłoch.

– Nie, proszę pana, tak nie wolno mówić – protestuje głosem wyższym o całą oktawę. – Ted... to znaczy pan Stanwin, jest dobry dla służby. Zawsze traktował nas sprawiedliwie, naprawdę. Tylko że teraz... odkąd jest dżentelmenem, nie może uchodzić...

Znowu jest bliska płaczu.

– Rozumiem – uspokajam ją pospiesznie. – Nie chce, żeby inni goście traktowali go jak służącego.

Uśmiech rozświetla jej całą twarz.

– Właśnie, proszę pana, właśnie tak. Gdyby nie Ted, nigdy nie złapaliby Charliego Carvera, tylko że inni dżentelmeni ciągle patrzą na niego jak na kogoś ze służby. Ale nie lord Hardcastle, on nazywa go panem Stanwinem i tak dalej.

– Hm, skoro zatem nic ci nie jest... – mówię, zbity z tropu dumą w jej głosie.

– Nic, naprawdę nic, proszę pana – zapewnia mnie solennie. Jest na tyle ośmielona, że podnosi z podłogi czepek. – Lepiej już pójdę, będą się zastanawiać, gdzie się podziałam.

Robi krok w kierunku drzwi, ale zbyt wolno, żebym nie zdążył zagrozić jej drogi pytaniem:

– Lucy, znasz kogoś o imieniu Anna? Przyszło mi do głowy, że to może być służąca.

– Anna? – Przystaje i bez reszty skupia się na tej kwestii. – Nie, proszę pana, chyba nie.

– Żadna ze służących nie zachowuje się dziwnie?

– Nie uwierzy pan, ale jest pan trzecią osobą, która mi dzisiaj zadaje to pytanie – oznajmia, okręcając na palcu kosmyk włosów.

– Trzecią?

– Tak, godzinę temu do kuchni przyszła pani Derby i ciekawiła ją ta sama sprawa. Porządnie napędziła nam strachu. W życiu nie słyszałam, żeby taka szlachetnie urodzona dama kręciła się wśród służby.

Zaciskam dłoń na lasce. Kimkolwiek jest owa pani Derby, zachowuje się zagadkowo i zadaje te same pytania co ja. Być może znalazłem następnego rywala.

Albo swoje następne wcielenie.

Rumienię się na samą myśl o tym. Wiedza Ravencourta o kobietach sprowadza się do tego, że zauważa ich istnienie na świecie. Myśl, iż mógłby się stać kobietą, jest dla niego równie niezrozumiała jak pomysł, aby przez jeden dzień oddychać pod wodą.

– Możesz mi coś powiedzieć o pani Derby? – pytam.

– Niewiele, proszę pana – odpowiada Lucy. – Starsza pani z ostrym językiem. Spodobała mi się. Nie wiem, czy to coś znaczy, ale potem był jeszcze lokaj. Przyszedł parę minut po pani Derby i pytał o to samo: czy ktoś ze służby zachowuje się dziwnie.

Moje palce jeszcze mocniej zaciskają się na gałce laski i muszę ugryźć się w język, żeby nie zakląć.

– Lokaj, powiadasz? Jak wyglądał?

– Blondyn, wysoki, ale... – Zamyśla się ze strapioną miną. – Sama nie wiem, zadowolony z siebie. Pewnie pracuje u jakiegoś dżentelmena, proszę pana, oni tak mają, nadymają się jak pawie, uważają się za nie wiadomo

kogo. Miał siny nos, jakby dopiero co go złamał. Myślę, że nastąpił komuś na odcisk.

– Co mu powiedziałaś?

– Nie ja, proszę pana, tylko pani Drudge, kucharka. Powiedziała mu to samo co pani Derby, że służba ma się wspaniale, ale za to goście... – rumieni się – och, bardzo pana przepraszam, nie chciałam...

– Nie przejmuj się, Lucy, tak jak ty uważam większość ludzi w tym domu za osobliwości. Co takiego robią goście?

Uśmiecha się, zerkając z miną winowajcy w stronę drzwi. Kiedy się odzywa, mówi tak cicho, że skrzypienie drewnianej podłogi niemal zagłusza jej głos.

– Na przykład dzisiaj rano panna Hardcastle była w lesie ze swoją pokojówką, tą Francuzką, pewnie pan słyszał, *quelle* to, *quelle* tamto. Przy starym domku Charliego Carvera ktoś je napadł. Podobno jeden z gości, ale nikt nie chce powiedzieć kto.

– Napadł, jesteś pewna? – Wracam pamięcią do mojego poranka w ciele Bella i uciekającej przez las kobiety. Zakładałem, że to była Anna, może się jednak myliłem? Nie byłoby to moje pierwsze fałszywe założenie w Blackheath.

Moje przejęcie nagle budzi w niej nieufność.

– Tak mówiły, proszę pana.

– Chyba muszę porozmawiać z tą francuską pokojówką. Jak ona się nazywa?

– Madeline Aubert, proszę pana, ale wolałabym, żeby się pan nie zdradził, od kogo pan wie. Trzymają to w tajemnicy.

Madeline Aubert. Ta sama służąca, która poprzedniego dnia przy kolacji przyniosła Bellowi list. W zamieszaniu ostatnich zdarzeń zupełnie zapomniałem o jego pokaleczonym ramieniu.

– Nie puszczę pary z ust, Lucy – obiecuję, kładąc palec na wargach. – Dziękuję ci. Muszę z nią jednak porozmawiać. Mogłabyś dać znać tej Madeline Aubert, że jej szukam? Nie musisz mówić po co, ale jeżeli przyjdzie do mojego saloniku, może się to opłacić nam obojgu.

Patrzy na mnie z powątpiewaniem, ale skwapliwie się zgadza i umyka, zanim zdążę ją zarzucić następnymi obietnicami.

Gdyby Ravencourt był do tego zdolny, wychodziłbym z galerii w radosnych podskokach. Mimo wyraźnej niechęci do otyłego lorda Evelyn

nadal jest moją przyjaciółką i trwam w postanowieniu, aby ją ocalić. Jeżeli rano ktoś groził jej w lesie, można z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że dziś wieczorem ta sama osoba odegra jakąś rolę w jej zamordowaniu. Muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby pokrzyżować szlaki złoczyńcy, i mam nadzieję, że Madeline Aubert będzie umiała mi w tym pomóc. Kto wie, być może jutro o tej porze będę już znał nazwisko zabójcy. Jeśli Doktor Dżuma dotrzyma słowa, opuszczę ten dom, zanim zdążę wykorzystać wszystkie wcielenia.

Radosny nastrój rozwiewa się, kiedy docieram do korytarza, i z każdym krokiem, który oddala mnie od jasnego holu, pogwizduję coraz ciszej. Postać Lokaja odmieniła Blackheath, teraz tańczące cienie i niknące w mroku zakręty przejść podsuwają wyobraźni setki scenariuszy, w których ginę z jego rąk. Wystarcza najlżejszy szelest, by moje i tak utrudzone serce zaczynało się tłuc jeszcze mocniej. Kiedy docieram do saloniku, jestem zlany potem, a w piersi czuję tępy ból.

Zamykając za sobą drzwi, wydaję przeciągłe westchnienie ulgi. Jeżeli tak dalej pójdzie, Lokaj nie będzie mnie musiał zabijać, bo własne ciało odmówi mi posłuszeństwa.

Salonik jest piękny; nad szezlongiem i fotelem wisi żyrandol odbijający płomienie ognia huczącego w kominku. Na kredensie stoją trunki, ciemne piwo i inne napoje, pokrojone w plasterki owoce i kubek z topniejącym lodem. Obok chybocze się góra kanapek z pieczoną wołowiną, z których ścieka musztarda. Żołądek kazałby mi od razu ruszyć w stronę jedzenia, ale słaniam się na nogach.

Muszę odpocząć.

Fotel wita mój ciężar bez entuzjazmu, jego nogi uginają się pod takim obciążeniem. W okna bębni deszcz, niebo przykrywają czarne i fioletowe sińce. To te same krople, które spadły z nieba wczoraj, te same chmury? Czy króliki drążą te same nory, zakłócając spokój tych samych owadów? Te same ptaki zakreślają te same koła i zderzają się z tymi samymi oknami? Jeśli to jest pułapka, jaka ofiara jest jej warta?

– Napiłbym się czegoś – mruczę pod nosem, masując pulsujące skronie.

– Proszę – odzywa się kobiecy głos zza moich pleców i nad moim ramieniem pojawia się szklaneczka w drobnej dłoni o kościstych i zgrubiałych palcach.

Próbuję się odwrócić, lecz Ravencourt jest za obszerny, a siedzisko za wąskie.

Kobieta, zniecierpliwiona, potrząsa szklanką, grzechocząc kostkami lodu.

– Powinieneś wypić, zanim lód się roztopi – radzi.

– Proszę mi wybaczyć podejrzliwość, gdy przyjmuję drinka od nieznanej kobiety – mówię.

Pochyla się nad moim uchem i na szyi czuję ciepło jej oddechu.

– Ależ znasz mnie – szepcze. – Byłam w powozie z kamerdynerem. Mam na imię Anna.

– Anna! – Usiłuję się podnieść.

Jej ręka naciska moje ramię jak kowadło, wpychając mnie z powrotem w fotel.

– Nie zadawaj sobie trudu, zanim wstaniesz, już mnie nie będzie – mówi.

– Wkrótce się spotkamy, ale musisz przestać mnie szukać.

– Przestać?! Dlaczego?

– Bo nie tylko ty starasz się mnie odnaleźć. – Cofa się odrobinę. – Lokaj też mnie tropi i wie, że działamy wspólnie. Jeżeli będziesz dalej szukał, doprowadzisz go prosto do mnie. Dopóki pozostaję w ukryciu, oboje jesteśmy bezpieczni, więc zostaw mnie w spokoju.

Wyczuwam, jak się oddala i kieruje kroki w stronę drzwi w przeciwnym końcu pokoju.

– Chwileczkę! – wołam. – Wiesz, kim jestem i dlaczego znaleźliśmy się tutaj? Proszę, musisz mi coś powiedzieć.

Przystaje, zastanawiając się nad tym.

– Kiedy się ocknęłam, miałam w pamięci tylko imię i nazwisko – odpowiada. – Chyba twoje.

Moje dłonie zaciskają się na poręczach.

– Jakie?

– Aiden Bishop. Skoro więc spełniłam twoją prośbę, spełnij moją. Przestań mnie szukać.

– Aiden Bishop – powtarzam, obracając w ustach samogłoski. – Aiden... Bishop. Aiden, Aiden, Aiden.

Od pół godziny próbuję przeróżnych kombinacji, sposobów wymowy i intonacji swojego imienia i nazwiska w nadziei, że uda mi się pobudzić krnąbrną pamięć. A jedyne, co dotąd udało mi się osiągnąć, to to, że zaschło mi w ustach. Frustrujący sposób spędzania czasu, innych możliwości mam jednak niewiele. Choć wpół do drugiej dawno minęło, nie dotarła do mnie żadna wiadomość od Heleny Hardcastle z wyjaśnieniem powodów jej nieobecności. Wezwałem służącą, aby po nią poszła, ale zostałem poinformowany, że od rana nikt nie widział pani domu. Ta przeklęta kobieta zapadła się jak kamień w wodę.

Na domiar złego nie pojawili się u mnie ani Cunningham, ani Madeline Aubert i chociaż nie spodziewałem się, by pokojówka Evelyn zareagowała na moje wezwanie, Cunninghama nie ma już od wielu godzin. Nie domyślałem się, co go zatrzymuje, zaczynam się jednak niecierpliwić. Mamy tyle do zrobienia, a zostało tak niewiele czasu.

– Witaj, Cecil – odzywa się zachrypły głos. – Jest tu jeszcze Helena? Słyszałam, że miałeś się z nią spotkać.

W drzwiach stoi starsza pani otulona wielkim czerwonym płaszczem, w kapeluszu i zabłoconych kaloszach, które niemal sięgają jej kolan. Policzki ma spierzchnięte od chłodu, a na twarzy stężały grymas niezadowolenia.

– Niestety, nie widziałem się z nią – mówię. – Wciąż na nią czekam.

– Ty też? Okropna kobieta, miała spotkać się ze mną rano w ogrodzie i musiałam przez godzinę marznąć na ławce. – Z tupotem kaloszy podchodzi do kominka. Ma na sobie tyle warstw ubrań, że wystarczyłaby iskra, by stanęła w ogniu jak pogrzebowa łódź wikinga. – Ciekawa jestem, gdzie się

podziała – ciągnie, zdejmując rękawiczki i rzucając je na krzesło obok mnie.

– W Blackheath jest raczej niewiele do roboty. Masz ochotę na drinka?

– Nie skończyłem jeszcze tego. – Unoszę szklankę w jej stronę.

– Miałeś dobry pomysł. Wbiłam sobie do głowy, że trzeba iść na spacer, ale gdy wróciłam, nikt się nie kwapił, żeby mi otworzyć. Przez ostatnie pół godziny dobijałam się do okien, lecz nikogo ze służby nie widać. Iście amerykańska gościnność!

Słyszę zgrzyt karafek wyjmowanych z uchwytów, stukot szklanek stawianych na drewnianym blacie. Łód dzwoni o szkło, trzeszcząc pod stróżką alkoholu. Rozlega się syk i miły dla ucha plusk, a potem starsza pani głośno przełyka trunek i wzdycha z zadowoleniem.

– To jest to – mówi, a nowa tura brzęku szkła wymownie świadczy o tym, że pierwsza kolejka była tylko na rozgrzewkę. – Mówiłam Helenie, że miała fatalny pomysł z tym przyjęciem, ale nie chciała mnie słuchać, no i sam zobacz, co się dzieje: Peter chowa się w stróżówce, Michael ledwie nad wszystkim panuje, a Evelyn bawi się w przebieranki. Skończy się to katastrofą, wspomnisz moje słowa.

Starsza pani ze szklaneczką w ręce wraca przed kominek. Po zrzuconiu kilku warstw znacznie zmalała; ma różowe policzki, drobne różowe dłonie i rozwichrzone siwe włosy.

– A cóż to takiego? – Bierze z gzymsu białą karteczkę. – Zamierzałeś do mnie pisać, Cecil?

– Słucham?

Wręcza mi kartkę, na której ktoś zanotował prostą wiadomość

Spotkanie z Millicent Derby

A.

Nie ma wątpliwości, że to sprawka Anny.

Najpierw przypalone rękawiczki, teraz prezentacja gościa. Wprawdzie to dziwne uczucie, gdy ktoś przez cały dzień rozrzuca wskazówki jak okruszki chleba, ale dobrze jest wiedzieć, że mam tu przyjazną duszę, nawet jeżeli ten fakt przekreśla moją teorię, że pani Derby jest jednym z moich rywali, a może wręcz następnym wcieleniem. Starsza pani za bardzo jest sobą, by pod spodem mógł się ukrywać ktoś inny.

Czemu wobec tego węszyła w kuchni, wypytując o służące?

– Poleciałem Cunninghamowi, żeby zaprosił cię na drinka – wyjaśniam bez zająknięcia i pociągam łycezek whisky. – Zapewne pisał tę wiadomość w roztargnieniu.

– Tak się zdarza, kiedy powierzasz ważne zadania osobom z niższych warstw. – Millicent krzywi się, siadając na krześle obok. – Wspomnisz moje słowa, Cecil, pewnego dnia odkryjesz, że opróżnił ci wszystkie konta w banku i czmychnął z którąś z twoich służących. Spójrz na tego przekłętogo Teda Stanwina. Kiedy był zwykłym gajowym, hulał po posiadłości jak wicher, a teraz uważa się za pana całej rezydencji. To dopiero tupet!

– Zgoda, Stanwin to nieprzyjemny typ, mam jednak słabość do służby domowej – oznajmiam. – Traktuje mnie z wielką uprzejmością. Poza tym chodzą słuchy, że byłaś dzisiaj w kuchni, a to oznacza, że nie uważasz całej służby bez wyjątku za złą.

Unosi w moją stronę szklaneczkę, spryskując moje zastrzeżenie odrobiną whisky.

– Ach, to, tak... – Milknie i popija trunek, by zyskać na czasie. – Podejrzewam po prostu, że jedna ze służących ukradła coś z mojego pokoju. Zawsze powtarzam, że nigdy nie wiadomo, co się dzieje na dole. Pamiętasz mojego męża?

– Jak przez mgłę. – Podziwiam elegancję, z jaką zmieniła temat. Bez względu na cel jej wizyty w kuchni wątpię, że miał cokolwiek wspólnego z kradzieżą.

– Z nim było to samo. – Krzywi się. – Odebrał okropne plebejskie wychowanie, a chociaż sam wybudował czterdzieści kilka przędzalni, zawsze był skończonym osłem. W ciągu pół wieku małżeństwa ani razu się nie uśmiechnęłam, aż do dnia, w którym go pochowałam, i odtąd nie przestaję się uśmiechać.

Przerywa jej dobiegające z korytarza skrzypnięcie, a potem jęk zawiasów.

– Może to Helena. – Millicent podrywa się z krzesła. – Ma pokój tuż obok.

– Sądziłem, że Hardcastle'owie zajmują stróżówkę.

– Peter mieszka w stróżówce – odpowiada, unosząc brew. – Helena ma pokój tutaj, podobno bardzo jej na tym zależało. To nigdy nie było nadzwyczajne małżeństwo, ale teraz naprawdę szybko się rozpada. Powiadam ci, Cecil, tylko dla tego skandalu warto było tu przyjechać.

Starsza pani wychodzi na korytarz i nawołuje Helenę, lecz raptownie milknie.

– Co, u licha... – mruczy pod nosem, po czym wsuwa głowę z powrotem do saloniku. – Wstań, Cecil – nakazuje mi nerwowo. – Dzieje się tu coś dziwnego.

Niepokój każe mi dźwignąć się na nogi i doczłapać do korytarza, gdzie drzwi do pokoju Heleny skrzypią, kołysząc się na wietrze. Zamek został wyłamany, a pod podszewkami chrzęszczą drzazgi.

– Ktoś się włamał – syczy Millicent schowana za moimi plecami.

Laską wolno uchylam drzwi, żebyśmy oboje mogli zajrzeć do środka.

W pokoju nie ma nikogo i wygląda na to, że już od pewnego czasu stoi pusty. Zasłony na oknach wciąż są zaciągnięte, wewnątrz oświetlają jedynie lampy w korytarzu. Łóżko z baldachimem zostało starannie pościelone, toaletkę zastawiają kremy do twarzy, pudry i kosmetyki wszelkiej maści.

Upewniwszy się, że nic jej nie grozi, Millicent wychodzi zza moich pleców, rzucając mi spokojne spojrzenie, w którym kryje się coś w rodzaju zaczepnych przeprosin, po czym obchodzi łóżko dookoła, aby rozsunąć ciężkie zasłony i wypędzić z sypialni mrok.

Jedynym meblem, na którym panuje nieporządek, jest kasztanowy sekretarzyk z roletą. Szufladki są wysunięte, a wśród leżących w nieładzie kałamarzy, kopert i wstążek stoi duża lakierowana kasetka z dwoma wyściełanymi wgłębieniami w kształcie rewolwerów. Broni nigdzie nie widzę, choć podejrzewam, że jeden z rewolwerów Evelyn przyniosła na cmentarz. Powiedziała przecież, że to własność jej matki.

– Przynajmniej wiemy, czego ten ktoś szukał – mówi Millicent, stukając palcem w kasetkę. – Tyle że za grosz nie ma w tym sensu. Jeżeli ktoś chciał broń, równie dobrze mógł ją ukraść ze stajni. Miałby kilkadziesiąt sztuk do wyboru. Nikt nawet by nie mrugnął okiem.

Odsuwa kasetkę na bok i odnajduje oprawiony w płótno terminarz. Przegląda go, sunąc palcem po zanotowanych spotkaniach, wydarzeniach, przypomnieniach i zapiskach. Zawartość sugerowałaby aktywne, choć raczej nudne życie, gdyby nie wydarta ostatnia stronica.

– Dziwna rzecz, nie ma dzisiejszych spotkań – zauważa z irytacją, która ustępuje miejsca podejrzliwości. – Dlaczego Helena wyrwała tę kartkę?

– Uważasz, że sama to zrobiła? – pytam.

– A któż inny miałby z tego pożytek? Wspomnisz moje słowa, Helena nosi się z jakimś niemądrym zamiarem i nie chce, żeby ktokolwiek się o tym

dowiedział. Przepraszam cię, Cecil, ale muszę ją znaleźć i wybić jej to z głowy. Jak zwykle.

Rzuca terminarz na łóżko, zdecydowanym krokiem opuszcza sypialnię i rusza w głąb korytarza. Niemal nie zwracam uwagi na jej wyjście. Bardziej intrygują mnie czarne i rozmazane odciski palców na kartkach. Był tu mój pokojowy i wszystko wskazuje na to, że także szuka Heleny Hardcastle.

Świat za oknami kurczy się, ciemnieje na brzegach i czernieje pośrodku. Z lasu zaczynają się wyłaniać myśliwi, którzy brną przez trawę jak ogromne ptaki. Zniecierpliwiony czekaniem na Cunninghama w saloniku, ruszam do biblioteki, by zajrzeć do encyklopedii.

I już żałuję tej decyzji.

Całodzienne chodzenie wycisnęło ze mnie wszystkie siły i zajmowane przeze mnie cielsko z każdą sekundą staje się cięższe. Na domiar złego w domu panuje teraz duży ruch; służące poprawiają poduszki na kanapach, układają kwiaty, śmigając w różne strony jak ławice przestraszonych ryb. Czuję się zakłopotany ich energią, onieśmiela mnie ich gracia.

Kiedy wchodzę do holu, jest pełen myśliwych, którzy strząsają krople deszczu z czapek i stoją w kałużach wody. Są przemoczeni do suchej nitki i poszarzali z zimna, jak gdyby ulewa wypłukała z nich życie. Wyraźnie widać, że mają za sobą okropne popołudnie.

Ze spuszczonego wzrokiem przechodzę nerwowo przez zatłoczony hol, zastanawiając się, czy któraś z tych nachmurzonych twarzy należy do Lokaja. Lucy Harper powiedziała mi, że gdy pojawił się w kuchni, miał złamany nos, co daje mi nadzieję, że moje wcielenia potrafią się bronić, nie mówiąc już o tym, że łatwo go będzie rozpoznać.

Nie dostrzegam obrażeń na żadnej twarzy, ruszam więc dalej pewniejszym krokiem; mijam myśliwych, którzy usuwają się na bok, i docieram do biblioteki, gdzie zasłony zostały zasunięte, w kominku pali się ogień, a w powietrzu unosi się lekka woń perfum. Na podstawkach stoją grube świece, w półmroku jarzą się jęczyczki ciepłego światła, ukazując trzy kobiety skulone na fotelach i pogrążone w lekturze książek, które trzymają na kolanach.

Kieruję się w stronę regału, gdzie powinna stać encyklopedia, i szukam jej po omacku, ale trafiam na pustkę. Biorę świecę ze stołu obok i w jej blasku przeglądam półkę w nadziei, że ktoś przestawił książkę w inne miejsce, lecz z całą pewnością zniknęła. Wydaję przeciągłe westchnienie z takim odgłosem, jakbym wypuszczał powietrze z miechów jakiegoś straszliwego urządzenia. Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, ile nadziei pokładałem w encyklopedii i możliwości spotkania oko w oko z moimi przyszłymi wcieleniami. Nie chodziło tylko o chęć uzyskania od nich informacji, ale o szansę do przyjrzenia się im, tak jak ogląda się własne odbicia w gabinecie luster. Dzięki takiej obserwacji znalazłbym zapewne jakąś powtarzalną cechę, fragment swojego prawdziwego ja, który zachował się w każdym wcieleniu, nieskażony jego osobowością. Bez tego nie wiem, jak mam określić kontury samego siebie, granice oddzielające moją osobowość od charakteru wcielenia. Bo z tego, co wiem, tym, co różni mnie od Lokaja, jest świadomość, którą dzielę ze swoimi wcieleniami.

Wysięk całego dnia kładzie się ciężarem na moich barkach, siadam więc na krześle naprzeciw kominka. Stos polan trzeszczy i strzela, ciepło ognia drży i rozpływa się w powietrzu.

Oddech zamiera mi w piersi.

W płomieniach leży spalona na popiół encyklopedia. Zachowała jeszcze swój kształt, ale lada chwila się rozpadnie.

Nie ma wątpliwości, że to sprawka Lokaja.

Mam wrażenie, jakbym dostał cios, i na pewno taki był jego zamiar. Dokądkolwiek idę, zawsze wyprzedza mnie o krok. I nie wystarcza mu samo zwycięstwo. Chce, żebym o nim wiedział. Chce, żebym się bał. Z niewiadomego powodu chce, bym cierpiał.

Nie mogę się otrząsnąć po tak bezczelnej demonstracji pogardy i wpatrzony w skaczące płomienie, podsycam ogień dręczącymi mnie złymi przecuciami, dopóki z zamyślenia nie wyrywa mnie głos Cunninghama.

– Lordzie Ravencourt?

– Gdzieś ty się podziewał, u diabła? – warczę, kompletnie wyprowadzony z równowagi.

Podchodzi do mojego krzesła i staje blisko kominka, by ogrzać dłonie. Wygląda, jakby dał się zaskoczyć burzy, i chociaż zdążył się przebrać, wilgotne włosy, które wytarł ręcznikiem, nadal są rozwichrzone.

– Miło zobaczyć, że nic nie zmieniło usposobienia Ravencourta – mówi spokojnie. – Bez codziennej bury poczułbym się wręcz zagubiony.

– Nie odgrywaj przede mną ofiary. – Grożę mu palcem. – Przepadłeś na parę godzin.

– Dobra robota wymaga czasu – oznajmia i rzuca mi na kolana jakiś przedmiot.

Kiedy unoszę go do światła i spoglądam w puste oczy porcelanowej maski z dziobem, natychmiast mija mi złość.

– Należy do niejakiego Philipa Sutcliffe'a – informuje mnie Cunningham zniżonym głosem, zerkając na kobiety, które przypatrują się nam z nieskrywanym zaciekawieniem. – Jeden ze służących widział maskę w jego garderobie, więc zakradłem się do pokoju pana Sutcliffe'a, gdy wyszedł na polowanie. Jak można się było spodziewać, znalazłem też cylinder i płaszcz, a prócz tego wiadomość z obietnicą, że na balu spotka się z lordem Hardcastle. Pomyślałem, że moglibyśmy go zatrzymać.

Klepię się w kolano, uśmiechając się szeroko jak obłąkany.

– Dobra robota, Cunningham, naprawdę doskonała.

– Przypuszczałem, że ucieszy się pan – przyznaje. – Niestety, na tym koniec dobrych wiadomości. List czekający na pannę Hardcastle przy studni był... delikatnie mówiąc, dziwny.

– Jak to dziwny? – Przykładam maskę do twarzy. Porcelana jest zimna i lepi się do skóry, lecz poza tym maska całkiem nieźle leży.

– Deszcz rozmazał litery, ale na ile udało mi się odczytać, wiadomość brzmiała: *Trzymaj się z daleka od Millicent Derby*, a pod spodem był prosty rysunek zamku. Nic więcej.

– Dziwny rodzaj ostrzeżenia – zauważam.

– Ostrzeżenia? Dla mnie to zabrzmiało jak groźba – odpowiada Cunningham.

– Sądzisz, że Millicent Derby rzuci się na Evelyn z drutami do robótek? – Unoszę brwi.

– Niech pan jej nie lekceważy tylko dlatego, że jest stara – radzi mi, ożywiając pogrzebaczem słabnący ogień. – Kiedyś połowa ludzi w tym domu jadła z ręki Millicent Derby. Nie było takiej wstydlivej tajemnicy, której nie umiałyby wywęszyć, nie było takiego obrzydliwego podstępu, którego wstydzilaby się użyć. W porównaniu z nią Ted Stanwin był amatorem.

– Miałeś z nią do czynienia?

– Ravencourt miał i nie darzy jej zaufaniem. To łajdak, ale nie w ciemnię bity.

– Warto wiedzieć – mówię. – Spotkałeś się z Sebastianem Bellem?

– Jeszcze nie, znajdę go wieczorem. Nie udało mi się też niczego ustalić na temat tej tajemniczej Anny.

– Och, nie ma potrzeby, sama mnie już znalazła – odpowiadam, skubiąc kawałek skóry odstający od poręczy krzesła.

– Naprawdę? Czego chciała?

– Nie powiedziała.

– A jak pana poznała?

– O tym nie zdążyliśmy porozmawiać.

– Jest po pana stronie?

– Możliwe.

– Wobec tego spotkanie się opłaciło – ocenia z przebiegłym błyskiem w oku i wieszka pogrzebacz na stojaku. – A skoro o tym mowa, przydałaby się panu kąpiel. Kolacja będzie o ósmej, a zaczyna pan już zalatywać. Ludzie i tak nie darzą pana sympatią, więc lepiej nie dawać im do tego następnych powodów.

Podchodzi, aby pomóc mi wstać, ale odpędzam go ruchem ręki.

– Nie, przez resztę wieczoru masz nie odstępować na krok Evelyn. – Usiłuję podnieść się z krzesła. Wygląda jednak na to, że grawitacja sprzeciwia się moim planom.

– Po co? – pyta Cunningham, marszcząc brwi.

– Ktoś zamierza ją zamordować.

– Owszem, równie dobrze tym kimś mogę być ja – stwierdza beznamietnym tonem, jak gdyby informował mnie o czymś niewiele ważniejszym niż swoje zamiłowanie do wodewilu.

Uderza mnie to z taką siłą, że choć prawie udało mi się oderwać od krzesła, opadam na nie z powrotem, aż trzeszczy drewno. Ravencourt ufa Cunninghamowi bez reszty, a ja bez namysłu przejąłem tę cechę mimo świadomości, że Cunningham skrywa jakąś straszną tajemnicę. Jest tak samo podejrzany jak wszyscy inni.

Mruga porozumiewawczo.

– Nareszcie pan się zorientował. – Zarzuca sobie na szyję moją rękę. – Kiedy zaprowadzę pana do wanny, znajdę Bella, ale moim zdaniem lepiej by było, jeżeli sam śledziłby pan Evelyn, gdy będzie pan już mógł. A tymczasem

będę się pana trzymał, żeby wykluczył mnie pan z kręgu podejrzeń. Moje życie i tak jest już skomplikowane, więc nie chcę, żeby wasza ósemka gonila mnie po domu i oskarżała o morderstwo.

– Widzę, że nieźle się znasz na takich sprawach – mówię, próbując kątem oka sprawdzić jego reakcję.

– Nie zawsze byłem pokojowym – odpowiada.

– A kim byłeś?

– Nie sądzę, żeby ta informacja miała związek z naszą małą umową. – Z grymasem wysiłku próbuje mnie podnieść.

– Może więc powiesz mi, co robiłeś w sypialni Heleny Hardcastle – proponuję. – Kiedy przeglądałeś jej terminarz, usmarowałeś go atramentem. Rano zauważyłem, że masz nim poplamione palce.

Wydaje gwizd zdumienia.

– Rzeczywiście pan nie próżnował. – Jego spojrzenie twardnieje. – W takim razie dziwne, że nie słyszał pan o moich skandalicznych związkach z Hardcastle'ami. Nie, nie chciałbym psuć panu niespodzianki. Proszę popytać, to wcale nie jest pilnie strzeżona tajemnica i na pewno ktoś się ucieszy, gdy będzie mógł o tym opowiedzieć.

– Włamałeś się tam, Cunningham? – pytam ostrym tonem. – Zabrano dwa rewolwery i wyrwano stronę z terminarza.

– Nie musiałem się włamywać, zostałem zaproszony – ripostuje. – O rewolwerach nic nie wiem, ale kiedy wychodziłem, terminarz był cały. Widziałem na własne oczy. Przypuszczam, że mógłbym wytłumaczyć, co tam robiłem i dlaczego nie jestem sprawcą, ale jeżeli ma pan odrobinę rozsądku, nie uwierzyłby pan w ani jedno słowo, więc lepiej, żeby dowiedział się pan sam. Dzięki temu będzie pan pewien, że to prawda.

Wstajemy otoczeni wilgotnym oparem potu. Cunningham ociera mi czoło i podaje laskę.

– Powiedz mi, Cunningham, dlaczego taki człowiek jak ty zadowala się takim zajęciem? – pytam.

Staje jak wryty, a jego zwykle nieprzenikniona twarz pochmurnieje.

– Życie nie zawsze daje nam wybór, jak je przeżyć – zauważa ponuro. – Chodźmy już, trzeba zająć się morderstwem.

Wieczorny posiłek upływa przy świetle kandelabrow, których blask ukazuje cmentarzysko kurzych kości, rybich szkieletów, pancerzy homarów i słoniny. Mimo ciemności za oknem zasłony nadal są rozsunięte i widać targany burzą las.

Słyszę odgłosy, które wydaję podczas jedzenia, chrupanie, mlaskanie i przelkanie. Sos ścieka mi po podbródkach, z moich warg obrzydliwie kapie tłuszcz. Mam tak nienasycony apetyt, że między kolejnymi kęsami trudno mi złapać oddech, a moja serwetka wygląda jak pobojuwisko po bitwie. Pozostali biesiadnicy kątem oka obserwują ten odrażający spektakl, starając się podtrzymywać rozmowę, mimo że właśnie miażdżę w szczękach dobre maniery. Jak człowiek może odczuwać taki głód? Jaką pustkę próbuje zapełnić?

Po mojej lewej ręce siedzi Michael Hardcastle, choć odkąd usiadłem obok niego, zamieniliśmy może ze dwa słowa. Większość czasu poświęca Evelyn; nachyleni ku sobie, rozmawiają półgłosem z czułością zupełnie obojętną na otoczenie. Jak na kobietę, która wie, że jest w niebezpieczeństwie, sprawia wrażenie wyjątkowo spokojnej.

Być może uważa, że jest pod dobrą ochroną.

– Podróżował pan kiedyś na Daleki Wschód, lordzie Ravencourt?

Wolałbym, żeby osoba po prawej stronie poświęcała mojej obecności równie mało uwagi. To miejsce zajmuje komandor porucznik Clifford Herrington, łysiejący były oficer marynarki w mundurze błyszczącym od dowodów męstwa. Po godzinie spędzonej w jego towarzystwie trudno mi dać wiarę, aby ów człowiek dokonał tych bohaterских czynów. Może to z powodu cofniętego podbródka i zwyczaju odwracania wzroku, przez który odnoszę wrażenie, że za chwilę usłyszę od niego przeprosiny.

Prawdopodobnie jednak chodzi o wyraz jego oczu świadczący o sporej ilości pochłoniętej szkockiej.

Herrington przez cały wieczór sypie nużącymi opowieściami, których nie raczy ubarwiać nawet z uprzejmości, a teraz okazuje się, że nasza rozmowa przydryfowała do brzegów Azji. Próbując opanować niepokój, wypijam łyk wina i odkrywam, że ma dziwnie pikantny smak. Na widok grymasu na mojej twarzy Herrington pochyła się z konspiracyjną miną.

– Zareagowałem tak samo – wyznaje, wionąc mi prosto w nos ciepłym alkoholowego oddechu. – Spytałem o rocznik służącą, ale równie dobrze mógłbym zapytać kieliszka, z którego piłem.

Światło z kandelabra oblewa jego twarz upiorną żółtawą poświatą, oczy zasnuwa odrażająca pijacka szklistość. Odstawiam kieliszek i rozpaczliwie szukam czegoś, czym mógłbym zająć uwagę. Przy stole siedzi jakieś piętnaście osób; w potoku nudnych konwersacji od czasu do czasu przemykają francuskie, niemieckie i hiszpańskie słowa. Kosztowna biżuteria stuka o szkło, pobrzękują sztucce, gdy kelnerzy zabierają naczynia. W jadalni panuje posępny nastrój, ponad kilkunastoma pustymi krzesłami toczą się pojedyncze rozmowy, prowadzone przyciszonym głosem z wyraźnym tonem zniecierpliwienia. To przedziwny, smętny wręcz widok, a choć nieobecność wielu osób rzuca się w oczy, każdy ze wszystkich sił stara się tego nie zauważać. Nie wiem, czy to kwestia dobrego wychowania, czy inna przyczyna, której nie rozumiem.

Szukam znajomych twarzy, aby o to spytać, lecz Cunningham poszedł spotkać się z Bellem, nigdzie nie widzę też Millicent Derby, doktora Dickiego ani nawet odpychającego Teda Stanwina. Prócz Evelyn i Michaela rozpoznaję jedynie Daniela Coleridge'a, który siedzi obok chudego jegomościa przy drugim końcu stołu. Obaj obserwują pozostałych gości przez napełnione do połowy kieliszki wina. Komuś nie spodobała się przystojna twarz Daniela, ponieważ postanowił ją przyozdobić rozciętą wargą i spuchniętym okiem, które jutro będą wyglądać strasznie, jeśli jutro w ogóle nadejdzie. Wydaje się, że uraz zbytnio mu nie przeszkadza, choć we mnie budzi niepokój. Do tej chwili uważałem, że Daniel jest odporny na intrygi tego domu, zakładałem bowiem, że wiedza o przyszłości pozwala mu unikać nieszczęścia. Teraz, widząc, co go spotkało, nasuwa mi się skojarzenie z kartami wysypującymi się z rękawa sztukmistrza.

Moją uwagę przyciąga jego kompan, który z uciechy tłucze dłonią o stół, rozbawiony jakimś żartem Daniela. Wydaje mi się, że znam tego człowieka, lecz nie potrafię sobie przypomnieć skąd.

Może jest moim przyszłym wcieleniem.

Mam wielką nadzieję, że nie. To chuchro o wypomadowanych włosach i bladej, wymizerowanej twarzy, które zachowuje się tak, jakby wszystko w tym pomieszczeniu uchybiało jego godności. Wyczuwam w nim przebiegłość i okrucieństwo, chociaż nie wiem, skąd się bierze to wrażenie.

– Używają tak osobliwych leków – odzywa się Clifford Herrington nieco podniesionym głosem, aby ponownie zwrócić moją uwagę.

Kieruję na niego skonsternowane spojrzenie.

– Azjaci, lordzie Ravencourt – wyjaśnia z życzliwym uśmiechem.

– Tak, oczywiście – mówię. – Niestety, nigdy nie byłem w tamtych stronach.

– Cudowne miejsce, naprawdę cudowne. Ich szpitale...

Unoszę rękę, by przywołać służącą. Jeśli nic nie może mnie wybawić od tej rozmowy, niech przynajmniej nie będę skazany na to wino. Jeden akt łaski może zrodzić następny.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z doktorem Bellem na temat ich opiatów – ciągnie komandor.

Niech to się skończy...

– Smakuje panu jedzenie, lordzie Ravencourt? – zręcznie dołącza do rozmowy Michael Hardcastle.

Obracam na niego wzrok i ogarnia mnie fala wdzięczności.

Z filuternym błyskiem w zielonych oczach unosi do ust kieliszek czerwonego wina. Patrzy na mnie zupełnie inaczej niż Evelyn, której wzrok mógłby drzeć ze mnie pasy. Jego siostra ma na sobie niebieską suknię wieczorową i diadem, a jasne loki upięła wysoko, odsłaniając olśniewający naszyjnik z brylantów. To ten sam strój, prócz kaloszy i płaszcza, w którym tego wieczoru będzie towarzyszyć Sebastianowi Bellowi w wyprawie na cmentarz.

Ocieram wargi i kiwam głową.

– Jest wyborne, szkoda tylko, że nie może go skosztować więcej osób. – Wskazuję na puste krzesła wokół stołu. – Szczególnie zależało mi na poznaniu pana Sutcliffe'a.

I jego kostiumu medyka z czasów dżumy, dodaję w myśli.

– Wobec tego ma pan szczęście – wtrąca Clifford Herrington. – Poczciwy Sutcliffe jest moim dobrym przyjacielem, być może uda mi się go panu przedstawić na balu.

– Jeżeli w ogóle zdoła dotrzeć – zastrzega Michael. – On i mój ojciec pewnie poradzili już sobie z całą zawartością barku. Bez wątplenia matka właśnie próbuje ich obudzić.

– Czy lady Hardcastle pojawi się na balu? – pytam. – Podobno rzadko się dziś pokazywała.

– Powrót do Blackheath to dla niej trudne przeżycie – wyjaśnia Michael, zniżając głos, jak gdyby zwierzał się z sekretu. – Na pewno poświęciła dzień na egzorcyzmy, żeby przed przyjęciem wypędzić parę duchów. Zapewniam pana, że przyjdzie.

Przerywa nam jeden z serwujących do stołu służących, który nachyla się nad uchem Michaela, aby coś mu szepnąć. Młody człowiek natychmiast pochmurnieje, a gdy służący się oddala, przekazuje wiadomość siostrze, której twarz również przybiera ponury wyraz. Spoglądają na siebie przez chwilę, ściskając się za ręce, po czym Michael stuka widelcem w kieliszek i wstaje. Mam wrażenie, że rozwinął się i rozpostarł; wydaje się nieprawdopodobnie wysoki, sięgając hen ponad blade światło kandelabrow, i musi mówić z ciemności.

W pokoju zapada cisza, wszystkie pary oczu zwracają się na niego.

– Wolałbym, żeby zamiast mnie wystąpili tu moi rodzice i wyręczyli mnie w wygłoszeniu toastu. Widocznie szykują wielkie *entrée* na bal, a ponieważ znam swoich rodziców, wiem, że będzie naprawdę wielkie.

Na powściągliwy śmiech odpowiada nieśmiałym uśmiechem.

Przebiegam wzrokiem po gościach i zatrzymuję go na rozbawionym spojrzeniu Daniela. Ociera usta serwetką i patrzy w stronę Michaela, dając mi znak, żebym uważał.

Wie, co się święci.

– Mój ojciec pragnął podziękować wszystkim państwu za obecność i z pewnością później uczyni to o wiele staranniej – ciągnie Michael.

W jego głosie daje się słyszeć lekkie drżenie, ledwie uchwytną oznakę zakłopotania.

– Zastępując go, chciałbym skierować osobiste podziękowania do każdego z państwa za przybycie i powitanie mojej siostry Evelyn, która wróciła do domu po pobycie w Paryżu.

Evelyn spogląda na brata z podobnym uwielbieniem i wymieniają uśmiech, który nie ma nic wspólnego z tym pokojem ani z tymi ludźmi. Mimo to biesiadnicy wznoszą kieliszki i przez stół przetacza się fala podziękowań.

Michael czeka, aż minie zamieszanie, po czym kontynuuje:

– Niebawem rozpocznie całkiem nową przygodę i... – Zawiesza głos ze wzrokiem wbitym w blat stołu. – Otóż wyjdzie za mąż za lorda Cecila Ravencourta.

Zalega głucha cisza, wszystkie oczy obracają się w moją stronę. Szok ustępuje miejsca konsternacji, po czym przechodzi w niesmak; miny obecnych są wiernym odzwierciedleniem moich własnych odczuć. Tych dwoje dzieli co najmniej trzydzieści lat i tysiąc spożytych posiłków. No i wreszcie wiadomo, dlaczego rano Evelyn okazywała Ravencourtowi taką niechęć. Jeśli lord i lady Hardcastle rzeczywiście obwiniają córkę o śmierć Thomasa, nie mogli wybrać bardziej wyrafinowanej kary. Zamierzają okraść ją ze wszystkich lat, jakie stracił Thomas.

Zerkam na Evelyn, ale bawi się serwetką i przygryza wargę, a jej dobry nastrój uleciał bez śladu. Po czole jej brata spływa kropelka potu, wino lekko kołysze się w kieliszku. Michael nie potrafi nawet spojrzeć na siostrę, a ona nie umie patrzeć nigdzie indziej. Żaden człowiek nie oglądał żadnego obrusu z takim zainteresowaniem jak ja.

– Lord Ravencourt jest dobrym przyjacielem rodziny – dodaje odruchowo Michael, dzielnie przerywając ciszę. – Nie znam nikogo, kto lepiej zaopiekowałby się moją siostrą.

Wreszcie spogląda na Evelyn i napotyka jej zaszklone oczy.

– Evie, chyba chciałaś coś powiedzieć.

Evelyn kiwa głową, ściskając zmiętą serwetkę.

Wszyscy utkwili w niej wzrok, nikt się nie rusza. Nawet służba wpatruje się w nią spod ścian, trzymając brudne naczynia i świeżo otwarte butelki wina. Wreszcie Evelyn unosi wzrok znad kolan, by spojrzeć w rzędy wyczekujących twarzy. Ma w oczach szaleństwo, jak zwierzę złapane w potrzask. Jeżeli przygotowała sobie jakieś słowa, w jednej chwili pierzchają, a w ich miejsce pojawia się żaloszny szloch, z którym wybiega z jadalni. Michael rusza za nią.

W szmerze ciał obracających się w moją stronę odnajduję Daniela. Nie jest już rozbawiony, wpatruje się w okno. Ciekawe, ile razy oglądał

rumieniec, który powoli wypełza na moje policzki; a może nawet sam pamięta to uczucie wstydu. Dlatego nie może teraz na mnie spojrzeć? Czy lepiej dam sobie radę, gdy nadejdzie moja kolej?

Kiedy siedzę opuszczony przy końcu stołu, instynkt podpowiada mi, by uciec stąd z Michaelem i Evelyn, ale równie dobrze mógłbym pragnąć, aby księżyc wyciągnął ku mnie promień i wyrwał mnie z krzesła. Pokój spowija cisza, dopóki nie wstaje Clifford Herrington, który unosi kieliszek, pobłyskując medalami w blasku świec.

– Za długie i szczęśliwe lata – oznajmia, najwyraźniej bez ironii.

Goście po kolei unoszą wino i drewnianymi głosami głucho powtarzają toast.

Daniel mruga do mnie z przeciwległego końca stołu.

Jadalnia już dawno opustoszała, służba zdążyła uprzątnąć ostatnie półmiski, gdy w końcu przychodzi po mnie Cunningham. Przez ponad godzinę stał pod drzwiami, ale ilekroć próbował wejść, odganiałem go machnięciem ręki. Po upokorzeniu, jakie spotkało mnie podczas kolacji, nie mogłem poniżyć się do tego stopnia, by ktokolwiek widział, jak pokojowy pomaga mi się podnieść z krzesła. Wkracza do jadalni z pogardliwym uśmiechem na ustach. Nie mam wątpliwości, że wieść o mojej hańbie rozniosła się już po domu: gruby Ravencourt i uciekająca od niego oblubienica.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o małżeństwie Ravencourta i Evelyn? – pytam ostrym tonem, osadzając go w miejscu.

– Żeby cię upokorzyć – wyjaśnia krótko.

Sztywnieję, a gdy napotyka moje spojrzenie, różowieją mi policzki.

Ma zielone oczy, których źrenice są nierówne, jak plamy atramentu. Widzę w nich przekonanie, które mogłoby poprowadzić wojsko do boju i palić kościoły. Niech Bóg ma w opiece Ravencourta, gdyby ten chłopak uznał kiedyś, że nie chce już być jego podnóżkiem.

– Ravencourt to próżny człowiek, łatwo go zawstydzić – ciągnie spokojnie Cunningham. – Zauważyłem, że odziedzyczyłeś po nim tę cechę, i postanowiłem zabawić się twoim kosztem.

– Dlaczego? – pytam wstrząśnięty jego szczerością.

– Szantażowałeś mnie. – Wzrusza ramionami. – Chyba nie sądziłeś, że położę uszy po sobie.

Przyglądam mu się przez kilka sekund, a potem wybucham gromkim śmiechem. Śmieję się serdecznie, a wałki tłuszczu na moim ciele trzęsą się z uznania dla jego zuchwałości. Upokorzyłem go, więc odplacił mi pięknym

za nadobne, jako oręża używając wyłącznie własnej cierpliwości. Kogóż nie oczarowałyby taki wyczyn?

Cunningham ściąga brwi w srogą kreskę.

– Nie złościsz się? – pyta.

– Przypuszczam, że niezbyt przejmujesz się moją złością. – Ocieram łzę z oka. – Przecież to ja rzuciłem pierwszy kamień. Nie mogę się skarżyć, że w zamian dostałem głąz.

Moja wesołość wywołuje na jego obliczu nikły uśmiech.

– Wygląda na to, że jednak różnisz się od lorda Ravencourta – przyznaje, ważąc każde słowo.

– Zwłaszcza nazwiskiem. – Wyciągam do niego rękę. – Nazywam się Aiden Bishop.

Ściska mi dłoń, uśmiechając się szerzej.

– Miło mi cię poznać, Aiden, jestem Charles.

– Nie mam zamiaru nikomu zdradzać twojego sekretu, Charles, i przepraszam, że ci tym groziłem. Chcę jedynie ocalić życie Evelyn Hardcastle i uciec z Blackheath, ale mam niewiele czasu, by zrobić jedno i drugie. Będzie mi potrzebny przyjaciel.

– Zapewne więcej niż jeden. – Przeciera rękawem okulary. – Jeśli mam być szczery, ta historia jest tak przedziwna, że nie mógłbym się już z niej wycofać, nawet gdybym chciał.

– A zatem chodźmy – proponuję. – Według przypuszczeń Daniela Evelyn zostanie zamordowana na balu o jedenastej wieczorem. Jeżeli mamy ją ocalić, powinniśmy tam być.

Sala balowa jest po drugiej stronie holu. Ruszam w tę stronę z Cunninghame, który podtrzymuje mnie pod ramię. Na żwirowym podjeździe stoi kolejka przybywających z wioski powozów. Konie cicho rżą, lokaje otwierają drzwi przebranym w kostiumy gościom, a ci wyfruwają ze swoich klatek jak kanarki.

– Dlaczego zmuszają Evelyn do poślubienia Ravencourta? – pytam szeptem Cunninghama.

– Dla pieniędzy – wyjaśnia. – Lord Hardcastle ma wyjątkowy talent do złych inwestycji i zdecydowanie za mało inteligencji, żeby się uczyć na własnych błędach. Chodzą słuchy, że prowadzi rodzinę prosto w przepaść bankructwa. W zamian za rękę Evelyn lord i lady Hardcastle otrzymają dość

hojny posag i obietnicę Ravencourta, że za kilka lat kupi Blackheath za ładną sumkę.

– A więc o to chodzi. Hardcastle'owie są splukani i chcą oddać córkę w zastaw jak starą biżuterię.

Wracam myślą do porannej partii szachów i uśmiechu na twarzy Evelyn, gdy jak niepyszny opuszczałem werandę. Ravencourt nie kupuje sobie narzeczonej, ale bezdenną studnię złości i zimnej kalkulacji. Ciekawe, czy ten stary dureń rozumie, w co się pakuje.

– Co z Sebastianem Bellem? – pytam, przypominając sobie o zadaniu, które zleciłem Cunninghamowi. – Rozmawiałeś z nim?

– Niestety, nie. Kiedy wszedłem do jego pokoju, biedak leżał zemdlony na podłodze – odpowiada z autentycznym żalem w głosie. – Zobaczyłem tego martwego królika... zdaje się, że ten twój Lokaj ma swoiste poczucie humoru. Wezwałem lekarza i dałem spokój Bellowi. Twój eksperyment będzie musiał poczekać do jutra.

Moje rozczarowanie zagłuszają dźwięki sączące się zza zamkniętych drzwi sali balowej, a kiedy służący otwiera je przed nami, muzyka bucha do holu. Wewnątrz, w plamie przytłumionego światła, które rzuca wypełniony świecami żyrandol, krąży co najmniej pięćdziesiąt osób. Orkiestra gra żywiołowo na podium pod ścianą w głębi, lecz większą część sali przeznaczono na parkiet, na którym arlekiny w barwnych strojach umizgują się do egipskich królowych i diabłów szczerzących zęby w uśmiechu. Błazny skaczą i kpią z gości, zrywając im pudrowane peruki i złote maski trzymane na długich patyczkach. Na parkiecie wirują i szeleszczą suknie, peleryny i kaptury, w natłoku ciał nie sposób się rozeznac. Wolna przestrzeń otacza jedynie Michaela Hardcastle'a w olśniewającej masce słońca, której promienie sięgają tak daleko, że podejście do niego wydaje się ryzykowne.

Przyglądamy się temu z antresoli, z wysokości kilku schodków prowadzących na parkiet. Bębnię palcami w poręcz, wystukując rytm muzyki. Jakaś część mnie, która pozostała Ravencourtem, zna i lubi ten utwór. Pragnie wziąć instrument i zagrać.

– Czy Ravencourt jest muzykiem? – pytam Cunninghama.

– Był w młodości. Powiadają, że utalentowanym skrzypkiem. Podczas jazdy konno złamał rękę i nigdy już nie potrafił grać tak dobrze jak przed wypadkiem. Chyba nadal mu tego brakuje.

– Brakuje – potwierdzam, zaskoczony tak dojmującą tęsknotą.

Staram się o tym zapomnieć i skupić na czekającym nas zadaniu, nie mam jednak pojęcia, jak w tym tłumie odnaleźć Sutcliffe'a.

Albo Lokaja.

Tracę ducha. Tego nie brałem pod uwagę. W ścisku i hałasie nóż mógłby dyskretnie zrobić swoje i zniknąć niezauważony przez nikogo.

Przypuszczenia tego rodzaju kazałyby Bellowi uciec do swojego pokoju, ale Ravencourt nie poddaje się tak łatwo. Jeśli to w tej sali ktoś podejmie próbę zamachu na życie Evelyn, muszę tu być, niech się dzieje, co chce, tak więc wsparty o ramię Charlesa schodzę po stopniach, trzymając się ciemniejszych obrzeży sali.

Trefnisie klepią mnie po plecach, przede mną wirują kobiety z motylimi maseczkami w dłoniach. Zwracam na to niewiele uwagi i przeciskam się w stronę kanap przy oszklonych drzwiach, gdzie będę mógł dać wytchnienie zmęczonym nogom.

Dotychczas miałem okazję przyjrzeć się gościom tylko w niewielkich grupkach, poznać odrobinę ich jadu, snującego się cienką nicią po domu. Co innego jednak zostać oplecionym przez nich wszystkich naraz i im bardziej zagłębiam się w ten zgiełk, tym bardziej zjadliwa wydaje się ich złośliwość. Większość mężczyzn wygląda, jakby całe popołudnie raczyła się trunkami; zamiast tańczyć, zataczają się, spoglądają spode łba, powarkują pod nosem i zachowują się jak brutale. Młode kobiety odchylają głowy do tyłu i wybuchają śmiechem, włosy im się rozpuszczają, a makijaż rozmazuje się na twarzach, kiedy przechodzą z rąk do rąk, prowokując gromadkę żon, które dla bezpieczeństwa zebrały się razem i zerkają nieufnie na te zdyszane stworzenia o błędnym wzroku.

Nic lepiej niż maska nie odkrywa prawdziwej natury człowieka.

Charles zdradza coraz większe napięcie, jego palce z każdym krokiem coraz mocniej wbijają się w moje ramię. To wszystko nie powinno tak wyglądać. Zabawa wydaje się zbyt rozpaczliwa. To ostatni bal przed upadkiem Gomory.

Wreszcie dobijamy do kanapy i Charles ostrożnie pomaga mi usiąść. W tłumie lawirują kelnerki z tacami drinków, ale z ubocza nie sposób dać im znak, by podeszły, i jest za głośno, żeby cokolwiek usłyszały. Na szczęście Charles wskazuje stolik z szampanem, od którego chwiejnym krokiem oddalają się goście, trzymając się pod ramię. Kiwam głową i ocieram pot z czoła. Może kieliszek pomoże mi ukoić nerwy. Gdy mój towarzysz

odchodzi po butelkę, czuję na skórze powiew wiatru i zauważam, że ktoś otworzył oszklone drzwi, prawdopodobnie po to, by wpuścić do sali nieco świeżego powietrza. Na dworze panuje nieprzenikniony mrok, ale rozpalono ogień w stalowych paleniskach i rozstawiono je aż do otoczonej drzewami sadzawki lustrzanej.

Ciemność kłębi się, przybiera kształt, krzepnie i z wolna wsuwa się do środka, a blask świecy pada na bladą twarz.

Nie, na maskę.

Białą porcelanową maskę z dziobem.

Rozglądam się za Charlesem w nadziei, że jest na tyle blisko, by złapać tego człowieka, ale odpłynął z falą tancerzy. Znowu patrzę w stronę oszklonych drzwi i widzę Doktora Dżumę przepychającego się bokiem przez ciżbę uczestników balu.

Chwytam laskę i dźwigam się na nogi. Łatwiej podnosi się wraki z dna oceanu, mimo to kuśtykam w stronę kaskady kostiumów przesłaniającej mi ofiarę. Kieruję się tam, gdzie błysnęło światło odbite od maski, gdzie mignęła fałda płaszcza, mam jednak wrażenie, jak gdybym usiłował schwytać mgłę w lesie.

Gubię go w przeciwległym kącie sali.

Robię w tył zwrot i próbuję go dostrzec, lecz w tym momencie ktoś się ze mną zderza. Wydaję wściekły ryk i po chwili uświadamiam sobie, że patrzę w brązowe oczy, które spoglądają na mnie zza porcelanowej maski z dziobem. Serce skacze mi do gardła, ja najwyraźniej też podskakuję, bo maska szybko opada i ukazuje się spod niej chuda chłopięca twarz.

– Rety, przepraszam – mówi młodzieniec. – Nie chciałem...

– Rochester, Rochester, tutaj! – krzyczy ktoś do niego.

Odwracamy się równocześnie i zbliża się do nas inny jegomość w kostiumie medyka z czasów dżumy. Za nim widzę następnego, w tłumie jeszcze trzech innych. Ścigany przeze mnie człowiek rozmnożył się, ale żadna z tych osób nie może być tą, z którą rozmawiałem. Są zbyt krępi i niscy, za wysocy i za szczupli: niedoskonałe kopie pierwowzoru. Próbują odciągnąć swojego kolegę, ale łapię najbliższą rękę – wszystko jedno czyją, są takie same.

– Skąd wzięliście te kostiumy? – pytam.

Mierzy mnie gniewnym spojrzeniem przekrwionych szarych oczu. Są matowe i bez wyrazu. Puste okna, za którymi nie kryje się żadna logiczna

myśl. Wyszwabada się z mojego uścisku i dźga mnie palcem w pierś.

– Zapytaj grzecznie – rozkazuje mi pijackim bełkotem. Rwie się do bitki, więc spełniam jego pragnienie i atakuję go laską. Kiedy ciężkie drewno trafia go w nogę, młody człowiek z gromkim przekleństwem na ustach osuwa się na jedno kolano. Aby nie stracić równowagi, kładzie dłoń na parkiecie, a wtedy wbijam mu w rękę koniec laski, przygważdżając go do podłogi.

– Kostiumy! – krzyczę. – Gdzie je znaleźliście?

– Na strychu. – Jest blady jak maska, którą przed chwilą zrzucił. – Dziesiątki takich wiszą na wieszakach.

Usiłuje się wyswobodzić, ale na lasce spoczywa tylko niewielka część mojego ciężaru. Gdy opieram się nieco mocniej, twarz wykrzywia mu ból.

– Skąd się o nich dowiedzieliście? – Zmniejszam nacisk na jego dłoń.

– Wczoraj wieczorem znalazł nas służący – wyjaśnia ze łzami w oczach. – Miał już na sobie taki sam płaszcz, maskę i kapelusz, cały strój. Nie mieliśmy kostiumów, więc zaprowadził nas na strych, żebyśmy sobie coś znaleźli. Pomagał wszystkim, przysięgam, na górze było chyba ze dwadzieścia osób.

Wygląda na to, że Doktor Dżuma nie chce dać się znaleźć.

Przez parę sekund przyglądam się cierpieniom młodzieńca i próbuję rozstrzygnąć, czy jego słowa są równie prawdziwe jak wyraz bólu na twarzy. Uznaję, że tak, i unoszę laskę. Chłopak oddala się chwiejnym krokiem, kurczowo ściskając obolałą dłoń. Ledwie znika mi z oczu, z tłumy wyłania się Michael, dostrzega mnie z oddali i rusza prosto w moją stronę. Wygląda na wzburzonego, ma zaczerwienione policzki. Gorączkowo porusza ustami, ale muzyka i śmiech zagłuszają jego słowa.

Daję mu znak, że nie rozumiem, więc podchodzi bliżej.

– Widział pan moją siostrę?! – woła.

Kręcę głową i nagle ogarnia mnie strach. Po jego oczach poznaję, że coś jest nie tak, zanim jednak udaje mi się wypytać o szczegóły, przeciska się z powrotem między wirującymi tancerzami. Tknięty złym przecuciem, czując, że kręci mi się w głowie i jest mi gorąco, przedzieram się do kanapy, zdejmuję muszkę i rozpinam kołnierzyk. Obok mnie przepływają postacie w maskach, obnażone ramiona lśnią od potu.

Dostaję mdłości, nie umiem się cieszyć niczym, co widzę. Kiedy się zastanawiam, czy powinienem przyłączyć się do poszukiwań Evelyn, wraca Cunningham z butelką szampana w wypełnionym lodem srebrnym kubku

oraz z dwoma wysokimi kieliszkami pod pachą. Na metalu połyskują krople wilgoci, tak jak na czole Cunninghama. Minęło tyle czasu, że zapomniałem, po co się oddalił, i wrzeszczę mu do ucha:

– Gdzieś ty był?!

– Wydawało mi się... widziałem Sutcliffe'a! – odkrzykuje, lecz przez muzykę przebija się nie więcej niż połowa słów. – ...kostiumie!

Najwidoczniej Cunningham doświadczył tego samego co ja.

Kiwam głową na znak zrozumienia. Siadamy i pijemy w milczeniu, rozglądając się za Evelyn. Z coraz głębszą frustracją myślę, że powinienem być na nogach, przeszukiwać dom, przepytywać gości, Ravencourt nie jest jednak zdolny do takich wyczynów. Sala jest zbyt tłoczna, jego ciało zbyt znużone. Nie jest człowiekiem czynu, ale mistrzem obserwacji i kalkulacji, jeśli więc mam pomóc Evelyn, muszę skorzystać z tych umiejętności. Jutro będę biegać, dzisiaj muszę obserwować. Powinienem widzieć wszystko, co dzieje się na tej sali, odnotować każdy szczegół, by móc wyprzedzić zdarzenia tego wieczoru.

Szampan uspokaja mnie, mimo to odstawiam kieliszek, aby alkohol nie osłabił moich zdolności. Właśnie wtedy zauważam Michaela, który wchodzi po schodach prowadzących na antresolę nad salą balową.

Orkiestra milknie, śmiech i gwar rozmów z wolna cichną i wszystkie głowy zwracają się w stronę gospodarza.

– Przepraszam, że zakłócam państwu zabawę – mówi Michael, zaciskając dłonie na balustradzie. – Czuję się głupio, zadając to pytanie, ale czy ktoś wie, gdzie jest moja siostra?

Przez tłum przetacza się fala rozmów, gdy goście odwracają się do siebie nawzajem. Już po minucie wiadomo, że nie ma jej na sali balowej.

Pierwszy dostrzega ją Cunningham.

Dotyka mojej ręki i wskazuje na Evelyn, która zataczając się, idzie wzdłuż rozstawionych na zewnątrz ogni w kierunku sadzawki. Zdążyła się już nieco oddalić od domu, na przemian znika i pojawia się w świetle płomieni. W jej dłoni lśni niewielki srebrny pistolet.

– Idź po Michaela! – krzyczę.

Gdy Cunningham przepycha się przez tłum, wstaję i wlokę się do okna. Nikt inny jej nie zauważył, więc chwilowe zamieszanie wywołane pytaniem Michaela szybko mija i znowu podnosi się hałas. Skrzypek gra pierwszą nutę; zegar pokazuje jedenastą.

Kiedy stoję przy oszklonych drzwiach, Evelyn dociera nad brzeg sadzawki.

Chwieje się i drży.

Spomiędzy drzew, z odległości zaledwie kilku metrów, beczynn timer przygląda się jej Doktor Dżuma, którego maska odbija blask płomieni.

Błyska srebrny pistolet, Evelyn przystawia sobie lufę do brzucha, gwar rozmów i muzykę rozdziera huk wystrzału.

Przez moment jednak wydaje się, że nic się nie stało.

Evelyn nadal stoi na brzegu, jak gdyby podziwiała swoje odbicie w tafli wody. Nagle uginają się pod nią nogi, broń wysuwa się z jej ręki i Evelyn wpada bezwładnie do sadzawki, a Doktor Dżuma kiwa głową i roztapia się w ciemnościach między drzewami.

Ledwie słyszę krzyki, jak przez mgłę widzę tłum wybiegający z za moich pleców na trawnik, kiedy rozlega się eksplozja obiecanych sztucznych ogni i okrywa sadzawkę feerią barw. Przyglądam się Michaelowi biegnącemu w ciemność do siostry, której nie zdążył uratować. Woła ją, ale jego krzyk tonie w huku fajerwerków i Michael brnie przez atramentową wodę, aby wyłowić jej ciało. Ślizgając się i potykając, próbuje wyciągnąć ją z sadzawki, w końcu pada, nie wypuszczając Evelyn, którą wciąż tuli w ramionach. Całuje ją po twarzy, błagając, aby otworzyła oczy, lecz to płonna nadzieja. Kości zostały rzucone i śmierć zgarnęła wygraną. Zabrała Evelyn wszystko, co najcenniejsze.

Michael z płaczem zanurza twarz w jej włosach.

Zdaje się nie zauważać gęstniejącego tłumu gości, silnych ramion, które wrywają siostrę z jego objęć i kładą na trawie, żeby doktor Dickie mógł uklęknąć i ją zbadać. Jego wiedza jest jednak zbędna, bo dziura w brzuchu i pistolet na trawie dobitnie świadczą o tym, co się stało. Mimo to przyciska palce do szyi Evelyn, sprawdzając puls, po czym delikatnie ściera z jej twarzy brudną wodę.

Nie podnosząc się z kolan, lekarz daje Michaelowi znak, by podszedł bliżej, a potem ujmuje dłoń zapłakanego mężczyzny i pochyliwszy głowę, mówi coś półgłosem – prawdopodobnie odmawia modlitwę.

Jestem mu wdzięczny za ten przejaw szacunku.

Kilka kobiet łąka w usługnych męskich objęciach, lecz w ich zachowaniu jest coś fałszywego. Wydaje się, jakby bal jeszcze się nie skończył. Wszyscy wciąż tańczą, tylko zmieniły się kroki. Evelyn zasługuje na coś lepszego niż

bycie rozrywką dla ludzi, którymi gardziła. Lekarz chyba to rozumie i każdym najdrobniejszym ruchem przywraca jej część godności.

Modlitwa trwa tylko chwilę, a kiedy się kończy, doktor przykrywa marynarką jej twarz, jakby nieruchomy wzrok Evelyn był bardziej drastyczny od plamy krwi na sukni.

Gdy lekarz wstaje, widzę łzę lśniąca na jego policzku. Otacza ramieniem szlochającego brata Evelyn i odprowadza go do domu. Wyglądają, jakby przybyło im lat, idą zgarbieni, wolnym krokiem, dźwigając na ramionach ogromne brzemie smutku.

Ledwie przekraczają próg, w tłumie gości zaczyna huczeć od plotek. Policja jest już w drodze, znaleziono pożegnalny list, duch Charliego Carvera zabrał następne dziecko Hardcastle'ów. Opowieści krążą z ust do ust i gdy docierają do mnie, są już tak barwne, szczegółowe i sugestywne, że mogą wyjść poza mury tego domu i zacząć żyć własnym życiem.

Szukam Cunninghama, ale nigdzie go nie ma. Nie wyobrażam sobie, co może robić, ma jednak bystre oko i wielki zapał, więc bez wątpienia znalazł sposób, by zrobić z nich dobry użytek – w odróżnieniu ode mnie. Wystrzał zszargał mi nerwy.

Wracam do pustej sali balowej i dygocząc, ciężko osuwam się na kanapę, na której wcześniej siedziałem. W głowie kłębią mi się myśli.

Wiem, że jutro moja przyjaciółka znów będzie żyła, ten fakt nie zmienia jednak tego, co się wydarzyło, ani wstrząsu, jaki przeżyłem na ten widok.

Evelyn odebrała sobie życie i jestem za to odpowiedzialny. Małżeństwo z Ravencourtem było karą, upokorzeniem, które miało doprowadzić ją do ostateczności, a ja, choć nieświadomie, odegrałem w tym ważną rolę. To mojej twarzy nienawidziła, moja obecność zaprowadziła ją nad brzeg sadzawki z pistoletem w dłoni.

A Doktor Dżuma? Zaproponował mi wolność w zamian za wyjaśnienie zagadki morderstwa, które nie będzie wyglądać na morderstwo, ale przecież na własne oczy widziałem, jak Evelyn zastrzeliła się, gdy w rozpaczy uciekła z przyjęcia. Czyżby jego oferta też miała być torturą, pogonią za okruchem nadziei, która może doprowadzić do szaleństwa?

A co z cmentarzem? I bronią?

Jeśli Evelyn naprawdę była załamana, skąd wziął się jej pogodny nastrój, gdy niecałe dwie godziny po kolacji szła w towarzystwie Bella na cmentarz? A broń? Miała przy sobie duży czarny rewolwer, który z trudem mieścił się

w jej płaskiej torebce. Zastrzeliła się ze srebrnego pistoletu. Dlaczego miałyby wymienić broń na inną?

Nie wiem, jak długo siedzę i rozmyślam o tym w otoczeniu przejętych żałobników, lecz policja się nie pojawia.

Tłum gości rzednie, świece się dopalają, bal dogasa i dobiega końca.

Ostatnią rzeczą, jaka pojawia mi się przed oczami, zanim zapadam w sen na kanapie, jest obraz Michaela Hardcastle'a, który klęczy w trawie i tuli w objęciach ociekające wodą ciało martwej siostry.

Dzień drugi (ciąg dalszy)

Budzi mnie ból pulsujący przy każdym oddechu. Pozbywam się resztek snu i mrużąc oczy, widzę białą ścianę, białą pościel i plamę zaschniętej krwi, która wykwita na poduszce. Policzek mam oparty na dłoni, a górną wargę przyklejoną śliną do palców.

Znam tę chwilę, widziałem ją oczami Bella.

Znowu jestem w ciele kamerdynera, którego przewieziono już do stróżówki.

Ktoś chodzi przy łóżku – sądząc po czarnej sukience i białym fartuszk, służąca. Kobieta ma w rękach rozłożoną sporą księgę i gorączkowo ją przegląda. Mam za ciężką głowę, by unieść wzrok powyżej poziomu jej talii, więc jęczę, aby podeszła.

– Świetnie, że się obudziłeś. – Przystaje. – Kiedy Ravencourt zostanie sam? Nie napisałeś tego, ale ten cholerny dureń kazał pokojowemu węszyć po kuchni...

– Kim jes... – W gardle zalegają mi krew i flegma.

Na komodzie stoi dzbanek wody, którą pokojówka pośpiesznie nalewa do szklanki, odłożywszy książkę na blat, i przytyka mi do ust. Odrobinę przesuвам głowę, by spojrzeć na jej twarz, ale świat natychmiast zaczyna wirować.

– Nie powinienes mówić – radzi, wycierając rąbkiem fartucha strużkę wody ciekącą mi po brodzie.

Przez chwilę się nie odzywa.

– To znaczy możesz mówić, ale dopiero gdy będziesz gotowy.

Znowu milknie.

– Tak naprawdę chcę, żebyś odpowiedział na pytanie o Ravencourta, zanim przez niego zginę.

– Kim jesteś? – chrypię.

– Ależ ten prostak... Chwileczkę... – Przybliżyła twarz do mojej twarzy, a jej brązowe oczy czegoś szukają. Ma okrągłe, blade policzki, a spod czepka wysuwają się kosmyki splecionych jasnych włosów. Z drgnieniem lęku uświadamiam sobie, że to jest pokojówka, którą spotkali Bell i Evelyn, kiedy czuwała przy kamerdynerze.

– Ile miałeś już wcieleń? – pyta.

– Nie...

– Ile wcieleń – powtarza z uporem, przysiadając na brzegu łóżka. – W ilu ciałach już byłeś?

– Jesteś Anna. – Przekręcam szyję, by lepiej się jej przyjrzeć, choć ból przeszywa mi ogniem wszystkie kości.

Kobieta bardzo delikatnie przyciska mnie z powrotem do materaca.

– Zgadza się, jestem Anna – odpowiada cierpliwym tonem. – Ile było wcieleń?

Do oczu cisną mi się łzy szczęścia; jak ciepła woda ogarnia mnie fala czułości. Mimo że nie pamiętam tej kobiety, czuję, że łączą nas długie lata przyjaźni i niemal instynktownego zaufania. Prócz tego po prostu cieszę się z tego spotkania. Chociaż może się to wydawać dziwne wobec osoby, której nie pamiętam, uświadamiam sobie, że za nią tęskniłem.

Widok wzruszenia na mojej twarzy wyciska z jej oczu łzy. Anna pochyla się, aby mnie delikatnie uścisnąć.

– Też za tobą tęskniłam – wyraża głośno moje uczucie.

Trwamy tak przez chwilę, po czym Anna odchrząkuje i ociera łzy.

– No, dość tego – rzuca i pociąga nosem. – Płkanie nad sobą w niczym nam nie pomoże. Musisz mi powiedzieć o swoich wcieleniach, bo inaczej będziemy tylko płakać.

– Naj... najpierw... – usiłuję mówić przez tkwiącą w gardle grudę. – Najpierw ocknąłem się jako Bell, potem kamerdyner, potem Donald Davies, potem znowu kamerdyner, Ravencourt, a teraz...

– Znowu kamerdyner. – Zamyśla się. – Do trzech razy sztuka, prawda?

Odgarnia mi z czoła kosmyk włosów i pochyla się niżej.

– Przypuszczam, że jeszcze się sobie nie przedstawiliśmy, a przynajmniej ty mi się nie przedstawiłeś – mówi. – Mam na imię Anna, ty jesteś Aiden Bishop... A może zdążyliśmy się już poznać? Pojawiasz się w złej kolejności, nigdy nie wiem, w którym miejscu jesteśmy.

– Poznałaś moje inne wcielenia?

– Co chwilę wpadają i znikają. – Zerka na drzwi, za którymi gdzieś w głębi domu brzmią głosy. – Zwykle przychodzą z prośbą o jakąś przysługę.

– A twoje wcielenia... Czy ty też...

– Nie mam żadnych innych wcieleń, jestem po prostu sobą – wyjaśnia. – Nie odwiedza mnie Doktor Dżuma, nie mam też w zapasie następnego dnia. Jutro niczego nie będę pamiętała, chociaż zważywszy na to, jak do tej pory przebiega ten dzień, to chyba dobrze się dla mnie składa.

– Ale wiesz, co się dzieje? Wiesz o samobójstwie Evelyn?

– To jest morderstwo, wiedziałam o tym już w chwili, kiedy się ocknęłam – oznajmia, wygładzając pościel. – Nie pamiętałam, jak się nazywam, znałam jednak twoje imię i wiedziałam, że nie ma stąd ucieczki, dopóki o jedenastej wieczorem nie dostarczymy nad jezioro nazwiska mordercy i dowodów jego winy. Takie są chyba zasady. Mam te słowa wyryte w mózgu, więc nie mogę ich zapomnieć.

– Kiedy ja cię ocknąłem, niczego nie mogłem sobie przypomnieć – mówię, próbując zrozumieć, dlaczego nasze cierpienia różnią się od siebie. – Doktor Dżuma musiał mi o wszystkim powiedzieć... poza twoim imieniem.

– Nic dziwnego, przecież jesteś jego projektem specjalnym. – Poprawia mi poduszkę. – Guzik go obchodzi, co ja robię. Przez cały dzień ani razu się do mnie nie odezwał, a tymczasem tobie nie daje spokoju. Dziwne, że nie czai się teraz pod łóżkiem.

– Powiedział mi, że tylko jedno z nas może się stąd wydostać.

– Zgadza się i jest jasne jak cholera, że to masz być ty – odparowuje, lecz nuta złości znika z jej głosu tak samo szybko, jak się pojawiła. Anna kręci głową. – Przepraszam, w ogóle nie powinnam mieć ci tego za złe, nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że on coś planuje, i bardzo mi się to nie podoba.

– Wiem, co masz na myśli. Ale jeżeli tylko jedno z nas może uciec...

– To po co sobie pomagamy? – wchodzi mi w słowo. – Bo masz plan, żeby uratować nas oboje.

– Ja?

– Powiedziałaś, że masz.

Po raz pierwszy pewność siebie Anny słabnie, na jej twarzy odmalowuje się niepokój, nie udaje mi się jednak dowiedzieć o tej sprawie czegoś więcej, bo z korytarza dobiega skrzypnięcie drewna i ktoś zaczyna wspinać się po

schodach. Mam wrażenie, że od tupotu tych kroków trzęsie się cały budynek.

– Momencik. – Anna zabiera książkę z blatu.

Dopiero teraz widzę, że to szkicownik, w którego okładkach z brązowej skóry tkwią luźne kartki niedbale związane sznurkiem. Chowa go pod łóżko i wydobywa stamtąd strzelbę. Opiera kolbę o ramię, bezszelestnie podchodzi do drzwi i uchyla je, by lepiej słyszeć hałas na zewnątrz.

– Niech to diabli. – Nogą zamyka drzwi. – Doktor ze środkiem uspokajającym. Szybko... Kiedy Ravencourt będzie sam? Muszę mu powiedzieć, żeby przestał mnie szukać.

– Dlaczego? Kto...

– Nie mamy czasu, Aiden – ponagła mnie, wsuwając strzelbę z powrotem pod łóżko. – Gdy następnym razem się ockniesz, będę tu i obiecuję, że porozmawiamy o wszystkim, ale teraz mów tylko o Ravencourcie, każdy szczegół, jaki pamiętasz.

Nachyla się nade mną, chwytając mnie za rękę i błagalnie patrzy mi w oczy.

– Piętnaście po pierwszej będzie w salonie – mówię. – Podajesz mu whisky, rozmawiasz z nim chwilę, a potem wchodzi Millicent Derby. Zostawiasz mu karteczkę z jej nazwiskiem.

Zaciska oczy i bezgłośnie poruszając ustami, powtarza godzinę i nazwisko, aby wryć je w pamięć. Dopiero teraz, gdy skupienie wygładziło jej rysy, widzę, jaka jest młoda; ma najwyżej dziewiętnaście lat, choć parę wiosen musiała jej dodać ciężka praca.

– Jeszcze jedna rzecz – syczy i kładzie dłoń na moim policzku, przysuwając twarz tak blisko, że dostrzegam bursztynowe cętki w jej brązowych oczach. – Jeżeli spotkasz mnie w innym miejscu, udawaj, że mnie nie znasz. Nawet do mnie nie podchodź, jeśli będziesz w stanie się powstrzymać. Lokaj... Opowiem ci o nim później... albo wcześniej. Chodzi o to, że jeśli ktoś zobaczy nas razem, może być to dla nas niebezpieczne. Kiedy trzeba będzie o czymś porozmawiać, będziemy robić to tylko tutaj.

Szybko całuje mnie w czoło i obrzuca pokój ostatnim spojrzeniem, sprawdzając, czy wszystko wygląda jak należy.

Kroki dotarły do korytarza, a w ich tle brzmiały dwa mieszające się ze sobą głosy. Rozpoznaję Dickiego, ale towarzyszącej mu osoby już nie. Głos jest głęboki i zniecierpliwiony, choć nie słyszę wyraźnie słów.

– Kto jest z Dickiem? – pytam.

– Prawdopodobnie lord Hardcastle – odpowiada Anna. – Od samego rana co chwila zagląda do ciebie i sprawdza, jak się czujesz.

Brzmi to logicznie. Evelyn powiedziała mi, że podczas wojny kamerdyner był ordynansem Hardcastle'a. Właśnie z powodu ich zażyłości w pokoju naprzeciwko wisi przywiązany za ręce Gregory Gold.

– Czy to zawsze tak wygląda? – pytam. – Zanim jeszcze zdąży się zadać pytanie, już jest wyjaśnienie?

– Skąd mam wiedzieć? – Wstaje i wygląda fartuszek. – Robię to, co robię, od dwóch godzin i słyszę tylko polecenia.

Drzwi otwiera doktor Dickie, którego wąsy wyglądają tak samo niedorzecznie jak wówczas, gdy ujrzałem je pierwszy raz. Spogląda na Annę i na mnie, a potem znów na nią, starając się powiązać ze sobą strzępy rozmowy, którą tak pospiesznie przzerwaliśmy. Nie doczekawszy się odpowiedzi, stawia czarną torbę lekarską na komodzie i podchodzi do mnie.

– Już nie śpimy, jak widzę – mówi, kołysząc się na obcasach z palcami wciśniętymi do kieszonek kamizelki. – Zostaw nas samych, dziewczyno – zwraca się do Anny, a kiedy ta, dygnawszy, wychodzi z pokoju, rzucając mi z progu przelotne spojrzenie, lekarz pyta mnie: – No i jak się czujesz? Mam nadzieję, że podróż powozem nie za bardzo cię wycieńczyła.

– Całkiem nieźle... – zaczynam, ale doktor Dickie odkrywa kołdrę i sięga po moją rękę, by zmierzyć mi puls. Nawet tak delikatny ruch wywołuje we mnie spazm bólu, który uniemożliwia mi dokończenie odpowiedzi.

– Trochę obolałe, hm. – Opuszcza moje ramię. – Nic dziwnego po tym laniu, jakie ci sprawiono. Domyślasz się, czego ten Gregory Gold od ciebie chciał?

– Nie. Musiał mnie pomylić z kimś innym, panie doktorze.

„Panie doktorze” pada z moich ust bezwiednie, to dawne przyzwyczajenie kamerdynera. Dziwię się, z jaką łatwością wypowiadam te słowa.

Przenikliwy wzrok przewierca mnie na wylot, gdy lekarz dogłębnie analizuje moją odpowiedź. Nerwowy uśmiech, jakim mnie częstuje, to uśmiech współnika, pocieszający, a jednocześnie nieco groźny. Cokolwiek się stało w tamtym korytarzu, dobroduszny doktor Dickie wie o tym coś więcej.

Z trzaskiem otwiera torbę i wyjmuje z niej brązową buteleczkę i strzykawkę. Nie odrywając spojrzenia ode mnie, przebija igłą woskowy korek i napełnia strzykawkę przezroczystym płynem.

Zaciskam palce na prześcieradle.

– Naprawdę nic mi nie jest, doktorze – zapewniam go.

– Tak, to raczej moja sprawa – odpowiada, kłując mnie igłą w szyję, zanim udaje mi się zaprotestować.

Żyły wypełnia mi ciepło, rozmywając myśli. Doktor rozpływa się, kolory stają się intensywniejsze, a po chwili roztapiają się w ciemności.

– Śpij, Rogerze – słyszę. – Zajmę się panem Goldem.

Dzień piąty

Kaszlę, mając płuca pełne dymu z cygara. Kiedy otwieram nowe oczy, widzę, że prawie całkowicie ubrany leżę na deskach podłogi, a jedna dłoń zwyczajnie spoczywa na nietkniętym posłanym łóżku. Spodnie mam zaplątane wokół kostek, druga ręka przyciska do brzucha butelkę brandy. Najwyraźniej poprzedniego wieczoru próbowałem się rozebrać, ale wygląda na to, że taki wyczyn był poza zasięgiem możliwości mojego nowego wcielenia, którego oddech cuchnie jak stara podstawka pod kufel piwa.

Z jękiem gramolę się na brzeg łóżka i ten wysiłek wywołuje pulsujący ból w skroniach, który z powrotem niemal zwala mnie z nóg.

Jestem w sypialni podobnej do pokoju, w którym zakwaterowano Bella; z kominka mruga do mnie żar po wczorajszym ogniu. Zasłony są rozsunięte; widzę nikły poblask świtu.

W lesie jest Evelyn, musisz ją znaleźć.

Podciągam spodnie do pasa i chwiejnym krokiem ruszam w stronę lustra, by bliżej przyjrzeć się durniowi, którego teraz zamieszkuje.

Omam nie zderzam się ze szkłem.

Po tak długim uwięzieniu w postaci Ravencourta nowe ciało zdaje się nic nie ważyć, jak niesiony wiatrem liść. Nic w tym dziwnego, gdy widzę jego odbicie w lustrze. To niski i drobny człowiek w wieku dwudziestu kilku lat, o przydługich włosach i przekrwionych niebieskich oczach, którego twarz zdobi starannie przystrzyżona bródka. Uśmiechając się na próbę, odsłaniam rządki nieco nierównych białych zębów.

To twarz hultaja.

Mój dobytek piętrzy się w nieładzie na nocnym stoliku; na wierzchu stosu leży zaproszenie adresowane do Jonathana Derby'ego. Przynajmniej wiem, kogo przeklinać za kaca. Przerzucam przedmioty palcem i znajduję

scyzoryk, sfatygowaną piersiówkę, zegarek kieszonkowy pokazujący za siedemnaście dziewiątą oraz trzy zakorkowane brązowe fiołki bez etykiet. Kiedy otwieram jedną i wącham płyn, żołądek skręca mi się od mdłego i słodkiego zapachu.

Pewnie laudanum, które sprzedaje Bell.

Rozumiem już, dlaczego jest taki lubiany. Od samego zapachu zawartości fiołki w głowie wirują mi jasne światła.

Obok umywalki w rogu pokoju stoi dzbanek zimnej wody, rozbieram się więc do naga i zmywam z siebie brud i pot minionej nocy, aby odgrzebać ukrytą pod spodem osobę. Resztkę wody przechylam do ust i piję, aż zaczyna mi bulgotać w brzuchu. Niestety, zamiast utopić kaca, tylko go rozcieńczam i ból przenika do wszystkich kości i mięśni.

Ranek jest paskudny, dlatego ubieram się w najcieplejsze rzeczy, jakie udaje mi się znaleźć: tweedowe spodnie myśliwskie i gruby czarny płaszcz, który wlecze się po podłodze, kiedy opuszczam sypialnię.

Mimo wczesnej pory u szczytu schodów sprzeczka się podchmielona para. Wciąż mają na sobie stroje wieczorowe i nadal trzymają kieliszki. Obrzucają się oskarżeniami, coraz bardziej podnosząc głos, i wymachują ramionami, dlatego omijam ich szerokim łukiem. Słyszę ich kłótnię aż do holu, który po wybrykach poprzedniego wieczoru został wywrócony do góry nogami. Na żyrandolu wiszą rozwiązane muszki, marmurową posadzkę przykrywają liście i odłamki rozbitej karafki. Sprzątają to dwie służące, a ja zastanawiam się, jak musiał wyglądać hol, zanim zabrały się do pracy.

Próbuję się od nich dowiedzieć, gdzie jest domek Charliego Carvera, ale milczą jak zakłete i w odpowiedzi na moje pytania kręcą głowami i spuszczaają oczy.

Ich niemota działa mi na nerwy.

Jeśli plotka Lucy Harper nie mija się z prawdą, to kiedy Evelyn zostanie zaatakowana, powinna być ze swoją pokojówką w pobliżu tego domku. Jeżeli ustalę, kto jej zagraża, być może uda mi się ocalić jej życie i równocześnie uciec z tego domu – choć nie mam pojęcia, co zrobić, aby uwolnić też Annę. W przekonaniu, że mam jakiś pomysł, zapomniała o własnych planach, żeby mi pomóc w realizacji moich, które przyniosą wolność nam obojgu. W tym momencie jest to dla mnie jedynie czcza obietnica, a sądząc po jej zaniepokojonej minie, gdy rozmawialiśmy w stróżówce, Anna zaczyna podejrzewać, że tak właśnie jest.

Mam tylko nadzieję, że moje przyszłe wcielenia są znacznie inteligentniejsze od poprzednich.

Ponieważ dalsze indagowanie służących pogrąża je w jeszcze głębszym milczeniu, rozglądam się, szukając pomocy. W pokojach po obu stronach holu panuje grobowa cisza, dom wciąż tkwi po uszy w minionym wieczorze, więc nie widząc innego wyjścia, ostrożnie przechodzę między odłamkami szkła i kieruję się na dół do kuchni.

Korytarz wydaje się bardziej ponury, niż go zapamiętałem, słysząc tu brzęk naczyń i czuć zapach pieczonego mięsa, od którego ogarniają mnie mdłości. Służba przygląda mi się i odwraca głowy, ilekroć otwieram usta, aby o coś spytać. Najwyraźniej uważają, że nie powinienem się tu zapuszczać, nie mam też wątpliwości, że nie wiedzą, jak się mnie pozbyć. To ich podziemne terytorium, przez które płynie rzeka nieskrępowanych rozmów i wymienianych z chichotem plotek. Swoją obecnością kalam jej czystość.

Wrze we mnie niepokój, krew huczy mi w uszach. Czuję się zmęczony i poraniony, powietrze działa mi na płuca jak papier ścierny.

– Mogę w czymś pomóc? – słyszę czyjś głos za plecami.

Kiedy się odwracam, widzę panią Drudge, kucharkę, która patrzy na mnie, trzymając pulchne ręce na pulchnych biodrach. Widziana oczami mojego wcielenia wygląda jak figurka ulepiona przez dziecko z gliny, z małą główką na zdeformowanym korpusie i z rysami twarzy uformowanymi niewprawnymi palcami. Ma surową minę i w niczym nie przypomina kobiety, która za kilka godzin poda kamerdynerowi ciepłą bułeczkę.

– Szukam Evelyn Hardcastle – mówię, spoglądając w jej srogie oczy. – Poszła na spacer do lasu z Madeline Aubert, swoją pokojówką.

– A panu co do tego?

Mówi to tak opryskliwym tonem, że się wzdrygam. Zaciskam dłonie i staram się zapanować nad wzbierającą złością. Służba, przemykając obok nas, wyciąga szyje, pragnąc zobaczyć spektakl, ale panicznie bojąc się gwiazdy tej sceny.

– Ktoś chce ją skrzywdzić – rzucam przez zaciśnięte zęby. – Jeżeli wskaże mi pani drogę do starego domku Charliego Carvera, będę mógł ją ostrzec.

– To właśnie robił pan z Madeline ostatniej nocy? Ostrzegał pan ją? Dlatego miała podartą bluzkę, dlatego płakała?

Żyła pulsuje jej na czole, każde słowo kipi od tłumionego oburzenia. Robi krok naprzód i wbija mi palec w pierś.

– Dobrze wiem, co...

Eksploduję gniewem gorącym jak rozpalone żelazo. Bez namysłu wymierzam jej policzek i nacieram na nią z diabelską wściekłością.

– Gadaj, dokąd poszła! – Z moich ust pryskają krople śliny.

Przeklęta pani Drudge sznuruje usta i patrzy na mnie spode łba.

Zaciskam dłonie w pięści.

Idź stąd.

Natychmiast stąd odejdz.

Wyteżam całą wolę, odwracam się plecami do pani Drudge i opuszczam korytarz, w którym nagle zaległa głęboka cisza. Służący uskakują mi z drogi, moja furia nie widzi jednak niczego innego oprócz samej siebie.

Skręciwszy za rogiem, opieram się o ścianę i biorę głęboki oddech. Drżą mi ręce, z wolna rozwiewa się mgła zasnuwająca mi głowę. Przez tych kilka strasznych sekund zupełnie nie panowałem nad Derby. Z moich ust trysnął jego jad, jego żółć napłynęła mi do żył. Nadal to czuję. Parzy mnie skóra, kości przenika ogień, chcę zrobić coś okropnego. Wszystko jedno, co się dzisiaj stanie, muszę mocno trzymać w ryzach swój temperament, inaczej ten stwór znowu wymknie się na wolność i Bóg jeden wie, co może zrobić.

A najbardziej boję się jednej rzeczy.

Moje wcielenia mogą się zacząć bronić.

Buty zapadają mi się w błocie, gdy pchany desperacją zagłębiam się w półmrok między drzewami. Kiedy nie udało mi się uzyskać żadnych informacji w kuchni, postanowiłem wyruszyć do lasu w nadziei, że natknę się na Evelyn na którymś z oznakowanych szlaków. Liczę na to, że skoro zawiodła kalkulacja, skuteczne może się okazać działanie. Jeśli nie, to i tak muszę oddalić Derby'ego na bezpieczną odległość od pokus Blackheath.

Czerwone chustki prowadzą mnie nad strumień, którego nurt opływa wielki kamień. W mule tkwi rozbita butelka po winie, obok leżą gruby czarny płaszcz i srebrny kompas Bella, który wypadł z kieszeni. Wyjmuję go z błota i obracam w dłoni, tak jak robiłem to pierwszego ranka, przesuwając palcami po wygrawerowanych na spodzie inicjałach SB. Inicjałach Sebastiana Bella. Czuję się jak skończony głupiec, kiedy Daniel zwrócił mi na to uwagę. Na ziemi wala się kilka niedopałków papierosów, co świadczy o tym, że Bell spędził tu trochę czasu, prawdopodobnie czekając na kogoś. Zapewne przyszedł właśnie tutaj, kiedy podczas kolacji dostał list, choć nie pojmuję, co o takiej porze mogłoby go wypędzić na chłód i deszcz. Przeszukawszy płaszcz, nie znajduję żadnych wskazówek, w kieszeniach nie ma nic prócz srebrnego kluczyka, prawdopodobnie do kufra.

Nie chcę marnować czasu na swoje poprzednie wcielenie, więc wrzucam kluczyk i kompas do kieszeni i szukam następnego czerwonego znaku, uważnie sprawdzając, czy po piętach nie depcze mi Lokaj. Byłoby to dla niego doskonałe miejsce do ataku.

Bóg jeden wie, po jakim czasie natrafiam w końcu na ruiny budynku, który musiał być dawniej domkiem Charliego Carvera. Ogień wypalił go do cna, trawiąc większą część dachu i pozostawiając tylko cztery poczerńiałe ściany. Gdy wchodzę do środka, pod stopami chrzęści gruz, a kilka przestraszonych królików ze śladami mokrego popiołu na sierści umyka do

lasu. W kącie stoi przekrzywiona resztką ramy starego łóżka, na podłodze leży jedna stołowa noga – szczątki przerwanego nagle życia. Evelyn mówiła mi, że domek stanął w płomieniach tego samego dnia, gdy powieszono Carvera.

Przypuszczam, że to lord i lady Hardcastle rzucili swoje wspomnienia na stos i sami go podpalili.

Któż mógłby mieć im to za złe? Carver odebrał nad jeziorem życie ich synowi. Trudno się dziwić, że uznali za stosowne pozbyć się go za pomocą ognia.

Za domkiem wokół ogrodu biegnie przegniły, zaniedbany przez lata płot, z którego odpadła większość sztachet. Zarasta go mnóstwo fioletowych i żółtych dzikich kwiatów, na łodygach pnących się po słupkach ogrodzenia wiszą czerwone owoce.

Kiedy przyklękam, by zawiązać sznurowadło, spomiędzy drzew wyłania się służąca.

Mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę takiego przerażenia.

Krew ucieka jej z twarzy, z ręki wypada koszyk, z którego wysypują się grzyby.

– Jesteś Madeline? – pytam, lecz dziewczyna już się cofa, rozglądając się w poszukiwaniu pomocy. – Nie chcę ci zrobić krzywdy, próbuję tylko...

Zanim udaje mi się wypowiedzieć następne słowo, już pędzi z powrotem w głąb lasu. Zaplątany w chwasty, ruszam za nią, potykając się o płot.

Kiedy się podnoszę, między drzewami miga mi jej czarna sukienka, oddalająca się znacznie szybciej, niż mógłbym przypuszczać. Wołam za dziewczyną, ale mój głos działa na nią jak bicz, który zmusza ją do jeszcze szybszego biegu. Mimo to jestem silniejszy i sprawniejszy i chociaż nie chcę jej przestraszyć, boję się tego, co się stanie Evelyn, dlatego nie mogę stracić służącej z oczu.

– Anno! – dobiega z pobliza wołanie Bella.

– Na pomoc! – krzyczy w panice zapłakana Madeline.

Jestem już bardzo blisko. Wyciągam rękę, żeby szarpnąć ją za ramię i zatrzymać, ale moje palce muskają tylko tkaninę sukienki, tracę równowagę i zostaję w tyle.

Dziewczyna uchyla się przed gałęzią, potykając się lekko. Kiedy łapię ją za sukienkę, znowu krzyczy, a po chwili rozlega się huk, blisko mojej twarzy przelatuje ze świstem pocisk i trafia w drzewo za mną.

Zaskoczony puszczam Madeline i dziewczyna ucieka w stronę wyłaniającej się z lasu Evelyn, trzymającej czarny rewolwer – ten, który zabierze potem na cmentarz. Broń nie budzi jednak takiej grozy jak wściekłość na jej twarzy. Wystarczy jeden fałszywy ruch i mnie zastrzeli, jestem tego pewien.

– To nie tak... mogę wyjaśnić... – dyszę z rękami opartymi o kolana.

– Tacy ludzie jak ty zawsze wszystko wyjaśnią – mówi Evelyn, wyciąga rękę po przerażoną dziewczynę i chowa ją za sobą.

Madeline szlocha, całym jej ciałem wstrząsają dreszcze. Bóg mi świadkiem, że Derby'emu sprawia to przyjemność. Jej strach go podnieca. Zna to z doświadczenia.

– Proszę... przecież to nieporozumienie – jąkam i z błagalną miną robię krok naprzód.

– Nie podchodź, Jonathanie – ostrzega mnie Evelyn, chwytając rewolwer oburącz. – Nie zbliżaj się do tej dziewczyny, do żadnej z nich.

– Nie chciałem...

– Daruję ci życie tylko dlatego, że twoja matka przyjaźni się z naszą rodziną – przerywa mi Evelyn. – Ale jeżeli zobaczę cię obok jakiejś kobiety albo nawet tylko się o tym dowiem, przysięgam, że dostaniesz kulkę.

Uważając, by cały czas trzymać mnie na muszce, Evelyn zdejmuje płaszcz i okrywa nim drżące ramiona Madeline.

– Dzisiaj przez cały dzień zostaniesz przy mnie – szepcze do przerażonej służącej. – Dopilnuję, żeby nie spotkało cię nic złego.

Zanurzają się między drzewa, zostawiając mnie samego w lesie. Unoszę twarz ku niebu i wypełniam płuca zimnym powietrzem w nadziei, że deszcz pomoże mi ochłonąć ze złości. Przyszedłem tu, żeby uchronić Evelyn przed atakiem, licząc na to, że tym samym ujawnię mordercę. Tymczasem spowodowałem właśnie to, czemu próbowałem zapobiec. Gonię własny ogon, przerażając przy tym Bogu ducha winną kobietę. Być może Daniel miał rację – może przyszłość nie jest obietnicą, którą możemy złamać.

– Znowu marnuje pan czas – odzywa się z za moich pleców Doktor Dżuma.

Stoi na drugim końcu polany, niewiele wyraźniejszy od cienia. Jak zwykle wybiera najdogodniejsze miejsce. Jest na tyle daleko ode mnie, że nie mogę go dosięgnąć, lecz na tyle blisko, że bez trudu możemy rozmawiać.

– Myślałem, że będę mógł pomóc – odzywam się gorzkim tonem, nie mogąc jeszcze dojść do siebie po tym, co się stało.

– Wciąż może pan pomóc – zauważa. – Sebastian Bell zgubił się w lesie.

Oczywiście. Nie jestem tu z powodu Evelyn, jestem tu dla Bella. Mam sprawić, aby koło się zamknęło. Pętla, za którą wodzi mnie los.

Wyjmuję z kieszeni kompas i kładę go na dłoni, przypominając sobie niepewność, z jaką wtedy rano podążałem za jego drżącą wskazówką. Bez niego Bell zapewne nigdy nie odnalazłby drogi.

Rzucam kompas w błoto pod nogi Doktora Dżumy.

– Tak to zmienię – oznajmiam mu i odchodzę. – Niech pan sam do niego idzie.

– Nie rozumie pan, w jakim celu tu jestem – odpowiada ostrym tonem, który osadza mnie w miejscu. – Jeśli pozwoli pan, żeby Sebastian Bell samotnie błąkał się po lesie, nigdy nie pozna pan Evelyn Hardcastle i nie zadzierzgnie z nią więzi, którą tak sobie pan ceni. Jeżeli go pan teraz opuści, nie będzie panu zależało na tym, żeby ją ratować.

– Twierdzi pan, że o niej zapomnę? – pytam z niepokojem.

– Twierdzą, że powinien pan uważniej decydować, który węzeł rozwiązać – odpowiada. – Jeśli opuści pan Bella, opuści pan też Evelyn. To będzie bezcelowe okrucieństwo, a dotąd nie zauważyłem w panu niczego, co mogłoby wskazywać, że jest pan okrutnym człowiekiem.

Może wyobraźnia płata mi figła, ale po raz pierwszy w jego głosie pojawia się ciepła nuta. To wystarcza, by wytrącić mnie z równowagi. Odwracam się i patrzę na niego.

– Muszę zobaczyć, że w tym dniu coś się zmieni – mówię i słyszę rozpacz w swoim głosie. – Muszę się przekonać, że da się to zrobić.

– Pańska frustracja jest zrozumiała, ale czy jest sens przestawiać meble, jeśli spali się przy tym cały dom?

Pochyla się, by podnieść z ziemi kompas, po czym palcami ściera błoto z tarczy. Stłumiony jęk i wysiłek, z jakim się prostuje, wskazują na to, że pod kostiumem może się kryć starszy człowiek. Zadowolony z efektów swojej pracy, rzuca mi kompas, który jest tak mokry, że niemal wyslizguje mi się z dłoni.

– Niech pan to weźmie i wyjaśni zagadkę zamordowania Evelyn.

– Popełniła samobójstwo, widziałem na własne oczy.

– Skoro pan sądzi, że to takie proste, wie pan o wiele mniej, niż przypuszczałem.

– A pan jest znacznie okrutniejszy, niż przypuszczałem – warczę w odpowiedzi. – Jeśli pan wie, co się tu dzieje, dlaczego pan tego nie powstrzyma? Po co te gierki? Trzeba złapać mordercę, zanim zdąży dopaść Evelyn.

– Ciekawy pomysł, tylko że nie wiem, kim jest zabójca.

– Jak to możliwe? – pytam z niedowierzaniem. – Zna pan mój każdy ruch, zanim go jeszcze wykonam. Jak pan może nie znać najważniejszego faktu w tym domu?

– Bo to nie należy do mnie. Obserwuję pana, a pan obserwuje Evelyn Hardcastle. Obaj mamy do odegrania swoje role.

– Wobec tego mogę oskarżyć o tę zbrodnię każdego! – wołam, wyrzucając w górę ręce. – Zamordowała ją Helena Hardcastle. Proszę bardzo! Teraz niech mnie pan uwolni!

– Zapomina pan, że potrzebuję dowodu. Nie tylko pańskiego słowa.

– A co będzie, jeśli uratuję Evelyn?

– Nie przypuszczam, żeby to było możliwe, i wydaje mi się, że w ten sposób sam pan utrudni sobie śledztwo, mimo to moja oferta jest aktualna. Wczoraj wieczorem Evelyn została zamordowana, tak samo jak każdego poprzedniego wieczoru. Poda mi pan nazwisko osoby, która zabija albo planuje zabić Evelyn Hardcastle, i będzie pan wolny.

Po raz drugi od pojawienia się w Blackheath trzymam w dłoni kompas i zastanawiam się nad poleceniem otrzymanym od człowieka, któremu nie mogę ufać. Aby wykonać instrukcje Doktora Dżumy, powinienem biernie poddać się biegowi zdarzeń dnia, w którym musi zginąć Evelyn, ale nie sposób niczego zmienić, nie pogarszając sytuacji. Przy założeniu, że Doktor Dżuma mówi prawdę, albo ocaleę swoje pierwsze wcielenie, albo opuszczę Evelyn.

– Wątpi pan w moje intencje? – jeży się, widząc, że się waham.

– Oczywiście, że wątpię – rzucam. – Nosi pan maskę i mówi samymi zagadkami. Ani przez chwilę nie wierzę, że sprowadził mnie pan tu tylko po to, żebym wyjaśnił tajemnicę. Coś pan ukrywa.

– I sądzi pan, że ujawni to, zrywając mi maskę? – prycha. – Twarz też jest maską, innego rodzaju, wie pan o tym lepiej niż inni. Choć ma pan rację, rzeczywiście coś ukrywam. Jeśli to pana pocieszy, nie ukrywam tego przed

panem. Gdyby udało się panu w jakiś sposób pozbyć mnie maski, na moje miejsce po prostu pojawi się ktoś inny, a pańskie zadanie się nie zmieni. Niech pan sam zdecyduje, czy to warte zachodu. A co do pana obecności w Blackheath, może nieco rozwieję pańskie wątpliwości, jeśli wyjawię nazwisko człowieka, który tu pana sprowadził.

– Kto to jest?

– Aiden Bishop – oznajmia. – W odróżnieniu od pańskich rywali przyjechał pan do Blackheath dobrowolnie. Sam pan doprowadził do tego, co pana dzisiaj spotyka.

W jego głosie czai się nuta żalu, ale pozbawiona wyrazu biała maska nadaje temu zdaniu złowrogi wydźwięk i brzmi to jak parodia smutku.

– To niemożliwe – upieram się. – Po co miałbym tu przyjeżdżać z własnej woli? Po co ktokolwiek robiłby sobie coś takiego?

– Pańskie życie przed Blackheath to nie moja sprawa, panie Bishop. Niech pan wyjaśni zagadkę zamordowania Evelyn Hardcastle, wtedy pozna pan wszystkie odpowiedzi, jakich się pan domaga – mówi. – Tymczasem pańskiej pomocy potrzebuje Bell. – Wskazuje za moje plecy. – Jest tam.

Bez słowa wycofuje się w głąb lasu i niknie w półmroku. W głowie tłoczy mi się setka różnych pytań, ale żadne z nich do niczego mi się nie przyda w tym lesie, więc odsuwam je od siebie i ruszam na poszukiwanie Bella. Po chwili znajduję go zgiętego wpół i drżącego z wysiłku. Kiedy podchodzę, nieruchomieje, usłyszawszy trzask gałązek pod moimi stopami.

Jego strachliwość budzi we mnie odrazę.

Madeline, chociaż się pomyliła, miała przynajmniej tyle rozsądku, by uciec.

Obchodzę moje byłe wcielenie od tyłu, kryjąc przed nim twarz. Mógłbym spróbować tłumaczyć, co się tu dzieje, ale spłoszone zwierzę to marny sojusznik, zwłaszcza kiedy jest przekonane, że jesteś mordercą.

Od Bella chcę tylko tego, żeby przeżył.

Jeszcze dwa kroki i staję tuż za nim, pochylając się tak nisko, by szepnąć mu do ucha. Cały ocieka potem, w twarz uderza mnie woń podobna do zapachu brudnej szmaty. Niewiele mogę powiedzieć, żeby nie dostać mdłości.

– Na wschód – mówię i wkładam mu kompas do kieszeni.

Odsuwam się i idę między drzewa, w stronę spalonego domku Carvera. Bell znajdzie drogę dopiero za mniej więcej godzinę, mam więc mnóstwo

czasu, by kierując się czerwonymi znakami, wrócić do domu i nie natknąć się na niego.

Mimo moich usilnych starań wszystko dzieje się dokładnie tak, jak pamiętam.

W prześwitach między drzewami ukazuje się masywna sylwetka Blackheath. Wyszedłem z lasu od strony tyłu domu, który jest w jeszcze gorszym stanie niż front. Kilka okien jest popękanych, mury się kruszą. Kamienna balustrada, która spadła z dachu na trawnik, leży porośnięta gęstym mchem. Hardcastle'owie najwyraźniej odremontowali tylko te części domu, które mieli oglądać goście – nic dziwnego, biorąc pod uwagę szczupłość ich zasobów finansowych.

Tak jak pierwszego ranka, kiedy stałem na skraju lasu, idę teraz przez ogród z podobnym przecuciem. Jeżeli przybyłem tu dobrowolnie, musiałem mieć jakiś powód, ale choć wyteżam pamięć, nie potrafię nic sobie przypomnieć.

Chciałbym wierzyć, że jestem dobrym człowiekiem, który przyjechał z pomocą, lecz jeśli tak, to zamiast pomagać, wyrządzam straszliwe szkody. Dzisiaj, jak co wieczór, Evelyn odbierze sobie życie, a zważywszy na zdarzenia tego ranka, moje wysiłki zażegnania katastrofy jeszcze bardziej nas do niej przybliżają. Równie dobrze może się okazać, że to właśnie przez moje nieudolne próby jej ocalenia Evelyn kończy w sadzawce ze srebrnym pistoletem w dłoni.

Jestem tak głęboko pogrążony w rozmyślaniach, że niemal wpadam na Millicent, nie zauważywszy jej wcześniej. Starsza pani siedzi na żelaznej ławce, z której roztacza się widok na cały ogród, i dygocze z zimna, oplatając się ramionami w chłodnym wietrze. Opatuliła się po szyję w trzy nieforemne płaszcze i spogląda znad szalika, którym zasłoniła sobie usta. Wcisnęła kapelusz na uszy i jest sina z zimna. Słyszając moje kroki, odwraca się i gdy mnie dostrzeża, na jej pomarszczonej twarzy odmalowuje się zaskoczenie.

– Na Boga, wyglądasz strasznie – mówi, zsuwając szalik z ust.

– Też miło mi cię widzieć, Millicent – odpowiadam, zdziwiony nagłą falą ciepła, jaką poczułem na jej widok.

– Millicent? – Zaciska wargi. – Dość nowocześnie się do mnie zwracasz, mój drogi. Wolałabym „mamo”, jeżeli nie sprawi ci to różnicy. Nie chciałabym, żeby ludzie myśleli, że wzięłam cię z ulicy, choć czasami zastanawiam się, czy nie wyszłabym na tym lepiej.

Otwieram usta. Wcześniej nie dostrzegłem związku między Jonathanem Derbyem a Millicent Derby, prawdopodobnie dlatego, że łatwiej jest wyobrazić sobie, że oboje przyniosła na ziemię jakaś biblijna plaga.

– Przepraszam, mamó – jąkam. Wpycham ręce do kieszeni i siadam obok niej.

Unosi brew, a w bystrych szarych oczach migoczą iskierki rozbawienia.

– Przepraszasz i zrywasz się z łóżka przed południem... Czy aby na pewno dobrze się czujesz? – pyta.

– Pewnie przez wiejskie powietrze – odpowiadam. – A ty? Po co siedzisz na dworze w taką paskudną pogodę?

Burczy pod nosem i jeszcze szczerzej oplata się ramionami.

– Umówiłam się na przechadzkę z Heleną, ale przepadła jak kamień w wodę. Pewnie jak zwykle pomyliła godziny. Wiem, że na popołudnie była umówiona z Cecilem Ravencourtem, prawdopodobnie teraz jest u niego.

– Ravencourt jeszcze śpi – mówię.

Millicent mierzy mnie pytającym spojrzeniem.

– Cunningham mi powiedział, pokojowy Ravencourta – kłamię.

– Znasz go?

– Trochę.

– Hm... nie wchodziłabym z nim w zbyt bliską komitywę. – Cmoka z dezaprobatą. – Wiem, jak lubisz podejrzane towarzystwo, ale z tego, co mówił mi Cecil, akurat to jest najmniej odpowiednie, nawet przy twoich skromnych wymaganiach.

Ta uwaga budzi we mnie ciekawość. Lubię pokojowego, ale zgodził się mi pomóc dopiero po tym, gdy zagroziłem mu ujawnieniem skrywanego przez niego sekretu. Dopóki nie poznam tej tajemnicy, nie mogę na nim polegać, a kluczem do jej odkrycia może się okazać Millicent.

– Dlaczego? – pytam od niechcienia.

– Och, nie wiem. – Lekceważąco macha ręką. – Znasz Cecila, w każdej fałdce ciała jakiś sekret. Jeżeli wierzyć plotkom, zatrudnił Cunninghama

tylko dlatego, że Helena go o to prosiła. Teraz odkrył jakiś niesmaczny fakt z jego życia i zastanawia się, czy go nie zwolnić.

– Niesmaczny?

– Tak powiedział Cecil, chociaż reszty z niego nie wyciągnęłam. Temu szubrawcowi gęba się nie zamyka, ale sam wiesz, jak nie cierpi skandali. Biorąc pod uwagę pochodzenie Cunninghama, musi chodzić o coś szalenie sprośnego, skoro tak się boi. Szkoda, że nie wiem, co to jest.

– Pochodzenie Cunninghama? Chyba coś przeoczyłem.

– Chłopak wychował się w Blackheath. Jest synem kucharki – wyjaśnia. – Tak w każdym razie brzmi oficjalna wersja.

– A nie jest?

Starsza pani chichocze, zerkając na mnie szelmowsko.

– Podobno Jego Lordowska Mość Peter Hardcastle od czasu do czasu bawił w Londynie. Otóż pewnego razu obiekt jego zabaw przyjechał za nim do Blackheath z niemowlęciem na ręku i oświadczył, że to jego potomstwo. Peter był gotów oddać dziecko do kościoła, ale Helena wkroczyła w sprawę i zażądała, żeby je zatrzymać.

– Dlaczego to zrobiła?

– Znając ją, przypuszczam, że to miała być obelga. – Millicent krzywi się, odwracając się twarzą od przejmującego wiatru. – Nigdy nie przepadała za mężem, musiała więc być wniebowzięta, przyjmując do domu wstydliwą pamiątkę jego wybryków. Biedny Peter od trzydziestu trzech lat pewnie co noc płacze w poduszkę. Tak czy inaczej, oddali dziecko na wychowanie pani Drudge, kucharce, a Helena zadbała, by wszyscy wiedzieli, czyje jest.

– A Cunningham coś o tym wie?

– Nie przypuszczam, żeby nie wiedział, to tajemnica, o której ludzie głośno rozmawiają. – Starsza pani wyjmuje z rękawa chusteczkę i wyciera nos. – W każdym razie skoro tak się z nim spoufaliłeś, możesz go sam zapytać. Idziemy? Chyba nie ma sensu marznąć na ławce i czekać na kobietę, która nie zamierza przyjść.

Wstaje, nie dając mi szansy na odpowiedź, przytupuje i chucha w dłonie w rękawiczkach. Pogoda naprawdę jest okropna, siąpi deszcz, skłębione szare niebo grozi nawałnicą.

– Po co w ogóle wychodziłaś? – pytam, gdy z chrzęstem żwiru idziemy ścieżką biegnącą wokół domu. – Nie mogłaś się umówić z lady Hardcastle w środku?

– Za dużo tam ludzi, na których wolałabym się nie natknąć – odpowiada.

Po co była rano w kuchni?

– Skoro o tym mowa, słyszałem, że rano byłaś w kuchni.

– Kto ci o tym powiedział? – obrusza się.

– No...

– Nie zbliżyłam się nawet do kuchni – mówi, nie czekając na odpowiedź. – Tyle tam brudu. A zapachu trudno się pozbyć przez parę tygodni.

Wydaje się naprawdę rozdrażniona moją sugestią, co oznacza, że prawdopodobnie jeszcze tam nie trafiła. Po chwili przyjaźnie szturcha mnie w bok i z nagłą radością w głosie pyta:

– Słyszałeś o Donaldzie Daviesie? Podobno wieczorem wziął automobil i uciekł do Londynu. Masztalerz mówił, że przyszedł do niego w ulewie, ubrany we wszystkie kolory świata.

Ta wiadomość daje mi do myślenia. Do tej pory powinienem już chyba wrócić do postaci Donalda Daviesa, tak jak z powrotem stałem się kamerdynerem. Był moim trzecim wcieleniem, a Anna powiedziała, że zgodnie z zasadą w każdym z nich muszę przeżyć cały dzień, od początku do końca, czy tego chcę, czy nie. Kiedy zostawiłem go śpiącego na drodze, było najwyżej przedpołudnie, dlaczego więc już więcej go nie zobaczyłem?

Zostawiłeś go samego i bezbronno.

Czuję ukłucie wyrzutów sumienia. Być może Lokaj już go zdążył znaleźć.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – irytuje się Millicent. – Powiedziała, że Donald Davies odjechał automobilem. W tej rodzinie wszyscy co do jednego są niespełna rozumu, i to jest oficjalnie potwierdzone przez lekarzy.

– Rozmawiałaś z Dickiem – zauważam w roztargnieniu, wciąż myśląc o Daviesie.

– Przede wszystkim on mówił – prostuje drwiącym tonem. – Przez pół godziny próbowałam oderwać wzrok od tych jego wąsów. Dziwne, że w ogóle przepuszczają dźwięk.

Jej uwaga mnie rozbawia.

– Czy ty w ogóle kogoś lubisz w Blackheath, mamó?

– Nie przypominam sobie, ale przypuszczam, że to przez zazdrość. Towarzystwo zjechało tu potańczyć, a ja jestem na to za stara. Skoro mowa o tańcu, oto i sam katarzyniarz.

Podążam za jej wzrokiem i widzę zbliżającego się do nas z przeciwnej strony Daniela. Mimo chłodu ma na sobie krykietowy sweter i lniane

spodnie, ten sam strój, w którym pierwszy raz spotyka Bella w holu. Zerkam na zegarek; to już zapewne niedługo.

– Panie Coleridge! – woła Millicent ze sztuczną wylewnością.

– Witam, pani Derby. – Zatrzymuje się przy nas. – Złamała już pani dzisiaj rano jakieś serce?

– Niestety, panie Coleridge, ostatnio żadne nawet nie zadrży. – W jej głosie brzmi ton niepewności, jak gdyby przechodziła jakimś chybotliwym mostem, obawiając się, że w każdej chwili może runąć. – Jakaż to niecna sprawa wyciąga pana z domu w taką okropną pogodę?

– Chcę prosić pani syna o pewną przysługę i zapewniam, że chodzi o najzupełniej uczciwą rzecz.

– Ach, szkoda! Czuję się rozczarowana.

– Ja też. – Dopiero teraz Daniel Coleridge kieruje wzrok na mnie. – Poświęcisz mi chwilę, Derby?

Odchodzimy na bok, a Millicent ze wszystkich sił stara się demonstrować brak zainteresowania, rzucając nam znad szalika podejrzliwe spojrzenia.

– Co się dzieje? – pytam.

– Zamierzam złapać Lokaja – mówi i na jego przystojnej twarzy maluje się coś pomiędzy lękiem a podnieceniem.

– Jak? – Natychmiast zapalam się do tego pomysłu.

– Wiemy, że około pierwszej będzie w jadalni dręczył Ravencourta – informuje mnie. – Proponuję tam dopaść drania.

Wspomnienie upiornych kroków i piekielnego śmiechu wystarcza, abym dostał gęsiej skórki, a myśl o tym, że w końcu dostanę w ręce tego łajdaka, rozpala mi krew w żyłach. Uczucie jest niemal równie gwałtowne jak to, które ogarnęło Derby'ego, gdy w lesie goniliśmy służącą, i błyskawicznie budzi we mnie czujność. Nie wolno mi ulec temu wcieleniu.

– Jaki masz plan? – pytam, powściągając entuzjazm. – Byłem sam w tym pokoju, nie domyślałem się nawet, gdzie się chowa.

– Ja też nie, dopóki wczoraj wieczorem nie zacząłem rozmawiać ze starym znajomym Hardcastle'ów. – Odciąga mnie nieco dalej od Millicent, która niepostrzeżenie podkradła się na tyle blisko, by podsłuchiwać naszą rozmowę. – Okazuje się, że pod podłogą jest cały labirynt tajnych przejść. Właśnie tam ukrył się Lokaj i tam go zatrzymamy.

– Jak?

– Mój nowy znajomy twierdzi, że wejścia są w bibliotece, salonie i galerii. Proponuję, żeby każdy z nas obserwował jedno wejście i złapał go, kiedy będzie wychodził.

– Brzmi doskonale – stwierdzam, usiłując opanować rosnące podniecenie Derby’ego. – Zajmę pozycję w bibliotece, ty w salonie. Kto będzie w galerii?

– Zapytaj Annę – odpowiada. – Niestety, żadne z nas nie jest na tyle silne, żeby w pojedynkę unieszkodliwić Lokaja. Może oboje będziecie pilnować biblioteki, a ja zbiorę część naszych innych wcieleń, żeby pomogły mi w obstawieniu salonu i galerii?

– Wspaniale! – Rozpromieniam się.

Gdybym nie trzymał na smyczy Derby’ego, już pędziłby w stronę tuneli z latarnią i nożem kuchennym.

– Dobrze. – Daniel uracza mnie tak serdecznym uśmiechem, że nie sposób nawet brać pod uwagę możliwości niepowodzenia. – Zajmij pozycję kilka minut przed pierwszą. Jeżeli szczęście nam dopisze, przed kolacją będzie po wszystkim.

Odwraca się, aby odejść, ale łapię go za ramię.

– Powiedziałaś Annie, że jeśli nam pomoże, znajdziesz sposób, żebyśmy uciekli oboje?

Mierzy mnie baczным spojrzeniem i szybko cofam dłoń.

– Tak – mówi.

– To kłamstwo, prawda? – naciskam. – Tylko jedno z nas może się wydostać z Blackheath.

– Nazwijmy to potencjalnym kłamstwem, zgoda? Nie straciłem jeszcze nadziei, że dotrzemy umowy.

– Jesteś moim ostatnim wcieleniem, jaką możesz mieć nadzieję?

– Nikłą – przyznaje, a twarz mu łagodnieje. – Wiem, że ją lubisz. Wierz mi, nie zapomniałem tego uczucia, ale musimy mieć ją po swojej stronie. Nie wyrwiemy się z tego domu, jeżeli przez cały dzień będziemy musieli uważać i na Lokaja, i na Annę.

– Muszę powiedzieć jej prawdę. – Jestem przerażony tak bezdusznym lekceważeniem mojej przyjaciółki.

Daniel sztywnieje.

– Jeżeli to zrobisz, będziesz miał w niej wroga – syczy, rozglądając się, by sprawdzić, czy nikt nas nie podsłuchuje. – A wtedy wszelkie szanse, żeby jej naprawdę pomóc, prysną jak bańka mydlana. – Nadyma policzki, mierzwi

sobie włosy i uśmiecha się do mnie; wzburzenie ulatuje z niego niczym powietrze z przekłutego balonu. – Zrobisz, jak uważasz – dodaje. – Ale zaczekaj z tym przynajmniej do czasu, gdy złapiemy Lokaja. – Patrzy na zegarek. – Jeszcze tylko trzy godziny, o nic więcej nie proszę.

Spoglądamy sobie w oczy – on patrzy błagalnie, ja z powątpiewaniem. Nie mam wyjścia, muszę ustąpić.

– Zgoda.

– Nie będziesz tego żałował – zapewnia mnie.

Ściska mnie za ramię, po czym wesoło macha do Millicent i zdecydowanym krokiem rusza z powrotem do Blackheath.

Odwracam się do Millicent, która przypatruje mi się z zaciśniętymi wargami.

– Znajdujesz sobie okropnych przyjaciół – konstatuje.

– Sam też jestem okropnym człowiekiem. – Wytrzymuję jej wzrok, aż w końcu kręci głową i rusza dalej, po czym zwalnia kroku, żebym mógł ją dogonić. Docieramy do długiej oranżerii. Większość szyb jest popękana, rośliny wewnątrz tak się rozrosły, że napierają na szkło. Millicent zagłąda do środka, lecz liście są zbyt gęste. Daje mi znak, abym szedł za nią, obchodzimy budynek, ale po jego drugiej stronie zastajemy zamknięte drzwi, na których wisi nowy łańcuch z kłódką.

– Szkoda. – Na próżno go szarpie. – Uwielbiałam tu przychodzić, gdy byłam młodsza.

– Bywałaś już w Blackheath?

– Kiedy byłam dziewczynką, spędzałam tu lato, jak zresztą wszyscy: Cecil Ravencourt, bliźnięta Curtisów, Peter Hardcastle i Helena... tutaj się poznali. Kiedy wyszłam za mąż, przywiozłam tu twojego brata i siostrę. Właściwie wychowali się z Evelyn, Michaeliem i Thomasem.

Bierze mnie pod ramię i idziemy dalej.

– Och, to były cudowne lata – ciągnie. – Helena zawsze była strasznie zazdrosna o twoją siostrę, bo Evelyn wydawała się przy niej taka pospolita. Michael też nie wyglądał lepiej z tą swoją mopsowatą buzią. Tylko Thomas miał w sobie odrobinę urody, lecz skończył w jeziorze. Moim zdaniem to był o jeden cios losu za dużo, ale cóż począć. Żadne z nich nie mogło się równać z tobą, mój przystojniaku. – Kładzie dłoń na moim policzku.

– Evelyn wyrosła na niebrzydtką kobietę – protestuję. – Powiedziałbym nawet, że czarującą.

– Naprawdę? – pyta z niedowierzaniem Millicent. – Pewnie w Paryżu tak rozkwitła, zresztą skąd mam wiedzieć? Ta dziewczyna unika mnie od samego rana. Pewnie jaka matka, taka córka. Ale to wyjaśnia, dlaczego Cecil tak o nią zabiega. Nie znam bardziej próżnego człowieka, a w moich ustach, po pięćdziesięciu latach życia z twoim ojcem, to coś znaczy.

– Hardcastle'owie jej nienawidzą. Mówię o Evelyn.

– Któż ci nakładł do głowy takich bzdur? – zdumiewa się Millicent i chwyta się mojego ramienia, aby strząsnąć z buta kawałek błota. – Michael ją uwielbia. Prawie co miesiąc jeździł do Paryża, a z tego, co wiem, od jej powrotu są ze sobą w najlepszej komitywie. Peter na pewno jej nie nienawidzi, traktuje ją obojętnie. Tylko Helena... ale odkąd umarł Thomas, coś z nią jest nie w porządku... Ciągłe tu wraca. W każdą rocznicę jego śmierci spaceruje dookoła jeziora, czasem nawet do niego mówi. Słyszałam na własne uszy.

Ścieżka prowadzi nas nad sadzawkę lustrzaną. To tutaj dziś wieczorem Evelyn odbierze sobie życie i – jak ze wszystkim w Blackheath – urok tego miejsca zależy od odległości, z jakiej się je ogląda. Z okien sali balowej sadzawka prezentuje się wspaniale, jak długie zwierciadło ukazujące w całej krasie budynek. Stąd widać po prostu brudny staw, popękane kamienie i gruby dywan mchu na powierzchni.

Dlaczego chce zastrzelić się akurat tutaj? Czemu nie w sypialni albo w holu?

– Dobrze się czujesz, mój drogi? – pyta z troską Millicent. – Jesteś trochę blady.

– Właśnie pomyślałem, że strasznie zapuścili ten dom – odpowiadam, przywołując na twarz uśmiech. – Szkoda.

– Wiem, ale cóż mogli zrobić? – Poprawia szalik. – Po morderstwie nie mogli tu już mieszkać, a nikt w dzisiejszych czasach nie chce kupować takich ogromnych gmaszysk, zwłaszcza kiedy pozna historię Blackheath. Moim zdaniem powinni pozwolić, żeby dom zarósł lasem.

Sentymentalna myśl, ale umysł Jonathana Derby'ego na niczym nie potrafi skupić się zbyt długo, więc po chwili moją uwagę przyciągają przygotowania do dzisiejszej zabawy, które widać przez okna sali balowej obok nas. Służba i robotnicy szorują podłogi i malują ściany, pokojówki balansują na chybottliwych drabinach, uzbrojone w długie miotłki do kurzu. Na drugim końcu korytarza muzycy ze znudzonymi minami bębnią

w lśniące instrumenty, wygrywając szesnastki, a Evelyn Hardcastle gestykuluje i dyryguje wszystkim ze środka sali. Krąży od grupy do grupy, dotyka ramion i rąk; wszędzie rozdziela życzliwość, na widok której ogarnia mnie bolesna tęsknota za tamtym wspólnym popołudniem.

Szukam Madeline Aubert i dostrzegam ją w towarzystwie Lucy Harper – służącej, którą zaatakował Stanwin i z którą zaprzyjaźnił się Ravencourt. Śmiejąc się, ustawiają kanapę przy podium dla orkiestry. Pociesza mnie, że te dwie źle potraktowane kobiety się odnalazły, co jednak w niczym nie umniejsza mojej winy z powodu porannych wydarzeń.

Millicent sztywnieje.

– Powiedziała ci ostatnim razem, że więcej nie będę tuszować twoich ekscesów – oświadcza ostrym tonem.

Obserwuje mnie, gdy przyglądam się służącym. W oczach ma mieszaninę czułości i wstrętu, a z tej mglistej kombinacji wyczytuję sekret Derby'ego. To, czego się wcześniej domyślałem, widzę teraz z całą wyrazistością. Derby to gwałciiciel, i to wielokrotny. W oczach jego matki dostrzegam wszystkie kobiety, które napadł, każde zniszczone przez niego życie. Millicent nosi je w sobie. Bez względu na to, jaka mroczna tajemnica drzemie w Jonathanie Derby'm, na pewno spędza sen z powiek jego matki.

– Najbardziej zawsze lubisz te słabsze, prawda? – dodaje. – Zawsze te... – Milknie z otwartymi ustami, jakby następne słowa po prostu uleciały jej z warg. – Muszę iść – oznajmia nagle i ściska moją dłoń. – Przyszła mi do głowy bardzo dziwna myśl. Do zobaczenia na kolacji, kochanie.

Millicent odwraca się w stronę, z której przyszliśmy, i znika za rogiem domu. Zdziwiony zaglądam ponownie do sali balowej, próbując zobaczyć to, co ujrzała, ale wszyscy oprócz orkiestry przenieśli się gdzie indziej. W tym momencie zauważam figurę szachową na parapecie. Jeśli się nie mylę, to ta sama ręcznie rzeźbiona figura, którą znalazłem w kufrze Bella, poplamiona białą farbą i spoglądająca na mnie oczami niezdarnie wyciętymi w drewnie. Na szybie widzę wydrapaną w warstwie brudu wiadomość.

Za tobą.

Rzeczywiście, ze skraju lasu macha do mnie Anna w szarym płaszczu. Chowam figurę do kieszeni, rozglądam się na boki, sprawdzając, czy ja i Anna jesteśmy sami, a potem ruszam za nią między drzewa, gdzie nie dojrzy nas nikt z Blackheath. Najwyraźniej czeka na mnie już od jakiegoś czasu i z zimna przestępuje z nogi na nogę. Sądząc po sinych policzkach, jej

wysiłki są zupełnie bezowocne. Nic dziwnego, zważywszy na strój Anny. Jej drobną sylwetkę okrywa szarość w różnych odcieniach: przetarty płaszcz i czapka z wełny cieniutkiej jak pajęczyna. Te ubrania przechodziły z rąk do rąk, naprawiane i łatanie tyle razy, że pierwotny materiał zdążył dawno zniknąć.

– Pewnie nie masz przy sobie jabłka albo czegoś w tym rodzaju? – pyta bez żadnych wstępów. – Jestem straszliwie głodna.

– Mam piersiówkę. – Podaję jej buteleczkę.

– Chyba musi wystarczyć. – Bierze ją i odkręca.

– Myślałem, że zbyt niebezpiecznie będzie spotykać się poza stróżówką.

– Kto ci tak powiedział? – pyta i krzywi się, kosztując zawartość piersiówki.

– Ty.

– Powiem.

– Co?

– Dopiero ci powiem, że niebezpiecznie jest się spotykać, jeszcze nie powiedziałam – wyjaśnia. – Nie mogłam tego zrobić, bo obudziłam się kilka godzin temu i prawie cały czas pilnowałam, żeby twoje przyszłe wcielenia nie padły ofiarą Lokaja. Dlatego nie zdążyłam nawet zjeść śniadania.

Patrzę na nią w zdumieniu, usiłując poskładać w całość części dnia, które nadchodzą w niewłaściwej kolejności. Nie pierwszy raz tęsknię za żywym umysłem Ravencourta. Korzystanie ze skromnego intelektu Jonathana Derby'ego przypomina mieszanie grzanek w nadziei, że zmienią się w gęstą zupę.

Widząc moją bezradną minę, Anna unosi brwi.

– Słyszałeś już o Lokaju? Nigdy nie wiem, w którym miejscu jesteśmy.

Bardzo szybko opowiadam jej o martwym króliku Bella i upiornych krokach nękających Ravencourta w jadalni, a jej twarz pochmurnieje z każdym nowym szczegółem.

– Co za łajdak! – wyrzuca z siebie, kiedy kończę. Krąży tam i z powrotem, zaciskając pięści i wysuwając do przodu ramiona. – Niech tylko zaczeka, aż dostanę go w swoje ręce. – Posyła mordercze spojrzenie w stronę domu.

– Może nie będzie musiał długo czekać – wtrącam. – Daniel podejrzewa, że Lokaj ukrywa się w jakichś tajemnych przejściach. Jest kilka wejść, ale my będziemy pilnować biblioteki. Mamy tam być przed pierwszą.

– Lepiej będzie od razu poderznąć sobie gardła i oszczędzić Lokajowi fatygi – odparowuje Anna obojętnym tonem. Patrzy na mnie, jakbym stracił rozum.

– O co chodzi?

– Lokaj nie jest idiotą – mówi. – Jeżeli wiemy, gdzie jest, to dlatego, że mamy wiedzieć. Wyprzedza nas o krok od samego początku. Nie zdziwiłabym się ani trochę, gdyby czyhał na nas, licząc na to, że przez własny spryt wpadniemy w pułapkę.

– Przecież musimy coś zrobić! – protestuję.

– I zrobimy, ale nie ma sensu popełniać głupstwa, skoro można zrobić coś mądrego – odpowiada cierpliwie. – Posłuchaj, Aiden, wiem, że jesteś zdesperowany, ale mamy umowę. Dopilnuję, żebyś przeżył i znalazł zabójcę Evelyn, a potem oboje się stąd wydostaniemy. Ja robię, co do mnie należy, a ty mi obiecaj, że nie będziesz ścigał Lokaja.

Jej argument brzmi logicznie, ale niewiele waży w porównaniu z moim strachem. Jeżeli istnieje szansa skończenia z tym szaleńcem, zanim mnie odnajdzie, zamierzam z niej skorzystać bez względu na ryzyko. Wolę zginąć, stojąc dumnie wyprostowany niż siedząc skulony w kącie.

– Obiecuję – mówię, dodając do swojej kolekcji jeszcze jedno kłamstwo.

Anna jest na szczęście zbyt zziębnięta, by zauważyć, że lekko łamie mi się głos. Chociaż napiła się z piersiówki, gwałtownie dygocze i jest blada jak płótno. Próbując osłonić się przed wiatrem, przytula się do mnie. Czuję zapach mydła na jej skórze, zmuszam się jednak do odwrócenia wzroku. Nie chcę, żeby widziała, jak rozpala się we mnie żądza Derby'ego.

Wyczuwa moje zażenowanie i przechyla głowę, żeby spojrzeć w moje spuszczone oczy.

– Twoje inne wcielenia są lepsze, możesz mi wierzyć – mówi. – Musisz nad sobą panować. Nie ulegaj mu.

– Jak mam to zrobić, jeżeli nie wiem, gdzie kończy się wcielenie, a gdzie zaczynam się ja?

– Gdyby cię tu nie było, Derby na pewno nie potrafiłby utrzymać łap przy sobie – zauważa. – Po tym poznasz, kim jesteś. Nie wystarczy tylko o tym pamiętać, musisz być sobą, przez cały czas.

Mimo to odsuwa się i ponownie wystawia na wiatr, wybawiając mnie z krępującej sytuacji.

– Nie powinnaś wychodzić w taką pogodę. – Zdejmuję szalik i okręcam nim jej szyję. – Przemarznieś na śmierć.

– Jeżeli będziesz się dalej tak zachowywał, ludzie mogą zacząć brać Jonathana Derby’ego za ludzką istotę – odpowiada, wsuwając końce szalika za poły płaszcza.

– Powiedz to Evelyn Hardcastle. Niewiele brakowało, a zastrzeliłaby mnie dziś rano.

– Też powinienes do niej strzelić – oświadcza rzeczowym tonem Anna. – Od razu mielibyśmy wyjaśnioną zagadkę morderstwa.

– Nie wiem, czy żartujesz, czy nie.

– Oczywiście, że żartuję – mówi i chucha w spierzchnięte dłonie. – Gdyby to było takie proste, już dawno wyrwalibyśmy się z tego domu. Ale nie jestem pewna, czy plan uratowania jej życia jest rzeczywiście dużo lepszy.

– Sądzisz, że powinienem pozwolić jej zginąć?

– Sądzę, że marnujemy za dużo czasu, zamiast robić to, co nam polecono.

– Nie możemy chronić Evelyn, skoro nie wiemy, kto chce jej śmierci – zauważam. – Jedna rzecz wynika z drugiej.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. – W jej głosie brzmi powątpiewanie.

Szukam w myślach jakiegoś pocieszającego banału, ale zaraziła mnie swoimi wątpliwościami. Powiedziałem jej, że dzięki ocaleniu życia Evelyn poznamy mordercę, był to jednak unik. Nie mam żadnego planu. Nie wiem nawet, czy w ogóle uda mi się jeszcze uratować Evelyn. Kieruję się ślepym sentymentem i przegrywam z Lokajem. Anna zasługuje na coś lepszego, lecz nie mam pojęcia, jak jej to dać, nie porzucając Evelyn – z niewiadomego powodu nie mogę znieść samej myśli, że mógłbym to uczynić.

Na ścieżce zrobiło się jakieś zamieszanie, wiatr przynosi zza drzew czyjeś głosy. Anna bierze mnie pod ramię i pociąga głębiej w las.

– Miło się rozmawia, ale przyszedł tu prosić cię o przysługę.

– Zawsze do usług, co mogę zrobić?

– Która godzina? – Wyjmuje z kieszeni szkicownik, ten sam, który miała w rękach w stróżówce, pełen zmiętych kartek, w podziurawionych jak sito okładkach. Trzyma go tak, że nie mogę zajrzeć do środka, lecz sądząc po tym, jak przegląda stronicę, zawiera coś ważnego.

Spoglądam na zegarek.

– Osiem po dziesiątej. – Pali mnie ciekawość. – Co jest w tym zeszycie?

– Notatki, informacje... wszystko, czego udało mi się dowiedzieć o twoich ośmiu wcieleniach i o tym, co robią – odpowiada w roztargnieniu, wodząc palcem po jednej z kartek. – I nie prosz, żebym ci pokazała, bo nie wolno ci zobaczyć. Nie możemy ryzykować, jeżeli dowiesz się za dużo, wszystko zrujnujesz, grzebiąc przy okazji nas.

– Nie zamierzałem zaglądać – protestuję i pospiesznie odwracam wzrok.

– Czyli osiem po dziesiątej, doskonale. Za chwilę położę w trawie kamień. Musisz stać obok niego, kiedy Evelyn odbierze sobie życie. Nie możesz się stamtąd ruszyć, nawet na krok, rozumiesz, Aiden?

– Co to wszystko znaczy, Anno?

– Nazwijmy to planem B. – Cmoka mnie w policzek, zimnymi wargami muskając zdrętwiałą skórę, po czym chowa szkicownik do kieszeni.

Ledwie zdążyła ująć dwa kroki, pstryka palcami, odwraca się do mnie i na wyciągniętej dłoni podaje mi dwie białe tabletki.

– Weź na później – instruuje. – Zwędziłam z torby doktora Dickiego, kiedy przyszedł zbadać kamerdynera.

– Co to jest?

– Pigułki od bólu głowy, chcę je wymienić na moją figurę szachową.

– To stare szkaradziejstwo? – Podaję jej ręcznie rzeźbionego gońca. – Dlaczego?

Uśmiecha się, patrząc, jak zawijam tabletki w niebieską chustkę.

– Bo mi to dałeś – mówi i troskliwie zaciska figurę w ręce. – To była pierwsza obietnica, jaką od ciebie usłyszałam. Właśnie z powodu tego starego szkaradziejstwa przestałam się bać tego domu. I przestałam się bać ciebie.

– Mnie? Czemu miałabyś się mnie bać? – Czuję się autentycznie dotknięty myślą, że coś mogło nas poróżnić.

– Och, Aiden. – Kręci głową. – Jeżeli wykonamy nasze zadanie jak należy, wszyscy w tym domu będą się ciebie bali.

Z tymi słowami odpływa między drzewa w stronę trawy okalającej sadzawkę lustrzaną. Być może to kwestia jej młodości albo charakteru, albo jakiejś przedziwnej alchemii wszystkich nieszczęść, jakie nas otaczają, ale nie widzę w niej ani trochę zwątpienia. Co może się okazać niebezpieczne.

Ze skraju lasu przyglądam się, jak bierze z kwietnika duży biały kamień, oddala się o sześć kroków i upuszcza go na trawę. Wyciąga przed siebie wyprostowane ramię, wskazując w linii prostej oszklone drzwi sali balowej,

po czym, najwyraźniej zadowolona z efektu, ociera błoto z rąk, wciska dłonie do kieszeni i odchodzi.

Ten pokaz nie wiadomo czemu budzi we mnie niepokój.

Przyjechałem tu z własnej woli, Anna nie. Do Blackheath sprowadził ją Doktor Dżuma z powodu, którego zupełnie się nie domyślam.

Kimkolwiek naprawdę jest Anna, słucham jej ślepo.

Drzwi sypialni są zamknięte na klucz, nie dochodzi zza nich żaden dźwięk. Miałem nadzieję, że zdążę spotkać Helenę Hardcastle, zanim rzuci się w wir zajęć, wygląda jednak na to, że pani domu nie lubi próżnować. Jeszcze raz naciskam klamkę i przykładam ucho do drewna. Oprócz kilku zaciekawionych spojrzeń przechodzących obok gości moje wysiłki nie przynoszą żadnego rezultatu. Nie ma jej.

Kiedy już odchodzę, uderza mnie pewna myśl: do pokoju nikt się jeszcze nie włamał. Ravencourt odkryje zniszczone drzwi do sypialni wczesnym popołudniem, więc zdarzy się to w ciągu kilku najbliższych godzin.

Ciekawe, kto jest intruzem i dlaczego tak bardzo mu zależało, by dostać się do środka. Początkowo podejrzewałem Evelyn, ponieważ miała jeden z dwóch rewolwerów skradzionych z sekretarzyka Heleny, ale rano w lesie omal mnie nie zabiła z tej broni. Jeżeli już jest w jej posiadaniu, nie musi się włamywać.

Chyba że chce zdobyć coś jeszcze.

Prócz rewolwerów zaginęła jeszcze tylko strona z zaplanowanymi spotkaniami z terminarza Heleny. Millicent przypuszczała, że Helena sama ją wyrwała, by ukryć coś podejrzanego, lecz na pozostałych stronach widziałem ślady pozostawione przez Cunninghama. Nie chciał się z tego wytłumaczyć i zaprzeczył, że włamał się do pokoju, gdybym go jednak mógł przyłapać na gorącym uczynku, nie miałby innego wyjścia, jak tylko przyznać się do winy.

Podejmuję decyzję i wycofuję się w półmrok na drugi koniec korytarza, aby stanąć na czatach.

Pięć minut później Jonathan Derby już umiera z nudów.

Wiercę się, spaceruję tam i z powrotem. Nie umiem go uspokoić.

Nie wiedząc, co począć, ruszam śladem zapachów śniadania w stronę salonu. Zamierzam wziąć talerz z jedzeniem i postawić sobie krzesło w korytarzu. Mam nadzieję, że to pozwoli ułagodzić na pół godziny moje wcielenie, a potem zastanowię się nad nową rozrywką.

Gdy wchodzę do pokoju, toczą się w nim senne rozmowy. Większość gości jest jeszcze niedobudzona i załatuje wczorajszym wieczorem; pot i dym z cygar wżarły się w ich skórę, nad każdym oddechem unoszą się opary trunków. Mówią przyciszonymi głosami i poruszają się wolno jak popękane porcelanowe figurki.

Biorę z kredensu duży talerz, nabieram porcje jajek i cynaderek, przerywając na chwilę, by spałaszować kielbaskę z półmiska i rękawem otrzeć tłuszcz z warg. Jestem tak zaabsorbowany jedzeniem, że dopiero po chwili uświadamiam sobie, że wszyscy zamilkli.

W drzwiach stoi krzepki jegomość i spogląda po twarzach obecnych, a ci, po których prześlizguje się wzrokiem, oddychają z ulgą. Ich nerwowość jest uzasadniona. Mężczyzna wygląda na brutala; ma rudawą brodę i obwisłe policzki, a jego nos jest tak pokiereszowany, że przypomina rozbite na patelni jajko. Szeroką sylwetkę z trudem opina wystrzępiony garnitur; na ramionach, na których można by urządzić zimny bufet, połyskują krople deszczu.

Jego spojrzenie spada na mnie jak głąz.

– Pan Stanwin chce pana widzieć. – Ma szorstki głos, twardo wymawia spółgłoski.

– Po co? – pytam.

– Przypuszczam, że panu powie.

– Proszę przeprosić pana Stanwina, lecz niestety, jestem teraz bardzo zajęty.

– Albo pan idzie, albo pana wyniosę – dudni groźnie.

Derby zaczyna się burzyć, aż miło, ale nie ma sensu robić sceny. W starciu z tym człowiekiem nie mam szans; mogę liczyć jedynie na to, że spotkam się ze Stanwinem i szybko wrócę do swojego zadania. Poza tym jestem ciekaw, czego ode mnie chce.

Odstawiwszy na kredens talerz ze śniadaniem, wstaję i ruszam za drabem. Każe mi iść przed sobą i prowadzi w górę po schodach, a potem kieruje mnie w prawo, do zamkniętego wschodniego skrzydła. Kiedy uchylam zasłonę, czuję na twarzy powiew wilgoci i widzę rozciągający się

przede mną długi korytarz. Zza uchylonych wiszących krzywo drzwi ukazują się reprezentacyjne sale przykryte kurzem i zapadłe łóżka z baldachimami. Drapie mnie w gardle przy każdym oddechu.

– Niech pan jak dżentelmen zaczeka tam, a ja powiem panu Stanwinowi, że już pan jest – proponuje eskortujący mnie osiłek, wskazując brodą drzwi po lewej.

Posłusznie wypełniam polecenie i wchodzę do pokoju dziecięcego, w którym ze ścian zwisa smętnie tapeta w wesołym żółtym kolorze. Na podłodze leżą rozrzucone gry i drewniane zabawki, przy drzwiach pasie się sfatygowany konik na biegunach. Na dziecięcej szachownicy toczy się partia, w której białe zostały zdziesiątkowane przez czarne.

Ledwie przekraczam próg, z pokoju obok dobiega wrzask Evelyn. Po raz pierwszy Derby i ja działamy jednomyślnie: wybiegam na korytarz, skręcam i niemal zderzam się z rudym drabem, który zasłania sobą drzwi.

– Pan Stanwin jest jeszcze zajęty, chłopie – informuje mnie, kołysząc się, żeby nie zmarznąć.

– Szukam Evelyn Hardcastle, słyszałem jej krzyk – mówię zdyszczanym głosem.

– Niewykluczone, ale chyba niewiele możesz na to poradzić, prawda?

Zaglądam mu przez ramię do pokoju w nadziei, że zauważę Evelyn. Pomieszczenie wygląda na coś w rodzaju saloniku, ale jest puste. Meble są przykryte pożółkłymi płachtami z czarnymi śladami pleśni na brzegach. Okna zasłonięto starymi gazetami, boazeria gnije. W przeciwległej ścianie dostrzegam następne drzwi, lecz są zamknięte. Oni są pewnie tam.

Ponownie patrzę na krzepkiego jegomościa, który uśmiecha się do mnie, ukazując krzywe żółte zęby.

– Coś jeszcze? – pyta.

– Muszę sprawdzić, czy nic się jej nie stało.

Próbuję przepchnąć się obok niego, ale to śmieszny pomysł. Drab jest trzy razy cięższy ode mnie i o połowę wyższy. Co ważniejsze, wie, jak zrobić użytek ze swojej siły. Kładzie dłoń na moim brzuchu i odpycha mnie, a jego twarz nie zdradza niemal żadnych emocji.

– Po co się fatygować? – mówi. – Płacą mi za to, żebym tu stał i pilnował, by tacy mili dżentelmeni jak ty nie ściągnęli na siebie nieszczęścia, włączając tam, gdzie nie powinni.

To tylko słowa, węgle dorzucane do paleniska. Gotuje się we mnie krew. Próbuję przemknąć obok niego i kiedy naiwnie myślę, że mi się udało, zostaję uniesiony w powietrze i rzucony z powrotem w głąb korytarza.

Ze wściekłym pomrukiem gramolę się na nogi.

Drab ani drgnął. Nie zasapał się. W ogóle się nie przejął.

– Rodzice dali ci wszystko oprócz rozsądku, co?

Ta beznamiętna ocena działa na mnie jak kubel zimnej wody.

– Pan Stanwin nie robi jej krzywdy, jeżeli tego się obawiasz – informuje mnie drab. – Zaczekaj parę minut, a sam będziesz ją mógł spytać, kiedy wyjdzie.

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem, po czym wycofuję się do pokoju dziecięcego. Ten człowiek ma rację – z nim sobie nie poradzę, ale nie mogę czekać, aż Evelyn wyjdzie. Po tym, co się stało dzisiaj rano, na pewno nic nie powie Jonathanowi Derby’emu, a to, co dzieje się za tymi drzwiami, może być powodem jej samobójstwa.

Podbiegam do ściany i przyciskam do niej ucho. Jeżeli się nie mylę, Evelyn rozmawia ze Stanwinem w sąsiednim pokoju, od którego oddziela mnie tylko parę przegniłych desek. Po chwili dobiega mnie szmer ich głosów, zdecydowanie za cichy, abym mógł cokolwiek zrozumieć. Scyzorykiem zdzieram ze ściany tapetę i wciskam ostrze między luźne drewniane listwy, żeby je podważyć. Są tak wilgotne, że poddają się bez oporu, a drewno rozpada mi się w rękach.

– ...jej przekazać, żeby lepiej nie mydliła mi oczu, bo to będzie koniec dla was obu – przebija się przez ścianę głos Stanwina.

– Niech sam jej pan to powie, nie jestem dziewczyną na posyłki – odcina się chłodno Evelyn.

– Będzie pani, kim zechcę, dopóki to ja ponoszę koszty.

– Nie podoba mi się pański ton, panie Stanwin – mówi Evelyn.

– A mnie się nie podoba, gdy ktoś próbuje mnie wystrychnąć na dudka, panno Hardcastle – odparowuje Stanwin. Jej nazwisko brzmi niemal jak splunięcie. – Zapomina pani, że pracowałem tu prawie piętnaście lat. Znam tu każdy kąt i każdego. Niech mnie pani nie bierze za jednego z tych ograniczonych łajdaków, którymi się pani otacza.

Słyszę nienawiść, lepką i namacalną, którą można by pokroić nożem.

– A co z listem? – pyta cicho Evelyn, której udało się zapanować nad wzburzeniem.

- Zostanie u mnie, żeby zrozumiała pani naszą umowę.
- Jest pan podłą kreaturą, zdaje pan sobie z tego sprawę?

Stanwin kwituje obelgę gromkim śmiechem.

– Przynajmniej szczerą – mówi. – Ile osób w tym domu może to o sobie powiedzieć? Może już pani iść. Tylko proszę pamiętać o przekazaniu wiadomości ode mnie.

Słyszę, jak otwierają się drzwi, a po chwili Evelyn jak burza przechodzi obok pokoju dziecięcego. Kusi mnie, żeby ruszyć za nią, ale następna konfrontacja niewiele by mi przyniosła. Poza tym Evelyn wspomniała o jakimś liście, który jest teraz w posiadaniu Stanwina. Wyraźnie zależało jej na odzyskaniu go, co oznacza, że powinienem go zobaczyć. Kto wie, może Stanwin i Derby są przyjaciółmi.

– Jonathan Derby czeka w pokoju dziecięcym – anonsuje mnie drab.

– Dobrze – odpowiada Stanwin, a potem słyszę odgłos otwieranych szuflad. – Najpierw przebiorę się na polowanie i zaraz pogadamy sobie z tym obmierzłym bydlakiem.

Raczej jednak nie.

Siedzę z nogami na stole obok szachownicy. Podpieram brodę ręką i przypatruję się szachom, próbując rozszyfrować strategię z układu figur. Okazuje się, że to zadanie mnie przerasta. Derby ma w głowie za dużo chaosu, aby się skupić. Jego uwagę nieustannie przyciągają okno, kurz w powietrzu i hałasy z korytarza. Ani na moment nie potrafi się uspokoić.

Daniel uprzedzał mnie, że każde wcielenie myśli inaczej, dopiero teraz jednak w pełni rozumiem, o co mu chodziło. Bell jest tchórzem, Ravencourt człowiekiem bezwzględnym, ale każdy z nich ma wnikliwy umysł. Derby jest zupełnie inny. Myśli brzęczą mu w głowie jak muchy, które latają w niej na tyle długo, by go rozdrażnić, ale nigdy nie siadają.

Słyszę jakiś dźwięk i spoglądam na drzwi. Ted Stanwin wytrząsa z pudełka zapalną i przypatruje mi się znad fajki. Jest cięższy, niż go zapamiętałem: kawał chłopca rozlewający się na boki jak wielka bryła topniejącego masła.

– Nigdy bym nie pomyślał, że grywasz w szachy, Jonathanie. – Popycha konia na biegunach, który miarowo stuka o podłogę.

– Uczę się – odpowiadam.

– Brawo, ludzie powinni nad sobą pracować, żeby się doskonalić.

Przez chwilę zatrzymuje na mnie wzrok, po czym kieruje go w stronę okien. Mimo że Stanwin nie zrobił ani nie powiedział niczego, co można uznać za groźbę, Derby się go boi. Puls nadaje mi ostrzeżenie kodem Morse'a.

Zerkam na drzwi, gotów rzucić się do ucieczki, ale o ścianę w korytarzu opiera się zwalisty drab z rękami założonymi na piersi. Nieznacznie kiwa mi głową, przyjaźnie jak współwięzień w celi.

– Twoja matka trochę się spóźnia z zapłatą – mówi Stanwin, przyciskając czoło do szyby. – Mam nadzieję, że wszystko u was w porządku?

– W jak najlepszym.

– Byłoby mi przykro, gdyby to się zmieniło.

Poprawiam się na krześle, by zwrócić jego uwagę.

– Pan mi grozi, panie Stanwin?

Odwraca się od okna i uśmiecha do człowieka w korytarzu, a potem do mnie.

– Oczywiście, że nie, Jonathanie, grożę twojej matce. Chyba nie sądzisz, że zadałbym sobie tyle trudu z powodu takiej żalosnej gnidy jak ty?

Pykając z fajki, podnosi jakąś lalkę, niedbałym ruchem rzuca na szachownicę i figury rozsypują się po całym pokoju. Wściekłość unosi mnie jak marionetkę i rzuca na niego, ale Stanwin łapie moją pięść w powietrzu, obraca mnie i potężną ręką przygniata mi gardło.

Czuję na szyi jego oddech cuchnący jak zepsute mięso.

– Porozmawiaj z matką, Jonathanie – rzuca mi szyderczo w twarz, ściskając moją tchawicę tak mocno, że w kącikach oczu zaczynają mi wirować czarne punkciki. – Bo inaczej będę jej musiał złożyć wizytę.

Czeka, aż jego słowa do mnie dotrą, a potem mnie puszcza.

Osuwam się na kolana, trzymam się za gardło i rozpaczliwie łapię oddech.

– Taka gorąca krew wpakuje cię w jakieś tarapaty – oznajmia, celując we mnie fajką. – Na twoim miejscu próbowałbym bardziej nad sobą panować. Nie martw się, mój przyjaciel umie pomagać ludziom uczyć się nowych rzeczy.

Posyłam mu z podłogi piorunujące spojrzenie, ale właśnie wychodzi. Już w korytarzu skinieniem głowy daje znak swojemu kompanowi i ten wkracza do pokoju. Patrzy na mnie obojętnie i zdejmuje marynarkę.

– Wstawaj, chłopie – rozkazuje. – Im wcześniej zaczniemy, tym szybciej będzie po wszystkim.

Wydaje mi się jeszcze potężniej zbudowany niż wtedy, gdy stał przed drzwiami. Pierś szeroka jak tarcza, biała koszula trzeszczy w szwach na ramionach. Kiedy zaczyna się do mnie zbliżać, ogarnia mnie przerażenie; palce po omacku szukają broni i odnajdują leżącą na stole ciężką szachownicę.

Bez namysłu rzucam nią w draba.

Szachownica, z którą rozpaczliwie wiązę swoją przyszłość, wolno obraca się w powietrzu, przecząc prawom fizyki, jak gdyby czas stanął w miejscu. Los

najwyraźniej ma do mnie słabość, bo kanciasty pocisk trafia draba w twarz z obrzydliwym chrzęstem i mężczyzna uderza plecami o ścianę, wydając stłumiony krzyk.

Kiedy spomiędzy palców tryska mu krew, zrywam się na nogi i pędzę korytarzem, ścigany rozjuszonym głosem Stanwina. Oglądam się przez ramię i widzę czerwoną z wściekłości twarz Stanwina, który jest już na progu saloniku. Zbiegam po schodach i kierując się gwarem głosów, wpadam do salonu, już pełnego gości; z przekrwionymi oczami pałaszują śniadanie. Doktor Dickie rechocze z Michaelem Hardcastle'em i Cliffordem Herringtonem, oficerem marynarki, którego poznałem podczas kolacji, a Cunningham nakłada ogromne porcje jedzenia na srebrny półmisek, który powita Ravencourta, gdy ten się obudzi.

Rozmowy cichną, co oznacza, że zbliża się Stanwin, więc przemykam przez salon do gabinetu i chowam się za drzwiami. Jestem na krawędzi ataku hysterii, serce jak oszalałe tłucze o żebra. Mam ochotę śmiać się i płakać jednocześnie, chwycić jakąś broń i rzucić się z wrzaskiem na Stanwina. Muszę skupić całą uwagę na tym, żeby stać bez ruchu, bo jeśli mi się nie uda, stracę to wcielenie i cały cenny dzień.

Przez szparę między drzwiami a futryną przyglądam się, jak Stanwin po kolei łapie każdego za ramię i odwraca, szukając mojej twarzy. Ludzie usuwają mu się z drogi, mamrocząc słowa przeprosin. Nie wiem, jaką ma nad nimi władzę, ale jest na tyle wielka, że żadna z tych wpływowych osób nie czuje się urażona tak obcesowym zachowaniem. Mógłby mnie zatłuc na śmierć na środku pokoju i nikt nie powiedziałby ani słowa. Nie mam co liczyć na ich pomoc.

Moje palce dotykają czegoś zimnego i zdaję sobie sprawę, że zaciskam dłoń na ciężkiej papierośnicy leżącej na półce.

Derby się zbroi.

Syczę na niego, odsuwam rękę, a gdy ponownie zaglądam do salonu, omal nie krzyczę z przerażenia.

Stanwin idzie prosto w stronę gabinetu i od drzwi dzieli go zaledwie kilka kroków.

Szukam jakiejś kryjówki, lecz nie mam gdzie się schować, a do biblioteki nie mogę uciec, nie mijając drzwi, przez które zaraz przejdzie. Jestem w pułapce.

Łapię papierośnicę i głęboko nabieram powietrza, przygotowując się do ataku, kiedy Stanwin wejdzie.

Nie ma nikogo.

Z powrotem przykładam oko do szpary i zaglądam do salonu. Nigdzie go nie widzę.

Drżę z niepewności. Niezdecydowanie nie leży w naturze Derby'ego, który nie potrafi cierpliwie czekać, i zanim się spostrzegam, podkradam się do drzwi, by mieć lepszy widok.

Natychmiast zauważam Stanwina.

Stoi odwrócony plecami do mnie i rozmawia z doktorem Dickiem. Jestem za daleko, by usłyszeć, o czym mówią, ale pocziwy lekarz natychmiast opuszcza pokój, prawdopodobnie po to, by zająć się rannym ochroniarzem Stanwina.

Ma środki uspokajające.

W głowie układa mi się szczegółowy plan.

Muszę tylko wydostać się stąd niepostrzeżenie.

Czyjś głos woła od stołu Stanwina i kiedy ten znika mi z oczu, odkładam papierośnicę i uciekam do galerii, wybierając okreśną drogę, żeby dostać się do holu niewidziany przez nikogo.

Spotykam doktora Dickiego, gdy wychodzi ze swojej sypialni z torbą lekarską w ręce. Uśmiecha się na mój widok, a jego komiczne wąsy unoszą się o pięć centymetrów.

– Ach, młody panicz Jonathan – wita mnie wesoło, gdy się z nim zrównuję. – Nic ci nie jest? Wydaje mi się, że jesteś trochę zasapany.

– Wszystko w porządku. – Przyspieszam kroku, by za nim nadążyć. – A właściwie nie wszystko. Chcę pana prosić o przysługę.

Mruży oczy.

– Co tym razem zrobiłeś? – Radosny ton znika z jego głosu.

– Musi pan podać środki uspokajające temu człowiekowi, do którego pan idzie.

– Środki uspokajające? Czemu, u diabła, miałbym to zrobić?

– Bo chce skrzywdzić moją matkę.

– Millicent? – Staje jak wryty i z zaskakującą siłą chwyta mnie za ramię. – O co tu chodzi, Jonathanie?

– Jest winna Stanwinowi pieniądze.

Lekarz posepnieje i rozluźnia uścisk. Bez swojej jowialności wydaje się zmęczonym starcem, ze znacznie głębszymi bruzdami na twarzy, której trudniej ukryć troski. Przez moment czuję lekkie wyrzuty sumienia, zaraz jednak przypominam sobie wyraz jego oczu, gdy aplikował środek uspokajający kamerdynerowi, i wszystkie moje wątpliwości natychmiast ulatują.

– Czyli ma kochaną Millicent w garści, tak? – Wzdycha. – Chyba nie powinienem się dziwić, ten potwór ma coś na każdego z nas. Chociaż wydaje mi się...

Rusza dalej, choć wolniej niż przedtem. Jesteśmy u szczytu schodów prowadzących na dół do holu, w którym panuje przenikliwy chłód. Drzwi wejściowe są otwarte; gromada roześmianych staruszków właśnie wybiera się na przechadzkę.

Nigdzie nie dostrzegam Stanwina.

– Czyli ten jegomość groził twojej matce, więc go zaatakowałaś, hę? – Dickie najwyraźniej podjął już decyzję. Rozpromienia się i klepie mnie po plecach. – Masz jednak w sobie coś z ojca. Ale w czym może pomóc podanie temu opryszkowi środków uspokajających?

– Muszę porozmawiać z matką, zanim on ją dopadnie.

Przy swoich wszystkich wadach Derby jest znakomitym łgarzem, który bez drgnienia powieki potrafi sypać kłamstwami jak z rękawa. Kiedy skręcamy do pustego skrzydła domu, doktor Dickie milczy, obracając w głowie moją historyjkę, walcząc ją i ugniatając, aby nadać jej kształt.

– Mam coś takiego, powinno uśpić łobuza na resztę popołudnia. – Pstryka palcami. – Zaczekaj tu, dam ci sygnał, kiedy będzie po wszystkim.

Prostuje ramiona, wypręża pierś i rusza zamaszystym krokiem w stronę sypialni Stanwina, jak stary żołnierz, który ma stoczyć ostatnią bitwę.

Na korytarzu za bardzo rzucam się w oczy, kiedy więc Dickie znika mi z oczu, wchodzę do najbliższego pomieszczenia i widzę własne odbicie, które spogląda na mnie z pękniętego lustra. Wczoraj nie potrafiłem sobie wyobrazić niczego gorszego niż uwięzienie w ciele Ravencourta, lecz Derby to udręka zupełnie innego rodzaju – niespokojne i złośliwe półdiabło, które lawiruje między spowodowanymi przez siebie tragediami. Nie mogę się doczekać, kiedy się od niego uwolnię.

Dziesięć minut później w korytarzu skrzypi podłoga.

– Jonathanie – szepcze doktor Dickie. – Jonathanie, gdzie jesteś?

– Tutaj. – Wysuwam głowę.

Zdążył już minąć pokój, w którym jestem, i na dźwięk mojego głosu podskakuje jak oparzony.

– Delikatniej, młody człowieku, już nie to serducho – mówi, klepiąc się w pierś. – Cerber będzie spał prawie cały dzień. Pójdę teraz przekazać swoją diagnozę Stanwinowi. Proponuję, żebyś wykorzystał ten czas i ukrył się tam, gdzie nie będzie cię mógł znaleźć. Może w Argentynie. Powodzenia.

Wypręża się na baczność i energicznie saltuje. Odwzajemniam honory, a doktor poklepuje mnie po ramieniu i niespiesznie oddala się korytarzem, fałszywie pogwizdując.

Przypuszczam, że sprawiłem mu przyjemność, nie mam jednak zamiaru się chować. Dickie zajmie Stanwina przez co najmniej kilka minut, mam więc okazję przejrzeć jego rzeczy i poszukać listu Evelyn.

Przechodzę przez salonik, którego wcześniej strzegł drab Stanwina, i otwieram drzwi sypialni szantażysty. To ponury pokój: wytarty dywan ledwie zasłania deski podłogi, pod ścianą stoi żelazne łóżko z resztką białej farby, której płyty kurczowo trzymają się rdzy. Jedyne elementy wnoszące tu odrobinę ciepła to przysypany popiołem, wygłodniały ogień w kominku i niewielki stolik nocny, na którym leżą dwie książki z pozaginanymi rogami. Zgodnie z obietnicą doktora człowiek Stanwina śpi na łóżku, wyglądając jak monstrualna marionetka, której odcięto sznurki. Ma zabandażowaną twarz, głośno chrapie i nieznacznie porusza palcami. Wyobrażam sobie, że we śnie rzuca mi się do gardła.

Nasłuchując, czy nie nadchodzi Stanwin, szybko otwieram szafę, przeszukuję kieszenie spodni i marynarek, ale znajduję tylko strzępki nici i kulki naftaliny. W kufrze też nie ma żadnych przedmiotów osobistych, jak gdyby jego właściciel był niewrażliwy na jakiekolwiek sentymenty.

Rozczarowany patrzę na zegarek.

Jestem tu już znacznie dłużej, niż nakazywałyby względy bezpieczeństwa, Derby'ego niełatwo jednak zniechęcić. Moje wcielenie zna się na oszustwie. Wie, jakie sekrety mają ludzie tacy jak Stanwin. Szantażysta mógł zająć najbardziej luksusowy pokój w domu, gdyby chciał, ale wybrał sobie lokum w ruinie. Jest inteligentny i paranoicznie podejrzliwy. Bez względu na to, jakie tajemnice skrywa, nie nosiłby ich przy sobie, kiedy otaczają go wrogowie.

Wszystkie muszą być tutaj. Ukryte i dobrze pilnowane.

Mój wzrok zatrzymuje się na anemicznych płomieniach. Dziwne, w sypialni jest przecież dość zimno. Klękam przy tłącym się ogniu, wsuwam rękę do przewodu kominowego i szukając po omacku, natrafiam na małą półeczkę, na której leży jakaś książka. Kiedy ją wydobywam, widzę, że to niewielki notes w czarnych okładkach, które noszą ślady długiego i niezbyt delikatnego użytkowania. Ogień ledwie się żarzy, by nie przypalić skarbu Stanwina.

Przeglądając sfatygowane stronice, odkrywam, że to coś w rodzaju księgi rachunkowej z listą dat sięgającą dziewiętnastu lat wstecz, opatrzonych dziwnymi symbolami.

To musi być jakiś szyfr.

List Evelyn tkwi między dwiema ostatnimi kartkami.

Najmilsza Evelyn!

Pan Stanwin powiadomił mnie, w jak trudnej sytuacji się znalazłaś, i doskonale rozumiem Twoje obawy. Zachowanie Twojej matki z pewnością budzi niepokój i całkiem słusznie masz się na baczności przed uknutym przez nią planem. Jestem gotowa pomóc, obawiam się jednak, że słowo Pana Stanwina nie wystarczy. Potrzebuję jakiegoś dowodu na Twój udział w tej sprawie. W rubrykach towarzyskich często widziałam Cię z sygnetem, na którym jest wygrawerowany zamek. Przyślij mi go, a będę wiedziała, że masz poważne zamiary.

Serdecznie pozdrawiam

Felicity Maddox

Wygląda na to, że nasza sprytna Evelyn nie przyjęła swojego losu tak potulnie, jak z początku sądziłem. Sprowadziła na pomoc niejaką Felicity Maddox, a opis zamku na sygnecie przypomina ten narysowany w liście przy studni. Być może miał służyć jako rodzaj podpisu, co sugeruje, że wiadomość *Trzymaj się z daleka od Millicent Derby* pochodzi od Felicity.

Drab Stanwina pochrapuje.

Nie potrafię wycisnąć z listu więcej informacji, więc wkładam go z powrotem do czarnego notesu, który wsuwam do kieszeni.

– Dzięki Bogu, że istnieją takie przebiegłe umysły – mruczę pod nosem już na progu.

– Święta racja – odzywa się głos za moimi plecami.

W głowie eksploduje ból i bezwładnie padam na podłogę.

Dzień drugi (ciąg dalszy)

Kaszlę krwią, znacząc poduszkę czerwonymi kropelkami. Znowu jestem w ciele kamerdynera i gdy unoszę głowę, moje ciało skowyczy z bólu. Na krześle Anny siedzi Doktor Dżuma z nogą założoną na nogę i cylindrem na kolanach. Bębni w kapelusz palcami, lecz zauważywszy, że się poruszam, przestaje.

– Witam w domu, panie Bishop – odzywa się stłumionym przez maskę głosem.

Patrzę na niego nieobecny wzrokiem i kiedy kaszel z wolna ustępuje, zaczynam składać w całość przebieg dnia. Pierwszy raz znalazłem się w tym ciele rano. Otworzyłem drzwi Bellowi i biegnąc na górę w poszukiwaniu wyjaśnienia, zostałem zaatakowany przez Golda. Drugi raz nastąpił najwyżej kwadrans później. Odwożono mnie do stróżówki powozem, w którym towarzyszyła mi Anna. Gdy się ocknąłem i przedstawiliśmy się sobie, musiało być południe, ale teraz, sądząc po świetle za oknem, jest wczesne popołudnie. Wydaje się to logiczne. Anna powiedziała mi, że w każdym wcieleniu przeżywamy cały dzień, nie przyszło mi jednak na myśl, że będzie podzielony na tyle fragmentów.

Wygląda to na jakiś przewrotny żart.

Obiecano mi osiem wcieleń na rozwiązanie zagadki i otrzymałem je, tyle że Bell okazał się tchórzem, kamerdyner został prawie na śmierć pobity, Donald Davies uciekł, Ravencourt ledwie mógł się poruszać, a Derby nie potrafił dokończyć żadnej myśli.

Jak gdyby kazano mi wykopać dół łopatą zrobioną z wróbli.

Doktor Dżuma poprawia się na krześle i pochyla nade mną. Jego ubranie zalatuje stęchlizną, zapachem starego strychu, gdzie leżą dawno zapomniane i rzadko wietrzone rzeczy.

– Nasza ostatnia rozmowa urwała się dość szybko – mówi. – Dlatego pomyślałem, że może zda pan relację z postępów swojego dochodzenia. Odkrył pan...

– Dlaczego to musiało być akurat to ciało? – przerywam mu i krzywię się, gdy bok przeszywa mi nagły ból. – Dlaczego uwięził mnie pan w każdym z tych ciał? Ravencourt nie jest w stanie przejść dwóch kroków bez zadyszki, kamerdyner nie może się ruszać, a Derby to potwór. Jeżeli naprawdę pan chce, żebym się wydostał z Blackheath, czemu gra pan znaczonymi kartami? Przecież muszą być lepsze możliwości.

– Może trafiłby pan na zdolniejszych, ale wszyscy oni mają jakiś związek z zamordowaniem Evelyn – odpowiada. – Lepiej, żeby przy rozwiązaniu zagadki korzystał pan tylko z ich pomocy.

– To podejrzani?

– Trafniejsze byłoby słowo „świadkowie”.

Z gwałtownym dreszczem ziewam i szybko ulatnia się ze mnie energia. Pewnie doktor Dickie zaaplikował mi następną dawkę środka uspokajającego. Czuję się, jak gdyby jakaś siła wyciskała mnie z tego ciała przez stopy.

– Kto decyduje o kolejności? – pytam dalej. – Czemu najpierw obudziłem się jako Bell, a dzisiaj jako Derby? Czy mogę jakoś przewidzieć, kim będę potem?

Prostuje się, składa dłonie w wieżyczkę i przechyla głowę. Zapada długa cisza, w której rewiduje swoją ocenę i nastawienie. Nie mam pojęcia, czy jest zadowolony z wniosków, czy zirytowany.

– Dlaczego zadaje pan te pytania? – odzywa się wreszcie.

– Z ciekawości. – Nie reaguje, więc dodaję: – I mam nadzieję, że odpowiedzi przyniosą mi jakąś korzyść.

Wydaje cichy pomruk aprobaty.

– Miło słyszeć, że w końcu traktuje mnie pan poważnie. Doskonale. W normalnych okolicznościach pojawiałby się pan we wcieleniach w takiej kolejności, w jakiej budziły się w ciągu dnia. Na szczęście dla pana ingeruję w ten porządek.

– Ingeruje pan?

– Przerabialiśmy to już wielokrotnie, pan i ja, nie pamiętam już, ile razy. Cykl za cyklem, daję panu zadanie wyjaśnienia tajemnicy zamordowania Evelyn Hardcastle i zawsze kończy się to niepowodzeniem. Z początku

uważałem, że winę ponosi wyłącznie pan, ale uświadomiłem sobie, że pewną rolę odgrywa kolejność wcieleń. Na przykład Donald Davies budzi się o trzeciej dziewiętnaście nad ranem, czyli powinien pan pojawić się w jego postaci na początku. To się jednak nie sprawdza, bo jego życie jest zbyt interesujące. Ma w domu przyjaciół, rodzinę. Sprawy, do których próbuje się wrócić, zamiast próbować od nich uciec. Dlatego zmieniłem pierwsze wcielenie na Sebastiana Bella, człowieka bardziej zabłąkanego. – Podciąga nogawkę, aby podrapać się w kostkę. – Z kolei lord Ravencourt nie rusza się z łóżka przed wpół do jedenastej, co oznaczało, że powinien się pan w niego wcielić w dalszej fazie cyklu, czyli w czasie, kiedy bardziej niż intelekt liczy się pośpiech.

W jego głosie słyszę dumę, jak u zegarmistrza, który podziwia zbudowany przez siebie mechanizm.

– W każdym nowym cyklu eksperymentowałem, podejmując decyzje tego rodzaju wobec wszystkich wcieleń, i w ten sposób ustaliłem kolejność, której pan teraz doświadcza. – Wielkodusznie rozkłada ręce. – Moim zdaniem to porządek, który daje panu największą szansę na rozwikłanie zagadki.

– Czemu więc nie wróciłem do postaci Donalda Daviesa, tak jak wciąż wracam do kamerdynera?

– Bo prowadził go pan tą nieskończenie długą drogą do wsi przez prawie osiem godzin i jest teraz wyczerpany – wyjaśnia Doktor Dżuma z tonem pretensji w głosie. – Obecnie głęboko śpi i obudzi się dopiero... – patrzy na zegarek – o dwudziestej pierwszej trzydzięci osiem. Do tego czasu będzie pan przeskakiwał między kamerdynerem a innymi wcieleniami.

W korytarzu trzeszczy drewniana podłoga; waham się, czy nie zawołać Anny, i chyba widać to po mojej minie, bo Doktor Dżuma cmoka z dezaprobatą.

– Naprawdę sądzi pan, że jestem aż tak nieudolny? – pyta. – Anna wyszła jakiś czas temu spotkać się z lordem Ravencourtem. Niech mi pan wierzy, znam zwyczaje panujące w tym domu, jak reżyser zna zwyczaje aktorów w swojej sztuce. Gdybym nie miał pewności, że nikt nam nie przeszkodzi, nie byłoby mnie tutaj.

Mam wrażenie, że traktuje mnie jak utrapienie, niesforne dziecko, które znowu trafiło do gabinetu dyrektora. Nawet niewarte bury.

Znowu wstrząsa mną potężne i głośne ziewnięcie. Myśli zasnuwa mi mgła.

– Mamy na rozmowę jeszcze tylko kilka minut, zanim znowu pan zaśnie – oznajmia Doktor Dżuma i ze skrzygnięciem splata dłonie w skórzanych rękawiczkach. – Jeśli ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania, powinien je pan zadać teraz.

– Dlaczego Anna jest w Blackheath? – pytam szybko. – Powiedział pan, że sam chciałem tu przyjechać, a moi rywale nie. To oznacza, że sprowadzono ją tu wbrew jej woli. Dlaczego pan jej to robi?

– Odpowiem na wszystkie pytania oprócz tego jednego – mówi. – Dobrowolne wejście do Blackheath daje pewne korzyści. Są też minusy, rzeczy, które pańscy rywale intuicyjnie rozumieją, a pan nie. Jestem tu po to, by uzupełnić te luki, nic więcej. Jak wygląda śledztwo w sprawie zamordowania Evelyn Hardcastle?

– To tylko jedna dziewczyna – mamrocę znużony, usiłując nie zamknąć oczu. Ciepłe macki leków ciągną mnie w otchłań snu. – Czemu jej śmierć jest warta takiego zachodu?

– Mógłbym zadać panu to samo pytanie – odparowuje. – Robi pan wszystko, co możliwe, żeby ocalić pannę Hardcastle, chociaż dowody wskazują, że to niemożliwe. Dlaczego?

– Nie mogę patrzeć, jak umiera, i nie starać się temu zapobiec.

– Bardzo szlachetnie z pańskiej strony. – Przechyliła głowę. – Pozwoli pan, że odpowiem w ten sam sposób. Sprawa zamordowania panny Hardcastle nie została wyjaśniona i uważam, że taki stan rzeczy jest niedopuszczalny. Czy to panu wystarcza?

– Co dzień kogoś się morduje – zauważam. – Naprawienie jednej krzywdy nie może być jedynym powodem tego wszystkiego.

– Znakomita uwaga. – Klaszcze z uznaniem. – Ale kto wie, może są setki ludzi podobnych do pana, którzy domagają się sprawiedliwości dla tych ofiar.

– A są?

– Wątpię, ale to wspaniała myśl, prawda?

Zdaję sobie sprawę, że usiłuję słuchać, czuję ciężar powiek, widzę, jak kontury pokoju tracą ostrość.

– Niestety mamy niewiele czasu – mówi Doktor Dżuma. – Powinienem...

– Zaraz... muszę... dlaczego pan... – Słowa gęstnieją mi w ustach, zmieniają się w muł. – Pytał pan... pytał... czy pamiętam...

Nagle słysząc szelest materiału i Doktor Dżuma podrywa się na nogi. Łapie stojącą przy łóżku szklankę wody i chlusta mi w twarz. Woda jest lodowata, moje ciało zwija się w konwulsjach jak świszczący w powietrzu bicz i natychmiast wracam do siebie.

– Proszę wybaczyć, to było bardzo niestosowne – bąka, wpatrując się w pustą szklankę, wyraźnie zdziwiony własnym zachowaniem. – Zwykle w tym momencie pozwalam panu zasnąć, ale... zaintrygował mnie pan. – Wolno odstawia szklankę. – O co chciał mnie pan spytać? Proszę starannie dobrać słowa, mają znaczenie.

Woda szczypie mnie w oczy i kapie z moich warg, wilgoć przesiąka przez bawełnę koszuli nocnej.

– Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, pytał mnie pan, co pamiętałem, kiedy ocknąłem się jako Bell – mówię. – Czemu to jest ważne?

– Po każdym pańskim niepowodzeniu pozbawiamy pana wspomnień i zaczynamy cykl od początku, ale zawsze znajduje pan jakiś sposób, żeby zachować coś ważnego, wskazówkę, jeżeli pan woli – wyjaśnia, ścierając mi chustką wodę z czoła. – Tym razem było to imię Anny.

– Powiedział pan wtedy, że to szkoda.

– Bo to prawda.

– Dlaczego?

– Wraz z porządkiem wcieleń zapamiętuje pan rzecz, która zwykle ma istotny wpływ na przebieg wypadków w danym cyklu – tłumaczy. – Gdyby zapamiętał pan Lokaja, zaczęłyby go pan ścigać. Z tego przynajmniej byłby jakiś pożytek. Ale pan wbił sobie do głowy Annę, swoją rywalkę.

– Jest moją przyjaciółką – protestuję.

– Nikt nie ma przyjaciół w Blackheath, panie Bishop, i jeśli dotąd pan tego nie wie, obawiam się, że nie ma dla pana nadziei.

– Czy... – Środek uspokajający znowu pociąga mnie w mrok snu. – Czy możemy uciec oboje?

– Nie – odpowiada, składając wilgotną chustkę i chowając ją do kieszeni. – Wyjście w zamian za rozwiązanie zagadki, tak brzmi umowa. O jedenastej wieczorem jedno z was przyjdzie nad jezioro i poda mi nazwisko mordercy. Tej osobie wolno będzie opuścić Blackheath. Od pana zależy, kto to będzie.

Z kieszonki na piersi wyjmuje złoty zegarek i sprawdza godzinę.

– Czas ucieka, a ja muszę się trzymać planu – mówi, biorąc opartą przy drzwiach laskę. – Zazwyczaj w tych kwestiach zachowuję bezstronność,

powinien pan jednak coś wiedzieć, zanim szlachetność sprowadzi pana na manowce. Anna pamięta z poprzedniego cyklu znacznie więcej, niż panu mówi.

Ujmuje mnie pod brodę i przysuwa twarz do mojej, tak że słyszę, jak oddycha przez maskę. Ma niebieskie oczy. Stare, zmęczone niebieskie oczy.

– Ona pana zdradzi.

Otwieram usta, by zaprotestować, ale ciężki język nie chce się poruszyć i ostatnim obrazem, jaki widzę, jest Doktor Dżuma znikający w drzwiach, ciemna, przygarbiona sylwetka, która zabiera ze sobą cały świat.

Dzień piąty (ciąg dalszy)

Pod powieki wdziera mi się życie.

Mrugam raz i drugi, ale otwarcie oczu sprawia mi ogromne cierpienie. Moja głowa przypomina rozbite jajko. Z gardła wyrywa mi się dźwięk na pograniczu jęku i skowytu, stłumiony odgłos schwytanego w potrzask zwierzęcia. Próbuję się dźwignąć, lecz moja czaszka pływa w oceanie bólu. Nie mam siły jej unieść.

Nie wiem, ile czasu mija; to czas innego rodzaju. Przyglądam się, jak mój brzuch unosi się i opada, a gdy jestem pewien, że potrafi to robić bez mojej pomocy, podciągam się do pozycji siedzącej i opieram plecami o spękana ścianę. Ku swojej konsternacji odkrywam, że znów jestem w ciele Jonathana Derby'ego i leżę na podłodze w dziecięcym pokoju. Wszędzie walają się skorupy rozbitego wazonu, znajduję je też w skórze głowy. Ktoś musiał mnie uderzyć z tyłu, gdy wychodziłem z sypialni Stanwina, a potem zaciągnął mnie tutaj, żeby mnie ukryć.

List, głupcze.

Sięgam do kieszeni, szukając listu od Felicity i księgi rachunkowej, które ukradłem Stanwinowi, ale zniknęły razem z kluczem do kufra Bella. Zostały tylko dwie tabletki na ból głowy, które dostałem od Anny, nadal zawinięte w niebieską chusteczkę.

Ona cię zdradzi.

Czyżby to była jej sprawka? Ostrzeżenie Doktora Dżumy brzmiało jednoznacznie, lecz przecież wróg nie wzbudziłby we mnie takiej życzliwości i poczucia więzi. Być może Anna rzeczywiście pamięta z ostatniego cyklu więcej, niż jest skłonna przyznać, ale jeżeli ta informacja miała nastawić nas przeciwko sobie, po co miałbym zabierać ze sobą jej imię z jednego życia do drugiego, skoro wiedziałbym, że będę uganiał się za nim

jak pies za patykiem. Nie, jeśli w powietrzu wisi zdrada, to będzie wynikiem moich czczych obietnic, a to da się naprawić. Muszę tylko znaleźć sposób na wyznanie Annie prawdy.

Połykam tabletki bez popijania i trzymając się ściany, z trudem wracam do pokoju Stanwina.

Drab wciąż leży bez czucia na łóżku, niebo za oknem ciemnieje. Zerkam na zegarek i widzę, że już szósta, co oznacza, że myśliwi, a wśród nich Stanwin, są prawdopodobnie w drodze do domu. Być może przechodzą już przez trawnik albo nawet wspinają się po schodach.

Muszę stąd wyjść, zanim wróci szantażysta.

Mimo pigułek kręci mi się w głowie i kiedy przedzieram się przez wschodnie skrzydło, a potem uchylam zasłonę, aby wejść na podest nad holem, mam wrażenie, że podłoga umyka mi spod nóg. Każdy krok to ciężka walka, aż w końcu wtaczam się do pokoju doktora Dickiego, omal nie wymiotując na podłogę. Jego sypialnia jest bliźniaczo podobna do innych pokoi w tym korytarzu: pod ścianą stoi łóżko z baldachimem, naprzeciw niego za parawanem wanna i umywalka. W odróżnieniu od Bella Dickie rozgościł się tu jak u siebie w domu. Ustawił w różnych miejscach zdjęcia wnuków, na ścianie powiesił krucyfiks. Rozłożył sobie nawet mały dywan, prawdopodobnie nie chcąc rankiem stawiać stóp na zimnym drewnie.

Taka świadomość samego siebie to dla mnie objawienie, gapię się więc na rzeczy Dickiego, zapominając na chwilę o swoich ranach. Biorę zdjęcie jego wnuków i po raz pierwszy zastanawiam się, czy też mam bliskich gdzieś poza Blackheath: rodziców, dzieci albo przyjaciół, którzy czekają na mnie i tęsknią?

Przestraszony odgłosem kroków na korytarzu, upuszczam rodzinną fotografię na stolik nocny i przypadkiem rozbijam szybkę. Kroki cichną i nie dzieje się nic złego, ale uświadamiam sobie niebezpieczeństwo, więc działam szybciej.

Torba lekarska Dickiego stoi pod łóżkiem. Odwracam ją do góry dnem nad materacem, wysypując na pościel buteleczki, nożyczki, strzykawki i bandaże. Ostatnim przedmiotem jest Biblia, która otwarta łąduje na podłodze. Tak jak u Sebastiana Bella, niektóre słowa i wersety są podkreślone na czerwono.

To szyfr.

Twarz Derby'ego rozjaśnia szatański uśmiech: rozpoznaje drugiego krętacza. Gdybym miał zgadywać, obstawiałbym, że Dickie jest cichym współnikiem w narkotykowym interesie Bella. Nic dziwnego, że tak się troszczył o poczciwego lekarza. Niepokoił się tym, co Bell powie.

Prycham z pogardą. Jeszcze jeden sekret wśród wielu innych w tym domu, ale nie ten, na którym mi zależy.

Ze stosu na łóżku biorę jodynę i bandażę, podchodzę do umywalki i przystępuję do zabiegu.

Nie jest to delikatna operacja.

Ilekcio wyciągam odłamek wazonu, między palcami zbiera się krew, spływa mi po twarzy i kapie do umywalki. Łzy bólu mącą mi wzrok i na niemal pół godziny, bo tyle zabiera mi rozebranie swojej porcelanowej korony, świat zmienia się w niewyraźną plamę. Pociesza mnie jedynie myśl, że Jonathan Derby cierpi przy tym tak samo jak ja.

Gdy się upewniam, że wszystkie kawałeczki zostały usunięte, przystępuję do bandażowania głowy. Następnie zabezpieczam opatrunek agrafką i oglądam swoje dzieło w lustrze.

Bandaż wygląda nieźle. Ja okropnie.

Mam pobladłą twarz, zapadnięte oczy. Widząc plamy krwi na koszuli, rozbieram się do podkoszulka. Wyglądam jak wrak człowieka, jestem w rozsypce. Czuję, jak rozpadam się na kawałki.

– Co to, u diabła?! – wykrzykuje od drzwi doktor Dickie.

Właśnie wrócił z polowania; dygocze z zimna, jest przemoczony do suchej nitki i szary jak popiół w kominku. Nawet wąsy mu obwisły.

Podążam za jego niedowierzającym spojrzeniem i jego oczami oglądam pokój, który zrujnowałem. Zdjęcie wnuków jest rozbite i pomazane krwią, Biblia poniewiera się na podłodze, obok leży torba lekarska, której zawartość wala się po całym łóżku. Umywalka jest wypełniona wodą zmieszaną z krwią, w wannie leży moja koszula. Podobnie musi wyglądać jego gabinet po amputacji.

Gdy zauważa, że jestem w samym podkoszulku, a z czoła zwisa mi koniec bandaża, którym owinąłem głowę, szok ustępuje miejsca wybuchowi gniewu.

– Coś ty najlepszego zrobił, Jonathanie? – ryczy z wściekłością.

– Przepraszam, nie wiedziałem, dokąd mam pójść – tłumaczę się w panice. – Po pana wyjściu szukałem w pokoju Stanwina czegoś, co

mogłoby pomóc mojej matce, i znalazłem jakąś księgę rachunkową.

– Księgę rachunkową? – powtarza zduszonym głosem. – Coś mu zabrałeś? Musisz to oddać, Jonathanie. Natychmiast! – krzyczy, wyczuwając moje wahanie.

– Nie mogę, ktoś mnie napadł. Rozbił mi na głowie wazon i ukradł mi tę księgę. Krwawiłem, służący Stanwina zaczynał się budzić, więc przyszedłem tutaj.

Kiedy kończę opowieść, zapada grobowa cisza, w której doktor Dickie odstawia zdjęcie wnuków na miejsce, wolno wkłada wszystko z powrotem do torby i wsuwa ją pod łóżko.

Porusza się, jakby był w kajdanach, spętany moimi tajemnicami.

– To moja wina – mruczy pod nosem. – Wiedziałem, że nie można ci ufać, ale przez sympatię dla twojej matki... – Kręci głową i potrąca mnie, idąc w stronę wanny, aby wyjąć z niej moją koszulę.

W jego ruchach wyczuwam rezygnację, która mnie przeraża.

– Nie chciałem... – zaczynam.

– Wykorzystałeś mnie, żeby okraść Teda Stanwina – mówi cicho i zaciska dłonie na krawędzi blatu. – Człowieka, który może mnie zrujnować jednym pstryknięciem palców.

– Przepraszam...

Nagle odwraca się, kipiąc gniewem.

– To słowo w twoich ustach mocno straciło na wartości, Jonathanie! Mówiłeś to, kiedy tuszowaliśmy tę sprawę w Enderleigh House, a potem w Little Hampton. Pamiętasz? A teraz chcesz, żebym tak samo gładko przełknął te fałszywe przeprosiny.

Purpurowy ze wzburzenia, przyciska do piersi moją koszulę. W oczach stają mu łzy.

– Ilu kobietom się naprzykrzałeś? W ogóle pamiętasz? Ile razy wypłakiwałaś się matce w mankiet, błagając ją, żeby to naprawiła, przyrzekając, że to się już nigdy nie powtórzy, chociaż świetnie wiedziałeś, że to nieprawda? I znowu robisz to samo mnie, staremu, głupiemu doktorowi Dickiemu. Mam tego dosyć, więcej tego nie zniosę. Jesteś utrapieniem tego świata, odkąd cię na nim przyjąłem.

Wbijam w niego błagalne spojrzenie i robię krok w jego stronę.

Lekarz wyjmuje z kieszeni srebrny pistolet i trzyma przy boku. Nawet na mnie nie patrzy.

– Wyjdź stąd, Jonathanie, bo inaczej, klnę się na Boga, osobiście cię zastrzelę.

Nie odrywając wzroku od broni, wycofuję się z pokoju na korytarz i zamykam za sobą drzwi.

Serce mi łomocze.

Srebrny pistolet to ta sama broń, z której dziś wieczorem zastrzeli się Evelyn. Doktor Dickie trzyma w ręce narzędzie zbrodni.

Nie potrafię ocenić, jak długo wpatruję się w Jonathana Derby'ego w lustrze w swojej sypialni. Szukam ukrytego w nim człowieka, jakiegoś przebłysku swojej prawdziwej twarzy.

Chcę, by Derby zobaczył swojego kata.

Gardło rozgrzewa mi whisky, którą zwędziłem w salonie; butelka jest już do połowy opróżniona. Próbuję opanować drżenie rąk, żeby zawiązać muszkę. Słowa doktora Dickiego potwierdziły to, co już wiedziałem. Derby to potwór, który zmywa z siebie zbrodnie dzięki pieniądzom matki. Tego człowieka nie dosięgnie ramię sprawiedliwości, nie czeka go proces ani kara. Jeśli ma zapłacić za swoje czyny, będę musiał sam zaprowadzić go na szubienicę – i zamierzam to zrobić.

Najpierw jednak uratujemy życie Evelyn Hardcastle.

Zatrzymuję wzrok na srebrnym pistolecie doktora Dickiego, który leży na fotelu niegroźny jak trzepnięta w locie mucha. Łatwo było go ukraść, wystarczyło wysłać do doktora służącego z wezwaniem do jakiegoś zmyślnego nagłego wypadku, aby wywabić go z pokoju, a potem niepostrzeżenie wejść tam i zabrać broń ze stolika nocnego. Tego dnia za długo poddawałem się biernie biegowi zdarzeń, ale z tym koniec. Jeśli ktoś chce użyć tego pistoletu do zamordowania Evelyn, najpierw musi stawić czoło mnie. Niech diabli wezmą zagadkę Doktora Dżumy! Nie ufam mu i nie będę stał bezczynnie, gdy na moich oczach rozgrywają się okropne rzeczy. Już czas, by Jonathan Derby w końcu zrobił dla tego świata coś dobrego.

Chowam broń do kieszeni, wychylam ostatni łyk whisky, wychodzę na korytarz i wraz z resztą gości idę po schodach na kolację. W odróżnieniu od manier gust mają nienaganny. Suknie wieczorowe odsłaniają plecy, bladą skórę zdobi migocząca biżuteria. Wcześniejsza apatia zniknęła, króluje ostentacyjny urok. Wieczorem w końcu budzą się do życia.

Patrząc po otaczających mnie twarzach, jak zwykle szukam znaków obecności Lokaja. Długo ociąga się z wizytą, a w miarę upływu dnia nabieram coraz większej pewności, że zbliża się coś strasznego. Przynajmniej będzie to uczciwa walka. Derby ma niewiele chwalebnych cech, ale w złości potrafi być narowisty. Ledwie umiałem go powstrzymać, więc nie wyobrażam sobie, co to będzie, gdy rzuci się na kogoś, dysząc nienawiścią.

W holu stoi Michael Hardcastle z przyklejonym do twarzy uśmiechem i wita schodzących z góry gości, jakby naprawdę cieszył go widok każdego z tych nędzników. Zamierzałem wypytać go o tajemniczą Felicity Maddox i o liścik przy studni, ale będzie to musiało poczekać. Rozdziela nas mur tafty i muszek, którego nie sposób pokonać.

Dźwięki fortepianu wskazują mi drogę przez tłum do długiej galerii, gdzie goście rozmawiają i raczą się drinkami, a służba przygotowuje jadalnię za drzwiami. Z niesionej w pobliżu tacy biorę szklaneczkę whisky i szukam wzrokiem Millicent. Liczyłem na to, że Derby będzie się mógł pożegnać, ale nigdzie jej nie widzę. Właściwie jedyną osobą, którą poznaję, jest Sebastian Bell, który przechodzi przez hol w drodze do swojego pokoju.

Zatrzymuję służącą, by zapytać o Helenę Hardcastle, w nadziei, że pani domu jest w pobliżu, ale się nie pojawiła. Oznacza to, że nie pokazała się przez cały dzień. Jej nieobecność oficjalnie stała się zniknięciem. To nie może być zbieg okoliczności, że lady Hardcastle nie sposób nigdzie znaleźć w dniu śmierci jej córki, choć nie jestem pewien, czy jest podejrzaną, czy ofiarą. Tak czy inaczej, zamierzam się tego dowiedzieć.

Szklaneczka jest pusta, a w głowie zaczyna mi szumieć. Otaczają mnie gwar rozmów i śmiech, przyjaciele i zakochani. Dobry humor innych wywołuje u Derby'ego gorycz. Czuję jego niesmak, jego odrazę. Nienawidzi tych ludzi i tego świata. Nienawidzi samego siebie.

Mija mnie procesja służby, która na srebrnych tacach niesie ostatni posiłek Evelyn.

Dlaczego ona się nie boi?

Słyszę stąd jej śmiech. Krąży wśród gości, jakby czekało ją jeszcze wiele długich dni, a przecież gdy rano Ravencourt powiedział jej o niebezpieczeństwie, wyraźnie wiedziała, że coś jest nie tak.

Pozbywam się szklaneczki, wracam do holu i skręcam w korytarz prowadzący do sypialni Evelyn. Jeżeli mam znaleźć jakieś odpowiedzi, to

być może tam.

W lampach pełgają tylko mdłe płomyczki. Panuje przytłaczająca cisza, jakbym trafił do zapomnianego zakątka świata. W połowie korytarza miga mi jakaś plama czerwieni wyłaniająca się z półmroku.

Liberia lokaja.

Zastawia mi przejście.

Nieruchomieję. Oglądając się za siebie, próbuję ocenić, czy uda mi się dotrzeć z powrotem do holu, zanim mnie zaatakuje. Szanse są nikłe. Nie jestem nawet pewien, czy nogi będą mi posłuszne, kiedy każę im się ruszyć.

– Pan wybaczy – słyszę radosny głos. Lokaj robi krok w moją stronę i moim oczom ukazuje się niski i muskularny chłopiec, najwyżej trzynastoletni, z nerwowym uśmiechem na przyszczatej twarzy. – Przepraszam – dodaje po chwili, a ja zdaję sobie sprawę, że stoję mu na drodze. Bąkam słowa przeprosin, przepuszczam go i wydaję głębokie westchnienie ulgi.

Lokaj budzi we mnie taki lęk, że wystarcza tylko podejrzenie jego obecności, aby sparaliżować nawet Derby'ego, człowieka, który byłby gotów rzucić się z pięściami na słońce za to, że go za bardzo przypiekło. Taki jest zamiar Lokaja? Właśnie dlatego drażni się z Bellem i Ravencourtem, zamiast ich zabić? Jeżeli to będzie trwać, uda mu się wytrzebić wszystkie moje wcielenia bez najmniejszej próby oporu z ich strony.

Bardzo się staram, żeby sobie zasłużyć na przydomek „króliczka”, który mi nadał.

Ostrożnie ruszam w dalszą drogę, ale gdy staję przed drzwiami sypialni Evelyn, okazuje się, że są zamknięte na klucz, a na moje pukanie nikt nie reaguje. Zadałem sobie tyle trudu, że nie chcę odchodzić z kwitkiem, więc cofam się o krok z zamiarem wyważenia drzwi. W tym momencie zauważam, że drzwi do sypialni Heleny są dokładnie w tym samym miejscu co drzwi saloniku Ravencourta. Zaglądając do obu pomieszczeń, dostrzegam, że wymiary są identyczne. Może to oznaczać, że sypialnia Evelyn była wcześniej salonikiem. Jeżeli tak, to z pokoju Heleny prowadzą do niego wewnętrzne drzwi, a tak się świetnie składa, że po dzisiejszym zdarzeniu zamek jest nadal wyłamany.

Nie mylę się w swoich przypuszczeniach: wewnętrzne drzwi zasłania bogato zdobiony gobelin. Na szczęście nie są zamknięte na klucz, więc zakradam się do pokoju Evelyn.

Biorąc pod uwagę złe stosunki z rodzicami, spodziewałbym się raczej, że będzie spać w schowku na miotły, ale sypialnia jest całkiem wygodna, choć urządzona skromnie. Pośrodku stoi łóżko z baldachimem, za zawieszoną na drążku zasłoną umieszczono wannę i miednicę. Najwyraźniej przez dłuższy czas nie wpuszczano tu służącej, ponieważ wanna jest pełna zimnej i brudnej wody, po podłodze walają się mokre ręczniki, na toaletce, wśród stosu zmiętych chusteczek ze śladami makijażu, leży rzucony niedbale naszyjnik. Okna są zasłonięte, w kominku piętrzy się stos drewna. W czterech rogach pokoju stoją lampy naftowe, których płomyki razem z ogniem na kominku rozrzedzają mrok.

Drzę z przyjemności: podniecenie Derby'ego wywołane tym wtargnięciem oblewa mnie jak gorący rumieniec. Czuję, że w duchu próbuję oderwać się od swojego wcielenia, i nic więcej nie mogę zrobić, by nie stracić nad sobą kontroli, gdy przeglądam rzeczy Evelyn w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby ją skłonić wieczorem do ruszenia nad sadzawkę. Nie należy do pedantek; ubrania są poutykane tam, gdzie akurat się mieściły, szuflady pękają w szwach od sztucznej biżuterii splątanej ze starymi szalami i apaszkami. Próżno tu szukać jakiegoś systematycznego porządku, nic nie wskazuje na to, by pozwalała pokojówce zbliżać się do swoich rzeczy. Jeśli ma jakieś sekrety, ukrywa je nie tylko przede mną.

Przyłapuję się na tym, że gładzę jedwabną bluzkę; zaskoczony patrzę na swoją rękę, zanim uświadamiam sobie, że nie ja tego pragnę, tylko on.

Derby.

Z krzykiem wyrywam rękę i zatrząskuję drzwi szafy.

Czuję pokusy, które go dręczą. Najchętniej rzuciłby mnie na kolana, kazał mi grzebać w rzeczach osobistych Evelyn i wdychać jej zapach. Na sekundę dałem się opanować temu bydlakowi.

Ocierając z czoła kropelki potu wyciśnięte przez żądzę, biorę głęboki oddech, żeby się uspokoić i kontynuować poszukiwania.

Koncentruję się na celu, skupiam myśli, by nie zostawić Derby'emu żadnej luki, przez którą mógłby się prześliznąć. Mimo to moje wysiłki okazują się bezowocne. Chyba jedynym interesującym przedmiotem jest stary album z pamiątkami z życia Evelyn: znajduję w nim dawną korespondencję z Michael'em, zdjęcia z jej dzieciństwa, urywki wierszy i przemyślenia z okresu dojrzewania. Z tej kolekcji wyłania się portret

potwornie samotnej kobiety, która bardzo kochała brata, a teraz okropnie za nim tęskni.

Zamykam album i wsuwam pod łóżko, gdzie go znalazłem, po czym wychodzę z pokoju tak cicho, jak wszedłem, zabierając Derby'ego, który szamocze się we mnie i wierzga.

Siedzę w fotelu w ciemnym kącie holu, ustawivszy mebel w taki sposób, by mieć dobry widok na drzwi sypialni Evelyn. Kolacja już się rozpoczęła, a Evelyn za trzy godziny będzie martwa, zamierzam więc śledzić każdy jej krok do sadzawki.

W innych okolicznościach moje wcielenie nie byłoby zdolne do takiej cierpliwości, ale odkryłem, że lubi palić, co okazuje się dla mnie dobroczynne, bo od dymu kręci mi się w głowie i łatwiej mi uśmierzyć Derby'ego, który niczym rak toczy moje myśli. To miła, choć nieoczekiwana korzyść z odziedziczonego po nim nałogu.

– W razie potrzeby będą gotowi – mówi Cunningham, który wyłania się z mgły i kuca przy moim fotelu. Twarz zdobi mu uśmiech zadowolenia, którego powodów zupełnie nie rozumiem.

– Kto będzie gotowy? – pytam, patrząc na niego.

Uśmiech znika, ustępując miejsca wyrazowi zakłopotania. Cunningham podrywa się na nogi.

– Przepraszam, panie Derby, myślałem, że to ktoś inny – tłumaczy się pośpiesznie.

– Bo to jest ktoś inny, Cunningham, to ja, Aiden. Mimo to nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Prosiłeś mnie, żebym zebrał pewnych ludzi.

– Nie prosiłem.

Chyba jesteście równie bezradni, bo mina Cunninghama wyraża tę samą pustkę, którą mam w głowie.

– Przepraszam, powiedział, że to będzie jasne – bąka Cunningham.

– Kto tak powiedział?

Moją uwagę przyciąga jakiś odgłos w holu i kiedy się odwracam, widzę biegnącą po marmurowej posadzce Evelyn, która szlocha, zakrywając

dłońmi twarz.

– Proszę, muszę już iść. – Cunningham wciska mi w rękę karteczkę z zapisanym słowem *wszystkie*.

– Chwileczkę, nie wiem, co to znaczy! – wołam, ale za późno, już zniknął.

Chciałbym pójść za nim, lecz tuż za Evelyn do holu wpada Michael, dlatego tu zostaję. Zaraz będę świadkiem chwil, które przemienią Evelyn z dzielnej, dobrej kobiety poznanej przez Bella w zdesperowaną dziedziczkę, która odbierze sobie życie przy sadzawce lustrzanej.

– Evie, Evie, zaczekaj, powiedz mi, co mogę zrobić – błaga Michael, łapiąc ją za łokieć.

Evelyn kręci głową. Blask świec odbija się w jej łzach jak w brylantach, które połyskują w jej włosach.

– Muszę... – Głos więźnie jej w gardle. – Muszę tylko...

Strąca z siebie dłoń brata i mijając mnie, biegnie w stronę swojej sypialni. Dygoczącymi rękami wkłada klucz do zamka, wpada do pokoju i zatrząskuje za sobą drzwi. Michael odprowadza ją przygnębionym wzrokiem, po czym sięga po kieliszek porto z tacy, którą Madeline niesie do jadalni, wychyla wino jednym haustem i na policzki występuje mu rumieniec.

Bierze tacę z rąk pokojówki, wskazując sypialnię siostry.

– Tym się nie przejmuj, idź się zająć swoją panią – nakazuje.

Wspaniały gest, lecz jego szlachetność pomniejsza nieco bezradna mina Michaela, który nie bardzo wie, co zrobić z trzydziestoma kieliszkami porto, sherry i brandy.

Przyglądam się z fotela, jak Madeline puka do drzwi Evelyn i wygląda na coraz bardziej zdenerwowaną, gdy odpowiedzią na każde jej błaganie jest cisza. W końcu biedna pokojówka wraca do holu, gdzie Michael wciąż rozgląda się nerwowo za miejscem, w którym mógłby postawić tacę.

– Niestety, *mademoiselle* jest... – Dziewczyna wykonuje zrozpaczony gest.

– Nie martw się, Madeline – mówi znużonym głosem Michael. – To był trudny dzień. Może na razie daj jej spokój. Na pewno cię wezwie, kiedy będziesz jej potrzebna.

Madeline przez chwilę niepewnie spogląda w stronę pokoju Evelyn, ale po krótkim wahaniu spełnia jego polecenie i znika na prowadzących do kuchni schodach dla służby.

Miotając się w lewo i prawo, by w jakiś sposób pozbyć się tacy, Michael dostrzega, że mu się przyglądam.

– Pewnie wyglądam jak skończony głupiec – bąka zarumieniony.

– Raczej jak nieporadny kelner – odpowiadam bez ogródek. – Domyślam się, że kolacja nie potoczyła się zgodnie z planem?

– Przez tę sprawę z Ravencourtem – wyjaśnia, stawiając tacę w dość chybotliwej pozycji na wyściełanych poręczach stojącego obok krzesła. – Możesz mnie poczęstować papierosem?

Wynurzam się z obłoków dymu, aby podać i zapalić mu papierosa.

– Ona naprawdę musi za niego wychodzić? – pytam.

– Jesteśmy prawie bez grosza, stary. – Wzdycha i głęboko zaciąga się dymem. – Ojciec kupuje same puste kopalnie i plantacje zniszczone przez zarazy w całym imperium. Myślę, że za jakiś rok nasze fundusze zupełnie się wyczerpią.

– Sądziłem, że stosunki między Evelyn a waszymi rodzicami nie układają się najlepiej. Dlaczego miałyby się zgodzić na taki krok?

– Dla mnie. – Michael kręci głową. – Rodzice zagrozili, że mnie wydziedziczą, jeżeli ich nie posłucha. To by mi nawet pochlebiało, gdybym nie czuł takich cholernych wyrzutów sumienia.

– Musi być jakiś inny sposób.

– Ojciec wycisnął wszystko do ostatniego pensa z tych paru banków, na których jego tytuł jeszcze robi wrażenie. Jeżeli nie dostaniemy tych pieniędzy... prawdę powiedziawszy, nie wiem, co się stanie, ale czeka nas bieda i nie mam wątpliwości, że zupełnie sobie z nią nie poradzimy.

– Ludzie na ogół jakoś sobie radzą – zauważam.

– Ale przynajmniej mają praktykę. – Strząsa popiół na marmurową posadzkę. – Dlaczego masz bandaż na głowie?

Z zakłopotaniem dotykam opatrunku, o którym kompletnie zapomniałem.

– Nadepnałem na odcisk Stanwinowi – mówię. – Usłyszałem, jak kłóci się z Evelyn o jakąś Felicity Maddox, i próbowałem interweniować.

– Felicity? – Jego mina zdradza, że wie, o kim mowa.

– Znasz ją?

Milczy przez chwilę, zaciąga się papierosem i powoli wypuszcza kłąb dymu.

– To dawna przyjaciółka mojej siostry. Nie mam pojęcia, dlaczego mieliby się o nią kłócić. Evelyn nie widziała jej od wielu lat.

– Jest w Blackheath – oznajmiam mu. – Przy studni zostawiła wiadomość dla Evelyn.

– Jesteś pewien? – pyta sceptycznym tonem. – Nie było jej na liście gości, Evelyn nic mi o niej nie wspominała.

Przerywa nam jakiś hałas w drzwiach. Szybkim krokiem zmierza w moją stronę doktor Dickie. Kładzie mi dłoń na ramieniu i nachyla się nad moim uchem.

– Twoja matka – szepcze. – Musisz pójść ze mną.

Musiało się stać coś okropnego, skoro puścił w niepamięć niechęć do mnie.

Przepraszam Michaela i biegnę za doktorem, z każdym krokiem czując coraz większy strach. Wreszcie Dickie wprowadza mnie do sypialni Millicent Derby.

Okno jest otwarte, podmuch zimnego wiatru zgina płomień świec, które oświetlają pokój. Mój wzrok dopiero po kilku sekundach przyzwyczaja się do półmroku, ale w końcu dostrzegam Millicent. Leży w łóżku na boku, z zamkniętymi oczami i nieruchomą pierśią, jakby chciała się pokrzepić krótką drzemką. Zaczęła się już ubierać na kolację, zdążyła też ujarzmić zwykle potargane siwe włosy, czesząc je i upinając.

– Przykro mi, Jonathanie, wiem, jaka ci była bliska – mówi Dickie.

Smutek ściska mi serce. Choć sobie powtarzam, że ta kobieta nie jest moją matką, nie potrafię stłumić bólu.

Łzy pojawiają się nagle i bezgłośnie. Rozdygotany, siadam na krześle obok łóżka i ujmuję jej dłoń, jeszcze ciepłą.

– Atak serca – informuje mnie przybitym głosem doktor Dickie. – Musiało się to stać nagle.

Stoi po drugiej stronie łóżka; na jego twarzy, tak jak na mojej, maluje się nieskrywany żal. Ociera łzę, po czym zamyka okno i wiatr przycicha. Płomyki świec stają na baczność, oblewając pokój ciepłym złotym blaskiem.

– Mogę ją ostrzec? – pytam, myśląc o sprawach, które mógłbym naprawić jutro.

Przez moment mierzy mnie zaskoczonym wzrokiem, ale najwyraźniej tłumaczy sobie moje dziwne pytanie smutkiem, bo odpowiada łagodnym tonem:

– Nie. – Kręci głową. – Nie mogłeś jej ostrzec.

– A gdyby...

– Po prostu przyszedł jej czas, Jonathanie – mówi cicho.

Kiwam głową, na nic więcej nie umiem się zdobyć. Doktor zostaje jeszcze trochę i zasypuje mnie słowami, których nie słyszę i nie rozumiem. Ból jest bezdenną studnią, w którą mogę tylko spadać w nadziei, że sięgnę dna. Im głębiej się jednak zanurzam, tym jaśniej uświadamiam sobie, że nie płaczę tylko z powodu Millicent Derby. Jest jakaś inna przyczyna, sięgająca głębiej niż cierpienie mojego wcielenia i związana z Aidenem Bishopem. Coś, co wywołuje bezradną rozpacz, smutek i złość, co przenika mnie do szpiku kości. Ból Derby'ego pomógł to obnażyć, ale mimo usilnych starań nie potrafię wydobyć tego na światło dzienne.

Niech zostanie ukryte.

– Co to jest?

Fragment ciebie, nie ruszaj.

Rozlega się pukanie do drzwi. Patrząc na zegar, zdaję sobie sprawę, że upłynęła godzina. W pokoju nie ma doktora. Pewnie nie zauważyłem, jak wychodził.

Do sypialni zagląda Evelyn. Jest blada, choć policzki ma zaczerwienione od chłodu. Nadal ma na sobie niebieską suknię balową, chociaż odkąd widziałem ją ostatni raz, pojawiło się na niej więcej zagnieceń. Diadem wystaje z kieszeni długiego beżowego płaszcza, kalosze zostawiają na podłodze błoto i liście. Przypuszczam, że właśnie wróciła z wyprawy na cmentarz z Bellem.

– Evelyn...

Chciałbym powiedzieć coś więcej, ale smutek chwyta mnie za gardło.

Składając w całość okrucy tej chwili, Evelyn uświadamia sobie sytuację, cmoka z niezadowoleniem i wchodzi do pokoju. Zdecydowanym ruchem sięga po stojącą na komodzie butelkę whisky. Ledwie szklanka dotyka moich ust, Evelyn przechyla ją, zmuszając mnie, żebym wypił duszkiem jej zawartość.

Krztusząc się, odpycham szklankę, whisky cieknie mi po brodzie.

– Dlaczego to... – zaczynam.

– W tym stanie nie może mi pan przecież pomóc – wchodzi mi w słowo.

– Pomóc?

Przygląda mi się z namysłem i podaje chusteczkę.

– Proszę wytrzeć brodę, wygląda pan okropnie – informuje mnie. – Obawiam się, że smutek zupełnie nie pasuje do tej aroganckiej twarzy.

– Skąd...

– To bardzo długa historia – przerywa mi. – A my, niestety, mamy niewiele czasu.

Oniemiały próbuję cokolwiek z tego zrozumieć, tęskniąc za byстрыm umysłem Ravencourta. Tyle się działo, że nie potrafię odtworzyć przebiegu wydarzeń. Już wcześniej miałem wrażenie, jak gdybym oglądał tropy przez zamgloną lupę, a teraz widzę Evelyn, która z niezmaconym spokojem zakrywa prześcieradłem twarz Millicent. Staram się, jak mogę, ale nie nadążam.

Atak hysterii przy kolacji w związku z zaręczynami najwyraźniej był udawany, bo po tamtym przygniatającym smutku nie pozostał żaden ślad. Evelyn ma jasne spojrzenie, w jej głosie brzmi ton zadumy.

– A więc nie tylko ja mam dzisiaj umrzeć – mówi, gładząc włosy staruszki.
– Jakie to przykre.

W szoku wypuszczam z dłoni szklanę.

– Wiesz o...

– O sadzawce, owszem. Ciekawa rzecz, prawda? – Mówi to nieobecny głosem, jakby opisywała coś, co kiedyś słyszała, ale nie potrafiła sobie dokładnie przypomnieć. Podejrzewałbym, że postradała rozum, gdyby nie chłód i trzeźwość jej słów.

– Wydaje mi się, że dość spokojnie przyjmujesz tę wiadomość – zauważam ostrożnie.

– Szkoda, że nie widział mnie pan rano, byłam taka wściekła, że kopałam w ściany.

Evelyn przesuwa dłoń po krawędzi toaletki, otwiera szkatułkę Millicent i dotyka szczotki z uchwytem z masy perłowej. Uznałbym, że robi to z zazdrością, gdyby w jej geście nie było tyle samo szacunku.

– Kto chce twojej śmierci, Evelyn? – Ten dziwny pokaz wytrąca mnie z równowagi.

– Nie wiem – odpowiada. – Kiedy się obudziłam, znalazłam wsunięty pod drzwi list. Były w nim konkretne instrukcje.

– Ale nie wiesz, kto go przysłał?

– Konstabl Rashton ma pewną hipotezę, nie ma jednak ochoty odkrywać kart.

– Rashton?

– To pański znajomy? Mówił mi, że pomaga pan w śledztwie. – Z każdego jej słowa przebijają powątpiewanie i niesmak, ale jestem zbyt zaintrygowany, by brać to do siebie. Czyżby Rashton był moim następnym wcieleniem? Może to właśnie on kazał Cunninghamowi przekazać wiadomość o „wszystkich” i zebrać jakichś ludzi. Tak czy inaczej, najwyraźniej włączył mnie do swojego planu. Czy można mu zaufać, to już inna rzecz.

– Gdzie Rashton cię zagadnął?

– Panie Derby, bardzo chętnie odpowiedziałabym na wszystkie pańskie pytania, ale naprawdę nie mamy czasu – oświadcza stanowczo. – Za dziesięć minut mam się pojawić nad sadzawką i nie mogę się spóźnić. Zresztą dlatego tu jestem. Potrzebny mi ten srebrny pistolet, który zabrał pan doktorowi.

– Chyba nie zamierzasz naprawdę tego zrobić. – Zaniepokojony zrywam się z krzesła.

– Jak rozumiem, pańscy przyjaciele są bliscy zdemaskowania mojego mordercy. Potrzebują tylko trochę więcej czasu. Jeżeli tego nie zrobię, zabójca zorientuje się, że coś jest nie tak, a tego nie mogę ryzykować.

Serce bije mi jak oszalałe.

– Twierdzisz, że wiedzą, kto za tym wszystkim stoi? – dopytuję się gorączkowo, podchodząc do niej. – Wspomnieli, kto to może być?

Unosi do światła jedną z kamei Millicent Derby, twarz z kości słoniowej na koronkowym agacie. Dłoń wyraźnie jej drży. To pierwsza oznaka lęku, którą dostrzegam.

– Nie, ale mam nadzieję, że wkrótce się dowiedzą – mówi. – Wierzę, że pańscy przyjaciele uratują mnie, zanim będę zmuszona zrobić... coś ostatecznego.

– Ostatecznego?

– W liście było wyraźnie napisane, że albo o jedenastej wieczorem odbiorę sobie życie nad sadzawką, albo zamiast mnie zginie ktoś, na kim mi bardzo zależy.

– Felicity? – pytam. – Wiem, że odebrałaś wiadomość, którą zostawiła przy studni, i że prosiłaś ją o pomoc w sprawie matki. Michael powiedział mi, że to twoja dawna przyjaciółka. Grozi jej jakieś niebezpieczeństwo? Ktoś ją przetrzymuje wbrew jej woli?

To by tłumaczyło, dlaczego nie mogłem jej znaleźć.

Z trzaskiem opada wieczko szkatułki. Evelyn odwraca się do mnie, kładąc obie dłonie na toaletce.

– Nie chcę sprawiać wrażenia niecierplivej, ale czy nie powinien pan gdzieś teraz być? – pyta. – Proszono mnie, żebym przypomniała panu o kamieniu, którego trzeba pilnować. Coś pan z tego rozumie?

Kiwam głową, przypominając sobie prośbę Anny z dzisiejszego popołudnia. Mam stanąć przy kamieniu, gdy Evelyn będzie popełniała samobójstwo. I nie ruszać się stamtąd. Nawet na krok – tak powiedziała.

– W takim razie zrobiłam, co do mnie należało, i powinnam już iść – oznajmia Evelyn. – Gdzie srebrny pistolet?

Nawet w jej drobnych palcach wygląda bardziej na zabawkę niż broń, drobiazg, którym wstyd odebrać człowiekowi życie. Ciekawe, czy właśnie o to chodzi, czy wybór narzędzia nie jest czymś w rodzaju milczącej nagany, podobnie jak metoda zabójstwa. O to, by nie tylko zamordować Evelyn, lecz także ją zawstydzić, zdominować.

Nie zostawiono jej żadnej możliwości wyboru.

– Jaka ładna śmierć. – Przygląda się pistoletowi. – Proszę się nie spóźnić, panie Derby, podejrzewam, że od tego zależy moje życie.

Rzuca ostatnie spojrzenie na szkatułkę z biżuterią i wychodzi.

Kuląc się z zimna, stoję przy kamieniu leżącym w miejscu, które starannie wybrała Anna, i boję się zrobić choćby krok w lewo, gdzie przynajmniej mógłbym się ogrzać przy jednym ze stalowych palenisk. Nie wiem, po co tu jestem, ale jeżeli to część planu ocalenia Evelyn, będę tu tkwił, dopóki krew nie zamarznie mi w żyłach.

Zerkając między drzewami, dostrzegam Doktora Dżumę na jego stanowisku, na wpół ukrytego w ciemności. Nie patrzy na sadzawkę, jak mi się wydawało, kiedy oglądałem tę scenę oczami Ravencourta; jest odwrócony w prawo. Kąt nachylenia głowy wskazuje, że z kimś rozmawia, stoję jednak za daleko, by zobaczyć z kim. Tak czy inaczej, to dobry znak. Evelyn sugerowała, że wśród moich wcieleń znalazła sprzymierzeńców, więc w tych zaroślach z pewnością ktoś czeka, by przyjść jej z pomocą.

Punktualnie o jedenastej pojawia się Evelyn z pistoletem, który bezwładnie zwisa jej z ręki. Idzie wzdłuż rozstawionych palenisk, płynąc od jednej plamy światła do drugiej; po trawie ciągnie się rąbek niebieskiej sukni balowej. Mam wielką ochotę wyrwać broń z palców Evelyn, ale gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku działa jakaś nieznana mi ręka, pociągająca za niewidzialne sznurki. Jestem pewien, że lada chwila rozlegnie się czyjś okrzyk. Jedno z moich wcieleń wbiegnie w mrok, by powiedzieć Evelyn, że już po wszystkim i morderca został złapany. Ona upuści broń i podziękuje ze szlochaniem, a Daniel przedstawi Annie i mnie plan ucieczki.

Po raz pierwszy, odkąd to wszystko się zaczęło, czuję się częścią większej całości.

Nabieram otuchy i stoję jak wrośnięty w ziemię przy kamieniu.

Evelyn zatrzymuje się nad brzegiem stawu i spogląda w stronę drzew. Przez sekundę mam wrażenie, że zauważy Doktora Dżumę, ale odwraca wzrok. Lekko chwieje się na nogach, jakby kołysała się w takt muzyki, której

nikt prócz niej nie słyszy. Brylanty naszyjnika odbijają płomienie, sprawiając wrażenie, jakby jej szyję oblewał płynny ogień. Evelyn drży, a na jej twarzy maluje się coraz głębsza rozpacz.

Coś jest nie tak.

Zerkam w kierunku sali balowej i w oknie widzę Ravencourta, który tęsknie spogląda w stronę swojej przyjaciółki. Porusza ustami, wypowiadając słowa, które padają za późno, by odnieść jakikolwiek skutek.

– Niech Bóg ma mnie w swojej opiece – szepcze w ciemność Evelyn.

Łzy płyną jej po policzkach, gdy kieruje lufę pistoletu w stronę brzucha i naciska spust.

Huk jest tak głośny, że zdaje się rozrywać świat i zagłusza mój bolesny wrzask.

Zgromadzeni w sali balowej wstrzymują oddech.

Zaskoczone twarze zwracają się w stronę sadzawki lustrzanej, oczy odnajdują Evelyn. Trzyma się za brzuch, z którego płynie krew i sączy się spomiędzy palców. Ma bezradną minę, jakby podano jej coś, czego nie powinna dostać, zanim jednak zdoła zrozumieć, co się stało, przechyla się i wpada do wody.

Ciemne niebo rozjaśnia eksplozja sztucznych ogni i przez oszklone drzwi wysypują się goście, ze zgrozą wskazując palcami na sadzawkę. Ktoś z głośnym tupotem biegnie w moim kierunku. Kiedy się odwracam, z impetem zderza się ze mną i jak długi rozciągam się na ziemi.

Nieznajomy próbuje mnie podnieść, ale udaje mu się tylko podrapać moją twarz i wbić mi kolano w brzuch. Krewki temperament Derby'ego, który już się domaga wypuszczenia na wolność, bierze górę. Z wściekłym wrzaskiem zaczynam w ciemności bombardować pięściami tę postać i przytrzymuję ją za ubranie, nawet gdy usiłuje się wyswobodzić.

Wydaję skowyt zawodu, bo ktoś podrywa mnie z ziemi, podobnie jak mojego przeciwnika, który zostaje uniesiony w powietrze. Obu nas mocno przytrzymuje służba. Po chwili oblewa nas światło latarni i widzę, jak rozjuszony Michael Hardcastle rozpaczliwie próbuje wyrwać się z silnych ramion Cunninghama, trzymających go z dala od nieruchomego ciała Evelyn.

Wpatruję się w niego ze zdumieniem.

Zmieniło się.

To odkrycie pozbawia mnie woli walki; patrząc na sadzawkę, wiotczej w ramionach służącego.

Kiedy oglądałem zdarzenie jako Ravencourt, Michael kurczowo trzymał siostrę i nie potrafił jej unieść. Teraz z wody wyciąga ją jakiś wysoki człowiek w trenczu i przykrywa jej przesiąknięte krwią ciało marynarką Dickiego.

Służący mnie puszcza i osuwam się na kolana; w ostatniej chwili widzę Cunninghama, jak odprowadza szlochającego Michaela Hardcastle'a. Rozglądam się na wszystkie strony, pragnąc dojrzeć jak najwięcej szczegółów tego cudu. Nad brzegiem sadzawki doktor Dickie klęczy nad ciałem Evelyn i rozmawia z innym mężczyzną, który najwyraźniej jest kimś ważnym. Ravencourt wycofał się na kanapę w sali balowej i siedzi oparty na lasce, zgarbiony i pogrążony w rozmyślaniach. Pijani goście, nie zważając na tragedię, ciskają gromy na orkiestrę i domagają się, by grała dalej, a służący kręcą się beczynnymi i kreślą znak krzyża, kiedy zbliżają się do przykrytego marynarką ciała.

Bóg jeden wie, jak długo siedzę w ciemności i obserwuję rozwój wypadków. Na tyle długo, że człowiek w trenczu zdążył odprowadzić do domu wszystkich pozostałych. Na tyle długo, że zabrano już bezwładne ciało Evelyn. Na tyle długo, by skostnieć z zimna.

Na tyle długo, by odnalazł mnie Lokaj.

Wyłania się zza przeciwległego rogu domu, z niewielkim workiem uwiązany u pasa i zakrwawionymi rękami. Wyjmuje nóż i zaczyna przeciągać klingą tam i z powrotem po krawędzi metalowego paleniska. Nie wiem, czy chce ją naostrzyć, czy po prostu ogrzać, ale przypuszczam, że to nie ma znaczenia. Chce, żebym to widział i słyszał straszny zgrzyt metalu o metal.

Przygląda mi się, czekając na reakcję, a ja widząc go, zastanawiam się, jak ktokolwiek mógł go wziąć za służącego. Mimo że jest ubrany w czerwono-białą liberię lokaja, nie ma w sobie ani cienia tradycyjnej uległości. Jest wysoki i szczupły, porusza się leniwie, ma trójkątną twarz, ciemnoblonde włosy i ciemne oczy, a na ustach igra mu ironiczny uśmieszek, który wyglądałby czarująco, gdyby nie był taki obojętny. No i ma złamany nos.

Siny i spuchnięty, zniekształca mu rysy. W świetle ognia wygląda jak stwór przebrany za człowieka, któremu z twarzy opadła maska.

Lokaj unosi nóż, by obejrzeć rezultat swojej pracy. Zadowolony, odcina worek od pasa i rzuca mi go do stóp.

Worek ląduje z głuchym odgłosem. Materiał jest przesiąknięty krwią i zawiązany sznurkiem. Lokaj chce, żebym go otworzył, nie zamierzam jednak spełniać jego woli.

Podnoszę się, zdejmuję marynarkę i prostuję zdrętwiałą szyję.

W myślach słyszę krzyk Anny, która każe mi uciekać. Ma rację: powinienem się bać i w każdym innym wcieleniu na pewno obleciałby mnie strach. To najwyraźniej pułapka, lecz ja mam już dość lękania się tego człowieka.

Czas stanąć do walki, choćby po to, abym się przekonał, że jestem do tego zdolny.

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem w zacinającym deszczu. Jak mogłem się spodziewać, to Lokaj narzuca mi swoje warunki. Obraca się na pięcie i biegiem rusza w stronę ciemnego lasu.

Z szaleńczym rykiem rzucam się w pogoń.

Gdy wpadam do lasu, otacza mnie ciasny krąg drzew, gałęzie drapią mnie po twarzy, liście gęstnieją.

Choć nogi zaczynają mi odmawiać posłuszeństwa, biegnę dalej, dopóki nie zdaję sobie sprawy, że już go nie słyszę.

Zatrzymuję się i łapiąc oddech, robię w tył zwrot.

W ciągu paru sekund przypada do mnie i zakrywa mi usta, żeby stłumić krzyk; wbija mi nóż w bok, przesuwając ostrze w górę i w głąb klatki piersiowej. W gardle bulgocze mi krew, kolana uginają się pode mną, lecz otaczające mnie silne ramiona nie pozwalają mi upaść. Ma płytki, niespokojny oddech. Nie jest to odgłos zmęczenia, ale podniecenia i niecierpliwości.

Trzaska zapalka i przed moją twarzą pojawia się punkcik światła.

Lokaj klęczy na wprost mnie, przeszywając mnie spojrzeniem bezlitosnych czarnych oczu.

– Dzielny króliczek – mówi i podrzyna mi gardło.

Dzień szósty

– Obudź się! Obudź się, Aiden!

Ktoś wali do drzwi.

– Musisz się obudzić, Aiden. Aiden!

Otrząsam się ze zmęczenia i oglądam otoczenie. Siedzę na krześle lepki od potu, w ubraniu, które opina mi ciało. Jest noc, na stole obok skwierczy świeczka. Na kolanach mam koc w szkocką kratę, na sfatygowanej książce spoczywają ręce starca. Z pomarszczonej skóry wystają żyły, oplatając siatką ślady atramentu i plamy wątrobowe. Poruszam zeszywniałymi ze starości palcami.

– Aiden, proszę! – nalega głos w korytarzu.

Kiedy podnoszę się z krzesła i podchodzę do drzwi, budzi się we mnie cała armia bólów, atakując mnie jak rój szerszeni, którym ktoś zakłócił spokój. Zawiasy są poluzowane i dolny róg drzwi szoruje po podłodze, a na progu ukazuje się chuda postać Gregory’ego Golda, ciężko opartego o futrynę. Wygląda prawie tak samo jak w momencie napaści na kamerdynera, ale ma nierówny oddech, a jego smoking jest podarty i ubłocony.

W dłoni ściska figurę szachową, którą dała mi Anna, a ponieważ użył mojego prawdziwego imienia, to wystarcza, by mnie przekonać, że jest jednym z moich następnych wcieleń. W innych okolicznościach ucieszyłbym się z takiego spotkania, lecz Gold jest w strasznym stanie, wzburzony i potargany, jak człowiek, który odbył podróż do piekła i z powrotem.

Kiedy otwieram, łapie mnie za ramiona. Jego ciemne oczy są przekrwione i rozbiegane.

– Nie wysiadaj z powozu. – Na wargach ma kropelki śliny. – Cokolwiek będziesz chciał zrobić, nie wysiadaj z powozu.

Jego strach jest jak choroba, którą zostaje zarażony.

– Co ci się stało? – pytam, słysząc drzenie w swoim głosie.

– On nigdy... nigdy nie przestaje...

– Czego nie przestaje?

Gold potrząsa głową i uderza się w skronie. Po policzkach płyną mu łzy, ale nie wiem, jak go pocieszyć.

– Nie przestaje czego, Gold? – powtarzam.

– Ciąć – odpowiada i podwija rękaw, aby pokazać rany. Wyglądają dokładnie tak samo jak skaleczenia, z którymi pierwszego ranka ocknął się Bell.

– Nie będziesz tego chciał, nie będziesz, ale ją wydasz, powiesz, powiesz im wszystko, nie będziesz chciał, ale powiesz – bełkocze. – Jest ich dwóch. Dwóch. Wyglądają tak samo, ale jest ich dwóch.

Widzę już, że postradał zmysły. W tym człowieku nie pozostał ani gram rozsądku. Chcę go wciągnąć do pokoju, ale wpada w popłoch i odsuwa się, dopóki nie uderza plecami o ścianę po drugiej stronie korytarza. Zostaje tylko jego głos.

– Nie wysiadaj z powozu – syczy, po czym odwraca się i odbiega w głąb korytarza.

Wychodzę za nim, lecz jest zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć, a kiedy wracam ze świeczką, korytarz jest już pusty.

Dzień drugi (ciąg dalszy)

Ciało kamerdynera, jego ból, głowa ciężka od środka uspokajającego.

Jak powrót do domu.

Ledwie się budzę, a już z powrotem zapadam w sen.

Robi się ciemno. Po pokoiku chodzi tam i z powrotem jakiś mężczyzna ze strzelbą w rękach.

To nie Doktor Dżuma. Ani Gold.

Słyszy, jak się poruszyłem, i odwraca się do mnie. Jego twarz kryje cień, nie widzę jej.

Otwieram usta, lecz nie pada z nich żadne słowo.

Zamykam oczy i znowu tracę świadomość.

Dzień szósty (ciąg dalszy)

– Ojcie.

Z zaskoczeniem dostrzegam piegowatą twarz jakiegoś młodego człowieka o rudych włosach i niebieskich oczach wpatrujących się we mnie z odległości kilku centymetrów. Znowu jestem stary i siedzę na krześle z kocem w szkocką kratę na kolanach. Chłopak jest zgięty pod kątem prostym i ma ręce splecione za plecami, jakby się bał, że w towarzystwie odmówią mu posłuszeństwa.

Na widok grymasu niezadowolenia na mojej twarzy odsuwa się o parę kroków.

– Prosiłeś, żeby obudzić cię piętnaście po dziewiątej – tłumaczy się tonem pełnym skruchy.

Czuć od niego szkocką, tytoń i strach. Lęk wzbiera w nim tak, że żółkną mu białka oczu, które są nieufne i bezradne jak u zaszczutego zwierzęcia czekającego na strzał myśliwego.

Za oknem jest jasno; moja świeczka dawno zgasła, ogień w kominku zmienił się w popiół. Mgliste wspomnienie powrotu do ciała kamerdynera dowodzi, że się zdrzemnąłem, choć nie pamiętam, żebym zasypiał. Zdjęty zgrozą po ujrzeniu tego, co musiał znieść Gold – i co sam niebawem będę musiał znieść – aż do bladego świtu krążyłem po pokoju.

Nie wysiadaj z powozu.

To było błaganie i ostrzeżenie. Chce, żebym zmienił bieg wypadków, i chociaż to radosna wiadomość, równocześnie budzi we mnie niepokój. Wiem, że to można zrobić, widziałem to na własne oczy, ale jeśli będę na tyle sprytny, by coś zmienić, Lokaj na pewno też to potrafi. Być może biegamy w kółko, psując sobie nawzajem szyki. Nie chodzi już po prostu

o znalezienie rozwiązania zagadki, ale także o to, żeby zdążyć przedstawić je Doktorowi Dżumie.

Muszę przy najbliższej okazji porozmawiać z tym artystą.

Poprawiam się na krześle i zsuwam na bok koc, na co chłopak lekko się wzdryga. Sztywnieje i rzuca mi ukradkowe spojrzenie, sprawdzając, czy to zauważyłem. Biedny dzieciak; wybito mu z głowy odwagę, a teraz pomija się nim za to, że jest tchórzem. Moje współczucie nie znajduje odzewu u tego wcielenia, które żywi do syna wyłącznie wstręt. Potulność chłopca doprowadza go do szału, jego milczenie uważa za afront. Syn to nieudacznik, jego niewybaczalna porażka.

Moja jedyna porażka.

Potrząsam głową, próbując uwolnić się od żalów tego człowieka. Wspomnienia Bella, Ravencourta i Derby'ego były jak przedmioty oglądane przez mgłę, ale porozrzucone fragmenty tego życia otaczają mnie ze wszystkich stron. Choćbym nie chciał, muszę się o nie potykać.

Mimo że koc na kolanach mógłby wskazywać na niedołęstwo, wstaję bez większego trudu i całkiem sprawnie się prostuję. Mój syn wycofał się do kąta pokoju i kryje się w półmroku. Choć dzieli nas niewielki dystans, to jednak za daleko dla mojego wcielenia, którego wzrok sięga połowy tej odległości. Szukam okularów, wiedząc, że mija się to z celem. Ten człowiek uważa przypadłości wieku za słabość, oznakę niepewności. Nie będzie okularów, laski, żadnego rodzaju narzędzi ułatwiających życie. Każdy ciężar, jaki spada na moje barki, muszę dźwigać sam. Bez niczyjej pomocy.

Czuję, że syn stara się odgadnąć mój nastrój, przyglądając się mojej twarzy, jak obserwuje się chmury przed nadciągającą burzą.

– Wyrzuć to z siebie wreszcie – rozkazuję szorstkim tonem, zirytowany jego mrukliwością.

– Miałem nadzieję, że może będę się mógł wymówić od dzisiejszego polowania – mówi chłopak.

Składa te słowa przede mną jak martwe króliki przed głodnym wilkiem.

Nawet ta prosta prośba działa mi na nerwy. Jakież młody człowiek nie chciałby polować? Jakież młody człowiek przekrada się chyłkiem po obrzeżach świata, zamiast iść po trupach, aby go podbić? Mam ochotę odmówić tylko dlatego, że ma czelność być taki, jaki jest, ale się powstrzymuję. Obaj będziemy się czuć lepiej bez swojego towarzystwa.

– Zgoda. – Odprawiam go machnięciem ręki.

– Dziękuję, ojciec. – Umyka z pokoju, zanim zdąży zmienić zdanie. Jego nieobecność pozwala mi uspokoić oddech i rozluźnić zaciśnięte dłonie. Przestaje mnie dławić złość i mogę obejrzeć pokój, by poznać jego właściciela.

Na stoliku nocnym leżą trzy warstwy książek traktujących o mętnych zawilosciach prawa. Zakładką w jednej z nich jest moje zaproszenie na bal, adresowane do Edwarda i Rebekki Dance. Samo imię porusza we mnie czułą strunę. Przypominam sobie twarz Rebekki, jej zapach. Uczucie, gdy była obok mnie. Moje palce odnajdują medalion z jej ukrytym wewnątrz portretem, który noszę na szyi. Dance przeżywa swój ból dyskretnie, roniąc co dzień jedną łzę. To jedyny zbytek, na jaki sobie pozwala.

Odsuwam od siebie smutne myśli i stukam palcem w zaproszenie.

– Dance – mruczę pod nosem.

Niezwykłe nazwisko dla takiego ponuraka.

Ciszę przerywa pukanie, chwilę później porusza się klamka i otwierają się drzwi. Do sypialni wtacza się tęgi jegomość w wymiętym niebieskim garniturze i drapie się w bujną siwą czuprynę, sypiąc łupieżem na wszystkie strony. Ma siwe faworyty i przekrwione oczy, a jego wygląd mógłby budzić grozę, gdyby nie traktował swojej niechlujnej powierzchowności z taką bez troską.

Nieznajomy przystaje w progu z palcami we włosach i wbija we mnie zdumiony wzrok.

– To twój pokój, Edwardzie? – pyta.

– Tutaj się obudziłem – odpowiadam znużonym głosem.

– A niech mnie, nie pamiętam, gdzie mnie zakwaterowali.

– Gdzie spałeś tej nocy?

– Na werandzie. – Drapie się pod pachą. – Herrington założył się ze mną, że nie osuszę w kwadrans butelki portu, i to ostatnia rzecz, którą pamiętam, zanim obudziły mnie potępieńcze wrzaski tego obłąkanego łajdaka Golda.

Słyszając nazwisko malarza, przypominam sobie jego bełkotliwe nocne ostrzeżenia i rany na ramieniu. Nie wysiadaj z powozu, powtarzał. Czy to oznacza, że mam stąd wyjechać? Wybiorę się w podróż? Przecież już wiem, że nie uda się dotrzeć do wioski, więc to niezbyt prawdopodobne.

– Gold coś mówił? – pytam. – Wiesz, dokąd się wybierał, jakie miał plany?

– Nie poszedłem z nim biesiadować, Dance – odcina się z lekceważeniem w głosie. – Przyjrzałem mu się i niedwuznacznie dałem mu do zrozumienia,

że mam go na oku. – Rozgląda się po pokoju. – Nie zostawiłem tu butelki? Muszę czymś wyciszyć ten przeklęty ból głowy.

Otwieram usta, ale zanim zdążę odpowiedzieć, zaczyna szperać w szufladach, po czym nie zamykając ich, przypuszcza szturm na szafę. Przeszukawszy kieszenie moich ubrań, obraca się gwałtownie i lustruje cały pokój, jakby właśnie usłyszał ryk lwa w zaroślach.

Znowu rozlega się pukanie, w drzwiach ukazuje się inna twarz. To komandor Clifford Herrington, nudny oficer marynarki, który podczas kolacji siedział obok Ravencourta.

– Chodźcie już – ponagla nas, spoglądając na zegarek. – Stary Hardcastle na nas czeka.

Uwolniony od oparów mocnych trunków, jest wyprostowany jak struna i autorytatywny.

– Wiemy, czego od nas chce? – pytam.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, ale przypuszczam, że nam powie, kiedy przyjdziemy – wyjaśnia z dziarską miną.

– Muszę się najpierw pokrzepić szkocką – wtrąca mój towarzysz.

– W stróżówce na pewno znajdzie się odrobina, Sutcliffe – mówi Herrington, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Poza tym znasz Hardcastle’a, ostatnio jest strasznie poważny, chyba lepiej, żebyśmy nie pojawiali się u niego wstawieni.

Jestem tak mocno związany z Dance’em, że na sam dźwięk nazwiska lorda Hardcastle ze złością nadymam policzki. Obecność mojego wcielenia w Blackheath wynika ze zobowiązań, wizyta ma trwać tylko tyle, ile wymaga załatwienie sprawy z rodziną. Ja natomiast pragnę za wszelką cenę wypytać pana domu o jego zaginioną żonę, a mój entuzjazm wywołany perspektywą spotkania działa na wzburzonego Dance’a jak płachta na byka.

Z jakiegoś powodu irytuję sam siebie.

Popędzany przez niecierpliwego komandora, Sutcliffe unosi rękę, prosząc jeszcze o chwilę zwłoki, a potem zaczyna rozpaczliwie przetrząsać półki. Węsząc trop, rzuca się w stronę łóżka, unosi materac i odkrywa schowaną między sprężynami whisky.

– Prowadź, Herrington, stary druhu – zezwała wspaniałomyślnie, po czym odkręca butelkę i pociąga solidny łyk.

Herrington, kręcąc głową, wyprowadza nas na korytarz, gdzie Sutcliffe zaczyna gromkim głosem opowiadać dowcip, a jego przyjaciel bezskutecznie

stara się go uciszyć. Obaj są błaznami; ich pogodny nastrój ma posmak arogancji, który wyprowadza mnie z równowagi. Moje wcielenie nie znosi przesady żadnego rodzaju i najchętniej ruszyłoby przodem, ale nie chcę krążyć po tych korytarzach w pojedynkę. Wybieram kompromisowe rozwiązanie i trzymam się dwa kroki za nimi, na tyle daleko, aby uniknąć konieczności uczestniczenia w rozmowie, choć na tyle blisko, by zmitygować Lokaja, gdyby czaił się w pobliżu.

U dołu schodów spotyka nas niejaki Christopher Pettigrew, którym okazuje się ów wypomadowany kompan Daniela naradzający się z nim podczas kolacji. Chudzielec o żalösnej budowie ciała, z ciemnymi tłustymi włosami zaczesanymi na bok. Garbi się i ma chytry wzrok, którym zdaje się przetrząsać mi kieszenie, zanim podniesie go na moją twarz. Dwa wieczory temu zastanawiałem się, czy to moje przyszłe wcielenie, ale jeśli tak, to musiałem ochoczo ulec jego przywarom, ponieważ jest już zdrowo zaprawiony alkoholem i chętnie sięga po butelkę, którą częstują się jego kamraci. Whisky ani razu nie trafia w moje ręce, co oznacza, że nie muszę odmawiać. Edward Dance najwyraźniej trzyma się z daleka od tej czeredy, co mnie cieszy. Dziwne z nich towarzystwo; z pewnością się przyjaźnią, ale z jakąś desperacją, jak trzech ludzie uwięzieni na wyspie. Na szczęście dobry nastrój z wolna ich opuszcza, im bardziej oddalamy się od domu; wiatr i deszcz gaszą ich śmiech, zimna dłoń któregoś z nich wpycha butelkę do ciepłej kieszeni.

– Czy dzisiaj rano ten piesek Ravencourta ujadał na kogoś jeszcze? – pyta Pettigrew, którego twarz w tej chwili skurczyła się tylko do podstępnych oczu widocznych nad szalikiem. – Jak on się nazywa?

Pstryka palcami, próbując sobie przypomnieć.

– Charles Cunningham – podpowiadam z roztargnieniem, prawie go nie słuchając. Jestem pewien, że w głębi ścieżki dostrzegłem kogoś, kto nas śledzi. Mignął mi przelotnie jak złudzenie, widziałem jednak, że chyba miał na sobie liberię lokaja. Bezwiednie łapię się za szyję i przez ułamek sekundy znowu czuję dotyk ostrza.

Wzdrygam się i wbijam wzrok w drzewa, próbując zrobić użytek z kiepskich oczu Dance'a, jeżeli jednak to był mój wróg, zdążył już zniknąć.

– Właśnie, cholerny Charles Cunningham – przytakuje Pettigrew.

– Pytał o morderstwo Thomasa Hardcastle'a? – Herrington wystawia twarz na wiatr z odwagą, którą z pewnością zawdzięcza morskemu

doświadczeniu. – Słyszałem, że odwiedził dzisiaj Stanwina, dorwał go z samego rana.

– Przekłęty impertynent – rzuca Pettigrew. – Przyszedł węszyć do ciebie, Dance?

– Nic o tym nie wiem. – Wciąż wpatruję się między drzewa. Przechodzimy blisko miejsca, w którym, jak mi się wydawało, zauważyłem Lokaja, przekonuję się jednak, że to był przybity do pnia czerwony kawałek materiału, jeden ze znaków wskazujących drogę do Blackheath. Moja wyobraźnia wypełnia las potworami.

– Czego chciał Cunningham? – Niechętnie wracam do rozmowy z towarzyszami.

– Nie on – poprawia mnie Pettigrew. – Zadawał pytania w imieniu Ravencourta, zdaje się, że ten stary tłusty bankier zainteresował się śmiercią Thomasa Hardcastle'a.

Staję jak wryty. Wśród wszystkich zadań, jakie wyznaczyłem Cunninghamowi, będąc Ravencourtem, nie było wypytywania gości o zamordowanie Thomasa Hardcastle'a. Cokolwiek robi Cunningham, wykorzystuje do tego nazwisko Ravencourta dla osiągnięcia swych celów. Być może ma to związek z sekretem, na którego utrzymaniu tak bardzo mu zależy – sekretem, który jeszcze nie trafił do koperty ukrytej pod krzesłem w bibliotece.

– Jakie pytania? – Po raz pierwszy budzi się we mnie prawdziwe zaciekawienie.

– Wypytywał mnie o drugiego zabójcę, tego, którego Stanwin podobno drasnął kulą ze strzelby, zanim ten uciekł – informuje mnie Herrington i przytyka do ust pierśiówkę. – Chciał wiedzieć, czy krążyły jakieś plotki, kto to był, jak wyglądał.

– A krążyły? – pytam.

– Nigdy nie słyszałem – mówi Herrington. – Ale gdybym nawet słyszał, nie pisałbym mu ani słowa. Zwymyślałem go i tyle.

– Wcale się nie dziwię, że Cecil przydzielił to zadanie Cunninghamowi – dorzuca Sutcliffe, drapiąc się po bokobrodach. – Jest za pan brat z każdą sprzątaczką i każdym ogrodnikiem, którzy zarobili chociaż szylinga w Blackheath. Pewnie wie więcej o tym domu niż my.

– Dlaczego? – dopytuję się.

– Kiedy popełniono to morderstwo, mieszkał tu. – Sutcliffe spogląda na mnie przez ramię. – Oczywiście był wtedy mały, trochę starszy od Evelyn, jeżeli się nie mylę. Podobno był bękartem Petera. Helena oddała go na wychowanie kucharce czy komuś takiemu. Nigdy nie mogłem zrozumieć, kogo chciała ukarać.

W jego głosie brzmi nuta zadumy, która raczej nie pasuje do tego niezgrabnego, rozczochranego indywiduum.

– Ta słodka kuchareczka straciła męża na wojnie – ciągnie tym samym tonem. – Hardcastle’owie zapłacili za naukę chłopaka, a kiedy osiągnął pełnoletność, wystarali się nawet dla niego o pracę u Ravencourta.

– Po co Ravencourtowi informacje o morderstwie sprzed dziewiętnastu lat? – dziwi się Pettigrew.

– Staranna analiza ekonomiczna – wyjaśnia otwarcie Herrington, omijając kupkę końskiego nawozu. – Ravencourt zamierza kupić Evelyn Hardcastle, więc chce wiedzieć, jaki bagaż wniesie mu w posagu.

Rozmowa szybko schodzi na głupstwa, moje myśli wciąż jednak krążą wokół Cunninghama. Zeszłego wieczoru wcisnął Derby’emu do ręki kartkę z wiadomością *wszystkie* i powiedział mi, że zbiera innych w imieniu mojego przyszłego wcielenia. Świadczyłoby to o tym, że mogę mu zaufać, ale najwyraźniej realizuje w Blackheath jakiś własny plan. Wiem, że jest nieślubnym synem Petera Hardcastle’a i że wypytywał o szczegóły zamordowania jego przyrodniego brata. Między tymi dwoma faktami kryje się sekret, który Cunningham boi się wyjawić do tego stopnia, że pozwolił się nim szantażować.

Zgrzytam zębami. Choć raz byłoby miło spotkać w tym miejscu osobę, która naprawdę jest tym, na kogo wygląda.

Mijamy brukowaną dróżkę prowadzącą w stronę stajni, skręcamy na południe, w niekończącą się drogę do wsi, i w końcu docieramy do stróżówki. Po kolei wchodzimy do wąskiego korytarza, wieszamy płaszcze i narzekając na paskudną pogodę, strząsamy z ubrań krople deszczu.

– Tutaj, panowie – odzywa się głos zza drzwi po prawej.

Kierując się nim, wchodzimy do ciemnego salonu oświetlonego tylko przez ogień na kominku. Fotel przy oknie zajmuje Peter Hardcastle; siedzi z nogą założoną na nogę i książką na kolanach. Wydaje się nieco starszy, niż sugerował portret, choć nadal ma szeroki tors i krzepką sylwetkę. Ciemne brwi łączą się ze sobą w kształt litery V, której wierzchołek jest skierowany

w stronę długiego nosa i smutnych ust o opadających kącikach. Można dostrzec cień dawnej urody, ale zapasy jej blasku są już na wyczerpaniu.

– Dlaczego, u diabła, spotykamy się w takiej norze? – zrzędzi Pettigrew, padając na krzesło. – Przecież masz wspaniały... – ruchem ręki wskazuje w kierunku Blackheath – hm... na końcu tej drogi masz coś, co przypomina dom.

– Ten nieszczęsny dom jest przekleństwem rodziny od mojego dzieciństwa – oświadcza Peter Hardcastle, napełniając pięć szklaneczek. – Moja noga tam nie postanie, jeżeli nie będzie to absolutnie niezbędne.

– Może powinieneś pomyśleć o tym wcześniej, zanim postanowiłeś wydać najbardziej niesmaczne przyjęcie w dziejach świata – zauważa Pettigrew. – Naprawdę zamierzasz ogłosić zaręczyny Evelyn w rocznicę morderstwa własnego syna?

– Sądzisz, że to był mój pomysł? – Hardcastle z hukiem odstawia butelkę i posyła mu wściekłe spojrzenie. – Sądzisz, że jestem tu z własnej woli?

– Spokojnie, Peter – mityguje go Sutcliffe. Ciężkim krokiem podchodzi do przyjaciela i niezdarnie poklepuje go po ramieniu. – Christopher gdera, bo... to po prostu Christopher.

– Oczywiście – odpowiada Hardcastle, którego czerwone policzki świadczą o wszystkim, tylko nie o zrozumieniu. – Ale... Helena tak dziwnie się zachowuje, a teraz to wszystko. Trudno to znieść.

Wraca do nalewania drinków, a nieprzyjemna cisza tłumi wszystkie dźwięki prócz bębnienia deszczu o szyby.

Ja jednak cieszę się, że mam chwilę spokoju i krzesło.

Moi towarzysze maszerowali w szybkim tempie i dotrzymanie im kroku było udręką. Muszę złapać oddech, a duma nakazuje mi, by nikt tego nie zauważył. Zamiast nawiązać rozmowę, rozglądam się po pokoju, ale niewiele jest do oglądania. Meble, które stłoczono pod ścianami długiego i wąskiego pomieszczenia, wyglądają jak resztki rozbitej łodzi wyciągnięte na brzeg rzeki. Dywan jest przetarty na wylot, ścianę zdobi tandetna tapeta w pstrokate kwiaty. W powietrzu wisi zaduch minionych lat, jak gdyby ostatni właściciele tkwili tu, dopóki nie obrócili się w proch. Nie jest tu aż tak nieprzytulnie jak we wschodnim skrzydle, w którym zaszył się Stanwin, mimo to wydaje się, że to dziwne miejsce dla pana domu.

Nie miałem powodu pytać o rolę, jaką może odegrać lord Hardcastle w zamordowaniu jego córki, ale wybór lokum wskazuje na to, że woli się nie

pokazywać. Pytanie, po co mu ta anonimowość?

Postawiwszy przed nami drinki, wraca na swój fotel. Obraca szklanek w dłoniach i zbiera myśli. W jego zachowaniu dostrzegam ujmującą nieporadność, która od razu przywodzi na myśl Michaela.

Siedzący po mojej lewej Sutcliffe – który zdążył już wychylić połowę szkockiej z wodą sodową – wyjmując z kieszeni marynarki jakiś dokument i podsuwa mi, dając znak, abym podał go dalej do Hardcastle'a. To umowa małżeńska sporządzona przez kancelarię Dance, Pettigrew & Sutcliffe. Najwyraźniej ja, ten żaloszny Philip Sutcliffe i wypomadowany Christopher Pettigrew jesteśmy współnikami. Mimo to mam pewność, że Hardcastle nie sprowadził nas tu po to, by rozmawiać o zaślubinach Evelyn. Jest zbyt roztargniony i niespokojny. Poza tym po co miałyby zapraszać Herringtona, gdyby chodziło tylko o rozmowę z adwokatami.

Na potwierdzenie moich przypuszczeń Hardcastle bierze ode mnie umowę i ledwie rzucając na nią okiem, odkłada na stół.

– Dance i ja opracowaliśmy ją sami – informuje go Sutcliffe, po czym wstaje, by dolać sobie whisky. – Każ Ravencourtowi i Evelyn podpisać, a znowu będziesz bogaty. Ravencourt po złożeniu podpisu zapłaci okrągłą sumkę, a pozostała kwota trafi w zarząd powierniczy aż do dnia ślubu. Za dwa lata uwolni cię też od Blackheath. Nie chwaląc się, muszę przyznać, że to całkiem zgrabna robota.

– Gdzie stary Ravencourt? – pyta Pettigrew, zerkając na drzwi. – Nie powinien być teraz z nami?

– Helena się nim zajmuje. – Z półki nad kominkiem Hardcastle zdejmując drewnianą skrzyneczkę i otwiera ją. Na widok rzędu grubych cygar z ust zebranych wyrywa się dziecinny pisk radości. Odmawiam i patrzę, jak Hardcastle częstuje pozostałych. Jego uśmiech maskuje jakieś przemożne pragnienie; urządzając z wyraźną przyjemnością ten pokaz, przygotowuje grunt dla jakiejś innej sprawy.

Czegoś chce.

– Jak się czuje Helena? – Próbuję swojego drinka. Czysta woda. Dance nie pozwala sobie nawet skosztować alkoholu. – Zapewne głęboko to wszystko przeżywa.

– Oby, to ona wpadła na ten przeklęty pomysł, żeby tu przyjechać – prychnął Hardcastle, biorąc cygaro i zamykając pudełko. – Człowiek chce jak najlepiej, stara się okazać serce, ale niech to diabli! Od przyjazdu prawie

w ogóle jej nie widziałem. Słowa nie mogę z niej wydobyć. Gdybym wierzył w tego typu rzeczy, pomyślałbym, że jest opętana.

Zapałki wędrują z rąk do rąk i każdy z mężczyzn odprawia swój rytuał zapalania cygara. Hardcastle obywa się bez wahadłowych ruchów Pettigrew, delikatnych muśnięć Herringtona i teatralnych gestów Sutcliffe'a i po prostu przytyka płomień do cygara, posyłając mi zirytowane spojrzenie.

Czuję drgnienie czułości, ślady jakiegoś silniejszego uczucia, po którym pozostał tylko dogasający żar.

Hardcastle wydmuchuje żółtawy dym i wygodnie sadowi się w fotelu.

– Panowie, zaprosiłem was dzisiaj, bo wszyscy mamy ze sobą coś wspólnego – mówi oficjalnym tonem, wygłaszając przygotowaną kwestię. – Wszystkich nas szantażuje Ted Stanwin, ale mam sposób, aby nas uwolnić, proszę więc, żebyście mnie wysłuchali.

Patrzy na każdego z nas w oczekiwaniu na reakcję.

Pettigrew i Herrington milczą, ale plebejusz Sutcliffe parska, przełknąwszy w pośpiechu haust whisky.

– Mów, Peter – odzywa się Pettigrew.

– Mam na Stanwina coś, co może nam dać wolność.

W pokoju nadal panuje cisza. Pettigrew siedzi na brzeжку krzesła, zapominając o cygarze, które trzyma w palcach.

– Dlaczego więc dotąd tego nie wykorzystasteś? – pyta.

– Bo to dotyczy nas wszystkich – wyjaśnia Hardcastle.

– Raczej dlatego, że to cholernie ryzykowne – wtrąca czerwony na twarzy Sutcliffe. – Wiesz, co się stanie, jeżeli jeden z nas wystąpi przeciwko Stanwinowi. Ujawni to, co ma na każdego z nas, i wszystkich nas załatwi. Tak samo, jak stało się z paczką Myersona.

– Doprowadzi nas do ruiny – protestuje zapalczywie Hardcastle.

– To ciebie doprowadzi do ruiny, Peter – zauważa Sutcliffe, stukając grubym palcem w stół. – Niebawem zbijesz majątek na interesie z Ravencourtem i nie chcesz, żeby Stanwin położył na nim łapę.

– Ten łotr od prawie dwudziestu lat wysysa ze mnie każdego pensa! – wykrzykuje Hardcastle i lekko czerwienieje. – Jak długo jeszcze mam na to pozwalać?

Spogląda na Pettigrew.

– Christopher, zastanów się, na pewno zechcesz mnie wysłuchać – mówi.
– To przez Stanwina... – jego szarą twarz zasnuwa chmura zakłopotania – hm, może Elspeth nie odeszłyby, gdyby...

Pettigrew popija drinka, bez słowa zachęty ani pretensji. Tylko ja widzę oblewający mu szyję żar i palce, które zaciskają się na szklance tak mocno, że bieleje skóra pod paznokciami.

Hardcastle pospiesznie przenosi wzrok na mnie.

– Możemy się wyrwać z łap Stanwina, ale musimy wystąpić wszyscy razem. – Uderza pięścią w dłoń. – Posłucha nas tylko wtedy, kiedy mu pokażemy, że jesteśmy gotowi się przeciwstawić.

Sutcliffe nadyma się jak paw.

– Ale to...

– Cicho bądź, Philip – rozkazuje mu Herrington, nie odrywając oczu od Hardcastle'a. – Co takiego masz na Stanwina?

Hardcastle podejrzliwie zerka na drzwi, po czym ścisza głos.

– Ukrywa gdzieś dziecko – mówi. – Trzyma w tajemnicy, że ma córkę, bojąc się, żeby nie wykorzystano jej przeciwko niemu, ale Daniel Coleridge dowiedział się, jak ona się nazywa.

– Ten hazardzista? – pyta Pettigrew. – Dlaczego się w to wmieszał?

– Uznałem, że rozsądniej będzie nie pytać, stary – odpowiada Hardcastle, kołysząc trunkiem w szklaneczce. – Niektórzy zapuszczają się w mroczne miejsca, do których reszta nie powinna zaglądać.

– Mówi się, że płaci połowie służby w Londynie za informacje o ich chlebodawcach. – Herrington w zamyśleniu skubie wargę. – Nie zdziwiłbym się, gdyby to samo robił w Blackheath, a Stanwin pracował tu wystarczająco długo, żeby wygadać jakiś sekret. Niewykluczone, że coś w tym jest.

Kiedy słucham rozmowy o Danielu, przenika mnie dziwny dreszcz podniecenia. Od pewnego czasu wiem, że jest moim ostatnim wcieleniem, ale działa w tak odległej przyszłości, że nigdy nie czułem się z nim naprawdę związany. A teraz, gdy prowadzone przez nas śledztwa zbiegają się w jednym miejscu, mam wrażenie, jakbym dostrzegł na horyzoncie coś od dawna wyczekiwanego. Nareszcie otwiera się droga między nami.

Hardcastle wstaje, by ogrzać dłonie przy kominku. Kiedy oświetla go ogień, wyraźnie widać, że upływ lat więcej mu odebrał, niż dał. Niepewność jest jak rysa na monolicie, która każe wątpić w jego siłę i nieugiętość. Ten

człowiek został złamany na pół, a potem złożony z powrotem krzywo i gdybym miał się domyślać, powiedziałbym, że powodem było dziecko.

– Czego Coleridge od nas chce? – pytam.

Hardcastle spogląda na mnie niewidzącymi oczami.

– Słucham?

– Powiedziałeś, że Daniel Coleridge ma coś na Stanwina, co oznacza, że w zamian czegoś od nas chce. Przypuszczam, że właśnie dlatego nas wezwalesz.

– Otóż to. – Hardcastle bawi się luźnym guzikiem marynarki. – Prosi o pewną przysługę.

– Tylko jedną? – dziwi się Pettigrew.

– Prosi o to każdego z nas, licząc na obietnicę, że dotrzemy zobowiązania, ilekroć się do nas zwróci, bez względu na to, czego będzie oczekiwał.

Wymieniają spojrzenia, na każdej twarzy maluje się powątpiewanie. Czuję się jak szpieg w obozie wroga. Nie jestem pewien zamiarów Daniela, jestem jednak pewien, że moim zadaniem jest pokierowanie dyskusją w taki sposób, by przechylić szalę na jego korzyść. I na moją korzyść. Jakakolwiek ma być ta przysługa, mam nadzieję, że pomoże Annie i mnie wyrwać się z tego okropnego domu.

– Jestem za – oświadczam uroczyście. – Stanwin już od dawna zasługuje na karę.

– Zgadzam się – wtóruje mi Pettigrew, rozpędzając obłok dymu sprzed twarzy. – Już za długo trzyma mi nóż na gardle. A ty, Clifford?

– Zgoda – mówi stary marynarz.

Wszystkie głowy odwracają się w stronę Sutcliffe'a, który błądzi wzrokiem po całym pokoju.

– Zamieniamy jedno diabelskie nasienie na inne – zauważa w końcu wymięty adwokat.

– Być może – przyznaje Hardcastle. – Ale czytałem Dantego, Philipie. Piekło piekła nierówne. No więc co ty na to?

Niechętnie kiwa głową, wbijając wzrok w szklanę.

– Bardzo dobrze – stwierdza Hardcastle. – Spotkam się z Coleridge'em i przed kolacją rozmówimy się ze Stanwinem. Jeśli rzecz pójdzie po naszej myśli, będzie po wszystkim, zanim jeszcze ogłosimy wiadomość o ślubie.

– I w ten sposób wyjdziemy z jednej kieszeni i wpadniemy do drugiej – podsumowuje Pettigrew, wychylając resztę whisky. – Jak wspaniale być dżentelmenem.

Skoro sprawa została załatwiona, Sutcliffe, Pettigrew i Herrington opuszczają salon, spowici wstęgą gęstego dymu z cygar, natomiast Peter Hardcastle podchodzi do stojącego na komodzie gramofonu. Ściera z płyty kurz bawełnianą chusteczką, opuszcza igłę, wciska włącznik i z tuby z brązu rozbrzmiewa Brahms.

Dając pozostałym znak, żeby na mnie nie czekali, zamykam drzwi prowadzące na korytarz. Peter siada przy kominku jak przy otwartym oknie, przez które swobodnie mogą płynąć myśli. Jeszcze nie zauważył, że tu zostałem, i wydaje się, jak gdyby dzieliła nas ogromna otchłań, choć w rzeczywistości siedzi dwa kroki ode mnie.

Paraliżuje mnie powściągliwość Dance'a w tej kwestii. Jako człowiek, który nie znosi, gdy ktoś mu przeszkadza, ma także opory przed zakłócaniem spokoju innym, a sprawę pogarsza osobisty charakter pytań, które muszę zadać. Czuję się jak niewolnik nawyków swojego wcielenia. Dwa dni temu nie byłyby dla mnie żadną przeszkodą, ale każde nowe wcielenie jest silniejsze od poprzedniego i obrona przed naturą Dance'a przypomina próby maszerowania pod wiatr podczas huraganu.

Dobry obyczaj pozwala mi na uprzejme odchrząknięcie. Hardcastle odwraca się i widzi, że stoję przy drzwiach.

– Ach, Dance, stary, zapomniałeś czegoś?

– Miałem nadzieję, że możemy porozmawiać w cztery oczy.

– Coś nie tak z umową? – pyta podejrzliwie. – Przyznaję, obawiałem się, czy pijaństwo Sutcliffe'a nie...

– Nie chodzi o Sutcliffe'a – przerywam mu. – Chodzi o Evelyn.

– Evelyn. – Podejrzliwość ustępuje miejsca znużeniu. – Tak, oczywiście. Chodź, usiądź przy ogniu. W tym przeklętym domu i tak jest za dużo przeciągów, żeby jeszcze wystawiać się na chłód.

Czekając, aż się usadowię, podciąga nogawkę i porusza stopą przed płomieniami. Mimo swoich wad maniery ma nienaganne.

– No dobrze – mówi po chwili, uznając, że wymogi etykiety zostały należycie spełnione. – Co chcesz mi powiedzieć o Evelyn? Przypuszczam, że nie podoba jej się perspektywa poślubienia Ravencourta?

Trudno mi ubrać tę kwestię w łagodne słowa, decyduję się więc wyłożyć kawę na ławę.

– Niestety, chodzi o poważniejszą sprawę – mówię. – Ktoś postanowił zamordować twoją córkę.

– Zamordować?

Unosi brwi, a potem lekko się uśmiecha, czekając na puentę żartu. Moja szczerłość wytrąca go z równowagi, więc pochyła się ze skonsternowaną miną.

– Mówisz poważnie? – Splata dłonie.

– Tak.

– Wiesz, kto to chce zrobić i dlaczego?

– Wiem tylko jak. Ktoś próbuje ją zmusić do popełnienia samobójstwa, w przeciwnym razie zostanie zamordowana bliska jej osoba. Takie informacje przekazano w pewnym liście.

– Liście? – powtarza drwiąco. – Wydaje mi się to bardzo podejrzane. Pewnie chodzi o jakąś zabawę. Wiesz, na co stać dziewczęta.

– To nie jest zabawa, Peter – oświadczam surowym tonem, który ściera mu z twarzy niedowierzanie.

– Mogę spytać, jak zdobyłeś te informacje?

– W ten sam sposób, w jaki zdobywam wszystkie informacje. Słucham.

Wzdycha i zaciska palcami nos, zastanawiając się nad wiadomością i człowiekiem, który ją przyniósł.

– Uważasz, że ktoś stara się sabotować naszą umowę z Ravencourtem? – pyta.

– Nie brałem tego pod uwagę – odpowiadam zaskoczony jego reakcją. Spodziewałbym się, że zaniepokoi się o córkę, że zacznie snuć plan, jak zapewnić jej bezpieczeństwo. Ale dobro Evelyn jest mało istotne. Jeżeli Hardcastle boi się coś stracić, to tylko swoją fortunę. – Domyślasz się, czym interesom mogłaby służyć śmierć Evelyn? – Usiłuję powstrzymać nagłe uczucie obrzydzenia do tego człowieka.

– Kto nie ma wrogów? Są stare rodziny, które ucieszyłyby się, gdybyśmy zostali zrujnowani, ale żadna z nich nie uciekłaby się do takich metod. Ich bronią są pogłoski, plotki szeptane na przyjęciach, złośliwe komentarze w „Timesie”, sam wiesz. – Zdenerwowany bębni palcami w oparcie fotela. – Niech to wszyscy diabli, Dance, jesteś pewien? Brzmi to niesłychanie.

– Nie mam wątpliwości i prawdę powiedziawszy, podejrzewam kogoś spośród domowników.

– Jakiś służący? – Zniża głos i kieruje wzrok na drzwi.

– Helena – mówię.

Imię żony spada na niego jak nieoczekiwany cios.

– Helena, na pewno się po... to znaczy... Boże drogi, co ty wygadujesz?! – Jego twarz oblewa się czerwienią, słowa kipią mu w gardle i wylewają się z ust.

Czuję na policzkach podobny żar. To przesłuchanie jest dla Dance’a niezwykle bolesne.

– Evelyn sugerowała, że jej stosunki z matką są złe – dodaję szybko, rzucając słowa jak kamienie na grząskie pole.

Hardcastle podchodzi do okna i stoi odwrócony do mnie plecami. Uprzejmość wyraźnie nie pozwala mu na otwartą kłótnię, choć widzę, że drży i zaciska dłonie.

– Nie zaprzeczam, że Helena nie darzy córki wielką czułością, ale bez Evelyn zbankrutowalibyśmy za parę lat – mówi, ważąc każde słowo i usiłując opanować złość. – Nie narażałaby naszej przyszłości.

Nie powiedział, że nie jest do tego zdolna.

– Ale...

– Psiakrew, Dance, jaki masz interes w rzucaniu tego oszczerstwa?! – krzyczy, patrząc na moje odbicie w szybie, aby nie wrzeszczeć mi prosto w twarz.

W końcu! Dance na tyle dobrze zna Petera Hardcastle’a, by wiedzieć, że jest u kresu cierpliwości. Moja następna odpowiedź rozstrzygnie, czy ojciec Evelyn zacznie mówić, czy pokaże mi drzwi. Muszę starannie dobierać słowa, czyli skupić się na tym, na czym mu najbardziej zależy. Albo mu powiem, że próbuję ocalić jego córce życie, albo...

– Przepraszam cię, Peter – odzywam się pojednawczym tonem. – Jeżeli ktoś próbuje sabotować umowę z Ravencourtem, ja, jako twój przyjaciel i adwokat, muszę to ukrócić.

Mięknie.

– Oczywiście, że musisz. – Spogląda na mnie przez ramię. – Przepraszam, przyjacielu, ale po prostu... cała ta historia o morderstwie... hm, przywołuje dawne wspomnienia... sam rozumiesz. Naturalnie jeśli uważasz, że mojej córce grozi niebezpieczeństwo, zrobię wszystko, żeby pomóc, ale jeżeli sądzisz, że Helena mogłaby skrzywdzić Evelyn, to jesteś w błędzie. Ich stosunki rzeczywiście są napięte, ale one się kochają. Jestem tego pewien.

Pozwalam sobie na ciche westchnienie ulgi. Walka z naturą Dance'a jest wyczerpująca, lecz nareszcie znalazłem się o krok od uzyskania jakichś odpowiedzi.

– Twoja córka skontaktowała się z niejaką Felicity Maddox i wyznała, że niepokoi ją zachowanie matki – podejmuję, ulegając potrzebie Dance'a, by przedstawić fakty we właściwej kolejności. – Tej Felicity Maddox nie ma na liście gości, przypuszczam jednak, że przyjechała tu, żeby pomóc Evelyn, i bardzo możliwe, że jest uwięziona i trzymana w odwodzie, na wypadek gdyby Evelyn nie popełniła samobójstwa. Michael powiedział mi, że to przyjaciółka twojej córki z dzieciństwa, ale nie potrafił sobie przypomnieć o niej niczego więcej. Pamiętasz tę dziewczynę? Może widziałeś ją w okolicy domu? Mam powody przypuszczać, że dzisiaj rano była jeszcze wolna.

Hardcastle robi zdumioną minę.

– Nie pamiętam, choć muszę przyznać, że od powrotu Evelyn niewiele z nią rozmawiałem. Okoliczności jej przyjazdu, małżeństwo... to wszystko odgrodziło nas od siebie. Dziwne, że Michael nie potrafił ci więcej powiedzieć. Odkąd przyjechała, są nierozłączni, poza tym wiem, że gdy Evelyn była w Paryżu, często ją odwiedzał i pisał do niej. Spodziewałbym się, że kto jak kto, ale on zna Felicity.

– Porozmawiam z nim jeszcze raz, ale czy ta informacja jest prawdziwa? Czy Helena zachowuje się dziwnie?

Zacięła się płyta na gramofonie i solo skrzypiec, które chyżo wspina się po pięciolinii, jest co chwilę brutalnie ściągane na ziemię jak latawiec w nadgorliwych rękach dziecka.

Peter spogląda na gramofon i marszczy brwi, licząc na to, że jego niezadowolenie naprawi usterkę. Kiedy ta nadzieja okazuje się płonna, wstaje, podnosi igłę, zdmuchuje kurz z płyty i ogląda ją pod światło.

– Porysowana. – Kręci głową.

Kładzie płytę na talerzu i pokój wypełniają dźwięki nowego utworu.

– Opowiedz mi o Helenie – naciskam. – To był jej pomysł, aby ogłosić zaręczyny w rocznicę śmierci Thomasa i urządzić przyjęcie w Blackheath, prawda?

– Nigdy nie wybaczyła Evelyn, że tamtego ranka zostawiła Thomasa samego. – Peter obserwuje obracającą się płytę. – Przyznaję, myślałem, że bieg lat złagodzi jej ból, ale... – Głęboko oddycha, aby się uspokoić. – Helena zamierza zawstydzić Evelyn, to prawda. Nazywa to małżeństwo karą, ale jeśli przyjrzeć się szczegółom, to całkiem dobra partia. Ravencourt nie tknie Evelyn palcem, sam mi to obiecał. „Za stary jestem na to”, powiedział. Będzie miała do dyspozycji jego domy, okazałą sumkę, będzie mogła żyć, jak zechce, pod warunkiem że nie przyniesie mu wstydu. W zamian za to Ravencourt dostanie... Pewnie słyszałeś, co mówi się o jego pokojowych, przystojnych chłopcach, którzy wchodzą do niego i wychodzą o każdej porze dnia i nocy. To tylko plotki, ale małżeństwo położy im kres. – Milknie i spogląda na mnie wyzywająco. – Rozumiesz, Dance? Po co Helena aranżowałaby to wszystko, gdyby zamierzała zabić Evelyn? Nie zrobiłaby tego, nie mogłaby. W głębi serca kocha córkę. Nie najlepiej to okazuje, przyznaję, ale się stara. Musi tylko nabrać przekonania, że Evelyn została dotkliwie ukarana, a potem zacznie jej to wynagradzać. Sam zobaczysz. Helena zmieni swój stosunek do córki, a Evelyn uświadomi sobie, że to małżeństwo jest w istocie błogosławieństwem. Uwierz mi, bardzo się mylisz.

– Mimo to muszę porozmawiać z twoją żoną, Peter.

– W szufladzie mam kalendarz, są w nim odnotowane jej spotkania. – Parska ponurym śmiechem. – Nasze małżeństwo jest ostatnimi czasy jednym z obowiązków, które pokrywają się z innymi, ale powinieneś się dowiedzieć z tego kalendarza, gdzie ją znaleźć.

Rzucam się w stronę szuflady, nie mogąc ukryć podniecenia.

Ktoś w domu wydarł z terminarza Heleny kartki ze szczegółami tych spotkań – możliwe, że zrobiła to sama – aby zataić te informacje. Sprawca albo zapomniał, albo nie wiedział, że jej mąż ma własną kopię, która właśnie znalazła się w moich rękach. Nareszcie być może się dowiemy, co było warte takiego zachodu.

Szuflada, napęczniała od wilgoci, stawia opór. W końcu niechętnie pozwala się otworzyć, ukazując moim oczom oprawioną w moleskin książeczkę przewiązaną sznurkiem. Przerzucam strony i gdy znajduję informacje o spotkaniach Heleny, natychmiast wyparowuje ze mnie

entuzjazm. Większość z nich już znam. O wpół do ósmej rano Helena spotkała się z Cunninghame, choć nigdzie nie ma wskazówki po co. Następnie, piętnaście po ósmej, miała się zobaczyć z Evelyn, a o dziewiątej z Millicent Derby, ale żadna z nich się jej nie doczekała. Ma także w planach spotkanie z masztalerzem o wpół do dwunastej, czyli za godzinę, a potem, wczesnym popołudniem, Ravencourt spodziewa się jej w swoim saloniku.

Gdzie Helena również się nie zjawi.

Przesuwam palec po kalendarzu w poszukiwaniu czegoś podejrzanego. O spotkaniach z Evelyn i Ravencourtem już wiem, a z Millicent łączyła ją długoletnia przyjaźń, więc to zrozumiałe, ale jakaż to pilna sprawa skłoniła ją do spotkania tak wczesnym rankiem z nieślubnym synem męża?

Kiedy pytałem o to Cunninghama, nie chciał mi powiedzieć, ale jest jedyną osobą, która widziała dziś Helenę, co oznacza, że nie mogę dłużej tolerować jego uników.

Muszę wycisnąć z niego prawdę.

A wcześniej powinienem odwiedzić stajnie.

Po raz pierwszy wiem, gdzie będzie nieuchwytna pani domu.

– Wiesz, po co Helena spotykała się dzisiaj rano z Charlesem Cunninghame? – pytam Petera, odkładając terminarz do szuflady.

– Prawdopodobnie chciała się z nim przywitać. – Nalewa sobie następnego drinka. – Ten chłopak zawsze był jej bliski.

– Czy to Charles Cunningham jest powodem, dla którego Stanwin cię szantażuje? – pytam. – Stanwin wie, że to twój syn?

– Daj spokój, Dance! – Piorunuje mnie wzrokiem.

Spoglądam mu w oczy, a także w „oczy” mojego wcielenia. Dance podsuwa mi słowa przeprosin, namawia mnie, żebym się nie wtrącał. Co za przekłete utrapienie! Ilekroć otwieram usta, by coś powiedzieć, muszę najpierw zwalczyć w sobie zakłopotanie innego człowieka.

– Znasz mnie, Peter, więc wiesz, ile mnie kosztuje zadawanie takich pytań – mówię. – Muszę złożyć w całość wszystkie elementy tej nieprzyjemnej historii.

Zastanawia się nad tym, wracając z drinkiem do okna, choć niewiele przez nie widać. Drzewa tak gęsto zarosły dom, że gałęzie niemal wciskają się w szyby. Sądząc z zachowania Petera, gdyby mógł, zaprosiłby je teraz do środka.

– Nie jestem szantażowany z powodu pochodzenia Charlesa Cunninghama – oświadcza. – O tym skandaliku rozpisywano się kiedyś we wszystkich rubrykach towarzyskich, Helena już o to zadbała. Nic na tym nie można zyskać.

– W takim razie co Stanwin wie?

– Musisz mi dać słowo, że to zostanie między nami – zastrzega.

– Oczywiście – zapewniam go, czując, jak przyspiesza mi tętno.

– Otóż... – wzmacnia się łykiem szkockiej – przed śmiercią Thomasa Helena miała romans z Charliem Carverem.

– Z mordercą Thomasa?! – wykrzykuję, prostując się nieco na krześle.

– Nazywają to przyprawianiem rogów, prawda? – Stoi jak posąg przy oknie. – W tym przypadku należałoby raczej mówić o podrzucaniu kukułczego jaja. Odebrał mi syna i zostawił mi w gnieździe swoje dziecko.

– Swoje?

– Cunningham nie jest moim nieślubnym synem, Dance. Jest synem mojej żony. Jego ojcem był Charlie Carver.

– Ten szubrawiec! – Na moment tracę panowanie nad Dance'em, którego oburzenie współgra z moim szokiem. – Jakże do tego doszło?

– Carver i Helena kochali się – wyjaśnia ze smutkiem. – Nasze małżeństwo nigdy... Ja miałem nazwisko, rodzina Heleny miała pieniądze. Takie rozwiązanie dyktował rozsądek, można nawet powiedzieć, że konieczność, ale w naszym związku nie było uczucia. Carver i Helena wychowywali się razem, jego ojciec był gajowym w posiadłości jej rodziny. Ukryła przede mną ich romans i po naszym ślubie sprowadziła Carvera do Blackheath. Przykro mi to mówić, ale doszły do niej wieści o moich ekscesach, nasze małżeństwo zaczęło się chwiać, a mniej więcej rok później Helena wylądowała w łóżku Carvera i wkrótce zaszła w ciążę.

– Nie wychowałeś jednak Cunninghama jako własnego dziecka?

– Nie, podczas ciąży wmówiła mi, że jest moje, lecz nie mogła być pewna, kto naprawdę jest ojcem, ponieważ sam nadal... hm, męskie potrzeby są... rozumiesz, co mam na myśli?

– Sądzę, że tak – odpowiadam oziębłe, wspominając miłość i szacunek, które rządziły długim małżeństwem Dance'a.

– W każdym razie kiedy urodził się Cunningham, byłem akurat na polowaniu, więc kazała akuszerce przemycić niemowlę z domu na wieś, żeby tam karmiła je mamka. Po powrocie dowiedziałem się, że dziecko

zmarło w czasie porodu, ale pół roku później, kiedy Helena była już pewna, że nie jest zbyt podobne do Carvera, chłopiec pojawił się na progu domu w ramionach pewnej dziewczki, z którą miałem nieszczęście zetknąć się w Londynie i która chętnie przyjęła od mojej żony pieniądze, by udawać, że to moje dziecko. Helena odegrała ofiarę i zaczęła nalegać, żebyśmy przygarnęli chłopca. Przyznaję ze wstydem, że się zgodziłem. Oddaliśmy dziecko kucharce, pani Drudge, a ona wychowała je jak własne. Być może nie uwierzysz, ale potem udało nam się przeżyć kilka naprawdę spokojnych lat. Wkrótce urodzili się Evelyn, Michael i Thomas i przez pewien czas byliśmy szczęśliwą rodziną.

W trakcie tej opowieści uważnie obserwuję jego twarz, szukając oznak jakichkolwiek emocji, ale Peter beznamytnie relacjonuje fakty. Znowu uderza mnie bezdusność tego człowieka. Godzinę temu przypuszczałem, że jego uczucia rozpadły się w proch z powodu śmierci Thomasa, teraz jednak dochodzę do wniosku, że ta ziemia zawsze była jałowa. W duszy tego człowieka nie może zakiełkować nic prócz chciwości.

– Jak odkryłeś prawdę? – pytam.

– Przez czysty przypadek. – Opiera dłonie o ścianę po obu stronach okna.
– Wyszedłem na spacer i natknąłem się na Helenę i Carvera, którzy spierali się o przyszłość chłopca. Wtedy przyznała się do wszystkiego.

– Dlaczego zatem się z nią nie rozwiodłeś?

– Żeby wszyscy wiedzieli o mojej hańbie? – Patrzy na mnie w osłupieniu.
– Nieślubne dzieci to dzisiaj coś powszechnie spotykanego, ale wyobraź sobie, co by opowiadali ludzie, gdyby gruchnęła wiadomość, że zwykły ogrodnik przyprawił rogi lordowi Peterowi Hardcastle'owi. Nie, Dance, absolutnie nie mogłem do tego dopuścić.

– Co się stało, kiedy się dowiedziałeś?

– Zwolniłem Carvera, dałem mu jeden dzień na opuszczenie posiadłości.

– Właśnie tego dnia zabił Thomasa?

– Tak, po naszej scysji wpadł w szal i... i...

Ma zamglone i zaczerwienione od alkoholu oczy. Opróżnia i napełnia tę szklankę od rana.

– Kilka miesięcy później do Heleny przyszedł Stanwin z ręką wyciągniętą po pieniądze. Widzisz, Dance, to nie ja jestem ofiarą szantażu, ale Helena, a z nią moja reputacja. Po prostu za nią płacę.

– A co z Michaeliem, Evelyn i Cunninghamem? Coś o tym wiedzą?

– Nic mi o tym nie wiadomo. I tak trudno jest dochować tajemnicy, nawet jeśli dzieci jej nie znają.

– Jak zatem poznał ją Stanwin?

– Od dziewiętnastu lat zadaję sobie to pytanie i ciągle szukam odpowiedzi. Może przyjaźnił się z Carverem... przecież służba ze sobą rozmawia. Jeżeli nie dowiedział się od niego, to nie mam pojęcia skąd. Wiem jedynie, że jeśli to wyjdzie na jaw, będę zrujnowany. Ravencourt jest przeczulony na punkcie skandali, na pewno nie będzie chciał się wiązać z rodziną, której nazwisko pojawia się na pierwszych stronach gazet.

Celuje we mnie palcem i przytępionym od whisky, jadowitym głosem mówi:

– Uratuj życie Evelyn, a dam ci wszystko, co zechcesz, słyszysz? Nie pozwolę, żeby ta dziwka Helena kosztowała mnie cały majątek, Dance. Nie dopuszczę do tego.

Peter Hardcastle popadł w pijacką ponurość. Ściska szklanekę w palcach, jakby się obawiał, że ktoś mu ją odbierze. Uznaję, że dalsza rozmowa nie ma sensu, biorę więc jabłko z miski na owoce i ze słowami nieszczerych przeprosin na ustach opuszczam salon, zamykając drzwi, aby nie widział, jak wchodzę na górę. Muszę porozmawiać z Goldem, a wolałbym nie zmagać się z lawiną pytań.

U szczytu schodów wita mnie hulający po korytarzu przeciąg, który wciska się przez szpary w oknach i szczeliny pod drzwiami, by poruszać liśćmi zaścielającymi podłogę. Przypominam sobie, jak szedłem tymi korytarzami w postaci Sebastiana Bella i w towarzystwie Evelyn, szukając kamerdynera. Dziwnie jest wyobrazić ich sobie tutaj, jeszcze dziwniej uświadomić sobie, że Bell i ja to ta sama osoba. Wzdrygam się na myśl o jego tchórzostwie, ale dzieli nas już wystarczająco wielka odległość, abym nie musiał się nim przejmować. Traktuję go jak bohatera opowieści zasłyszanej na przyjęciu. To cudzy wstyd.

Dance gardzi takimi ludźmi jak Bell, ja jednak nie mogę być tak krytyczny. Nie mam pojęcia, kim jestem poza Blackheath ani jak rozumiem, gdy nie tkwię uwięziony w cudzym umyśle. Być może jestem dokładnie taki jak Bell... Zresztą czy to rzeczywiście byłoby takie złe? Zazdroszczę mu empatii, tak jak zazdroszczę inteligencji Ravencourtowi, a Dance'owi zdolności dostrzegania istoty rzeczy ukrytej za zasłoną pozorów. Jeśli uda mi się wynieść którąś z tych cech z Blackheath, będę z nich dumny.

Upewniwszy się, że jestem sam w korytarzu, wchodzę do pokoju, gdzie z sufitu zwisa uwiązany za ręce Gregory Gold. Dręczony jakimś nieustającym koszmarem, mamrocze, a przez jego ciało przebiegają skurcze bólu. Współczucie nakazuje mi go odciąć, wiem jednak, że Anna nie zostawiłaby go tu w takim położeniu bez ważnego powodu.

Mimo to muszę z nim porozmawiać, więc potrząsam nim, najpierw lekko, potem mocniej.

Bez skutku.

Uderzam go w twarz, po czym chlustam na niego wodą ze stojącego obok dzbanka, ale nawet nie drgnie. Straszne. Środek uspokajający zaaplikowany mu przez doktora Dickiego jest bezwzględny i choćby Gold wił się jak piskorz, nie zdoła się od niego uwolnić. Żołądek podchodzi mi do gardła, chłód przenika mnie do szpiku kości. Dotąd wszystkie czekające mnie okropności były nieokreślone i bezcielesne, jak ciemne kształty majaczące we mgle. Ale widzę siebie, swój przyszły los. Wspinam się na palce, by podwinąć mu rękawy i odsłonić rany na rękach, które pokazał mi w nocy.

– Nie wysiadaj z powozu – szepczę, przypominając sobie jego ostrzeżenie.

– Odsuń się od niego – rozkazuje zza moich pleców Anna. – I powolutku odwróć się do mnie. Nie zamierzam powtarzać.

Robię, co mi każe.

Stoi w drzwiach z wycelowaną we mnie strzelbą. Spod czepka wysypują się jej jasne włosy; mierzy mnie groźnym spojrzeniem. Trzyma broń nieruchomo, opierając palec na spuście. Nie mam wątpliwości, że wystarczy mój jeden fałszywy ruch i zastrzeli mnie w obronie Golda. Wbrew piętrzącym się przede mną trudnościami świadomość tak ogromnego zaangażowania sprawia, że nawet w nieczułe serce Dance'a wstępuje otucha.

– To ja, Anno – mówię. – Aiden.

– Aiden?

Opuszcza nieco lufę strzelby i podchodzi tak blisko, że czuję na twarzy jej oddech. Ogląda fałdy i bruzdy, którymi porane jest moje nowe oblicze.

– W szkicowniku było wspomniane, że się zestarzejesz. – Przekłada broń do jednej ręki. – Ale nie że będziesz miał twarz jak nagrobek. – Ruchem głowy wskazuje na Golda. – Podziwiałeś rany? Doktor uważa, że sam się okaleczył. Biedak pociął sobie ręce na strzępy.

– Dlaczego? – Ze zgrozą próbuję sobie wyobrazić, w jakich okolicznościach mógłbym wbić nóż we własne ciało.

– Pewnie wiesz lepiej ode mnie. – Krzywi się. – Chodźmy porozmawiać w jakimś cieplejszym miejscu.

Idę za nią do pokoju po drugiej stronie korytarza, gdzie w białej pościeli spokojnie śpi kamerdyner. Światło wpada przez wysokie okno, w kominku

trzaska niewielki ogień. Poduszkę szpecą plamy zakrzepłej krwi, ale poza tym wygląda to na błogą scenę, pełną ciepła i czułości.

– Już się obudził? – pytam, wskazując na kamerdynera.

– Na chwilę, w powozie. Niedawno przyjechaliśmy. Biedaczysko, ledwie dyszy. A Dance? Jaki jest? – Anna chowa strzelbę pod łóżkiem.

– Ponury, nienawidzi syna, ale poza tym w porządku. Wszystko jest lepsze niż Jonathan Derby – mówię, nalewając sobie wody z dzbanka na stole.

– Spotkałam go dzisiaj rano – informuje mnie mimochodem. – Nie wyobrażam sobie, żeby uwięzienie w takiej głowie mogło być przyjemne.

Rzeczywiście nie było.

Rzucam jej jabłko, które zabrałem z salonu.

– Powiedziałaś mu, że jesteś głodna, więc ci przyniosłem. Nie byłem pewien, czy miałaś już okazję coś zjeść.

– Nie miałam – przyznaje, wycierając jabłko o fartuch. – Dzięki.

Podchodzę do okna i rękawem ścieram plamę brudu z szyby. Widać przez nie drogę, na której z zaskoczeniem dostrzegam Doktora Dżumę wskazującego w stronę stróżówki. Obok niego stoi Daniel i wyglądają, jakby się naradzali.

Scena budzi we mnie niepokój. Jak dotąd Doktor Dżuma bardzo starał się oddzielić ode mnie szczelną barierą. Bliskość, którą teraz obserwuję, sprawia wrażenie współpracy, jak gdybym w jakiś sposób ugiął się przed Blackheath, godząc się na śmierć Evelyn i przyjmując do wiadomości twierdzenie Doktora Dżumy, że tylko jedno z nas może opuścić dom. Nic bardziej błędnego. Skoro wiem, że jestem zdolny zmienić bieg wypadków tego dnia, nabieram wiary w sens walki. Tylko o czym, u licha, rozmawiają?

– Co tam widzisz? – zaciekawia się Anna.

– Doktora Dżumę, który rozmawia z Danielem.

– Nie spotkałam go jeszcze. – Odgryza kawałek jabłka. – A kto to jest, u diabła, Doktor Dżuma?

Obracam na nią zdumione spojrzenie.

– Niewłaściwa kolejność naszych spotkań komplikuje pewne rzeczy.

– Przynajmniej ja jestem tylko jedna – mówi. – Opowiedz mi o tym swoim doktorze.

Szybko relacjonuję jej historię znajomości z Doktorem Dżumą, zaczynając od naszego spotkania w gabinecie, gdy byłem Sebastianem Bellem;

opowiadam o tym, jak zatrzymał samochód, którym próbowałem uciec, a ostatnim razem zganił mnie za to, że w postaci Jonathana Derby'ego gonilem w lesie Madeline Aubert. Wydaje się, jakby to było wieki temu.

– Wygląda na to, że znalazłeś sobie przyjaciela – zauważa Anna, głośno gryząc jabłko.

– On mnie wykorzystuje – poprawiam ją. – Nie wiem tylko, w jakim celu.

– Może Daniel wie, chyba jest z nim za pan brat. – Staje obok mnie przy oknie. – Domyślasz się, o czym rozmawiają? Wyjaśniłeś zagadkę śmierci Evelyn i zapomniałeś mi powiedzieć?

– Jeżeli nie popełnimy błędu, nie będzie żadnego morderstwa. – Nie odrywam oczu od sceny na dole.

– Czyli ciągle próbujesz ją ocalić, chociaż Doktor Dżuma powiedział, że to niemożliwe?

– Z reguły nie zważam na połowę rzeczy, które mi mówi – odpowiadam w roztargnieniu. – Można to nazwać zdrowym sceptycyzmem wobec wszelkich opinii, które wygłasza postać w masce. Poza tym wiem, że ten dzień da się zmienić, widziałem to na własne oczy.

– Na litość boską, Aiden – rzuca ze złością.

– O co chodzi? – pytam zaskoczony.

– O to wszystko! – Anna zirytowanym gestem rozkłada ręce. – Zawarliśmy umowę, ty i ja. Mam siedzieć w tym pokoju i chronić tych dwóch, a ty masz wykorzystać swoich osiem postaci, żeby wyjaśnić morderstwo.

– Przecież właśnie to robię – odpowiadam, nie bardzo rozumiejąc powody jej wybuchu gniewu.

– Nie, nie robisz. Tracisz energię na ratowanie osoby, której śmierć daje nam największą szansę ucieczki.

– Anno, ona jest moją przyjaciółką.

– Jest przyjaciółką Bella – odparowuje. – Upokorzyła Ravencourta i omal nie zabiła Derby'ego. Wydaje mi się, że długa i mroźna zima ma więcej ciepła i życzliwości niż ta kobieta.

– Miała swoje powody.

To mało przekonujące słowa, które mają raczej odbić pytanie, niż udzielić na nie odpowiedzi. Anna ma rację, Evelyn od dawna nie jest już moją przyjaciółką i choć nadal mam w pamięci jej serdeczność, to nie ona skłania mnie do działania. Impuls ma źródło gdzie indziej, głębiej, jest nieuchwytny.

Oburza mnie myśl, że mam pozwolić ją zabić. Nie Dance'a ani żadnego innego spośród moich wcieleń. To oburza mnie, Aiden Bishopa.

Niestety, Anna nabiera impetu i nie daje mi szansy na poświęcenie temu odkryciu więcej uwagi.

– Nie obchodzą mnie jej powody, obchodzą mnie twoje. – Wymierza we mnie palec. – Może ty tego nie czujesz, ale ja w głębi duszy wiem, jak długo tkwię w tym miejscu. To trwa dziesiątki lat, Aiden, jestem pewna. Chcę się stąd wyrwać, muszę, a ty jesteś moją największą nadzieją. Dostałeś na to życie ośmiu osób, w końcu się stąd wydostaniesz. Ja mam tylko tę jedną szansę, potem wszystko zapomnę. Bez ciebie utknę tu na zawsze, a co się stanie, jeżeli następnym razem, kiedy obudzisz się jako Bell, nie będziesz mnie pamiętał?

– Nie zostawię cię tu, Anno – obiecuję, poruszony rozpaczą w jej głosie.

– No więc wyjaśnij to przekłete morderstwo, jak prosił cię Doktor Dżuma, i uwierz mu, kiedy mówi, że Evelyn nie da się uratować!

– Nie mogę mu zaufać. – Przestaję nad sobą panować i odwracam się do niej plecami.

– Dlaczego? Przecież sprawdziło się wszystko, co powiedział. Mówił...

– Powiedział, że mnie zdradzisz! – krzyczę.

– Co?

– Powiedział mi, że mnie zdradzisz – powtarzam, wstrząśnięty własnym wyznaniem. Dotychczas ani razu nie wypowiedziałem na głos tego oskarżenia, wołałem lekceważyć je tylko w myślach. Kiedy wybrzmiało, stało się rzeczywistym zagrożeniem, które mnie niepokoi. Anna ma rację, wszystko, co zapowiedział Doktor Dżuma, sprawdziło się co do joty, i choć łączy mnie z nią silna więź, nie mogę mieć absolutnej pewności, że ta kobieta nie zwróci się przeciwko mnie.

Odwraca się jak oparzona i gwałtownie kręci głową.

– Ależ nigdy bym... Aiden, nigdy bym tego nie zrobiła, przysięgam.

– Powiedział mi, że z ostatniego cyklu pamiętasz więcej, niż przyznajesz. To prawda? Coś przede mną ukrywasz?

Waha się przez chwilę.

– To prawda, Anno? – naciskam.

– Nie – odpowiada stanowczym tonem. – Próbuje skłócić nas ze sobą, Aiden. Nie wiem po co, ale nie możesz go słuchać.

– Właśnie o to mi chodzi – odcinam się. – Jeżeli Doktor Dżuma mówi prawdę o Evelyn, mówi też prawdę o tobie. Tylko że ja w to nie wierzę. Sądzę, że chce czegoś, o czym nie wiemy, i wykorzystuje nas, żeby to zdobyć.

– Jeżeli nawet tak jest, nie rozumiem, dlaczego tak się upierasz, żeby ratować Evelyn. – Anna wciąż nie może ochłonąć po tym, co ode mnie usłyszała.

– Bo ktoś zamierza ją zabić – mówię niepewnie. – I nie chce zrobić tego własnymi rękami, lecz manipuluje nią w taki sposób, żeby popełniła samobójstwo, i to na oczach wszystkich. To okrutne i sprawia mordercy przyjemność, a ja nie mogę... Nieważne, czy ją lubimy i czy Doktor Dżuma ma rację, po prostu nie urządza się przedstawienia z czyjejś śmierci. Evelyn jest niewinna, a my możemy zapobiec zamordowaniu jej. Powinniśmy.

Głos mi się łamie, bo nagle uświadamiam sobie, że balansuję na krawędzi wspomnienia, które poruszyły pytania Anny. Jak gdyby rozsunęły się zasłony i przez szparę między nimi niemal mignął człowiek, którym kiedyś byłem. Wyrzuty sumienia i żal – jestem pewien, że to jest klucz do zagadki. To z ich powodu chcę uratować Evelyn, ale nie po to pojawiłem się w Blackheath, w każdym razie nie tylko po to.

– Był ktoś inny – mówię wolno, łapiąc się kurczowo tego wspomnienia. – Chyba kobieta. To z jej powodu tu przyjechałem, ale nie udało mi się jej ocalić.

– Jak się nazywała? – Anna ujmuje moje starcze pomarszczone dłonie i patrzy mi w oczy.

– Nie pamiętam. – Koncentruję się tak intensywnie, że w skroniach pulsuje mi ból.

– To byłem ja?

– Nie pamiętam.

Wspomnienie rozmywa się i gaśnie. Mam oczy pełne łez i ucisk w sercu. Czuję się, jakbym kogoś stracił, nie mam jednak pojęcia kogo. Patrzę w szeroko otwarte brązowe oczy Anny.

– Już minęło – rzucam słabym głosem.

– Przykro mi, Aiden.

– Niepotrzebnie. – Wracają mi siły. – Wydostaniemy się z Blackheath, obiecuję, ale muszę to zrobić po swojemu. Uda się, musisz mi tylko zaufać, Anno.

Spodziewam się sprzeciwu, ona jednak zaskakuje mnie uśmiechem.

– To od czego zaczniemy? – pyta.

– Zamierzam odnaleźć Helenę Hardcastle. – Wycieram twarz chustką. – Trafiałaś na trop Lokaja? Wczoraj wieczorem zabił Derby’ego i przypuszczam, że Dance’a też to niebawem czeka.

– Prawdę mówiąc, zaczęłam układać pewien plan.

Zagląda pod łóżko i wydobywa stamtąd szkicownik; otwiera go i kładzie mi na kolanach. Ten sam, którym kierowała się przez cały dzień, ale nigdzie nie widzę schematu skomplikowanej sieci przyczynowo-skutkowej.

Moim zdaniem treść zapisków to stek nonsensów.

– Sądziłem, że nie wolno mi tego oglądać – mówię, wyciągając szyję, by odczytać do góry nogami niezdarnie skreśloną stronę. – Jestem zaszczycony.

– Nie musisz, pokazuję ci tylko fragment, który jest ci potrzebny – wyjaśnia.

Na kartkach widzę zakreślone ostrzeżenia i szkice wydarzeń dnia, sporządzone mało precyzyjną ręką, zanotowane naprędce fragmenty rozmów, pozbawione kontekstu, który mógłby coś wyjaśnić. Rozpoznaję kilka scen, między innymi wykonany w pośpiechu rysunek przedstawiający atak Golda na kamerdynera, ale większość z tego nie ma sensu.

Dopiero po chwili zaczynam zauważać podejmowane przez Annę próby uporządkowania tego chaosu. Przy poszczególnych wpisach sporządziła ołówkiem notatki na swój użytek. Zanotowała hipotezy, zapisała godziny zdarzeń, utrwaliła treść naszych rozmów, opatrując je odnośnikami do fragmentów zawartych w szkicowniku, aby wydobyć z nich użyteczne informacje.

– Wątpię, czy uda ci się coś z tego zrozumieć – mówi Anna, obserwując moje wysiłki. – Dostałam to od jednego z twoich wcieleń. Równie dobrze mogłoby to być napisane w obcym języku. Wiele rzeczy nie ma sensu, ale rozbudowuję to, żeby wiedzieć, kiedy się pojawiaasz i znikasz. To wszystko, co o tobie wiem. O każdym wcieleniu, o wszystkim, co robisz. Tylko dzięki temu mogę śledzić rozwój wydarzeń, ale ten zapis nie jest kompletny. Są w nim dziury. Dlatego musisz mi pokazać odpowiednią chwilę, żeby zwrócić się do Bella.

– Do Bella? Dlaczego?

– Lokaj mnie szuka, więc powiemy mu dokładnie, gdzie będę. – Na luźnej kartce pisze wiadomość. – Zbierzemy część twoich wcieleń i będziemy na niego czekać, kiedy wyciągnie nóż.

– A jak zwabimy go w pułapkę? – pytam.

– Tak. – Podaje mi list. – Jeżeli opowiesz mi, jak wyglądał dzień Bella, podrzucę to tam, gdzie będzie musiał go znaleźć. Wystarczy, że wspomnę o tym w kuchni, a po godzinie o spotkaniu będzie wiedział cały dom. Lokaj na pewno też usłyszy.

Nie wyjeżdżaj z Blackheath, od Ciebie zależy nie tylko Twoje życie, ale też życie innych ludzi. Spotkajmy się przy mauzoleum na cmentarzu o 10.20 wieczorem, wszystko wyjaśnię.

Pozdrowienia

Anna

Wracam myślą do tamtego wieczoru, gdy Evelyn i Bell zakradli się na wilgotny cmentarz z rewolwerem w dłoni, ale czekały na nich tylko ciemności i rozbity, zaplamiony krwią kompas.

Nie jest to bynajmniej dobry znak, ale o niczym nie przesądza. Po prostu kolejny oderwany fragment przyszłości, którego znaczenia nie zrozumie, dopóki nie stanie się teraźniejszością.

– Widziałeś, jak to się skończy. – Anna nerwowo skubie mankiet. – Uda się?

– Nie wiem, ale lepszego planu nie mamy – odpowiadam.

– Będzie nam potrzebna pomoc, a tobie zaczyna brakować wcieleń.

– Nie martw się, znajdę pomoc.

Wyjmuję z kieszeni wieczne pióro i dopisuję do listu jeszcze jedno zdanie, które mocno wytrąci z równowagi biednego Bella.

Aha, i nie zapomnij o rękawiczkach, właśnie się palą.

Nie widzę koni, ale słyszę je już z daleka: dziesiątki kopyt stukających o bruk. Do odgłosów dołącza zapach – lekko stęchła woń połączona z odorem nawozu, gęsta i zawieszista mieszanina, której nawet wiatr nie może poruszyć. Dopiero gdy inne zmysły zostały zaatakowane, moim oczom ukazuje się w końcu trzydzieści kilka zwierząt, które zaprzęgnięte do powozów, są właśnie wyprowadzane ze stajni na drogę w stronę wsi.

Prowadzący je stajenni mają na sobie identyczne uniformy – czapki z daszkiem, białe koszule i luźne szare spodnie – przez co nie różnią się od siebie, tak jak konie, którymi się opiekują.

Nerwowo patrzę na kopyta. Nagle w pamięci miga mi obraz z dzieciństwa, gdy spadam z konia, kopyta zwierzęcia trafiają mnie w pierś, słyszę chrzęst łamanych kości...

Nie daj się opanować Dance'owi.

Wyrywam się ze wspomnień mojego wcielenia i opuszczam rękę, która instynktownie powędrowała do blizny na piersi.

Jest coraz gorzej.

Osobowość Bella w ogóle rzadko się ujawniała, ale gdy lawiruję między żądzą Derby'ego a wychowaniem i urazami z dzieciństwa Dance'a, coraz trudniej mi utrzymać właściwy kurs.

Kilka koni w środku kęsa te, które idą obok, i przez brązową gromadę umięśnionych ciał przebiega fala niepokoju. Chwila poruszenia wystarcza, żebym nierozważnie zszedł z drogi prosto w końskie łajno.

Kiedy próbuję usunąć brud z buta, od grupy odłącza się jeden ze stajennych.

– Można panu w czymś pomóc, panie Dance? – pyta, uchylając czapki.

– Znasz mnie? – dziwię się.

– Przepraszam pana, jestem Oswald, siodłałem ogiera, na którym pan wczoraj jeździł. Miło oglądać dżentelmena na koniu, proszę pana. Niewielu już potrafi jeździć wierzchem.

Uśmiecha się, ukazując szerokie szpary między zębami z brązowymi śladami tytoniu.

– Tak, oczywiście. – Przechodzące za nim konie trącają go w plecy. – Prawdę mówiąc, szukałem lady Hardcastle, Oswaldzie. Miała się spotkać z masztalerzem, Alfem Millerem.

– Co do jaśnie pani, to nie wiem, ale z Alfem właśnie się pan minął. Dziesięć minut temu z kimś wyszedł. Z tego, co widziałem, szli w stronę jeziora, ścieżką przy padoku. Jak pan przejdzie pod łukiem, będzie ją pan miał po prawej, a jeśli się pan pospieszy, pewnie da pan radę ich jeszcze dogonić.

– Dziękuję, Oswaldzie.

– Do usług, proszę pana. – Znowu uchyla czapki, po czym wraca do towarzyszy.

Trzymając się skraju drogi, idę w kierunku stajni, choć obłuzowane kamienie znacznie utrudniają mi marsz. W poprzednich wcieleniach po prostu uskakiwałem w bok, kiedy pośliznęła mi się stopa. Sterane nogi Dance’a nie są jednak tak zwinne, więc ilekroć kamień chwieje się pod moim ciężarem, wykręcam sobie kostki i kolana, obawiając się, że upadnę.

Rozdrażniony własną nieporadnością, przechodzę w końcu pod łukową bramą i widzę dziedziniec zaśmiecony sianem, rozsypanym owsem i rozgniecionymi owocami, a na nim chłopca, który ze wszystkich sił stara się uprzątnąć bałagan. Byłoby mu łatwiej zamieść odpadki do kątów, gdyby nie był dwa razy mniejszy od miotły. Nieśmiało zerka na mnie, próbując zdjąć czapkę, ale zrywa mu ją wiatr. Kiedy go widzę ostatni raz, goni ją po całym dziedzińcu, jak gdyby była wypchana jego wszystkimi marzeniami.

Dróżka biegnąca wzdłuż padoku jest tylko błotnistą, poprzecinaną kałużami ścieżką i zanim pokonuję połowę drogi, moje spodnie są brudne. Trzaskają gałązki, z liści kapią krople deszczu. Mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi, i choć wszystko wskazuje na to, że to tylko nerwy, przysięgam: wyczuwam czyjąś obecność między drzewami, parę oczu, która obserwuje każdy mój krok. Mogę mieć tylko nadzieję, że się mylę, bo jeśli Lokaj rzeczywiście wyskoczy na ścieżkę, jestem za słaby, by z nim walczyć, i za

wolny, aby uciec. Zostanie mi dokładnie tyle życia, ile czasu poświęci na wybór metody zabójstwa.

Nigdzie nie widzę masztalerza ani lady Hardcastle, porzucam więc resztki godności i puszczam się truchtem, ochlapując sobie błotem plecy.

Dróżka wkrótce skręca w kierunku lasu i w miarę jak oddalam się od stajni, mam coraz silniejsze wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Przeciskam się przez zarośla, zahaczam ubraniem o krzewy jeżyn, aż wreszcie słyszę szmer zbliżających się głosów i chlupot wody na brzegu jeziora. Ogarnia mnie fala ogromnej ulgi i w tym momencie uświadamiam sobie, że przez cały czas wstrzymywałem oddech. Po kilku krokach staję twarzą w twarz z ludźmi na ścieżce, tyle że masztalerzowi nie towarzyszy lady Hardcastle, ale Cunningham, pokojowy Ravencourta. Ma na sobie ciepły płaszcz i długi fioletowy szalik, który będzie usiłował rozsupłać, gdy przeszkodzi w rozmowie Ravencourta z Danielem.

Bankier zapewne drzemie teraz w bibliotece.

Popłoch masztalerza i Cunninghama wywołany moim nieoczekiwanym pojawieniem się wskazuje, że rozmowa dotyczyła czegoś znacznie ważniejszego niż plotki.

Pierwszy otrząsa się Cunningham i wita mnie życzliwym uśmiechem.

– Pan Dance, jaka miła niespodzianka! Co wywabiło pana z domu w taki paskudny ranek?

– Szukałem Heleny Hardcastle – mówię, spoglądając na masztalerza. – Sądziłem, że poszła na spacer z obecnym tu panem Millerem.

– Nie, proszę pana. – Miller gniecie w rękach czapkę. – Umówiła się ze mną w moim domku. Właśnie tam wracam.

– Czyli wszyscy trzej jedziemy na tym samym wózku – stwierdza Cunningham. – Ja też miałem nadzieję ją spotkać. Moglibyśmy pójść razem. Moja sprawa nie zabierze zbyt wiele czasu, ale chętnie stanę w kolejce, że się tak wyrażę.

– Jaka to sprawa? – pytam, gdy ruszamy w drogę powrotną w stronę stajni. – Z tego, co wiem, spotkałeś się z lady Hardcastle przed śniadaniem.

Moje bezpośrednie pytanie na moment pozbawia go dobrego nastroju, po twarzy przemyka mu cień złości.

– Chodzi o parę rzeczy do wiadomości lorda Hardcastle – odpowiada. – Wie pan, jak to jest. Jeden kłopot szybko prowadzi do następnego.

– Ale widziałeś się już dzisiaj z panią domu? – pytam.

– Tak jest, z samego rana.

– Jak się czuła?

Wzrusza ramionami i patrzy na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Trudno mi powiedzieć. Rozmawialiśmy bardzo krótko. Wolno wiedzieć, do czego zmierzają te pytania, panie Dance? Czuję się, jakby przesłuchiwał mnie pan przed sądem.

– Nikt inny nie widział dzisiaj lady Hardcastle. Wydaje mi się to dziwne.

– Być może obawia się, że będzie dręczona pytaniami – odcina się poirytowany Cunningham.

Kiedy rozdrażnieni docieramy do domku masztalerza, ten zapraszając nas do środka, skręca się z zakłopotania. Panuje tu taki sam porządek jak podczas mojego ostatniego pobytu, choć wewnątrz jest zdecydowanie zbyt ciasne dla trzech mężczyzn i ich sekretów.

Wybieram krzesło przy stole, podczas gdy Cunningham ogląda biblioteczkę, a zdenerwowany masztalerz stara się jak najlepiej posprzątać posprzątaną już domek.

Czekamy dziesięć minut, lecz lady Hardcastle się nie pojawia.

Ciszę przerywa Cunningham.

– Hm, wygląda na to, że pani ma inne plany. – Zerka na zegarek. – Lepiej już pójdę, powinienem się stawić w bibliotece. Miłego dnia, panie Dance i panie Miller. – Lekko pochyła głowę, po czym otwiera drzwi i wychodzi.

Miller posyła mi niespokojne spojrzenie.

– A pan, panie Dance? – pyta. – Będzie pan jeszcze czekał?

Ignorując pytanie, staję obok niego przy kominku.

– O czym rozmawialiście z Cunninghamem?

Patrzy w okno, jakby odpowiedź na moje pytanie miał przynieść posłaniec. Pstrykam mu palcami przed nosem, by zwrócił na mnie zażawione oczy.

– Na razie jestem po prostu ciekawy, panie Miller – mówię cichym głosem, w którym pobrzmiwa nuta groźby czekających go nieprzyjemności, gdyby próbował wykrętów. – Za chwilę się zdenerwuję. Proszę mi powiedzieć, o czym rozmawialiście.

– Chciał, żeby go oprowadzić po posiadłości. – Wysuwa dolną wargę, ukazując jej różową wewnętrzną stronę. – Chciał zobaczyć jezioro.

Jakiegolwiek talenty ma Miller, z pewnością nie należy do nich umiejętność kłamania. Szeroka twarz starszego człowieka, pełna bruzd

i fałdów obwisłej skóry, wygląda jak wielka scena, na której w głównej roli występują jego emocje. Każde zmarszczenie brwi to tragedia, każdy uśmiech to farsa. Kłamstwo, które tkwi gdzieś między jednym a drugim, wystarcza, by położyć cały spektakl.

Kładę dłoń na ramieniu masztalerza i zbliżam twarz do jego twarzy, widząc, jak mężczyzna ucieka wzrokiem w bok.

– Panie Miller, jak pan dobrze wie, Charles Cunningham wychował się w tym majątku. Nie potrzebuje przewodnika. Pytam jeszcze raz: o czym dyskutowaliście?

Kręci głową.

– Obiecałem...

– Ja też mogę złożyć niejedną obietnicę, Miller, ale moje nie będą przyjemne. – Wpijam palce w jego obojczyk tak mocno, że krzywi się z bólu.

– Pytał o zamordowanego chłopca – przyznaje niechętnie Miller.

– O Thomasa Hardcastle'a?

– Nie, proszę pana, o tego drugiego.

– Jakiego drugiego?

– O Keitha Parkera, stajennego.

– Stajennego? Co ty wygadujesz, człowieku?

– Nikt go nie pamięta, proszę pana, był za mało ważny – mówi przez zaciśnięte zęby. – Był ode mnie. Dobry chłopak, miał czternaście lat. Zaginął jakiś tydzień przed śmiercią panicza Thomasa. Przyjechało paru policjantów, żeby zajrzeć do lasu, ale nie znaleźli ciała, więc powiedzieli, że uciekł. Powiadam panu, że on nigdy by nie uciekł. Kochał swoją mamę, kochał pracę. Nie zrobiłby tego. Mówiłem to wtedy, tylko że nikt nie chciał słuchać.

– Znaleźli go w końcu?

– Nie, proszę pana, nigdy.

– I tak powiedziałaś Cunninghamowi?

– Tak, proszę pana.

– Nie powiedziałaś mu nic więcej?

Jego oczy biegają z boku na bok.

– Bo to nie wszystko, prawda? – pytam.

– Wszystko, proszę pana.

– Nie kłam, Miller – ostrzegam lodowatym tonem, czując, jak wzbiera we mnie wściekłość. Dance nie znosi ludzi, którzy próbują go oszukać, uważa to

za przejaw łatwowierności albo głupoty. Aby w ogóle podjąć taką próbę, kłamca musi się uważać za inteligentniejszego od osoby, którą chce wprowadzić w błąd, a takie założenie Dance uważa za groteskową obelgę.

– Nie kłamię, proszę pana – protestuje biedny masztalerz. Na czoło występuje mu żyła.

– Kłamiesz! Mów wszystko, co wiesz! – żądam.

– Nie mogę.

– Powiesz, bo inaczej doprowadzę cię do ruiny, Miller. – Popuszczam cugli swojemu wcieleniu. – Zabiorę ci wszystko, do ostatniej sztuki ubrania, do ostatniego odłożonego pensa.

Z moich ust padają słowa Dance'a, z których każde ocieka jadem. Właśnie na tym polega jego praktyka adwokacka: na łamaniu przeciwników groźbami i szantażem. Na swój sposób nie ustępuje nikczemnością Derby'emu.

– Znajdę każdy...

– To wszystko kłamstwo – wyrzuca z siebie Miller.

Ma ziemistą twarz i udrękę w oczach.

– Co to znaczy? No dalej, mów!

– Mówią, że panicza Thomasa zabił Charlie Carver.

– Tak?

– Nie mógł go zabić, proszę pana. Charlie żył ze mną w przyjaźni. Tamtego dnia rano pokłócił się z lordem Hardcastle, został zwolniony, no i postanowił wziąć sobie odprawę.

– Odprawę?

– Parę butelek brandy, proszę pana, prosto z gabinetu lorda Hardcastle. Wszedł jak gdyby nigdy nic i po prostu sobie zabrał.

– Czyli ukradł kilka butelek brandy – kwituję. – Dlaczego to ma dowodzić jego niewinności?

– Kiedy wyprawił panienkę Evelyn na przejażdżkę na kucyku, przyszedł do mnie. Mówił, że chce się ostatni raz napić z przyjacielem. Przecież nie mogłem odmówić, prawda? Opróżniliśmy z Charliem te butelki, ale mniej więcej pół godziny przed morderstwem powiedział mi, że muszę wyjść.

– Wyjść? Po co?

– Miał się z kimś spotkać.

– Z kim?

– Tego nie wiem, proszę pana, nie mówił. Tylko... – Waha się, jakby odpowiedź była najeżona przeszkodami, o które z pewnością się potknie.

– Co?!

Biedak załamuje rękę i lewą stopą wierci dziurę w dywanie.

– Powiedział, że wszystko jest umówione, że ta osoba pomoże mu znaleźć pracę gdzie indziej. Pomyślałem, że może...

– Tak?

– Tak o tym mówił, proszę pana, że... pomyślałem...

– Na litość boską, wyduś to z siebie wreszcie, Miller!

– Że to lady Hardcastle, proszę pana. – Po raz pierwszy patrzy mi prosto w oczy. – Pomyślałem, że może umówił się z lady Heleną Hardcastle. Zawsze żyli ze sobą w zgodzie.

Zdejmuję rękę z jego ramienia.

– Ale nie widziałeś, jak przyszła?

– Nie...

– Nie odszedłeś daleko, prawda? – pytam na widok jego miny winowajcy.
– Chciałeś się przekonać, kto to taki, więc schowałeś się gdzieś w pobliżu.

– Tylko na chwilę, proszę pana, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

– Dlaczego nikomu o tym nie powiedziałeś? – Spoglądam na niego surowo.

– Dostałem zakaz, proszę pana.

– Od kogo?

Milknie, ale w oczach ma rozpaczliwy, błagalny krzyk.

– Od kogo, do diabła?! – nie ustępuję.

– Od... od lady Hardcastle, proszę pana. Właśnie dlatego... Przecież nie pozwoliłaby Charliemu zabić swojego własnego syna, prawda? A gdyby to zrobił, nie kazałaby mi siedzieć cicho. To by nie miało sensu. Musi być niewinny.

– I przez te wszystkie lata dochowałeś tajemnicy?

– Bałem się, proszę pana. Strasznie się bałem.

– Heleny Hardcastle?

– Bałem się przez nóż, proszę pana. Ten, od którego zginął Thomas. Znaleźli nóż w domku Carvera, schowany pod podłogą. To przez niego w końcu wpadł, proszę pana.

– Dlaczego się bałeś z powodu tego noża, Miller?

– Bo to był mój nóż, proszę pana. Wykuty z podkowy. Zginął mi parę dni wcześniej. Razem z ładnym kocem z łóżka. Pomyślałem, że... no, że mogą mnie oskarżyć. Zrobić ze mnie współnika Carvera, proszę pana.

Kilka następnych minut upływa jak we mgle, myślami jestem daleko stąd. Wydaje mi się, że obiecuję utrzymać w tajemnicy wyznanie Millera, wydaje mi się też, że wychodzę od masztalera i czuję wsiąkające w ubranie krople deszczu, gdy ruszam z powrotem w kierunku domu.

Michael Hardcastle powiedział mi, że w dniu śmierci Thomasa ktoś towarzyszył Charliemu Carverowi i został draśnięty kulą ze strzelby Stanwina, zanim uciekł. Czy tą osobą mogła być lady Hardcastle? Jeśli tak, to trzeba było dyskretnie opatrzyć jej ranę.

Doktor Dickie?

W weekend, w który został zamordowany Thomas, Hardcastle'owie wydawali przyjęcie, a według relacji Evelyn na ten bal zaproszono tych samych gości co wtedy. W domu jest dzisiaj Dickie, czyli prawdopodobnie był tu także przed dziewiętnastu laty.

Nic nie powie, jest wierny jak pies.

– Jest współnikiem Bella w narkotykowym interesie – mówię, przypominając sobie Biblię z zaznaczonymi fragmentami, którą jako Derby znalazłem w jego pokoju. – To będzie wystarczający argument, żeby wycisnąć z doktora prawdę.

Ogarnia mnie coraz większe podniecenie. Jeżeli Dickie potwierdzi, że lady Hardcastle została postrzelona w ramię, będzie podejrzana o udział w zamordowaniu Thomasa. Tylko dlaczego, u licha, miałyby pozbawiać życia własnego syna albo pozwolić, aby winę wziął na siebie Carver, którego, jak twierdzi lord Hardcastle, kochała?

Tylko w takich chwilach Dance jest zdolny do odczuwania czegoś w rodzaju satysfakcji – stary adwokat, który przez całe życie tropi fakty jak pies gończy, kiedy zwietrzy krew. Zdaję sobie sprawę, gdzie jestem, dopiero wtedy, gdy na horyzoncie pojawia się Blackheath. Odległość i mój słaby wzrok nie pozwalają dostrzec zniszczeń i pęknięć murów, mogę więc zobaczyć dom taki, jakim był dawniej, gdy spędzała tu lato młoda Millicent Derby z Ravencourtem i rodziną Hardcastle'ów; dzieci bez strachu bawiły się w lesie, a ich rodzice urządzali przyjęcia, słuchali muzyki, śmiali się i śpiewali.

Ależ tu musiało być wspaniale.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego Helena Hardcastle prawdopodobnie tęskni za tamtymi czasami, może nawet próbuje je wskrzesić, wydając jeszcze jedno przyjęcie. Nietrudno zrozumieć, ale tylko głupiec uznałby to za wystarczający powód dzisiejszych wydarzeń.

Blackheath nie da się wskrzesić. Śmierć Thomasa Hardcastle'a na zawsze wysączyła stąd życie, skazując dom na ruinę, mimo to lady Hardcastle zaprosiła tych samych gości na takie samo przyjęcie, dokładnie dziewiętnaście lat później. Odgrzebano przeszłość, przebrano w nowy kostium, tylko w jakim celu?

Jeśli Miller ma rację i Charlie Carver nie zabił Thomasa, wszystko wskazuje na to, że zrobiła to Helena Hardcastle, która przedzie tę straszliwą sieć, oplatając nią nas wszystkich, kobieta, co do której jestem coraz bardziej przekonany, że gra tu pierwsze skrzypce.

Wszystko wskazuje też na to, że zamierza zabić dziś wieczorem córkę, ja natomiast wciąż nie mam pojęcia, gdzie znaleźć Evelyn, a tym bardziej – jak zapobiec jej śmierci.

Przed Blackheath stoi kilku dżentelmenów i pali, opowiadając sobie o wczorajszych hulankach. Kiedy wspinam się po schodach, witają mnie wesoło, ale mijam ich bez słowa. Bolą mnie nogi, plecy domagają się ciepłej kąpieli, nie mam jednak na to czasu. Za pół godziny zaczyna się polowanie, na które koniecznie muszę iść. Mam za dużo pytań, a większość tych, którzy mogą udzielić na nie odpowiedzi, będzie uzbrojona.

Z salonu biorę karafkę szkockiej i wycofuję się do pokoju, aby uśmierzyć ból kilkoma głębszymi. Czuję sprzeciw Dance'a, w którym niesmak budzi nie tylko fakt, że przyznaję się przed sobą do cierpienia, ale także moja potrzeba złagodzenia tej dolegliwości. Moje wcielenie ma w pogardzie to, co się z nim dzieje, uważając swój wiek za złośliwą przypadłość, przejaw zużycia i erozji.

Zdejmuję zabłocone ubranie, po czym podchodzę do lustra, zdając sobie sprawę, że nadal nie mam pojęcia, jak Dance wygląda. Przywdziewanie co dzień nowego ciała już mi spowszedniało i oglądam swoje odbicie tylko w nadziei, że dostrzegę w nim choćby skrawek prawdziwego Aideny Bishopa.

Dance zbliża się do osiemdziesiątki, jest posiwiały i zwiędły zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz. Prawie zupełnie wyłysiał, a jego twarz wygląda jak rzeka zmarszczek, która z pewnością spłynęłaby z czoła, gdyby nie była przymocowana dużym rzymskim nosem. Zdobí go wąski siwy wąsik; ciemne oczy bez wyrazu nie mówią nic o ukrytym wewnątrz człowieku prócz tego, że być może w ogóle nie ma tam człowieka. Wydaje się, że Dance ma nieodparty przymus pozostania anonimowym, ponieważ jego cała garderoba – choć gatunkowo znakomita – jest utrzymana w odcieniach szarości, z wyjątkiem chustek i muszek, które można uznać za rzeczy kolorowe. Wybiera jednak tylko ciemnoczerwone albo granatowe, co sprawia wrażenie, że próbuje się kamuflować we własnym życiu.

Tweedowy strój myśliwski jest odrobinę za ciasny w pasie, ale da się wytrzymać. Rozgrzewam gardło jeszcze jedną szklaneczką whisky, po czym idę na drugą stronę korytarza, by zapukać do drzwi sypialni doktora Dickiego.

Słyszę kroki i Dickie szeroko otwiera drzwi. Jest już ubrany na polowanie.

– Tyle pracy nie mam nawet w swoim gabinecie – oznajmia zrzędlwym głosem. – Powinienem cię uprzedzić, że dziś rano miałem już do czynienia z ranami od noża, utratą pamięci i ciężkim pobiciem, jeżeli więc na coś się uskarżasz, niech to będzie jakaś ciekawa dolegliwość. I najlepiej powyżej pasa.

– Handlujesz narkotykami za pośrednictwem Sebastiana Bella – mówię prosto z mostu, patrząc, jak uśmiech znika mu z twarzy. – On je dostarcza, ty je rozprowadzasz.

Blady jak płótno, opiera się o framugę, aby nie upaść.

Postanawiam wykorzystać tę chwilę słabości.

– Ted Stanwin sownie zapłaciłby za tę informację, ale nie potrzebuję Stanwina. Chcę wiedzieć, czy opatrywałeś ranę postrzałową Heleny Hardcastle lub kogoś innego w dniu zamordowania Thomasa Hardcastle’a.

– Policja zadawała mi wtedy to samo pytanie i odpowiedziałem zgodnie z prawdą – chrypi, rozluźniając kołnierzyk. – Nie, nie opatrywałem.

Odwracam się od niego z grymasem niezadowolenia.

– Wobec tego idę do Stanwina.

– Do kroćset, mówię prawdę! – Łapie mnie za ramię.

Mierzymy się wzrokiem. Jego oczy są stare, zamglone i błyszczą w nich strach. Na widok moich natychmiast mnie puszcza.

– Helena Hardcastle kocha swoje dzieci nad życie, a Thomasa najbardziej – twierdzi z uporem. – Nie mogłaby go skrzywdzić, nie potrafiłaby. Przysięgam na honor dżentelmena, tego dnia nie zgłosiła się do mnie żadna ranna osoba i nie mam pojęcia, kogo Stanwin postrzelił.

Przez chwilę patrzę w jego błagalne oczy, szukając jakiegoś drgnienia fałszu, ale jestem pewien, że mówi prawdę.

Przygnębiony, zostawiam lekarza w spokoju i wracam do holu, gdzie zbierają się pozostali panowie, którzy paląc i gawędząc, niecierpliwie czekają na rozpoczęcie polowania. Byłem przekonany, że Dickie potwierdzi udział Heleny w tamtej zbrodni i w ten sposób będę miał punkt wyjścia do wyjaśnienia śmierci Evelyn.

Muszę lepiej poznać okoliczności zabójstwa Thomasa i doskonale wiem, kogo należy o nie zapytać.

W poszukiwaniu Teda Stanwina wchodzę do salonu, gdzie zastaję Philipa Sutcliffe'a w zielonym stroju myśliwskim; z wielkim zapalem, choć ze znacznie mniejszymi umiejętnościami, atakuje klawisze fortepianu. Dźwięki, które nieco przypominają muzykę, przenoszą mnie do pierwszego poranka w tym domu – tę chwilę przeżywa właśnie Sebastian Bell, który z niewyraźną miną stoi sam w przeciwległym kącie pokoju i sączy drinka, nie znając nawet jego nazwy. Moje współczucie równoważy irytacja Dance'a, ponieważ stary adwokat nie ma cierpliwości do wszelkiej ignorancji. Gdyby miał okazję, powiedziałby Bellowi wszystko, bez względu na konsekwencje – muszę przyznać, że to kusząca myśl.

Dlaczego Bell nie miałby się dowiedzieć, że dziś rano w lesie nie widział Anny, tylko pokojówkę Madeline Aubert? I że żadna z nich nie zginęła, więc niepotrzebnie dręczy się wyrzutami sumienia? Mógłbym mu wyjaśnić, jak wygląda cykl, i powiedzieć, że kluczem do uwolnienia się stąd jest rozwiązanie zagadki śmierci Evelyn, aby nie marnował dnia we wcieleniu Donalda Daviesa na próbę ucieczki. Dodałbym jeszcze, że Cunningham jest synem Charliego Carvera i wszystko wskazuje na to, że stara się udowodnić, iż to nie jego ojciec zabił Thomasa Hardcastle'a. Kiedy nadejdzie właściwa pora, zaszantażujesz Cunninghama tą informacją, ponieważ Ravencourt nie cierpi skandali i z pewnością odprawiłby pokojowego, gdyby się o tym dowiedział. Poradziłbym też Bellowi, aby poszukał tajemniczej Felicity Maddox, a przede wszystkim Heleny Hardcastle, bo wszystkie nitki prowadzą do zaginionej pani domu.

To by nic nie dało.

– Wiem. – Wzdycham z żalem.

W pierwszym odruchu Bell uznałby mnie za uciekiniera z domu dla obłąkanych, a kiedy w końcu zorientowałby się, że to wszystko prawda, jego śledztwo zupełnie zmieniłoby przebieg zdarzeń. Chociaż bardzo chcę mu pomóc, jestem już zbyt blisko rozwiązania zagadki, by ryzykować zakłócenie tego cyklu.

Bell musi być zdany na własne siły.

Czyjaś ręka łapie mnie za łokieć i obok pojawia się Christopher Pettigrew z talerzem w dłoni. Nigdy dotąd nie znalazłem się w tak niewielkiej odległości od niego i gdyby nie nienaganne maniery Dance'a, na mojej

twarży odmalowałyby się nieskrywany niesmak. Z bliska wygląda, jakby go wykopano przed chwilą z ziemi.

– Niedługo się go pozbędziemy. – Pettigrew wskazuje ruchem głowy na Teda Stanwina, który skubie wędliny przy stole, przypatrując się gościom spod przymrużonych powiek z ewidentnym niesmakiem.

Dotychczas uważałem go za zwykłego brutala, teraz widzę jednak, że jest kimś więcej. Para się szantażem, co oznacza, że zna każdy wstydlawy sekret, każdy skandal i perwersję skrywane w tym domu. Co gorsza, wie, co komu uszło na sucho. Gardzi wszystkimi w Blackheath, nawet sobą, za to, że chroni ich tajemnice, dlatego co dzień wszczyna bójkę, by poczuć się trochę lepiej.

Ktoś przeciska się obok mnie – z biblioteki przychodzi zdeorientowany Charles Cunningham z listem od Ravencourta w ręce, a pokojówka Lucy Harper sprząta nakrycia, nieświadoma nadciągających zdarzeń. Z ukłuciem bólu uświadamiam sobie, że przypomina trochę moją zmarłą żonę Rebecę. Oczywiście w młodości. Dostrzegam podobieństwo ruchów, tę samą łagodność, jak gdyby...

Rebecca nie była twoją żoną.

– Do diabła, Dance. – Otrząsam się z jego wspomnień.

– Przepraszam, nie dosłyszałem – mówi Pettigrew, spoglądając na mnie spod uniesionych brwi.

Rumieniąc się z zakłopotania, otwieram usta, by odpowiedzieć, ale przeszkadza mi biedna Lucy Harper, która usiłuje przecisnąć się obok Stanwina, aby wziąć ze stołu pusty talerz. Jest ładniejsza, niż pamiętam, piegowata, o niebieskich oczach; próbuje wsunąć z powrotem pod czepek niesforne rude włosy.

– Przepraszam, Ted – mówi.

– Ted? – rzuca ze złością Stanwin, po czym łapie ją za nadgarstek i ściska tak mocno, że dziewczyna krzywi się z bólu. – Jak ci się wydaje, do kogo mówisz, Lucy? Dla ciebie jestem pan Stanwin i nie gniję już ze sznurami na dole.

Wstrząśnięta i przestraszona, spogląda po naszych twarzach w poszukiwaniu pomocy.

W odróżnieniu od Sebastiana Bella Dance jest bystrym obserwatorem ludzkiej natury i gdy oglądam scenę rozgrywającą się na moich oczach, uderza mnie coś dziwnego. Kiedy pierwszy raz byłem świadkiem tego

starcia, zauważyłem tylko lęk Lucy wywołany fizycznym atakiem, a teraz oprócz strachu widzę też zdziwienie dziewczyny. I zdenerwowanie. To zaskakujące, ale podobne wrażenie sprawia Stanwin.

– Puść ją, Ted – mówi od drzwi Daniel Coleridge.

Reszta incydentu przebiega tak, jak go pamiętam: Stanwin rejteruje, a Daniel zabiera Bella i prowadzi go do gabinetu na spotkanie z Michaeliem, po drodze witając mnie lekkim skinieniem głowy.

– Idziemy? – pyta Pettigrew. – Przypuszczam, że to już koniec przedstawienia.

Korci mnie, by poszukać Stanwina, nie mam jednak ochoty wspinać się po schodach i zapuszczać się do wschodniego skrzydła, skoro wiem na pewno, że wybiera się na polowanie. Dochodzę do wniosku, że lepiej poczekać na niego tutaj.

Przepychając się przez zgorszony tłum, wychodzimy przez hol na podjazd, gdzie czeka już na nas Sutcliffe w towarzystwie Herringtona i kilku innych mężczyzn, których nie rozpoznaję. Na niebie piętrzą się ciemne chmury, ciężkie od burzy, która na moich oczach nadciąga nad Blackheath już po raz szósty. Myśliwi stoją zbici w ciasną grupę, przytrzymując czapki i poły kurtek, które szarpie wiatr jak tysiące złodziejskich rąk. Tylko psy wykazują zapał – naprężają smycze i szczekają w półmrok. Zapowiada się okropne popołudnie, a jeszcze gorsza jest świadomość, że w taką pogodę właśnie wyruszam do lasu.

– Serwus! – woła do nas Sutcliffe, którego kurtka jest przyprószona łupieżem na ramionach.

Herrington wita nas skinieniem głowy, próbując zetrzeć z butów jakąś nieprzyjemną substancję.

– Widzieliście małą utarczkę Daniela Coleridge’a ze Stanwinem? – pyta. – Wydaje mi się, że jednak postawiliśmy na właściwego konia.

– Zobaczymy – odpowiada ponuro Sutcliffe. – A w ogóle gdzie zniknął Daniel?

Rozglądam się, ale nigdzie go nie widzę, wzruszam więc ramionami.

Gajowi rozdają strzelby tym, którzy nie przywieźli swoich, także mnie. Moja, wypolerowana i naoliwiona, jest otwarta i widać dwa czerwone pociski tkwiące w komorach. Inni najwyraźniej mają doświadczenie w posługiwaniu się bronią i natychmiast sprawdzają celownik, mierząc z luf do wyimaginowanego celu na niebie; Dance nie podziela jednak ich

entuzjazmu do łowów, dlatego czuję się nieco bezradny. Widząc, jak przez kilka minut usiłuję sobie poradzić ze strzelbą, zniecierpliwiony gajowy pokazuje mi, jak mam ją oprzeć na przedramieniu, po czym wręcza mi pudełko amunicji i zajmuje się następnym myśliwym.

Muszę przyznać, że broń poprawia mi samopoczucie. Od rana mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi, więc cieszę się, że kiedy wejdę do lasu, będę uzbrojony. Lokaj z pewnością czeka, aby przydybać mnie, gdy będę sam, i niech mnie diabli, jeżeli ułatwię mu zadanie.

Nie wiadomo skąd pojawia się przy nas Michael Hardcastle i chucha w zmarznięte dłonie.

– Przepraszam za spóźnienie, panowie – mówi. – Ojciec polecił mi przekazać, że bardzo żałuje, ale coś go zatrzymało. Prosi, żebyśmy ruszali bez niego.

– A co mamy zrobić, jeżeli znajdziemy martwą kobietę, o której mówił Bell? – pyta sarkastycznym tonem Pettigrew.

Michael spogląda na niego krzywym okiem.

– Proszę o odrobinę chrześcijańskiego miłosierdzia. Doktor wiele przeszedł.

– Wiele, co najmniej pięć butelek – rzuca Sutcliffe, wywołując rehot wszystkich oprócz Michaela. Dostrzega groźne spojrzenie młodego człowieka i unosi ręce w geście kapitulacji. – Daj spokój, Michael, przecież widziałeś, w jakim stanie był wczoraj Bell. Chyba nie wierzysz, że naprawdę coś znajdziemy? Nikt nie zaginął, ten człowiek majaczy.

– Bell tego nie wymyślił – oświadcza Michael. – Widziałem jego rękę, ktoś ją pociął na strzępy.

– Pewnie przewrócił się i upadł na własną butelkę – prycha z pogardą Pettigrew, zacierając rękę.

Przerywa nam gajowy, który podaje Michaelowi czarny rewolwer. Pomijając długą rysę na lufie, wygląda identycznie jak broń, którą dziś wieczorem zabierze na cmentarz Evelyn – jeden z dwóch rewolwerów wyniesionych z sypialni Heleny Hardcastle.

– Naoliwiłem go dla pana – informuje gajowy, uchyla czapki i odchodzi.

Michael wsuwa broń do kabury na pasie i wraca do rozmowy, zupełnie nieświadomy mojego zaciekawienia.

– Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak się tym denerwują – ciągnie. – Polowanie było organizowane przez kilka dni. Po prostu pójdziemy w inną

stronę, niż wcześniej zamierzaliśmy, nic więcej. Jeśli coś zauważymy, doskonale. Jeżeli nie, nic się nie stanie, przynajmniej uspokojmy Bella.

Kilka osób spogląda wyczekująco w moją stronę, jako że to Dance ma decydujący głos w tych kwestiach. Od konieczności wygłoszenia swojego zdania wybawia mnie szczekanie psów, które gajowi wypuścili nieco naprzód i które ciągną nasze towarzystwo przez trawnik w stronę lasu.

Odwracam się w kierunku Blackheath, aby poszukać wzrokiem Bella. Stoi w oknie gabinetu, częściowo ukryty za zasłonami z czerwonego aksamitu. W tym świetle i z tej odległości przywodzi na myśl zjawę, choć przypuszczam, że to raczej dom go straszy.

Pozostali myśliwi już wchodzą do lasu, a gdy tam docieram, zdążyli się już rozdzielić na mniejsze grupki. Muszę porozmawiać ze Stanwinem o Helenie, ale idzie szybkim krokiem i trzyma się z dala od nas. Niemal tracę go z oczu, tym bardziej więc nie mogę go zagadnąć i poddaję się, postanawiając, że przyprę go do muru, kiedy zatrzymamy się na odpoczynek.

Obawiając się spotkania z Lokajem, dołączam do Sutcliffe'a i Pettigrew, którzy nadal zastanawiają się nad konsekwencjami umowy lorda Hardcastle'a z Danielem. Dobry nastrój szybko ich jednak opuszcza. Atmosfera lasu jest przytłaczająca, tłumi do szeptu każde wypowiedziane słowo, a dwadzieścia minut później w ogóle gasi wszystkie rozmowy. Nawet psy umilkły i węszą z nosami przy ziemi, ciągnąc nas coraz głębiej w mrok. Ciężar strzelby dodaje mi otuchy; ściskam ją kurczowo i choć szybko się męczę, staram się nie zostawać w tyle za resztą.

– Korzystaj, staruszkule! – woła zza moich pleców Daniel Coleridge.

– Słucham? – Ospale wynurzam się z zamyślenia.

– Dance jest jednym z lepszych wcieleń – mówi Daniel, podchodząc bliżej.

– Bystry umysł, opanowanie, całkiem sprawne ciało.

– Czuję się, jakby to całkiem sprawne ciało przeszło nie dziesięć, ale tysiąc mil. – Słyszę znużony ton we własnym głosie.

– Michael zarządził, żebyśmy się rozdzielili. Starsi panowie będą mieli chwilę wytchnienia, a młodszy pójdą dalej. Nie martw się, niedługo będziesz miał okazję dać odpocząć nogom.

Wchodzimy między gęste zarośla, które odgradzają nas od siebie i zmuszają, abyśmy kontynuowali rozmowę, nie widząc się wzajemnie, jak para kochanków w labiryncie.

– Przeklęte utrapienie z tym wiecznym zmęczeniem – skarżę się. Między liśćmi co chwilę miga mi postać Daniela. – Nie mogę się doczekać młodości Coleridge’a.

– Niech ta przystojna twarz cię nie zwiedzie – mówi refleksyjnie. – Dusza Coleridge’a jest czarna jak smoła. Trzymanie go w ryzach to wyczerpujące zajęcie. Wspomnisz moje słowa. Kiedy znajdziesz się w jego ciele, z wielką czułością pomyślisz o Dansie, więc korzystaj, póki możesz.

Krzewy rzedną, Daniel może się więc ze mną zrównać. Widzę, że ma podbite oko i lekko utyka, a przy każdym kroku krzywi się z bólu. Przypominam sobie, że widziałem te obrażenia podczas kolacji, ale w łagodnym blasku świec nie wyglądały aż tak poważnie. Muszę mieć niezwykle zdumioną minę, bo blado się uśmiecha.

– Nie jest tak źle, jak wygląda.

– Co się stało?

– Gonilem Lokaja w tajnych przejściach – oznajmia.

– Poszedłeś beze mnie? – Dziwię się jego lekkomyślności. Gdy układaliśmy plan osaczenia Lokaja w ukrytym pod domem labiryncie, było jasne, że do jego powodzenia potrzeba sześciu osób, po dwie na każde z trzech wyjść. Ponieważ Anna odmówiła pomocy, a Derby został pozbawiony przytomności, przypuszczałem, że Daniel zrezygnował z tej operacji. Najwyraźniej Derby to nie jedyne z moich wcieleń, które cechuje ośli upór.

– Nie miałem wyjścia, stary – odpowiada. – Myślałem, że już go mam. Okazuje się, że nie. Na szczęście udało mi się odeprzeć atak, zanim zdążył puścić w ruch nóż.

Każde jego słowo kipi od złości. Wyobrażam sobie, co to za uczucie, gdy człowiek jest tak zaabsorbowany przyszłością, że daje się zaskoczyć terażniejszości.

– Odkryłeś już sposób uwolnienia Anny? – pytam.

Daniel z bolesnym jękiem zarzuca sobie strzelbę na ramię. Nawet utykając, gdy idzie w moim wolnym tempie, ledwie trzyma się na nogach.

– Nie i nie przypuszczam, że to zrobię – mówi. – Przykro mi. Nielatwo to przyjąć do wiadomości, ale tylko jedno z nas może opuścić Blackheath i im bliżej jedenastej wieczorem, tym bardziej wydaje się prawdopodobne, że Anna nas zdradzi. Odtąd możemy ufać tylko sobie.

Ona pana zdradzi.

Czy to właśnie ta chwila, przed którą ostrzegał mnie Doktor Dżuma? Przyjaźń to nic trudnego, kiedy wszyscy mogą odnieść korzyść, ale teraz... Jak zareaguje Anna na wieść, że Daniel ją skreślił?

Jak ty zareagujesz?

Wyczuwając moje wahanie, Daniel pocieszającym gestem kładzie mi dłoń na ramieniu. Nagle uświadamiam sobie ze zdumieniem, że Dance podziwiał tego człowieka. Jego poczucie celu budzi w nim entuzjazm, jego determinacja współbrzmi z cechą, którą moje wcielenie wysoko ceni u siebie. Być może dlatego Daniel przekazał tę wiadomość Dance'owi, a nie innemu z naszych wcieleń. Ci dwaj stanowią swoje lustrzane odbicie.

– Nie powiedziałaś jej, prawda? – niepokoje się. – O tym, że nasza propozycja jest nic niewarta?

– Byłem nieuważny.

– Wiem, że to trudne, ale musisz to wszystko zachować dla siebie. – Daniel obdarza mnie wielkim zaufaniem, jakby powierzał sekret dziecku. – Jeśli mamy przechytryć Lokaja, będzie nam potrzebna pomoc Anny. A nie uzyskamy jej, jeżeli się dowie, że nie dotrzymamy umowy.

Za nami rozlegają się ciężkie kroki i oglądając się przez ramię, widzę Michaela, który zbliża się do nas, a jego zwykle uśmiechnięta twarz jest wyraźnie nachmurzona.

– Wielkie nieba – wita go Daniel. – Wyglądasz, jakby ktoś kopnął twojego psa. Co się stało, u licha?

– Przekłete poszukiwania – rzuca ze złością. – Bell widział, jak zamordowano jakąś dziewczynę, a mimo to nikt nie traktuje tego poważnie. Nie proszę o wiele, tylko żeby się rozglądali, gdy idą przez las. Żeby może od czasu do czasu przerzucili kupę liści.

Daniel kaszle, posyłając Michaelowi zakłopotane spojrzenie.

– Och. – Michael marszczy brwi. – Zła wiadomość, tak?

– Nie, naprawdę dobra – zapewnia go pospiesznie Daniel. – Nie ma żadnej martwej dziewczyny. To nieporozumienie.

– Nieporozumienie – powtarza wolno Michael. – Jak, u diabła, to może być nieporozumienie?

– W lesie był Derby – mówi Daniel. – Przestraszył służącą, emocje wzięły górę i twoja siostra do niego strzeliła. Bell przez pomyłkę wziął to za morderstwo.

– Przeklęty Derby! – Michael raptownie rusza w kierunku domu. – Nie zamierzam na to dłużej pozwalać. Niech sobie schodzi na psy, ale u kogoś innego.

– To nie była jego wina – zatrzymuje go Daniel. – Przynajmniej nie tym razem. Chociaż trudno w to uwierzyć, Derby chciał pomóc. Po prostu nie zrozumiał.

Michael przystaje i przygląda mu się podejrzliwie.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie. – Daniel obejmuje napięte ramiona przyjaciela. – To było tylko straszne nieporozumienie. Nikt nie jest winny.

– Derby’emu zdarza się pierwszy raz być niewinnym.

Michael wzdycha zrezygowany; wyparowuje z niego wściekłość, a z twarzy znika grymas. Ten człowiek ulega ulotnym emocjom, szybko wpada w gniew, łatwo daje się rozbawić i równie łatwo się nudzi. Przez chwilę wyobrażam sobie, jak by to było znaleźć się w jego umyśle. Beznamiętność Dance’a ma swoje wady, ale jest niewątpliwie lepsza od huśtawki nastrojów Michaela.

– Przez cały ranek powtarzam gościom, że w lesie leży ciało dziewczyny i że powinni się wstydzić takiego szampańskiego humoru – mówi zmieszany Michael. – Jak gdyby ten weekend nie był już dla nich wystarczająco przygnębiający.

– Pomagałeś przyjacielowi. – Daniel posyła mu ojcowski uśmiech. – Nie masz się czego wstydzić.

Jego życzliwość zaskakuje mnie i bardzo cieszy. Mimo że podziwiam zaangażowanie Daniela w realizację planu ucieczki z Blackheath, jego bezwzględne dążenie do celu napawa mnie obawą. Podejrzliwość mam już we krwi, a teraz jeszcze z minuty na minutę ogarnia mnie coraz większy lęk. Łatwo byłoby uznać wszystkich za wrogów i odpowiednio potraktować, dlatego fakt, że Daniel nadal potrafi wznieść się ponad takie myśli, podnosi mnie na duchu.

Gdy on i Michael idą obok siebie, wykorzystuję okazję, by zapytać tego drugiego o kilka spraw.

– Zwróciłem uwagę na ten rewolwer. – Wskazuję na kaburę. – Należy do twojej matki, prawda?

– Tak? – Młody człowiek wygląda na autentycznie zdziwionego. – Nawet nie wiedziałem, że matka trzyma broń. Dzisiaj rano dała mi go Evelyn.

– Po co dała ci rewolwer? – pytam.

Michael rumieni się z zażenowania.

– Nie przepadam za polowaniami. – Kopie kupkę liści, która znalazła się na jego drodze. – Słabo mi się robi na widok krwi i tego wierzgania zwierząt. W ogóle nie miało mnie tu być, ale przez to poszukiwanie i nieobecność ojca nie miałem większego wyboru. Czułem się przez to okropnie, ale Evelyn to spryciara. Dała mi to... – poklepuje broń – i powiedziała, że nie sposób z tego trafić do żadnego celu, ale gdy będę próbował, zrobię przynajmniej duże wrażenie.

Daniel stara się powstrzymać wybuch śmiechu, na co Michael odpowiada dobrodusznym uśmiechem.

– Gdzie są twoi rodzice, Michaelu? – pytam, nie zwracając uwagi na ich żarty. – Sądziłem, że to ich przyjęcie, a tymczasem wygląda na to, że ciężar wszystkich obowiązków spada wyłącznie na twoje barki.

Posępnieje i drapie się w kark.

– Ojciec zamknął się w stróżówce, wujku Edwardzie. Jak zwykle rozmyśla.

Wujku?

Wracają strzępy wspomnień Dance'a, ulotne sceny z trwającej całe życie przyjaźni z Peterem Hardcastle'em, dzięki której stałem się honorowym członkiem rodziny. Jeżeli coś nas łączyło, już dawno zatarł to czas, zaskakuje mnie jednak uczucie, jakim nadal darzę tego chłopaka. Znam go od dziecka. Jestem z niego dumny. Bardziej niż z własnego syna.

– A matka... – ciągnie Michael, nieświadomy mojej chwilowej konsternacji – prawdę mówiąc, odkąd tu przyjechaliśmy, dziwnie się zachowuje. Liczyłem nawet na to, że porozmawiasz z nią w cztery oczy. Wydaje mi się, że mnie unika.

– Mnie też – odpowiadam. – Nie udało mi się jeszcze jej dzisiaj spotkać.

Milknie, podejmując jakąś decyzję. Zniża głos i rzuca poufnym tonem:

– Boję się, że przestała nad sobą panować.

– Przestała panować?

– Zachowuje się jak zupełnie inna osoba – wyjaśnia zmartwiony. – Raz jest zadowolona, a po chwili wpada w złość. Nie sposób się w tym zorientować, poza tym patrzy tak, jakby nas nie poznawała.

Rywalka?

Doktor Dżuma mówił, że jest nas troje: Lokaj, Anna i ja. Nie wiem, w jakim celu miałyby kłamać. Zerkałam ukradkiem na Daniela, aby ocenić, czy wie coś więcej na ten temat, on jednak skupia całą uwagę na Michaelu.

– Kiedy zaczęła się tak zachowywać? – pytam od niechcienia.

– Trudno powiedzieć, wydaje się, że zawsze taka jest.

– Ale kiedy pierwszy raz to zauważyłeś?

Przygryza wargę, szukając w pamięci chwili, o którą pytam.

– Ubrania! – woła nagle. – Tak, to musiało być wtedy. Opowiadałem ci o ubraniach? – Patrzy na Daniela, lecz ten kręci głową z obojętnym wyrazem twarzy. – Daj spokój, przecież musiałem ci mówić. To było jakiś rok temu.

Daniel ponownie zaprzecza ruchem głowy.

– Matka przyjechała do Blackheath na swoją roczną makabryczną pielgrzymkę, ale kiedy wróciła do Londynu, wpadła do mojego mieszkania w Mayfair i zaczęła krzyczeć, że znalazła ubrania – opowiada Michael takim tonem, jakby się spodziewał, że Daniel lada chwila ożywi się i przypomni sobie tę historię. – Nie powiedziała nic więcej, tylko że znalazła ubrania, i spytała, czy coś o nich wiem.

– Czyje to były ubrania? – Staram się okazać zainteresowanie.

Z początku zaintrygowała mnie wiadomość o zmianach w osobowości Heleny, ale jeżeli zaczęły się rok temu, to mało prawdopodobne, abym miał w niej rywalkę. I choć na pewno w jej zachowaniu jest coś dziwnego, nie wiem, w jaki sposób jakaś odzież miałaby pomóc wyjaśnić, co to jest.

– Pojęcia nie mam. – Michael bezradnie rozkłada ręce. – Nie potrafiłem wyciągnąć od niej niczego sensownego. W końcu udało mi się ją uspokoić, ale nie mogła przestać mówić o tych ubraniach. Powtarzała, że wszyscy się dowiedzą.

– O czym? – pytam.

– Nie powiedziała i wyjechała krótko potem, ale była niewzruszona.

Nasza grupa się przeredza, ponieważ psy ciągną myśliwych w różnych kierunkach, a Herrington, Sutcliffe i Pettigrew czekają na nas kawałek dalej. Najwyraźniej nie wiedzą, co robić, więc Michael żegna się z nami i biegnie naprzód, aby wskazać drogę.

– Co o tym sądzisz? – zwracam się do Daniela.

– Jeszcze nie wiem – odpowiada wymijająco.

W zamyśleniu patrzy na oddalającego się Michaela. Idziemy dalej w milczeniu, dopóki nie docieramy do opuszczonej wioski u stóp urwiska.

Przy rozstaju gruntowych dróg stoi osiem domków z kamienia, krytych strzechą, która już przegniła, a podpierające ją niegdyś bale dawno się przewróciły. Widać tu jeszcze ślady życia dawnych mieszkańców: wśród gruzów stoi wiadro, przy drodze leży kowadło. Dla niektórych być może byłby to uroczy, sielski widok, ja jednak widzę tylko pozostałości ubóstwa, które ludzie chętnie porzucili.

– Już prawie pora – mruczy pod nosem Daniel, patrząc na wioskę.

Nie umiem rozszyfrować jego miny, której towarzyszy ton niecierpliwości, podniecenia i odrobiny lęku. Ciarki przebiegają mi po plecach. Wydarzy się tu coś ważnego, ale nie mam najmniejszego pojęcia, co to może być. Michael pokazuje Sutcliffe'owi i Pettigrew jeden ze starych kamiennych domów; Stanwin stoi oparty o drzewo i pogrążony w rozmyślaniach.

– Bądź gotów – radzi enigmatycznie Daniel, po czym znika między drzewami, zanim udaje mi się o cokolwiek spytać. W innym wcieleniu z pewnością ruszyłbym za nim, jestem jednak wyczerpany i muszę gdzieś na chwilę usiąść.

Sadowię się na kruszejącym murku i odpoczywam, a słuchając gwaru rozmów myśliwych, czuję, że opadają mi powieki. Wiek oplata się ciasno wokół mojego ciała i wbija mi kły w szyję, wysysając wszystkie siły właśnie wtedy, gdy ich najbardziej potrzebuję. To nieprzyjemne odczucie, może nawet gorsze od dźwigania masy Ravencourta. Kiedy minął pierwszy szok po wejściu w tamto cielsko, mogłem się przyzwyczaić do jego fizycznych ograniczeń. Inaczej jest w przypadku Dance'a, który nadal uważa się za pełnego wigoru młodzieńca i zdaje sobie sprawę ze swojego wieku dopiero wówczas, gdy przypadkiem spojrzy na własne pomarszczone dłonie. Nawet w tym momencie czuję jego dezaprobatę dla mojej decyzji, by poddać się zmęczeniu i usiąść.

Zirytowany z powodu opuszczającej mnie energii, szczypię się w ramię, usiłując nie zasnąć.

Ciekaw jestem, ile lat mam poza Blackheath. Dotąd nie zastanawiałem się nad tym, było za mało czasu, aby go trwonić na jałowe rozważania, teraz jednak modlę się o młodość, siłę, zdrowe ciało i umysł. Gdybym stąd uciekł i został na stałe uwięziony w...

Dzień drugi (ciąg dalszy)

Budzę się raptownie i widzę, jak wzdryga się Doktor Dżuma, który patrzy właśnie na złoty zegarek kieszonkowy, oświetlając go świecą oblewającą jego maskę mdłym żółtym blaskiem. Znów jestem w ciele kamerdynera i leżę opatulony w pościel.

– Punktualnie co do minuty – oznajmia Doktor Dżuma i z trzaskiem zamyka zegarek.

Wygląda na to, że już zmierzcha; pokój pogrąża się w mroku, który tylko częściowo jest rozpraszanym płomykiem świecy. Na łóżku obok mnie leży strzelba Anny.

– Co się stało? – pytam ochrypłym głosem.

– Dance drzemie na murku. – Doktor Dżuma chichocze, po czym stawia świecę na podłodze i siada na krzeselku obok łóżka. Jest dla niego zdecydowanie za małe i jego szeroki płaszcz przykrywa je w całości.

– Nie, pytam o strzelbę. Czemu ją mam?

– Położyło ją jedno z pańskich wcieleń. Proszę się nie fatygować i nie wołać Anny – dodaje, zauważywszy, że patrzę na drzwi. – Nie ma jej w stróżówce. Przyszedłem ostrzec, że pańskiemu rywalowi prawie udało się wyjaśnić sprawę morderstwa. Spodziewam się, że przyjdzie dzisiaj spotkać się ze mną nad jeziorem. Od tej chwili musi pan działać szybko.

Usiłuję się wyprostować, ale okropne klucie w żebrach natychmiast uniemożliwia mi dalsze próby.

– Dlaczego tak się pan mną interesuje? – pytam, gdy ból łagodnieje i wraca do znanych mi już miejsc.

– Słucham?

– Dlaczego ciągle przychodzi pan prowadzić te rozmowy? Wiem, że nie zadaje pan sobie trudu, żeby spotykać się z Anną, i mogę się założyć, że

z Lokajem też się pan często nie widuje.

– Jak się pan nazywa?

– Czemu to ma...

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – mówi, stukając laską w podłogę.

– Edward Da... nie, Derby. Jestem... jestem... – Płaczę się przez moment. – Aiden... jakiś tam.

– Przegrywa pan z nimi, panie Bishop. – Prostuje się i krzyżuje ręce na piersi. – Już od pewnego czasu. Właśnie dlatego daliśmy panu tylko osiem wcieleń. Gdyby było ich więcej, pański charakter nie umiałby się już przebić przez ich osobowości.

Ma rację. Moje wcielenia stają się coraz silniejsze, podczas gdy ja słabnę. Dzieje się to stopniowo i podstępnie. Jak gdybym zasnął na plaży, a obudził się na pełnym morzu.

– Co mam robić? – Czuję, jak ogarnia mnie fala paniki.

– Wytrzymać. – Wzrusza ramionami. – Nic więcej pan nie może. W pana głowie odzywa się głos, na pewno już go pan słyszał. Oschły i nieco beznamiętny? Brzmi spokojnie, kiedy wpada pan w panikę, i odważnie, kiedy się pan boi.

– Słyszałem go.

– Właśnie tyle zostało z prawdziwego Aideny Bishopa, człowieka, który wszedł do Blackheath. To tylko niewielki fragment, kawałeczek jego osobowości, który zostaje z panem od cyklu do cyklu, ale kiedy zaczyna pan gubić drogę, proszę słuchać tego głosu. To pańska latarnia morska. Wszystko, co pozostało z człowieka, którym pan kiedyś był.

Wstaje z głośnym szelestem, a od gwałtownego ruchu powietrza mruga płomyk świecy. Doktor Dżuma schyla się, by wziąć świecę z podłogi, po czym kieruje się do drzwi.

– Chwileczkę – zatrzymuję go.

Przystaje odwrócony plecami do mnie. Światło świecy tworzy wokół niego ciepłą aureolę.

– Ile razy już to wszystko robiliśmy? – pytam.

– Przypuszczam, że tysiące. Więcej, niż potrafię zliczyć.

– Dlaczego więc ciągle mi się nie udaje?

Wzdycha i patrzy na mnie przez ramię. W jego postawie widać znużenie, jak gdyby odkładał się na nim każdy cykl, przygniatając go coraz większym ciężarem.

– Sam od czasu do czasu zadaję sobie to pytanie. – Po świecy ścieka stopiony wosk i plami mu rękawiczkę. – Swoją rolę odgrywa tu przypadek, potyka się pan, kiedy mógłby pana uratować tylko pewny krok. Przede wszystkim jednak sędzę, że to przez pańską naturę.

– Moją naturę? Uważa pan, że porażka jest mi przeznaczona?

– Przeznaczona? Nie. To by był wykręt, a Blackheath nie toleruje wykrętów – mówi. – Nic, co się tu dzieje, nie jest nieuniknione, chociaż może się wydawać inaczej. Zdarzenia toczą się w ten sam sposób dzień po dniu, ponieważ inni goście dzień po dniu podejmują te same decyzje. Postanawiają iść na polowanie, postanawiają zdradzić kogoś; jeden z nich za dużo wypija i nie przychodzi na śniadanie, tracąc szansę na spotkanie, które na zawsze odmieniłoby jego życie. Nie widzą innej możliwości, więc nigdy się nie zmieniają. Pan się od nich różni, panie Bishop. Cykl po cyklu przyglądam się, jak pan reaguje na życzliwość i okrucieństwo, na różne zdarzenia losowe. Podejmuje pan różne decyzje, a mimo to w kluczowych momentach powtarza te same błędy. Jak gdyby jakaś siła bezustannie ciągnęła pana w przepaść.

– Twierdzi pan, że aby uciec, muszę się stać kimś innym?

– Twierdzą, że każdy człowiek żyje w klatce, którą sam sobie zbudował – wyjaśnia. – Ten Aiden Bishop, który pierwszy raz przekroczył próg Blackheath... – wzdycha, jakby to wspomnienie sprawiało mu przykrość – był nieugięty w tym, co i jak chciał osiągnąć. Ten człowiek nigdy nie zdołałby uciec z Blackheath. Aiden Bishop, którego teraz mam przed sobą, jest inny. Chyba jest pan bliższy celu niż dotąd, ale już wcześniej tak sądziłem i dałem się zwieść. Prawda jest taka, że nie został pan poddany próbie, ta chwila jednak nadchodzi i jeżeli się pan zmienił, naprawdę zmienił, to kto wie, być może jeszcze jest dla pana nadzieja.

Pochyla się, by nie uderzyć głową w niską framugę, i ze świecą w ręce wychodzi na korytarz.

– Po Edwardzie Dansie zostały panu cztery wcielenia, wliczając resztę dnia kamerdynera i Donalda Daviesa. Proszę uważać, panie Bishop, Lokaj nie spocznie, dopóki wszyscy nie będą martwi, a na pewno nie może pan sobie pozwolić na to, by stracić choć jednego z nich.

Z tymi słowami zamyka drzwi.

Dzień szósty (ciąg dalszy)

Wszystkie lata przeżyte przez Dance'a spadają na mnie jak tysiące małych ciężarków.

Za moimi plecami Michael rozmawia ze Stanwinem, Sutcliffe i Pettigrew, z drinkami w dłoniach, ryczą gromkim śmiechem.

Nade mną stoi Rebecca ze srebrną tacą, na której został ostatni kieliszek brandy.

– Rebecca – mówię z czułością i omal nie wyciągam ręki, by dotknąć policzka żony.

– Nie, proszę pana, jestem Lucy, Lucy Harper – odpowiada zaniepokojona służąca. – Przepraszam, że pana budzę, bałam się, że spadnie pan z tego murku.

Odpędzam od siebie wspomnienie nieżyjącej żony Dance'a, wymyślając sobie od głupców. Co za absurdalna pomyłka! Na szczęście pamięć o życzliwości, jaką Lucy okazała kamerdynerowi, nieco łagodzi moją złość na to, że przyłapała mnie w chwili przyływu sentymentalizmu.

– Chciałby się pan napić na rozgrzewkę? – pyta.

Patrząc w bok, dostrzegam pokojówkę Evelyn, Madeline Aubert, która pakuje do dużego kosza brudne kieliszki i opróżnione do połowy butelki brandy. Musiały obie przynieść alkohol z Blackheath i zjawily się, kiedy spałem. Pewnie drzemałem dłużej, niż mi się zdawało, ponieważ służące zbierają się już do drogi powrotnej.

– Chyba już i tak ledwie trzymam się na nogach – mówię.

Jej spojrzenie prześlizguje się ponad moim ramieniem w stronę Teda Stanwina, który zaciska dłoń na ramieniu Michaela Hardcastle'a. Na jej twarzy maluje się niepewność, której trudno się dziwić, zważywszy na to, jak ten pierwszy potraktował ją podczas lunchu.

– Nie martw się, Lucy, zaniosę mu – proponuję, wstając i biorąc z tacy kieliszek brandy. – I tak chcę z nim porozmawiać.

– Dziękuję panu. – Rozpromienia się w uśmiechu i odchodzi, zanim zdążę się rozmyślić.

Kiedy się do nich zbliżam, Stanwin i Michael milkną, ale słyszę niewypowiedziane słowa i niepokój, który pojawia się w ich miejsce.

– Michaelu, pozwolisz, że zamienię z panem Stanwinem parę słów na osobności? – pytam.

– Oczywiście. – Michael skłania głowę, po czym się oddala.

Podaję Stanwinowi drinka, nie zwracając uwagi na podejrzliwe spojrzenie, jakim obrzuca kieliszek.

– Rzadko się zdarza, żeby zniżał się pan do rozmowy ze mną, Dance. – Stanwin mierzy mnie wzrokiem jak bokser swojego przeciwnika w ringu.

– Pomyślałem, że możemy sobie nawzajem pomóc – mówię.

– Zawsze chętnie zawieram nowe przyjaźnie.

– Chcę wiedzieć, co pan widział tamtego ranka, kiedy zamordowano Thomasa Hardcastle'a.

– To stara historia. – Przesuwa palcem po krawędzi kieliszka.

– Ale warto o niej posłuchać z pierwszej ręki – zauważam.

Patrzy ponad moim ramieniem na Madeline i Lucy, które odchodzą, dźwigając kosz. Mam wrażenie, że próbuje zająć czymś uwagę. Dance ma w sobie coś, co wywołuje w nim napięcie.

– Pewnie nic się nie stanie, jeżeli opowiem. – Odchrząkuje i wraca do mnie wzrokiem. – Byłem wtedy gajowym w Blackheath. Jak co dzień rano robiłem obchód wokół jeziora, kiedy zobaczyłem, jak Carver z innym łajdakiem, który stał plecami do mnie, dźgają nożem chłopca. Strzeliłem do tego drugiego, ale uciekł do lasu, gdy siłowałem się z Carverem.

– I za to lord i lady Hardcastle podarowali panu plantację?

– Podarowali, chociaż nie prosiłem – sarka.

– Masztalerz Alf Miller twierdzi, że tego dnia rano, kilka minut przed atakiem, z Carverem spotkała się Helena Hardcastle. Co pan na to?

– Miller to opój i przekłety łgarz – oświadcza spokojnie Stanwin.

Nasłuchuję drżenia w jego głosie, szukam jakiejś oznaki zdenerwowania, ale to wytrawny kłamca; kiedy się zorientował, czego chcę, natychmiast opanował niepokój. Czuję, jak szala przechyla się na stronę Stanwina, który jest coraz pewniejszy siebie.

Nie doceniłem go.

Sądziłem, że uda mi się go zastraszyć tak samo jak masztalerza i Dickiego, lecz nerwowość Stanwina nie była objawem lęku, to niepewność człowieka, który znalazł jedno jedyne pytanie w stosie znanych odpowiedzi.

– Niech mi pan powie, panie Dance... – Pochyliła się, aby szepnąć mi do ucha: – Kto jest matką pańskiego syna? Wiem, że to nie była nieboszczka Rebecca. Proszę mnie źle nie zrozumieć, mam kilka typów, ale gdyby powiedział mi pan od razu, oszczędziłoby mi to kosztów potwierdzania tych przypuszczeń. Być może nawet w zamian za wyświadczoną usługę obniżyłbym panu wysokość miesięcznej raty.

Krew ścina mi się w żyłach. Ten sekret tkwi w najgłębszym zakamarku duszy Dance'a. To jego największy wstyd, jedyna słabość, a Stanwin właśnie zacisnął go w pięści.

Nie potrafiłbym odpowiedzieć, nawet gdybym chciał.

Stanwin odsuwa się ode mnie i jednym zamaszystym ruchem wylewa zawartość kieliszka w krzaki.

– Kiedy następnym razem przyjdzie pan zrobić ze mną interes, proszę wcześniej sprawdzić, czy ma pan coś...

Za mną rozlega się huk wystrzału.

Coś chlapie mi na twarz, jakaś siła ciska do tyłu ciało Stanwina, które bezwładnie pada na ziemię. Dzwoni mi w uszach, a dotknąwszy policzka, widzę na swoich palcach krew.

Krew Stanwina.

Ktoś piszczy, inni wstrzymują oddech i krzyczą.

Przez chwilę nikt się nie rusza, a potem ruszają się wszyscy.

Michael i Clifford Herrington podbiegają do ciała, wołając, żeby ktoś wezwał doktora Dickiego, nie ulega jednak wątpliwości, że szantażysta nie żyje. Ma rozerwaną pierś, uleciało zło, które nim powodowało. Jedno oko wpatruje się we mnie oskarżycielsko. Chcę go zapewnić, że to nie moja wina, że to nie ja. Konieczność powiedzenia mu o tym staje się dla mnie nagle najważniejszą rzeczą na świecie.

To szok.

Słyszę szelest w krzakach, z których wychodzi Daniel, trzymając strzelbę z dymiącą lufą. Patrzy na zwłoki tak obojętnie, że mógłbym niemal uwierzyć w jego niewinność.

– Coś ty zrobił, Coleridge?! – krzyczy Michael, sprawdzając Stanwinowi puls.

– To, co obiecałem twojemu ojcu – odpowiada Daniel beznamiętnym tonem. – Sprawilem, że Ted Stanwin już nigdy nie będzie szantażował nikogo z was.

– Zamordowałeś go!

– Tak. – Daniel spogląda w jego zszokowane oczy. – Zamordowałem. – Sięga do kieszeni i podaje mi jedwabną chusteczkę. – Wytrzymaj się, staruszkule – radzi.

Biorę ją bezmyślnie, nawet mu dziękuję. Jestem zupełnie oszołomiony. Cała sytuacja wydaje się kompletnie nierealna. Ścierając z twarzy krew Stanwina, uważnie oglądam szkarłatną smugę na chusteczce, jakby mogła mi wyjaśnić, co tu się dzieje. Rozmawiałem ze Stanwinem, a po chwili już nie żył i nie rozumiem, jak to się mogło stać. Przecież powinno być coś więcej. Pościg, strach, jakieś ostrzeżenie. Nie powinniśmy tak po prostu umierać. Wydaje się, jakby to było oszustwo. Tyle płacimy, za dużo się od nas żąda.

– Koniec z nami! – lamentuje Sutcliffe, ciężko opierając się o drzewo. – Stanwin zawsze mówił, że gdyby coś mu się stało, nasze sekrety wyjdą na jaw.

– Tym się martwisz? – atakuje go Herrington. – Coleridge na naszych oczach zamordował człowieka!

– Człowieka, którego wszyscy nienawidziliśmy – odparowuje Sutcliffe. – Nie udawaj, że nie myślałeś tak samo. Niech żaden z was nie udaje! Stanwin rujnował nas za życia i zniszczy nas po śmierci.

– Nie zniszczy – odzywa się Daniel, opierając sobie strzelbę na ramieniu.

On jeden pozostaje spokojny i nie zachowuje się jak ktoś zupełnie inny. To, co się dzieje, nic dla niego nie znaczy.

– Wszystko, co na nas ma... – mówi Pettigrew.

– Jest zapisane w księdze, która należy teraz do mnie – przerywa mu Daniel i wyjmuje papierosa ze srebrnej papierośnicy.

Nawet ręka mu nie drży. To moja ręka. Do diabła, co to Blackheath ze mną robi?

– Poleciałem komuś ją ukraść – ciągnie beztroskim tonem, zapalając papierosa. – Wasze sekrety są teraz moje i nigdy nie ujrzą światła dziennego. Sądzę, że każdy z was jest mi winien pewną obietnicę. Otóż nie wspomnicie

o tym nikomu do końca dnia. Czy to rozumiałe? Gdyby ktoś pytał, Stanwin został w lesie, kiedy wracaliśmy. Nie mówił po co i wszyscy widzieliście go wtedy ostatni raz.

Spoglądają po sobie bezradnie, zbyt osłupiali, aby się odezwać. Nie wiem, czy zdjęła ich groza na widok tragedii, której byli świadkami, czy po prostu oszołomił ich ogrom własnego szczęścia.

Mój szok powoli mija i zaczynam zdawać sobie sprawę z okropności czynu Daniela. Pół godziny temu chwaliłem go za okazanie odrobiny życzliwości Michaelowi. Teraz mam na sobie krew innego człowieka i uświadamiam sobie, jak bardzo nie doceniłem desperacji Daniela.

Swojej własnej desperacji. Oglądam swoją przyszłość i robi mi się od tego słabo.

– Chcę usłyszeć wasze słowo, panowie. – Daniel wydmuchuje dym kącikiem ust. – Powiedzcie, że rozumiecie, co się tutaj stało.

Rusza fala zapewnień, oględnych i zdawkowych, lecz szczerych. Tylko Michael wygląda na wytrąconego z równowagi.

Daniel patrzy mu w oczy i powtarza lodowato:

– I nie zapominajcie, że wszystkie wasze sekrety są teraz u mnie. – Czekaj, aby to do nich dotarło. – Myślę, że powinniśmy już wracać, zanim ktoś postanowi nas poszukać.

Propozycja spotyka się z pomrukiem aprobaty i wszyscy zanurzają się z powrotem w las. Daniel daje mi znak, abym został, i czeka, aż inni znajdą się w odpowiedniej odległości. Dopiero wtedy mówi:

– Pomóż mi przeszukać jego kieszenie. – Podwija rękawy. – Niedługo będą wracać tędy inni myśliwi i nie chcę, żeby nas widzieli przy zwłokach.

– Coś ty zrobił, Daniel? – syczę przez zaciśnięte zęby.

– Jutro będzie cały i zdrowy – odpowiada, machając lekceważąco ręką. – Przewróciłem tylko stracha na wróble.

– Mamy wyjaśniać zagadkę morderstwa, a nie popełniać nowe.

– Kiedy dasz chłopcu kolejkę elektryczną, natychmiast będzie próbował ją wykoleić – mówi. – To nie świadczy o jego charakterze, nie można go też oceniać na tej podstawie.

– Sądzisz, że to jest zabawa? – odburkuję, wskazując na ciało Stanwina.

– Układanka z kawałami jednorazowego użytku. Wystarczy ją ułożyć i wrócimy do domu. – Patrzy na mnie spod zmarszczonych brwi jak na

obcego, który pyta o drogę do nieistniejącego miejsca. – Nie rozumiem, czym się przejmujesz.

– Jeżeli rozwiążemy zagadkę zamordowania Evelyn w sposób, który proponujesz, nie zasłużymy na powrót do domu! Nie rozumiesz, że te maski nas zdradzają. Ujawniają nasze twarze.

– Bredzisz – rzuca, przeszukując kieszenie Stanwina.

– Najbardziej jesteśmy sobą wtedy, gdy nam się wydaje, że nikt nas nie widzi, nie zdajesz sobie z tego sprawy? Nie ma znaczenia, czy Stanwin jutro będzie żył, dzisiaj go zabiłeś. Zamordowałaś człowieka z zimną krwią i będziesz miał przez to skazę na duszy do końca życia. Nie wiem, dlaczego tu jesteśmy, Danielu, ani dlaczego to wszystko się nam przydarza, ale powinniśmy dowodzić, że to niesprawiedliwość, a nie pokazywać, że na to zasługujemy.

– Jesteś w błędzie. – W jego głosie pobrzmiwa nuta pogardy. – Tych ludzi nie można skrzywdzić, tak jak nie moglibyśmy skrzywdzić cieni rzucanych przez nich na ścianę. Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz.

– Żebyśmy trzymali się zasad! – Podnoszę głos. – Żebyśmy byli lepszymi ludźmi niż nasze wcielenia! Zabicie Stanwina było rozwiązaniem, na które wpadł Daniel Coleridge, ale ty nie powinienes go wybierać. Jesteś dobrym człowiekiem, nie wolno ci o tym zapominać.

– Dobrym człowiekiem – powtarza drwiąco. – Jeżeli człowiek unika nieprzyjemności, to nie znaczy, że jest dobry. Pomyśl o naszej sytuacji, zobacz, co z nami zrobiono. Żeby stąd uciec, musimy zrobić wszystko, co konieczne, nawet jeżeli przeciwstawia się temu nasza natura. Wiem, że się tym brzydzisz, że nie masz ochoty tego robić. Byłem taki sam, ale nie mam już czasu cackać się z etyką. Mogę to skończyć już dzisiaj i zamierzam to zrobić, więc nie oceniaj mnie po tym, jak bardzo trzymam się swojej szlachetności, tylko po tym, co jestem gotów poświęcić, żebyś mógł trzymać się swojej. Jeżeli mi się nie uda, zawsze możesz spróbować innego sposobu.

– A jak potem będziesz sobie z tym radzić? – pytam ostrym tonem.

– Spojrzę w oczy swoich bliskich i będę wiedział, że to, co tu straciłem, było o wiele mniej ważne od nagrody za to, że opuściłem to miejsce.

– Chyba w to nie wierzysz.

– Wierzę i ty też uwierzysz po kilku następnych dniach w Blackheath – odpowiada. – Proszę cię, pomóż mi go obszukać, zanim zastaną nas tutaj

myśliwi. Nie zamierzam marnować wieczoru na odpowiadanie na pytania policjanta.

Nie ma sensu się z nim spierać, ma już klapki na oczach.

Z ciężkim westchnieniem podchodzę do zwłok.

– Czego mam szukać? – pytam.

– Jak zawsze tego samego, odpowiedzi – wyjaśnia, rozpinając zakrwawioną kurtkę szantażysty. – Stanwin kolekcjonował wszystkie kłamstwa w Blackheath, w tym i ostatni kawałek naszej układanki, czyli powód zamordowania Evelyn. Każdy skrawek informacji został zapisany szyfrem w notatniku, a można go odczytać tylko dzięki notatnikowi z kluczem do szyfru. Pierwszy jest u mnie, ten drugi Stanwin stale nosi przy sobie.

Mówi o księdze ukradzonej z sypialni Stanwina przez Derby’ego.

– Masz go od Derby’ego? – pytam. – Kiedy tylko wpadł mi w ręce, dostałem w głowę.

– Oczywiście, że nie. Coleridge wcześniej polecił komuś zdobyć ten notatnik, zanim jeszcze wszedłem do jego ciała. Nie wiedziałem nawet, że interesuje się procederem Stanwina, dopóki nie dostarczono mi tego notesu. Jeśli to może cię pocieszyć, zastanawiałem się, czy cię nie ostrzec.

– Dlaczego więc nie ostrzegłeś?

Wzrusza ramionami.

– Derby to wściekły pies. Wydawało mi się, że będzie lepiej dla wszystkich, jeżeli pośpi sobie przez kilka godzin. Chodź, mamy mało czasu.

Wzdrygam się i klękam obok ciała. Tak nie powinien umierać człowiek, nawet taki jak Stanwin. Pierś ma rozszarpaną, całe ubranie przesiąkło krwią, która wycieka mi spomiędzy palców, kiedy zanurzam ręce w kieszeniach jego spodni.

Robię to powoli, z trudem powstrzymując się od odwracania wzroku.

Daniel nie ma takich skrupułów i sprawdza koszulę i marynarkę szantażysty, najwyraźniej odporny na widok zmasakrowanego ciała. Znajdujemy papierośnicę, scyzoryk i zapalniczkę, ale notatnika z szyfrem nie ma.

Spoglądamy na siebie.

– Trzeba go obrócić na brzuch – stwierdza Daniel, wyrażając moje myśli.

Stanwin był sporym mężczyzną i odwrócenie go wymaga dużego wysiłku. Warto się jednak natrudzić. Czuję się znacznie lepiej, przeszukując ciało,

które na mnie nie patrzy.

Daniel sprawdza nogawki, ja natomiast unoszę marynarkę i w podszewce dostrzegam obszyte byle jak wyrzuczenie.

Ogarnia mnie fala podniecenia, którego się wstydzę. Nie mam najmniejszej ochoty usprawiedliwiać metod Daniela, ale gdy jesteśmy bliscy odkrycia, emocje biorą górę.

Scyzorykiem Stanwina rozcinam szwy i do ręki wpada mi notes z szyfrem. Ledwie się wysuwa, zauważam, że pod podszewką kryje się coś jeszcze. Sięgam w głąb rozcięcia i wydaję niewielki srebrny medalion bez łańcuszka. W środku jest portret i choć jest stary i popękany, widzę, że przedstawia rudowłosą dziewczynkę, siedmio-, może ośmioletnią.

Pokazuję medalion Danielowi, ale jest zbyt pochłonięty przeglądaniem notesu z szyfrem, by zwrócić uwagę.

– To jest to – rzuca z przejęciem. – Nasz bilet na wolność.

– Mam taką nadzieję. Zapłaciliśmy za to wysoką cenę.

Kiedy unosi wzrok znad notatnika, wygląda zupełnie inaczej niż człowiek, który zaczynał go czytać. Nie jest to Daniel znany ani Bellowi, ani Ravencourtowi. To nie jest nawet człowiek sprzed kilku minut, który przekonywał mnie o konieczności swoich działań. To zwyczajca, jedną nogą już za progiem.

– Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem – oświadcza. – Nie mogliśmy jednak postąpić w inny sposób, musisz w to uwierzyć.

Być może nie jest dumny, ale się nie wstydzi. Wyraźnie to widzę i przypominam sobie ostrzeżenie Doktora Dżumy.

Ten Aiden Bishop, który pierwszy raz przekroczył próg Blackheath... był nieugięty w tym, co i jak chciał osiągnąć. Ten człowiek nigdy nie zdołałby uciec z Blackheath.

Daniel w desperacji popełnia te same błędy co ja, właśnie te, przed którymi ostrzegał mnie Doktor Dżuma.

Cokolwiek się stanie, nie mogę dopuścić, żeby ze mną stało się to samo.

– Możemy iść? – pyta Daniel.

– Znasz drogę do domu? – Rozglądam się po lesie, uświadamiając sobie, że nie mam pojęcia, skąd przyszliśmy.

– Na wschód – mówi.

– Czyli gdzie?

Wciska rękę do kieszeni i wydaję kompas Bella.

– Pożyczyłem od niego dzisiaj rano. – Kładzie go na dłoni. – Zabawne, jak wszystko się powtarza, prawda?

Dom pojawia się przed nami dość niespodziewanie; drzewa rozstępują się przed błotnistym trawnikiem i oknami rozjarzonymi od świateł. Muszę przyznać, że cieszy mnie ten widok. Choć miałem strzelbę, przez całą drogę oglądałem się przez ramię, szukając Lokaja. Jeżeli notes z szyfrem jest tak cenny, jak przypuszcza Daniel, muszę zakładać, że nasz wróg też chciałby wejść w jego posiadanie.

Niebawem się pojawi.

W oknach u góry przesuwiają się sylwetki, gdy myśliwi ciężkim krokiem wchodzą po stopniach do zalanego złotym blaskiem holu, gdzie zrzucają na podłogę czapki i kurtki, z których sączy się brudna woda, tworząc kałuże na marmurowej posadzce. Wśród nas krąży pokojówka z tacą sherry. Daniel bierze dwa kieliszki i jeden podaje mnie.

Trąca go swoim, po czym jednym haustem wychyla zawartość. Obok nas pojawia się Michael, który z mokrymi włosami przyklejonymi do bladego czoła, tak jak reszta myśliwych, wygląda, jakby właśnie wyczołgał się z arki. Zerkając na jego zegarek, dowiaduję się, że jest siedem po szóstej.

– Wysłałem paru zaufanych służących, żeby zabrali Stanwina – szepcze do nas, biorąc z tacy sherry. – Powiedziałem im, że natknąłem się na jego zwłoki, wracając z polowania, i kazałem im złożyć je w jednej z opuszczonych szop w ogrodzie. Nikt go nie znajdzie, a ja zawiadomię policję dopiero jutro rano. Przykro mi, ale nie zostawię go, żeby gnił w lesie dłużej, niż to konieczne.

Ściska w palcach opróżniony do połowy kieliszek i choć alkohol odrobinę zabarwił mu policzki, wciąż jest blady.

Thum w holu powoli się przerzedza. Kilka służących przyniosło kubły z wodą i mydłem i czeka ze zmywakami w pogotowiu, groźnymi minami

starając się wzbudzić w nas poczucie winy i wygonić, aby mogły zabrać się do pracy.

Michael przeciera oczy i po raz pierwszy patrzy prosto na nas.

– Dotrzymam obietnicy ojca – mówi. – Ale wcale mi się to nie podoba.

– Michael... – Daniel wyciąga rękę, lecz młody człowiek odsuwa się od niego.

– Proszę, nie. – Jego rozczarowanie jest wyraźnie wyczuwalne. – Porozmawiamy innym razem, ale nie teraz, nie dziś.

Odwraca się do nas plecami i rusza po schodach do swojej sypialni.

– Mniejsza z nim – prycha Daniel. – Myśli, że zrobiłem to z chciwości. Nie rozumie, jakie to ważne. Wiem, że tam są wszystkie odpowiedzi! – Jest przejęty jak chłopiec, który dostał nową procę. – Prawie się udało, Dance. Prawie jesteśmy wolni.

– I co się wtedy stanie? – pytam. – Ty stąd wyjdiesz czy ja? Nie możemy uciec obaj, jesteśmy tą samą osobą.

– Nie wiem – przyznaje. – Prawdopodobnie Aiden Bishop znowu się obudzi, z całą, nienaruszoną pamięcią. Miejmy nadzieję, że nie będzie w niej żadnego z nas. Jesteśmy złym snem, o którym najlepiej zapomnieć. – Patrzy na zegarek. – Nie ma co teraz o tym myśleć. Anna umówiła się na wieczór z Bellem na cmentarzu. Jeśli ma rację, wiadomość o tym dotarła do Lokaja, który na pewno też się tam stawi. Będzie chciała, żebyśmy pomogli go złapać. To znaczy, że mamy około czterech godzin na znalezienie w tym notatniku wszystkiego, co nam potrzebne. Może się przebierzesz i przyjdiesz do mojego pokoju? Zrobimy to razem.

– Zaraz u ciebie będę – obiecuję.

Jego radosne oszołomienie niezwykle mnie ożywia. Dziś wieczorem rozprawimy się z Lokajem i dostarczymy Doktorowi Dzumie rozwiązanie zagadki. Gdzieś w głębi domu moje inne wcielenia z pewnością dopracowują szczegóły planu uratowania Anny. Nadal nie mogę uwierzyć, że cały czas mnie okłamywała, i nie wyobrażam sobie, abym mógł opuścić ten dom bez niej, zwłaszcza po wszystkim, co zrobiła, żeby mi pomóc.

Gdy wracam do pokoju, słyszę skrzypienie desek podłogi, zresztą cały dom dudni pod ciężarem wracających z polowania. Wszyscy zamierzają przygotować się do kolacji.

Zazdroszczę im wieczoru, bo mam przed sobą mroczniejszy cel.

Znacznie mroczniejszy, Lokaj nie podda się po cichu.

– Ach, jesteś. – Rozglądam się, sprawdzając, czy nikt nie słucha. – To prawda, że jesteś pozostałością po oryginalnym Aidenie Bishopie?

Odpowiada mi cisza i gdzieś w głębi wyczuwam szyderstwo Dance'a. Wyobrażam sobie, co sztywny stary adwokat powiedziałby o człowieku, który w ten sposób mówi do siebie.

Jeśli nie liczyć poświęty ognia w kominku, pokój jest pogrążony w ciemności; służba widocznie zapomniała zapalić świece przed moim powrotem. Mrozi mnie podejrzenie. Unoszę strzelbę na ramię. Jeden z gajowych próbował mi ją odebrać, gdy weszliśmy do domu, ale odprawiłem go, upierając się, że broń pochodzi z mojej osobistej kolekcji.

Zapalam lampę przy drzwiach i widzę Annę, która ze swobodnie opuszczonymi rękami i obojętną miną stoi w rogu pokoju.

– Anno – mówię zaskoczony, opuszczając strzelbę. – Co się...

Zza moich pleców dobiega skrzypnięcie drewna, ból przeszywa mi bok. Czyjaś ręka brutalnie zakrywa mi usta. Jednym szarpnięciem zostaje obrócony do tyłu i nagle staje twarzą w twarz z Lokajem. Na jego ustach igra kpiący uśmiezek, jego oczy wpijają się we mnie, jakby szukały czegoś ukrytego wewnątrz.

Tamte oczy.

Próbuję krzyknąć, ale błyskawicznie zaciska mi szczęki.

Unosi nóż. Bardzo wolno przesuwając czubek ostrza po mojej piersi, po czym wbija je w brzuch. Przy każdym ciosie przeszywa mnie coraz większy ból, przyćmiewając poprzedni, aż w końcu jest już tylko cierpienie.

Nigdy nie było mi tak zimno, nigdy nie ogarnął mnie taki spokój.

Nogi uginają się pode mną, ramiona Lokaja podtrzymują ciężar mojego ciała i ostrożnie kładą je na podłodze. Wciąż patrzy mi w oczy, chłonąc ulatujące z nich życie.

Otwieram usta, żeby krzyknąć, lecz nie wydobywam z siebie żadnego dźwięku.

– Uciekaj, króliczku – mówi z twarzą tuż przy mojej. – Uciekaj.

Dzień drugi (ciąg dalszy)

Krzyczę i podrywam się z łóżka kamerdynera, ale Lokaj natychmiast przygniata mnie z powrotem.

– To on? – pyta, spoglądając przez ramię na stojącą przy oknie Annę.

– Tak – odpowiada drżącym głosem.

Lokaj pochyla się nade mną i na policzku czuję ciepło jego chrapliwego oddechu, który zalatuje piwem.

– Nie udało ci się uskoczyć za daleko, króliczku – dyszy.

Nóż pogrąża się w moim boku, na pościel tryska krew, a z nią wypływa moje życie.

Dzień siódmy

Krzyczę w dusznej ciemności, oparty plecami o ścianę, z kolanami pod brodą. Instynktownie łapię się za miejsce, w które został pchnięty nożem kamerdyner, i przeklinam swoją głupotę. Doktor Dżuma miał rację. Anna mnie zdradziła.

Niedobrze mi, gorączkowo szukam sensownego wyjaśnienia, ale przecież widziałem ją na własne oczy. Cały czas mnie okłamywała.

Nie tylko ona jest temu winna.

– Zamknij się – rzucam ze złością.

Serce mi wali, mam płytki oddech. Muszę się uspokoić, bo inaczej nie będzie ze mnie żadnego pożytku. Przez chwilę próbuję zapomnieć o Annie, ale to zaskakująco trudne. Nie zdawałem sobie sprawy, jak często zajmowała moje myśli w spokojniejszych chwilach.

Dawała poczucie bezpieczeństwa i pociechę.

Była moją przyjaciółką.

Zmieniam pozycję, starając się zorientować, gdzie się obudziłem i czy grozi mi jakieś bezpośrednie niebezpieczeństwo. Na pierwszy rzut oka nic na to nie wskazuje. Moje ramiona dotykają ścian po obu stronach, promień światła przeszywa jakąś szparę obok mojego prawego ucha. Po lewej mam zakurzone kartony, u stóp butelki.

Unoszę do światła zegarek i widzę, że jest trzynaście po dziesiątej rano. Bell jeszcze nawet nie dotarł do domu.

– Ciągłe jest rano – mówię do siebie z ulgą. – Ciągłe mam czas.

Zaschło mi w ustach, język przypomina wiór, powietrze wydaje się tak gęste od stęchlizny, jakby ktoś wepchnął mi do gardła brudną szmatę. Miałbym ochotę napić się czegoś zimnego, najlepiej z lodem. Wydaje mi się,

że minęły wieki, odkąd obudziłem się w miękkiej pościeli, a męki nadchodzącego dnia cierpliwie czekały, aż wezmę gorącą kąpiel.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak dobrze mi się wiedzie.

Moje nowe wcielenie musiało spać w tej pozycji całą noc, bo każdy ruch jest męczarnią. Na szczęście po prawej mam drzwi i mogę je bez wysiłku uchylić. Oczy zachodzą mi łzami, bo nagle oślepia je ostre światło w pokoju.

Jestem w długiej galerii ciągnącej się wzdłuż całego domu, nad głową mam pajęczyny zwisające z sufitu. Ściany są wyłożone ciemnym drewnem, na podłodze walają się dziesiątki fragmentów starych mebli pokrytych warstwą kurzu i niemal wydrążonych przez korniki. Otrzepuję ubranie i wstaję, pobudzając do życia zeszywniałe kończyny. Okazuje się, że moje wcielenie spędziło noc w schowku pod kilkoma schodkami prowadzącymi na coś w rodzaju podium. Przed zakurzoną wiolonczelą leżą poźółkłe nuty i patrząc na nie, odnoszę wrażenie, że przespałem jakąś wielką katastrofę, jakby odbył się sąd, podczas gdy ja tkwiłem w schowku pod schodami.

Co, u diabła, w ogóle tam robiłem?

Podchodzę obolały do jednego z okien w galerii. Jest zalepione brudem, kiedy jednak przecieram kawałek szyby rękawem, moim oczom ukazuje się park Blackheath. Jestem na najwyższym piętrze domu.

Z przyzwyczajenia zaczynam przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu wskazówek co do mojej tożsamości, uświadamiam sobie jednak, że to niepotrzebne. Nazywam się Jim Rashton. Mam dwadzieścia siedem lat, jestem konstabłem w policji, a moi rodzice, Margaret i Henry, puchną z dumy, ilekroć komuś o tym mówią. Mam siostrę i psa i jestem zakochany w niejkiej Grace Davies, z powodu której uczestniczę w tym przyjęciu.

Jeżeli wcześniej między mną a moimi wcieleniami istniała jakaś bariera, teraz już prawie nie ma po niej śladu. Ledwie potrafię odróżnić życie Rashtona od własnego. Niestety, wspomnienie o tym, jak trafiłem do schowka, spowija chmura szkockiej, którą Rashton pił poprzedniego wieczoru. Pamiętam, że opowiadałem stare historie, śmiałem się i tańczyłem, beztrąsko spędzając czas, który nie miał innego celu prócz przyjemności.

Czy Lokaj też tam był? To jego sprawka?

Wyteżam pamięć, lecz miniony wieczór majaczy tylko niewyraźną, rozmytą przez alkohol plamą.

Wzburzony, instynktownie sięgam po skórzaną papierośnicę, którą Rashton nosi w kieszeni, ale został w niej tylko jeden papieros. Kusi mnie, by go zapalić i ochłonąć, lecz w tych okolicznościach podminowanie może mi pomóc, zwłaszcza jeśli będę musiał wydostać się stąd siłą. Lokaj wytropił mnie w postaci Dance'a i kamerdynera, mam więc wątpliwości, czy znajdę bezpieczne schronienie w Rashtonie.

Moim najwierniejszym przyjacielem będzie odtąd ostrożność.

Rozglądając się rozpaczliwie za jakąś bronią, znajduję figurkę Atlasa z brązu. Skradam się naprzód z posążkiem uniesionym nad głową, ostrożnie mijam całe ściany szaf i gigantyczne konstrukcje splątanych ze sobą krzeseł i docieram do wyblakłej czarnej zasłony rozciągającej się przez całą długość pomieszczenia. O ściany są oparte kartonowe drzewa, obok stoją pełne kostiumów wieszaki na ubrania. Wśród nich jest co najmniej sześć strojów lekarza z czasów epidemii dżumy, a w pudle stojącym na podłodze piętrzy się sterta kapeluszy i masek. Wygląda na to, że rodzina wystawiała tu przedstawienia.

Skrzypi deska w podłodze, zasłona lekko się porusza. Ktoś się za nią kręci.

Tężeję, unoszę wzrok nad głowę Atlasa i...

Zza czarnej kurtyny wypada Anna z zaczerwienionymi policzkami.

– Och, dzięki Bogu – mówi na mój widok.

Brakuje jej tchu, ma przekrwione i podkrążone oczy. Jej jasne włosy są rozpuszczone i potargane, czepek trzyma zmięty w ręce. Szkicownik z kroniką dziejów moich wcieleń wypycha jej fartuch.

– Jesteś Rashton, zgadza się? Chodź, mamy tylko pół godziny, żeby uratować resztę. – Rzuca się naprzód, by złapać mnie za rękę.

Odsuwam się, nie opuszczając statuetki, ale pospieszna prezentacja zdyszanej dziewczyny wytrąca mnie z równowagi, podobnie jak brak wyrzutów sumienia w jej głosie.

– Nigdzie z tobą nie idę – oświadczam, zaciskając mocniej palce na Atlasie.

Na jej twarzy odmalowuje się konsternacja, ale po chwili dostrzegam błysk zrozumienia.

– Chodzi o to, co stało się z Dance'em i kamerdynerem? Nic o tym nie wiem, właściwie nie wiem o niczym. Dopiero niedawno wstałam. Wiem

tylko, że jesteś w ośmiu różnych postaciach, które Lokaj zabija, dlatego musimy ocalić te, które jeszcze zostały.

– Spodziewasz się, że ci zaufam? – pytam zdumiony. – Odwróciłaś uwagę Dance’a i wtedy Lokaj go zamordował. Stałaś w pokoju, gdy zabił kamerdynera. Pomagałaś mu, widziałem cię!

Kręci głową.

– Nie bądź idiotą! – woła. – Nie zrobiłam jeszcze żadnej z tych rzeczy, a nawet jeśli je zrobię, to nie dlatego, że cię zdradzam. Gdybym chciała twojej śmierci, wymordowałabym twoje wszystkie wcielenia, zanim w ogóle by się obudziły. Nie zobaczyłbyś mnie i nigdy nie stanęłabym po jednej stronie z człowiekiem, który na pewno zwróci się przeciwko mnie, kiedy wykonamy zadanie.

– W takim razie co tam robiłaś? – naciskam.

– Nie wiem, jeszcze tego nie przeżyłam. Kiedy się obudziłam, czekałeś na mnie... to znaczy ty w innej postaci. Ten człowiek dał mi szkicownik i wyczytałam w nim, że mam znaleźć w lesie Derby’ego, a potem przyjść tutaj i uratować cię. To cały mój dzień. Wszystko, co wiem.

– To za mało – oznajmiam bez ogródek. – Nie zrobiłem jeszcze żadnej z tych rzeczy, więc nie wiem, czy mówisz prawdę.

Odstawiam na bok posążek i mijam ją, kierując się w stronę czarnej zasłony, zza której się wyłoniła.

– Nie mogę ci ufać, Anno – dodaję.

– Dlaczego? – Łapie mnie za rękę. – Ja ci ufam.

– To nie jest...

– Pamiętasz cokolwiek z naszych poprzednich cykli?

– Tylko twoje imię. – Patrę na jej palce splecione z moimi i czuję, jak opór we mnie słabnie. Tak bardzo chcę jej uwierzyć.

– Ale nie pamiętasz, jak się zakończyły.

– Nie – rzucam zniecierpliwiony. – Dlaczego mnie o to pytasz?

– Dlatego, że ja pamiętam. Znam twoje imię, bo pamiętam, jak wołałam cię w stróżówce. Mieliśmy się tam spotkać. Spóźniałeś się, więc się martwiłam. Widząc cię, tak bardzo się ucieszyłam, a potem zobaczyłam twoją minę.

Napotykać jej spojrzenie, widzę w szerokich i ciemnych źrenicach odwagę. Te oczy są szczere. Na pewno nie mogłaby...

Wszyscy w tym domu noszą maski.

– Zamordowałeś mnie na miejscu. – Dotyka mojego policzka, wpatrując się w twarz, której sam jeszcze nie widziałem. – Kiedy znalazłeś mnie dziś rano, tak się przeraziłam, że prawie uciekłam, ale byłeś taki załamany... taki przerażony. Życie wszystkich twoich wcieleń zupełnie cię przytłoczyło. Nie umiałeś ich od siebie odróżnić, nie wiedziałeś nawet, kim jesteś. Wcisnąłeś mi do rąk ten szkicownik i powiedziałaś, że ci przykro. Powtarzałeś to w kółko. Mówiłeś, że nie jesteś już tym samym człowiekiem i że nie uda nam się z tego wyjść, jeżeli będziemy ciągle popełniać te same błędy. To była ostatnia rzecz, którą od ciebie usłyszałam.

Wspomnienia budzą się powoli i są tak odległe, że mam wrażenie, jakbym sięgał na drugi brzeg rzeki, żeby złapać w dłoń motyla.

Anna wsuwa mi do ręki figurę szachową i zaciska na niej moje palce.

– To może pomóc – mówi. – W ostatnim cyklu używaliśmy tych figur, żeby się rozpoznawać. Goniec dla ciebie, Aiden Bishop, [*Bishop* – (w szachach) goniec.] a dla mnie skoczek. Obrońca, tak jak teraz.

Pamiętam poczucie winy, smutek, pamiętam tamten żal. To nie są obrazy, nawet nie wspomnienia... Nieważne. Czuję, że ona mówi prawdę, tak jak czułem siłę naszej przyjaźni, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz, i rozdzierający ból, który przywiódł mnie do Blackheath. Anna ma rację, zamordowałem ją.

– Przypominasz sobie już? – pyta.

Kiwam głową, przepełniony wstydem i odrazą. Wiem, że nie chciałem jej skrzywdzić. Współdziałaliśmy ze sobą tak jak dzisiaj, ale coś się zmieniło... Pogrążyłem się w rozpacz. Zobaczyłem, że szansa na ucieczkę wymyka mi się z rąk, i wpadłem w panikę. Obiecałem sobie, że znajdę sposób, żeby ją wydostać, kiedy stąd wyjdę. Ubrałem zdradę w szlachetne intencje i zrobiłem coś okropnego.

Ogarnia mnie fala obrzydzenia i wzdrygam się ze wstrętem.

– Nie wiem, z którego cyklu pochodzi to wspomnienie – dodaje Anna. – Ale wydaje mi się, że zachowałam je jako ostrzeżenie dla samej siebie. Żeby ci już więcej nie ufać.

– Przepraszam, Anno. Pozwoliłem sobie zapomnieć, co zrobiłem. Zachowałem za to w pamięci twoje imię. To była obietnica, którą złożyłem sobie i tobie, że następnym razem lepiej się spiszę.

– I dotrzymujesz tej obietnicy – uspokaja mnie.

Chciałbym, żeby to była prawda, ale wiem, że tak nie jest. Widziałem siebie w przyszłości. Rozmawiałem z nim, pomagałem mu w jego intrygach. Daniel popełnia te same błędy co ja w ostatnim cyklu. Rozpacz pchnęła go do okrucieństwa i jeżeli go nie powstrzymam, znowu poświęci Annę.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy przy naszym pierwszym spotkaniu? – Wciąż czuję wstyd.

– Bo już o tym wiedziałeś – odpowiada, marszcząc czoło. – Z mojego punktu widzenia poznaliśmy się dwie godziny temu i wiedziałeś już o mnie wszystko.

– Pierwszy raz spotkałem cię jako Cecil Ravencourt – zauważam.

– W takim razie spotykamy się wcześniej, bo jeszcze nie wiem, kto to jest Ravencourt. Zresztą to nieważne. Nie powiem o tym ani jemu, ani żadnemu z nich, bo to nieważne. W tamtych cyklach to nie byliśmy my. Kimkolwiek były te osoby, podejmowały inne decyzje, popełniały inne błędy. Ja postanawiam ci zaufać, Aidenie, i chcę, żebyś mi też ufał, bo ten dom... wiesz, jak tu jest. Bez względu na to, o co mnie podejrzewałeś, kiedy Lokaj cię zabił, to nie było wszystko. To nie była prawda.

Wydawałaby się całkiem pewna siebie, gdyby nie nerwowe pulsowanie na szyi i uporczywe skrobanie stopy po podłodze. Czuję, że drży jej ręka dotykająca mojej twarzy, słyszę napięcie w głosie. Mimo pozorów męstwa i zdecydowania ciągle się mnie boi, człowieka, którym byłem i który być może nadal się we mnie czai.

Nie wyobrażam sobie, ile odwagi kosztowała ją decyzja, aby tu przyjść.

– Nie mam pojęcia, jak wy dostać stąd nas oboje, Anno.

– Wiem.

– Ale zrobię to, nie odejdę stąd bez ciebie, obiecuję.

– To też wiem.

W tym momencie uderza mnie w twarz.

– Za to, że mnie zabiłeś. – Wspina się na palce i całuje mnie w piekący policzek. – A teraz chodźmy zadbać o to, żeby Lokaj nie zamordował już żadnego z twoich wcieleń.

Skrzypią drewniane stopnie, na wąskich i krętych schodach robi się coraz ciemniej, aż w końcu zanurzamy się pod powierzchnię mroku.

– Wiesz, dlaczego znalazłem się w tym schowku? – pytam Annę, która pędzi przede mną, zbiegając po schodach szybciej od spadającego gromu.

– Nie mam pojęcia, ale to ci ocaliło życie. – Zerka za mnie przez ramię. – Z informacji w szkicowniku wynika, że Lokaj będzie próbował zaatakować Rashtona mniej więcej o tej porze. Gdyby spędził noc w sypialni, Lokaj na pewno by go znalazł.

– Może powinniśmy pozwolić mu mnie znaleźć. – Ogarnia mnie fala podniecenia. – Chodź, mam pomysł.

Przepycham się obok Anny i biegnę, przeskakując po dwa stopnie.

Jeżeli Lokaj ma zaatakować Rashtona dziś rano, jest wielce prawdopodobne, że nadal czai się gdzieś w korytarzu. Będzie się spodziewał, że zaskoczy ofiarę we śnie, czyli przynajmniej raz mam nad nim przewagę. Przy odrobinie szczęścia mogę zakończyć to tu i teraz.

Schody kończą się nagle przy białej ścianie. Anna jest jeszcze w połowie drogi i woła do mnie, abym zwolnił. Rashton jako niezwykle sprawny policjant – co sam jest gotów uczciwie przyznać – zna się na kamuflażu. Moje palce sprawnie odnajdują zamaskowany zatrzask i wpadam do ciemnego korytarza po drugiej stronie. Na kinkietach mrugają świece, po lewej mam pustą werandę. Dotarłem na parter, a drzwi, którymi wyszedłem, z powrotem zlały się ze ścianą.

Lokaj jest kilkanaście metrów ode mnie. Klęczy i wyważa łomem zamek w drzwiach, które, jak podpowiada mi instynkt, prowadzą do mojej sypialni.

– Mnie szukasz, łajdaku? – Rzucam się na niego, zanim udaje mu się dobyć noża.

Zrywa się na nogi szybciej, niż mógłbym przypuszczać, odskakuje do tyłu i wymierza mi kopniaka w pierś, pozbawiając mnie tchu. Ciężko padam na podłogę i przyciskam rękę do żeber, on jednak nie rusza się z miejsca. Czeka, wierzchem dłoni ocierając kroplę śliny z kącika ust.

– Dzielny królik – mówi z szerokim uśmiechem. – Będę cię powoli patroszył.

Wstaję i otrzepuję się z kurzu, po czym unoszę pięści w pozycji boksera i nagle zdaję sobie sprawę, jakie mam ciężkie ręce. Noc spędzona w schowku pod schodami nie wyszła mi na zdrowie, prócz tego z sekundy na sekundę tracę pewność siebie. Tym razem podchodzę do niego wolno, markując cios z lewej i prawej i czekając na okazję do rozpoczęcia walki. Prosty trafia mnie w szczękę z taką siłą, że głowa odskakuje mi do tyłu. Drugiego ciosu, wymierzonego w brzuch, nawet nie widzę, podobnie jak trzeciego, który posyła mnie na podłogę.

Tracę orientację, kręci mi się w głowie, usiłuję złapać oddech, a Lokaj nachyla się nade mną, łapie mnie za włosy i pociąga, równocześnie sięgając po nóż.

– Hej! – krzyczy Anna.

To tylko chwila nieuwagi, mnie jednak wystarcza. Wyrrywam się Lokajowi, kopię go w kolano, a potem gwałtownie wyrzucam w górę ramię i trafiam w środek twarzy przeciwnika. Gdy roztrzaskuję mu nos, krew chlapie mi na koszulę. Lokaj zatacza się do tyłu, jedną ręką łapie stojące w korytarzu popiersie i ciska nim we mnie, a kiedy odskakuję na bok, ucieka i znika za rogiem.

Chcę ruszyć za nim w pogoń, ale nie mam siły. Osuwam się po ścianie i siadam na podłodze, trzymając się za obolałe żebra. Jestem wstrząśnięty i wytrącony z równowagi. Był za szybki i za silny. Gdyby walka trwała trochę dłużej, już bym nie żył, jestem tego pewien.

– Ty skończony idioto! – krzyczy Anna, mierząc mnie wściekłym spojrzeniem. – O mały włos nie dałeś się zabić.

– Widział cię? – Wypluwam odrobinę krwi.

– Nie sądzę. – Wyciąga do mnie rękę, aby pomóc mi się podnieść. – Byłam w ciemnym miejscu, poza tym wątpię, żeby mógł dużo zobaczyć, kiedy złamałeś mu nos.

– Przepraszam, Anno – mówię. – Naprawdę myślałem, że uda nam się go złapać.

– I słusznie przepraszasz. – Niespodziewanie mnie obejmuje i mocno przytula. Czuję, jak drży. – Musisz być ostrożny, Aiden. Przez tego łajdaka zostało ci tylko kilka wcieleń. Jeżeli popełnisz błąd, nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Nagle coś sobie uprzytomniam, jakbym dostał obuchem w głowę.

– Zostały mi tylko trzy wcielenia – powtarzam jak w oszołomieniu.

Sebastian Bell zemdlął na widok martwego królika w pudełku. Kamerdyner, Dance i Derby zostali zabici, a Ravencourt zasnął w sali balowej, gdy zobaczył, jak Evelyn popełnia samobójstwo. Czyli zostają Rashton, Davies i Gregory Gold. W poszatkowanych na kawałki dniach, gdy przenosiłem się w czasie, straciłem rachubę.

Powinienem się od razu zorientować.

Daniel twierdził, że jest moim ostatnim wcieleniem, ale to nie może być prawda.

Wstyd okrywa mnie od stóp do głów jak ciepły koc. Nie mogę uwierzyć, że dałem się tak łatwo oszukać. I tak ochoczo.

To nie była wyłącznie twoja wina.

Doktor Dżuma ostrzegał mnie, że Anna mnie zdradzi. Po co by to robił, skoro to Daniel mnie okłamał? I dlaczego mówiłby mi, że tylko trzy osoby próbują się wydostać z domu, skoro są ich cztery? Ze wszystkich sił starał się ukryć obłudę Daniela.

– Byłem ślepy – odzywam się głuchym głosem.

– Co się stało? – Anna odsuwa się i patrzy na mnie z troską.

Waham się, a po chwili wstyd ustępuje miejsca zimnej logice i mój umysł zaczyna pracować. Kłamstwa Daniela były precyzyjne i szczegółowe, lecz ich cel pozostaje zagadką. Zrozumiałbym, gdyby próbował zdobyć moje zaufanie, aby skorzystać z wyników mojego śledztwa, tak jednak nie jest. Ledwie o nie spytał. Wręcz przeciwnie; ułatwił mi nawet zadanie, mówiąc mi, że to Evelyn zostanie zamordowana na balu, i ostrzegając mnie przed Lokajem.

Nie mogę już uważać go za przyjaciela, ale nie mam pewności, czy jest wrogiem. Muszę wiedzieć, do czego zmierza, a najlepszy sposób to udawać niewiedzę, dopóki nie ujawni swoich prawdziwych zamiarów.

Muszę zacząć od Anny.

Niech Bóg ma nas w swojej opiece, gdyby zdradziła coś Derby'emu albo Dance'owi. Ilekroć stają wobec jakiegoś problemu, obaj w pierwszym

odruchu chwytają byka za rogi, nawet najbardziej rozjuszonego.

Anna wpatruje się we mnie, czekając na odpowiedź.

– Coś wiem. – Spoglądam jej w oczy. – Coś, co ma znaczenie dla nas obojga, ale nie mogę ci powiedzieć, co to jest.

– Martwisz się, że zmienisz bieg wydarzeń dnia – mówi, jak gdyby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Nie martw się, w tym szkicowniku jest mnóstwo rzeczy, o których nie wolno mi powiedzieć. – Uśmiecha się, a jej troska ulatuje. – Ufam ci, Aidenie. Nie byłoby mnie tu, gdybym ci nie ufała.

Wyciąga rękę i pomaga mi wstać.

– Nie możemy zostać w tym korytarzu. Żyję tylko dlatego, że Lokaj nie wie, kim jestem. Jeżeli zobaczy nas razem, zostanie mi za mało życia, żebym ci mogła pomóc. – Wygląda fartuch, poprawia czepek i opuszcza brodę, aby wyglądać skromnie. – Pójdę pierwsza. Spotkajmy się za dziesięć minut przed sypialnią Bella. Miej oczy szeroko otwarte. Kiedy Lokaj dojdzie do siebie, będzie cię szukał.

Zgadzam się, lecz nie mam zamiaru czekać w pełnym przeciągów korytarzu. Ze wszystkim, co się dzisiaj dzieje, niewątpliwym związkiem ma Helena Hardcastle. Muszę z nią porozmawiać i to może być moja ostatnia szansa.

Z obolałymi żebrami i zranioną duszą szukam jej w salonie, zastaję tam jednak tylko kilku rannych ptaszków, plotkujących o tym, jak drab Stanwina wyciągnął stąd Derby'ego. Rzeczywiście jego talerz jajek i cynaderek wciąż stoi na stole w miejscu, w którym go zostawił. Jedzenie jest jeszcze ciepłe, musiał więc wyjść całkiem niedawno. Witam obecnych skinieniem głowy i kieruję się do sypialni Heleny, ale kiedy pukam, odpowiada mi cisza. Mam coraz mniej czasu, więc otwieram drzwi kopniakiem, wyłamując zamek.

Oto i rozwiązanie zagadki włamania.

Zasłony są zasunięte, zmięta pościel na łóżku z baldachimem częściowo zwisa z materaca i leży na podłodze. W pokoju panuje ciężka atmosfera niespokojnego snu, czuć wywołany koszmarem pot, którego nie wyгнаło jeszcze świeże powietrze. Szafa jest otwarta, na toaletce widzę puder wysypany z dużego pojemnika, kosmetyki są otwarte i zsunięte na bok, jakby lady Hardcastle spieszyła się z poranną toaletą. Kiedy dotykam łóżka, jest zimne. Jego właścicielki nie ma w pokoju już od dłuższego czasu.

Tak jak wówczas, gdy zajrzałem do tej sypialni w towarzystwie Millicent Derby, sekretarzyk z roletą jest otwarty, z terminarza Heleny wyrwano kartkę z dzisiejszymi spotkaniami, a z lakierowanej kasetki na broń zniknęły dwa rewolwery. Evelyn musiała je zabrać bardzo wczesnym rankiem, prawdopodobnie zaraz po tym, jak dostała list nakłaniający ją do samobójstwa. Po wyjściu matki mogła zakraść się tu bez kłopotu przez wewnętrzne drzwi prowadzące do jej sypialni.

Jeżeli jednak zamierza zastrzelić się z rewolweru, dlaczego ostatecznie użyła srebrnego pistoletu, który Derby ukradł Dickiemu? I po co wzięła z kasetki obydwie rewolwery? Wiem, że jeden da Michaelowi, aby użył go na polowaniu, ale nie wyobrażam sobie, żeby właśnie to szczególnie zaprzętało jej uwagę, kiedy się dowiedziała, że jej życie i życie jej przyjaciółki znalazły się w niebezpieczeństwie.

Mój wzrok zatrzymuje się na terminarzu i miejscu po wyrwanej kartce. To też dzieło Evelyn czy odpowiedzialny jest za to ktoś inny? Millicent podejrzewała Helenę Hardcastle.

Przesuwając palec po rozdartym brzegu, pogrążam się w rozmyślaniach.

Widziałem plan Heleny w kalendarzu lorda Hardcastle'a, więc wiem, że na zaginionej stronie zanotowała godziny spotkań z Cunninghamem, Evelyn, Millicent Derby, masztalerzem i Ravencourtem. Jediną osobą, z którą Helena Hardcastle na pewno się spotkała, jest Cunningham. Przyznał to w rozmowie z Dance'em, a na wszystkich stronach są atramentowe odciski jego palców.

Zdenerwowany, zamykam terminarz. Wciąż nie rozumiem tylu rzeczy, a czasu jest coraz mniej.

Dreńcząc się myślami, idę na górę do Anny, która chodzi tam i z powrotem przed drzwiami sypialni Bella, studiując swój szkicownik. Słyszę dobiegające zza drzwi przytłumione głosy. Pewnie Daniel rozmawia z Bellem, co oznacza, że kamerdyner jest teraz w kuchni z panią Drudge. Wkrótce się pojawi.

– Widziałeś Golda? – pyta Anna, wpatrując się w głąb korytarza, być może w nadziei, że ostrym spojrzeniem wyrzeźbi go z panującego tam półmroku. – Powinien już tu być.

– Nie widziałem. – Rozglądam się nerwowo. – Po co tu jesteśmy?

– Lokaj dziś rano zabije kamerdynera i Golda, jeżeli nie umieścimy ich w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie będę ich mogła pilnować.

– Na przykład w stróżówce.

– Właśnie. Tyle że nie możemy ich tak po prostu zabrać. Jeśli ktoś zobaczy, że to robimy, Lokaj dowie się, kim jestem, i mnie też zabije. A jeżeli weźmie mnie za opiekunkę i uzna, że ci dwaj nie mogą stanowić zagrożenia, bo są zbyt ciężko ranni, na jakiś czas da nam spokój, a właśnie o to nam chodzi. Według wskazówek ze szkicownika kamerdyner i Gold mają jeszcze jakąś rolę do odegrania w tym wszystkim, tylko musimy utrzymać ich przy życiu.

– Wobec tego do czego jestem ci potrzebny?

– Pojęcia nie mam. Nie jestem nawet pewna, co sama mam robić. W szkicowniku jest polecenie, żeby cię tu przyprowadzić o tej porze, ale... – wzdycha i kręci głową – to jedyna zrozumiała instrukcja, cała reszta to jakieś brednie. Jak mówiłam, kiedy mi to dawałeś, nie byłeś całkiem przytomny. Przez kilka ostatnich godzin próbowałam rozszyfrować te strony, wiedząc o tym, że jeżeli odczytam je nie tak albo przyjdę za późno, zginiesz.

Wzdrygam się nerwowo na ten przelotny obraz mojej przyszłości.

Anna musiała dostać szkicownik od Gregory'ego Golda, mojego ostatniego wcielenia. Wciąż pamiętam, jak w drzwiach pokoju Dance'a majaczył o powozie. Jak żałośnie i strasznie wtedy wyglądał. Pamiętam szaleństwo i bezradność w jego ciemnych oczach.

Nie cieszę się na jutrzejszy dzień.

Krzyżuję ręce na piersi i opieram się o ścianę obok Anny, tak że dotykamy się ramionami. Świadomość, że w poprzednim życiu kogoś się zabiło, zwykle zmniejsza możliwość okazywania czułości tej osobie.

– Spisałaś się lepiej ode mnie – mówię. – Kiedy pierwszy raz ktoś pokazał mi przyszłość, skończyło się na tym, że przez pół lasu goniłem służącą Madeline Aubert, myśląc, że ratuję jej życie. Niewiele brakowało, a ta biedna dziewczyna umarłaby ze strachu przede mną.

– Do tego dnia powinno się dołączać instrukcje – stwierdza ponuro Anna.

– Róbmy to, co wydaje się naturalne.

– Nie jestem pewna, czy będzie dobrze, jeżeli uciekniemy stąd i schowamy się. – W zrezygnowany ton jej głosu wkrada się rytm szybkich kroków po schodach.

Kryjemy się bez słowa: Anna znika za rogiem korytarza, ja daję nura do otwartego pokoju. Ciekawość każe mi zostawić uchylone drzwi i przez szparę widzę utykającego kamerdynera, który idzie w naszą stronę; jego

poparzone ciało prezentuje się jeszcze żałośniej, kiedy jest w ruchu. Pełna ostrych kantów sylwetka wciśnięta w piżamę i wytarty brązowy szlafrok wygląda, jakby ktoś ją zmiął i wyrzucił.

Od pierwszego ranka przeżyłem już te chwile tyle razy, że spodziewałbym się u siebie zobojętnienia, ale gdy kamerdyner pędzi do Bella, by zapytać go o nowe ciało, w którym został uwięziony, czuję jego lęk i zdenerwowanie.

Z pokoju wychodzi Gregory Gold, lecz zaabsorbowany kamerdyner nie zauważa go. Malarz widziany z tej odległości, odwrócony plecami do mnie, wydaje się dziwnie nieforemny i przypomina długi cień na ścianie. W ręce ma pogrzebacz i bez słowa ostrzeżenia zaczyna nim okładać kamerdynera.

Pamiętam tę napaść, ten ból.

Ogarnia mnie żal i dojmujące poczucie bezradności, gdy ciosy pogrzebacza opryskują ściany kropelkami krwi.

Myślą jestem z kamerdynerem, kiedy kurczy się na podłodze, błaga o litość i pomoc, która nie nadchodzi.

Właśnie wtedy opuszcza mnie rozsądek.

Łapię stojący na komodzie wazon, wypadam na korytarz i nacierając na Golda z niepohamowaną wściekłością, rozbijam mu go na głowie. Pada na podłogę wśród odłamków porcelany.

W krzepnącej ciszy ściskam w rękach brzeg rozbitego wazonu, wpatrując się w dwóch nieprzytomnych mężczyzn u moich stóp.

Za moimi plecami ukazuje się Anna.

– Co się stało? – Udaje zaskoczenie.

– Właśnie...

Na końcu korytarza zbiera się spora grupa na wpół ubranych mężczyzn i przestraszonych kobiet, których hałas wyrwał z łóżek. Wodzą oczami od plam krwi na ścianach do ciała na podłodze, po czym z niestosowną ciekawością zatrzymują wzrok na mnie. Jeśli jest wśród nich Lokaj, dał nura w tłum, znikając mi z oczu.

I chyba dobrze się stało.

Jestem tak wzburzony, że znów mógłbym spróbować popełnić jakieś głupstwo.

Po schodach biegnie doktor Dickie, który w odróżnieniu od reszty gości zdążył się już ubrać; sumiaste wąsy są fachowo wypomadowane, a łysina lśni od jakiegoś kosmetyku.

– Co tu się stało, u diabła?! – woła.

– Gold oszalał – wyjaśniam, starając się, by głos drżał mi z emocji. – Zaatakował kamerdynera pogrzebaczem, więc...

Pokazuję mu brzeg rozbitego wazonu.

– Przynieś moją torbę lekarską, dziewczyno – zwraca się Dickie do Anny, która pojawia się w zasięgu jego wzroku. – Stoi obok łóżka.

Anna spełnia polecenie lekarza i zaczyna zręcznie układać fragmenty przyszłości, choć nikt by się nie domyślił, że to ona tu dowodzi. Lekarz życzy sobie ciepłego i spokojnego miejsca, aby opatrzeć kamerdynera, więc Anna doradza stróżówkę i proponuje, że będzie podawać rannemu leki. Z powodu braku lepszego miejsca, w którym można zamknąć Golda, zapada decyzja, by jego również umieścić w stróżówce, gdzie regularnie będzie mu się podawać dawki środków uspokajających, dopóki ktoś ze służby nie sprowadzi ze wsi policjanta – Anna ofiarowuje się znaleźć takiego służącego.

Kiedy znoszą po schodach kamerdynera na prowizorycznych noszach, Anna uśmiecha się do mnie z ulgą. Odpowiadam zdumionym uniesieniem brwi. Tyle zachodu, a ja nadal nie jestem pewien, co właściwie udało się nam osiągnąć. Kamerdyner będzie przykuty do łóżka, stanie się więc łatwym celem dla Lokaja, który dopadnie go wieczorem. Gregory Gold zostanie zamroczony i zawieszony na suficie. Przeżyje, ale postrada zmysły.

Nie jest to krzepiąca myśl, zważywszy na to, że kierowaliśmy się jego instrukcjami. To Gold dał Annie szkicownik i choć jest moim ostatnim wcieleniem, nie mam pojęcia, co próbuje osiągnąć. Nie mogę mieć nawet pewności, że on sam to wie. Zwłaszcza po tym, co wycierpiał.

Sięgam w głąb pamięci, szukając fragmentów przyszłości, które przelotnie ujrzałem, ale jeszcze ich nie przeżyłem. Wciąż muszę się dowiedzieć, co oznacza wiadomość *wszystkie* przekazana Derby’emu przez Cunninghama i dlaczego mówi mu, że zebrał jakichś ludzi. Nie wiem nawet, dlaczego Evelyn bierze od Derby’ego srebrny pistolet, skoro ma już czarny rewolwer z pokoju matki, ani dlaczego Derby stoi przy kamieniu, kiedy ona odbiera sobie życie.

Te niewiadome doprowadzają mnie do frustracji. Widzę wskazówki rozsypane przed sobą jak okruszki chleba, ale wiem tyle, że mogą mnie zaprowadzić na skraj przepaści.

Niestety, nie ma innej drogi, którą mógłbym pójść.

Skoro zostałem uwolniony od brzemienia wieku Dance'a, miałem nadzieję, że pozbędę się także jego uporczywych bólów, ale po nocy spędzonej w schowku czuję się tak, jakby w kości wbijały mi się ciernie. Każde zgięcie, skręt i wyprostowanie się wywołują paroksyzm bólu i grymas na mojej twarzy, dodając nową dolegliwość do szeregu poprzednich. Droga do sypialni okazuje się wyjątkowo wyczerpująca. Najwyraźniej poprzedniego wieczoru Rashton zrobił w towarzystwie spore wrażenie, ponieważ moją wędrówkę przez dom raz po raz przerywają serdeczne uściski dłoni i poklepywanie po plecach. Padające tu i ówdzie słowa powitania, mimo życzliwych intencji, zostawiają sińce jak rzucone we mnie kamienie.

Gdy wchodzę do pokoju, pozbywam się wymuszonego uśmiechu. Na podłodze leży zaklejona biała koperta z jakimś grubym przedmiotem w środku. Ktoś musiał ją wsunąć pod drzwi. Otwieram ją, rozglądając się po korytarzu w poszukiwaniu osoby, która ją zostawiła.

Sam ją zostawiłeś

zaczyna się list, którym opakowano figurę szachową, niemal taką samą jak ta, którą nosi przy sobie Anna.

Weź ampułki azotynu amylu, azotynu sodu i tiosiarczanu sodu.

ZACHOWAJ JE.

GG

– Gregory Gold. – Wzdycham na widok inicjałów.

Musiał wsunąć kopertę, zanim zaatakował kamerdynera.

Teraz już wiem, jak czuje się Anna. Instrukcje są ledwie czytelne i niezrozumiałe, nawet gdy udaje mi się rozszyfrować okropny charakter pisma.

Rzucam list i figurę na komodę, zamykam drzwi na klucz i podpieram je krzesłem. W zwykłych okolicznościach natychmiast zacząłbym przetrząsać dobytek Rashtona albo rzuciłbym się do lustra, aby obejrzeć nową twarz, już jednak wiem, co kryją szuflady i jak wygląda ta twarz. Wystarcza zacząć w myślach pytanie, by od razu znać odpowiedź, dlatego wiem, że w szufladzie ze skarpetami jest ukryty kastet. Rashton kilka lat temu skonfiskował go jakiemuś awanturnikowi i odtąd broń parę razy się przydała. Nakładam kastet, myśląc tylko o Lokaju, o tym, jak pochyła nade mną twarz, by chłonąć moje ostatnie tchnienie, i wzdycha z zadowoleniem, wciągając mnie do jakiegoś prywatnego rejestru.

Trzęsą mi się ręce, ale Rashton to nie Bell. Strach go nie paraliżuje, lecz motywuje. Rashton chce odszukać Lokaja i skończyć z nim, by odzyskać godność utraconą w naszych poprzednich starciach. Myśląc o dzisiejszej bójce, nie mam wątpliwości, że to Rashton kazał mi zbiec po schodach i wpaść na korytarz. Do walki pchnęła mnie jego złość i jego duma. Zapanował nade mną i nawet tego nie zauważyłem.

To się więcej nie może powtórzyć.

Przez lekkomyślność Rashtona zginiemy, a nie mogę zmarnować tego wcielenia. Jeśli mam wybawić siebie i Annę z opresji, muszę uprzedzić Lokaja, zamiast stale podążać jego tropem, i chyba znam kogoś, kto może mi pomóc, choć niełatwo będzie go przekonać.

Zdejmuję kastet, napełniam umywalkę i zaczynam się myć przed lustrem.

Rashton jest młodym człowiekiem – chociaż nie aż tak młodym, jak sobie wyobraża – wysokim, silnym i niezwykle przystojnym. Piegi na nosie, miodowe oczy i krótkie blond włosy sprawiają wrażenie, jakby jego twarz została utkana z promieni słońca. Chyba jedyną niedoskonałością jest stara blizna od kuli na ramieniu – nierówna, dawno wyblakła linia. Gdybym sięgnął pamięcią, poznałbym tę historię, ale mam dość własnych cierpień, aby dokładać do nich cudze nieszczęścia.

Kiedy się wycieram, słyszę szczęknięcie klamki w drzwiach i błyskawicznie łapię kastet.

– Jim, jesteś tam? Ktoś zamknął drzwi na klucz.

To kobiecy głos, który brzmi oschle i nieco ochryple.

Wkładam czystą koszulę, odsuwam krzesło, przekręcam klucz i otwieram drzwi. Stoi za nimi zdezorientowana młoda kobieta, która unosi dłoń, by jeszcze raz zapukać. Spod długich rzęs spoglądają na mnie niebieskie oczy, jedynym barwnym akcentem na porcelanowej twarzy jest czerwona kreska szminki. Ma niewiele ponad dwadzieścia lat, a jej gęste kruczoczarne włosy opadają na śnieżnobiałą bluzkę wpuszczoną w bryczesy. Na jej widok w Rashtonie żywiej zaczyna pulsować krew.

– Grace... – Moje wcielenie wkłada mi w usta jej imię i podpowiada wiele innych słów. Kipi we mnie wybuchowa mieszanina uwielbienia, zachwytu, podniecenia i poczucia własnej niedoskonałości.

– Słyszałeś, co zrobił ten skończony głupiec, mój brat? – Jak burza wpada do pokoju.

– Przypuszczam, że zaraz usłyszę.

– W nocy pożyczył sobie samochód – ciągnie, rzucając się na łóżko. – O drugiej nad ranem obudził masztalerza, ubrany we wszystkie kolory tęczy, i odjechał do wioski.

Zupełnie źle to zrozumiała, nie mogę jednak w żaden sposób przywrócić jej bratu dobrego imienia. To ja postanowiłem wziąć samochód, aby uciec z domu i wyruszyć do wioski. W tej chwili biedny Donald Davies śpi na polnej drodze, gdzie go porzuciłem, a moje obecne wcielenie próbuje wyciągnąć mnie z pokoju, żebym go poszukał.

Jego lojalność wobec brata Grace tłumi niemal wszystkie inne uczucia i gdy szukam jej przyczyn, natychmiast osaczają mnie okropności. Wiąż między Rashtonem a Daviesem narodziła się w błocie i krwi okopów. Poszli na wojnę jako głupcy, a wrócili jako bracia z ranami, o których wiedzieli tylko oni.

Czuję złość Rashtona na to, jak potraktowałem jego przyjaciela.

A może po prostu jestem zły na siebie.

Jesteśmy tak ściśle stopieni ze sobą, że trudno mi już nas odróżnić.

– To moja wina – wyznaje przygnębiona Grace. – Chciał kupić od Bella więcej tej trucizny, więc zagroziłam mu, że powiem tacie. Wiedziała, że jest na mnie zły, ale nie sądziłam, że ucieknie. – Bezradnie wzdycha. – Chyba nie sądzisz, że popełni jakieś głupstwo, co?

– Nic mu nie będzie – zapewniam ją, siadając obok. – Trochę się przestraszył i tyle.

– Żałuję, że w ogóle poznaliśmy tego przekłętego lekarza. – Wyglądza dłonią zagniecenia mojej koszuli. – Donald nie jest już taki sam, odkąd pojawił się Bell ze swoim magicznym kufrem. Przekłęte laudanum. Uzależnił się od tego. Trudno już z nim rozmawiać. Chciałabym, żebyśmy mogli coś z tym...

Nie kończy zdania, bo słowa prowadzą ją prosto do jakiegoś pomysłu. Widzę, jak szeroko otwiera oczy i śledzi tę myśl od początku do końca jak bieg konia, na którego postawiła w derbach.

– Muszę spotkać się w pewnej sprawie z Charlesem – mówi nagle, całuje mnie w usta i wypada jak strzała na korytarz.

Zanim zdążę zareagować, znika, zostawiając uchylone drzwi.

Kiedy wstaję, by je zamknąć, z podniecenia kręci mi się w głowie, w której i tak mam niemały mętlik. W zasadzie wszystko było prostsze, kiedy siedziałem w schowku pod schodami.

Powoli, krok po kroku, idę korytarzem, zaglądając do każdej sypialni, zanim uznam, że mogę ją bezpiecznie minąć. Mam na dłoni kastet i wzdrygam się, ilekroć z ciemnego miejsca dobiega jakiś dźwięk. Obawiam się ataku, który na pewno nastąpi; wiem, że jeżeli Lokaj uderzy z zaskoczenia, nie uda mi się go pokonać.

Odsuwam aksamitną kotarę zasłaniającą korytarz i wchodzę do pustego wschodniego skrzydła Blackheath, gdzie podmuchy wiatru poruszają draperie, które uderzają w ścianę jak płaty mięsa spadające na ladę u rzeźnika.

Zatrzymuję się dopiero przed pokojem dziecięcym.

Ciało nieprzytomnego Derby'ego nie jest od razu widoczne, ponieważ zostało zaciągnięte do kąta z dala od drzwi i schowane za koniem na biegunach. Zamiast głowy ma bezkształtną masę zakrzepłej krwi i odłamków porcelany, ale żyje i jest dobrze ukryty. Został zaatakowany, gdy wychodził z sypialni Stanwina, i sprawca miał na tyle sumienia, że zadbał o to, by szantażysta nie znalazł go i nie zabił, ale zabrakło mu czasu, aby przenieść Derby'ego do bezpieczniejszego miejsca.

Szybko przetrząsam mu kieszenie, ale wszystko, co zabrał Stanwinowi, zostało skradzione. Nie spodziewałem się, że będzie inaczej, ale skoro miał wiedzę o tylu tajemnicach tego domu, uznałem, że warto spróbować.

Pozwalam mu spać i ruszam dalej do pokoi Stanwina na końcu korytarza. Chyba tylko strach mógł go wygnać do tego obskurnego zakątka domu, pozbawionego skromnych wygód, jakie zapewniała gościom reszta Blackheath. Jeśli jednak kierował się tym kryterium, to dobrze wybrał. Jego szpiegami są deski podłogowe, które donośnym jękiem anonsują moje przybycie, długi korytarz ma tylko jedno wejście i wyjście. Najwidoczniej

szantażysta uważa, że otaczają go wrogowie, a ja być może będę mógł wykorzystać ten fakt.

Przechodzę przez salonik i pukam do drzwi sypialni Stanwina. Odpowiada mi dziwna cisza, z której wyławiam dźwięki wydawane przez kogoś, kto stara się zachowywać zupełnie bezgłośnie.

– Tu konstabl Jim Rashton! – wołam zza drzwi, chowając kastet do kieszeni. – Muszę z panem porozmawiać.

Moja zapowiedź wywołuje falę odgłosów. Słyszę lekkie stąpanie, zgrzyt szuflady, szelest unoszenia i przesuwania jakiegoś przedmiotu, aż wreszcie zza drzwi sączy się głos Teda Stanwina:

– Proszę wejść.

Siedzi na krześle z ręką w lewym bucie, który czyści z istic żołnierską werwą. Lekko się wzdrygam na jego widok, który budzi we mnie głębokie poczucie nierealności. Kiedy ostatni raz widziałem tego człowieka, leżał martwy w lesie i przeszukiwałem mu kieszenie. Blackheath podniosło go, otrzepało z liści i nakręciło mu mechanizm, żeby zrobił wszystko jeszcze raz. Jeżeli to nie jest piekło, to diabeł z pewnością pilnie się temu przygląda i robi notatki.

Patrzę w bok. Na łóżku leży pogrążony w głębokim śnie jego ochroniarz, który głośno oddycha przez obandażowany nos. Dziwię się, że Stanwin nigdzie go nie przeniósł, a jeszcze dziwniejsza wydaje mi się pozycja krzesła, które szantażysta ustawił na wprost łóżka, podobnie jak zrobiła to Anna przy łóżku kamerdynera. Nie ma wątpliwości, że Stanwin jest w jakiś sposób przywiązany do tego człowieka.

Ciekawe, jak by zareagował na wieść, że w pokoju obok cały czas jest Derby.

– Ach, oto i człowiek, który gra w tym wszystkim pierwsze skrzypce. – Stanwin przestaje pucować buty, aby mi się przyjrzeć.

– Niestety, mówi pan zagadkami – odpowiadam zbity z tropu.

– Gdybym tak nie mówił, nie mógłbym być dobrym szantażystą. – Wskazuje mi koślawe krzesło przy kominku.

Przyjmuję zaproszenie i przysuwam je bliżej łóżka, uważając, by nie dotknąć rozłożonej na podłodze brudnej gazety i pasty do butów.

Stanwin ma na sobie odpowiednik stroju stajennego w wersji dla bogaczy, co oznacza, że biała koszula jest wyprasowana, a czarne spodnie nieskazitelnie czyste. Patrząc na niego, jak w tym skromnym ubraniu

glansuje sobie buty, tkwiąc w rozpadającym się zakątku wspaniałej niegdyś posiadłości, nie rozumiem, co zyskał w ciągu dziewiętnastu lat uprawiania szantażu. Jego nos i policzki pokrywa siateczka popękanych naczyń krwionośnych, zapadnięte oczy są mocno zaczerwienione od bezsennego wypatrywania potworów u drzwi.

Potworów, które sam tu zaprosił.

Maska buńczuczności pyszałka skrywa duszę, która obróciła się w popiół, a płonący w niej kiedyś ogień dawno wygasł. Jest strzępem człowieka, który przegrał, a jego sekrety to ostatnia odrobina ciepła, jaka mu pozostała. Dzisiaj boi się swoich ofiar nie mniej niż one jego.

Ogarnia mnie litość. Coś w sytuacji Stanwina wydaje mi się strasznie znajome i w głębi duszy, pod warstwami moich wcieleń, gdzie mieszka prawdziwy Aiden Bishop, wyczuwam cień odległego wspomnienia. Przyszedłem tu z powodu kobiety. Chciałem ją uratować, ale nie mogłem. Blackheath było moją szansą na... co... na nową próbę?

Co zamierzałem tu zrobić?

Daj temu spokój.

– Najpierw jasno ustalmy fakty – zaczyna Stanwin, mierząc mnie nieruchomym spojrzeniem. – Masz konszachty z Cecilem Ravencourtem, Charlesem Cunninghamem, Danielem Coleridge’em i kilkoma innymi; wszyscy weszycie w sprawę morderstwa, które popełniono dziewiętnaście lat temu.

Moje poprzednie myśli natychmiast ulatują.

– Och, nie rób takiej zdumionej miny. – Badawczo przygląda się matowej plamce na bucie. – Z samego rana zjawił się tu Cunningham, żeby zadać mi parę pytań w imieniu swojego grubego pana, a kilka minut później na przespiergi przyszedł Daniel Coleridge. Obaj chcieli się czegoś dowiedzieć o człowieku, którego postrzeliłem, kiedy spłoszyłem mordercę panicza Hardcastle’a. A teraz ty. Nietrudno się domyślić, o co ci chodzi, jeżeli ma się oczy i za nimi mózg.

Kiedy na mnie zerka, spod fasady nonszalancji ukazuje się zimna kalkulacja. Zdając sobie sprawę, że na mnie patrzy, szukam odpowiednich słów, aby odrzucić jego podejrzenia, ale cisza się przeciąga i napięcie rośnie.

– Ciekawy byłem, jak to przyjmiesz – mruczy Stanwin, stawiając but na gazecie i wycierając rękę w szmatę.

Kiedy znowu się odzywa, mówi cichym i miękkim głosem, jakby opowiadał jakąś historię.

– Wydaje mi się, że ta nagła żądza sprawiedliwości ma prawdopodobnie jeden z dwóch powodów. – Scyzorykiem wydłubuje brud spod paznokci. – Albo Ravencourt wyczuł skandal i zapłacił ci, żebyś zasięgnął dla niego języka, albo myślisz, że na wyjaśnienie czeka duża sprawa, dzięki której trafisz do gazet i staniesz się sławny.

Gdy milczę, uśmiecha się drwiąco.

– Słuchaj, Rashton, nic nie wiesz o mnie ani o moim interesie, ale ja znam ludzi takich jak ty. Jesteś gliną z klasy robotniczej i spotykasz się z kobietą, na którą cię nie stać. Chcesz iść wyżej, nie ma w tym nic złego, sam to robiłem, ale żeby zacząć się wdrapywać po tej drabinie, będziesz potrzebował pieniędzy, a ja mogę ci pomóc. Informacje są cenne, a to znaczy, że możemy sobie nawzajem pomóc.

Patrzy mi w oczy, lecz niespokojnie. Żyła na jego szyi gwałtownie pulsuje, na czoło występuje mu pot. Rashton wie, że to niebezpieczna droga. Mimo to propozycja wydaje się całkiem kusząca. Będąc z Grace, niczego bardziej nie pragnie, niż móc płacić za siebie. Chciałby kupować lepsze ubrania i zapraszać ją na kolację częściej niż raz w miesiącu.

Rzecz w tym, że bardziej kocha być stróżem prawa.

– Ile osób wie, że Lucy Harper jest pana córką? – pytam obojętnym tonem.

Teraz to ja patrzę, jak rzędzie mu mina.

Podejrzania wzbudziły się we mnie, kiedy patrzyłem, jak podczas lunchu znęca się nad Lucy tylko dlatego, że miała czelność odezwać się do niego po imieniu, prosząc go, aby nie tarasował jej przejścia. Nie zwróciłem na to szczególnej uwagi, kiedy oglądałem to oczami Bella. Stanwin to brutal i szantażysta, jego zachowanie wydawało się więc naturalne. Dopiero gdy byłem świadkiem tej sceny jako Dance, wychwyciłem czułość w głosie Lucy i dostrzegłem strach w jej oczach. Pokój pełen mężczyzn, którzy chętnie wbiliby mu nóż między żebra, a ona niemal wprost mówi im, że jej na nim zależy. Równie dobrze mogłaby namalować sobie na plecach tarczę. Nic dziwnego, że tak na nią natarł. Chciał, żeby jak najszybciej opuściła salon.

– Jaka Lucy? – Mocno skręca w dłoniach szmatę.

– Jeżeli zaprzeczysz, obrazisz mnie, Stanwin. – Przerywam na chwilę, po czym dodaję: – Ma twoje rude włosy i nosisz w marynarce medalion z jej

portretem, razem z notatnikiem z szyfrem do swojego procederu. Dziwne połączenie, prócz tego, że to jedyne rzeczy, na których ci zależy. Szkoda, że nie słyszałeś, jak broniła cię przed Ravencourtem.

Każde słowo, które pada z moich ust, razi go jak cios obuchem.

– Nietrudno się domyślić – dodaję. – Wystarczy mieć oczy i za nimi mózg.

– Czego chcesz? – pyta cicho.

– Muszę wiedzieć, co się naprawdę stało tamtego ranka, kiedy został zamordowany Thomas Hardcastle.

Przesuwa językiem po wargach, a naoliwione kłamstwami trybiki w jego głowie zaczynają pracować pełną parą.

– Charlie Carver i jakiś inny człowiek zabrali Thomasa nad jezioro i zadźgali go nożem. – Podnosi but z podłogi. – Carvera udało mi się zatrzymać, ale ten drugi uciekł. Chcesz posłuchać innych starych historii?

– Gdyby interesowały mnie kłamstwa, zwróciłbym się do Heleny Hardcastle – odpowiadam, pochylając się i wsuwając złożone dłonie między kolana. – Była tam wtedy, prawda? Tak jak mówił Alf Miller. Wszyscy uważają, że rodzina podarowała ci plantację dlatego, że próbowałeś uratować chłopca, ale wiem, że to nieprawda. Szantażujesz Helenę Hardcastle od dziewiętnastu lat, od śmierci jej syna. Tamtego dnia widziałeś coś, dzięki czemu przez cały czas trzymasz ją w szachu. Mówiła, że te pieniądze są po to, by utrzymać w tajemnicy prawdziwe pochodzenie Cunninghama, ale chodziło o coś innego, zgadza się? O coś poważniejszego.

– A co będzie, jeżeli nie powiem, co widziałem? – fuka w odpowiedzi i rzuca but na bok. – Rozpuścisz wiadomość, że ojciec Lucy Harper to osławiony Ted Stanwin, i będziesz czekać, kto pierwszy ją zabije?

Otwieram usta, lecz z zakłopotaniem stwierdzam, że nie wiem, co odpowiedzieć. Oczywiście, że taki miałem plan, ale gdy siedzę tu przed Stanwinem, przypominam sobie tamtą chwilę na schodach, gdy Lucy prowadziła oszołomionego kamerdynera do kuchni, żeby nie wpadł w kłopoty. W odróżnieniu od ojca ma dobre serce, wrażliwe i dręczone wątpliwościami – idealny cel dla takich ludzi jak ja, gdyby chcieli ją podeptać. Nic dziwnego, że Stanwin wycofał się na drugi plan, pozostawiając wychowanie córki jej matce. Prawdopodobnie przez te lata przekazywał rodzinie trochę pieniędzy, aby żyło jej się dobrze, zanim będzie mógł ją przenieść na stałe poza zasięg swoich potężnych wrogów.

– Nie – mówię, nie tylko do Stanwina, ale też do siebie. – Lucy była dla mnie dobra, kiedy potrzebowałem dobroci, nie naraziłbym jej na niebezpieczeństwo, nawet w zamian za to.

Zaskakuje mnie uśmiechem, za którym czai się żal.

– Sentymentalizmem daleko w Blackheath nie zajdziesz – stwierdza.

– A zdrowym rozsądkiem? Dziś wieczorem zostanie zamordowana Evelyn Hardcastle i sądzę, że z powodu czegoś, co stało się dziewiętnaście lat temu. Wydaje mi się, że ocalenie jej życia jest w twoim interesie, żeby mogła wyjść za Ravencourta i żeby nadal płynęły do ciebie pieniądze.

Gwiżdże.

– Jeżeli to prawda, mógłbym zyskać więcej informacji o tym, kto ją zabije, ale to akurat jest chybiony strzał – oznajmia stanowczo. – Nie potrzebuję już więcej ich pieniędzy. Kończę z tym. Spodziewam się jeszcze jednej dużej kwoty, a potem sprzedaję interes i zwijam żagle. Właśnie dlatego przede wszystkim przyjechałem do Blackheath: zabrać stąd Lucy i sfinalizować umowę. Lucy jedzie ze mną.

– Komu to sprzedajesz?

– Danielowi Coleridge'owi.

– Coleridge zamierza cię zamordować za kilka godzin podczas polowania. Ile informacji jest warta taka wiadomość?

Stanwin patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Zamordować? Mam z nim uczciwy układ. Zamierzamy załatwić interes w lesie.

– Interes jest w dwóch notatnikach, prawda? – pytam. – W jednym wszystkie nazwiska, zbrodnie i płatności, zapisane, oczywiście, szyfrem. A w drugim klucz do szyfru. Trzymasz je osobno i sądzisz, że dzięki temu jesteś bezpieczny, ale tak nie jest i wszystko jedno, czy masz z nim uczciwy układ, czy nie, zginiesz za... – podciągam rękaw, by spojrzeć na zegarek – cztery godziny, a wtedy Coleridge stanie się posiadaczem obu notatników, nie płacąc za nie ani szylinga.

Na twarzy Stanwina po raz pierwszy odmalowuje się niepewność.

Sięga do szuflady w stoliku nocnym, wyciąga fajkę i niewielki kapciuch z tytoniem, którym wypełnia główkę fajki. Ściera jego nadmiar, po czym zakreśla koła płonąca zapalką na całej powierzchni tytoniu, pykając kilka razy, by wciągnąć płomień do wewnątrz. Gdy ponownie kieruje na mnie

wzrok, tytoń już się pali, a dym tworzy aureolę wokół jego głowy, która bynajmniej nie jest jej warta.

– Jak on to robi? – pyta Stanwin kącikiem ust, ściskając fajkę w pożółkłych zębach.

– Co widziałeś tamtego dnia rano, gdy zginął Thomas Hardcastle?

– O to chodzi? Morderstwo za morderstwo?

– Uczciwy układ – odpowiadam.

Spluwa na dłoń.

– Wobec tego przybij.

Spełniam prośbę, a potem zapalam swojego ostatniego papierosa. Ochota na tytoń przychodzi powoli jak wzbierająca woda, która stopniowo liże coraz wyżej brzeg rzeki. Z przyjemnością wypełniam dymem gardło, czując, że oczy zachodzą mi łzami.

Stanwin drapie się w zarost i zaczyna mówić z nutą zadumy w głosie:

– To był bardzo dziwny dzień, od samego początku. – Poprawia w ustach fajkę. – Przyjechali goście zaproszeni na przyjęcie, ale w domu już wcześniej panowała nieprzyjemna atmosfera. Kłótnie w kuchni, bójkę w stajniach, przyłączyli się do tego nawet goście. Nie można było przejść obok zamkniętych drzwi, żeby nie usłyszeć za nimi podniesionych głosów.

Wyczuwam teraz u niego ostrożność, jak u kogoś, kto rozpakowuje kufer wypełniony ostrymi przedmiotami.

– Kiedy Charlie został zwolniony, to nie była wielka niespodzianka – ciągnie. – Miał romans z lady Hardcastle, odkąd wszyscy sięgali pamięcią. Na początku w sekrecie. Potem jawnie, moim zdaniem zbyt jawnie. Chyba chcieli zostać przyłapani. Nie wiem, co ich w końcu pogrążyło, ale gdy lord Hardcastle wyrzucił Charliego, wiadomość rozeszła się po kuchni jak zaraza. Przypuszczaliśmy, że Charlie przyjdzie na dół pożegnać się z nami, ale on ani pisnął, a dwie godziny później łapie mnie jakaś służąca i mówi, że przed chwilą widziała go, pijanego jak bela, kręcącego się przy sypialniach dzieci.

– Przy sypialniach dzieci? Na pewno?

– Tak powiedziała. Zaglądał do pokoi po kolei, jakby czegoś szukał.

– Wiadomo, co to mogło być?

– Służąca myślała, że próbował się pożegnać, ale wszystkie dzieci bawiły się na dworze. Tak czy owak, wyszedł z domu z dużą skórzaną torbą na ramieniu.

– Nie wiedziała, co w niej jest?

– Nie miała pojęcia. W każdym razie nikt mu nie zazdrościł. Charlie był lubiany, wszyscy za nim przepadaliśmy. – Stanwin wzdycha i unosi twarz ku sufitowi.

– Co się potem stało? – ponaglam go, wyczuwając, że nie ma ochoty opowiadać dalej.

– Charlie był moim przyjacielem – mówi z naciskiem. – No więc poszedłem go szukać, przede wszystkim po to, żeby się z nim pożegnać. Kiedy widziano go ostatni raz, zmierzał w stronę jeziora, więc poszedłem tam, tyle że go nie znalazłem. Nikogo tam nie było, tak przynajmniej wydawało się na pierwszy rzut oka. I pewnie wróciłbym, ale zauważyłem krew na ziemi.

– Poszedłeś śladem krwi?

– Tak, aż nad brzeg jeziora... i wtedy zobaczyłem chłopca. – Przełyka ślinę, przeciągając dłonią po twarzy. To wspomnienie długo czaiło się w mrocznym zakątku jego pamięci, dlatego nie dziwię się, że tak trudno mu wydobyć je na światło dzienne. Człowiek, którym się stał, wyrósł właśnie z tego zatrutego ziarna.

– Co zobaczyłeś, Stanwin?

Odrywa rękę od twarzy i spogląda na mnie jak na księdza domagającego się spowiedzi.

– Na początku tylko lady Hardcastle – mówi. – Klęczała w błocie i wypłakiwała sobie oczy. Wszędzie była krew. Nie widziałem chłopca, tak mocno tuliła go w ramionach... ale kiedy mnie usłyszała, odwróciła się. Zobaczyłem, że przebiła mu gardło, prawie odcięła mu głowę.

– Przyznała się? – Słyszę podniecenie we własnym głosie. Gdy zerkam na swoje ręce, widzę, że są zaciśnięte w pięści, napinam wszystkie mięśnie. Siedzę na brzeжку krzesła i wstrzymuję oddech.

Natychmiast ogarnia mnie wstyd.

– Mniej więcej – przytakuje Stanwin. – Powtarzała tylko, że to był wypadek. Nic więcej, w kółko to samo. To był wypadek.

– Gdzie w tym wszystkim pojawia się Carver?

– Przyszedł później.

– Ile czasu minęło?

– Nie wiem...

– Pięć minut, dwadzieścia? – naciskam. – To ważne, Stanwin.

– Dwadzieścia nie, może dziesięć, to nie mogło trwać zbyt długo.

– Miał torbę?

– Torbę?

– Brązową skórzaną torbę, którą zabrał z domu, jak twierdziła służąca.

Miał ją ze sobą?

– Nie, nie miał torby. – Celuje we mnie fajką. – Coś wiesz, prawda?

– Chyba tak. Proszę, dokończ opowiadanie.

– Przyszedł Carver, wziął mnie na stronę. Był trzeźwy, zupełnie trzeźwy, jak człowiek, który przeżył szok. Poprosił mnie, żebym zapomniał o tym, co widziałem, i powiedział wszystkim, że on to zrobił. Odpowiedziałem, że za nic, nie dla niej, nie dla Hardcastle'ów, a on na to, że ją kocha, że to był wypadek i to jedyna rzecz, którą może dla niej zrobić, jedyne, co może jej dać. Uważał, że i tak nie ma przed sobą żadnej przyszłości, skoro zwolniono go z Blackheath i musi odejść od Heleny. Kazał mi przysiąc, że nie zdradzę jej sekretu.

– I dotrzymałeś obietnicy, tyle że kazałeś jej za to płacić – stwierdzam.

– A ty postąpiłbyś inaczej, prawda, glino? – rzuca z wściekłością. – Od razu zakułbyś ją w kajdany i złamałbyś przysięgę złożoną przyjacielowi. A może puściłbyś jej to płazem?

Kręcę głową. Nie znam odpowiedzi, ale nic mnie nie obchodzi jego tłumaczenia i uzalanie się nad sobą. W tej historii są tylko dwie ofiary, Thomas Hardcastle i Charlie Carver, zamordowane dziecko i człowiek, który skończył na szubienicy, aby uchronić przed sprawiedliwością ukochaną kobietę. Jest za późno, żebym mógł pomóc któremuś z nich, nie zamierzam jednak pozwalać, by dłużej ukrywano prawdę.

I tak wyrządziła już dość szkód.

Słyszc szezest zarośli, trzask gałęzek łamanych pod stopami. Daniel idzie szybkim krokiem przez las, nie starając się nawet zachować ostrożności. Nie musi. Wszystkie moje pozostałe wcielenia są czymś zajęte, a reszta gości jest na polowaniu albo na werandzie.

Serce mi wali. Daniel wymknął się z domu po rozmowie z Bellem i Michaelem w gabinecie i śledzę go od piętnastu minut, skradając się bezgłośnie między drzewami. Pamiętam, że nie było go na początku polowania i musiał doganiać Dance'a, jestem więc ciekawy, co go zatrzymało. Mam nadzieję, że to wyjście rzuci więcej światła na jego plany.

Las nagle się przerzedza i Daniel wychodzi na brzydką polankę. Jesteśmy blisko jeziora, w oddali po prawej dostrzegam jego taflę. Lokaj chodzi w kółko jak zwierzę w klatce, muszę więc schować się za krzakiem, żeby mnie nie zobaczył.

– Tylko szybko – mówi Daniel, podchodząc do niego.

Lokaj uderza go pięścią w szczękę.

Daniel zatacza się do tyłu, po czym prostuje się i skinieniem głowy pozwala na następny cios. Ten miażdży mu brzuch, a następny zwała go z nóg.

– Jeszcze? – pyta Lokaj, stając nad nim.

– Dość. – Daniel przykłada dłoń do rozciętej wargi. – Dance musi tylko uwierzyć, że walczyliśmy, a nie, że omal mnie nie zabiłeś.

Są współnikami.

– Dasz radę ich dogonić? – Lokaj pomaga Danielowi podnieść się z ziemi.
– Myśliwi wyszli już dosyć dawno.

– Sporo staruszków, ledwie powłóczą nogami. Nie mogli ująć za daleko. Udało się złapać Annę?

– Jeszcze nie, byłem zajęty.

– Lepiej się pospiesz, nasz przyjaciel się niecierpliwi.

A więc o to w tym wszystkim chodzi. Zależy im na Annie.

To dlatego Daniel prosił mnie, żebym ją znalazł, kiedy byłem Ravencourtem, i dlatego kazał Derby’emu przyprowadzić ją do biblioteki, gdy przedstawiał plan zastawienia pułapki na Lokaja. Miałem ją dostarczyć. Jak jagnię na rzeź.

Kręci mi się w głowie. Wymieniają jeszcze kilka słów, po czym Lokaj rusza z powrotem do domu. Daniel ociera krew z twarzy, ale nie rusza się z miejsca i chwilę później widzę dlaczego. Na polankę wychodzi Doktor Dżuma. To zapewne ten „przyjaciel”, o którym wspominał Daniel.

Jest tak, jak się obawiałem. Są współnikami. Daniel w zмовie z Lokajem szuka Anny na polecenie Doktora Dżumy. Nie domyślałem się przyczyn tej wrogości, ale rozumiem już, dlaczego Doktor Dżuma przez cały dzień starał się nastawić mnie przeciwko niej.

Kładzie teraz rękę na ramieniu Daniela i prowadzi go głębiej w las, gdzie znikają mi z oczu. Uderza mnie poufałość tego gestu. Nie przypominam sobie, by Doktor Dżuma kiedykolwiek mnie dotknął czy choćby podszedł na tyle blisko, żeby to było możliwe.

Skulony, na ugiętych nogach biegnę za nimi i zatrzymuję się przy linii drzew, aby pochwycić ich głosy, ale niczego nie słyszę. Przeklinam pod nosem i zagłębiam się w las, przystając od czasu do czasu w nadziei, że gdzieś ich zauważę. To na nic. Przepadli.

Czując się jak we śnie, wracam tam, skąd przyszedłem.

Co ze wszystkiego, co widziałem tego dnia, jest prawdą? Czy każdy jest tym, za kogo się podawał? Uwierzyłem, że Daniel i Evelyn są moimi przyjaciółmi, a Doktor Dżuma szaleńcem, że nazywam się Sebastian Bell i jestem lekarzem, którego największy kłopot to utrata pamięci. Skąd miałem wiedzieć, że to po prostu start wyścigu, w którym brałem udział, ale nikt mi o tym nie powiedział?

Powinna cię interesować meta.

– Cmentarz – mówię głośno.

Daniel uważa, że złapie tam Annę, i nie mam wątpliwości, że gdy podejmie tę próbę, weźmie ze sobą Lokaja. Tam wszystko ma się skończyć i muszę być do tego przygotowany.

Dotarłem do studni życzeń, gdzie pierwszego ranka Evelyn odebrała list od Felicity. Nie mogę się doczekać, by wprowadzić w życie swój plan, ale

zamiast skierować się do domu, skręcam w lewo w stronę jeziora. To sprawka Rashtona. Kieruje nim instynkt. Instynkt policjanta. Rashton chce zobaczyć miejsce zbrodni, dopóki ma świeżo w pamięci zeznanie Stanwina.

Ścieżka jest zarośnięta, drzewa po obu stronach zwieszają nad nią gałęzie i ryją pod nią korzeniami. Ciernie jeżyn zahaczają się o mój trencz, z liści kapie na mnie deszcz, aż w końcu docieram na błotnisty brzeg jeziora.

Dotąd oglądałem je tylko z daleka; z bliska jest znacznie większe, ma kolor omszałego kamienia, przy prawym brzegu kołysze się na wodzie parę łódek uwiązanych do starego rozsypującego się w drzazgi hangaru. Na wyspie pośrodku jeziora wznosi się podium dla orkiestry, przykryte turkusowym dachem na drewnianej konstrukcji zniszczonej przez deszcze i wiatr.

Nic dziwnego, że Hardcastle'owie postanowili opuścić Blackheath. Stało się tu coś złego, co do dziś wyczuwa się nad jeziorem. Ogarnia mnie taki niepokój, że mam ochotę obrócić się na pięcie i wrócić, ale wola zrozumienia, co się tu stało dziewiętnaście lat temu, okazuje się silniejsza, więc idę wzdłuż brzegu jeziora; okrążam je dwukrotnie jak koroner obchodzący zwłoki spoczywające na stole do sekcji.

Mija godzina. Mój wzrok pracowicie penetruje okolicę, ale na niczym się nie zatrzymuje.

Relacja Stanwina wydaje się jednoznaczna, ale nie tłumaczy, dlaczego przeszłość sięga do teraźniejszości i upomina się o następne dziecko Hardcastle'ów. Nie wyjaśnia, kto za tym stoi ani co pragnie osiągnąć. Sądziłem, że przychodząc tu, zrozumie coś więcej, ale jeżeli jezioro cokolwiek pamięta, nie ma ochoty dzielić się wspomnieniami. Nie można ubić z nim interesu jak ze Stanwinem ani zastraszyć go jak masztalerza.

Zziębnięty i mokry, mógłbym dać za wygraną, lecz Rashton już ciągnie mnie w stronę sadzawki lustrzanej. Oczy policjanta nie są łagodne jak u moich poprzednich wcieleń. Szukają kantów, wyrw, szpar. Nie wystarczy mu zapamiętany przeze mnie obraz tego miejsca; musi zobaczyć je na nowo. Tak więc z rękami w kieszeniach ustawiam się nad brzegiem wody, która sięga tak wysoko, że niemal dotyka podeszew moich butów. Powierzchnię mąci drobny deszcz, bębniąc lekko w gęste liście pływających salwinii.

Przynajmniej deszcz jest niezmienny. Pada na twarz Bella, kiedy spaceruje z Evelyn, tłucze w okna stróżówki, w której śpi kamerdyner i tkwi związany Gold. Ravencourt słucha jego szumu w swoim saloniku,

zastanawiając się, gdzie podział się Cunningham, a Derby... Derby jest nadal nieprzytomny, co chyba jest dla niego najlepsze. Davies upadł z wycieńczenia na drodze, a może już wraca... w każdym razie moknie. Podobnie jak Dance, który włóczy się po lesie ze strzelbą na ramieniu, choć wolałby się znaleźć gdziekolwiek indziej.

Jeżeli chodzi o mnie, stoję dokładnie w miejscu, w którym stanie dziś wieczorem Evelyn, przyciśnie do brzucha lufę srebrnego pistoletu i pociągnie za spust.

Widzę to samo, co zobaczy ona.

Próbuję zrozumieć.

Morderca znalazł sposób, by zmusić ją do samobójstwa, ale dlaczego nie kazał jej zastrzelić się w sypialni, bez świadków? Dlaczego wyprowadził ją tutaj w samym środku przyjęcia?

Żeby wszyscy to widzieli.

– W takim razie czemu nie zrobi tego na środku parkietu albo na scenie?
– mruczę do siebie.

To wszystko wydaje się zbyt teatralne.

Rashton pracował nad dziesiątkami zabójstw. Nikt ich nie reżyseruje, są popełniane nagle, pod wpływem impulsu. Mężczyźni po dniu ciężkiej pracy zaglądają do kieliszka, mieszając gorycz, która zbiera się na dnie. Wybuchają kłótnie i bójki, żony mają dość podbitych oczu i sięgają po najbliższy nóż kuchenny. Śmierć zdarza się w ciemnych zaułkach i przytulnych pokojach, w których na stole leżą koronkowe serwetki. Przewracają się drzewa, ludzie giną zmiażdżeni, ześlizgują się ostre narzędzia. Ludzie umierają tak jak zawsze, szybko, niecierpliwie albo nieszczęśliwie; ale nie tak jak tu, nie na oczach setki osób w balowych sukniach i smokingach.

Jaki trzeba mieć umysł, żeby robić teatr z morderstwa?

Odwracam się w kierunku domu i próbuję odtworzyć w pamięci drogę Evelyn nad brzeg sadzawki; przypominam sobie, jak płynęła między blaskiem ognia a ciemnością, chwiejąc się jak pijana. Pamiętam błysk srebrnego pistoletu w jej dłoni, strzał, ciszę, a potem huk fajerwerków, gdy runęła do wody.

Po co brać dwie sztuki broni, skoro wystarczy jedna?

Morderstwo, które nie wygląda na morderstwo.

Tak opisał je Doktor Dżuma... A jeśli... W głowie kluje mi się myśl, sięgam więc po nią i ostrożnie wysuwam z półmroku. Wyłania się hipoteza, doprawdy przedziwna.

Jedyna, która wydaje się sensowna.

Ktoś lekko klepie mnie w ramię i podskakuję przestraszony, omal nie wpadając do sadzawki. Na szczęście Grace w porę mnie łapie i bierze w objęcia. Muszę przyznać, że nie jest to nieprzyjemne położenie, zwłaszcza kiedy odwracam się i widzę te niebieskie oczy patrzące na mnie z mieszaniną miłości i rozbawienia.

– Cóż ty tu robisz? – pyta. – Wszędzie cię szukam. Nie było cię na lunchu. – W jej głosie brzmi nuta niepokoju. Badawczo patrzy mi w oczy, choć nie mam pojęcia, czego w nich szuka.

– Wyszedłem na spacer – wyjaśniam, starając się rozproszyć jej obawy. – I zacząłem się zastanawiać, jak ten dom wyglądał w czasach swojej świetności.

Po jej twarzy przemyka cień niedowierzania, lecz znika, gdy Grace mruga swoimi cudownymi oczami, bierze mnie pod rękę i grzeje ciepłem własnego ciała.

– Dzisiaj trudno to sobie przypomnieć – mówi. – Wszystkie wspomnienia związane z Blackheath, nawet te szczęśliwe, są skażone przez to, co stało się z Thomasem.

– Byłaś tu, kiedy to się zdarzyło?

– Nigdy ci nie mówiłam? – Opiera głowę na moim ramieniu. – Byłam jeszcze mała, ale tak, byłam tu, jak prawie wszyscy, którzy są tu dzisiaj.

– Widziałaś to?

– Dzięki Bogu, nie. – Patrzy na mnie ze zgrozą. – Evelyn urządziła dzieciom zabawę w poszukiwanie skarbów. Miałam najwyżej siedem lat, tyle co Thomas. Evelyn dziesięć. Była już zupełnie dorosła, więc tego dnia miała się nami zająć.

Ma nieobecne spojrzenie, gdy wraca do poruszonego wspomnienia sprzed lat.

– Teraz oczywiście wiem, że chciała pojeździć konno, zamiast się nami opiekować, ale wtedy myśleliśmy, że jest dla nas strasznie dobra. Świetnie się bawiliśmy, biegaliśmy po lesie, szukając wskazówek, gdy nagle Thomas gdzieś uciekł. I nigdy go już nie zobaczyliśmy.

– Uciekł? Powiedział, dlaczego was zostawia albo dokąd idzie?

– Pytasz jak policjant, który mnie przesłuchiwał. – Przytula się do mnie mocniej. – Nie, nie zdążyliśmy mu zadać ani jednego pytania. Zapytał o godzinę i pobiegł.

– Zapytał o godzinę?

– Tak, jakby się dokądś spieszył.

– I nie mówił wam, dokąd się wybiera?

– Nie.

– Zachowywał się dziwnie, mówił coś niezrozumiałego?

– Właściwie trudno było wydusić z niego choćby jedno słowo – odpowiada. – Kiedy o tym pomyślę, to przez cały tydzień był w dziwnym nastroju, zamknięty w sobie, ponury, zupełnie niepodobny do siebie.

– A zwykle jak się zachowywał?

Wzrusza ramionami.

– Najczęściej jak łobuziak. Był w takim wieku. Lubił nas ciągnąć za włosy, straszyć. Szedł za nami przez las, a potem wyskakiwał zza drzew w najmniej spodziewanym momencie.

– I przez tydzień zachowywał się dziwnie? – dopytuję się. – Jesteś pewna, że to trwało właśnie tyle?

– Tak, tyle czasu spędziliśmy w Blackheath przed przyjęciem. – Wzdryga się i przygląda mi się przez chwilę. – Co takiego przykuło pańskie myśli, panie Rashton? – pyta.

– Przykuło?

– Widzę tę małą zmarszczkę... – dotyka miejsca między moimi brwiami – pojawia się zwykle, kiedy coś cię martwi.

– Jeszcze nie jestem pewien, co to jest.

– W każdym razie staraj się tego nie robić, gdy spotkasz moją babcię.

– Mam nie marszczyć czoła?

– Nie myśleć, głuptasie.

– Boże drogi, dlaczego?

– Nie przepada za młodymi ludźmi, którzy za dużo myślą. Uważa to za oznakę próżniactwa.

Temperatura szybko spada. Resztki kolorów dnia umykają przed czarnymi chmurami burzowymi, które panoszą się na niebie.

– Wrócimy do domu? – pyta Grace, tupiąc nogami, żeby się rozgrzać. – Nie lubię Blackheath jak każdy, ale nie do tego stopnia, żebym wolała zamarznąć na śmierć, niż wejść do środka.

Spoglądam na sadzawkę z pewnym smutkiem, ale nie mogę forsować swojej hipotezy, dopóki nie porozmawiam z Evelyn, która właśnie jest na spacerze z Bellem. To, co przykuło moje myśli – używając wyrażenia Grace – będzie musiało poczekać do powrotu Evelyn za parę godzin. Poza tym perspektywa spędzenia czasu z kimś, kto nie jest zaplątany w liczne dramaty tego domu, wydaje mi się kusząca.

Przytuleni do siebie ramionami wchodzimy do holu w chwili, gdy po schodach idzie na dół Charles Cunningham. Marszczy czoło, pogrążony w zadumie.

– Nic ci nie jest, Charles? – pyta Grace, wrywając go z zamyślenia. – Naprawdę, co się dzieje dzisiaj ze wszystkimi mężczyznami w tym domu? Chodźcie z głową w chmurach.

Jego twarz rozjaśnia się od uśmiechu. Ta radość na nasz widok zupełnie nie pasuje do poważnej miny, z jaką mnie zwykle wita.

– Ach, dwoje moich ulubieńców – oznajmia uroczyście, po czym zeskakuje z trzeciego stopnia i klepie nas oboje po ramieniu. – Przepraszam, myślałem o czymś zupełnie innym.

Sympatia każe mi się szeroko uśmiechnąć.

Dotychczas w ciągu dnia pokojowy po prostu pojawiał się i znikał, czasem okazując się uczynny, ale zawsze zajęty jakąś własną sprawą, przez co nie sposób mu było zaufać. Gdy patrzę na niego oczami Rashtona, mam wrażenie, że oglądam szkic zrobiony węglem, który wypełnia się kolorami.

Grace i Donald Daviesowie spędzali lato w Blackheath, dorastając razem z Michaeliem, Evelyn, Thomasem i Cunninghamem. Mimo że wychowywała go kucharka, pani Drudge, wszyscy sądzili, że jest synem Petera Hardcastle'a, co znacznie podnosiło jego status. Wspierając przekonanie, że jest kimś więcej, Helena poleciła guwernantce uczyć Cunninghama razem z dziećmi Hardcastle'ów. Chociaż został służącym, ani Grace, ani Donald nigdy nie uważali go za kogoś gorszego, bez względu na opinię swoich rodziców. Tych troje to prawie rodzina i dlatego właśnie jedną z pierwszych osób, której Donald Davies przedstawił Rashtona, kiedy wrócili z wojny, był Cunningham. Ci trzej są sobie bliscy jak bracia.

– Ravencourt daje ci się we znaki? – pyta Grace. – Mam nadzieję, że nie zapomniałeś znowu przynieść mu drugiej porcji jajek? Przecież wiesz, jaki jest wtedy niemiły.

– Nie, nie, to nie to. – Cunningham, zamyślony, kręci głową. – Wiecie, jak to jest, czasem dzień zaczyna się od jednej rzeczy, a potem niespodziewanie dzieje się coś innego. Ravencourt właśnie powiedział mi coś zdumiewającego i prawdę mówiąc, ciągle nie mogę tego ogarnąć rozumem.

– Co takiego powiedział? – zaciekawia się Grace, przechylając głowę.

– Że nie jest... – Urywa i ściska palcami nos. Po chwili zastanowienia wzdycha i kończy rozmowę na ten temat. – Najlepiej opowiem wam wieczorem przy brandy, kiedy już będzie wiadomo, jak to wszystko się ułożyło. Na razie jeszcze nie wiem, jak to ubrać w słowa.

– Z tobą zawsze jest to samo, Charles. – Grace tupie nogą. – Zaczynasz jakąś smakowitą historię, ale nigdy nie kończysz.

– W takim razie może to ci poprawi nastrój? – Cunningham wyjmuje z kieszeni srebrny klucz z tekturową przywieszką, z której wynika, że to własność Sebastiana Bella. Ostatni raz widziałem ten klucz w kieszeni tego plugawca Derby’ego, zanim ktoś roztrzaskał mu na głowie wazon przed drzwiami sypialni Stanwina.

Czuję się jak element maszyny, trybik ogromnego zegara, poruszający mechanizmem, którego przeznaczenia nie rozumiem, bo jestem za mały.

– Znalazłeś go dla mnie? – pyta Grace, klaszcząc z radości.

Cunningham patrzy na mnie rozpromieniony.

– Grace prosiła, żebym buchnął z kuchni zapasowy klucz do sypialni Bella, żebyśmy mogli ukraść mu narkotyki. – Kołysze kluczykiem na palcu. – Poszedłem o krok dalej i znalazłem klucz do jego kufra.

– Może to dziecinne, ale chciałabym, żeby Bell cierpiał tak jak Donald – wyjaśnia Grace z błyskiem okrucieństwa w oczach.

– Jak zdobyłeś ten klucz? – pytam Cunninghama.

– W trakcie wykonywania obowiązków – odpowiada trochę niepewnie. – W kieszeni mam klucz do jego pokoju. Wszystkie te fiolki trafią do jeziora, wyobrażasz sobie?

– Do jeziora nie. – Grace się krzywi. – Sam powrót do Blackheath nie jest niczym miłym, ale nie zamierzam się zbliżyć do tego okropnego miejsca.

– Niedaleko stróżówki jest studnia – proponuję. – Stara i głęboka. Jeżeli wrzucimy tam narkotyki, nikt nigdy ich nie znajdzie.

– Doskonale. – Cunningham z zadowoleniem zaciera ręce. – Poczciwy doktor wyszedł właśnie na spacer z panną Hardcastle, więc wydaje mi się, że nie ma lepszej okazji. Są chętni na mały rozbój w biały dzień?

Grace pilnuje drzwi, a Cunningham i ja wślizgujemy się do sypialni Bella, której nostalgia nadaje radosne barwy, kiedy się po niej rozglądam. Po zmaganiach z dominującymi charakterami poprzednich wcieleń myślę o Bellu znacznie łagodniej niż przedtem. W odróżnieniu od Derby'ego, Ravencourta czy Rashtona Sebastian Bell był czystą kartą, wycofanym człowiekiem, który uciekał nawet przed sobą samym. Wypełniłem go tak całkowicie, do ostatniego pustego miejsca, że nie zdałem sobie nawet sprawy, iż coś z nim jest nie tak.

W pewnym sensie wyczuwam w nim dobrego przyjaciela.

– Jak myślisz, gdzie to trzyma? – pyta Cunningham, zamykając za sobą drzwi.

Chociaż doskonale wiem, gdzie jest kufer Bella, udaję, że nie mam pojęcia, korzystając z okazji, by podczas jego nieobecności zostać tu trochę dłużej i cieszyć się wrażeniem powrotu do życia, które przez chwilę należało do mnie.

Cunningham dość szybko jednak znajduje kufer i z moją pomocą wyciąga go z szafy, robiąc straszny hałas, gdy przesuwając go po drewnianych deskach podłogi. Dobrze, że wszyscy poszli na polowanie, bo te odgłosy mogłyby obudzić umarłych.

Klucz pasuje jak ulał, klamra na dobrze naoliwionych zawiasach odskakuje i moim oczom ukazuje się wnętrze wypełnione po brzegi brązowymi fiolkami i buteleczkami, ułożonymi w równiutkich rzędach.

Cunningham przyniósł ze sobą płócienny worek, więc klęcząc po obu stronach kufra, zaczynamy wrzucać do niego towar Bella. Są tu wszelkiego rodzaju wyciągi i mikstury, nie tylko specyfiki przeznaczone do tego, by wywołać bezmyślny uśmiech na twarzy. Wśród środków dających wątpliwą

przyjemność dostrzegam opróżnioną do połowy buteleczkę strychniny, której białe kryształki wyglądają niewinnie jak duże kawałki soli.

Cóż on z tym robi?

– Bell sprzeda wszystko każdemu, prawda? – Cunningham cmoka z dezaprobatą, zabierając mi buteleczkę i wrzucając ją do worka. – Ale już niedługo.

Kiedy wydaję pojemniczki z kufra, przypominam sobie wiadomość, którą Gold wsunął pod drzwi mojego pokoju, i nazwy trzech substancji, które mam podkraść.

Na szczęście Cunningham jest tak zachwycony swoim zadaniem, że nie zauważa, jak wsuwam do kieszeni fiolki ani jak wrzucam do kufra figurę szachową. Wśród wszystkich intryg wydaje się, że to nieistotna rzecz, którą nie warto zawracać sobie głowy, wciąż jednak pamiętam, ile siły i otuchy dodał mi ten goniec. To był gest życzliwości, kiedy najbardziej była mi potrzebna, więc cieszę się, że pochodzi ode mnie.

– Charles, musisz mi powiedzieć o czymś prawdę – zaczynam.

– Mówiłem ci już, nie będę się wtrącał w wasze sprawy z Grace – mówi z roztargnieniem, starannie napełniając worek. – Wszystko jedno, o co klóciliście się w tym tygodniu, przyznaj się do błędu i bądź wdzięczny, jeżeli przyjmie przeprosiny.

Posyła mi uśmiech, który zaraz jednak gaśnie, gdy Cunningham dostrzega moją posępną minę.

– O co chodzi?

– Skąd masz kluczyk do kufra? – pytam.

– Skoro naprawdę musisz wiedzieć, to dostałem go od jednego ze służących. – Nie przerywa pakowania i unika mojego wzroku.

– Nie dostałeś – odpowiadam, drapiąc się w szyję. – Zabrałeś go Jonathanowi Derby'emu, którego najpierw uderzyłeś wazonem w głowę. Daniel Coleridge najął cię, żebyś ukradł rejestr osób szantażowanych przez Stanwina, zgadza się?

– T... to... zupełny nonsens – oświadczam.

– Proszę cię, Charles – rzucam szorstkim od emocji głosem. – Rozmawiałem już ze Stanwinem.

Rashton przez lata znajomości niejedną raz mógł liczyć na przyjaźń i rady Cunninghama, trudno więc mi znieść widok tego drugiego, kiedy wiję się w ogniu moich pytań.

– Nie... wcale nie chciałem go uderzyć – wyznaje ze wstydem Cunningham. – Wsadziłem Ravencourta do wanny i właśnie szedłem na śniadanie, kiedy usłyszałem jakiś rumor na schodach. Zobaczyłem, jak Derby wpada do gabinetu, a Stanwin depta mu po piętach. Pomyślałem, że mogę się zakraść do pokoju Stanwina, dopóki nikt nie będzie zwracał uwagi, i zabrać ten notatnik, ale w środku był ochroniarz, więc schowałem się w jednym z pokoiów naprzeciwko i czekałem, co się stanie.

– Zobaczyłeś, jak Dickie podaje ochroniarzowi środek uspokajający, a potem jak Derby znajduje rejestr. Nie mogłeś dopuścić do tego, żeby wyniósł stamtąd notatnik. Był zbyt cenny.

Cunningham skwapliwie kiwa głową.

– Stanwin wie, co się stało tamtego dnia, wie, kto naprawdę zabił Thomasa – mówi. – Przez cały czas kłamał. Ta informacja jest w jego rejestrze. Coleridge rozszyfruje ją dla mnie, a wtedy wszyscy się dowiedzą, że mój ojciec, prawdziwy ojciec, jest niewinny.

Nagle w jego oczach migocze strach.

– Stanwin wie o mojej umowie z Coleridge'em? – pyta z lękiem. – Dlatego się z nim spotkałeś?

– O niczym nie wie – uspokajam go. – Poszedłem go spytać o śmierć Thomasa Hardcastle'a.

– I powiedział ci coś?

– Był mi to winien, bo uratowałem mu życie.

Cunningham nadal klęczy i ściska mnie za ramiona.

– Cudotwórca z ciebie, Rasher – mówi. – Nie trzymaj mnie w niepewności.

– Zobaczył zakrwawioną lady Hardcastle, która tuliła ciało Thomasa. – Pilnie go obserwuję. – Stanwin wyciągnął z tego oczywisty wniosek, ale kilka minut później pojawił się Carver i zażądał od Stanwina, żeby to jego obarczył winą.

Cunningham przewierca mnie wzrokiem, jakby starał się znaleźć słabe punkty w wyczekiwanej od dawna odpowiedzi. Kiedy się odzywa, w jego głosie słychać nutę goryczy.

– No tak, oczywiście. – Ciężko pochyla się nad podłogą. – Poświęciłem całe lata, żeby udowodnić niewinność ojca, więc naturalnie dowiaduję się, że morderstwo popełniła moja matka.

– Od kiedy wiesz, kim są twoi prawdziwi rodzice? – Robię, co mogę, by brzmiało to pocieszająco.

– Matka mi powiedziała, kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat. Dowiedziałem się od niej, że mój ojciec nie był takim potworem, jak go oskarżano, ale nie wyjaśniła dlaczego. Odtąd codziennie próbuję zrozumieć, o co jej chodziło.

– Widziałeś się z nią dzisiaj rano, prawda?

– Zaniosem jej herbatę – odpowiada łagodnie. – Piła ją w łóżku, kiedy rozmawialiśmy. Robiłem to samo, gdy byłem mały. Dopytywała się, czy jestem szczęśliwy, jak mi się podoba nauka. Była dla mnie dobra. To była moja ulubiona pora dnia.

– A dziś rano? Przypuszczam, że nie wspomniała o niczym podejrzanym?

– O śmierci Thomasa? Nie, tego tematu nie poruszyliśmy – oświadcza sarkastycznym tonem.

– Chodzi mi o coś, co jest nietypowe dla niej, nieoczekiwane.

– Nietypowe – prycha. – Od roku albo dłużej nie zachowuje się typowo dla siebie. Nie mogę za nią nadążyć. Raz jest rozanielona, a po chwili zalewa się łzami.

– Od roku – powtarzam w zamyśleniu. – Odkąd odwiedziła Blackheath w rocznicę śmierci Thomasa? – Po tej wizycie pojawiła się u Michaela, bredząc coś o ubraniach.

– Tak... być może. – Skubie ucho. – Słuchaj, chyba nie sądzisz, że to wszystko ją przerosło, co? Mam na myśli wyrzuty sumienia. To by wyjaśniało, dlaczego się tak dziwnie zachowuje. Może zbiera się na odwagę, żeby się w końcu przyznać. Gdyby tak było, zrozumiałbym, skąd się wziął jej dzisiejszy nastrój.

– O czym rozmawialiście?

– Była całkiem spokojna. Jakby trochę nieobecna. Mówiła o porządkowaniu spraw, o tym, jak jej przykro, że musiałem dorastać, wstydząc się za ojca. – Pochmurnieje. – O to chodzi, prawda? Zamierza się przyznać dzisiaj na przyjęciu. Dlatego zadała sobie tyle trudu, żeby otworzyć Blackheath i zaprosić tych samych gości co wtedy.

– Być może. – Nie potrafię ukryć wątpliwości. – Dlaczego na jej terminarzu były twoje odciski palców? Czego szukałeś?

– Kiedy próbowałem wyciągnąć z niej więcej informacji, poprosiła mnie, żebym sprawdził, na którą umówiła się z masztalerzem. Obiecała, że potem powie mi więcej, miałem przyjść pod stajnie. Czekałem, ale w ogóle się nie

pokazała. Szukam jej cały dzień, nikt jej jednak nie widział. Może pojechała do wsi.

Przemilczam to.

– Opowiedz mi o tym zaginionym stajennym – proszę. – Pytałeś o niego masztalerza.

– Niewiele można o nim powiedzieć. Kilka lat temu upiłem się z inspektorem, który prowadził śledztwo w sprawie zamordowania Thomasa. Nigdy nie uwierzył, że sprawcą był mój ojciec... to znaczy Carver. Przede wszystkim dlatego, że ten drugi chłopak, Keith Parker, zaginął tydzień wcześniej, kiedy mój ojciec był z lordem Hardcastle w Londynie. Nie podobał mu się ten zbieg okoliczności. Pytał w okolicy o tego chłopaka, ale niczego się nie dowiedział. Z tego, co mówią ludzie, Parker po prostu wyszedł bez słowa i już nie wrócił. Nigdy nie znaleziono ciała, więc nie mogli obalić pogłosek o tym, że uciekł.

– Znałeś go?

– Słabo, czasami się z nami bawił, ale nawet dzieci służby miały swoje obowiązki przy domu. Najczęściej pracował w stajniach. Rzadko go widywaliśmy.

Wyczuwa mój nastrój i patrzy na mnie dociekliwie.

– Naprawdę myślisz, że moja matka jest morderczynią?

– Żeby to ustalić, potrzebuję twojej pomocy – odpowiadam. – Matka powierzyła twoje wychowanie pani Drudge, tak? Czy to znaczy, że są sobie bliskie?

– Bardzo bliskie, pani Drudge była jedyną osobą, która wiedziała, kto jest moim prawdziwym ojcem, zanim dowiedział się o tym Stanwin.

– Dobrze, będę cię prosił o przysługę.

– Jaką?

– Właściwie o dwie. Chciałbym, żeby pani Drudge... och.

Właśnie dogoniłem swoją przeszłość. Odpowiedź na pytanie, które chciałem zadać, została mi już udzielona. Muszę teraz dopilnować, żeby to się znowu stało.

Cunningham macha mi ręką przed oczami.

– Dobrze się czujesz, Rasher? Nagle zrobiłeś trochę dziwną minę.

– Przepraszam, stary, przez chwilę myślałem o czymś innym – mówię, by rozwiać jego obawy. – No więc chciałbym, żeby pani Drudge wyjaśniła mi

pewną rzecz, a potem chciałbym, żebyś zebrał parę osób. Kiedy to zrobisz, znajdź Jonathana Derby'ego i powiedz mu o wszystkim, co odkryłeś.

– Derby'emu? A co ten drań może mieć z tym wspólnego?

Otwierają się drzwi i do pokoju zagląda Grace.

– Na litość boską, dlaczego to tak długo trwa? – pyta. – Jeżeli zostaniemy tu jeszcze chwilę, będziemy musieli przygotować Bellowi kąpiel i udawać służbę.

– Jeszcze momencik. – Kładę dłoń na ramieniu Cunninghama. – Naprawimy to, obiecuję. A teraz posłuchaj, to naprawdę ważne.

Zawartość płóciennego worka pobrząkuje, a jej ciężar i nierówności terenu utrudniają mi marsz. Ilekroć się potykam, Grace krzywi się ze współczuciem.

Kiedy Cunningham pobiegł spełnić moją prośbę, zareagowała na jego zniknięcie zdziwionym milczeniem. Chciałbym jej to wytłumaczyć, ale Rashton zna tę kobietę na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie spodziewa się wyjaśnień. Gdy Donald Davies przedstawił wdzięcznej rodzinie człowieka, który w czasie wojny uratował mu życie, dziesięć minut później żadna bystra i wrażliwa osoba nie miała wątpliwości, że pewnego dnia Jim Rashton i Grace Davies staną się małżeństwem. Niezrażeni różnicą pochodzenia, podczas pierwszej wspólnej kolacji z czułych przytyków i dociekliwych pytań budowali most, i tak przy stole i sztucach, których przeznaczenie było dla Rashtona zagadką, zakwitła miłość. Uczucie, jakie tamtego dnia narodziło się między nimi, wzmagало się i krzepło, pozwalając im zamieszkać w swoim własnym świecie. Grace wie, że opowiem jej całą historię, gdy będzie skończona, wsparta na tyle mocnymi faktami, by uzasadniały sens opowiadania. Tymczasem idziemy w przyjaznym i niekrepującym milczeniu, ciesząc się, że jesteśmy razem.

Mam na dłoni kastet; wcześniej wspomniałem ogólnikowo o zagrożeniu ze strony współników Bella i doktora Dickiego. Niezbyt przekonujące kłamstwo, ale wystarcza, by obudzić czujność Grace, która przygląda się podejrzliwie każdemu ociekającemu deszczem liściowi. Kiedy docieramy do studni, odchyła gałąź, abym nie zaczepił o nią, wychodząc na polanę. Natychmiast wrzucam do studni worek; z potężnym hukiem ląduje na dnie.

Wymachuję ramionami, żeby pozbyć się bólu mięśni, a Grace zagląda w ciemną czeluść studni.

– Masz jakieś życzenia? – pyta.

– Żebym nie musiał nieść tego worka z powrotem.

– Boże, to naprawdę działa! – mówi. – Myślisz, że mogę mieć więcej życzeń?

– Wygląda mi to na małe oszustwo.

– Od lat nikt jej nie używał, pewnie zostało kilka niewykorzystanych.

– Mogę cię o coś spytać?

– Nie wiedziałam, że możesz to robić tak nieśmiało. – Nachyla się nad studnią tak głęboko, że stopy zawisają jej w powietrzu.

– Tamtego dnia rano, gdy zamordowano Thomasa, kiedy bawiłaś się w poszukiwanie skarbów, kto z wami był?

– Daj spokój, Jim, to było dziewiętnaście lat temu – odpowiada głosem stłumionym przez kamienną głębię.

– Był z wami Charles?

– Charles? – Wysuwa ze studni głowę. – Tak, możliwe.

– Możliwe czy rzeczywiście był? To ważne, Grace.

– Właśnie widzę. – Prostuje się i otrzepuje rękę. – Zrobił coś złego?

– Mam wielką nadzieję, że nie.

– Ja też. – W jej twarzy dostrzegam lustrzane odbicie swojego niepokoju. – Daj mi się zastanowić, zaczekaj momentik... Tak, był! Ukradł z kuchni całe ciasto z owocami. Pamiętam, jak dzielił się nim ze mną i z Donaldem. Pani Drudge musiała szaleć z wściekłości.

– A Michael Hardcastle? Był z wami?

– Michael? Nie wiem...

Unosi rękę i okręca na palcu kosmyk włosów, próbując sobie przypomnieć. To znajomy gest, który przepełnia Rashtona tak przemożnym uczuciem, że niewiele brakuje, abym został przez nie zupełnie pokonany.

– Chyba leżał wtedy w łóżku – oznajmia w końcu. – Nabawił się jakiejś dziecięcej choroby, nie pamiętam jakiej. – Ujmuje w obie ręce moją dłoń, osadzając mnie w miejscu tymi pięknymi błękitnymi oczami. – Robisz coś niebezpiecznego, Jim? – pyta.

– Tak.

– Robisz to dla Charlesa?

– Między innymi.

– Powiesz mi kiedyś o tym?

– Tak, jak będę wiedział, co trzeba powiedzieć.

Wspina się na palce i całuje mnie w nos.

– W takim razie lepiej już idź. – Ściera mi z twarzy ślad szminki. – Wiem, jak wyglądasz, kiedy zwietrzysz kość, i nie będziesz zadowolony, dopóki jej nie wykopiesz.

– Dziękuję.

– Podziękujesz, jak opowiesz, i mam nadzieję, że niedługo.

– Opowiem.

Teraz całuje ją Rashton. Gdy wreszcie odbieram mu ciało, jestem zarumieniony i zmieszany, a Grace uśmiecha się do mnie z filuternym błyskiem w oku. Nie mogę zrobić nic więcej, tylko ją tu zostawić, ale po raz pierwszy, odkąd to wszystko się zaczęło, mam w rękach prawdę i jeżeli nie wbiję w nią palców, będę się bał, że mi się wyśliznie. Muszę porozmawiać z Anną.

Idąc brukowaną alejką, okrążam stróżówkę, wchodzę tylnymi drzwiami, po czym otrząsam z deszczu trencz i wieszam go w kuchni. Podłoga dźwięczy od kroków, jakby w drewnie biło serce. Słyszę jakiś ruch dobiegający z salonu po prawej, gdzie tego ranka Dance i jego kompani spotkali się z Peterem Hardcastle'em. W pierwszej chwili przypuszczam, że jeden z nich wrócił, ale gdy otwieram drzwi, widzę Annę stojącą nad lordem, który siedzi bezwładnie w tym samym fotelu, w którym zastałem go wcześniej.

Nie żyje.

– Anno – odzywam się cicho.

Odwraca się do mnie wstrząśnięta.

– Usłyszałam jakiś hałas i przyszłam... – Wskazuje na zwłoki. W odróżnieniu ode mnie nie spędziła dnia unurzana we krwi, więc znajdując martwego człowieka, mocno to przeżywa.

– Może pójdziesz przemyć twarz wodą? – proponuję, delikatnie dotykając jej ramienia. – A ja się tu rozejrzę.

Z wdzięcznością kiwa głową, po czym jeszcze raz spogląda na ciało i pospiesznie opuszcza pokój. Trudno się jej dziwić. Przystojne wcześniej rysy pana domu zastygły w przerażającym grymasie, prawe oko jest półprzymknięte, a lewe szeroko otwarte. Dłonie zaciskają się na poręczach fotela, plecy są wygięte z bólu w łuk. To, co tu się stało, odebrało mu równocześnie życie i godność.

W pierwszej chwili podejrzewam atak serca, ale instynkt Rashtona radzi mi ostrożność.

Wyciągam dłoń, by zamknąć mu oczy, nie mogę się jednak zmusić do dotknięcia jego twarzy. Zostało mi tak niewiele wcieleń, że wolałbym nie kusić śmierci, aby skierowała na mnie spojrzenie.

Z kieszeni na piersi lorda wystaje złożony list, wydaję go więc i czytam.

Nie mogłam wyjść za Ravencourta i nie mogłam wybaczyć rodzinie, że mnie do tego zmuszała. Sami zgotowali sobie ten los.

Evelyn Hardcastle

Przez otwarte okno wpada przeciąg. Na ramie zauważam plamę błota, co może wskazywać, że ktoś tędy uciekł. Jedynym śladem czyjejs obecności jest wysunięta szuflada. To ta sama, w której grzebałem jako Dance, i jak się można było spodziewać, nie ma w niej kalendarza Petera. Najpierw ktoś wydarł kartkę z terminarza Heleny, teraz zabrał notatnik jej męża. Jedna z rzeczy, którą zrobiła dziś Helena, jest tak ważna, że warto dla niej zabić, aby nie wyszła na jaw. Istotna informacja. Straszna, ale istotna.

Chowam list do kieszeni, po czym wyglądam przez okno, szukając dowodów, które pomogłyby ustalić tożsamość zabójcy. Niewiele widać oprócz kilku śladów stóp na mokrej ziemi, rozmywanych już przez deszcz. Sądząc po kształcie i wielkości, że stróżówki musiała uciec kobieta w butach z wąskim czubkiem, co potwierdzałoby wiarygodność listu, wiem jednak, że Evelyn jest teraz z Bellem.

Nie mogła tego zrobić.

Siadam naprzeciwko Petera Hardcastle'a, tam gdzie rano siedział Dance. Mimo późnej pory w salonie nadal można dostrzec świadectwa tego spotkania. Ze stołu nie uprzątnięto szklanek, z których piliśmy, w powietrzu nadal unosi się dym z cygar. Hardcastle ma na sobie ten sam strój, w którym widziałem go po raz ostatni, co oznacza, że nie przebrał się na polowanie, czyli prawdopodobnie nie żyje od kilku godzin. Po kolei wkładam palec do pozostałości trunku w każdej szklance i próbuję czubkiem języka. Wszystkie smakują normalnie prócz naczynia lorda Hardcastle. W tle dymnej cierpkości whisky wyczuwam subtelną gorycz.

Rashton natychmiast rozpoznaje ten smak.

– Strychnina – mówię, spoglądając w skrzywioną w potwornym uśmiechu twarz ofiary. Wygląda na uradowanego tą wiadomością, jakby siedział tu cały czas i czekał, aż ktoś poinformuje go o przyczynie śmierci.

Prawdopodobnie chce też wiedzieć, kto go zabił. Mam pewną hipotezę, która na razie pozostaje jednak tylko hipotezą.

– Coś ci zdradził? – pyta Anna, podając mi ręcznik.

Jest jeszcze trochę blada, ale jej głos brzmi mocniej, co wskazuje, że ochłonęła nieco z pierwszego szoku. Mimo to trzyma się z dala od zwłok, obejmując się mocno ramionami.

– Ktoś go otruł strychniną – wyjaśniam. – Dostarczoną przez Bella.

– Bella? Twoje pierwsze wcielenie? Sądzisz, że jest w to wszystko zamieszany?

– Nie z własnej woli. – Wycieram sobie włosy. – Za bardzo tchórzem podszyty, żeby wplątywać się w morderstwo. Strychninę często sprzedaje się w małych ilościach jako trutkę na szczury. Jeżeli mordercą jest ktoś z domowników, mógł zamówić większą partię pod pretekstem przygotowania Blackheath na przyjęcie. Bell nie miałby powodów niczego podejrzewać, dopóki nie pojawiłyby się ofiary. Prawdopodobnie dlatego ktoś próbował go zabić.

– Skąd to wszystko wiesz? – zdumiewa się Anna.

– Rashton to wie. – Pokazuję na swoje czoło. – Kilka lat temu pracował nad sprawą ze strychniną w roli głównej. Paskudna historia. Chodziło o spadek.

– I tak po prostu... sobie przypomniałeś?

Przytakuję skinieniem głowy, ciągle zastanawiając się nad konsekwencjami otrucia.

– Wczoraj wieczorem ktoś wywabił Bella do lasu, zamierzając go uciszyć – mówię do siebie. – Ale pocziwemu doktorowi udało się uciec, tylko z powierzchownymi ranami na rękach, i w ciemności zgubił napastnika. Szczęściarz.

Anna przygląda mi się dziwnie.

– O co chodzi? – Unoszę brwi.

– Mówisz w taki sposób... – jąka – że... cię nie poznałam. Ile ciebie jeszcze zostało w środku, Aiden?

– Wystarczająco dużo – odpowiadam zniecierpliwiony i podaję jej list znaleziony w kieszeni Hardcastle'a. – Powinnaś to zobaczyć. Ktoś chce, żebyśmy uwierzyli w winę Evelyn. Morderca próbuje wszystko podać na tacy.

Odrywa ode mnie wzrok i czyta list.

– A jeżeli rozumiemy to wszystko zupełnie nie tak? – pyta po chwili. – I ktoś zamierza wymordować całą rodzinę Hardcastle’ów, a Evelyn jest tylko pierwszą ofiarą?

– Przypuszczasz, że Helena się ukrywa?

– Jeżeli ma odrobinę rozsądku, właśnie to powinna robić.

Przez chwilę obracam w myślach tę możliwość, próbując przyjrzeć się jej pod każdym kątem. A przynajmniej się staram. Jest zbyt ciężka. Zbyt ogromna. Nie widzę, co może być po drugiej stronie.

– Co teraz zrobimy? – pyta Anna.

– Musisz przekazać Evelyn, że kamerdyner się obudził i chce z nią porozmawiać w cztery oczy. – Wstaję.

– Przecież kamerdyner wcale się nie obudził i nie chce z nią rozmawiać.

– Nie, ale ja chcę i jeżeli można, wolałbym, żeby Lokaj nie wziął mnie na cel.

– Oczywiście, pójdę, ale musisz zamiast mnie pilnować kamerdynera i Golda.

– Będę ich pilnował.

– Co zamierzasz powiedzieć Evelyn, kiedy tu przyjdzie?

– Powiem jej, w jaki sposób umrze.

Jest za osiemnaście szósta po południu i Anna do tej pory nie wróciła.

Od jej wyjścia minęły ponad trzy godziny. Trzy godziny niepokoju i nerwów ze strzelbą na kolanach, którą łapię, ilekroć złowię uchem najlżejszy dźwięk, czyli niemal bez przerwy siedzę z bronią w rękach. Nie wiem, jak Anna sobie z tym radziła.

W stróżówce nigdy nie zapada kompletna cisza. Wiatr wdziera się przez szpary w oknach, wyje w całym korytarzu. Skrzypi drewno, podłoga trzeszczy, jakby budynek był staruszką, który próbuje podnieść się z krzesła. Raz za razem słyszę kroki, a kiedy otwieram drzwi, okazuje się, że dałem się zwieść obłuzowanej okiennicy albo gałęzi drzewa stukającej w okno.

Hałasy przestały jednak wywoływać u mnie jakiegokolwiek reakcje, ponieważ nie wierzę już, że moja przyjaciółka wróci. Przez pierwszą godzinę pełnienia straży pocieszałem się, że po prostu usiłuję znaleźć Evelyn po jej powrocie z przechadzki z Bellem. Po dwóch godzinach doszedłem do wniosku, że być może załatwia sprawy na czyjeś polecenie – próbowałem potwierdzić tę teorię, odtwarzając przebieg jej dnia z naszych poprzednich spotkań. Według jej słów najpierw spotkała Golda, potem Derby'ego w lesie, następnie Dance'a, po czym przyszła zabrać mnie ze strychu. Później po raz pierwszy rozmawiała z kamerdynerem w powozie w drodze do stróżówki, zostawiła wiadomość dla Bella w domku masztalerza i odwiedziła Ravencourta w jego saloniku.

Potem odbyła jeszcze jedną rozmowę z kamerdynerem, ale zobaczyłem ją po raz kolejny dopiero wieczorem, gdy Lokaj zaatakował Dance'a.

Przez sześć dni każdego popołudnia znikła, a ja tego nie zauważyłem.

Spędzając teraz trzecią godzinę w tym pokoju, gdy za szybą rozpościera się ciemność, nabieram pewności, że ma kłopoty i że w ich tle czai się gdzieś

Lokaj. Widziałem ją wprawdzie w towarzystwie naszego wroga, więc wiem, że żyje, lecz to marna pociecha. Gold postradał zmysły od tego, co zrobił mu Lokaj, i nie mogę znieść myśli, że Anna może zostać poddana podobnym torturom.

Chodzę po pokoju ze strzelbą, starając się wyprzedzić o krok mój strach, by zdążyć ułożyć jakiś plan. Najprościej byłoby poczekać tutaj, skoro wiem, że w końcu Lokaj przyjdzie zabić kamerdynera, ale straciłbym cenne godziny, których potrzebuję na wyjaśnienie śmierci Evelyn. A jaki jest sens ratowania Anny, jeśli nie będę jej mógł wyrwać z tego domu? Mimo rozpaczliwej sytuacji najpierw muszę się zająć Evelyn i wierzyć, że w tym czasie Anna zatroszczy się o siebie.

Kamerdyner jęczy, porusza powiekami i otwiera oczy.

Przez chwilę po prostu patrzymy na siebie, jeden z poczuciem winy, drugi z poczuciem zagubienia.

Pozostawiając kamerdynera i Golda bez nadzoru, skazuję ich na szaleństwo i śmierć, nie widzę jednak innego wyjścia.

Gdy znowu zasypia, kładę przy nim na łóżku strzelbę. Widziałem jego śmierć, ale nie muszę się z nią godzić. Sumienie każe mi dać mu przynajmniej szansę, by mógł się obronić.

Łapię trencz i nie oglądając się za siebie, ruszam do Blackheath. Bałagan w sypialni Evelyn wygląda dokładnie tak samo jak w chwili, gdy poprzednio z niej wychodziłem; ogień ledwie się tli, nie dając prawie żadnego światła. Dorzucam kilka szczap i zabieram się do poszukiwań.

Ręce mi drżą, choć tym razem nie są temu winne żądze Derby'ego, ale moje własne podniecenie. Jeżeli znajdę to, czego szukam, dowiem się, kto stoi za śmiercią Evelyn. Wolność znajdzie się w zasięgu ręki.

Wcześniej ten pokój przeszukiwał Derby, który nie miał jednak doświadczenia ani umiejętności Rashtona. Dłonie konstabla natychmiast odnajdują kryjówki za meblami i wokół ramy łóżka, stopy tupią w podłogę w nadziei, że natrafią na obluzowaną deskę. Mimo to skrupulatna rewizja nie przynosi żadnych rezultatów.

Nie ma tu nic.

Obracam się w miejscu i przebiegam wzrokiem po meblach, sprawdzając, czy czegoś nie przeoczyłem. Nie mogę się mylić co do samobójstwa, a żadne inne uzasadnienie nie ma sensu. Wtedy moje spojrzenie zatrzymuje się na gobelinie zasłaniającym wewnętrzne drzwi, które prowadzą do sypialni

Heleny. Biorę lampę naftową, przechodzę do sąsiedniego pokoju i zaczynam go przeszukiwać.

Kiedy już prawie żegnam się z nadzieją, unoszę materac z łóżka i znajduję płócienną torebkę przywiązaną do jednej z listew. Rozluźniam zaciągnięty sznurek i znajduję wewnątrz dwie sztuki broni. Jedną jest niegroźny pistolet startowy, jaki można znaleźć na każdym wiejskim festynie. Drugą – czarny rewolwer, który Evelyn zabrała z pokoju matki, ten, który rano miała w lesie, a wieczorem weźmie na cmentarz. Jest naładowany. W bębenku brakuje jednego pocisku. Oprócz broni w torebce jest jeszcze buteleczka krwi i niewielka strzykawka wypełniona przezroczystym płynem.

Serce mi wali jak szalone.

– Miałem rację – mruczę do siebie.

Życie ratuje mi drgnienie zasłon.

Na szyi czuję lekki powiew przeciągu z otwartych drzwi, a ułamek sekundy później zza moich pleców dobiega odgłos stąpania. Rzucając się na podłogę, słyszę świst noża przecinającego powietrze. Kiedy obracam się na wznak i unoszę rewolwer, udaje mi się dojrzeć uciekającego na korytarz Lokaja.

Opuszczam głowę na podłogę, broń opieram o brzuch i dziękuję swojej szczęśliwej gwiazdce. Gdybym zauważył trzepot zasłon sekundę później, byłoby po mnie.

Czekam, aż odzyskam oddech, po czym wstaję z podłogi, odkładam pistolet, rewolwer i strzykawkę do torebki, zabieram jednak fiolkę krwi. Ostrożnie wychodzę z sypialni i wypytuję o Evelyn, dopóki ktoś nie wskazuje mi sali balowej, skąd dobiega donośny stukot, ponieważ robotnicy właśnie kończą budować podium dla orkiestry. Oszklone drzwi otwarto na oścież, aby usunąć pył i opary farb, a służące wkładają całą energię swojej młodości w szorowanie podłogi.

Dostrzegam Evelyn w pobliżu podium; rozmawia z kapelmistrzem. Wciąż ma na sobie zieloną suknię, którą nosi w ciągu dnia, ale za nią stoi Madeline Aubert i trzymając w ustach mnóstwo spinek, pospiesznie wsuwa je w niesforne włosy swojej pani, aby ułożyć je we fryzurę na wieczór.

– Panno Hardcastle! – wołam, ruszając w głąb sali.

Evelyn odprawia kapelmistrza życzliwym uśmiechem i delikatnie ściska jego ramię, po czym odwraca się do mnie.

– Proszę mi mówić Evelyn. – Wyciąga rękę. – Z kim mam przyjemność?

– Jim Rashton.

– Ach, tak, policjant. – Uśmiech natychmiast znika z jej twarzy. –

Wszystko w porządku? Odrobinę się pan zarumienił.

– Nie jestem przyzwyczajony do zgiełku życia osób z wyższych sfer – wyjaśniam.

Lekko ściskam dłoń Evelyn, zaskoczony jej zimnem.

– W czym mogę panu pomóc, panie Rashton? – Mówi oschłym głosem, w którym daje się słyszeć nuta rozdrażnienia.

Czuję się jak rozdeptany insekt, którego znalazła na swojej podszewie.

Podobnie jak wówczas, gdy byłem Ravencourtem, uderza mnie pogarda, którą Evelyn otacza się jak pancerzem. Najokrutniejsza ze wszystkich sztuczek Blackheath polega na tym, że można tu poznać każdą nieprzyjemną stronę osoby, którą wcześniej uważało się za przyjaciela.

Ta myśl skłania mnie do zastanowienia.

Evelyn była miła dla Bella i odtąd kierowałem się wspomnieniem jej życzliwości, ale Doktor Dżuma mówił, że podczas kolejnych cykli eksperymentował z różnymi kombinacjami wcieleń. Gdyby moim pierwszym wcieleniem był Ravencourt, co z pewnością w jakimś momencie musiało nastąpić, odczułbym jedynie pogardę Evelyn. Derby wywoływał tylko złość, a jeśli chodzi o kamerdynera czy Golda, to wątpię, by okazywała służbie życzliwość. Oznacza to, że zdarzyły się cykle, w których patrzyłem, jak ta kobieta umiera, i nie czułem prawie nic; myślałem jedynie o tym, jak wyjaśnić zagadkę jej śmierci, a nie jak zapobiec zbrodni.

Niemal zazdroszczę tamtym wcieleniom.

– Czy mogę porozmawiać z panią... – zerkam na Madeline – na osobności?

– Naprawdę jestem okropnie zajęta – odpowiada Evelyn. – A o co chodzi?

– Wolałbym porozmawiać na osobności.

– A ja wolałabym dokończyć przygotowania w sali balowej, zanim zjawi się tu pięćdziesiąt osób i nie będzie miało gdzie tańczyć – odparowuje ostro.

– Domyśla się pan chyba, której z tych możliwości jestem skłonna dać pierwszeństwo?

Madeline uśmiecha się drwiąco i upina kolejny kosmyk rozpuszczonych włosów Evelyn.

– Zgoda. – Wyjmuję fiolkę krwi znalezionej w płóciennym torebce. – Wobec tego porozmawiajmy o tym.

Podobny skutek wywołałbym, gdybym wymierzył jej policzek, ale wyraz szoku znika z jej oczu tak błyskawicznie, że nie wierzę, iż w ogóle go widziałem.

– Dokończymy później, Madeline – mówi Evelyn, utkwivszy we mnie nieruchome, chłodne spojrzenie. – Idź do kuchni i weź sobie coś do jedzenia.

Wzrok pokojówki jest równie nieufny, ale dziewczyna wrzuca spinki do kieszeni fartucha, po czym dyga i wychodzi.

Evelyn bierze mnie pod rękę i prowadzi do rogu sali balowej, gdzie służba nie może nas słyszeć.

– Ma pan zwyczaj grzebać w cudzych rzeczach osobistych, panie Rashton? – Wyjmuje papierosa.

– Ostatnio tak – przyznaję.

– Może przydałoby się panu jakieś hobby.

– Mam hobby, staram się uratować pani życie.

– Mojego życia nie trzeba ratować – oznajmia spokojnie. – Powinien pan raczej spróbować ogrodnictwa.

– A może powinienem sfingować samobójstwo, żeby nie wyjść za lorda Ravencourta? – Z przyjemnością przyglądam się, jak jej wyniosłość rozpada się w pył. – Mam wrażenie, że właśnie to panią ostatnio bardzo zajmuje. Wyjątkowo sprytny plan. Niestety, ktoś zamierza wykorzystać to udawane samobójstwo, żeby panią zamordować, a to o wiele sprytniejsze posunięcie.

Bezradnie otwiera usta, w niebieskich oczach maluje się bezbrzeżne zdziwienie.

Unikając mojego wzroku, usiłuje zapalić papierosa, ale ręka jej dygocze. Zabieram jej zapalnik i robię to sam, parząc sobie płomieniem opuszki palców.

– Kto ci to podsunął? – syczy.

– O czym pani mówi?

– O moim planie. – Wrywa mi z ręki buteleczkę z krwią. – Kto ci o nim powiedział?

– A kto jeszcze jest w to zamieszany? – pytam. – Wiem, że zaprosiła pani do domu niejaką Felicity, ale jeszcze nie wiem, kto to jest.

– To jest... – Kręci głową. – Nie... nie powinnam w ogóle z panem rozmawiać.

Odwraca się do wyjścia, ale łapię ją za nadgarstek trochę mocniej, niż zamierzałem. Po jej twarzy przemyka błyskawica gniewu, więc natychmiast

ją puszczam i unoszę ręce.

– O wszystkim powiedział mi Ted Stanwin – rzucam desperacko, żeby tylko nie wybiegła z sali.

Potrzebuję wiarygodnego wytłumaczenia, skąd to wiem, a Derby rano słyszał, jak Stanwin kłócił się z Evelyn. Jeżeli mam szczęście, szantażysta maczał w tym wszystkim palce. Nietrudno to sobie zresztą wyobrazić. Macza palce we wszystkim, co się dzisiaj dzieje.

Evelyn stoi nieruchomo, czujnie, jak łania w lesie, która przed chwilą usłyszała trzask gałęzi.

– Powiedział, że dziś wieczorem zamierza pani popełnić samobójstwo nad sadzawką, ale to nie miało sensu – ciągnę w nadziei, że straszna reputacja Stanwina pomoże mi jej wmówić, że to prawda. – Proszę wybaczyć szczerłość, panno Hardcastle, ale gdyby naprawdę chciała sobie pani odebrać życie, już by pani nie żyła, zamiast odgrywać dobrą gospodynię przed ludźmi, którymi pani gardzi. Druga myśl, która przyszła mi do głowy, była taka, że chce pani, aby wszyscy to zobaczyli, ale w takim razie dlaczego nie chce pani zrobić tego w sali balowej w trakcie przyjęcia? Nie mogłem tego zrozumieć, dopóki nie stanąłem nad sadzawką i nie zobaczyłem, jaka jest ciemna, jak łatwo można do niej coś niepostrzeżenie wrzucić.

W jej oczach lśni szyderstwo.

– Czego pan chce, panie Rashton? Pieniądzy?

– Próbuję pani pomóc – powtarzam uparcie. – Wiem, że zamierza pani pójść nad sadzawkę o jedenastej wieczorem, przycisnąć sobie do brzucha czarny rewolwer i wpaść do wody. Wiem też, że w rzeczywistości nie naciśnie pani spustu czarnego rewolweru, ale wszyscy usłyszą wystrzał z pistoletu startowego, który potem wrzuci pani do wody. Fiolkę zawiesi pani sobie na szyi na długim sznurku i rozbije lufą rewolweru, żeby zalać się krwią. Przypuszczam, że w strzykawce, którą znalazłem w torebce, jest jakieś połączenie środka uspokajającego i zwiotczającego mięśnie, które ma pani pomóc udać martwą i ułatwić zadanie doktorowi Dickiemu... Zakładam, że zostanie on sownie wynagrodzony za fatygę. Wystawi takie świadectwo zgonu, że można się będzie obyć bez nieprzyjemnego dochodzenia. A pani za tydzień będzie się raczyć we Francji wyborym białym winem.

Dwie służące niosą wiadra brudnej wody w stronę drzwi i na nasz widok nagle przestają plotkować. Mijają nas, kłaniając się niepewnie, a Evelyn

pociąga mnie głębiej do rogu sali.

Po raz pierwszy widzę na jej twarzy strach.

– Przyznaję, że nie chciałam wychodzić za Ravencourta i wiedziałam, że jeżeli nie zniknę, nie uda mi się powstrzymać rodziny od zmuszenia mnie do małżeństwa. Ale dlaczego ktoś miałby mnie zabić? – W jej dłoni wciąż drży papieros.

Szukam w twarzy Evelyn oznak kłamstwa, lecz równie dobrze mógłbym skierować mikroskop na odrobinę mgły. Ta kobieta od wielu dni wszystkich okłamuje. Nie rozpoznałbym prawdy, nawet gdyby wymknęła się z jej ust.

– Mam pewne podejrzenia, potrzebny mi jednak dowód – mówię. – Dlatego chcę, żeby zrealizowała pani swój plan.

– Zrealizowała?! Oszalał pan?! – wykrzykuje i zaraz zniża głos, bo wszystkie oczy obracają się w naszą stronę. – Po co miałabym to zrobić po tym, co mi pan powiedział?

– Bo nie będzie pani bezpieczna, dopóki nie zdemaskujemy spiskowców, a oni muszą uwierzyć, że ich plan się powiódł.

– Będę bezpieczna dopiero sto mil stąd.

– A w jaki sposób się pani tam dostanie? – pytam. – Co będzie, jeżeli się okaże, że w spisku uczestniczy stangret albo służąca? W tym domu plotki szybko się rozchodzą i gdy mordercy dowiedzą się, że próbuje pani wyjechać, nie zrezygnują z planu i zabiją panią. Proszę mi wierzyć, ucieczka jedynie opóźni to, co nieuniknione. Mogę przerwać to tu i teraz, ale tylko wtedy, jeżeli przyjmie pani moją radę. Proszę przystawić sobie lufę do brzucha i przez pół godziny udawać martwą. Kto wie, może nawet oficjalnie zostanie pani uznana za martwą i zgodnie z planem wymknie się Ravencourtowi.

Evelyn przyciska dłoń do czoła i w skupieniu zamyka oczy. Kiedy się znowu odzywa, mówi cichszym i dziwnie głuchym głosem:

– Jestem między młotem a kowadłem, prawda? Zgoda, zrobię to, ale najpierw muszę coś wiedzieć. Dlaczego pan mi pomaga, panie Rashton?

– Jestem policjantem.

– Tak, lecz nie jest pan świętym, a tylko święty zdecydowałby się wziąć udział w tym wszystkim.

– Wobec tego niech pani uzna to za przysługę dla Sebastiana Bella – proponuję.

Jej rysy łagodzą zdziwienie.

– Bella? A cóż kochany doktor ma z tym wspólnego?

– Jeszcze nie wiem, ale minionej nocy został zaatakowany i wątpię, by był to zbieg okoliczności.

– Być może, tylko dlaczego to pana w ogóle obchodzi?

– Bell chce być lepszym człowiekiem – mówię. – W tym domu to rzadkość. Podziwiam to.

– Ja także. – Waha się przez chwilę, próbując ocenić człowieka, który przed nią stoi. – Zgoda, proszę mi przedstawić swój plan, najpierw jednak niech mi pan da słowo, że będę bezpieczna. Powierzam panu swoje życie i nie mogę podjąć takiej decyzji bez gwarancji.

– Skąd pani może wiedzieć, czy moje słowo jest cokolwiek warte?

– Przez całe życie obracam się wśród niegodziwców – wyjaśnia z prostotą.

– Pan do nich nie należy. Proszę mi dać słowo.

– Ma pani moje słowo.

– Chcę się też czegoś napić dla kurażu – dodaje. – Muszę nabrać trochę odwagi, żeby to przeżyć.

– Więcej niż trochę – prostuję. – Chcę, żeby zaprzyjaźniła się pani z Jonathanem Derbyem. Ma srebrny pistolet, który będzie nam potrzebny.

W Blackheath podaje się właśnie kolację; goście zasiadają przy stole, ja natomiast stoję przyczajony w zaroślach w pobliżu sadzawki lustrzanej. Jest jeszcze wcześniej, lecz powodzenie mojego planu zależy od tego, czy będę pierwszą osobą, która znajdzie się przy Evelyn, kiedy ta wyjdzie z domu. Nie mogę ryzykować, że przeszłość pokrzyżuje mi szyki.

Z liści kapie deszcz, spadając lodowatymi kroplami na moją skórę.

Zrywa się wiatr, łapią mnie skurcze.

Przestępując z nogi na nogę, uświadamiam sobie, że przez cały dzień nic nie jadłem i nie piłem, czyli nie najlepiej przygotowałem się do czekającego mnie wieczoru. Kręci mi się w głowie, a ponieważ nie mam na czym skupić uwagi, czuję, jak moje wszystkie wcielenia rozsadzają mi czaszkę. W tyle głowy tłoczą się ich wspomnienia, których ciężar trudno wytrzymać. Pragnę tego samego co oni. Czuję ich ból, ich lęki budzą we mnie taki sam strach. Nie jestem już człowiekiem, jestem chórem.

Z domu wychodzą dwaj służący z zawieszonymi u pasa lampami naftowymi; nieświadomi mojej obecności, niosą naręcza drewna do stalowych palenisk. Rozpalają jedno po drugim, tak że powstaje linia ognia sięgająca w głąb czarnego jak smoła wieczoru. Ostatnie palenisko znajduje się obok oranżerii i gdy płomienie odbijają się od jej szyb, budynek wygląda, jakby płonął.

Hula wiatr, drzewa ociekają wodą, a w Blackheath migoczą światła, które zapalają się i gasną w ślad za gośćmi przechodzącymi z jadalni do swoich pokoi, a w końcu do sali balowej, gdzie podium zajęła już orkiestra i rozpoczyna się zabawa. Służba otworzyła oszklone drzwi, przez które muzyka bucha na zewnątrz i przetacza się przez park w stronę lasu.

– Teraz widzi ich pan tak jak ja – mówi półgłosem Doktor Dżuma. – Jak aktorów w sztuce, którzy wieczór w wieczór robią to samo.

Stoi za mną prawie całkiem zasłonięty przez drzewa i zarośla. W pełgającym blasku płomieni jego maska zdaje się unosić w mroku jak dusza, która usiłuje się oderwać od ciała.

– Powiedział pan Lokajowi o Annie? – pytam przez zaciśnięte zęby.

Wyteżam całą siłę woli, aby się na niego nie rzucić i go nie udusić.

– Żadne z nich mnie nie interesuje – odpowiada stanowczo.

– Widziałem was z Danielem pod stróżówką, potem znowu nad sadzawką, a teraz Anna zniknęła. Powiedział mu pan, gdzie ją znaleźć?

– Zapewniam pana, że nie byłem w żadnym z tych miejsc, panie Bishop. – Po raz pierwszy w głosie Doktora Dżumy słychać niepewność.

– Widziałem pana – rzucam ze złością.

– To niemoż... – Urywa, a po chwili coś sobie uświadamia i mówi: – A więc tak to robi. Zastanawiałem się, skąd tyle wie.

– Daniel okłamywał mnie od początku, a pan trzymał to przede mną w tajemnicy.

– Ingerowanie w bieg wydarzeń to nie moja rola. Wiedziałem, że w końcu go pan przejrzy.

– Dlaczego więc ostrzegł go pan przed Anną?

– Obawiałem się, że pan tego nie zrobi.

Muzyka nagle się urywa. Spoglądam na zegarek i widzę, że do jedenastej zostało kilka minut. Michael Hardcastle uciszył orkiestrę, aby spytać, czy ktoś widział jego siostrę. Z boku domu dostrzegam jakiś ruch, jakby w ciemności pojawiła się ciemniejsza plama – to Derby zgodnie z instrukcjami Anny zajmuje stanowisko przy kamieniu.

– Nie było mnie na tej polanie – odzywa się Doktor Dżuma. – Zapewniam pana, panie Bishop. Wkrótce wszystko wyjaśnię, na razie jednak muszę podjąć własne śledztwo.

Szybko odchodzi, zostawiając po sobie tylko pytania bez odpowiedzi. Gdybym był w którymś z poprzednich wcieleń, pobiegłbym za nim, Rashton to jednak subtelniejsza istota, niezbyt lękliwa, ale bystra. W tym momencie interesuje mnie tylko Evelyn. Odsuwam Doktora Dżumę na dalszy plan i podkradam się bliżej sadzawki. Na szczęście osłabione deszczem liście i gałązki nie mają siły trzeszczeć pod moimi stopami.

Nadchodzi zapłakana Evelyn, szukając mnie między drzewami. Niezależnie od swojej roli w tym wszystkim wyraźnie się boi, dygocze na

całym ciele. Zapewne zażyła już środek zwiotczający mięśnie, bo lekko się kołysze, jak gdyby poruszana muzyką, której nie słyszy nikt oprócz niej.

Szeleszczę krzakiem, aby dać jej znać, że tu jestem, lecz pod wpływem specyfiku Evelyn ledwie widzi, jak więc może mnie dostrzec w ciemności? Mimo to idzie przed siebie, trzymając w prawej dłoni połyskujący srebrny pistolet, a w lewej pistolet startowy, który jest przyciśnięty do uda i niewidoczny.

Muszę przyznać, że odwagi jej nie brakuje.

Stanąwszy nad brzegiem sadzawki, Evelyn waha się przez chwilę, a ponieważ wiem, co teraz nastąpi, przypuszczam, że może srebrny pistolet jest za ciężki, że przygniata ją brzemieniem naszego planu.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – mówi cicho, po czym obraca lufę broni w stronę brzucha i naciska spust pistoletu startowego przy boku.

Huk jest tak potężny, że wstrząsa całym światem. Pistolet startowy wyslizguje się z ręki Evelyn i wpada do atramentowej sadzawki, a srebrny ląduje na trawie.

Na sukni rozlewa się plama krwi.

Evelyn przygląda się jej oszołomiona, a potem wpada do wody.

Paraliżuje mnie ból, bo huk w połączeniu z wyrazem twarzy Evelyn tuż przed wystrzałem porusza jakieś dawne wspomnienie.

Nie masz na to czasu.

Obraz jest tak blisko. Niemal widzę inną twarz, słyszę inne błaganie. Należą do innej kobiety, której nie zdołałem ocalić i to z jej powodu przyjechałem do Blackheath, żeby... Żeby co?

– Po co tu przyjechałem? – tłumię okrzyk, usiłując wydobyć z mroku wspomnienie.

Ratuj Evelyn, ona tonie!

Wzdrygam się i spoglądam na powierzchnię sadzawki, na której twarzą w dół unosi się Evelyn. Panika zagłusza cierpienie, zrywam się na równe nogi, przesadam zarośla i wskakuję do lodowatej wody. Jej suknia rozpostarła się na powierzchni, ciężka jak przemoczony worek, a dno sadzawki pokrywa śliski mech.

Trudno mi o nie oprzeć stopy.

Przy sali balowej jest jakieś zamieszanie. Dochodzi do bójki między Derbym a Michaelem Hardcastle'em, która przykuwa niemal tyle samo uwagi co umierająca kobieta w sadzawce.

Eksplodują fajerwerki, oblewając wszystko czerwonym, fioletowym, żółtym i pomarańczowym światłem.

Otoczam ramionami talię Evelyn i wyciągam ją z wody na trawę.

Opadam ciężki w błoto, łapiąc oddech i sprawdzając, czy Cunningham zgodnie z moją prośbą mocno złapał Michaela.

Złapał.

Wszystko idzie zgodnie z planem. Bynajmniej nie dzięki mnie. Dawne wspomnienie, które przywołał wystrzał, niemal mnie sparaliżowało. Ujrzałem inną kobietę, inną śmierć. Wywołał to strach na twarzy Evelyn. Rozpoznałem go. Jestem pewien, że właśnie z powodu tego strachu przyjechałem do Blackheath.

Podbiega do mnie doktor Dickie. Jest zaczerwieniony i zdyszany; w oczach ma popłoch człowieka, który widzi, jak obiecana fortuna idzie z dymem. Evelyn powiedziała mi, że zapłacono mu za fałszywe świadectwo zgonu. Jowialny stary wiarus prowadzi nieźle prosperujące przestępcze imperium.

– Co się stało? – wysapuje.

– Zastrzeliła się – wyjaśniam, patrząc, jak jego twarz rozbłyska nadzieją. – Wszystko widziałem, ale nie mogłem nic zrobić.

– Nie wolno się panu obwiniać. – Ściska mnie za ramię. – Niech pan posłucha, proszę iść i napić się brandy, a ja ją obejrzę. Zajmę się tym, dobrze?

Gdy klęka obok ciała, podnoszę z ziemi srebrny pistolet i ruszam w kierunku Michaela, którego wciąż przytrzymują ramiona Cunninghama. Patrząc na nich dwóch, nie uwierzyłbym, że to możliwe. Michael jest niski i krępy, wygląda jak byk schwyty w długie jak sznury ramiona Cunninghama. Mimo że się szamocze, pokojowy go nie puszcza, a wręcz wzmacnia uścisk. W tym momencie nie można by wyrwać Michaela z jego objęć nawet łodem czy dłutem.

– Strasznie mi przykro, panie Hardcastle – mówię, kładąc ze współczuciem rękę na ramieniu wijącego się mężczyzny. – Pańska siostra odebrała sobie życie.

Natychmiast przestaje się miotać i z rozpaczą spogląda w stronę sadzawki oczami, w których wzbierają łzy.

– Przecież nie wiadomo na pewno. – Wyciąga szyję ponad moim ramieniem, by zobaczyć Evelyn. – Może jeszcze nie...

– Lekarz to potwierdził, przykro mi. – Wyjmuję z kieszeni srebrny pistolet i wciskam mu do ręki. – Zrobiła to tą bronią, poznaje pan?

– Nie.

– Proszę ją na razie zatrzymać – proponuję. – Kazałem kilku lokajom zanieść ciało na werandę, daleko od... – pokazuję na tłum gości – od wszystkich. Gdyby chciał pan spędzić kilka minut sam na sam z siostrą, mogę się tym zająć.

Michael wpatruje się osłupiały w pistolet, jak gdybym wręczył mu przedmiot pochodzący z dalekiej przyszłości.

– Panie Hardcastle?

Kręci głową i wreszcie kieruje na mnie szklisty wzrok.

– Co... tak, oczywiście – jąka, zaciskając pistolet w dłoni. – Dziękuję, panie inspektorze.

– Jestem tylko konstabłem. – Przywołuję gestem Cunninghama. – Charles, mógłbyś odprowadzić pana Hardcastle'a na werandę? I staraj się nie zbliżać do gości, dobrze?

Cunningham odpowiada na moją prośbę zdawkowym skinieniem głowy, po czym łagodnym gestem kładzie Michaelowi dłoń na plecach i zaczyna prowadzić go w stronę domu. Nie po raz pierwszy cieszę się, że mam pokojowego po swojej stronie. Przyglądając się, jak odchodzi, czuję ukłucie smutku na myśl, że to prawdopodobnie nasze ostatnie spotkanie. Mimo nieufności i kłamstw, które towarzyszyły naszej znajomości, zdążyłem go polubić w ciągu tego tygodnia.

Dickie zakończył badanie i wolno dźwiga się na nogi. Pod jego czujnym okiem lokaje kładą ciało Evelyn na nosze. Smutek starego doktora przywodzi na myśl wielokrotnie zakładany kostium. Nie wiem, dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem. Oglądam morderstwo odgrywane jako farsę, gdziekolwiek spojrzę, szeleści kurtyna.

Kiedy lokaje podnoszą Evelyn z ziemi, biegnę przez deszcz w stronę werandy po drugiej stronie domu, wślizguję się do środka przez oszklone drzwi, które wcześniej zostawiłem otwarte, i ukrywam się za parawanem we wschodnie wzory. Z portretu nad kominkiem przygląda mi się babka Evelyn. Gdy zerkam na nią w migoczącym blasku świec, mógłbym przysiąc, że się uśmiecha. Może wie to, co ja. Może zawsze o tym wiedziała i musiała dzień po dniu patrzeć, jak poruszamy się po omacku, zupełnie nieświadomi, gdzie leży prawda.

Nic dziwnego, że wcześniej była nachmurzona.

Przy akompaniamencie deszczu bębniącego w szyby wchodzą lokaje z noszami. Poruszają się wolno, starając się nie potrącić o nic ciałem, które jest już przykryte marynarką Dickiego. Szybko kładą nosze na kredensie, na znak szacunku przyciskają do piersi czapki i wychodzą, zamykając za sobą oszklone drzwi.

Patrząc w ślad za nimi, dostrzegam w szybie swoje odbicie; trzymam ręce w kieszeniach, a spokojna twarz Rashtona zdradza niezachwianą pewność.

Nawet własne odbicie mnie okłamuje.

Pewność to pierwsza rzecz, którą odebrało mi Blackheath.

Otwierają się drzwi, przeciąg z korytarza gnie płomyki świec. Przez szpary między skrzydłami parawanu widzę Michaela; blady i rozdygotany, przytrzymuje się framugi, z trudem powstrzymując łzy. Za nim ukazuje się Cunningham, który rzuciwszy ukradkowe spojrzenie w stronę parawanu, zamyka drzwi i zostawia nas samych.

W tej samej chwili Michael porzuca rozpacz i prostuje się; jego wzrok staje się zimny, a smutek przeobraża się w coś zupełnie innego, znacznie bardziej brutalnego. Podbiega do ciała Evelyn, w zakrwawionym brzuchu szuka dziury po kuli i mruczy coś pod nosem, kiedy jej nie znajduje.

Marszcząc brwi, wyciąga magazynek z broni, którą dałem mu przed domem, i przekonuje się, że jest pełny. Evelyn miała wziąć nad sadzawkę czarny rewolwer, nie ten srebrny pistolet. Zastanawia się zapewne, co spowodowało zmianę w planie i czy rzeczywiście zrealizowała go do końca.

Pewny już, że siostra wciąż żyje, odsuwa się i przebiera palcami po wargach, ważąc w dłoni pistolet. Wygląda, jak gdyby w duchu rozmawiał z bronią: krzywi się i przygryza wargę, jakby odpowiadał na szereg podchwytliwych pytań. Gdy odchodzi do przeciwległego rogu, na moment traci go z oczu i muszę wychylić się nieco ze swojej kryjówki. Wziął z krzesła haftowaną poduszkę, zbliża się z nią do Evelyn i kładzie ją na jej brzuchu, chcąc prawdopodobnie stłumić huk strzału z pistoletu, którego lufę wciska w poduszkę.

Nie ma żadnej chwili niepewności, żadnego pożegnania. Michael odwraca głowę i naciska spust.

Rozlega się suchy trzask. Próbuje po raz drugi i jeszcze raz, dopóki nie wyłaniam się z za parawanu, aby zakończyć tę maskaradę.

– Nic z tego – mówię. – Spiłowałem iglicę.

Nie odwraca się. Nie wypuszcza nawet pistoletu z dłoni.

– Zrobię z pana bogacza, inspektorze, jeżeli pozwoli mi pan ją zabić – mówi drżącym głosem.

– Nie mogę na to pójść, poza tym, jak mówiłem panu wcześniej, jestem konstabłem.

– Och, z taką tęgą głową na pewno długo pan nim nie zostanie.

Dygocze, cały czas przyciskając lufę do ciała Evelyn. Pot spływa mi po plecach, na werandzie panuje takie napięcie, że w powietrzu płyną iskry.

– Niech pan będzie łaskaw rzucić broń i odwrócić się do mnie, panie Hardcastle. Tylko powoli.

– Nie musi się pan mnie bać, inspektorze. – Wrzuca pistolet do doniczki i odwraca się z uniesionymi rękami. – Nie mam ochoty nikogo skrzywdzić.

– Nie ma pan ochoty? – pytam, zdziwiony smutkiem malującym się na jego twarzy. – Właśnie próbował pan wpakować pięć kul w rodzoną siostrę.

– Zapewniam pana, że każda z nich byłaby dla niej zbawieniem.

Nie opuszczając rąk, wskazuje palcem w stronę fotela obok stolika do szachów, przy którym pierwszy raz zobaczyłem Evelyn.

– Pozwoli pan, że usiądę? – pyta. – Trochę kręci mi się w głowie.

– Bardzo proszę. – Przyglądam mu się uważnie, kiedy pada na fotel. Trochę się obawiam, że będzie próbował rzucić się do ucieczki, ale prawdę powiedziawszy, wygląda jak człowiek zupełnie wyprany z woli walki. Błady i rozdygotany, siedzi z bezwładnie zwieszonymi rękami i szeroko rozstawionymi nogami. Podejrzewam, że decyzja, by nacisnąć spust, wyczerpała do cna jego siły.

Morderstwo nie przyszło mu łatwo.

Czekam, aby się wygodnie usadowił, po czym przysuwam sobie spod okna fotel i siadam naprzeciw niego.

– Skąd pan wiedział, co zamierzam zrobić? – pyta.

– Przez rewolwery. – Zapadam się głębiej w miękkie siedzisko.

– Rewolwery?

– Dziś rano z pokoju pańskiej matki zabrano dwa identyczne czarne rewolwery. Jeden miała Evelyn, a drugi pan. Nie mogłem pojąć dlaczego.

– Nie bardzo rozumiem.

– Były tylko dwa powody, dla których Evelyn musiała ukraść broń: albo uważała, że grozi jej niebezpieczeństwo... co wydaje się dziwne w przypadku kogoś, kto zamierza popełnić samobójstwo... albo zamierzała

się z niej zastrzelić. Przyjmując, że druga możliwość jest bardziej prawdopodobna, należy się zastanowić, jaki mogła mieć powód, by wziąć obydwie rewolwery. Przecież do jej celu wystarczyłby jeden.

– Dokąd zaprowadziły pana te przemyślenia?

– Donikąd, dopóki Dance nie zauważył, że zabrał pan na polowanie drugi rewolwer. Zastanawiająca rzecz zmieniła się w diabelnie dziwną zagadkę. Oto przeżywająca załamanie kobieta, która zastanawia się nad samobójstwem, okazuje się na tyle zapobiegliwa, by pamiętać, że jej brat ma awersję do polowań, i kradnie dla niego drugą sztukę broni?

– Siostra bardzo mnie kocha, inspektorze.

– Tego nie wykluczam, ale powiedział pan Dance'owi, że o tym, iż idzie pan na polowanie, dowiedział się pan dopiero około południa, a rewolwery zniknęły z sypialni pańskiej matki z samego rana, długo przed tym, zanim zapadła decyzja. Evelyn nie mogła wziąć drugiej sztuki broni z powodu, który pan sugerował. Kiedy dowiedziałem się o planie sfingowania samobójstwa pańskiej siostry, uświadomiłem sobie, że pan kłamie, i wszystko stało się jasne. Evelyn nie zabrała rewolwerów z pokoju pańskiej matki. Pan to zrobił. Jeden zostawił pan sobie, a drugi dał siostrze, żeby użyła go jako rekwizytu.

– Evelyn powiedziała panu o planie sfingowania samobójstwa? – pyta z powątpiewaniem w głosie.

– Częściowo. Wyjaśniła, że zgodził się pan jej pomóc, że miał pan podbiec do sadzawki i wyciągnąć ją na trawę, jak należałoby oczekiwać od zrospaczonego brata. Wtedy zrozumiałem, do czego były panu potrzebne dwa identyczne rewolwery: do popełnienia zbrodni doskonałej. Zanim wyłowił pan siostrę z wody, wystarczyło tylko strzelić jej w brzuch, a huk fajerwerków zagłuszyłby drugi strzał. Narzędzie zbrodni utonęłoby w mętnej wodzie, a kula pasowałaby do identycznego rewolweru, który chwilę wcześniej Evelyn upuściła na trawę. Morderstwo przez samobójstwo. Naprawdę znakomity pomysł.

Michael zaczyna rozumieć.

– Dlatego właśnie kazał jej pan użyć srebrnego pistoletu – mówi. – Chciał pan mnie zmusić do zmiany planu.

– Musiałem zarzucić przynętę.

– Ależ pan przenikliwy. – Odgrywa pantomimę, bezgłośnie bijąc brawo.

– Za mało przenikliwy – odpowiadam zaskoczony jego spokojem. – Nadal nie rozumiem, jak pan mógł się zdecydować na coś takiego. Wiele razy słyszałem dzisiaj, jak jesteście sobie bliscy z siostrą. Jak bardzo panu na niej zależy. To wszystko były kłamstwa?

Złość każe mu się wyprostować.

– Kocham siostrę jak nikogo innego na świecie! – Wbija we mnie piorunujące spojrzenie. – Zrobiłbym dla niej wszystko. Z jakiego innego powodu zwróciłaby się o pomoc do mnie? Z jakiego innego powodu zgodziłbym się to zrobić?

Jego wybuch zbija mnie z tropu. Przeprowadziłem ten plan w przekonaniu, że wiem, co Michael mi odpowie, ale się myliłem. Spodziewałem się usłyszeć, że tę rolę wyznaczyła mu matka, która zaaranżowała inne wydarzenia. Nie pierwszy raz odnoszę jednoznaczne wrażenie, że źle odczytałem sytuację.

– Jeżeli kocha pan siostrę, dlaczego ją pan zdradził? – pytam zdeorientowany.

– Bo jej plan nie mógł się udać! – wykrzykuje, uderzając dłonią w poręcz fotela. – Nie mogliśmy zapłacić Dickiemu tyle, ile zażądał za fałszywe świadectwo zgonu. Mimo to zgodził się nam pomóc, ale wczoraj Coleridge dowiedział się, że Dickie zamierzał wieczorem sprzedać nasz sekret ojcu. Rozumie pan? Po tym wszystkim Evelyn obudziłaby się w Blackheath uwięziona w tym samym życiu, od którego tak pragnęła uciec.

– Powiedział pan jej o tym?

– Jak mogłem? – pyta żalonym tonem. – Ten plan był jej szansą na wolność, na szczęście. Jak mógłbym jej to odbierać?

– Mógł pan zabić Dickiego.

– Coleridge powiedział to samo... ale kiedy? Był mi potrzebny, żeby potwierdzić śmierć Evelyn, a on zaraz potem zamierzał się spotkać z moim ojcem. – Kręci głową. – Podjąłem jedyną możliwą decyzję.

Obok jego fotela stoją dwie szklaneczki szkockiej, jedna do połowy pełna i zabrudzona szminką, druga czysta, z resztką trunku na dnie. Michael wolno sięga po szklankę ze śladami szminki, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Mogę się napić? – pyta. – To drink Evelyn. Zanim zaczął się bal, wznieśliśmy toast za powodzenie i tak dalej.

Głos więźnie mu w gardle. Każde inne wcielenie pomyślałoby, że jest pełen skruchy, ale Rashton wyczuwa strach na kilometr.

– Oczywiście.

Michael bierze z wdzięcznością whisky i pociąga spory łyk. Przynajmniej pomoże mu pozbyć się drżenia rąk.

– Znam swoją siostrę, inspektorze – ciągnie schrypniętym głosem. – Nigdy nie mogła znieść, kiedy ją do czegoś zmuszano, nawet gdy byliśmy mali. Nie zniosłaby upokorzenia życia z Ravencourtem, wiedząc, że ludzie będą się śmiać za jej plecami. Proszę zobaczyć, co była gotowa zrobić, żeby tego uniknąć. To małżeństwo powoli by ją zniszczyło. Chciałem jej oszczędzić tego cierpienia.

Policzki mu płoną, zielone oczy stały się szkliste. Są pełne tak szczerego i serdecznego smutku, że prawie mu wierzę.

– Przypuszczam, że pieniądze nie miały tu nic do rzeczy? – pytam spokojnie.

Smutek pierzcha przed grymasem gniewu.

– Wiem od Evelyn – ciągnę – że rodzice zagrozili jej, że pana wydziedziczą, jeżeli nie spełni ich woli. Użyli pana jako argumentu i okazał się skuteczny. To był główny powód, dla którego podporządkowała się ich żądaniu, ale czy zrobiłaby to, wiedząc, że jej plan ucieczki się nie powiedzie? Śmierć Evelyn kładzie kres tej niepewności.

– Niech się pan rozejrzy, inspektorze. – Michael zatacza szeroki łuk ręką, w której nadal trzyma szklanekę. – Naprawdę pan sądzi, że dla tego wszystkiego można kogoś zabić?

– Skoro pański ojciec nie może już roztrwonić rodzinnego majątku, domyślam się, że wasze perspektywy znacznie się poprawiły.

– Mój ojciec nadaje się tylko do trwonienia rodzinnego majątku – prychnął z pogardą i opróżnia szklaneczkę.

– Dlatego go zabiłeś?

Michael krzywi się jeszcze bardziej. Blednie i zaciska usta.

– Znalazłem jego ciało. Wiem, że go otrułeś, Michaelu, prawdopodobnie wtedy, gdy po niego poszedłeś przed polowaniem. Zostawiłeś list, w którym rzucasz winę na Evelyn. Szczególnie sprytnym posunięciem było zostawienie śladu buta pod oknem. – Po jego twarzy przemyka niepewność. – A może zrobił to ktoś inny? – pytam wolno. – Na przykład Felicity?

Przyznaję, że tej zagadki nadal nie udało mi się rozwikłać. Może to dzieło twojej matki? Gdzie ona jest, Michaelu? Czy może ją też zabiłeś?

Otwiera szeroko oczy, rysy tężeją mu w szoku, szklanka wysuwa się z ręki i spada na podłogę.

– Zaprzeczasz? – pytam, tknięty nagłą niepewnością.

– Nie... nie... ale...

– Gdzie jest twoja matka, Michaelu? To ona cię do tego namówiła?

– Ona...

W pierwszej chwili biorę ten bełkot za przejaw wyrzutów sumienia; oddycha płytko jak ktoś, kto szuka właściwych słów. Dopiero gdy zaciska palce na poręczy fotela, a na jego wargach pojawia się piana, uświadamiam sobie, że został otruty.

Zrywam się na nogi, ale nie mam pojęcia, co robić.

– Niech ktoś nam pomoże! – krzyczę.

Michael wypręża się w łuk, napina wszystkie mięśnie, pękają mu naczynia krwionośne, a oczy czerwienieją. Charcząc, pada twarzą na podłogę. Za sobą słyszę jakiś stukot. Kiedy się odwracam, widzę, jak leżąca na noszach Evelyn wije się w konwulsjach, a w jej ustach bulgocze taka sama biała piana.

Z hukiem otwierają się drzwi i Cunningham z rozchyłonymi w zdumieniu ustami przygląda się tej scenie.

– Co się stało?

– Zostali otruci. – Przyglądam się rodzeństwu. – Sprowadź Dickiego.

Wybiega, zanim kończę wydawać to polecenie. Kładę dłoń na czole i bezradnie patrzę na tych dwoje. Evelyn miota się na kredensie jak opętana, Michael zaciska zęby, które zgrzytają mu w ustach.

Lekarstwa, głupcze.

Zanurzam dłoń w kieszeni i wyjmuję trzy fiołki, które zgodnie z instrukcją skradłem z kufra Bella, kiedy po południu splądrowaliśmy go z Cunninghamem. Rozkładam list i szukam szczegółowych wskazówek, choć wiem, że ich nie zawiera. Przypuszczam, że powinienem wszystko wymieszać, nie mam jednak pojęcia, ile tego antidotum mam im podać. Nie wiem nawet, czy wystarczy tego na dwie dawki.

– Nie wiem, kogo uratować! – krzyczę, spoglądając to na Michaela, to na Evelyn.

Michael wie więcej, niż nam powiedział.

– Ale dałem Evelyn słowo, że ją ochronię.

Jej drgawki są tak gwałtowne, że spada na podłogę. Michael nadal się rzuca, a jego oczy uciekają w głąb czaszki, połyskując białkami.

– Niech to szlag! – Podbiegam do barku.

Wlewam zawartość fiolek do szklanki na whisky, dodaję wody z dzbanka i mieszam wszystko, dopóki nie powstanie piana. Evelyn wypręży plecy w łuk, wbija palce w miękkie sploty dywanu. Odchylając jej głowę, wlewam jej do gardła całą paskudną miksturę i słyszę, jak za mną Michael się dusi.

Atak Evelyn kończy się równie raptownie, jak się zaczął. Z jej oczu sączy się krew; rzezi, z trudem wciągając do płuc potężne hausty powietrza. Oddycham z ulgą i przyciskam palce do jej szyi, by sprawdzić tętno. Wali jak szalone, ale jest silne. Evelyn będzie żyć. W przeciwieństwie do Michaela.

Z poczuciem winy zerkam na ciało młodego człowieka. Wygląda dokładnie tak samo jak jego ojciec w stróżówce. Nie ma wątpliwości, że otruła ich ta sama osoba, używając strychniny przemyczonej do domu przez Sebastiana Bella. Trucizna musiała się znaleźć w whisky, którą wypił. W whisky Evelyn. Jej szklanka była do połowy pełna. Sądząc z czasu, po jakim strychnina zaczęła działać, wypila najwyżej łyżeczek czy dwa. Michael wychylił wszystko w niecałą minutę. Wiedział, że szkocka była zatruta? Strach, jaki zauważyłem na jego twarzy, wskazuje, że nie.

To dzieło kogoś innego.

W Blackheath jest jeszcze jeden morderca.

– Ale kto to jest? – Jestem na siebie zły, że do tego dopuściłem. – Felicity? Helena Hardcastle? Kto był współnikiem Michaela? Może to ktoś, o kim w ogóle nie wiedział?

Evelyn porusza się, jej policzki z wolna odzyskują kolor. Mikstura działa szybko, choć kobieta nadal jest słaba. Jej palce muskają mój rękaw, wargi wypowiadają bezgłośnie słowa.

Zbliżam ucho do jej ust.

– Nie jestem... – Przełyka ślinę. – Millicent... zamordowana.

Z ogromnym trudem pociąga coś wiszącego na szyi i zdejmuje ukryty pod suknią łańcuszek. Na jego końcu ukazuje się sygnet z – jeśli się nie mylę – pieczęcią Hardcastle'ów.

Patrzę na nią zdumiony, nie rozumiejąc.

– Mam nadzieję, że masz już wszystko, czego chciałeś – odzywa się nagle głos od strony oszklonych drzwi. – Chociaż i tak niewiele ci z tego przyjdzie.

Oglądam się przez ramię i widzę wylaniającego się z ciemności Lokaja, który od niechcienia trąca się w udo czubkiem noża, połyskującego w blasku świec. Ma na sobie czerwono-białą liberię z widocznymi plamami tłuszczu i brudu, jak gdyby jego natura w jakiś sposób przesiąkła na zewnątrz. U pasa ma przywiązany pusty worek myśliwski, a ja z rosnącą grozą przypominam sobie, jak cisnął u stóp Derby'ego pełny worek, tak przesiąknięty krwią, że wylądował na ziemi z mokrym plaśnięciem.

Zerkam na zegar. Derby już tam jest i grzeje się przy palenisku, patrząc, jak goście się rozchodzą. Cokolwiek Lokaj chce włożyć do worka, zamierza to odciąć Rashtonowi.

Uśmiecha się do mnie z niecierpliwym błyskiem w oczach.

– Mogłoby się wydawać, że mordowanie cię już mi się znudziło, prawda?
– pyta.

Srebrny pistolet nadal tkwi w doniczce, do której wrzucił go Michael. Nie wystrzeli, ale Lokaj o tym nie wie. Gdybym mógł dosięgnąć broni, może udałoby mi się go nastraszyć i zmusić do ucieczki. To będzie zacięty wyścig, ale Lokaj ma na swojej drodze stół. Powinienem dopaść broni przed nim.

– Zrobię to powoli. – Dotyka złamanego nosa. – Jestem ci to winien.

Niełatwo przestraszyć Rashtona, teraz jednak się boi, a ja razem z nim. Po tym dniu zostają mi jeszcze dwa wcielenia, ale Gregory Gold większą część dnia spędzi rozpięty jak struna w stróżówce, a Donald Davies utknął na polnej drodze wiele mil stąd. Jeżeli teraz umrę, nie wiadomo, ile jeszcze dostanę szans, by uciec z Blackheath.

– Bronią się nie przejmuj – radzi Lokaj. – Nie będzie ci potrzebna.

Opacznie rozumiem sens jego słów i rozbłyska we mnie płomyk nadziei, który jednak szybko gaśnie na widok jego kpiącego uśmiešku.

– Och, nie, przystojniaku, zamierzam cię zabić. – Macha do mnie nożem. – Chodzi mi po prostu o to, że nie będziesz się przede mną bronił. – Podchodzi bliżej. – Anna jest u mnie, rozumiesz? Jeżeli nie chcesz, żeby zginęła w bardzo nieprzyjemny sposób, poświęć się, a potem sprowadzisz na cmentarz tych, co jeszcze zostali.

Otwiera dłoń, by pokazać mi figurę szachową Anny z plamami krwi. Ciska figurę do ognia, a płomienie natychmiast ją pochłaniają.

Następny krok w moją stronę.

– Co to ma być? – pyta.

Zaciskam opuszczone pięści, czuję suchość w ustach. Odkąd sięgam pamięcią, Rashton spodziewał się, że umrze młodo. W ciemnym zaułku albo na polu bitwy, w jakimś miejscu bez światła i wygód, bez przyjaźni i nadziei. Wiedział, iloma zagrożeniami najeżyło się jego życie, i pogodził się z tym, bo wiedział, że zginie w walce. Być może będzie daremna, być może nierówna, ale spodziewał się, że wkroczy w ciemność z uniesionymi pięściami.

A teraz Lokaj odebrał mu nawet tę nadzieję. Mam umrzeć bez walki i czuję wstyd.

– Jak brzmi odpowiedź? – pyta Lokaj z rosnącym zniecierpliwieniem.

Nie potrafię wydobyć z siebie tych słów, przyznać się, że poniosłem całkowitą klęskę. Wystarczyłaby jeszcze tylko godzina w tym ciele, a wyjaśniłbym zagadkę, i ta świadomość sprawia, że chce mi się wyć.

– Odpowiedź! – woła.

Udaje mi się skinąć głową, gdy spowija mnie jego smród, a on staje nade mną i zatapia ostrze noża w znanym mi już miejscu pod żebrami. Krew wypełnia mi gardło i usta.

Chwyta mnie za podbródek i unosi moją głowę, aby spojrzeć mi w oczy.

– Zostało dwóch. – Z tymi słowami przekręca nóż.

Dzień trzeci (ciąg dalszy)

Deszcz tłucze o dach, końskie kopyta stukają o bruk. Siedzę w powozie naprzeciwko dwóch kobiet w strojach wieczorowych. Rozmawiają półgłosem, trącąc się ramionami, gdy powóz kołysze się z boku na bok.

Nie wysiadaj z powozu.

Dreszcz lęku przebiega mi po plecach. Właśnie przed tą chwilą ostrzegał mnie Gold. Chwilą, która doprowadziła go do obłądu. Na zewnątrz w ciemnościach czai się Lokaj z nożem.

– Patrz, Audrey, ocknął się – mówi jedna z kobiet, zauważywszy, że się poruszyłem.

Druga, przypuszczając zapewne, że szwankuje mi słuch, nachyla się nade mną.

– Znalazłyśmy pana śpiącego przy drodze! – krzyczy, kładąc mi dłoń na kolanie. – Pana automobil stał parę mil dalej, stangret próbował go uruchomić, ale sobie nie poradził.

– Jestem Donald Davies – mówię, czując, jak ogarnia mnie fala ulgi.

Kiedy ostatni raz byłem tym człowiekiem, jechałem samochodem przez całą noc, dopóki o świcie nie skończyło się paliwo. Potem wiele godzin szedłem niekończącą się drogą do wsi i padłem z wyczerpania, nie zbliżywszy się ani trochę do celu wędrówki. Pewnie Davies przespał cały dzień, co uratowało go przed gniewem Lokaja.

Doktor Dżuma mówił mi, że kiedy się znowu ocknę, wrócę do postaci Daviesa. Nigdy bym się nie domyślił, że w chwili gdy to się stanie, mężczyzna zostanie uratowany i odwieziony z powrotem do Blackheath.

Nareszcie trochę szczęścia.

– Urocza, słodka kobieto. – Ujmuję w dłonie twarz mojej wybawicielki i głośno całuję ją w usta. – Nawet nie wiesz, co zrobiłaś.

Nie czekając na jej reakcję, wystawiam głowę przez okno. Jest wieczór, latarnie na powozie delikatnie oświetlają ciemności, zamiast je rozpraszać. Jedziemy jednym z trzech powozów zmierzających do Blackheath ze wsi, po obu stronach drogi stoi ich już kilkanaście, a stangreci chrapią albo gawędzą w niewielkich grupkach, podając sobie jednego papierosa. Słyszę muzykę dobiegającą od strony domu, piskliwy śmiech, którego wysoki ton pozwala mi błyskawicznie pokonać odległość między nami. Przyjęcie trwa w najlepsze.

Wzbiera we mnie nadzieja.

Evelyn nie wyszła jeszcze nad sadzawkę, co oznacza, że jest szansa, bym zdążył wypytać Michaela i dowiedzieć się, czy miał jakiegoś współnika. Jeżeli nawet się spóźnię, mogę zastawić pułapkę na Lokaja, kiedy ten przyjdzie zabić Rashtona, i ustalić, gdzie przetrzymuje Annę.

Nie wysiadaj z powozu.

– Za parę minut będziemy w Blackheath, jaśnie pani! – krzyczy gdzieś z góry stangret.

Ponownie zerkam przez okno. Dom pojawia się dokładnie na wprost nas, a po prawej biegnie droga prowadząca do stajni. Tam trzymają strzelby i byłbym głupcem, gdybym próbował bez niej poradzić sobie z Lokajem.

Otwieram drzwi i wyskakuję z powozu, boleśnie lądując na kopczyku mokrych kamieni. Panie piszczą, stangret coś do mnie wrzeszczy, a ja podnoszę się i chwiejnym krokiem ruszam w kierunku dalekich świateł. Doktor Dżuma powiedział mi, że bieg zdarzeń tego dnia zależy od charakteru osób, które go przeżywają. Mogę mieć tylko nadzieję, że to prawda i że los okaże się dla mnie wyrozumiały, bo jeśli nie, to zgubię siebie i Annę.

W blasku stalowych palenisk stajenni wyprzegają konie z powozów i prowadzą rżące cicho zwierzęta pod dach. Pracują szybko, choć wyglądają na półżywych ze zmęczenia i ledwie mogą mówić. Podchodzę do stojącego najbliżej chłopaka, który mimo deszczu ma na sobie tylko koszulę z podwiniętymi rękawami.

– Gdzie trzymacie strzelby? – pytam.

Dopina uprząż i zgrzyta zębami, dociągając napięty pas do ostatniej klamry. Spogląda na mnie spod czapki, podejrzliwie mrużąc oczy.

– Trochę późno na polowanie, co? – mówi.

– I o wiele za wcześnie na impertynencję – fukam w odpowiedzi, ponieważ odzywa się we mnie wielkopańska pogarda, którą moje wcielenie żywi wobec służby. – Powiesz mi, gdzie są te przeklęte strzelby czy mam przyprowadzić lorda Hardcastle, żeby sam cię spytał?

Przez chwilę mierzy mnie wzrokiem, po czym wskazuje przez ramię na niewielki ceglany budynek, skąd przez okno sączy się nikłe światło. Strzelby są ustawione w szeregu na drewnianym stojaku, w szufladzie obok znajdują się pudełka z amunicją. Zdejmuję jedną i starannie ładuję, po czym wrzucam do kieszeni garść zapasowych kul.

Strzelba jest ciężka, ale zimne brzemie dodaje mi odwagi, by przemaszerować przez dziedziniec i ruszyć drogą w stronę Blackheath. Stajenni wymieniają znaczące spojrzenia i ustępują przede mną. Bez wątpienia biorą mnie za jakiegoś bogatego szaleńca pragnącego wyrównać z kimś rachunki; jestem dla nich jeszcze jednym tematem do plotek, którymi będą się wymieniać nazajutrz rano. Na pewno uważają, że nie warto ryzykować życia i zdrowia dla kogoś takiego jak ja. Z tego akurat się cieszę. Gdyby podeszli bliżej, być może zauważyliby, jaki tłok panuje w moich oczach, jak moje poprzednie wcielenia rozpychają się, aby mieć lepszy widok. Lokaj skrzywdził w jakiś sposób każde z nich, więc wszystkie postanowiły obejrzeć jego egzekucję. Przez zgiełk panujący w mojej głowie trudno mi myśleć.

W połowie drogi dostrzegam rozkołysane światło, które się do mnie zbliża, i mocniej zaciskam dłoń na strzelbie tuż przy spuście.

– To ja! – woła Daniel, przekrzykując łoskot burzy.

Trzyma w ręce lampę sztormową, której blade światło wydobywa z mroku tylko jego twarz i górną połowę ciała. Wygląda jak dżin wypuszczony z butelki.

– Musimy się spieszyć, Lokaj jest na cmentarzu – informuje mnie. – Ma ze sobą Annę.

Ciągle myśli, że wierzymy w tę maskaradę.

Gładząc palcem strzelbę, patrzę w stronę Blackheath, próbując podjąć najlepszą decyzję. W tym momencie Michael może być na werandzie, ale Daniel z pewnością wie, gdzie przetrzymywana jest Anna, a nie będę miał lepszej okazji, by wyciągnąć od niego tę informację. Dwie drogi i dwa cele, skądś jednak wiem, że jedna z nich wiedzie do kłęski.

– To nasza szansa! – krzyczy Daniel, ocierając z oczu krople deszczu. – Dokładnie na to czekaliśmy. On właśnie tam jest i czyha na nas. Nie wie, że się znaleźliśmy. Możemy złapać go w pułapkę, możemy z nim skończyć razem.

Tak długo pragnąłem odmienić swoją przyszłość, odwrócić bieg wydarzeń. Gdy to się udało, dręczy mnie myśl o daremności moich decyzji. Ocaliłem Evelyn i pokrzyżowałem plany Michaela, ale to będzie miało znaczenie tylko wówczas, jeżeli Anna i ja przeżyjemy i zdążymy o jedenastej powiedzieć o Evelyn i Michaelu Doktorowi Dżumie. Wszystkie inne decyzje będę podejmował na oślep, a skoro po tym dniu zostaje mi tylko jedno wcielenie, każda decyzja ma znaczenie.

– A jeżeli się nie uda? – Mój krzyk ledwie dociera do jego uszu. Ogłusza nas szum deszczu siekącego o kamienie; wiatr targa i szamocze lasem, wyjąc wśród drzew jak wypuszczone z klatki dzikie zwierzę.

– Jest jakieś inne wyjście? – wrzeszczy Daniel, łapiąc mnie za kark. – Mamy plan, czyli pierwszy raz możemy zdobyć nad nim przewagę. Musimy to wykorzystać!

Przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie, kiedy zrobił na mnie wrażenie niezwykle spokojnego, cierpliwego i rozsądnego człowieka. Po żadnym z tych przymiotów nie został nawet ślad. Zmyły je niekończące się burze w Blackheath. Ma oczy szaleńca, w których migoczą fanatyzm i błaganie, dzikość i rozpacz. Ta chwila i jej następstwa mają dla niego nie mniejsze znaczenie niż dla mnie.

Ma rację. Musimy położyć temu kres.

– Która godzina? – pytam.

Marszczy brwi.

– To ma jakieś znaczenie?

– Będę wiedział dopiero później. Proszę, powiedz mi, która godzina.

Niecierpliwie zerka na zegarek.

– Za czternaście dziesiąta. Możemy już iść?

Kiwam głową i ruszam za nim przez trawnik.

Gwiazdy tchórzliwie zamykają oczy, gdy ostrożnie zbliżamy się do cmentarza, a kiedy Daniel otwiera furtkę, jedynym źródłem światła jest już tylko blask lampy sztormowej. Tu osłaniają nas drzewa, tłumiąc furie burzy, która mimo to razi nas ostrymi podmuchami wiatru jak sztyletami przenikającymi przez szpary w pancerzu lasu.

– Powinniśmy się ukryć – szepcze Daniel, wieszając lampę na ramieniu kamiennego anioła. – Kiedy przyjdzie Anna, zawołamy ją.

Unoszę strzelbę i przyciskam mu do tyłu głowy obie lufy.

– Dość tej komedii, Daniel, wiem, że nie jesteśmy tą samą osobą. – Przebiegam wzrokiem po lesie w poszukiwaniu Lokaja. Niestety lampa sztormowa świeci mi w oczy tak jasno, że przesłania to, co powinna ukazywać. – Ręce do góry i odwróć się – rozkazuję.

Spełnia polecenie i wpatruje się we mnie badawczo, jak gdyby chciał mnie rozłożyć na części i sprawdzić, czy coś się nie zepsuło. Nie wiem, czy coś znalazł, ale po dłuższej chwili jego przystojną twarz rozpromienia czarujący uśmiech.

– Chyba nie mogło to trwać wiecznie. – Wskazuje kieszeń na swojej piersi. Gdy daję mu znak przyzwolenia, wyjmuje papierośnicę i stuka nią w dłoń, by wytrząsnąć papierosa.

Wszedłem za tym człowiekiem na cmentarz, wiedząc, że jeżeli nie stawię mu czoła, będę stale oglądał się przez ramię w oczekiwaniu na jego atak, teraz jednak, gdy stoję przed nim i widzę jego spokój, zaczynam się wahać.

– Gdzie ona jest? – pytam. – Gdzie jest Anna?

– Właśnie to pytanie zamierzałem ci zadać. – Wsuwa papierosa do ust. – Otóż to, gdzie jest Anna? Przez cały dzień próbuję cię nakłonić do odpowiedzi, sądziłem nawet, że mi się udało, kiedy Derby zgodził się pomóc mi wypłoszyć Lokaja z korytarzy pod podłogą. Szkoda, że nie widziałeś swojej miny, mało ze skóry nie wyskoczyłeś.

Ośłania papierosa przed wiatrem i zapala go za trzecim razem, oświetlając twarz i oczy tak puste, jak u stojącego obok posągu anioła. Chociaż trzymam go na muszce, ma nade mną przewagę.

– Gdzie jest Lokaj? – Strzelba zaczyna mi ciążyć w rękach. – Wiem, że z nim spiskujesz.

– Och, nic podobnego. Obawiam się, że zrozumiałeś to zupełnie na opak. – Lekceważąco macha ręką. – Jest inny niż ty, ja czy Anna. To jeden ze współników Coleridge'a. Ścisłej rzecz biorąc, w domu jest ich kilku. Podejrzane typy, ale Coleridge prowadzi równie podejrzane interesy. Lokaj, jak go nazywasz, był z nich najbystrzejszy, wyjaśniłem więc, co się dzieje w Blackheath. Nie sądzę, by mi uwierzył, ale jego specjalność to zabijanie, więc nawet okiem nie mrugnął, kiedy pokazałem mu twoje wcielenia.

Prawdę mówiąc, chyba sprawiło mu to przyjemność. Oczywiście ogromne znaczenie miał też fakt, że uczyniłem go bardzo bogatym człowiekiem.

Wydmuchuje nozdrzami dym i uśmiecha się szeroko, jakby opowiedział mi nasz prywatny dowcip. Jego ruchy zdradzają pewność siebie, opanowanie człowieka, który wie, że przeczucie go nie myli. Przygnębiające przeciwieństwo dygotu moich rąk i trzepotu serca. Coś zaplanował i dopóki się nie dowiem, co to jest, mogę tylko czekać.

– Jesteś jak Anna, prawda? – pytam. – Masz jeden dzień, a potem wszystko zapominasz i zaczynasz od nowa.

– Wydaje się, że to niesprawiedliwe, co? Zwłaszcza kiedy ma się do dyspozycji osiem wcieleń i osiem dni. Ty dostałeś wszystkie dary. Dlaczegoż to?

– Widzę, że Doktor Dżuma nie powiedział ci o mnie wszystkiego.

Znowu się uśmiecha. Mam wrażenie, że bryłki lodu zsuwają mi się po plecach.

– Dlaczego to robisz, Daniel? – pytam zaskoczony własnym bólem. – Mogliśmy sobie nawzajem pomóc.

– Ależ pomogłeś mi, mój drogi – zauważa. – Obydwa notatniki z informacjami o szantażach Stanwina stały się moją własnością. Gdyby Derby nie myszkował po jego sypialni, znalazłbym tylko jeden i wiedziałbym nie więcej niż dzisiaj rano. Za dwie godziny pójdę nad jezioro z tym, co wiem, i uwolnię się od tego domu, a wszystko dzięki tobie. Ta myśl na pewno cię pocieszy.

Słyszę kroki na mokrej ziemi, a po chwili szcęk odbezpieczanej strzelby; w moje plecy wbija się zimny metal. Potrąca mnie jakiś drab, zajmując pozycję w plamie światła obok Daniela. W odróżnieniu od jego kompana, który stoi za mną, nie jest uzbrojony, choć wygląda na to, że nie musi. Ma twarz zabijaki z karczmy, złamany nos i odrażającą bliznę na policzku. Rozciera sobie kostki dłoni i niecierpliwie oblizuje wargi. Żaden z tych gestów bynajmniej nie dodaje mi pewności siebie przed tym, co mnie czeka.

– Bądź łaskaw rzucić broń, mój drogi – mówi Daniel.

Z westchnieniem upuszczam strzelbę na ziemię i unoszę rękę. Może to głupie, ale w tym momencie przede wszystkim pragnę, żeby się tak nie trzęsły.

– Możesz już wyjść – dodaje głośniejszym głosem Daniel.

Rozlega się szelest w krzakach po mojej lewej ręce i w krąg światła rzucanego przez lampę wkracza Doktor Dżuma. Już mam ochotę obrzucić go obelgami, gdy nagle dostrzegam namalowaną z lewej strony maski srebrną łożkę, która połyskuje w świetle. Zmierzywszy go wzrokiem od stóp do głów, zdaję sobie sprawę z innych różnic. Płaszcz wygląda na cieńszy i mniej postrzępiony. Rękawiczki są ozdobione haftowanymi różami, widzę też, że ta osoba jest niższa i bardziej wyprostowana.

To z pewnością nie jest Doktor Dżuma.

– To pani rozmawiała z Danielem nad jeziorem – mówię.

Daniel wydaje cichy gwizd i zerka na swoją towarzyszkę.

– Jak, u licha, to zobaczył? – pyta Srebrnej Łzy. – Przecież wybrała pani takie miejsce, żeby nikt nie widział nas razem.

– Widziałem was też pod stróżówką – dodaję.

– Coraz to ciekawiejsze i ciekawiejsze – mówi Daniel, który doskonale się bawi kosztem swojej współpracownicy. – Myślałem, że zna pani na pamięć każdą sekundę tego dnia. – Przybiera podniosły ton. – Widzę wszystko, co się tutaj dzieje, panie Coleridge.

– Gdyby to była prawda, nie potrzebowałabym pańskiej pomocy, żeby schwytać Annabelle – odpowiada Srebrna Łza. Mówi dystyngowanym tonem, który w niczym nie przypomina znękanego głosu Doktora Dżumy. – Działania pana Bishopa zaburzyły zwykły bieg wypadków. Odmienił los Evelyn Hardcastle i przyczynił się do śmierci jej brata, zrywając nici, które wiązały wszystkie wątki tego dnia. Utrzymał sojusz z Annabelle znacznie dłużej niż kiedykolwiek wcześniej, co oznacza, że wydarzenia przebiegają nie po kolei, skracają się lub wydłużają, jeżeli w ogóle się dzieją. Nic nie ma już swojego stałego miejsca.

Maska zwraca się w moją stronę.

– Należą się panu wyrazy uznania, panie Bishop. Od dziesiątek lat nie widziałam w Blackheath takiego zamętu.

– Kim pani jest? – pytam.

– Mogłabym spytać pana o to samo. – Zbywa moje pytanie machnięciem ręki. – Nie zrobię tego jednak, bo sam pan tego nie wie, poza tym są pilniejsze sprawy. Wystarczy powiedzieć, że zostałam przysłana przez swoich przełożonych, aby naprawić błąd kolegi. Proszę powiedzieć panu Coleridge’owi, gdzie znajdzie Annabelle.

– Annabelle?

– Nazywa ją Anną – wyjaśnia Daniel.

– Czego pani chce od Anny?

– To nie pańska sprawa – oznajmia mi Srebrna Łza.

– Ale coraz bardziej mnie dotyczy – protestuję. – Musi pani bardzo na niej zależeć, skoro jest pani gotowa wejść w układ z kimś takim jak Daniel, żeby ją sprowadził.

– Staram się przywrócić równowagę. Pana zdaniem to zbieg okoliczności, że wciela się pan w osoby najbliższe powiązane z morderstwem Evelyn? Nie jest pan ciekaw, dlaczego ocknął się pan w postaci Donalda Daviesa dokładnie w chwili, w której najbardziej był pan potrzebny? Mój kolega od początku niektórych faworyzował, a to niedopuszczalne. Miał obserwować bez ingerencji, stawić się nad jeziorem i czekać na odpowiedź. Nic więcej. Na domiar złego otworzył drzwi istocie, której nie wolno nigdy pozwolić na opuszczenie tego domu. Nie mogę na to dłużej pozwalać.

– A więc po to tu jesteś – odzywa się Doktor Dżuma, wyłaniając się z mroku. Po jego masce strużkami spływa deszcz.

Daniel sztywnieje i nieufnie przygląda się intruzowi.

– Przepraszam, że nie zapowiedziałem się wcześniej, Josephine. – Doktor Dżuma skupia całą uwagę na Srebrnej Łzie. – Nie byłem pewien, czy powiesz prawdę, jeśli spytam cię wprost, zwłaszcza że bardzo się starałaś pozostać w ukryciu. Nigdy bym się nie dowiedział, że tu jesteś, gdyby nie zauważył cię pan Rashton.

– Josephine? – wtrąca Daniel. – Wy się znacie?

Srebrna Łza nie reaguje na jego pytanie.

– Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie – zwraca się do Doktora Dżumy. Jej ton łagodnieje. Brzmi w nim nuta serdeczności i żalu. – Zamierzałam wykonać zadanie i odejść, tak abyś o niczym się nie dowiedział.

– W ogóle nie rozumiem, dlaczego się tu pojawiłaś. Blackheath jest pod moim nadzorem i wszystko jest pod kontrolą.

– Chyba sam w to nie wierzysz! – rzuca ze złością Srebrna Łza. – Spójrz, jak zbliżyli się do siebie Aiden i Annabelle, jak bliscy są ucieczki. Jest gotów się dla niej poświęcić. Rozumiesz? Jeżeli dalej będziemy na to pozwalać, ona wkrótce stanie przed tobą z odpowiedzią. I co wtedy zrobisz?

– Jestem pewien, że do tego nie dojdzie.

– A ja jestem pewna, że dojdzie – prycha Srebrna Łza. – Powiedz mi prawdę, pozwolisz jej odejść?

Pytanie na chwilę ucisza Doktora Dżumę, a jego lekko przechylona głowa świadczy o niezdecydowaniu. Mój wzrok prześlizguje się w stronę Daniela, który przygląda im się jak urzeczony. Domyślam się, że czuje się podobnie jak ja, niczym dziecko przysłuchujące się kłótni rodziców, z której rozumie najwyżej połowę.

Gdy Doktor Dżuma ponownie się odzywa, mówi stanowczym głosem, choć jego zdecydowanie wydaje się przeciwiczone, jak gdyby wzięło się z wielokrotnego powtarzania, nie z autentycznego przekonania.

– Zasady Blackheath są niezwykle jasne i mam obowiązek ich przestrzegać, tak samo jak ty – oświadcza. – Jeśli to ona poda mi nazwisko zabójcy Evelyn Hardcastle, nie będę mógł odmówić rozpatrzenia jej argumentów.

– Niezależnie od zasad wiesz, co nasi przełożeni z tobą zrobią, jeśli Annabelle ucieknie z Blackheath.

– Przysłali cię na moje miejsce?

– Oczywiście, że nie. – Srebrna Łza wzdycha, jak gdyby z urazą. – Sądzisz, że zareagowaliby tak powściągliwie? Przychodzę jako twoja przyjaciółka, żeby uporządkować ten bałagan, zanim się dowiedzą, jak niewiele brakowało, żebyś popełnił głupstwo. Dyskretnie usunę Annabelle, żebyś nie musiał dokonywać wyboru, którego pożałujesz.

Daje znak Danielowi.

– Panie Coleridge, proszę przekonać pana Bishopa, aby ujawnił miejsce pobytu Annabelle. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, o co idzie gra.

Daniel rozgniała obcasem papierosa i kiwa głową swojemu zabijace; ten chwytą mnie za ramiona i obezwładnia. Usiłuję się bronić, ale jest znacznie silniejszy.

– To niedozwolone, Josephine. – Doktor Dżuma jest wyraźnie wstrząśnięty. – Nie podejmujemy bezpośrednich działań. Nie wydajemy poleceń. Na pewno nie przekazujemy nikomu informacji, których nie możemy ujawniać. Łamiesz wszystkie zasady, do których przyrzekliśmy się stosować.

– Masz czelność mnie pouczać? – prychna pogardliwie Srebrna Łza. – Nie robisz nic innego, tylko stale się wtrącasz.

Doktor Dżuma gwałtownie kręci głową.

– Wyjaśniłem panu Bishopowi cel i zachęcałem go w chwilach wahania. W odróżnieniu od Daniela i Anny, kiedy się ocknął, nie miał wpojonych

zasad. Miał prawo wątpić, odchodzić od wyznaczonego celu. Nigdy nie przekazałem mu wiadomości, na które nie zasłużył, tak jak ty postąpiłaś wobec Daniela. Nie stawiałem go w uprzywilejowanej pozycji, dążyłem do zachowania równowagi. Błagam cię, nie rób tego. Nie zaburzaj naturalnego biegu wypadków. Jest już taki bliski rozwiązania.

– Annabelle też, właśnie z tego powodu – odparowuje Srebrna Łza ostrzejszym tonem. – Przykro mi, muszę wybrać między dobrem Aideny Bishopa a twoim własnym. Niech pan zaczyna, panie Coleridge.

– Nie! – krzyczy Doktor Dżuma, wyciągając rękę w uspokajającym geście.

Zbir ze strzelbą kieruje lufy w jego stronę. Jest zdenerwowany, jego palec zaciska się na spuście odrobinę zbyt mocno. Nie wiem, czy taka broń może zrobić krzywdę Doktorowi Dżumie, ale nie mogę pozwolić, by ryzykował. Potrzebuję go żywego.

– Proszę odejść – zwracam się do niego. – Nic więcej nie może pan tu zrobić.

– To błąd – protestuje.

– Niech więc go pan naprawi. Moje inne wcielenia pana potrzebują. – Znacząco milknę. – Ja nie.

Nie wiem, czy podziałała moja intonacja, czy już wcześniej był świadkiem tej chwili, ale w końcu niechętnie ustępuje, patrzy na Josephine, po czym znika z cmentarza.

– Jak zwykle szlachetny – mówi Daniel, podchodząc do mnie. – Powinieneś wiedzieć, że podziwiam w tobie tę cechę, Aiden. Twoją walkę o uratowanie kobiety, której śmierć mogła dać ci wolność. Twoją słabość do Anny, która na pewno by cię zdradziła, gdybym nie zrobił tego pierwszy. Obawiam się jednak, że ostatecznie wszystko to pójdzie na marne. Tylko jeden z nas może opuścić ten dom i zależy mi na tym, żebyś to nie był ty.

Na gałęziach nade mną gromadzą się wrony. Nadlatują cicho, jak na czyjeś zaproszenie, i siadają z piórami mokrymi od deszczu. Są ich dziesiątki; tłoczą się jak żałobnicy na pogrzebie i obserwują mnie z ciekawością, od której cierpnie mi skóra.

– Jeszcze godzinę temu mieliśmy Annę pod kluczem. W jakiś sposób udało się jej uciec – ciągnie Daniel. – Dokąd mogła pójść? Powiedz mi, gdzie się ukrywa, a wydam swoim ludziom polecenie, żebyś miał szybką śmierć. Zostałeś tylko ty i Gold. Dwa strzały, a obudzisz się jako Bell, zapukasz do drzwi Blackheath i zaczniesz wszystko od nowa, a ja nie będę ci

przeszkadzać. Masz tęgą głowę, jestem pewien, że szybko wyjaśnisz sprawę morderstwa Evelyn.

W blasku lampy jego drapieżnie wykrzywiona twarz wygląda upiornie.

– Bardzo się boisz, Daniel? – pytam, cedząc słowa. – Zabiłeś moje przyszłe wcielenia, więc nie jestem groźny, ale nie masz pojęcia, gdzie jest Anna. Właśnie to cię dręczy przez cały dzień, prawda? Strach, że ona rozwiąże zagadkę przed tobą.

To mój uśmiech budzi w nim lęk, cień przeczucia, że być może nie jestem w tak beznadziejnym położeniu, jak z początku sądził.

– Jeżeli nie dostanę tego, czego chcę, zacznę cię kroić. – Daniel opuszką palca kreśli linię na moim policzku. – Będę rozcinał kawałek po kawałeczku.

– Wiem, po tym wszystkim spotkałem sam siebie – mówię, patrząc na niego. – Przez ciebie do tego stopnia postradałem zmysły, że przenoszę swoje szaleństwo na Golda. Tnie się po rękach, bełkocze jakieś ostrzeżenia do Edwarda Dance'a. To straszne. Mimo to moja odpowiedź brzmi „nie”.

– Powiedz mi, gdzie ona jest. – Podnosi głos. – Coleridge płaci połowie służby w tym domu, a mam dość gruby portfel, żeby kupić drugą połowę, jeżeli będzie trzeba. Mogę otoczyć jezioro podwójnym pierścieniem. Nie rozumiesz? Już wygrałem. Jaki jest sens dalej się upierać?

– Mam wprawę – rzucam ze złością. – Nic ci nie powiem. Każda minuta mojego milczenia to następna minuta dla Anny, żeby dotarła z odpowiedzią do Doktora Dżumy. Potrzebowałbyś stu ludzi, żeby upilnować jezioro w taką czarną noc, a wątpię, czy nawet Srebrna Łza może ci w tym pomóc.

– Będziesz cierpiał – syczy.

– Do jedenastej została godzina – mówię. – Jak sądzisz, który z nas wytrzyma dłużej?

Daniel wymierza mi cios, który pozbawia mnie tchu i rzuca na kolana. Gdy unoszę wzrok, stoi nade mną i rozciera otartą pięść. Wściekłość z wolna zasnuwa jego twarz jak burza skradająca się po bezchmurnym niebie. Po dawnym układnym graczu nie ma już śladu, jest hardy, kipiący furią oszust.

– Będę cię zabijał powoli – zapowiada chrapliwym głosem.

– Ja nie umrę, Daniel. – Wydaję przenikliwy gwizd. Ptaki podrywają się z drzew, zarośla szeleszczą. W atramentowej czerni lasu rozbłyskuje latarnia. Po chwili kilka metrów od niej pojawia się druga i jeszcze jedna.

Daniel obraca się na pięcie, śledząc kolejne światła. Nie zauważył, że Srebrna Łza niepewnie wycofuje się w głąb lasu.

– Skrzywdziłeś wiele osób – ciągnę, gdy światła zbliżają się do nas. – I teraz musisz im spojrzeć w twarz.

– J... jak to? – Jaka się, zaskoczony nagłą odmianą losu. – Przecież zabiłem wszystkie twoje przyszłe wcielenia.

– Nie zabiłeś ich przyjaciół – zauważam. – Kiedy Anna powiedziała mi o swoim planie zwabienia Lokaja na cmentarz, uznałem, że potrzebujemy większej siły, i poprosiłem o pomoc Cunninghama. A gdy się zorientowałem, że jesteś w zмовie z Lokajem, sięgnąłem dalej, żeby zwerbować ludzi. Nie było trudno znaleźć twoich wrogów.

Pierwsza pojawia się Grace Davies z uniesioną strzelbą. Rashton gryzł się w język, aby powstrzymać mnie przed zwróceniem się do niej z prośbą o pomoc, nie miałem jednak innego wyjścia. Reszta moich wcieleń jest zajęta albo nie żyje, a Cunningham przebywa na balu z Ravencourtem. Druga lampa kołysze się w ręce Lucy Harper, którą bez trudu nakłoniłem do przejścia na swoją stronę, ujawniając, że Daniel zamordował jej ojca; jako ostatni nadchodzi ochroniarz Stanwina z głową owiniętą bandażem, spod którego widać tylko zimne, bezlitosne oczy. Chociaż wszyscy są uzbrojeni, nie wyglądają na zbyt pewnych siebie i nie uwierzyłbym, że potrafiliby oddać przynajmniej jeden celny strzał. To nie ma znaczenia. W tym momencie najważniejsza jest liczebność, aby wytrącić z równowagi Daniela i Srebrną Łzę, której maska nerwowo obraca się na boki w poszukiwaniu drogi ucieczki.

– To koniec, Daniel – oznajmiam mu surowo. – Poddaj się, a pozwolę ci cało wrócić do Blackheath.

Rzuca mi wściekłe, rozpaczliwe spojrzenie, potem spogląda na moich przyjaciół.

– Wiem, co ten dom potrafi z nas zrobić – ciągnę. – Ale pierwszego poranka okazałeś dobroć Bellowi, na polowaniu widziałem też, jak serdecznie odnosisz się do Michaela. Jeszcze raz okaż się dobrym człowiekiem i powstrzymaj Lokaja. Pozwól Annie i mnie odejść ze swoim błogosławieństwem.

Waha się, na jego twarzy maluje się udręka, ale to za mało. Blackheath zatruło go do cna.

– Zabić ich – rozkazuje bezdusznie.

Za moimi plecami rozlega się huk wystrzału, więc instynktownie rzucam się na ziemię. Moi sprzymierzeńcy rozbiegają się, a człowiek Daniela naciera

na nich, strzelając w ciemność raz za razem. Nieuzbrojony drab odbiega w lewo i próbuje ich zaskoczyć z boku.

Nie wiem, czy pcha mnie do tego moja złość, czy złość mojego wcielenia, ale atakuję Daniela. Donald Davies wpada w szal, który wypływa raczej z poczucia godności niż przestępczych zamiarów. Czuje się urażony, że ktoś pozwala sobie tak podle go traktować.

Mój gniew ma wyłącznie powody osobiste.

Daniel stoi mi na drodze od pierwszego poranka. Próbował uciec z Blackheath kosztem mojej krzywdy, dla własnej korzyści niweczył moje plany. Udawał przyjaciela, okłamywał mnie z uśmiechem, śmiał się, kiedy mnie zdradzał, i właśnie dlatego rzucam się na niego jak pantera.

Robi unik i trafia mnie hakiem w brzuch. Zgięty wpół, uderzam go pięścią w krocze, a potem łapię za szyję i powalam na ziemię.

Za późno dostrzegam kompas.

Zadaje mi nim cios w policzek. Pryska szkło, krew ścieka mi po brodzie. Oczy zachodzą mi łzami, dłonie z pluskiem pogrążają się w mokrych liściach. Daniel naciera na mnie, ale w tym momencie tuż obok niego przelatuje ze świstem kula i trafia Srebrną Łzę; ta z krzykiem łapie się za ramię i osuwa na ziemię.

Daniel zerka na strzelbę w drżących rękach Lucy Harper, po czym puszcza się biegiem w stronę Blackheath. Zbieram się z ziemi i ruszam w pościg.

Jak ogar za lisem gnam za nim przez trawnik przed domem, potem drogą w kierunku wioski, mijając w pędzie stróżówkę. Jestem już niemal pewien, że ucieka do wsi, gdy nagle skręca w lewo, w ścieżkę prowadzącą do studni i dalej nad jezioro.

Jest ciemno choć oko wykol, księżyc kręci się za zasłoną chmur jak pies za starym drewnianym ogrodzeniem i wkrótce tracę uciekiniera z oczu. W obawie przed zasadzką zwalням kroku i uważnie nasłuchuję. Hukają sowy, przez liście kapią krople deszczu. Gałęzie chłoszczą mnie, gdy lawiruję między drzewami, aż w końcu wynurzam się z lasu i widzę Daniela, który stoi zgięty wpół nad brzegiem jeziora i łapie oddech z rękami na kolanach, a u jego stóp stoi lampa sztormowa.

Nie ma już dokąd uciekać.

Dygoczą mi ręce, serce ściska strach. Gniew dał mi odwagę, ale równocześnie wystrychnął mnie na dudka. Donald Davies jest niski

i drobny, delikatniejszy niż pościel, w której sypia. Daniel jest wyższy i silniejszy. Żeruje na takich jak ja. Moje wsparcie z cmentarza zostało daleko w tyle, co oznacza, że po raz pierwszy od przybycia do Blackheath żaden z nas nie wie, co się teraz stanie.

Zauważywszy mnie, Daniel daje mi znak, że potrzebuje chwili, by odzyskać oddech. Czekam, wybierając ciężki kamień, który może mi posłużyć za broń. Po tym, jak użył kompasu, nie obowiązują już żadne zasady uczciwej walki.

– Wszystko jedno, co zrobisz, nie pozwolą odejść twojej przyjaciółce – udaje mu się wykrztusić między jednym a drugim oddechem. – Srebrna Łza zdradziła mi o tobie wszystko w zamian za obietnicę, że znajdę i zabiję Annę. Powiedziała mi o twoich wcieleniach, gdzie i kiedy się budzą. Nie rozumiesz? Nic już nie ma znaczenia, Aiden. Tylko ja mogę stąd uciec.

– Mogłeś mi o tym powiedzieć wcześniej. To się nie musiało tak skończyć.

– Mam żonę i syna – wyznaje. – Takie wspomnienie mi zostało. Wyobrażasz sobie, co to za uczucie? Kiedy wiesz, że na ciebie czekają? Albo czekali.

Robię krok w jego stronę, trzymając u boku kamień.

– Jak spojrzysz im w oczy, wiedząc, co zrobiłeś, żeby stąd uciec? – pytam.

– To Blackheath zrobiło ze mnie kogoś takiego – wysapuje i spluwa w błoto.

– Nie, Danielu, to my zrobiliśmy z Blackheath takie miejsce – odpowiadam, zbliżając się jeszcze trochę. Ciągle się pochyla, nadal jest zmęczony. Jeszcze kilka kroków i będzie po wszystkim. – Doprowadziły nas do tego nasze własne decyzje. Jeżeli to ma być piekło, to sami je sobie stworzyliśmy.

– A co mieliśmy robić? – Unosi na mnie wzrok. – Siedzieć tu i kajać się za winy, dopóki ktoś nie uzna za stosowne otworzyć drzwi?

– Pomóż mi uratować Evelyn, a wtedy razem pójdziemy do Doktora Dżumy z tym, co wiemy – namawiam go. – Wszyscy troje, ty, ja i Anna. Mamy szansę wyjść stąd jako lepsi ludzie niż ci, którzy tu przyszli.

– Nie mogę ryzykować – oznajmia bezbarwnym, głuchym głosem. – Nie zmarnuję takiej okazji do ucieczki. Nie po to, żeby nie mieć poczucia winy, i nie po to, żeby pomóc ludziom, którym już od dawna nie można pomóc.

Bez ostrzeżenia przewraca kopniakiem lampę.

Oczy wypełnia mi noc.

Słyszę kroki na mokrej ziemi, a chwilę później jego ramię trafia prosto w mój brzuch, pozbawiając mnie powietrza w płucach.

Z głuchym odgłosem padamy na ziemię, a kamień wysuwa mi się z ręki.

Mogę tylko unieść ręce, aby się osłonić, ale są chude i wątłe, nie stanowią żadnej przeszkody dla jego ciosów. Krew wypełnia mi usta. Tracę czucie wewnątrz i na zewnątrz, ale grad razów sypie się dalej, dopóki pięści nie ześlizgną się z moich zakrwawionych policzków.

Podnosi się, uwalniając mnie od ciężaru swojego ciała.

Dyszy ciężko, kapią na mnie krople jego potu.

– Próbowałem tego uniknąć – mówi.

Silne palce łapią mnie za nogę w kostce i wloką po błocie w stronę wody. Staram się go dosięgnąć, ale napaść wycisnęła ze mnie wszystkie siły, więc rezygnuję.

Przystaje, by otrzeć pot z czoła. Przez chmury przebija się blask księżyca i rozjaśnia jego rysy. Daniel ma srebrne włosy i skórę białą jak świeży śnieg. Patrzy na mnie z taką samą litością, jaką okazał Bellowi pierwszego dnia rano.

– Nie możemy... – Krztuszę się i wypluwam krew.

– Nie powinieneś wchodzić mi w drogę – mówi, znowu szarpnięciem ciągnąc mnie naprzód. – Tylko o to prosiłem cię od początku.

Wchodzi do jeziora, wlokąc mnie za sobą. Moje nogi zanurzają się w zimnej wodzie, która po chwili oblewa mi pierś i głowę. Szok budzi we mnie wolę walki i próbuję wgramolić się z powrotem na brzeg, ale Daniel chwyta mnie za włosy i wciska twarz pod lodowatą wodę.

Drapię jego rękę, wierzgam nogami, lecz jest za silny.

Rzucam się w konwulsjach, rozpaczliwie próbuję zaczerpnąć powietrza.

Nie zważając na nic, przytrzymuje mnie dalej.

Widzę Thomasa Hardcastle'a, nieżyjącego od dziewiętnastu lat, który wypływa do mnie z ciemnej głębi. Ma jasne włosy i szeroko otwarte zagubione oczy, ale ujmuje moją dłoń i ściska, by dodać mi odwagi.

Nie mogąc dłużej wstrzymać oddechu, otwieram w końcu usta i połykam haust zimnej, mętnej wody.

Moim ciałem wstrząsają drgawki.

Thomas wyrywa mojego ducha z umierającego ciała i obaj unosimy się na powierzchni, patrząc, jak Donald Davies tonie.

Panuje spokój i bezruch. Zaskakująca cisza.

Nagle coś z hukiem wpada do wody.

Czyjeś ręce zanurzają się pod powierzchnię, łapią Donalda Daviesa i ciągną w górę, a sekundę później dołączam do jego ciała.

Palce martwego chłopca są nadal splecione z moimi, nie mogę jednak wyciągnąć go z jeziora. Umarł tutaj i został tu uwięziony, więc przygląda się ze smutkiem, jak zostaję uratowany.

Leżę w błocie i kaszlę krwią, czując, jakbym miał ciało z ołowiu.

Daniel unosi się twarzą w dół na powierzchni jeziora.

Ktoś uderza mnie w twarz.

Potem jeszcze raz, mocniej.

Widzę nad sobą Annę, ale wszystko jest zamglone i niewyraźne. Jezioro zasłania mi dłońmi uszy i wciąga z powrotem.

Wzywa mnie ciemność.

Anna nachyla się bliżej, jej postać ma jednak zamazane kontury.

– ...znajdź mnie! – krzyczy, choć ledwie rozróżniam słowa. – Dwanaście po siódmej rano w holu...

Thomas spod powierzchni jeziora przywołuje mnie skinieniem ręki, a ja zamykam oczy i dołączam do utopionego chłopca.

Dzień ósmy

Opieram policzek o krzywiznę kobiecych pleców. Jesteśmy nadzy, zaplątani w przesiąkniętą potem pościel na brudnym materacu; przez przegniłe ramy okna wciska się deszcz, który spływa po ścianie i tworzy kałuże na gołych deskach podłogi.

Kobieta wyczuwa moje drgnienie i kiedy się odwraca, widzę Madeline Aubert. W zielonych oczach pokojówki lśni chorobliwe pragnienie, ciemne włosy lepią się do wilgotnych policzków. Przypomina Thomasa Hardcastle'a z mojego snu, utopionego i pogrążonego w rozpacz, który chwytą się wszystkiego, co znajdzie się pod ręką.

Widząc mnie leżącego obok siebie, opada na poduszkę z westchnieniem zawodu. Tak nieskrywana pogarda powinna mi sprawić przykrość, ale każdą zadrę łagodzi wspomnienie naszego pierwszego spotkania; wstydu wzajemnego pragnienia i skwapliwości, z jaką wpadła w moje ramiona, gdy wydobyłem z kieszeni fiolkę z laudanum od Bella.

Moje oczy leniwie błędzą po wnętrzu domku w poszukiwaniu narkotyków. Skończyłem pracę dla Hardcastle'ów, ich nowe portrety wiszą już w galerii. Nie zaproszono mnie na przyjęcie, nikt nie oczekuje mnie w domu, więc mam wolny poranek i mogę go spędzić na materacu, patrząc, jak świat obraca się wokół mnie niczym farba wylana do zlewu.

Zahaczam wzrok o czepek i fartuch Madeline, które wiszą na krześle.

Natychmiast wracam do siebie, jakbym dostał w twarz, bo widok stroju pokojówki przywołuje obraz twarzy Anny, jej głos i dotyk, niebezpieczeństwo naszego położenia.

Chwytam się tego wspomnienia, by odepchnąć na bok osobowość Golda.

Jestem tak przepełniony jego nadziejami i lękami, żądzami i namiętnościami, że Aiden Bishop wydaje się ulotnym snem, który

przyszedł bladym świtem.

Sądziłem, że nie jestem nikim więcej.

Zsuwając się z materaca, przewracam stos pustych fiolek po laudanum, które toczą się we wszystkie strony po podłodze jak spłoszone myszy. Kopię je na bok i podchodzę do kominka, gdzie w żarze pełga jeden płomyczek, ale rośnie, kiedy dorzucam drewna ze sterty obok. Na gzymsie stoi szereg ręcznie rzeźbionych figur szachowych, z których część została pomalowana, choć stosowniej byłoby powiedzieć, że chlapnięta farbą. Są niedokończone, a obok leży niewielki nożyk, którym Gold je rzeźbi. To te same figury, które Anna będzie nosić przez cały dzień, a ostrze dokładnie odpowiada ranom, które widziałem wczoraj na rękach Golda.

Los znowu zapala ogniska sygnałowe.

Madeline zbiera części garderoby rozrzucone po całej podłodze. Pośpiech, z jakim się rozbierała, świadczy o nieokiełznanej namiętności, choć teraz wyczuwam u niej tylko wstyd. Ubiera się odwrócona do mnie plecami, wpatrując się w przeciwległą ścianę. Wzrok Golda nie jest tak niewinny i syci się widokiem jej bladego ciała i kaskady włosów spadającej na plecy.

– Masz lustro? – pyta z ledwie słyszalnym francuskim akcentem, zapinając sukienkę.

– Nie sędzę. – Rozkoszuję się bijącym od ognia ciepłem na nagiej skórze.

– Pewnie okropnie wyglądam – dodaje mimochodem.

Dżentelmen z szacunku zaczęłyby protestować, ale Gold nie jest dżentelmenem, a Madeline nie jest Grace Davies. Nigdy nie widziałem tej dziewczyny bez makijażu i zaskakuje mnie jej chorobliwy wygląd. Ma przeraźliwie chudą twarz o żółtawej cerze, poznaczonej bliznami po ospie, i zmęczone, zatarte oczy.

Drepcze do wyjścia, trzymając się przeciwległej ściany, aby być jak najdalej ode mnie, po czym otwiera drzwi, przez które wpada zimne powietrze i okrada pokój z ciepła. Jest wcześnie, tuż przed świtem, na ziemi ściele się mgła. Otoczone drzewami Blackheath drzemie jeszcze spowite w noc. Sądząc z kąta, pod jakim widzę budynek, jestem w domku znajdującym się w okolicy rodzinnego cmentarza.

Przyglądam się Madeline, jak ciasno otulona szalem spieszy ścieżką do domu. Gdyby wydarzenia potoczyły się swoim pierwotnym torem, to ja wybiegłbym teraz w noc. Oszalały od tortur zadanych mi przez Lokaja,

pokroiłbym nożem własne ciało, a potem wbiegł na górę w Blackheath, żeby załomotać do drzwi Dance'a i wykrzyknąć słowa ostrzeżenia. Uniknąłem tego losu dzięki temu, że przejrzałem zdradę Daniela i dzięki wsparciu pokonałem go na cmentarzu. Napisałem na nowo scenariusz dnia.

Teraz muszę się postarać, aby miał szczęśliwe zakończenie.

Zamknąwszy drzwi za Madeline, zapalam lampę naftową i gdy mrok ucieka do kątów, zastanawiam się nad następnym posunięciem. Pomysły tłuką mi się pod czaszką, wśród nich jeden, na wpół ukształtowany, czeka, aż wydobędę go na światło dzienne. I pomyśleć, że gdy ocknąłem się pierwszego poranka w ciele Bella, martwiłem się, że mam za mało wspomnień. Teraz muszę się zmagać z ich nadmiarem. Mój umysł przypomina wypchany kufer, który koniecznie trzeba rozpakować, ale dla Golda świat zyskuje sens tylko na płótnie, dlatego tam muszę szukać odpowiedzi. Jeśli Rashton i Ravencourt czegoś mnie nauczyli, to cenić talent swoich wcieleni, zamiast lamentować nad ich ograniczeniami.

Biorę lampę i idę do pracowni w głębi domku poszukać farb. Pod ścianami stoją płótna, niedokończone albo pocięte w przyływie furii. Na podłodze walają się butelki po winie, leżące na setkach zmiętych i wyrzuconych szkiców ołówkowych. Po ścianie ścieka terpentyna, zamazując pejzaż, który Gold najprawdopodobniej zaczął malować w chwili poruszenia, a potem z wściekłością porzucił.

Pośrodku tej nędzy i rozpacz, niczym stos czekający na podpalenie, piętrzy się kilkadziesiąt rodzinnych portretów wyrwanych z nadgryzionych przez korniki ram, które leżą obok. Większość płócien została zniszczona terpentyną, choć z czystki ocalało parę bladych kończyn. Evelyn mówiła mi, że Goldowi zlecono poprawienie obrazów w Blackheath. Wygląda na to, że nie był zachwycony tym, co znalazł.

Gdy patrzę na stertę portretów, w głowie zaczyna mi kiełkować pewien pomysł.

Przetrząsając półki, znajduję sztabkę węgla, wracam do głównej izby i stawiam lampę na podłodze. Nie mam pod ręką czystego płótna, więc rzucam swoje myśli prosto na ścianę, pracując przy skąpej plamie tańczącego światła. Przychodzą do mnie całą lawiną, powodzią informacji, która w ciągu kilku minut zużywa całą sztabkę węgla, pozostawiając maleńką bryłkę, muszę więc ruszyć w ciemność i wygrzebać następny kawałek.

Zaczynając od korony pełnej imion i nazwisk, które tłoczą się pod sufitem, z gorączkowym pośpiechem szkicuję pień drzewa, opisujący działania każdej z tych osób w ciągu dnia, aż do korzeni sięgających dziewiętnastu lat wstecz i zagłębiających się w wodę jeziora, która kryje martwego chłopca. W pewnym momencie przypadkowo otwiera mi się stare skaleczenie na ręce i barwi na czerwono moje drzewo. Oddzieram rękaw koszuli i najlepiej, jak potrafię, bandażuję ranę, po czym wracam do pracy. Kiedy odsuwam się od ściany i wypuszczam z dłoni sztabkę węgla, która pęka na deskach podłogi, nad horyzont wypływają pierwsze promienie świtu. Wyczerpany siadam przed swoim dziełem, czując, jak drży mi ramię.

Gdy masz za mało informacji, jesteś ślepy, gdy za dużo, zostajesz oślepiiony.

Spoglądam na rysunek spod przymrużonych powiek. W drzewie są dwa sęki oznaczające dwie dziury ziejące w tej historii. Dwa pytania bez odpowiedzi, które pozwolą zrozumieć wszystko: co wiedziała Millicent Derby i gdzie jest Helena Hardcastle?

Otwierają się drzwi i do domku wpada zapach rosy.

Jestem zbyt zmęczony, aby się odwrócić. Przypominam kawał stopionego wosku, bezkształtny i zużyty, który czeka, żeby ktoś zdrapał go z podłogi. Pragnę tylko zasnąć, zamknąć oczy i uwolnić się od wszystkich myśli, ale przecież to moje ostatnie wcielenie. Jeżeli mi się nie powiedzie, wszystko zacznie się od początku.

– Jest pan tu? – słyszę zaskoczony głos Doktora Dżumy. – Nigdy pana nie ma. O tej porze zwykle już pan majaczy w szale. Jak to się... Cóż to jest? – Mija mnie z szelestem płaszcza. Kostium w świetle nowego dnia wydaje się kompletnie niedorzeczny, ptak rodem z koszmarów okazuje się teatralnym włóczęgą. Nic dziwnego, że wizyty w domu składa przede wszystkim po zmroku.

Przystaje przed ścianą i przesuwa dłoń w rękawiczce po krzywiźnie drzewa, zamazując nazwiska.

– Nadzwyczajne – mruczy pod nosem, oglądając moje dzieło od góry do dołu.

– Co się stało ze Srebrną Łżą? – pytam. – Widziałem, jak została postrzelona na cmentarzu.

– Uwięziłem ją w cyklu – wyjaśnia ze smutkiem. – To był jedyny sposób, aby uratować jej życie. Za kilka godzin obudzi się, myśląc, że dopiero co tu przybyła, i powtórzy wszystko, co robiła wczoraj. Moi zwierzchnicy w końcu

zauważą jej nieobecność i przyjdą ją uwolnić. Obawiam się, że czeka mnie sporo trudnych pytań.

Kiedy studiuje narysowane przeze mnie drzewo, otwieram drzwi i czuję, jak promienie słońca kreślą wzór na mojej twarzy, a szyję i obnażone ramiona oblewa ciepło. Mrużę oczy i wdycham ten złoty blask. Nigdy dotąd nie obudziłem się tak wcześnie, nigdy nie widziałem, jak nad tym domem wschodzi słońce.

Wygląda to cudownie.

– Czy ten obraz rzeczywiście mówi o tym, co mi się wydaje? – pyta Doktor Dżuma głosem ściśniętym nadzieją.

– A o czym pana zdaniem mówi?

– Że Michael Hardcastle próbował zamordować własną siostrę.

– W takim razie tak, właśnie o tym mówi.

Śpiewają ptaki, przez mały ogródek przy domku skaczą trzy króliki, których sierść słońce maluje na rdzawy kolor. Gdybym wiedział, że przed wschodem słońca jest raj, nie zmarnowałbym ani jednej nocy na sen.

– Rozwiązał pan zagadkę, panie Bishop, zrobił to pan jako pierwszy. – W jego głosie brzmi nuta podniecenia. – Jest pan wolny! Po tym długim czasie nareszcie jest pan wolny! – Z przepastnych zakamarków płaszcza wydobywa srebrną piersiówkę i wciska mi do ręki.

Nie rozpoznaję płynu, ale rozpala mi kości żywym ogniem i błyskawicznie mnie rozbudza.

– Srebrna Łza słusznie się obawiała – mówię, nadal obserwując króliki. – Nie odejdę stąd bez Anny.

– Ta decyzja nie należy do pana. – Odsuwa się od ściany, by lepiej przyjrzeć się drzewu.

– I co pan robi, zaciągnie mnie nad jezioro?

– Nie będzie potrzeby – odpowiada. – Jezioro było po prostu miejscem spotkania. Istotna była zawsze tylko odpowiedź. Rozwiązał pan zagadkę morderstwa Evelyn i przekonał mnie pan do tego rozwiązania. Skoro je przyjąłem, nawet Blackheath nie może pana zatrzymać. Kiedy następnym razem pan zaśnie, odzyska pan wolność!

Chcę się rozzłościć, ale nie umiem się do tego pobudzić. Miękkie dłonie snu ciągną mnie w głąb nieświadomości i ilekroć zamykam oczy, coraz trudniej mi je otworzyć. Wracam do niezamkniętych drzwi, opieram się plecami o framugę, zsuwam się i siadam na podłodze, połową ciała

w półmroku, drugą połową w blasku słońca. Nie potrafię się zmusić do porzucenia ciepła i śpiewu ptaków, błogosławieństw świata, których tak długo nie było mi dane zaznać.

Wypijam jeszcze jeden łyk z piersiówki, zmuszając się, by nie zasnąć.

Mam jeszcze tyle do zrobienia.

I nikt nie może widzieć, jak to robisz.

– To nie była uczciwa rywalizacja – zauważam. – Miałem osiem wcieleń, podczas gdy Anna i Daniel tylko jedno. Pamiętałem wydarzenia całego tygodnia, a oni nie.

Doktor Dżuma przygląda mi się w milczeniu.

– Miał pan to, bo przybył pan do Blackheath z własnej woli – mówi cicho, jakby się obawiał, że ktoś podsłuchuje. – Oni nie i to wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat.

– Skoro raz postanowiłem tu przyjść, mogę to zrobić jeszcze raz – odpowiadam. – Nie zostawię tu Anny.

Zaczyna spacerować; spogląda to na mnie, to na obraz.

– Pan się boi – zauważam zdziwiony.

– Owszem, boję się – rzuca ze złością. – Moi przełożeni... nie należy im się przeciwstawiać. Przyrzekam panu: kiedy pan stąd odejdzie, zaofiaruję Annie wszelką pomoc, jakiej jestem w stanie jej udzielić.

– Jeden dzień, jedna postać. Dobrze pan wie, że nigdy nie ucieknie z Blackheath. Nie dokonałbym tego bez inteligencji Ravencourta i przebiegłości Dance'a. Tylko dzięki Rashtonowi zacząłem patrzeć na wskazówki jak na dowody. Do diabła, nawet Derby i Bell odegrali swoją rolę. Anna będzie potrzebowała umiejętności ich wszystkich, tak jak ja.

– Pańskie wcielenia nadal będą w Blackheath.

– Ale nie będę nad nimi panował! – upieram się. – Nie pomogą służącej. Zostawię ją na pastwę tego domu.

– Niech pan o niej zapomni! To już i tak trwa wystarczająco długo. – Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, i gwałtownie macha ręką.

– Co trwa wystarczająco długo?

Patrzy na swoją dłoń w rękawiczce, zdziwiony, że stracił panowanie nad sobą.

– Tylko pan potrafi doprowadzić mnie do takiego gniewu – odpowiada już ciszej. – Zawsze tak było. Cykl po cyklu, wcielenie po wcieleniu. Widziałem, jak zdradzał pan przyjaciół, zyskiwał sprzymierzeńców

i umierał dla zasady. Widziałem tyle wersji Aideny Bishopa, że zapewne nigdy nie rozpoznałby pan w nich siebie, ale jedyną rzeczą, która się nie zmienia, jest pański upór. Kiedy wybiera pan drogę, idzie pan nią do samego końca, nie zważając na to, do ilu dziur pan wpadnie. To mogłoby nawet robić wrażenie, gdyby nie było tak niesłychanie irytujące.

– Może irytujące, ale muszę wiedzieć, dlaczego Srebrna Łza zadała sobie tyle trudu, żeby spróbować zabić Annę.

Obrzuca mnie długim, taksującym spojrzeniem, po czym wzdycha.

– Wie pan, jak można stwierdzić, czy potwór jest już w stanie znowu wyjść na świat, panie Bishop? – pyta w zamyśleniu. – Czy naprawdę wyzwolił się od zła, a nie tylko mówi to, co chce pan usłyszeć? – Pociąga łyk z piersiówki. – Pozwala mu pan przeżyć dzień bez żadnych konsekwencji i obserwuje pan, co z nim zrobi.

Ciarki chodzą mi po plecach, krew mrozi mi się w żyłach.

– To wszystko miała być próba? – pytam wolno.

– Wolimy to nazywać resocjalizacją.

– Resocjalizacją... – powtarzam i prawda zaczyna do mnie docierać jak pierwsze promienie słońca wspinającego się nad dom. – To jest więzienie?

– Tak, tyle że zamiast pozwalać więźniom gnić w celach, co dzień dajemy im szansę udowodnienia, że zasłużyli sobie na zwolnienie. Rozumie pan, jakie to ma zalety? Morderstwo Evelyn Hardcastle nigdy nie zostało wyjaśnione i prawdopodobnie tak by pozostało. Zamykając więźniów w morderstwie, dajemy im szansę odpokutowania własnych zbrodni poprzez wyjaśnienie cudzych. To w równym stopniu przysługa, co kara.

– Istnieją inne podobne miejsca? – Usiłuję to wszystko ogarnąć rozumem.

– Tysiące. Widziałem wioskę, która budzi się co rano i znajduje na placu trzy bezgłowe ciała. Widziałem serię morderstw na pokładzie liniowca. Tę zagadkę próbuje rozwikłać chyba piętnastu więźniów.

– Czyli kim pan jest? Naczelnikiem więzienia?

– Taksatorem. Decyduję, czy ktoś zasługuje na zwolnienie.

– Mówił pan jednak, że przybyłem do Blackheath z własnej woli. Po co chciałem iść do więzienia?

– Przyszedł pan z powodu Anny, ale wpadł pan w pułapkę i cykl po cyklu Blackheath rozkładało pana na czynniki pierwsze, dopóki, zgodnie z zamierzeniem, nie zapomniał pan samego siebie. – Jego głos drży od gniewu, dłoń zaciska się w pięść. – Moi przełożeni w ogóle nie powinni pana

wpuszczać, to był błąd. Przez długi czas sądziłem, że niewinny człowiek, który tu trafia, jest zgubiony, że poświęca się w jakimś daremnym geście, ale pan odnalazł powrotną drogę. Właśnie dlatego panu pomagałem. Dałem panu do dyspozycji różne wcielenia, szukając takich, które będą najlepiej przygotowane do wyjaśnienia morderstwa, i w końcu wybrałem osiem dzisiejszych. Eksperymentowałem z kolejnością, aby mógł pan najlepiej wykorzystać możliwości każdej z tych osób. Zorganizowałem nawet zamknięcie pana Rashtona w schowku, żeby przeżył. Naginałem wszystkie możliwe zasady, żeby w końcu mógł pan stąd uciec. Rozumie pan już? Musi pan odejść, dopóki jest pan jeszcze tym człowiekiem, którym chce być.

– A Anna...? – pytam z wahaniem, bo boję się zadać to pytanie.

Nie dopuszczałem do siebie myśli, że miejsce Anny jest w tym domu, wolałem myśleć, że to Blackheath jest odpowiednikiem sytuacji rozbitka albo człowieka trafionego piorunem. Zakładając, że Anna jest ofiarą, pozbyłem się dręczących wątpliwości, czy na to zasłużyła, lecz bez tego pocieszenia coraz bardziej się boję. – Co takiego zrobiła Anna, żeby zasłużyć na Blackheath?

Kręci głową i podaje mi piersiówkę.

– Tego nie mogę ujawnić. Powiem tylko, że waga kary jest równa wadze zbrodni. Więźniowie, o których panu mówiłem, w tej wiosce i na statku, otrzymali łagodniejsze wyroki niż Anna i Daniel. Tamte miejsca nie są tak straszne jak to. Blackheath zbudowano po to, żeby łamać demony, nie drobnych złodziejasków.

– Twierdzi pan, że Anna jest demonem?

– Twierdzą, że co dzień popełnia się tysiące zbrodni, ale tutaj przysłano tylko dwie osoby. – Poruszony podnosi głos. – Jedną z nich jest Anna, a mimo to ryzykował pan życie, żeby pomóc jej w ucieczce. To szaleństwo.

– Każda kobieta, która może wzbudzić taką lojalność, musi być coś warta.

– Nie słyszy pan, co mówię. – Zaciska pięści.

– Słyszę, ale nie zamierzam jej tu zostawić – powtarzam uparcie. – Nawet jeżeli dzisiaj każe mi pan odejść, dostanę się tu jutro. Skoro raz mi się udało, uda się i drugi.

– Niech pan przestanie być takim durniem! – Wali pięścią we framugę drzwi tak mocno, że na nasze głowy sypie się pył. – To nie lojalność przywiodła pana do Blackheath, ale zemsta. Nie przyszedł pan tutaj ratować Anny, przyszedł pan wymierzyć karę. W Blackheath jest bezpieczna.

W niewoli, ale bezpieczna. Pan nie chciał, żeby była w niewoli, chciał pan, żeby cierpiała... wiele osób chciało jej cierpienia, ale żadna z nich nie była skłonna zrobić tego co pan, bo nikt nie żywił do niej takiej nienawiści jak pan. Wszedł pan za nią do Blackheath i przez trzydzieści lat gorliwie dręczył ją pan, tak jak dzisiaj dręczy pana Lokaj.

Przygniata nas ciężka cisza.

Otwieram usta, aby odpowiedzieć, ale żołądek podszedł mi do gardła i kręci mi się w głowie. Świat stanął na głowie i chociaż siedzę na podłodze, czuję, że spadam coraz głębiej.

– Co ona zrobiła? – szepczę.

– Moi przełożeni...

– Otworzyli drzwi Blackheath przed niewinnym człowiekiem pałającym żądzą mordy – przerywam. – Są tak samo winni jak każdy w tym domu. Proszę mi powiedzieć, co zrobiła.

– Nie mogę – protestuje, ale jego opór topnieje z każdą chwilą.

– Przecież dotąd mi pan pomagał.

– Tak, bo spotkało pana coś złego. – Przechyla piersiówkę i pije, poruszając rytmicznie grdyką. – Nikt mi nie zabraniał pomagać panu w ucieczce, bo w ogóle nie powinno tu pana być, ale jeśli zacznę panu mówić rzeczy, o których nie wolno panu wiedzieć, muszę się liczyć z konsekwencjami. Dla nas obu.

– Nie mogę odejść, nie wiedząc, dlaczego odchodzę, i nie mogę obiecać, że nie wrócę, dopóki nie będę pewien, dlaczego w ogóle tu przyszedłem – oświadczam. – To moje ostatnie słowo.

Maska z dziobem wolno obraca się w moją stronę i Doktor Dżuma stoi nieruchomo przez całą minutę. Mam wrażenie, że mnie ocenia, mierząc i ważąc moje przymioty, a każdą wadę unosi do światła, aby uważniej ją obejrzeć.

Nie ciebie ocenia.

Co to znaczy?

To dobry człowiek. I właśnie teraz się o tym przekona.

Doktor Dżuma pochyla głowę i zaskakuje mnie, zdejmując cylinder i odsłaniając skórzane paski, którymi jest zamocowana maska z dziobem. Zaczyna rozpinąć je jeden po drugim, stękając z wysiłku, gdy jego grube palce mocują się z klamrami. Kiedy rozpina ostatnią sprzączkę, zdejmuje maskę i ściąga kaptur, spod którego ukazuje się łysa czaszka. Jest starszy, niż

przypuszczałem, na pewno bliżej mu do sześćdziesiątki niż pięćdziesiątki, i ma rysy porządnego, spracowanego człowieka. Jego oczy są przekrwione, skóra ma barwę starego papieru. Gdyby moje zmęczenie mogło przybrać jakiś kształt, właśnie tak by wyglądało.

Nie zważając na mój niepokój, zwraca twarz w stronę blasku poranka, który sączy się przez okno.

– No i się stało. – Rzuca maskę na łóżko Golda. Kiedy mówi bez porcelanowego dzioba, jego głos brzmi prawie tak samo, choć nie do końca jak ten, który znam.

– Nie przypuszczam, że wolno to panu było zrobić. – Wskazuję na maskę.

– Jest już długa lista tych rzeczy. – Siada na schodku przed drzwiami w takiej pozycji, by promienie słońca padały na całe ciało. – Przychodzę tu co dzień rano, zanim zacznę pracę – mówi i bierze głęboki oddech. – Uwielbiam tę porę. Trwa tego dnia tylko siedemnaście minut, potem zbierają się chmury i dwaj lokaje wracają do przerwanej poprzedniego wieczoru kłótni, która kończy się bójką przy stajniach. – Zdejmuje rękawiczki, palec po palcu. – Szkoda, że dopiero pierwszy raz może się pan nią cieszyć, panie Bishop.

– Aiden. – Wyciągam do niego rękę.

– Oliver – przedstawia się, ściskając mi dłoń.

– Oliver – powtarzam w zamyśleniu. – Nigdy nie sądziłem, że masz imię.

– Być może powinienem je zdradzić Donaldowi Daviesowi, kiedy go spotkam na drodze – mówi z lekkim uśmiechem. – Będzie bardzo zły, to go może uspokoić.

– Idziesz tam znowu? Po co? Przecież już znasz odpowiedź.

– Dopóki nie odejdziesz, mam obowiązek dopilnować wszystkich, którzy idą w twoje ślady, żeby mieli takie same szanse jak ty.

– Ale już wiesz, kto zabił Evelyn Hardcastle, to niczego nie zmienia?

– Sugerujesz, że będę miał trudniejsze zadanie, bo wiem więcej niż oni? – Kręci głową. – Zawsze wiedziałem więcej niż oni. Wiedziałem więcej niż ty. Z wiedzą nigdy nie miałem kłopotu. Zmagam się natomiast z ignorancją.

Rysy mu tężeją, znika beztrojski ton.

– Dlatego właśnie zdjąłem maskę, Aidenie. Chcę, byś widział moją twarz i słyszał mój głos, byś wiedział, że to, co mówię, jest absolutną prawdą. Już nie możemy zostawiać miejsca na żadne wątpliwości.

– Rozumiem. – Nic więcej nie potrafię powiedzieć. Czuję się jak ktoś czekający na swój upadek.

– Kobieta, którą znasz jako Annę, nazywa się Annabelle Caulker. To nazwisko jest przekleństwem w każdym języku, w jakim się je wypowiada – mówi, przygważdżając mnie wzrokiem. – Stała na czele grupy, która siała zniszczenie i śmierć w połowie państw całego świata i zapewne robiłaby to nadal, gdyby nie została złapana ponad trzydzieści lat temu. Oto osoba, którą starasz się uwolnić.

Powinienem się zdziwić. Powinienem osłupieć albo wpaść w gniew. Powinienem zaprotestować, ale nie czuję zaskoczenia ani złości. Nie brzmi to jak żadna rewelacja, raczej potwierdzenie faktów, które znam od dawna. Anna jest nieustępliwa i nieustraszona, nawet brutalna, jeśli trzeba. Widziałem jej minę w stróżówce, kiedy uzbrojona w strzelbę natarła na Dance’a, nie zdając sobie sprawy, że to ja. Była gotowa nacisnąć spust bez namysłu. Zabiła Daniela, kiedy ja nie mogłem tego zrobić, i mimochodem zaproponowała, żebyśmy własnymi rękami zamordowali Evelyn i w ten sposób odpowiedzieli na pytanie Doktora Dżumy. Twierdziła, że to żart, ale wciąż nie jestem tego taki pewien.

Anna zabijała jednak po to, żeby mnie ochronić, zyskać na czasie, abym zdążył rozwiązać zagadkę. Jest silna, dobra i pozostała wobec mnie lojalna, nawet gdy moja wola ocalenia Evelyn zagroziła naszemu śledztwu w sprawie jej morderstwa.

Spośród wszystkich ludzi w domu tylko Anna nigdy nie kryła, kim naprawdę jest.

– Ona już nie jest tą osobą – przekonuję go. – Mówiłeś, że Blackheath ma resocjalizować, łamać dawne osobowości i poddawać próbie nowe. W tym tygodniu obserwowałem z bliska Annę. Pomagała mi, kilkakrotnie uratowała mi życie. Jest moją przyjaciółką.

– Zamordowała twoją siostrę – mówi bez ogródek.

Mój świat pustoszeje.

– Torturowała ją i upokarzała na oczach ludzi – ciągnie. – Taka jest Anna, a takie osoby się nie zmieniają, Aidenie.

Osuwam się na kolana i przyciskam palce do skroni, bo w tym momencie w głowie wybucha mi wulkan wspomnień.

Moja siostra miała na imię Juliette. Miała kasztanowe włosy i promienny uśmiech. Powierzono jej zadanie schwytania Annabelle Caulker i byłem

z niej bardzo dumny.

Każdy fakt z przeszłości przypomina odłamek szkła, który boleśnie kaleczy mi pamięć.

Juliette była zdecydowana i bystra, uważała, że sprawiedliwości należy bronić, a nie tylko jej oczekiwać. Uważała, że warto to robić. Rozśmieszała mnie.

Po policzkach płyną mi łzy.

Ludzie Annabelle Caulker przyszli nocą i wyciągnęli Juliette z domu. Dokonali egzekucji jej męża, strzelając mu w głowę. Miał szczęście. Juliette musiała czekać na przeznaczoną dla niej kulę siedem dni. Torturowali ją i pozwalali wszystkim to oglądać.

Nazwali to sprawiedliwą karą za ich prześladowanie.

Powiedzieli, że powinniśmy się tego spodziewać.

Nie wiem nic więcej o sobie ani o innych członkach rodziny. Nie zachowałem szczęśliwych wspomnień. Zostały tylko te, które mogły mi pomóc, tylko te, które wywoływały nienawiść i żal.

To zamordowanie Juliette sprowadziło mnie do Blackheath. Cotygodniowe telefony, które nagle się urwały. Historie, które przestaliśmy sobie opowiadać. Miejsce, w którym powinna być, ale już nigdy nie będzie. Sposób, w jaki w końcu złapano Annabelle.

Bez rozlewu krwi. Bez bólu.

Bez absolutnie żadnych trudności.

A potem wysłano ją do Blackheath, gdzie morderczyni mojej siostry miała spędzić resztę życia na rozwiązywaniu zagadki śmierci zamordowanej siostry. Nazwali to sprawiedliwością. Pokleпали się po plecach, gratulując sobie pomysłowości, sądząc, że będę równie zadowolony jak oni. Sądząc, że to wystarczy.

Byli w błędzie.

Poczucie krzywdy rozdzierało mi nocą duszę i prześladowało za dnia. Przycinało mnie kawałek po kawałku, dopóki nie mogłem już myśleć o niczym innym prócz niej.

Wszedłem za nią przez bramę piekła. Dręczyłem, terroryzowałem i torturowałem Annabelle Caulker, dopóki nie zapomniałem, z jakiego powodu to robię. Dopóki nie zapomniałem o Juliette. Dopóki Annabelle nie stała się Anną i nie zobaczyłem w niej tylko przerażonej dziewczyny zdanej na łaskę potworów.

Stałem się tym, kogo nienawidziłem, a z Annabelle uczyniłem tę, którą kochałem.

I obwiniłem o to Blackheath.

Spoglądam na Doktora Dżumę oczami piekącymi od łez. Patrzy mi prosto w twarz, pilnie śledząc moją reakcję. Ciekawe, co widzi, bo nie mam pojęcia, co o tym myśleć. Wszystko przydarzyło mi się z powodu osoby, którą próbuję uratować.

To wina Anny.

Annabelle.

– Co? – Dziwię się, jak natarczywie brzmi głos w mojej głowie.

To wina Annabelle Caulker, nie Anny. To jej nienawidziłeś.

– Aiden? – odzywa się Doktor Dżuma.

A Annabelle Caulker nie żyje.

– Annabelle Caulker nie żyje – powtarzam wolno, napotykJąc zdumiony wzrok Doktora Dżumy.

Kręci głową.

– Mylisz się.

– To trwało trzydzieści lat – mówię. – Nie dokonała tego siła, nie dokonała tego nienawiść. Dokonało tego wybaczenie. Annabelle Caulker nie żyje.

– Jesteś w błędzie.

– Nie ja, tylko ty. – Nabieram pewności siebie. – Kazałeś mi słuchać głosu, który odzywa się w mojej głowie, więc go słucham. Kazałeś mi wierzyć, że Blackheath może resocjalizować ludzi, więc wierzę. Teraz to samo musisz zrobić ty, bo myśląc tylko o tym, kim Anna kiedyś była, nie widzisz, kim się stała, a jeżeli nie chcesz przyjąć do wiadomości, że się zmieniła, to jaki z tego wszystkiego pożytek?

Ze złością kopie w ziemię czubkiem buta.

– Nie powinienem w ogóle zdejmować maski – fuka, po czym wstaje i wychodzi do ogródka, plosząc króliki, które skubały tam trawę. Z rękami na biodrach patrzy na widoczne w oddali Blackheath, a ja po raz pierwszy uświadamiam sobie, że nie tylko ja jestem we władzy tego domu, ale też on. Podczas gdy mnie wolno było poprawiać i zmieniać bieg wydarzeń, on musiał oglądać morderstwa, gwałty i samobójstwa, spowite taką ilością kłamstw, że mogłyby zasypać całą posiadłość. Musiał przyjmować wszystko, co przynosił dzień, nawet najstraszniejsze rzeczy. I w odróżnieniu ode mnie nie pozwalano mu o niczym zapomnieć. W takiej sytuacji człowiek może

oszaleć. Większość ludzi straciłaby rozum, chyba że miałyby wiarę. Chyba że uważałyby, iż cel uświęca środki.

Jakby czytając mi w myślach, Doktor Dżuma odwraca się do mnie.

– O co chcesz mnie prosić, Aidenie?

– Przyjdź o jedenastej nad jezioro – oznajmiam stanowczym tonem. – Będzie tam potwór, ale ręczę, że nie będzie nim Anna. Obserwuj ją, daj jej szansę, aby pokazała, na co ją stać. Przekonasz się, kim naprawdę jest, i przekonasz się, że mam rację.

Na jego twarzy maluje się niepewność.

– Skąd możesz to wiedzieć? – pyta.

– Bo znajdę się w niebezpieczeństwie.

– Jeżeli nawet przekonasz mnie, że została zresocjalizowana, rozwiązałeś już tajemnicę śmierci Evelyn – zauważa. – Zasady mówią jasno: pierwszy więzień, który wyjaśni, kto zabił Evelyn Hardcastle, zostanie zwolniony. Czyli ty. Nie Anna. Jak chcesz to rozwiązać?

Wstaję i podchodzę do mojego rysunku drzewa, na którym pokazuję sęki – dziury w mojej wiedzy o tej historii.

– Nie wyjaśniłem wszystkiego – mówię. – Jeżeli Michael Hardcastle zamierzał zastrzelić siostrę w sadzawce, po co miałyby ją truć? Nie sądzę, żeby to było jego dzieło. Nie sądzę, by wiedział, że w drinku, który go zabił, była trucizna. Wydaje mi się, że dosypał jej do whisky ktoś inny, na wypadek gdyby Michaelowi się udało.

Doktor Dżuma podniósł się w ślad za mną i stoi przed szkicem.

– Mało przekonujące wnioski.

– Nie mogą być bardziej przekonujące, bo nadal jest za dużo pytań. – Przypominam sobie bladą twarz Evelyn, kiedy ocaliłem jej życie na werandzie, i wiadomość, którą z takim trudem mi przekazała. – Gdyby to był koniec, po co Evelyn powiedziałaby mi, że Millicent Derby została zamordowana? Jaki z tego pożytek?

– Może ją też zabił Michael?

– A jaki miał motyw? Nie, tu się kryje jeszcze jakaś zagadka.

– Jakiego rodzaju? – pyta z wahaniem, coraz mniej przekonany.

– Sądzę, że Michael Hardcastle był w zмовie z kimś jeszcze, z kimś, kto od początku działał z ukrycia.

– Drugi morderca. – Doktor Dżuma zastanawia się przez chwilę. – Jestem tu od trzydziestu lat i nigdy nie przypuszczałem... nikt nie przypuszczał. Nie,

Aidencie. To niemożliwe.

– Wszystko, co się dzisiaj dzieje, jest niemożliwe. – Stukam palcem w rysunek drzewa. – Wiem, że jest drugi morderca. Mam nawet pewne podejrzenia, kto to może być, a jeżeli się nie mylę, to zabił Millicent Derby, żeby zatrzeć ślady. Jest tak samo zamieszany w morderstwo Evelyn jak Michael, a to oznacza, że musisz usłyszeć dwie odpowiedzi. Jeśli Anna wskaże współnika Michaela, czy to wystarczy, żeby ją uwolnić?

– Moi przełożeni nie zgodzą się wypuścić z Blackheath Annabelle Caulker – odpowiada. – Nie jestem pewien, czy dadzą się przekonać, że się zmieniła. Jeżeli nawet przyjmą to do wiadomości, będą szukać pretekstu, by została w więzieniu.

– Pomogłeś mi, bo nie powinno mnie tu być – przypominam mu. – Jeżeli mam rację co do Anny, to samo dotyczy jej.

Doktor Dżuma przesuwając ręką po łysinie, chodząc tam i z powrotem i zerkając z niepokojem to na mnie, to na szkic drzewa.

– Mogę ci tylko obiecać, że dzisiaj wieczorem przyjdę nad jezioro i wysłucham cię bez uprzedzeń – oświadcza w końcu.

– Tyle mi wystarczy. – Klepię go po ramieniu. – Spotkajmy się o jedenastej przy hangarze na łodzi, a przekonasz się, że mam rację.

– Mogę spytać, co zamierzasz robić w tym czasie?

– Dowiem się, kto zamordował Millicent Derby.

W koszuli mokrej od mgły i zabłoconych butach, trzymając się skraju lasu, niepostrzeżenie zbliżam się do Blackheath. Od werandy dzieli mnie kilka kroków, więc przyczajony w ociekających wodą krzakach próbuję dostrzec jakiś ruch w środku. Jest jeszcze wcześnie, lecz nie wiem, kiedy obudzi się Daniel ani kiedy zostanie zwerbowany przez Srebrną Łzę. Dla bezpieczeństwa muszę zakładać, że on i jego szpiedzy wciąż stanowią zagrożenie, powinienem się więc ukrywać, dopóki nie zakołysze się na powierzchni jeziora twarzą w dół, a jego wszystkie intrygi nie utoną razem z nim.

Po pierwszym ataku słońce wycofało się, zostawiając nas na pastwę mroku, a na niebie kłębią się odcienie szarości. W kwietnikach szukam czerwonych plam, śladów fioletu, różu albo bieli. Szukam jaśniejszego świata niż ten, wyobrażając sobie płonące Blackheath, w koronie płomieni i pelerynie ognia. Widzę, jak pali się szare niebo, z którego niczym śnieg sypie się czarny popiół. Wyobrażam sobie odmieniony świat, choćby na ułamek sekundy.

Nagle przystaję, niepewny celu swojej wyprawy. Rozglądam się, niczego nie poznając; zastanawiam się, dlaczego wyszedłem z domku bez pędzli i sztalug. Zapewne przyszedłem malować, ale nie jestem entuzjastą tutejszego światła o poranku. Jest zbyt posępne, zbyt spokojne, przykrywa krajobraz jak warstwa gazy.

Anna. Jesteś tu dla Anny.

Jej imię wyrywa mnie z zagubienia Golda i wraca do mnie fala wspomnień.

Jest coraz gorzej.

Nabieram do płuc zimnego powietrza i zaciskam w dłoni figurę szachową, którą wziąłem znad kominka; odgradzam się od Golda murem

zbudowanym ze wszystkich wspomnień o Annie. Lepiej cegły z jej śmiechu, z jej dotyku, dobroci i ciepła i dopiero gdy jestem zadowolony z wysokości muru, wracam do obserwacji wnętrza werandy. Kiedy upewniam się, że dom jeszcze śpi, wślizguję się do środka.

Na kanapie śpi jeden z kompanów Dance'a, pijak Philip Sutcliffe, z twarzą przykrytą własną marynarką. W pewnym momencie porusza się, mlaszcze i zerka na mnie przekrwionym okiem. Mruczy coś, poprawia się i z powrotem zapada w sen.

Czekam i nasłuchuję. Kapanie. Ciężki oddech.

Nic więcej się nie porusza.

Z portretu nad kominkiem spogląda na mnie babka Evelyn. Ma zaciśnięte usta, malarz uchwycił ją bowiem dokładnie w chwili, gdy kogoś strofuje.

Dreszcz przebiega mi po karku.

Łapię się na tym, że ściągam brwi, patrząc na portret z konsternacją i dziwiąc się, jak delikatnie została przedstawiona. Przemalowuję go w myślach, kreśląc linie mocne jak blizny, nakładając całe góry farby olejnej. Obraz staje się rozsmarowanym na płótnie nastrojem. I to ponurym. Jestem pewien, że stara sekutnica wolałaby taki nieupięszony i autentyczny portret.

Zza otwartych drzwi dobiega salwa piskliwego śmiechu, ostrego jak sztylet wbity w środek czyjejs opowieści. Goście zapewne zaczęli schodzić na śniadanie.

Mam mało czasu.

Zamykam oczy i próbuję sobie przypomnieć, o czym Millicent rozmawiała z synem, z jakiego powodu zostawiła go w takim pośpiechu i przyszła tutaj, ale mam w głowie zamęt. Kołacze się w niej zbyt wiele dni, zbyt wiele rozmów.

W głębi korytarza odzywa się gramofon i przypadkowymi dźwiękami rozcina ciszę. Nagle rozlega się trzask, muzyka urywa się ze zgrzytem i słychać przyciszone głosy kłótni i wzajemnych oskarżeń.

Staliśmy przed salą balową, tak się to zaczęło. Millicent była smutna, pogrążona we wspomnieniach. Rozmawialiśmy o przeszłości: jak w dzieciństwie odwiedzała Blackheath i przywoziła własne dzieci, gdy już były wystarczająco duże. Była nimi rozczarowana, a potem rozżościła się na mnie. Przyłapała mnie, jak patrzyłem przez okno sali balowej na Evelyn, i opacznie uznała mój niepokój za żądzę.

„Najbardziej zawsze lubisz te słabsze, prawda? – spytała. – Zawsze te...”

Zobaczyła coś, co sprawiło, że zgubiła wątek.

Mocno zaciskam oczy i usiłuję sobie przypomnieć, co to było.

Kto jeszcze tam był oprócz Evelyn?

Pół sekundy później biegnę korytarzem prowadzącym do galerii.

Na ścianie pali się jedna lampa naftowa, której rachityczny płomień raczej zagęszcza ciemność, zamiast ją rozpraszać. Zdejmuję ją z haka, zbliżam się do olejnych portretów rodziny i przyglądam się im po kolei.

Blackheath maleje wokół mnie, kurczy się jak pająk przytknięty do płomienia.

Za kilka godzin Millicent zobaczy w sali balowej coś, co zaskoczy ją do tego stopnia, że zostawi syna na ścieżce i przybiegnie do tej galerii. Spowita szalikami i dręczona podejrzeniem, wśród starych obrazów dostrzeże nowy, namalowany przez Golda. W innych okolicznościach mogłaby przejść obok niego obojętnie. I być może robiła tak podczassetek innych cykli, ale nie teraz. Tym razem przeszłość złapie ją za rękę i mocno uściśnie.

Zamorduje ją pamięć.

Jest dwanaście po siódmej rano i w holu panuje nieopisany bałagan. Na marmurowej posadzce walają się skorupy potłuczonych karafek, portrety wiszą pod różnymi kątami, ze śladami szminki po pocałunkach złożonych na ustach dawno nieżyjących mężczyzn. Z żyrandola jak śpiące nietoperze zwisają rozwiązane muszki, a pośrodku tego wszystkiego stoi Anna, boso i w białej koszuli nocnej, wpatrując się we własne ręce, jak gdyby kryły zagadkę, której nie potrafi zrozumieć.

Nie zauważyła mnie i przez kilka sekund obserwuję ją, próbując pogodzić swoją Annę z opowieścią Doktora Dżumy o Annabelle Caulker. Ciekawe, czy Anna słyszy teraz w głowie głos Caulker, tak jak ja pierwszego ranka usłyszałem głos Aideny Bishopa. Oschły i rzeczowy, należący do niej, a jednocześnie oddzielny, którego nie sposób zignorować.

Wstyd mi, ale wiara w moją przyjaciółkę zaczyna słabnąć. Ze wszystkich sił starałem się przekonać Doktora Dżumę o niewinności Anny, a teraz to ja przyglądam się jej podejrzliwie, zadając sobie pytanie, czy ocalał w niej choć kawałek potwora, który zamordował moją siostrę, i czeka, by znów się ujawnić.

Annabelle Caulker nie żyje. No już, idź jej pomóc.

– Anno – mówię cicho i nagle z zażenowaniem zdaję sobie sprawę ze swojego wyglądu. Gold spędził prawie cały wieczór w zaduchu, racząc się laudanum, a moim jedynym ustępstwem na rzecz higieny było ochłapanie twarzy wodą, zanim wybiegłem z domku. Bóg jeden wie, jak w jej oczach wyglądam... i jak pachnę.

Zaskoczona unosi wzrok.

– Czy ja pana znam? – pyta.

– Poznasz – odpowiadam. – To może pomóc.

Rzucam jej zabraną z domku figurę szachową. Łapie ją jedną ręką, a kiedy otwiera dłoń i zagląda do środka, twarz rozjaśnia jej się pod wpływem wspomnienia.

Bez uprzedzenia rzuca mi się w ramiona, mocząc mi łzami koszulę.

– Aidenie – mówi z ustami przy mojej piersi. Pachnie mlecznym mydłem i wybielaczem, jej włosy płaczą się w moich bokobrodach. – Pamiętam cię, pamiętam...

Czuję, jak sztywnieje i opuszcza rękę.

Wyplątuje się z moich objęć, odpycha mnie od siebie i podnosi z posadzki odłamek karafki, aby się bronić. Ostry kawałek szkła drży w jej dłoni.

– Zamordowałeś mnie – syczy, zaciskając w palcach odłamek tak mocno, że omal nie przecina sobie skóry.

– Tak, zamordowałem. – Jeszcze chwila, a powiem jej, że wiem, co zrobiła mojej siostrze.

Annabelle Caulker nie żyje.

– I przykro mi z tego powodu – dodaję, wpychając rękę do kieszeni. – Przysięgam, że to się nie powtórzy.

Przez sekundę wpatruje się we mnie zdumiona.

– Nie jestem już człowiekiem, którego pamiętasz – wyjaśniam. – To było inne życie, w którym podejmowałem inne decyzje. Popełniłem wiele błędów. Staram się ich wystrzegać i już ich nie popełniam, chyba z twojego powodu.

– Nie... – Grozi mi szklanym odłamkiem, gdy robię krok w jej stronę. – Pamiętam wszystko, wszystko wiem.

– Obowiązują zasady – mówię. – Evelyn Hardcastle ma zginąć, a my ją uratujemy. Znam sposób, żeby wydostać stąd nas oboje.

– Nie możemy oboje uciec, to zabronione – upiera się. – Tak brzmi jedna z zasad, prawda?

– Może zabronione, ale uda się to zrobić – przekonuję ją. – Musisz mi zaufać.

– Nie mogę! – sprzeciwia się twardo i kciukiem ociera z policzka zbłąkaną łzę. – Zabiłeś mnie. Pamiętam to. Ciągłe czuję tamten strzał. Tak się ucieszyłam na twój widok, Aidenie. Myślałam, że nareszcie stąd odejdziemy. Ty i ja, razem.

– Odejdziemy.

– Zabiłeś mnie!

– Nie pierwszy raz – wyznaję łamiącym się z żalu głosem. – Oboje krzywdziliśmy się nawzajem, Anno, i oboje za to zapłaciliśmy. Już nigdy więcej cię nie zdradzę, przyrzekam. Możesz mi zaufać. Już mi zresztą zaufałaś, tylko tego nie pamiętasz.

Unoszę ręce jak w geście kapitulacji i wolnym krokiem ruszam w stronę schodów. Odsuwam na bok stłuczone okulary i garść konfetti, po czym siadam na stopniu wyłożonym czerwonym chodnikiem. Przygniata mnie ciężar wszystkich moich wcieleń, w głowie kłębią mi się ich wspomnienia z tego holu, ich natłok jest nieznośny. Pamiętam jak dziś...

bo właśnie dzisiaj to się zdarzyło

...rozmowę Bella z kamerdynerem w drzwiach, pamiętam, jak obaj się wtedy bali. Dłoń boli mnie od ściskania laski Ravencourta, gdy z trudem człapał do biblioteki, krótko przed tym, jak Jim Rashton wytaszczył przez drzwi wejściowe worek skradzionych narkotyków. Słyszę lekkie kroki Donalda Daviesa na marmurze posadzki, kiedy uciekał z domu po pierwszym spotkaniu z Doktorem Dzumą, i śmiech towarzyszy Edwarda Dance'a, podczas gdy on milczał.

Tyle wspomnień i sekretów, tyle ciężarów. Każde życie kładzie na nas takie brzemie. Nie wiem, jak wszyscy potrafią udźwignąć choćby jedno.

– Co ci jest? – pyta Anna, ostrożnie podchodząc bliżej i rozluźniając nieco palce, w których trzyma odłamek szkła. – Nie wyglądasz za dobrze.

– Kołaczę mi się tutaj osiem osób. – Wskazuję na swoje skronie.

– Osiem?

– I osiem wersji dzisiejszego dnia – dodaję. – Za każdym razem, kiedy się budzę, jestem w ciele innego gościa. To wcielenie jest ostatnie. Albo dzisiaj rozwiążę zagadkę, albo jutro zacznę wszystko od początku.

– Tak wcale nie... zasady ci nie pozwolą. Mamy tylko jeden dzień na wyjaśnienie morderstwa i nie można być nikim innym. To... tak nie można.

– Mnie zasady nie obowiązują.

– Dlaczego?

– Bo przyszedłem tu z własnej woli. – Przecieram zmęczone oczy. – Przyszedłem po ciebie.

– Chcesz mnie uratować? – pyta z niedowierzaniem w głosie, zapominając o odłamku szkła, który kołysze się przy jej boku.

– Coś w tym rodzaju.

– Ale przecież mnie zamordowałaś.

– Nie powiedziałem, że świetnie mi to idzie.

Może sprawił to ton mojego głosu, może moje przygarbienie, ale Anna upuszcza kawałek szkła na posadzkę i siada obok mnie na schodach. Czuję jej ciepło, jej siłę. Jest jedyną realną postacią w świecie złudzeń.

– Ciągłe próbujesz? – Spogląda na mnie wielkimi brązowymi oczami. Ma bladą i spuchniętą od płaczu twarz. – Dalej próbujesz mnie uratować?

– Próbuję uratować nas oboje, ale nie zrobię tego bez twojej pomocy – mówię. – Musisz mi uwierzyć, Anno, nie jestem człowiekiem, który cię skrzywdził.

– Chcę... – Urywa i kręci głową. – Jak mogę ci zaufać?

– Musisz po prostu zacząć mi ufać. – Wzruszam ramionami. – Nie mamy czasu na nic innego.

Kiwa głową, pojmując naszą sytuację.

– A co miałabym zrobić, gdybym mogła zacząć ci ufać?

– Wiele drobnych rzeczy i dwie duże – odpowiadam.

– Jakie mają być te duże?

– Chcę, żebyś uratowała mi życie. Dwa razy. To ci pomoże.

Wyciągam z kieszeni szkicownik w sfatygowanych skórzanych okładkach związanych sznurkiem, wypełniony zmiętymi luźnymi kartkami. Znalazłem go w kurtce Golda, kiedy wychodziłem z domku. Wyrzuciłem z niego nieco anarchistyczne szkice malarza, a potem zapisałem to, co pamiętam z rozkładu dnia moich wcieleń, opatrując wszystko notatkami i instrukcjami.

– Co to jest? – pyta, biorąc ode mnie szkicownik.

– Księga o mnie – wyjaśniam. – To jedyny atut, jaki mamy.

– Widziałeś Golda? Powinien już tu być.

Siedzę w pustej sypialni Sutcliffe’a, której drzwi są lekko uchylone. Daniel rozmawia z Bellem w pokoju naprzeciwko, a Anna jak szalona chodzi po korytarzu tam i z powrotem.

Nie zamierzam dawać jej powodów do zmartwienia, ale kiedy skończyłem rozkładać listy w całym domu, w tym także list w bibliotece, ujawniający pochodzenie Cunninghama, schroniłem się tu z karafką whisky zabraną z salonu. Piję od godziny, starając się spłukać wstyd przed tym, co mnie czeka, i chociaż jestem pijany, to wciąż znacznie za mało.

– Jaki mamy plan? – słyszę głos Rashtona.

– Musimy powstrzymać Lokaja przed zabiciem kamerdynera i Golda – mówi Anna. – Mają jeszcze jakąś rolę do odegrania w tym wszystkim, jeżeli wystarczająco długo uda się nam utrzymać ich przy życiu.

Pociągam kolejny łyk whisky i słucham ich rozmowy.

Gold nie ma w sobie ani grama agresji i trzeba byłoby go długo przekonywać, aby skrzywdził niewinnego człowieka. Nie mam na to czasu, liczę więc na to, że uda mi się go znieczulić.

Na razie szczęście mi nie dopisuje.

Gold sypia z cudzymi żonami, oszukuje przy grze w kości i w ogóle prowadzi się, jakby lada chwila świat miał się skończyć, ale nie rozgniółby nawet osy, która go użądliła. Za bardzo kocha życie, aby komukolwiek sprawiać ból, a tak się składa, że tylko ból pomoże utrzymać kamerdynera przy życiu na tyle długo, by spotkał się z Anną w stróżówce.

Słyszając jego człapanie za drzwiami, nabieram tchu i wychodzę na korytarz, zagradzając mu drogę. Gdy patrzę na niego dziwnymi oczami Golda, wygląda pięknie; jego poparzona twarz to cudowny widok, znacznie ciekawszy od nijakiej symetrii większości ludzkich fizjonomii.

Usiłuje się cofnąć, mamrocząc w pośpiechu słowa przeprosin, ale łapie go za nadgarstek. Unosi wzrok i źle odczytuje mój nastrój. Widzi gniew, podczas gdy ja przeżywam mękę. Nie mam najmniejszej ochoty skrzywdzić tego człowieka, a jednak muszę.

Próbuje mnie ominąć, lecz zastępuję mu drogę.

Czuję pogardę wobec swojego zadania, chciałbym to wytłumaczyć, ale nie ma czasu. Mimo to nie potrafię się zmusić do tego, by unieść pogrzebacz i uderzyć niewinnego człowieka. Wciąż mam go przed oczami, jak posiniaczony leży w łóżku, opatulony w białą pościel, i z trudem oddycha.

Jeżeli tego nie zrobisz, wygra Daniel.

Sam dźwięk tego imienia wystarcza, aby rozniecić we mnie nienawiść, zwinąć dłonie w pięści. Myślę o jego obłudzie, podsycam własną wściekłość, przypominając sobie każde kłamstwo, jakie od niego usłyszałem, jeszcze raz tonąc w jeziorze z małym chłopcem. Przypominam sobie tamto uczucie, gdy nóż Lokaja zatopił się między żebrami Derby'ego i rozciął gardło Dance'a. Gdy zmusił Rashtona do kapitulacji.

Z rykiem daję upust furii i tłukę kamerdynera pogrzebaczem, który wzięłem z kominka; chłoszczę go po ramionach, rzucam nim o ścianę, a potem na podłogę.

– Proszę... – bełkocze, próbując odsunąć się ode mnie. – Nie jestem...

Chrapliwym głosem wzywa pomocy, wyciąga rękę w błagalnym geście. Właśnie ta ręka doprowadza mnie do ostateczności. Coś podobnego zrobił nad jeziorem Daniel, atakując mnie moją własną litością. Teraz widzę na podłodze Daniela i moja wściekłość staje w ogniu, gotując mi krew w żyłach.

Zaczynam go kopać.

Raz, drugi i trzeci. Tracę rozum, a w jego miejsce wlewa się amok. Wypełnia mnie po brzegi każda zdrada, każdy ból i przykrość, każdy żal, zawód i upokorzenie, każda udręka i krzywda...

Ledwie dyszę, ledwie widzę. Płaczę i kopię raz za razem.

Lituję się nad tym człowiekiem.

Lituję się nad sobą.

Słyszę Rashtona, który ułamek sekundy później zadaje mi cios wazonem. Uderzenie dźwięczy echem wewnątrz mojej czaszki, a ja spadam i spadam, by wylądować w twardych ramionach podłogi.

Dzień drugi (ciąg dalszy)

– Aiden!

Głos dobiega z oddali i opływa moje ciało jak fala przyboju.

– Boże, obudź się. Błagam, obudź się!

Z trudem, z przeogromnym trudem, unoszę powieki.

Widzę popękana ścianę; moja głowa spoczywa na białej poduszce z czerwonymi plamami krwi. Zmęczenie sięga po mnie i wciąga z powrotem w otchłań nieświadomości.

Ku swojemu zaskoczeniu zdaję sobie sprawę, że znowu jestem kamerdynerem i leżę w łóżku w stróżówce.

Nie zasypiaj. Leż spokojnie. Mamy kłopoty.

Kiedy lekko się poruszam, ból przeszywa mój bok i mknie aż do ust, zanim jednak wydostanie się na zewnątrz, udaje mi się zdusić krzyk w gardle. Przynajmniej dzięki temu nie zasnę.

Tam gdzie wcześniej Lokaj zaatakował mnie nożem, w pościel wsiąkła krew. Ból musiał być tak straszny, że pozbawił mnie przytomności, ale nie życia. To na pewno nie jest przypadek. Lokaj przeprowadził na tamten świat mnóstwo ludzi i wątpię, by tym razem zgubił drogę. Ta myśl ścina mi krew w żyłach. Sądziłem, że nie ma nic bardziej przerażającego niż świadomość, że ktoś próbuje mnie zabić. Ważniejsze okazuje się jednak to, kto jest mordercą, i jeśli jest nim Lokaj, znacznie straszniej jest przeżyć taką próbę.

– Aidenie, nie śpisz?

Obracam się z wysiłkiem i widzę w rogu pokoju Annę, przywiązaną za ręce i nogi do krzesła sznurem, którego koniec przymocowano do starego grzejnika. Ma spuchnięty policzek i podbite oko, które ciemnieje na twarzy jak kwiat na śniegu.

Przez okno nad nią widać noc, ale nie mam pojęcia, która może być godzina. Równie dobrze może już być jedenasta i nad jeziorem czeka na nas Doktor Dżuma.

Widząc, że jestem przytomny, Anna szlocha z ulgą.

– Myślałam, że cię zabił – wyznaje.

– No to jest nas dwoje – chrypię.

– Złapał mnie przed domem, powiedział, że mnie zabije, jeżeli z nim nie pójdę – opowiada, szarpiąc i szamocząc się w więzach. – Wiedziałam, że Donald Davies bezpiecznie śpi przy drodze i że Lokaj go nie dosięgnie, więc zrobiłam, co kazał. Tak mi przykro, Aidenie, ale nie umiałam wymyślić innego sposobu.

Ona cię zdradzi.

Przed tym właśnie ostrzegwał mnie Doktor Dżuma, a Rashton odczytał tę decyzję jako dowód dwulicowości Anny. Ten brak zaufania omal nie doprowadził do katastrofy wszystkich naszych działań tego dnia. Ciekawe, czy Doktor Dżuma znał okoliczności „zdrady” Anny i ukrywał je przede mną dla swoich własnych celów, czy rzeczywiście uwierzył, że ta kobieta zwróciła się przeciwko mnie.

– To nie twoja wina, Anno – uspokajam ją.

– Ale i tak mi przykro. – Przestraszona spogląda na drzwi, po czym zniża głos. – Dasz radę dosięgnąć strzelby? Położył ją na komodzie.

Patrzę w tę stronę. Broń leży trochę ponad metr ode mnie, równie dobrze mogłaby jednak być na Księżycu. Ledwie umiem się obrócić, a co dopiero wstać i podnieść strzelbę.

– Ocknęliśmy się? – wtrąca Lokaj, który ukazuje się w drzwiach, krojąc scyzorykiem jabłko. – Szkoda. Nie mogłem się doczekać, żeby cię znowu obudzić.

Za jego plecami ukazuje się inny mężczyzna. To ten drab z cmentarza, który przytrzymał mnie za rękę, gdy Daniel próbował siłą wyciągnąć ode mnie informację o kryjówce Anny.

Lokaj podchodzi do łóżka.

– Kiedy spotkaliśmy się ostatni raz, darowałem ci życie – mówi. – Musiałem to zrobić, ale... nie byłem zadowolony. – Odchrząkuje, a ja czuję, że na policzku ląduje mi kropelka jego śliny.

Przenika mnie dreszcz obrzydzenia, lecz nie mam siły unieść ręki i otrzeć twarzy.

– To się więcej nie powtórzy – obiecuje. – Nie lubię, kiedy ludzie się budzą. Mam wtedy wrażenie, że nie dokończyłem roboty. Chcę Donalda Daviesa i chcę, żebyś mi powiedział, gdzie go mogę dopaść.

Myśli wirują mi w głowie, łącząc ze sobą gigantyczne kawałki układanki mojego życia.

Daniel znalazł mnie na drodze, kiedy wyskoczyłem z powozu, i przekonał mnie, żebym poszedł z nim na cmentarz. Nigdy nie zastanawiałem się, skąd wiedział, gdzie mnie znaleźć, ale właśnie mam odpowiedź. Za kilka minut wszystko powiem Lokajowi.

Gdybym tak się nie bał, uśmiechnąłbym się na myśl o tej ironii losu.

Daniel uważa, że zdradzam Daviesa, skazując go na śmierć, ale bez ich starcia na cmentarzu nigdy nie dowiedziałbym się o obecności Srebrnej Łzy w Blackheath ani nie stoczyłbym walki z Danielem nad jeziorem, dzięki której Anna mogła z nim ostatecznie skończyć.

To pułapka co się zowie. Przygotował ją Rashton, zastawił Davies, a ja założyłem przynętę. Jest doskonale pomyślana, tyle że gdy powiem Lokajowi to, co chce wiedzieć, zarznie Annę i mnie jak dwa prosięta.

Lokaj odkłada nóż i jabłko na komodę obok strzelby, a potem bierze słoiczek tabletek nasennych i grzechocze nim, wytrząsając jedną na dłoń. Niemal słyszę jego wahanie i klekot myśli, które tłuką mu się po głowie. Jego towarzysz, z obojętną miną i rękami skrzyżowanymi na piersi, wciąż stoi przy drzwiach.

Słoiczek znowu grzechocze. Raz, drugi i trzeci.

– Ile potrzeba tych pigułek, żeby zabić takiego poparzonego kalekę jak ty, co? – Chwyta mnie za podbródek i siłą obraca moją głowę twarzą w swoją stronę.

Próbuję ją odwrócić, ale przytrzymuje mnie mocniej, wpijając się we mnie wzrokiem. Czuję jego ciepło; jego jad parzy i kłuje moją skórę. Mogłem się ocknąć w tym cieple i oglądać świat tymi oczami. Mogłem poznać labirynt mózgu tego szczura i brnąć przez bagno jego podniet i wspomnień, z których już nigdy nie potrafiłbym się otrząsnąć.

Być może tak się stało w jednym z poprzednich cykli.

Nagle nawet obmierzły Derby wydaje się dobrodziejstwem.

Żelazne palce puszczają mnie i głowa bezwładnie zwisa mi na bok, a na czoło występują krople potu.

Nie wiem, ile czasu mi jeszcze zostało.

– Sądząc po oparzeniach, miałeś ciężkie życie. – Odsuwa się odrobinę. – Myślę, że ciężkie życie zasługuje na lekką śmierć. I to ci właśnie proponuję. Zaśniesz z brzuchem pełnym pigułek albo będziesz się skręcać z bólu przez parę godzin, bo nie będę umiał trafić nożem w najważniejsze miejsca.

– Zostaw go w spokoju! – krzyczy z kąta Anna. Słychać skrzypienie drewna, kiedy szamocze się w więzach.

– Albo jeszcze lepiej. – Lokaj wyciąga nóż w jej stronę. – Mógłbym potraktować nim dziewczynę. Jest mi potrzebna żywa, ale to nie znaczy, że najpierw nie może sobie trochę pokrzyczeć.

Robi krok w jej kierunku.

– Stajnie – mówię cicho.

Staje jak wryty i spogląda na mnie przez ramię.

– Coś ty powiedział?

Znowu podchodzi do mnie.

Zamknij oczy, nie pokazuj mu swojego strachu. Tego właśnie pragnie. Nie zabije cię, dopóki nie otworzysz oczu.

Zaciskam powieki i czuję, jak łóżko zapada się pod jego ciężarem. Kilka sekund później moją twarz muska krawędź ostrza.

Strach każe mi otworzyć oczy i zobaczyć nadciągające zagrożenie.

Spokojnie oddychaj, czekaj na odpowiedni moment.

– Przy stajniach będzie Donald Davies? – syczy. – To powiedziałaś?

Kiwam głową, starając się opanować panikę.

– Zostaw go w spokoju! – krzyczy znów Anna, tupiąc obcasami w podłogę i gwałtownie szarpiąc krępujące ją sznury.

– Zamknij się! – wrzeszczy na nią Lokaj, po czym wraca spojrzeniem do mnie. – Kiedy?

W ustach tak mi zaschło, że nie wiem, czy umiem jeszcze mówić.

– Kiedy? – nie ustępuje, a nóż kłuje mnie w policzek i kalecty go do krwi.

– Za dwadzieścia dziesiąta. – Przypominam sobie godzinę podaną przez Daniela.

– Idź! To za dziesięć minut – zwraca się do człowieka przy drzwiach. Po chwili słychać miarowy rytm oddalających się korytarzem kroków.

Ostrze błądzi teraz w okolicy moich warg, obrysowuje kontur nosa, a potem czuję lekki nacisk na zamkniętej powiece.

– Otwórz oczy – syczy Lokaj.

Ciekawe, czy słyszy bicie mojego serca. Jak mógłby nie słyszeć? Wali jak ogień z moździerza, pozbawiając mnie resztek odwagi.

Zaczynam lekko drżeć.

– Otwórz oczy – powtarza, pryskając śliną na moją twarz. – Otwórz oczy, króliczku, pozwól mi zajrzeć do środka.

Słyszę trzask drewna i wrzaski Anny.

Nie mogę się powstrzymać i patrzę w jej stronę.

Zdołała wyrwać grzejnik z jednego wspornika, uwalniając równocześnie ręce, ale nogi ma nadal skrępowane. Nóż odsuwa się od mojej twarzy, bo Lokaj zrywa się na nogi z jękiem sprężyn łóżka uwolnionych od jego ciężaru.

Teraz! Rusz się!

Rzucam się na niego. Nie ma w tym cienia wprawy ani siły, po prostu rozpacz w połączeniu z impetem. Sto innych razy nie udaje mi się i moje ciało rozpląszcza się na nim jak szmata niesiona podmuchem wiatru, ale teraz pomaga mi pozycja jego ciała i sposób trzymania noża. Łapię trzonek w idealnym miejscu, odwracam nóż i wbijam mu ostrze w brzuch. Czując wzbierającą między palcami krew, przewracam się razem z Lokajem na podłogę.

Sapie w szoku i z bólu, ale nie jest śmiertelnie ranny. Już bierze się w garść.

Patrzę na nóż, który tkwi w jego ciele po rękojeść, i wiem, że to nie wystarczy. Lokaj jest za silny, a ja za słaby.

– Anno! – krzyczę, wyrywając nóż i rzucając go po podłodze w jej stronę, ale z rozpaczą widzę, jak zatrzymuje się kilka centymetrów od jej wyciągniętych palców.

Lokaj naciera na mnie, paznokciami orze mi policzki i usiłuje sięgnąć gardła. Przygniatam ciałem jego prawą rękę, barkiem uderzam go w twarz i oślepiam. Wije się i stęka, próbując zrzucić mnie z siebie.

– Nie utrzymam go! – wołam do Anny.

Jego dłoń odnajduje moje ucho i wykręca je. Z bólu przed oczami tańczą mi oślepiające białe plamy. Wyrywam się i uderzam w komodę, zrzucając z niej strzelbę.

Lokaj uwalnia rękę, którą przyciskałem. Spycha mnie z siebie, a gdy padam na deski podłogi, widzę ramię Anny sięgające po strzelbę, z kawałkiem przeciętego przed chwilą sznura, który wciąż zwisa z nadgarstka.

Dłonie Lokaja owijają się wokół mojej szyi i zaciskają. Uderzam go w złamany nos. Wyje z bólu, ale nie puszcza. Ściska coraz mocniej, chcąc mnie udusić.

Rozlega się huk strzelby i w tym samym momencie Lokaj eksploduje. Obok mnie pada jego bezgłowe ciało, z którego szyi broczy krew i rozlewa się po podłodze.

Patrzę na strzelbę drżącą w rękach Anny. Gdyby nie spadła właśnie w tym momencie... gdyby nóż nie znalazł się w jej zasięgu albo uwolniłaby się z więzów kilka sekund później...

Wzdrygam się przerażony cienką granicą między życiem a śmiercią.

Anna coś do mnie mówi, martwi się o mnie, ale jestem tak wyczerpany, że słyszę tylko połowę słów, a ostatnią rzeczą, jaką czuję, zanim zagarnie mnie ciemność, jest jej dłoń w mojej dłoni i miękki dotyk jej warg całujących mnie w czoło.

Dzień ósmy (ciąg dalszy)

Przedzierając się przez gęstą mgłę snu, oznajmiam swoje przybycie kaszlem. Przestraszam Annę, która wspina się na palce i przyciskając się do mnie, próbuje mnie odciąć kuchennym nożem. Znów jestem w ciele Golda i wiszę uwiązany u sufitu za nadgarstki.

– Za momencik cię zdejmę – obiecuje Anna.

Musiała tu przyjść prosto z sąsiedniego pokoju, bo jej fartuch jest unurzany we krwi Lokaja. Ze zmarszczonym z wysiłku czołem piłuje sznur, w pośpiechu nie dbając o precyzję. Przeklina i zwalnia ruchy, ale po kilku minutach więzy stają się na tyle luźne, że mogę już wyswobodzić ręce.

Z głuchym łoskotem padam jak kamień na podłogę.

– Spokojnie. – Anna klęka obok mnie. – Byłeś uwiązany cały dzień, nie masz siły.

– Która... – Chwyta mnie suchy kaszel, a w dzbanku nie ma wody, którą mógłbym zwilżyć gardło. Całą zużył wcześniej Doktor Dżuma, kiedy próbował nie dać mi zasnąć. Moja koszula jest jeszcze mokra tam, gdzie mnie ochlapał.

– Która godzina... – udaje mi się wykrztusić. Mam wrażenie, jakbym przepychał kamienie przez gardło.

– Za piętnaście dziesiąta – mówi Anna.

Skoro zabiliście Lokaja, nie mógł zabić Rashtona ani Derby'ego. Obaj żyją. Mogą pomóc.

– Nie są potrzebni – chrypię.

– Kto nie jest potrzebny? – dziwi się Anna.

Kręcę głową, dając jej znak, by pomogła mi wstać.

– Musimy... – Znowu atak bolesnego kaszlu i pełne współczucia spojrzenie Anny.

– Posiedź chwilę, na litość boską – mówi i podaje mi złożoną kartkę, która wypadła mi z kieszeni na piersi.

Gdyby zajrzała do środka, zobaczyłaby słowo *wszystkie* zanotowane strasznym charakterem pisma Golda. To słowo jest kluczem do tego, co się tu dzieje, i ściga mnie, odkąd Cunningham trzy dni temu przekazał tę wiadomość Derby’emu.

Chowam list z powrotem i daję Annie znak, by pomogła mi się podnieść.

Gdzieś w ciemności Doktor Dżuma zmierza w stronę jeziora, gdzie będzie oczekiwał od Anny odpowiedzi, której ona sama jeszcze nie zna. Po ośmiu dniach zadawania pytań mamy niewiele ponad godzinę na przedstawienie i uzasadnienie wniosków, do jakich doszliśmy.

Obejmuję ramieniem Annę, ona podtrzymuje mnie w pasie i jak pijani wytaczamy się z pokoju, omal nie spadając po schodach. Jestem bardzo słaby, ale większym kłopotem są zdrętwiałe ręce i nogi. Czuję się jak drewniana marionetka na zaplątanych sznurkach.

Opuszczamy stróżówkę, nie oglądając się za siebie, i zderzamy się z wieczornym chłodem. Najkrótsza droga nad jezioro prowadzi obok studni życzeń, ale jeżeli ją wybierzemy, istnieje zbyt duże ryzyko, że natkniemy się na Daniela i Donalda Daviesa. Nie mam ochoty zaburzać delikatnej równowagi, którą udało się osiągnąć, i mieszać się w sprawę, która i tak już rozstrzygnęła się na moją korzyść.

Będziemy musieli iść okrężną drogą.

Ruszam chwiejnym krokiem podjazdem w kierunku Blackheath. Skóra swędzi mnie od potu, nogi mam jak z ołowiu i ciężko dyszę z wysiłku. Idzie ze mną mój cały chór – Dance, Derby i Rashton z przodu, a Bell, Collins i Ravencourt zamykają pochód. Wiem, że są wytworami mojego rozedrganego umysłu, ale widzę ich wyraźnie jak lustrzane odbicia, charakterystyczny chód każdego z nich, ich zapał i pogardę wobec czekającego nas zadania.

Skręcamy z podjazdu na brukowaną drogę do stajni.

Ponieważ przyjęcie już trwa w najlepsze, jest tu dość cicho; kilku stajennych grzeje się przy ogniu w oczekiwaniu na przyjazd ostatnich powozów. Wyglądają na półżywych ze zmęczenia, ale nie wiedząc, który z nich jest na usługach Daniela, odciągam Annę od światła w kierunku padoku, na wąską dróżkę prowadzącą nad jezioro. Na jej końcu migocze dogasający płomyk, którego ciepły blask przebija się spomiędzy drzew.

Podkradając się bliżej, widzę, że to przewrócona lampa Daniela, która dogorywa na ziemi.

Wpatruję się w ciemność i w jeziorze dostrzegam jej właściciela, trzymającego głowę Donalda Daviesa pod wodą. Młody człowiek wierzga nogami, usiłując się wyswobodzić.

Anna podnosi z ziemi kamień i robi krok w ich stronę, ale łapię ją za ramię.

– Powiedz mu... dwanaście po siódmej – chrypię w nadziei, że siła mojego spojrzenia wyrazi prośbę, której nie potrafi sformułować gardło.

Biegnie w kierunku Daniela, po drodze unosząc kamień nad głowę.

Odwracam się plecami do jeziora, podnoszę lampę i dmucham rzęzącym oddechem w wąty płomień, by go podsycić. Nie chcę przyglądać się cudzej śmierci, nawet jeśli ten ktoś sobie na nią zasłużył. Doktor Dżuma twierdził, że Blackheath ma nas resocjalizować, ale kraty nie stworzą lepszego człowieka, a cierpienia mogą tylko zniszczyć w nim resztki dobroci. To miejsce wyciska z ludzi nadzieję, a bez nadziei jaki sens mają miłość, współczucie i życzliwość? Niezależnie od tego, jakie intencje przyświecały jego twórcom, Blackheath przemawia do tkwiącego w nas potwora, a ja swojemu nie zamierzam już więcej folgować. Wystarczająco długo popuszczałem mu cugli.

Unoszę lampę i odchodzę w bok w stronę hangaru na łodzie. Przez cały dzień szukałem Heleny Hardcastle, zakładając, że to ona jest odpowiedzialna za wydarzenia w tym domu. Dziwne, ale prawdopodobnie miałem rację, choć nie w takim sensie, jak sądziłem.

Bez względu na to, czy taki miała zamiar, ona jest przyczyną, dla której to wszystko się dzieje.

Hangar to niewiele więcej niż szopa zawieszona nad powierzchnią wody, pale po prawej stronie załamały się, przez co przekrzywił się cały budynek. Drzwi są zamknięte na klucz, ale drewno jest tak przegniłe, że kruszy się pod dotykiem dłoni. Wystarczy niewielka siła, by je otworzyć, mimo to się waham. Dłoń mi drży, lampa w ręce dygocze. To nie lęk mnie powstrzymuje, serce Golda jest spokojne jak gład. To oczekiwanie. Za chwilę znajdę to, czego szukałem od dawna, a wówczas wszystko się skończy.

Będziemy wolni.

Nabieram tchu i otwieram drzwi, płosząc nietoperze; umykają z hangaru, skarżąc się chórem wzburzonych pisków. Wewnątrz widzę uwiązanych

kilka łodzi wiosłowych, ale tylko jedna jest przykryta zapleśniałym kocem.

Klękam i odsuwam go, odsłaniając bladą twarz Heleny Hardcastle. Ma otwarte oczy, których źrenice są tak samo bezbarwne jak jej skóra. Wygląda na zdziwioną, jak gdyby śmierć przyszła do niej z bukietem kwiatów.

Dlaczego tutaj?

– Bo historia lubi się powtarzać – mówię półgłosem.

– Aiden? – dobiega mnie krzyk Anny z wyraźną nutą paniki.

Próbuję zawołać, lecz gardło mam nadal obolałe, muszę więc wyjść na deszcz. Nadstawiam usta i połykam lodowate krople.

– Tutaj! – wołam. – W hangarze.

Wchodzę z powrotem do środka i oglądam ciało Heleny, oświetlając je lampą. Jej płaszcz jest rozpięty, pod nim ma wełniany żakiet i spódnicę w kolorze rdzy oraz białą bawełnianą bluzkę. Kapelusz rzucono do łódki obok niej. Została pchnięta nożem w gardło, na tyle dawno, że krew zdążyła skrzepnąć.

Jeżeli się nie mylę, nie żyje od rana.

Za moimi plecami ukazuje się Anna i wstrzymuje oddech na widok zwłok w łodzi.

– Czy to...

– Helena Hardcastle – potwierdzam.

– Skąd wiedziałeś, że tu będzie? – pyta.

– Tu miała swoje ostatnie umówione spotkanie – wyjaśniam.

Rana na szyi nie jest zbyt rozległa, ale na tyle duża, że najprawdopodobniej odpowiada wielkości noża wykutego z końskiej podkowy. Tej samej broni, którą dziewiętnaście lat temu zamordowano Thomasa Hardcastle'a. Oto wreszcie sens tego wszystkiego. Każda inna śmierć była echem tamtej. Morderstwa, którego nikt nie słyszał.

Nogi zdrętwiały mi od kucania, więc wstaję, by je rozprostować.

– Michael to zrobił? – pyta Anna, łapiąc poję moje płaszcz.

– Nie, to nie Michael. Michael Hardcastle się bał. Stał się zabójcą z desperacji. To morderstwo było zupełnie inne; wymagało cierpliwości i sprawiło zabójcy przyjemność. Helena została tu zwabiona i pchnięta nożem w drzwiach, więc wpadła do środka, niewidoczna z zewnątrz. Jakies pięć metrów stąd zginął Thomas Hardcastle, morderca wybrał to miejsce dokładnie w rocznicę jego śmierci. Czy to ci coś mówi?

W wyobraźni widzę, jak lady Hardcastle pada, słyszę trzask drewna, gdy uderza w dno łodzi. Pojawia się niewyraźna postać, nakrywa ciało kocem, po czym wchodzi do wody.

– Zabójca był unurzany we krwi. – Zataczam lampą szeroki łuk. – Umył się w jeziorze, wiedząc, że zasłaniają go ściany hangaru. Miał przygotowane czyste rzeczy...

Rzeczywiście, w kącie stoi stara torba podróżna i kiedy otwieram zamek, odkrywam wewnątrz stertę zakrwawionych damskich ubrań. Ubrań morderczyni.

To było zaplanowane...

...dawno temu, dla innej ofiary.

– Kto to zrobił, Aidenie? – W głosie Anny pojawia się ton lęku.

Wychodzę z hangaru i rozglądam się w ciemnościach, dopóki nie dostrzegam lampy sztormowej na drugim brzegu jeziora.

– Spodziewasz się towarzystwa? – pyta Anna, utkwivszy wzrok w zbliżającym się świetle.

– To morderca – odpowiadam, czując dziwny spokój. – Kazałem Cunninghamowi rozpuścić plotkę, że wybieramy się... hm, skorzystać z hangaru, by tak rzec.

– Po co? – Anna spogląda na mnie przerażona. – Jeżeli wiesz, kto pomagał Michaelowi, powiedz to Doktorowi Dżumie!

– Nie mogę. Ty musisz wyjaśnić resztę.

– Co? – syczy, rzucając mi przeszywające spojrzenie. – Mieliśmy umowę: ja nie pozwolę cię zabić, ty znajdziesz mordercę Evelyn.

– Doktor Dżuma musi to usłyszeć od ciebie – tłumaczę. – Inaczej nie pozwoli ci odejść. Zaufaj mi, masz w ręku wszystkie kawałki układanki, musisz je tylko dopasować do siebie. Proszę.

Sięgam do kieszeni i podaję jej kartkę. Anna rozkłada ją i czyta głośno:

– *Wszystkie.* – Marszczy czoło. – Co to znaczy?

– To odpowiedź na pytanie, które kazałem Cunninghamowi zadać pani Drudge.

– Jakie pytanie?

– Czy któreś z pozostałych dzieci Hardcastle'ów było dzieckiem Charliego Carvera. Chciałem wiedzieć, za kogo oddał życie.

– Ale wszyscy już nie żyją.

Tajemnicza lampa kołysze się w powietrzu, zbliżając się coraz bardziej. Trzymająca ją osoba spieszy się, nie próbując nawet zachować ostrożności. Czas podstępów minął.

– Kto to jest? – Anna przysłania oczy i patrzy na coraz bliższe światło.

– No właśnie! Kim jestem? – mówi Madeline Aubert, opuszczając lampę, by pokazać wymierzoną w nas broń.

Pozbyła się uniformu służącej i ma na sobie spodnie i luźną płócienną bluzkę, na którą narzuciła beżowy kardigan. Jej ciemne włosy są mokre, poznaczoną bliznami po ospie twarz przykrywa gruba warstwa pudru. Porzuciwszy maskę służalczości, wygląda jak matka, ma te same owalne oczy i piegi rozsiane na mleczej cerze. Mam tylko nadzieję, że Anna to widzi.

Anna spogląda to na Madeline, to na mnie, a wyraz zaskoczenia na jej twarzy ustępuje miejsca panice.

– Pomóż mi, Aidenie – błaga.

– To musisz być ty. – W ciemności odnajduję jej zimną dłoń. – Masz przed sobą wszystkie kawałki układanki. Kto był w stanie zabić w dokładnie taki sam sposób Thomasa Hardcastle’a i lady Hardcastle w odstępie dziewiętnastu lat? Dlaczego Evelyn powiedziała „Nie jestem...” i „Millicent... zamordowana”, kiedy ją odratowałem? Dlaczego miała przy sobie sygnet, który dała Felicity Maddox? Dlaczego Gregory’emu Goldowi zlecono namalowanie nowych portretów rodziny, skoro reszta domu popadała w ruinę? Kogo mogły chronić kłamstwa Heleny Hardcastle i Charliego Carvera?

Twarz Anny niczym promienie wschodzącego słońca rozjaśnia błysk zrozumienia. Szeroko otwartymi oczami spogląda na list, a potem na pełną wyczekiwania minę Madeline.

– Evelyn Hardcastle – mówi cicho. Po chwili powtarza głośniej: – Jesteś Evelyn Hardcastle.

Nie jestem pewien, jakiej reakcji spodziewałem się po Evelyn, ale wprawia mnie w zdumienie, klaszcząc z zachwytem w dłonie i podskakując, jakby zobaczyła nową sztuczkę w wykonaniu pary domowych zwierzątek.

– Wiedziałam, że warto będzie za wami iść. – Stawia lampę na ziemi, łącząc jej blask ze światłem naszej latarni. – Ludzie nie wędrują w ciemności, jeżeli nie wiedzą czegoś, czym mogą sobie oświetlić drogę. Chociaż muszę przyznać, że nie mam pojęcia, dlaczego to w ogóle może was obchodzić.

Pozbyła się francuskiego akcentu, a wraz z nim wszelkich cech posłusznej pokojówki, za której postacią się ukrywała. Przygarbione wcześniej ramiona natychmiast się prostują, szyja sztywnieje, unosząc wysoko podbródek, przez co wydaje się, jakby ta kobieta przypatrywała się nam ze szczytu wyniosłego klifu.

Kieruje na nas pytające spojrzenie, ale moją uwagę przykuwa las. Wszystko to na nic się nie zda, jeśli nie słucha tego Doktor Dżuma, ale poza kręgiem światła naszych lamp panuje nieprzenikniony mrok. Nie zobaczyłbym go, nawet gdyby stał dziesięć metrów od nas.

Biorąc moje milczenie za upór, Evelyn posyła mi promienny uśmiech. Bawimy ją. Zamierza się nami delektować.

Musimy ją zająć, dopóki nie pojawi się Doktor Dżuma.

– Planowałaś to dla Thomasa dziewiętnaście lat temu, prawda? – pytam, pokazując w stronę zwłok Heleny w hangarze. – Rozmawiałem z masztalerzem, który mi powiedział, że tamtego dnia rano pojechałaś na konną przejażdżkę, ale to było tylko alibi. Umówiłaś się z Thomasem tutaj, musiałaś więc tylko minąć stróżówkę, uwiązać konia i przejść kawałek przez las. Zmierzyłem czas. Mogłaś tu dotrzeć w niecałe pół godziny, niezauważona przez nikogo, dzięki temu miałaś mnóstwo czasu na to, żeby

po cichu zamordować Thomasa w hangarze, umyć się w jeziorze, przebrać i wrócić na koniu, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, że zaginął. Nóż i koc, którym chciałaś przykryć zwłoki, ukradłaś masztalerzowi. To na niego miała spaść wina po znalezieniu Thomasa, tyle że plan się nie powiódł, prawda?

– Wszystko poszło nie tak. – Cmoka z dezaprobatą. – Hangar był w zapasie, na wypadek gdyby nie wypalił pierwszy pomysł. Zamierzałam ogłuszyć Thomasa kamieniem, a potem utopić i zostawić w jeziorze, żeby ktoś go znalazł. Tragiczny wypadek, a potem wszyscy wróciliby do swoich spraw. Niestety, nie miałam okazji zrealizować ani jednego, ani drugiego planu. Uderzyłam Thomasa w głowę, ale zdecydowanie za słabo. Zaczęłam krzyczeć, wpadłam w panikę i pchnęłam go nożem tu, nad brzegiem.

Wydaje się zirytowana, choć nie za bardzo. Jakby opowiadała o czymś tak błahym jak nieudany piknik, który zepsuło załamanie pogody. Łapię się na tym, że wpatruję się w nią jak zahipnotyzowany. Większej części tej historii domyśliłem się już wcześniej, zanim tu przyszliśmy, ale kiedy słucham tak obojętnej relacji, której nie towarzyszy nawet odrobina żalu, ogarnia mnie zgroza. Ta kobieta jest bezduszna, pozbawiona sumienia. Trudno mi uwierzyć, że mam przed sobą ludzką istotę.

Zauważywszy, że się pogubiłem, Anna włącza się do rozmowy.

– Wtedy natknęli się na ciebie lady Hardcastle i Charlie Carver. – Ostrożnie waży słowa, aby wyprzedzały rozpędzoną falę myśli. – Udało ci się wmówić im, że śmierć Thomasa to był wypadek.

– Właściwie to mnie w tym wyręczyli – mówi w zadumie Evelyn. – Kiedy zobaczyłam ich na ścieżce, pomyślałam, że wszystko skończone. Zaczęłam tłumaczyć, że próbowałam odebrać Thomasowi nóż, ale Carver przerwał mi w połowie zdania i uzupełnił. Dzieci się bawiły, wypadek i tak dalej. Podał mi na tacy całą wersję wydarzeń.

– Wiedziałaś, że Carver jest twoim ojcem? – pytam, odzyskawszy panowanie nad sobą.

– Nie, ale byłam dzieckiem. Uznałam po prostu, że mam szczęście, i pojechałam na przejażdżkę, tak jak mi kazano. Matka powiedziała mi prawdę dopiero później, kiedy wywieźli mnie do Paryża. Chyba chciała, żebym była dumna z ojca.

– Czyli Carver widzi swoją córkę całą we krwi nad brzegiem jeziora – mówi wolno Anna, starając się wszystko uporządkować. – Zdaje sobie

sprawę, że będą ci potrzebne czyste rzeczy, więc idzie po nie do domu, a Helena zostaje przy Thomasie. Wtedy właśnie zobaczył ją Stanwin, który poszedł nad jezioro za Carverem, i dlatego pomyślał, że Helena zabiła własnego syna. Dlatego pozwolił przyjacielowi wziąć na siebie winę.

– Owszem, ale wziął za to mnóstwo pieniędzy – uzupełnia Evelyn i wydyma usta, odsłaniając końce zębów. Jej zielone oczy są nieruchome i zimne jak stal. Pozbawione śladu empatii, odporne na wyrzuty sumienia. – W ciągu tych lat matka hojnie mu to wynagrodziła.

– Charlie Carver nie wiedział, że zaplanowałaś to morderstwo wcześniej i w hangarze miałaś przygotowane ubranie – wtrącam, starając się nie szukać wzrokiem wśród drzew Doktora Dżumy. – Ubrania były tu ukryte przez osiemnaście lat, dopóki twoja matka nie znalazła ich, gdy w zeszłym roku odwiedziła Blackheath. Natychmiast domyśliła się ich przeznaczenia. Powiedziała o nich nawet Michaelowi, prawdopodobnie po to, żeby zobaczyć jego reakcję.

– Pewnie pomyślała, że zna prawdę – wtrąca ze współczuciem Anna. – Wyobrażasz sobie... nie mogła zaufać żadnemu ze swoich dzieci.

Zrywa się wiatr, krople deszczu z brzękiem padają na lampy. Z lasu dobiega jakiś dźwięk, który choć niewyraźny i daleki, na moment przyciąga uwagę Evelyn.

„Przeciągnij to” – mówię bezgłośnie do Anny, zdejmując płaszcz i okrywając nim jej szczupłe ramiona, co przyjmuje z uśmiechem wdzięczności.

– To musiało być straszne dla lady Hardcastle. – Otula się szczelnie płaszczem. – Kiedy sobie uświadomiła, że córka, za którą jej kochanek poszedł na szubienicę, zamordowała z zimną krwią własnego brata. – Zniża głos. – Jak mogłaś to zrobić, Evelyn?

– Chyba ważniejsze jest pytanie, dlaczego to zrobiła – zauważam, patrząc na Annę. – Thomas lubił śledzić ludzi. Wiedział, że kiedy ktoś go przyłapie, może mieć kłopoty, więc nauczył się zachowywać bardzo cicho. Pewnego dnia poszedł za Evelyn do lasu, gdzie jego siostra spotkała się ze stajennym. Nie wiem, po co się spotkali ani nawet czy to zaplanowali. Może to był zbieg okoliczności, ale przypuszczam, że wydarzył się jakiś wypadek. Mam nadzieję, że to był wypadek.

Zerkam na Evelyn, która przygląda mi się, jak gdybym był ćmą lądującą jej na rękawie. W zmarszczkach wokół jej oczu jest zapisana cała nasza

przyszłość; ta blada twarz jest kryształową kulą, w której mgłę mającą same okropności.

– Zresztą to nie ma znaczenia – ciągnę, kiedy zdaję sobie sprawę, że nie zamierza mi odpowiadać. – Tak czy owak, zabiła go. Thomas zapewne nie zrozumiał tego, co widział, bo wtedy pobiegłby opowiedzieć o tym matce, ale w pewnym momencie Evelyn zorientowała się, że brat wie. Miała dwa wyjścia: uciszyć Thomasa, zanim komuś powie, albo przyznać się do tego, co zrobiła. Wybrała to pierwsze i metodycznie przystąpiła do planowania.

– Świetnie! – chwali mnie Evelyn z uśmiechem, który rozjaśnia jej twarz. – Oprócz kilku szczegółów opowiada pan, jakby pan to widział na własne oczy. Jest pan cudowny, panie Gold, wie pan o tym? O wiele zabawniejszy niż ta drętwa kreatura, za którą wzięłam pana w nocy.

– Co się stało ze stajennym? – pyta Anna. – Masztalerz mówił, że nigdy go nie znaleziono.

Evelyn przygląda się jej przez dłuższą chwilę. Z początku przypuszczam, że zastanawia się, czy odpowiedzieć na to pytanie, zaraz jednak odkrywam prawdę: Evelyn przywołuje dawne wspomnienie. Nie myślała o tym od wielu lat.

– To była przedziwna rzecz – mówi z nieobecną miną. – Chciał mi pokazać jakieś jaskinie, które znalazł. Wiedziałam, że rodzice się nie zgodzą, więc poszliśmy tam w tajemnicy, ale okazał się okropnie nudny. Kiedy zwiedzaliśmy tę jaskinię, wpadł do głębokiej dziury. Nic poważnego, mogłabym bez trudu sprowadzić pomoc. Powiedziałam mu, że pójdę po kogoś, i nagle zaświtało mi w głowie, że wcale nie muszę nikogo ściągać. Nie muszę w ogóle nic robić. Mogłam go tam zostawić. Nikt nie wiedział, dokąd poszedł ani że z nim byłam. Wydawało się, że to przeznaczenie.

– Porzuciłaś go – mówi ze zgrozą Anna.

– I powiem wam, że całkiem mi się to podobało. Był moją słodką tajemnicą, dopóki Thomas nie spytał mnie, dlaczego tamtego dnia poszłam do jaskiń. – Cały czas trzymając nas na muszce, podnosi z błota lampę. – A resztę już znacie. Naprawdę szkoda.

Odciąga kurek, ale Anna wychodzi naprzód i staje przede mną.

– Chwileczkę! – Wyciąga przed siebie rękę.

– Tylko nie błagaj mnie o litość, proszę – fuka rozdrażniona Evelyn. – Nie macie pojęcia, ile mam dla was uznania. Oprócz mojej matki od prawie dwudziestu lat nikt się szczególnie nie zastanawiał nad śmiercią Thomasa,

aż tu nagle pojawiaacie się ni stąd, ni zowąd, z całą historią ślicznie wyjaśnioną od początku do końca. Musiało to od was wymagać wiele determinacji i podziwiam to, ale nie ma nic bardziej niestosownego niż brak dumy.

– Nie zamierzam błagać o litość, ale jeszcze nie usłyszeliśmy całej historii – mówi Anna. – Zasłużyliśmy na to, żeby poznać dalszy ciąg.

Kiedy Evelyn się uśmiecha, wygląda na piękną, kruchą i kompletnie obłąkaną.

– Myślisz, że jestem głupia? – Ociera z oczu krople deszczu.

– Myślę, że zamierzasz nas zabić – odpowiada spokojnie Anna takim tonem, jakby zwracała się do małego dziecka. – I że jeżeli zrobisz to tu, nad brzegiem jeziora, strzały usłyszy wiele osób. Musisz nas zabrać do jakiegoś spokojniejszego miejsca, więc po drodze możemy porozmawiać.

Evelyn podchodzi do niej i zbliża lampę do twarzy Anny, aby uważniej się jej przyjrzeć. Przechyla głowę i lekko rozchyła usta.

– Bystra dziewczynka – mruczy z podziwem. – Zgoda, odwróćcie się i idźcie przed siebie.

Słucham tej rozmowy z narastającą paniką, mam wielką nadzieję, że z ciemności wyłoni się Doktor Dżuma i wreszcie to zakończy. Na pewno ma już wystarczająco dużo dowodów na to, by dać Annie wolność.

Chyba że się spóźnił.

Na tę myśl ogarnia mnie strach. Anna stara się jak najdłużej utrzymać nas przy życiu, ale to wszystko na nic się nie zda, jeśli Doktor Dżuma nie będzie wiedział, gdzie nas znaleźć.

Sięgam po naszą lampę, lecz Evelyn przewraca ją kopniakiem, po czym lufą wskazuje las.

Ja i Anna ruszamy przodem, Evelyn trzyma się kilka kroków za nami i cicho nuci. Zdobywam się na odwagę i oglądam się przez ramię, ale Evelyn jest na tyle daleko, że wszelkie próby wyrwania jej broni są z góry skazane na niepowodzenie. Gdyby nawet się udało, nic by nam z tego nie przyszło. Nie jesteśmy tu po to, żeby ją schwytać, lecz po to, by udowodnić, że Anna nie jest taka jak ona, za czym przemawia fakt, że to Evelyn trzyma ją na muszce, a nie odwrotnie.

Ciężkie chmury przysłaniają niebo, a ponieważ drogę oświetla nam tylko słaby płomyczek lampy Evelyn, musimy posuwać się ostrożnie, żeby się nie

potknąć. Przypomina to żeglugę przez atrament i nadal nigdzie nie ma śladu Doktora Dżumy.

– Skoro twoja matka rok temu dowiedziała się, co zrobiłaś, dlaczego nikomu wtedy nie powiedziała? – pyta Anna, oglądając się na Evelyn. – Po co wydawała to przyjęcie, po co zapraszała tych wszystkich ludzi?

W jej głosie brzmi autentyczna ciekawość. Jeżeli się boi, ukrywa to tak starannie, że nie sposób niczego dostrzec. Najwyraźniej Evelyn nie jest jedyną aktorką w tym domu. Mam tylko nadzieję, że radzę sobie równie dobrze. Serce mi łomocze, jakby lada moment miało złamać żebra.

– Z chciwości – wyjaśnia Evelyn. – Moim rodzicom bardziej zależało na pieniądzach niż matce na tym, żeby mnie powieszono. Mogę się tylko domyślać, że zaaranżowanie tego małżeństwa wymagało czasu, bo w zeszłym miesiącu matka przysłała mi list, w którym groziła, że wydadzą mnie policji, jeżeli nie zgodzę się wyjść za tego wstrętnego Ravencourta. Na pożegnanie chcieli mnie upokorzyć na przyjęciu, to miała być kara za Thomasa.

– Zabiłaś ich, żeby się zemścić? – dopytuje się Anna.

– Z ojcem to była wymiana. Michael zamordował Felicity, ja ojca. Mój brat chciał dostać spadek, dopóki jest jeszcze co dziedziczyć. Michael wspólnie z Coleridge'em zamierza odkupić interes od tego szantażysty Stanwina.

– A więc te ślady stóp pod oknem stróżówki były naprawdę twoje – mówię. – I to ty zostawiłaś list, w którym przyznajesz się do winy.

– Nie mogłam pozwolić, żeby oskarżyli biednego Michaela, bo to by udaremniło cały plan. Kiedy stąd odjadę, nie zamierzam używać swojego nazwiska, czemu więc nie miałam zrobić z niego użytku?

– A matka? – pyta Anna. – Dlaczego ją zabiłaś?

– Byłam w Paryżu. – Jej głos po raz pierwszy drży z gniewu. – Gdyby nie sprzedała mnie Ravencourtowi, nigdy więcej by mnie nie zobaczyła. Jeżeli o mnie chodzi, to popełniła samobójstwo.

Drzewa nagle się kończą i ukazuje się stróżówka. Wyszliśmy z lasu od strony tyłów budynku, gdzie znajdują się niezamykane na klucz drzwi do kuchni, którymi pierwszego dnia fałszywa Evelyn wprowadziła do środka Sebastiana Bella.

– Gdzie znalazłaś drugą Evelyn?

– Nazywa się Felicity Maddox. Z tego, co wiem, była oszustką – odpowiada wymijająco. – Wszystko zorganizował Stanwin. Michael

powiedział mu, że rodzina chce, aby Felicity zamiast mnie wyszła za Ravencourta, a za milczenie zaproponował mu połowę posagu.

– Stanwin wiedział, co zamierzasz zrobić? – pyta Anna.

– Być może, ale czemu miałyby go to obchodzić? – Evelyn wzrusza ramionami, dając mi znak, żebym otworzył drzwi. – Felicity to gnida. Dzisiaj po południu jakiś policjant próbował jej pomóc i wiecie, co zrobiła? Zamiast przyznać się przed nim do wszystkiego, pobiegła prosto do Michaela i zażądała więcej pieniędzy za milczenie. Ktoś taki to naprawdę zakała tego świata. Zamordowanie jej uważam za działanie na rzecz interesu publicznego.

– A Millicent Derby? Jej śmierć też była w interesie publicznym?

– Ach, Millicent... – Evelyn rozpromienia się na jej wspomnienie. – Kiedyś nie była lepsza od swojego synalka. W późniejszych latach brakowało jej już na to energii.

Przechodzimy przez kuchnię i skręcamy do korytarza. Panuje cisza, ponieważ wszyscy w stróżówce nie żyją. Mimo to lampa na ścianie pali się jasno, wskazując na to, że Evelyn od początku zamierzała tu przyjść.

– Millicent cię poznała, prawda? – Przesuwam palcami po tapecie. Odnoszę wrażenie, jakbym się rozmywał. Nic już nie wydaje się rzeczywiste. Muszę dotknąć czegoś konkretnego, aby się przekonać, że to nie sen. – Zauważyła cię w sali balowej obok Felicity. – Przypominam sobie, jak starsza pani w pośpiechu odeszła od Derby’ego. – Widziała, jak dorastasz, i nie mógł jej zwieść strój służącej ani nowe portrety namalowane przez Golda. Millicent natychmiast zorientowała się, kim jesteś.

– Przyszła do kuchni i zażądała, żeby jej powiedzieć, co knuję – odpowiada Evelyn. – Powiedziałam jej, że to psikus z okazji balu, i poczciwa, głupia staruszka uwierzyła.

Rozglądam się, szukając jakiegokolwiek znaku obecności Doktora Dżumy, lecz moje nadzieje topnieją. Nie może wiedzieć, że tu jesteśmy, nie będzie więc miał pojęcia o odwadze Anny ani o tym, że rozwiązała jego zagadkę. Zmierzamy prosto ku śmierci z wariatką i wszystkie nasze wcześniejsze działania wydają się bezcelowe.

– Jak ją zabiłaś? – Rozpaczliwie próbuję zająć Evelyn rozmową, a równocześnie kluje mi się w głowie nowy plan.

– Ukradłam z torby doktora Dickiego fiolkę weronału i wsypałam jej do herbaty kilka rozkruszonych tabletek – wyjaśnia. – Kiedy straciła

przytomność, przyłożyłam jej poduszkę do twarzy i trzymałam, dopóki nie przestała oddychać, a potem wezwałam Dickiego – opowiada z radością w głosie, jakby to było szczęśliwe wspomnienie, którym dzieli się przy kolacji z przyjaciółmi. – Zobaczył na nocnym stoliku weronał ze swojej torby i natychmiast się zorientował, że został w to wmieszany. Na tym polega urok zdemoralizowanych ludzi: zawsze można liczyć na ich demoralizację.

– Czyli zabrał fiolkę i stwierdził atak serca, żeby zatrzeć ślady – konkluduję z cichym westchnieniem.

– Och, nie trap się, kochany. – Szturcha mnie w plecy lufą pistoletu. – Millicent Derby umarła tak, jak żyła, elegancko i w dobrze zaplanowany sposób. Uwierz mi, to był dar losu. Wszyscy powinniśmy mieć tyle szczęścia, by doczekać takiego sensownego końca.

Niepokoję się, że prowadzi nas do saloniku, w którym siedzi zastygły w śmiertelnym grymasie lord Hardcastle, ale Evelyn wskazuje drzwi po drugiej stronie korytarza. To mała jadalnia z kwadratowym stołem pośrodku, przy którym stoją cztery krzesła. Blask lampy przyniesionej przez Evelyn rozprasza się na ścianach, oświetlając stojące w rogu dwa płócienne worki, wypchane po brzegi biżuterią, strojami i innymi przedmiotami, które udało się jej skraść z Blackheath.

Zacznie nowe życie w tym miejscu, gdzie kończy się nasze.

Gold, który nigdy nie przestaje być artystą, potrafi przynajmniej docenić tę symetrię.

Evelyn stawia lampę na stole i gestem każe nam uklęknąć na podłodze. Oczy jej błyszczą, na twarz wypełza rumieniec.

Okno wychodzi na drogę, ale nie widzę śladu Doktora Dżumy.

– Niestety, wasz czas się skończył – oznajmia Evelyn i unosi broń.

Został tylko jeden ruch.

– Dlaczego zabiłaś Michaela? – rzucam pospiesznie oskarżenie.

Evelyn sztywnieje, jej uśmiech zamiera.

– O czym ty mówisz?

– Otrułaś go. – Widzę, jak na jej twarzy maluje się zdumienie. – Wciąż słyszę tylko, jacy byliście sobie bliscy, jak bardzo go kochałaś. Nie wiedział nawet, że zabiłaś Thomasa i waszą matkę, prawda? Nie chciałaś, żeby myślał o tobie źle. A jednak kiedy przyszła pora, zabiłaś go z taką samą obojętnością jak resztę swoich ofiar.

Przeskakuje spojrzeniem między mną a Anną; broń w jej rękach lekko się chwieje. Po raz pierwszy Evelyn wygląda na wystraszoną.

– Kłamiesz. Nigdy nie skrzywdziłabym Michaela.

– Umierał na moich oczach, Evelyn – mówię. – Stałem nad nim, kiedy...

Uderza mnie pistoletem i rozcina mi wargę tak, że zaczyna się z niej sączyć krew.

Przemyka mi przez głowę, żeby wyrwać jej broń, ale Evelyn jest zbyt szybka i zaraz potem odsuwa się od nas o krok.

– Nie kłam! – wybuchła, wpatrując się we mnie płonącymi oczami; oddycha, łapiąc szybko hausty powietrza.

– Nie kłamie – protestuje Anna i w opiekuńczym geście otacza mnie ramionami.

Po policzkach Evelyn płyną łzy, drżą jej usta. Jej miłość jest zaciekle, gorączkowa i zepsuta, ale szczerą. Właśnie przez to Evelyn wydaje się jeszcze potworniejsza.

– Ja go nie... – Łapie się za włosy i pociąga tak mocno, jakby chciała je oderwać od cebulek. – Wiedział, że nie mogę wyjść za... Chciał mi pomóc. – Patrzy na nas błagalnie. – Zabił ją dla mnie, żebym była wolna... kochał mnie...

– Musiałaś mieć jednak pewność – wtrącam. – Nie mogłaś ryzykować, że brat straci zimną krew, a Felicity się ocknie, więc zanim wyszła nad sadzawkę, dałaś jej szklankę z zatrutą whisky.

– Ale nie powiedziałaś o tym Michaelowi – dodaje Anna. – I kiedy Rashton go przesłuchiwał, wypił to, co zostało.

Evelyn opuszcza broń, więc napinam mięśnie, by spróbować wydrzeć ją z jej ręki, ale Anna ścisza mnie mocniej.

– Jest – szepcze mi do ucha, ruchem głowy wskazując na okno.

Na drodze płonie samotna świeca, oświetlając maskę z dziobem. Pojawia się iskra nadziei, ale zaraz gaśnie. Postać się nie porusza. Nawet nie słyszy, o czym rozmawiamy.

Na co on czeka?

– Och, nie. – Widzę, jak Anna truchleje ze zgrozy.

Też wpatruje się w Doktora Dżumę, tyle że nie jest zdziwiona jak ja, lecz przerażona. Blednie i kurczowo chwyta mój rękaw.

– Nie rozwiązaliśmy zagadki – mówi półgłosem. – Ciągle nie wiem, kto zabija Evelyn Hardcastle. Prawdziwą Evelyn Hardcastle. A krąg

podejrzanych skurczył się do dwóch.

Czuję, jakby przygniótł mnie lodowaty ciężar.

Liczyłem na to, że gdy Anna zdemaskuje Evelyn, to wystarczy, by zasłużyć na wolność, ale ona ma rację. Mimo tego, co Doktor Dżuma opowiadał o resocjalizacji i odkupieniu, wciąż potrzebuje ofiary jeszcze jednego życia i spodziewa się, że złoży ją któreś z nas.

Evelyn nadal chodzi tam i z powrotem i rwie włosy z głowy, szalejąc z powodu śmierci brata, jest jednak za daleko od nas, by podejmować próbę ataku. Być może Annie lub mnie udałoby się wyrwać broń z jej ręki, ale wcześniej Evelyn zastrzeliłaby drugie z nas.

Zostaliśmy oszukani.

Doktor Dżuma celowo trzymał się z dala od nas, żeby nie wysłuchać odpowiedzi Anny i nie spojrzeć w oczy dobrej kobiety, którą się stała. Nie wie, że pomyliłem się co do Michaela.

Albo nic go to nie obchodzi.

Ma to, czego chciał. Jeżeli zginę, uwolni mnie. Jeżeli zginie Anna, zostanie tu, tak jak chcieli jego przełożeni. Zatrzymają ją tutaj na zawsze, bez względu na to, co zrobi.

Nie wiem dłużej powstrzymać rozpacz, więc podbiegam do okna i walę pięścią w szybę.

– To nie fair! – krzyczę do odległej sylwetki Doktora Dżumy.

Mój wybuch zaskakuje Annę; wzdyga się przerażona. Evelyn podchodzi do mnie z uniesioną bronią, biorąc mój gniew za panikę.

Ogarnia mnie desperacja.

Powtarzałem Doktorowi Dżumie, że nie porzucę Anny, że jeżeli mnie zwolnią, odnajdę drogę powrotną do Blackheath, ale nie mogę spędzić tu ani jednego dnia więcej. Nie mogę znów dawać się zarzynać. Nie mogę patrzeć na samobójstwo Felicity ani na zdradę Daniela Coleridge'a. Nie mogę przeżywać tego wszystkiego od nowa i mam ochotę, znacznie większą ochotę, niż mogłem wcześniej przypuszczać, zaatakować Evelyn i skończyć z tym wszystkim raz na zawsze, bez względu na to, co się stanie z moją przyjaciółką.

Zaślepiiony własnym cierpieniem, nie zauważam, że Anna podchodzi do mnie. Nie zważając na Evelyn, która przygląda się jej jak sowa drepczącej myszy, Anna ujmuje mnie za obie ręce, wspina się na palce i całuje mnie w policzek.

– Nie waż się po mnie wracać – ostrzega i przytula czoło do mojego.

Po czym błyskawicznym, płynnym ruchem obraca się na pięcie i rzuca się na Evelyn.

Wystrzał jest ogłuszający i przez kilka sekund słychać tylko jego zamierające echo. Z krzykiem przypadam do Anny dokładnie w chwili, gdy broń z brzękiem ląduje na podłodze i krew przesiąka przez bluzkę nad biodrem Evelyn.

Evelyn, otwierając i zamykając usta, osuwa się na kolana z niemym błaganiem w szklistych oczach.

W drzwiach stoi Felicity Maddox, koszmar, który ożył. Wciąż ma na sobie niebieską suknię balową, teraz przemoczoną do suchej nitki i zabłoconą; po jej białych policzkach, które podrapała, biegnąc przez las, ścieka makijaż. Ma potargane włosy, na ustach rozmazaną szminkę, a w dłoni trzyma nieruchomo czarny rewolwer.

Obrzuca nas przelotnym spojrzeniem, choć wątpię, czy w ogóle nas widzi. Jest na wpół oszalała z wściekłości. Wymierza z rewolweru w brzuch Evelyn i naciska spust. Huk jest tak głośny, że muszę zasłonić uszy. Na tapetę tryska krew, a Felicity, wciąż niezadowolona, strzela jeszcze raz. Evelyn pada na podłogę.

Podchodząc do niej, Felicity posyła ostatnią kulę w jej martwe ciało.

Anna przytula twarz do mojej piersi, ja jednak nie jestem w stanie oderwać wzroku od Felicity. Nie wiem, czy to sprawiedliwość, czy nie, mimo to jestem ogromnie wdzięczny tej kobiecie. Ofiara Anny dałaby mi wolność, ale poczucie winy nigdy by mnie nie opuściło.

Gdyby zginęła, stałbym się obcy sam dla siebie.

Felicity mnie uratowała.

Rewolwer jest już pusty, ona jednak dalej naciska spust, zasypując Evelyn gradem suchych trzasków. Wydaje mi się, że będzie tak robiła całą wieczność, ale przerywa jej wejście Doktora Dżumy. Delikatnie wyjmując broń z jej ręki i jak gdyby czar prysł, oczy Felicity odzyskują blask, do rąk i nóg wraca życie. Wygląda na skrajnie umęczoną i wyczerpaną, poddaną presji ponad ludzkie wyobrażenie.

Ostatni raz patrzy na zwłoki Evelyn, po czym żegna Doktora Dżumę skinieniem głowy, mija go i znika na zewnątrz, nie zabierając nawet lampy, by widzieć drogę. Chwilę później otwierają się drzwi wejściowe i stróżówkę wypełnia szum ulewnego deszczu.

Puszczam Annę i ciężko osuwam się na dywan, zakrywając rękami twarz.

– Powiedziałaś Felicity, że tu jesteśmy, prawda? – pytam przez palce.

Brzmi to jak oskarżenie, choć jestem pewien, że chciałem wyrazić wdzięczność. W tej chwili, po wszystkich tych wydarzeniach, może jedno z drugim tak się splątało, że nie sposób ich rozdzielić.

– Dałem jej wybór. – Przyklęka, by zamknąć nieruchome oczy Evelyn. – Reszta zależała od jej natury, podobnie jak to, co ty robisz, zależy od twojej. – Mówiąc to, patrzy na Annę, lecz potem przenosi wzrok na zbryzgane krwią ściany, a następnie na ciało leżące u jego stóp.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie podziwia przypadkiem swojego dzieła: zniszczenia cudzymi rękami istoty ludzkiej.

– Kiedy pan się dowiedział, kim jest prawdziwa Evelyn? – pyta Anna, mierząc Doktora Dżumę wzrokiem i przyglądając mu się z dziecięcym zdumieniem.

– Dowiedziałem się dokładnie w tej samej chwili co wy – odpowiada. – Zgodnie z prośbą przyszedłem nad jezioro i na własne oczy zobaczyłem, jak się zdemaskowała. Kiedy stało się jasne, dokąd was prowadzi, wróciłem do Blackheath, aby przekazać wiadomość aktorce.

– Dlaczego pan nam pomógł? – pyta dalej Anna.

– W imię sprawiedliwości – wyjaśnia Doktor Dżuma z prostotą, obracając w jej stronę maskę z dziobem. – Evelyn zasłużyła na śmierć, a Felicity zasłużyła na to, żeby ją zabić. Wy dwoje udowodniliście, że zasługujecie na wolność, i nie pozwoliłbym wam potknąć się na ostatniej przeszkodzie.

– To już? To naprawdę koniec? – odzywam się drżącym głosem.

– Prawie. Anna musi jeszcze oficjalnie odpowiedzieć na pytanie, kto zabił Evelyn Hardcastle.

– A Aiden? – Anna kładzie dłoń na moim ramieniu. – Przecież obwiniał Michaela.

– Pan Bishop wyjaśnił sprawę śmierci Michaela, Petera i Heleny Hardcastle'ów oraz próbę zabicia Felicity Maddox, zbrodnię tak sprytnie ukrytą, że ani ja, ani moi przełożeni nic o niej nie wiedzieliśmy – mówi Doktor Dżuma. – Nie mogę go winić za to, że odpowiedział na pytania, których nigdy nie przyszło nam na myśl zadawać, nie będę też karał człowieka, który tyle ryzykował, aby ratować cudze życie. Jego odpowiedź pozostaje w mocy. Teraz chcę usłyszeć twoją. Kto zabił Evelyn Hardcastle, Anno?

– Nie powiedział pan nic o innych wcieleniach Aidena – upiera się Anna. – Czy im też pozwoli pan odejść? Niektórzy z nich wciąż żyją. Możemy chyba jeszcze uratować kamerdynera, jeżeli zaraz do niego pójdziemy. A biedny Sebastian Bell? Ocknął się dopiero dziś rano. Co zrobi bez mojej pomocy?

– To Aiden jest Sebastianem Bellem, który obudził się dziś rano – wyjaśnia uprzejmie Doktor Dżuma. – Wszyscy byli tylko złudzeniem optycznym. Cieniami padającymi na ścianę. Odejdzie stąd i zabierze płomień, który je rzuca, a kiedy to się stanie, wszystkie cienie znikną.

Patrzy na niego zdumiona.

– Zaufaj mi, Anno. A teraz powiedz, kto zabił Evelyn Hardcastle, i wszyscy będą wolni. W taki lub inny sposób.

– Aiden?

Niepewnie zerka na mnie w oczekiwaniu na moją zgodę. Mogę jedynie skinąć głową. Wzbiera we mnie fala emocji, które tylko czekają, by je uwolnić.

– Felicity Maddox – oświadcza.

– Jesteście wolni. – Doktor Dżuma wstaje. – Blackheath nie będzie już dłużej krępować żadnego z was.

Trzęsą mi się ramiona. Nie mogąc nad tym zapanować, wybucham rozzwierającym szlochom i wylewam z siebie jak truciznę osiem dni strachu i cierpień. Anna obejmuje mnie, nie umiem jednak przestać. Nerwy mam napięte do granic możliwości, przepełnia mnie ulga, przygniata zmęczenie i przenika strach, że to oszustwo.

Wszystko w Blackheath było dotąd kłamstwem, może więc to również?

Patrzę na zwłoki Evelyn i widzę wstrząsanego konwulsjami Michaela na werandzie, zdumienie Stanwina, gdy Daniel strzelił do niego w lesie. Petera i Helenę, Jonathana i Millicent, Dance’a, Daviesa, Rashtona. Lokaja i Coleridge’a. Stos trupów.

Jak można od czegoś takiego uciec?

Wypowiadając imię...

– Anno – szepczę.

– Jestem. – Ściska mnie mocno. – Idziemy do domu, Aiden. Zrobiłeś to, dotrzymałeś obietnicy.

Wpatruje się we mnie i nie dostrzegam w jej oczach cienia wątpliwości. Uśmiecha się radośnie. Innego dnia i w innym życiu myślałem, że to za mało, aby stąd uciec, może jednak to jedyny sposób, aby to zrobić.

Nie wypuszczając mnie z objęć, spogląda na Doktora Dżumę.

– Co się teraz stanie? – pyta. – Nie pamiętam niczego, co się zdarzyło przed dzisiejszym rankiem.

– Przypomnisz sobie – odpowiada Doktor Dżuma. – Odbyłaś karę, więc wszystko, co miałaś, zostanie ci zwrócone, łącznie ze wspomnieniami. Jeśli sobie tego życzysz. Większość woli je zostawić i odejść tak, jak stoi. Może warto to wziąć pod uwagę.

Anna rozważa propozycję, a ja uświadamiam sobie, że wciąż nie wiem, kim naprawdę jest ani co robiła. To będzie trudna rozmowa, teraz nie mam jednak siły, by ją przeprowadzić. Muszę ukryć Blackheath głęboko w ciemności, gdzie mieszkają moje koszmary, i jeszcze długo nie będę od

niego wolny. Jeżeli mogę oszczędzić Annie podobnych cierpień, choćby na krótką chwilę, na pewno to zrobię.

– Powinniście już iść – mówi Doktor Dżuma. – Wydaje mi się, że zwlekacie z tym wystarczająco długo.

– Jesteś gotowy? – pyta Anna.

– Tak. – Pozwalam, by pomogła mi wstać.

– Dziękuję za wszystko. – Anna dyga przed Doktorem Dżumą i wychodzi ze stróżówki.

Odprowadza ją wzrokiem, po czym podaje mi lampę Evelyn.

– Będą jej szukać, Aiden – szepcze. – Nikomu nie ufajcie i nie starajcie się pamiętać. Wspomnienia w najlepszym razie mogą was okaleczyć, a w najgorszym... – Nie kończy. – Gdy zostaniecie zwolnieni, nie zatrzymujcie się, uciekajcie. To wasza jedyna szansa.

– Co będzie z tobą? – pytam. – Wątpię, żeby twoi przełożeni ucieszyli się, kiedy się dowiedzą, co zrobiłeś.

– Och, będą wściekli – przyznaje pogodnie. – Ale dzisiaj jest chyba dobry dzień, a w Blackheath nie było takiego od bardzo dawna. Nacieszę się nim, a o cenę będę się martwił jutro. Niebawem trzeba będzie ją zapłacić, jak zawsze.

Wyciąga rękę.

– Powodzenia, Aidenie.

– Nawzajem. – Ściskam mu dłoń i wychodzę prosto w burzę.

Anna czeka na drodze ze wzrokiem utkwionym w Blackheath. Wydaje się taka młoda i beztroska, ale to maska. Kryje się pod nią inna twarz, kobiety znienawidzonej przez pół świata, którą pomogłem uwolnić. Trzepocze we mnie niepewność, ale cokolwiek zrobiła, cokolwiek nas czeka, pokonamy to razem. Tu i teraz nic innego nie ma dla mnie znaczenia.

– Dokąd mamy iść? – pyta Anna, gdy omiatam ciemny las ciepłym blaskiem latarni.

– Nie wiem. To chyba nie ma znaczenia.

Bierze mnie za rękę i delikatnie ją ściska.

– W takim razie ruszajmy i zobaczymy, dokąd trafimy.

Więc idziemy, stawiając jedną stopę przed drugą, zanurzając się w mrok, który rozpraszany jest przez tylko jedno słabe światełko.

Próbuję sobie wyobrazić, co na mnie czeka.

Rodzina, którą opuściłem? Wnuki, które wychowały się na opowieściach o tym, co zrobiłem? A może następny las i następny dom spowity w sekrety? Mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że mój świat to coś zupełnie innego. Coś nieznanego i niezgłębionego, czego umysł Golda nie potrafi sobie nawet wyobrazić. Bo przecież nie uciekam tylko z Blackheath. Uciekam od nich. Od Bella i kamerdynera, Daviesa, Ravencourta, Dance'a i Derby'ego. Od Rashtona i Golda. Blackheath było więzieniem, ale oni kajdanami.

I kluczami.

Zawdzięczam wolność każdemu z nich.

A Aiden Bishop? Co jemu zawdzięczam? Człowiekowi, który mnie tu uwięził, żeby dręczyć Annabelle Caulker? Nie zwrócę mu wspomnień, tego jestem pewien. Jutro zobaczę w lustrze jego twarz i będę musiał się pogodzić, że to moja twarz. By to uczynić, muszę zacząć wszystko od nowa, wolny od przeszłości, wolny od niego i popełnionych przez niego błędów.

Wolny od jego głosu.

– Dziękuję – mówię cicho, czując, jak w końcu ode mnie odpływa.

Mam wrażenie, że to sen, że liczę na zbyt wiele. Jutro nie będę musiał pokonać Lokaja. Nie będę musiał ratować Evelyn Hardcastle ani przechytrzać Daniela Coleridge'a. Nie będzie tykającego zegara zawieszzonego nad domem zagadek. Zamiast rzeczami niemożliwymi, będę się musiał zajmować tylko zwykłymi sprawami. Pozwolę sobie na luksusy: będę mógł budzić się w tym samym łóżku dwa dni z rzędu albo dotrzeć do sąsiedniej wsi, jeśli tak postanowię. Będę się cieszyć blaskiem słońca. Szczerością. Życiem, na którego końcu nie czai się morderstwo.

Jutro może być takie, jakie zechcę, co oznacza, że po raz pierwszy od kilkadziesiąt lat mogę czekać na nie z radością. Zamiast przejmować mnie lękiem, może być obietnicą, którą sobie złożę. Szansą, aby stać się odważniejszym, bardziej życzliwym, by naprawić to, co złe. Stać się lepszym niż dziś.

Każdy dzień, który nadejdzie po tym, jest darem.

Muszę tylko ciągle iść, aż tam dotrę.

PODZIĘKOWANIA

Siedem śmierci Evelyn Hardcastle nie powstałoby bez mojego agenta, Harry'ego Illingwortha. On pierwszy wiedział, jak ta opowieść może wyglądać, i pomógł mi wydobyć ją na światło dzienne. Prawdziwy z ciebie dżentelmen, Illington.

Za mądrość i umiejętność posługiwania się słownym skalpelem chciałbym podziękować swojej redaktorce, Alison Hennessey alias Królowej Kruków, alias czarującej morderczynie (akapitów). Napisałem historię, a Alison zrobiła z niej książkę.

Jestem także wdzięczny Grace Menary-Winefield, mojej amerykańskiej redaktorce, za to, że zadawała pytania, które nigdy nie przyszły mi do głowy, i że pomogła mi sięgnąć dalej w głąb stworzonego przeze mnie świata.

Skoro o tym mowa, nie mogę pominąć reszty zespołu Raven Books i Sourcebooks, którzy zawstydzili mnie swoim talentem, entuzjazmem i urokiem osobistym. Spośród nich szczególnie chciałbym wyróżnić Marigold Atkey, która z poczuciem humoru i mądrością znosiła moje ataki paniki – i poprawki wprowadzane w ostatniej chwili. Na pewno ktoś gdzieś słyszał, jak ona potrafi krzyczeć, ale to nie byłem ja. I za to jestem jej niezwykle wdzięczny.

Muszę także wspomnieć o moich pierwszych czytelnikach, Davidzie Bayonie, Timie Dantonie i Nicole Kobie, którzy przeczytali tę książkę jeszcze w „fazie Davida Lyncha” i bardzo uprzejmie zwrócili moją uwagę na fakt, że wskazówki, gramatyka i przypominanie głównych wątków fabuły nie są oznaką słabości.

Na koniec dziękuję żonie, Maresie. Jeśli zamierzacie popełnić głupstwo (na przykład spędzić trzy lata na pisaniu powieści kryminalnej o podróży w czasie, zamianie ciał i morderstwie), musicie mieć obok siebie najlepszego

przyjaciela, który stale będzie siedział w pobliżu. Ona była i jest przy mnie.
Bez niej na pewno bym tego nie zrobił.

Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
O książce	6
O Autorze	7
Dedykacja	8
Zaproszenie	9
1 Dzień pierwszy	11
2	15
3	23
4	29
5	38
6	44
7	54
8	62
9 Dzień drugi	69
10 Dzień trzeci	75
11 Dzień czwarty	83
12	88
13 Dzień drugi (ciąg dalszy)	93
14 Dzień czwarty (ciąg dalszy)	95
15	105
16	111
17	117
18	122
19	127
20	133
21 Dzień drugi (ciąg dalszy)	143
22 Dzień piąty	149
23	153

24	160
25	174
26	179
27 Dzień drugi (ciąg dalszy)	187
28 Dzień piąty (ciąg dalszy)	193
29	198
30	203
31	211
32 Dzień szósty	215
33 Dzień drugi (ciąg dalszy)	217
34 Dzień szósty (ciąg dalszy)	218
35	231
36	240
37	248
38	257
39 Dzień drugi (ciąg dalszy)	270
40 Dzień szósty (ciąg dalszy)	273
41	282
42 Dzień drugi (ciąg dalszy)	285
43 Dzień siódmy	286
44	292
45	300
46	304
47	313
48	321
49	327
50	333
51	341
52 Dzień trzeci (ciąg dalszy)	355
53 Dzień ósmy	371
54	386

55	389
56	393
57 Dzień drugi (ciąg dalszy)	395
58 Dzień ósmy (ciąg dalszy)	401
59	407
60	418
PODZIĘKOWANIA	423